

**Fiona Bullen**

**Dom snów**

*Przekład Ewa Spirydowicz*

*Moim Rodzicom  
z wyrazami miłości*

## Rozdział pierwszy

*Rio de Janeiro*

*Wrzesień 1958*

To nieprawda, że tylko papa zawinił, pomyślała Isobel. Eleanor także dorzuciła swoje trzy grosze. Owszem, to on zaczął, ale Eleanor nie powinna była go drażnić. Przecież wiadomo, że papa zawsze musi mieć ostatnie słowo, pokazać, że to on rządzi w tym domu. Czy Eleanor nie mogła go po prostu zignorować?

– Może powinniśmy go przeprosić – zaproponowała niepewnym głosem.

Siostra jednak przecząco potrząsnęła głową i mocniej zacisnęła usta. Czekwały w holu. U ich stóp leżały torby z książkami. Ciszę panującą w domu zakłócał jedynie dobiegający z kuchni szcęk naczyń. Gdzieś na zewnątrz głośno zawarczał motor. Isobel wzdrygnęła się. Uważała, że Eleanor powinna przeprosić papę, powiedzieć, że nie chciała sprawić mu przykrości, kiedy tak gwałtownie zareagowała na jego słowa.

„Nawet tysiąc lat byłoby za krótko”. Oczywiście chodziło o czas, który kuzyn John spędził za granicą. To zdanie wymknęło się ojcu niechcący. Na pewno wcale tak nie uważał. Isobel była przekonana, że tak nie myślał. Nie w tym sensie. Prawdopodobnie chciał powiedzieć, że dla nich wszystkich, a zwłaszcza dla samego Johna, byłoby lepiej przedłużyć pobyt w Anglii. Tu, w Brazylii, chłopakowi zagrażały złośliwe plotki. I wspomnienia. Wtedy jednak nagle poblądła Eleanor o oczach rozszerzonych gniewem zerwała się na równe nogi. Nie zauważyła nawet, że przewraca szklankę pomarańczowego soku. Zwymyślała papę od bezdusznych tyranów. Jak zwykle stanęła po stronie Johna. Na wspomnienie pełnego bólu spojrzenia ojca Isobel zachciało się płakać.

Gdyby to ona, Isobel, zachowała się w ten sposób, papa byłby wściekły. Kazałby jej natychmiast wyjść z pokoju. Krzyczałby, pieklił się i w końcu uznał, że córka jest tylko głupim dzieciakiem. A to nieprawda, bo Izabel miała już szesnaście lat.

Ponieważ jednak chodziło o Eleanor, młodszą przecież od niej o rok, ojciec zareagował zupełnie inaczej. Nie powiedział ani słowa, tylko opuścił głowę, jakby dosięgnął go bolesny cios. A potem wstał, starannie złożywszy gazetę na pół, i jeszcze raz, tak że mieściła się w teczce, i wyszedł. Nie powiedział „do widzenia”, nie pocałował ich; po prostu wyszedł. Słyszały, jak rozmawiał z Honoriem, szoferem. Kazał zawieść się do biura natychmiast. Dopiero potem kierowca miał wrócić po dziewczynki. W ten sposób papa mścił się. Liczył, że spóźnią się do szkoły. I nie pomylił się.

Podczas całego zajścia mama nie odezwała się ani słowem. Piła kawę, nie podnosząc wzroku znad stołu, a w długich, smukłych palcach o zawsze starannie pomalowanych paznokciach obracała solniczkę.

Dziewczęta w ponurym milczeniu czekały w holu.

Ostry słoneczny blask załamywał się na szybach. Dziewczynki mrużyły oczy i starały się

patrzeć w inną stronę. Stały tuż przy drzwiach. Spóźnione nie mogły od razu dołączyć do swoich klas. Musiały doczekać do końca nabożeństwa, które dzisiaj akurat było wyjątkowo długie z powodu przyjazdu biskupa. Dziewczeta czuły spływające po plecach strużki potu. Nawet teraz, wczesnym rankiem, nie było czym oddychać. Zanosilo się na kolejny upalny dzień. Już od tygodnia słońce grzało z niespotykaną we wrześnie siłą.

Isobel przygryzła dolną wargę. Cały czas myślała o słowach młodszej siostry. Elly, jak zwykle, sprowadzi na nie kłopoty, choć ona, Isobel, nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Nie będzie osłaniał Johna, a już na pewno nie Eleanor, tę ukochaną córeczkę papy, której nie obchodzi, jak bardzo krzywdzi ojca; Eleanor, którą interesuje tylko John. Isobel zmarszczyła brwi i strzepnęła niewidoczny pyłek z odsłaniającej krągłe kolana kraciastej spódniczki. Spódniczka Elly, nowa i za długa, smętnie zwisała z wąskich bioder. Tylko identyczna odzież świadczyła o łączącym dziewczęta pokrewieństwie. Isobel była niska i pulchna, a Eleanor wysoka i chuda. Różniły się wiekiem zaledwie o rok, ale pod każdym innym względem dzieliła je wieczność. Isobel poruszyła się niecierpliwie.

Od dawna już oczekiwali powrotu Johna, kuzyna Johna, lub jak zwykł mówić jego najlepszy przyjaciel, Johnny'ego. Nie pisywał do nikogo oprócz Eleanor. Tylko ona знаła datę powrotu. Wysiadały właśnie z samochodu, gdy Eleanor szepnęła „dziś”. Wtedy Isobel zrozumiała jej poranne zachowanie. Eleanor mówiła lekkim tonem, z uśmiechem na ustach, ale Isobel wcale nie uważała tej wiadomości za zabawną. John wracał do domu i Elly zamierzała uciec z lekcji, żeby czekać na niego na nadbrzeżu. Naprawdę chciała iść na wagary!

A papa powiedział, że nawet tysiąc lat... I może miał rację. Isobel potrząsnęła głową.

– To bez sensu – syknęła, nie podnosząc wzroku znad modlitewnika. – I tak będzie w domu przed nami. Tylko wpakujesz nas w kłopoty. Nie mam zamiaru cię kryć. Udam, że o niczym nie wiem.

Eleanor milczała, czując na sobie karcące spojrzenie nauczycielki. Wlepiała wzrok w książeczkę do nabożeństwa, ale nie docierało do niej znaczenie czytanych słów.

Isobel, zerknąwszy na siostrę kątem oka, zauważyła w – jej twarzy znajomy wyraz oporu. Długie, ściągnięte w skromny węzeł jasne włosy odsłaniały wysokie czoło. Na jego gładkiej powierzchni nagle pojawiła się zmarszczka. Po chwili, kiedy całą salę wypełniła melodia pochwalnego hymnu, Izabel usłyszała cichą odpowiedź.

– John wraca do domu i wyjdę po niego do portu. Nie musisz iść ze mną. Nie ma sensu, żebyśmy obie napytały sobie biedy. Zresztą wcale cię o to nie prosiłam, Eleanor – nie raczyła nawet upewnić się, czy siostra ją usłyszała. Opuściła powieki, aby nikt nie miał dostępu do jej prywatnego świata, i pogrzyżyła się we własnym szczęściu. John wraca do domu! Alleluja! Alleluja!

Jeszcze tylko sześć godzin. Wreszcie przyjedzie po tylu latach spędzonych w Anglii, dokąd wysłano go, aby mama i tatuś mogli udawać, że nigdy nie doszło do Tragedii.

Tragedia... Zawsze wymawiana właśnie w ten sposób, niskim, nabrzmiałym od bólu głosem, aby każdy, na tyle nietaktowny lub niezorientowany, by się dopytywał, co się stało, od razu zrozumiał, że było to straszne wydarzenie z rodzaju pisanych wielką literą. Chociaż

tak naprawdę Fawcettowie nie życzyli sobie o tym wspominać. Prawie nigdy nie rozmawiano o Tragedii, bo ilekroć ktoś poruszył ten temat, tatuś zaciskał zęby, nerwowo rzucał gazetę na stół i krzyczał, że chce mieć w domu święty spokój. A mama kręciła się nerwowo i uciszała wszystkich dokoła, a potem spoglądała na tatusia z niepokojem w oczach.

Eleanor dotknęła blizny na nodze; długiej srebrzystej blizny, której nigdy nie przyciemniła opalenizna. Przypomniała sobie, jak jedna z zakonnice usiłowała usunąć śrut z rany. Ale to już minęło, skończyło się. Życie toczyło się dalej. I John wracał do domu. Dziewczyna niecierpliwie zerknęła na zegarek. Już wkrótce.

Znów pozwoliła wspomnieniom płynąć swobodnie. Władcza i zaborcza uśmiechnęła się radośnie. Ona i John nie byli jedynie kuzynami; stali się czymś znacznie więcej. Mieli tak wiele wspólnego, że bez słów odgadywali swoje myśli. To dlatego tak bardzo za nim tęskniła. Papa wiedział o tym. Wiedział, ile dla siebie znaczyli. Na tę myśl zmarszczyła brwi.

Nie pamiętała pierwszego spotkania z Johnem. Nie dlatego jednak, że jak to w rodzinie znali się od zawsze. Była jeszcze malutka, kiedy chłopiec opuścił Rio, by wraz z rodzicami zamieszkać w interiorze. Vila Serrista leżała gdzieś w Mato Grosso, nad jednym z dopływów Parany. Eleanor nie wiedziała dokładnie gdzie. Oczywiście, była tam kiedyś, dawno temu, ale żaden mieszkaniec miasta nie potrafi zrozumieć dżungli. To zupełnie inny świat.

A mimo to ciocia Elizabeth, siostra papy, nigdy nie wróciła do Rio, chociaż tak bardzo pragnął tego jej brat. Charles Fawcett zresztą w ogóle nie chciał, żeby wyjeżdżała. Była jednak mężatką i skoro wuj Michael zdecydował o wyjeździe, papa nie miał prawa jej zatrzymać. Chociaż próbował. Nie podobały mu się zmiany, jakie zaszły w wuju po wojnie. Eleanor wiedziała o tym, bo podsłuchiwała wieczorne rozmowy rodziców. Papa twierdził, iż Michael stał się dziwakiem. Niebezpiecznym dziwakiem. Oczywiście, późniejsze wydarzenia udowodniły, że ojciec miał rację, ale wtedy, na początku, nikt go nie słuchał. Wszyscy podejrzewali go o zazdrość. I śmiali się pod nosem, zapewniając go, że da sobie radę bez Elizabeth.

Henry, którego ojciec był najlepszym przyjacielem Fawcettów, wytłumaczył to Eleanor. Papa ogromnie kochał ciocię Elizabeth. Ogromnie. Nic dziwnego więc, że nie podobała mu się myśl o jej wyjeździe. To normalne.

A potem, po kilku latach, zaczęli dostawać od Elizabeth listy. Pisała, iż nie chce, aby jej syn wyrastał jak dzikus. Dotychczas uczyła go sama, jednak zadanie przerosło jej możliwości. Pomyślała więc o wysłaniu chłopca do Rio, do krewnych. Papa uznał, że to doskonały pomysł. Miał nadzieję dzięki temu częściej widywać siostrę. Łudził się, że może nawet przekona ją, by odeszła od wuja Michaela. Pomylił się jednak. Przysłała Johna samego. Chłopiec miał wówczas dziesięć lat.

Tamtego dnia, latem 1950 roku, bawili się w ogrodzie, Isobel, ona i Henry, jej najlepszy przyjaciel. Oczywiście, mama też była w pobliżu. Nalewała do szklanek lemoniadę. Popołudniowy wietrzyk rozwiewał jej kolorową sukienkę i burzył włosy, a ona śmiała się wesoło. Nagle w otwartych drzwiach prowadzących z biblioteki na taras stanął chłopiec. Zamarli w bezruchu. Obrzucił ich dumnym, wyzywającym spojrzeniem. Tylko drżące wargi zdradzały niepewność. A po chwili pojawił się papa i bezceremonialnie odepchnął chłopaka

na bok. Eleanor przeraziła twarz ojca. Nagle pobladły, nerwowo poruszał szczęką, jakby przeżuwał coś bardzo gorzkiego. W końcu wyrzucił z siebie:

– Nie przyjechała! Wysłała go samego, ot tak, po prostu. Towarzyszył mu jeden służący, zwykły dzikus. Odesłałem go. Nie mogę uwierzyć, że nie przyjechała.

Minął dzieci i podszedł do stołu. Zmęczonym gestem przesunął okulary na czoło i przetarł oczy. Mama chciała go pocieszyć, ale nie zauważył jej wyciągniętej ręki; pustym wzrokiem wpatrywał się w jakiś daleki punkt, którego nie widział nikt prócz niego. Wtedy mama przypomniała sobie o dzieciach. Mały przybysz stał nadal w progu. Nie ruszał się, jakby całą jego energię pochłaniała walka z rozpaczą.

Nie pamiętał tego domu, nie znał tych ludzi. Teraz, kiedy odesłano służącego Hatcheta, czuł się całkowicie osamotniony.

– A więc to ty jesteś Johnem? Moim kuzynem? – Eleanor przerwała nieznośnie przedłużającą się ciszę. Na trawniku przed domem roiło się od owadów. Komary i muchy, osy i świetliki brzęczały w rozgrzanim powietrzu, a Isobel co chwila krzyczała, osłaniając się przed nimi.

Później John żartobliwie wypominał Eleanor to powitanie. Nie powiedziała „nasz”, lecz „mój” kuzyn, tym samym uzurpując sobie do niego wszelkie prawa. Broniła się przypominając, że miała wówczas zaledwie siedem lat i nie zdawała sobie sprawy z precyzyjnego znaczenia słów. Nie była to jednak prawda; Eleanor zawsze pojmowała różnicę pomiędzy „mój” i „nasz”.

Pamiętała, jak skinął jej głową i odchrząknął, a zaraz potem mama wbiegła między nich. Śpiewny głos z angielskim akcentem przerwał krępującą ciszę:

– Oczywiście, że to John. Czy spodziewaliśmy się jeszcze innych gości? John, na pewno jesteś bardzo zmęczony, prawda? Może masz ochotę na szklaneczkę lemoniady?

Uściskała chłopca serdecznie i paplała dalej, jakby chcąc wynagrodzić mu początkową oschłość. Ani razu nie spojrzała na męża, który stał na schodkach tarasu z żałośnie opuszczonymi ramionami i rozczarowaniem w oczach.

Henry nieśmiało wyciągnął rękę. John zawahał się, zanim uściśnął podaną dłoń, jakby podejrzewał, że chcą zabawić się jego kosztem. Obserwował ich spod zmrużonych powiek z chłodnym, pełnym rezerwy uśmiechem.

Isobel przestała wreszcie uciekać przed dużym chrząszczem i na polecenie matki pocałowała kuzyna. Jej malutkie, miękkie usta zostawiły na jego policzku wilgotny ślad. Gdy tylko miał pewność, że go nie widzi, dyskretnie wytarł twarz wierzchem dłoni. Potem podbiegła do niego Eleanor, ale ona miała suche, silne wargi, którymi ledwie musnęła mu skórę.

– Zamieszkaś z nami? Mama mówiła, że tak, ale myślałam, że ciocia Elizabeth przyjedzie z tobą. No więc, przyjedzie czy nie? – zasypała go pytaniami.

Mama poruszyła się gwałtownie, jakby chciała przerwać ten potok słów. Eleanor poczerwieniała. Henry wbił wzrok w ziemię.

– Mamusia nie mogła przyjechać. Ma zbyt dużo pracy na fazendzie. Zresztą wysłała ze mną Hatcheta. Ale on już odjechał – dodał po chwili i Eleanor wychwyciła nutę żalu w jego

głosie. Ich oczy spotkały się, lecz kiedy przybysz dostrzegł współczucie w jej spojrzeniu, szybko odwrócił wzrok.

– A przecież papa bardzo chciał się zobaczyć z ciocią Eliza... – Isobel zdawała się nie zauważać narastającego napięcia. Ojciec wyglądał, jakby miał się rozplakać.

– Ani słowa więcej, Isobel – rzucił gniewnie i ruszył w stronę domu. – Wasza ciocia nie przyjechała. Koniec, kropka.

Charles Fawcett mylił się jednak. To był dopiero początek.

John został. Papa otrząsnął się z szoku i jeszcze tego samego popołudnia zaproponował mu partię krykieta. Okazało się wówczas, że chłopiec nie ma o krykiecie pojęcia. Patrzył na kij do gry, jakby nie domyślał się, do czego ten dziwny przedmiot służy. Charles Fawcett z trudem hamował irytację. Każdy Anglik grywa w krykieta, oznajmił podniesionym głosem. John jednak nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Nie jestem Anglikiem, sir. Jestem Brazylijczykiem. – Już wtedy puszył się swoim pochodzeniem. Jego ojciec należał do starej rodziny portugalskich osadników. John był dumny z Brazylii.

Papa zachnął się na te słowa:

– Jesteś w jednej czwartej Brytyjczykiem. W żyłach twojej matki płynie angielska krew. Dżentelmeni grywają w krykieta, John, więc ty też musisz się nauczyć. W szkole wszyscy będą w to grać. A w co, na Boga, bawiłeś się w domu? – Spojrzał na chłopca z nagłym zainteresowaniem. Nie podobało mu się opanowanie siostrzeńca.

Charles Fawcett był dziwnym człowiekiem, zaborczym i podejrzliwym nawet wówczas, gdy nie miał ku temu żadnych powodów. Chciał nad wszystkimi dominować. Wydawał się tak pewny siebie, tak pełen energii, że tylko nieliczni pojmowali, iż w rzeczywistości cierpiał z powodu kompleksów i poczucia niższości. Wiedziała o tym tylko jego siostra i, być może, żona. Później, kiedy wszystko ułożyło się nie tak, jak powinno, jego słabość dostrzegli i inni. Ale wtedy, latem 1950 roku, Charles Fawcett był u szczytu potęgi.

Tylko jedna osoba nie chciała mu się podporządkować: Eleanor, jego młodsza córka. I teraz ten chłopiec.

– Bawiłem się z indiańskimi dziećmi, sir. W dżungli. Wuj uśmiechnął się lekceważąco:

– Bawiliście się? A w co? W chowanego?

John zeszytniał, ale nadal mówił spokojnym głosem. Eleanor z zainteresowaniem obserwowała, jak kuzyn waży w dłoni mały nóż.

– Tak, w chowanego też. Najczęściej jednak graliśmy w życie i śmierć. – Zabrzmiało to jak charakterystyczna dla chłopców w tym wieku fanfaronada i Charles uśmiechnął się pobłaźliwie. A wtedy John wyrzucił ramię do przodu. Metaliczny błysk przeciął powietrze. Stalowe ostrze utkwilo w ciele jaszczurki, która ospale wędrowała skrajem tarasu. John spokojnym ruchem podniósł gada. Uśmiechnął się lekko, dumny i zawstydzony jednocześnie. Rzut był trudny, ale udało się.

– Jej mięso jest bardzo smaczne. Trzeba upiec je w żarze, owinięte w liście palmowe. Po kilku godzinach nie będzie śladu po pasożytach. Tata mnie tego nauczył. Powinien pan spróbować, sir – jeszcze nie skończył mówić, a już radość zgasła w jego oczach.

Charles skrzywił się z niesmakiem.

– Oddaj mi to! Nie, na Boga, nie tę cholerną jaszczurkę! Nóż! Oddaj natychmiast! – wyciągnął dłoń. John niechętnie podał mu finkę.

– A teraz rzuć to paskudztwo w krzaki jak najdalej od domu, zanim mrówki zejną się do padliny. – Chłopiec w milczeniu spełnił polecenie. Stali naprzeciw siebie, obserwując się uważnie. Charles przesunął okulary na czoło i zaczął masować nasadę nosa. John przełknął ślinę i opuścił wzrok.

– Tu nie dżungla, mój chłopcze. Postaramy się udowodnić ci to w najbliższym czasie. Chyba nie bardzo wiesz, w jaki sposób zachowywać się w cywilizowanym otoczeniu. Nie rozumiem, jak twoja matka mogła... Ale to nie czas i miejsce na takie rozważania. Oczekuję, że przebywając pod moim dachem, będziesz mi posłuszny. Nie życzę sobie w domu żadnych noży czy jakiegokolwiek innej broni. Jeśli chcesz polować, strzelaj, jak przystoi dżentelmenowi. Czy masz ich więcej? – wskazał na nóż. Eleanor spojrzała na kuzyna ciekawie. Zauważyła, że chłopiec pobladł. Z całych sił zacisnął usta i zaprzeczył ruchem głowy. Od razu wiedziała, że nie kłamał.

Charles Fawcett schował nóż i odwrócił się.

– Przykro mi, John, ale muszę przeszukać twój pokój. Nie wiesz, co to znaczy dyscyplina ani porządek, więc nie mogę ci zaufać.

Obrzucił przelotnym spojrzeniem kije do krykieta. Nie zauważył nawet błysku gniewu i wstydu w oczach chłopca.

– Najlepiej, żebyś od razu zacząj trening. Elly, kochanie, pokażesz mu, dobrze?

Ciężkim krokiem Charles Fawcett wszedł do domu. Na tarasie dwoje dzieci przyglądało się sobie niepewnie.

– Nie masz już więcej noży, prawda? – spytała po chwili Eleanor.

– Nie – usłyszała gorycz w jego głosie. – Ojciec nauczył mnie, że należy zawsze mówić prawdę. To według niego sprawa honoru. A dla mnie sprawą honoru jest radzić sobie bez niczyjej pomocy. Niestety, wuj nie ceni prawdopodobnie żadnej z tych cech.

– W dżungli jest zupełnie inaczej? – zagadnęła znów dziewczynka, ale nie dodała nic więcej, bo zobaczyła, że John stara się opanować płacz.

Kiedy teraz o tym myślała, zdawała sobie sprawę, jak śmieszny był wówczas; dziesięcioletek urażony i zły, próbujący zachowywać się niczym dorośli. Eleanor uśmiechnęła się. John zawsze mierzył wysoko. Wtedy jednak wiedziała tylko, że potraktowano go bardzo niesprawiedliwie i że papa okazał się niedobry. Na widok wewnętrznej walki kuzyna pochyliła głowę i odwróciła wzrok. Czuła, że policzki jej płoną.

– Pokażę ci, jak się w to gra – r – zaproponowała. John z obrzydzeniem spojrzał na sprzęt do krykieta.

– Czy muszę się tego nauczyć, żeby tu przetrwać? Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała twierdząco. Od razu wziął do ręki piłkę i kij.

– Dobrze. Zagrajmy w tę waszą grę.

Okazał się znakomitym graczem, ale to uświadomiła sobie dużo później. Zapisano go do szkoły św. Jerzego, gdzie grał w krykieta i w rugby, odmieniał łacińskie czasowniki,



odnajdywał na mapie dalekie kraje, bezbłędnie klasyfikował rośliny i zwierzęta, i bez wahania potrafił wymienić przyczyny, które doprowadziły do powstania Wielkiej Karty Praw i Swobód. Uczył się dobrze; początkowo, by zadowolić, później, gdy zrozumiał, że nigdy nic, co robi, nie spodoba się Charlesowi, by zirytować wuja. A ponieważ John był bardzo inteligentny i sprytny, nikt nie zorientował się, że kieruje nim nienawiść. Tylko Eleanor wiedziała i tylko ona starała się go powstrzymać. Nie mogła jednak mieć do niego pretensji. To papa zawinił.

Nie miała cienia wątpliwości, że ojciec nie lubił Johna od pierwszego dnia pobytu chłopca w Rio. Nie miała wątpliwości, bo ona i Isobel wymknęły się ze swoich pokoi późnym wieczorem, kiedy od dawna powinny już spać, i wsłuchiwały się w dobiegające z biblioteki głosy rodziców; szorstkie okrzyki ojca i łagodne, przytłumione szepty mamy.

Słuchały tak długo, aż zaczęły im ciążyć powieki, a poręcz schodów posłużyła raczej za poduszkę niż osłonę. Wtedy równie cicho jak przyszły, wróciły do sypialni, szepcząc coś do siebie.

Charles Fawcett nie miał wyjścia. Obiecał przyjąć i wychowywać syna siostry, a John nie zrobił niczego, co stanowiłoby pretekst, by odesłać go do domu. Poznał reguły gry i przestrzegał ich sumiennie. Nauczyciele wychwalali go pod niebiosa, osiągał świetne wyniki w sporcie, dla wuja i jego rodziny był uprzedzająco grzeczny i uprzejmy. Przyjaźnił się z miłymi chłopcami, z których najbardziej lubił Louisa Prestona, i wciągał dziewczynki oraz Henry'ego do wspólnej zabawy.

Kiedy już zadomowił się w mieście, okazał się pogodnym, dobrze ułożonym dzieckiem. Jego duże jasne oczy zdawały się prosić o akceptację. Charles miał związane ręce. Nie mógł pozbyć się chłopca, nie wychodząc przy tym na mściwego zazdrośnika. Tak więc John został, a wuj z każdym dniem nienawidził go coraz bardziej.

Fawcettowie przybyli do Brazylii na przełomie wieków. Dziadek Isobel i Eleanor, John Fawcett, zgromadził spory majątek, najpierw jako podróżnik, później jako przedsiębiorca. Ożenił się z Brazylijką portugalskiego pochodzenia i miał z nią dwoje dzieci, Charlesa i Elizabeth. Umarł na zawał w 1938 roku. Żona przeżyła go zaledwie o kilka lat.

Charles Fawcett urodził się w Rio de Janeiro. Od najwcześniejszej młodości fortuna mu sprzyjała. Rodzinne miasto stanowiło wiecznie chłonny, nienasycony rynek dla towarów, które Fawcettowie sprowadzali z Anglii. Dzięki udanym transakcjom handlowym Charles mógł zainwestować w tkalnię, przędzalnię i huty żelaza, a co najważniejsze, spłacić pożyczkę, którą jego ojciec w 1905 roku zaciągnął na rozbudowę linii kolejowej Lampedusca. Tym sposobem Lampedusca praktycznie stała się własnością Fawcettów.

Początkowo była to niezbyt ważna linia kolejowa, łącząca niewielki obszar uprawy kawy z wybrzeżem. Z czasem jednak, kiedy plantacje ogarniały coraz większe połacie w głębi lądu, już poza granicami stanu Sao Paulo, Charles doszedł do wniosku, że mała linia kolejowa może okazać się kopalnią pieniędzy, żyłą, którą „zielone złoto” popłynie ku wybrzeżu i dalej – do Europy i Stanów Zjednoczonych. Zyskawszy poparcie kilku brytyjskich udziałowców, zaciągnął pożyczkę rządową na sześć procent rocznie. Następnie uporządkował sprawy związane z różnicami w rozstawie szyn, z nieodpowiednim taborem kolejowym, a wreszcie z

nieudolnym kierownictwem i już pierwszego roku przedsięwzięcie okazało się nad wyraz zyskowe.

W ciągu następnych trzech lat linię przedłużono o sto siedemdziesiąt kilometrów. Sieć kolei rozrastała się, wdzierała wszędzie tam, gdzie królowała *terra roxa*, owa czerwonobrazowa gleba, szczególnie sprzyjająca uprawie kawy.

Fawcett nie miał powodów do narzekań: był młody, przystojny i bogaty, cieszył się dobrą opinią wśród brazylijskich przemysłowców. Kobiety szalały za nim, a siostra, Elizabeth, okazała się niezastąpioną towarzyszką. Czegóż więcej mógł chcieć?

Jednak w roku 1939 Elizabeth nagle postanowiła poślubić dużo starszego mężczyznę i zostawić brata jego własnemu losowi. Z tych odległych wydarzeń zrodziła się o wiele lat później nienawiść Charlesa do siostrzeńca. Miguel, czy jak uparcie nazywał go Fawcett, Michael Campos de Serra miał trzydzieści dwa lata, kiedy na pewnym przyjęciu poznał dwudziestojednoletnią Elizabeth. Był potomkiem *Quatrocentces*, portugalskiej szlachty, z której wywodzili się pierwsi osadnicy przybyli do Brazylii około 1500 roku. Przez wieki żyli oni, pracowali i żenili się tylko ze współziomkami. Rodzina Michaela mogła stanowić symbol upadku starej arystokracji, nie mającej już siły, by walczyć, egzystującej w przekonaniu, że wszystko się jakoś ułoży.

Ale sam Miguel Campos był młodym oficerem, ongiś członkiem *tenente*, ruchu zwalczającej korupcję w rządzie. Energii i ideałów wystarczyłoby mu dla dwóch. Elizabeth dostrzegła w nim cechy równie fascynującej jak osobowość brata i mimo sprzeciwów Charlesa przyjęła oświadczenia. Przecież, tłumaczyła, nadal będzie mieszkać w Rio, a zresztą Charles też się wkrótce ożeni, więc o co tyle krzyku?

Jakby dla potwierdzenia tych słów Charles niebawem poślubił Clarissę, dziewczynę, którą poznał podczas podróży do Anglii. Wkrótce też w obu rodzinach przyszły na świat dzieci.

Fawcett kupił pałac, siedzibę podupadłego rodu *Quatrocentces*, i ochrzcił go mianem Pałsio Lampedusca, od nazwy linii kolejowej, która przyniosła mu fortunę.

W 1944 Michaela wysłano do Włoch. Wrócił odmieniony. Nalegał, by rodzina przeniosła się na plantację jego rodziców do Mato Grosso w dorzeczu Parany. Rozgoryczony powszechnie panującą korupcją, nikomu już nie ufał. Brzydził się elitą wojskowych, blisko związanych z politykami, którzy tak bardzo go zawiedli, zawiedli jego kraj.

Charles od początku czuł się w domu Michaela niepożądanym gościem, a teraz na dodatek szwagier usiłował pozbawić go towarzystwa ukochanej siostry. W końcu Michael Campos de Serra dopiął swego. Wywiózł żonę i maleńkiego syna z Rio de Janeiro, najdalej jak tylko się dało. Elizabeth pożegnała się z bratem i posłuszna woli męża wyruszyła do Vila Serrista. Od tego czasu Charles już jej nie widział.

Za to przysłała mu Johna. Chłopiec był jednak zbyt inteligentny, o zbyt silnej osobowości, zbyt dobry we wszystkim co robił, by wuj mógł go polubić. A Eleanor, jego mała Eleanor, ukochana córeczka, która zajęła w sercu Fawcetta miejsce Elizabeth, tę lukę, której nigdy nie potrafiła wypełnić żona, Eleanor oddalała się od ojca. Syn Michaela mu ją zabierał. Charles nie mógł spać. Leżał z otwartymi oczami i śmiał się gorzko ze złośliwości

losu. I z każdym dniem bardziej nienawidził Johna.

Oczywiście, początkowo Eleanor nie zdawała sobie z tego sprawy. Zrozumiała wszystko dopiero, kiedy wydarzyła się Tragedia, gdy Johna odesłano do Anglii. Teraz jednak już wiedziała. Ona i Henry często rozmawiali na ten temat. Nawet Isobel przyznawała im rację, a Isobel uwielbiała papę, chociaż ciągle wymyślał jej od idiotek. Papie w ogóle nigdy nie przyszło do głowy, że mógłby istnieć na świecie ktoś dorównujący mu inteligencją, uświadomiła sobie nagle. Co jakiś czas krzyczał na wszystkich, ale zazwyczaj wyładowywał złość na Isobel i mamie. Z sardonicznym śmiechem wołał za nimi: „głupie krowy!” To bolało.

Piętnastoletnia Eleanor otworzyła oczy, rozejrzała się po kaplicy i usiadła. Założywszy nogę na nogę czekała, aż biskup rozpocznie kazanie. Lubiła go. Był to miły staruszek o niesfornej siwej czuprynie i uważnym, badawczym spojrzeniu. Przypominał jej dobrotliwego jastrzębia, wahającego się, czy warto ruszyć na łowy. Biskup otworzył Biblię i odchrząknął.

– Dziś, dziewczęta, przeczytamy, a następnie omówimy... – jego głos nikał w przytłumionym gwarze. – Proszę otworzyć Pismo Święte...

Uczennice nerwowo kartkowały swoje egzemplarze Biblii. Gdzie jest ten fragment, przed Łukaszem czy dalej? Kapłan podniósł głos. Zapanowała cisza. Eleanor ponownie zamknęła oczy i oddała się wspomnieniom.

Kiedy miała osiem lat, wymyślili zabawę w stado dzikich koni. Oczywiście, John był przywódcą, o ile dobrze pamiętała, czarnym ogierem ze srebrzystą plamą na piersi. Louis, jak zwykle, nie chciał się okazać gorszy. Uparł się, że i on także będzie ogierem, gniadoszem o białej grzywie i ogonie. Arabem, jak podkreślał, by poprawić sobie humor. Henry, najmłodszy spośród chłopców, równolatek Isobel, nie mógł nawet marzyć o takiej roli. Zdecydowanie jednak nie życzył sobie być wałachem. Z oburzeniem szeptał do Eleanor, że nie jest eunuchem z baśni tysiąca i jednej nocy. Został w końcu rocznym podjezdkiem. Isobel była kłaczą, tłustą kłaczą, jak złośliwie zauważył Louis. Obraziła się więc i odmówiła dalszego udziału w zabawie. Zmieniła zdanie dopiero, kiedy oddali jej swoje jabłka. Najmłodszą Eleanor mianowano małutkim źrebięciem.

Galopowali po wzgórzach za domem, niedaleko Morro de Santa Teresa. Bawili się tak niemal codziennie; przez kilka miesięcy. Rżeli i kopali, ciepły wiatr rozwiewał im grzywy. John pomagał swemu stadu w ucieczce przed bandą koniokradów. Czasami ratowali też inne konie, które przez pewien czas im towarzyszyły. Jednak nikt oprócz ich piątki naprawdę nie liczył się w tej zabawie.

Pewnego wyjątkowo gorącego popołudnia, kiedy każde uderzenie kopyt wzbijało kłęby kurzu, a suchy wiatr wysuszał gardła, John pogalopował stłumić zbrojne powstanie. Zniknął za wzgórzem, a wówczas Louis skorzystał z okazji, by sięgnąć po władzę.

Eleanor pamiętała uczucie niechęci, które ogarnęło ją, gdy musiała podporządkować się rozkazom. W oczach Louisa pojawiła się złość i upór. Wiatr kołysał koronami drzew. Odgłos uderzających o siebie gałęzi skojarzył się Eleanor z klekotaniem kości.

– Spętaj ją, Gideonie!

Wszyscy nosili „końskie” imiona. Henry, do którego skierowany był ten rozkaz, nie wiedział, co ma robić. Eleanor spojrzała na siostrę, licząc, że u niej znajdzie pomoc.

– Biała Strzało, ruszaj! Musimy zawiadornić Północ!

Isobel uśmiechnęła się jednak tylko, zalotnie potrząsając grzywą. Zerknęła kątem oka na Louisa i oznajmiła, że woli zostać z Goliatem.

Chłopak prychnął i rzucił się na Eleanor. W rękę trzymał gruby, poplątany sznurek, który zawsze nosił w kieszeni. Eleanor spojrzała na krótkie, mocne palce o połamanych paznokciach. Zrobiło jej się słabo. Wszystko wskazywało na to, że Louis wyrośnie na silnego mężczyznę. Nawet teraz był bardziej muskularny niż większość rówieśników. Eleanor wiedziała, że nie ma żadnych szans. Ogarnął ją strach.

Henry drżał. Na dziecinnej buzi malowały się wszystkie dręczące go wątpliwości. Błękitne oczy patrzyły błagalnie. Nie wiedział, czy powinien włączyć się do zabawy, czy raczej próbować ją przerwać. Inni nie zwracali na niego uwagi, nagle głusi i bezlitośni jak potrafią być tylko dzieci. Henry stał więc bez ruchu. Zareagował dopiero, kiedy Louis złapał Eleanor.

– To nie fair, Goliacie! Nie wolno pętać żrebaków.

Daremnie Eleanor wierzgała i wrywała się. Louis zawlókł ją do najbliższego drzewa i mocno zacisnął sznur na nadgarstkach. Krzyknęła z bólu, ale Louis i Isobel rzeli i chichotali, udając, że niczego nie słyszą.

Słońce zalewało wzgórza oślepiającym światłem. Powietrze było ciężkie od woni ziemi, kwiatów i ziół. Eleanor pamiętała każdą chwilę owego popołudnia. Sceny pełne kolorów i zapachów na zawsze wryły się w jej pamięć. Widziała wszystko jakby w zwolnionym tempie. Henry stał z boku. Wołał, żeby przestali, a wiatr rozwiewał mu włosy.

– Nie, Louis! To boli! – Zaczęła płakać. Po chwili szlochała głośno. Louis mocniej zacisnął pętlę i oplótł sznurek dookoła pnia.

Wcale nie chciał zrobić jej krzywdy, tłumaczył się Johnowi później, kiedy z nosa przestała mu już lecieć krew. Niestety nastąpiło, gdy zbyt mocno szarpnął za sznurek. Eleanor jęknęła. W nadgarstkach coś jej chrupnęło. Osunęła się na ziemię.

John podbiegł do nich właśnie w tej chwili. Bez słowa rzucił się na Louisa, powalił go na ziemię i z całej siły uderzył w twarz.

Isobel, poblądła i przerażona, uklękła koło siostry.

– Elly? Elly, to wcale nie jest śmieszne. Przestań się wygłupiać! Proszę!

John puścił Louisa. Wysupłał z kieszeni scyzoryk, jedyny nóż, na jaki pozwalał mu wuj, i mamrocząc coś wściekle pod nosem, cierpliwie piłował gruby sznur. Henry płakał na całe gardło. Kiedy John uwolnił kuzynkę, zobaczyli, że złamane nadgarstki zwisają zupełnie bezwładnie. Henry zaniósł się szlochem i, ciągle pochlipując, ruszył do domu po pomoc.

Papa spotkał ich w połowie drogi. John dźwigał zemdloną Eleanor. Louis co chwila przytykał chusteczkę do krwawiącego nosa. Henry usiłował wytłumaczyć, co się stało, ale z jego ust wydobywał się jedynie przerywany płaczem niewyraźny bełkot. Toteż Charles Fawcett usłyszał tylko imię znenawidzonego siostrzeńca. Wyrwał Johnowi bezwładne ciało Eleanor i biegiem ruszył do domu.

– Clarisso! Natychmiast wezwij lekarza! To Elly!

Dzieci pobiegły za nim. Później jak skarcone psiaki siedzieli na ławie przy drzwiach biblioteki, John najbliżej, Isobel najdalej od wejścia. Co chwila nerwowo zerkali na zamknięte drzwi.

Aż w końcu otworzyły się. John wstał. Charles Fawcett utkwiał w nim ciężki wzrok, jakby w ogóle nie zauważył pozostałych dzieci. Powoli uniósł dłoń i uderzył Johna w twarz. Cios był tak mocny, że chłopiec zachwiał się i stracił równowagę. Łzy popłynęły mu z oczu.

– Johnie Campos, jesteś diabłem wcielonym! Jak mogłeś zrobić coś takiego dziecku, które chodzi za tobą jak szczeniak! Brzydzę się tobą! Idź do swojego pokoju! A wy, Henry, Louis, biegnijcie do domu! I powiedzcie rodzicom, jakimi niedobrymi, brutalnymi, głupimi dziećmi okazaliście się dzisiaj! Isobel, marsz do pokoju. Nie chcę słyszeć żadnych szlochów. A tobą, młody człowieku, zaraz się zajmę!

Wrócił do biblioteki i zatrzasnął za sobą drzwi. John przez chwilę stał wyprostowany. Palce wuja zostawiły na jego twarzy czerwony ślad. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, chłopak odwrócił się na pięcie i pobiegł na górę. Louisa ogarnęła jeszcze większa rozpacz. Przecież to on zawinił. Błagalnie mruczał „Johnny, Johnny”, jakby przyjaciel mógł go usłyszeć i wybaczyć. Henry i Isobel rozplakali się ponownie. W końcu wszyscy spełnili rozkaz ojca. Kiedy Charles w towarzystwie lekarza wyszedł z biblioteki, hall był już pusty.

John nie próbował tłumaczyć, że to nie on zranił Eleanor. Ze stoickim spokojem zniósł lanie z ręki wuja. Charles wymierzał karę grubą laską. Uderzył wiele więcej razy, niż wymagałaby tego sprawiedliwość. Chłopiec jednak milczał. Poblądł tylko, z oczu płynęły mu łzy, ale nie pisnął ani słowa. Oczywiście, prawda szybko wyszła na jaw, bo Louis przyznał się swojemu ojcu, a Henry również opowiedział rodzicom przebieg wydarzeń. Tak więc jeszcze tego samego wieczoru wuj musiał przeprosić Johna.

Eleanor uważała, że złamane nadgarstki to niewysoka cena za to, że John został jej rycerzem. Na zawsze.

W zimie, kiedy ciągle padał deszcz, a duży dom był wilgotny i chłodny, bawili się na strychu. W olbrzymim pomieszczeniu poniewierały się nie używane już meble, wyblakłe parasolki z wyłamanymi drutami, zniszczone, brudne abażury, wydeptane chodniki. Po zakurzonych kątach leżały połamane skrzynki, podarte książki, a nawet olbrzymia głowa bizona, ponoć upolowanego przez dziadka (im jednak owo nadgryzione przez mole trofeum wydawało się prehistorycznym znaleziskiem). To był ich Sezam. Czarodziejskie umożliwiające wstęp zakłęcie zmieniało się co chwila, głównie na życzenie kapryśnej Isobel, która upierała się odgrywać rolę królowej Saby.

Na poddaszu odbywali sekretne uczty, złożone głównie z czekoladek i soku winogronowego. Tam bili pokłony przed egipskim faraonem i sułtanem Maroka, tam zawierali tajne pakt z arabskimi szejkami. Bawili się doskonale. Kiedyś Eleanor niechcący spowodowała pożar. Piekła właśnie bażanta dla strudzonych wędrowców Abrahama. Gdyby John i Louis nie zdławili ognia starymi zasłonami, poznaliby ciężką rękę papy. Na szczęście skończyło się na kilku przypalonych kosmykach włosów. Przysięgali dochować tajemnicy, podpisali nawet własną krwią cyrograf, ale jeszcze tego samego dnia Isobel i tak wszystko

wypaplała. Wówczas strych stał się miejscem zakazanym.

Wieczorem Eleanor płakała w poduszkę. John wyczuł jej rozpacz i przyszedł swoją małą przyjaciółkę pocieszyć. Wtulona w jego ramiona przestała szlochać i zasnęła. John zawsze był przy niej, ilekroć go potrzebowała, a ona nieodmiennie darzyła kuzyna uwielbieniem. Obserwując łączącą dzieci więź, Charles gorzkniał z roku na rok coraz bardziej.

Biskup zakończył kazanie niezrozumiałymi dla słuchaczek uwagami o *approfondimento* myśli filozoficznej i *aggiornamento* krytycyzmu. Uśmiechnął się ciepło do najmłodszych uczennic siedzących tuż pod amboną i ciężko opadł na krzesło. Tym samym nabożeństwo dobiegło końca. Dziewczęta rozchodziły się do klas. Isobel usiłowała jeszcze przestrzec Eleanor przed podejmowaniem zbyt pochopnych decyzji, ta jednak, zagłębiając się we wspomnieniach, nie zwracała uwagi na wysiłki siostry.

Podczas następnej lekcji Eleanor nadal bujała w obłokach.

Koleżanki przypuszczały, że się zakochała, a nauczyciele robili kąśliwe uwagi na temat jej pilności. Jediną odpowiedzią dziewczyny był nieobecny uśmiech. Zajęta analizowaniem przeszłości nie mogła zdobyć się na inną reakcję. Zdawała sobie sprawę, że wspomnienia niosą i radość, i ból. W końcu zmusiła pamięć do odtworzenia wydarzeń, które doprowadziły do Tragedii.

#### *Czerwiec 1954*

John stał wyprostowany. Ręce założył za plecy i czekał na odpowiedź. Rozejrzał się. Miał wrażenie, że obszerna biblioteka wuja jest większa niż zwykle. Był to przytulny pokój wyraźnie należący do mężczyzny. Pod ścianami piętrzyły się półki pełne książek, po które, co John musiał przyznać, wuj bardzo często sięgał. Chłopak kątem oka zerknął na Eleanor. Była spokojna. Żałował, że nie jest równie opanowany. Wuj chrząknął i podniósł do oczu list.

– Nie rozumiem... – zaczął cicho, ale już po chwili w jego głosie pojawiły się ostre, gniewne nuty. – Cóż, Elly, to twoja sprawa. Sama podejmiesz decyzję. Nie ukrywam, że nie podoba mi się pomysł wyjazdu tak daleko na północ. Według mnie to zbyt niebezpieczne. No, ale ja jestem przecież tylko twoim ojcem. I wiem, że dla ciebie moje życzenia się nie liczą. – Charles Fawcett miał irytujący zwyczaj budzenia w rozmówcy poczucia winy. Najczęściej robił to nieświadomie, dzisiaj jednak posłużył się tą metodą celowo. Opuścił wzrok na jasną główkę córki. Dziewczynka błagalnie wyciągnęła ręce.

– Papo, proszę. John się mną zaopiekuje, a na fazendzie jest przecież ciocia Elizabeth... Nigdy nie widziałam prawdziwej dżungli. Nie znam Mato Grosso. Przecież mam już jedenaście lat i jestem duża jak na swój wiek, prawda? Obiecuję, że będziemy bardzo ostrożni. Proszę, papo.

Taka uparta, taka nieustępliwa.

Od kilku dni krążyła wokół niego jak pies wystawiający zwierzynę. A teraz jeszcze ten list od Elizabeth. Były do siebie podobne; nie wypuszczały zdobyczy, jeśli tylko udało się wbić w nią zęby.

Eleanor nie patrzyła na Johna. Instynktownie wiedziała, że zdenerwowałoby to papę.

Złościło go wszystko, co John robił lub mówił. By okazać lekceważenie, ojciec zwykle uśmiechał się drwiąco, pozornie nie zwracając na chłopaka uwagi. Usłyszała, jak Isobel wchodzi do biblioteki, ale nie oderwała wzroku od oczu papy. Czowała, że jego opór słabnie.

– Cóż, chyba jakoś damy sobie radę bez ciebie. Co prawda wakacje to jedyny okres w ciągu roku, który mogłabyś spędzić z ojcem, ale na pewno będziesz się dobrze bawiła. – Tak jak oczekiwał, z twarzy Eleanor zniknął uśmiech. – Miałem zamiar zabrać cię na kilka dni do Sao Paulo, skoro jednak wolisz towarzystwo Johna... – Odchrząknął. Eleanor smutno opuściła głowę. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie było nieco więcej ciepła.

– Oczywiście, wróćcie na rozpoczęcie roku szkolnego, co do tego nie ma dwóch zdań. Zrozumiałeś, John? – na twarzy Charlesa Fawcetta pojawił się wyraz irytacji, kiedy chłopiec odpowiedział spokojnym, chłodnym spojrzeniem.

– Tak, sir. Zawsze wracam przed rozpoczęciem roku szkolnego. Mama wie, że muszę wyjechać najpóźniej dwudziestego siódmego. Dwudziestego szóstego są moje urodziny, więc chciałaby, żebym spędził je w domu. Kończę czternaście lat!

Zamilkł, nagle onieśmielony. Spodziewał się, że wuj coś powie, ale nie doczekał się żadnej reakcji, więc, utkwivszy wzrok w podłozde, mówił dalej:

– Proszę się nie martwić, sir. Zaopiekujemy się Eleanor i przywieziemy ją do domu na czas.

W tej chwili wyczuł raczej, niż zauważył obecność Isobel.

– Nie rozumiem, dlaczego ja też nie miałabym pojechać? Przecież nikt się już ode mnie nie zarazi – dziewczynka powstrzymała chęć, by z całej siły tupnąć. Eleanor odwróciła wzrok. Oto cała Isobel. Choć twarz Johna była równie poważna jak przedtem, w jego oczach błysnęła iskierka wesołości.

Jeszcze niedawno Isobel wcale nie chciała jechać na fazendę przekonana, że nie ma tam nic ciekawego, tylko parna dżungla, pola kawowe i pająki. Teraz jednak, kiedy zachorowała na wietrzną ospę, wydawało jej się, że wszystko i wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej. Eleanor zawsze się udaje. Wiadomo, jest pupilką papy. Isobel spojrzała na siostrę z ledwo skrywaną niechęcią.

– Czy nie mam racji, papo? Przecież już nie rozsiewam zarazków! Więc ja też mogę pojechać, prawda? – nie dawała za wygraną. Chociaż zaledwie dwunastoletnia, Isobel dawno odkryła tajniki kobiecej kokieterii i nie wahała się nabytą wiedzą posłużyć. Teraz przymilnie zerkąła na ojca zza opadającej na oczy grzywki.

Tyle włosów, a tak niewiele pod nimi, przemknęło Charlesowi przez myśl. Isobel jest taka sama jak Clarissa. Z niesmakiem potrząsnął głową.

– Nie, Isobel. Lekarz kazał ci odpoczywać i nie przemęczać się. Długa podróż to ostatnia rzecz, na jaką mama i ja wyrazilibyśmy zgodę. Jeśli będziesz szybko zdrowieć, zabiorę cię do Sao Paulo. Oczywiście pod warunkiem, że twój stan się poprawi. Idź już kochanie. Wracaj do łóżka, zanim się zdenerwuję.

Żałował, że nie potrafi także młodszej córki odesłać do sypialni. Nie podobało mu się to wszystko. Miał wrażenie, jakby to nie Elizabeth pisała list, który niedawno otrzymał. Sentymentalny,ikliwy, zupełnie nie w stylu siostry. Zastanawiał się, czy wreszcie pojęła, co

straciła wychodząc za tamtego mężczyznę. Tamten... Zmarszczył brwi na samo wspomnienie. Poczul w ustach metaliczny smak gniewu. Nigdy mu tego nie zapomni. Nigdy nie wybaczy. Nagle przypomniał sobie, że dwójka dzieci ciągle czeka na odpowiedź. Odetchnął głęboko.

– Więc dobrze. Ale twoja w tym głowa, żebyście wrócili cali i zdrowi, rozumiesz, John? – obrzucił chłopca chłodnym spojrzeniem, ciągle pełen gniewu. Syn tamtego mężczyzny. Jacy są do siebie podobni: obaj próbują ukraść to, co najdroższe jego sercu. Najpierw siostrę, teraz córkę. Przełknął ślinę, starając się zdławić falę nienawiści.

– Zawiadomię Elizabeth, że przyjeżdżacie. Oczywiście pod warunkiem, że wasze świadectwa mnie nie rozczarują. Eleanor, nie myślisz chyba, że pozwolę ci na taką wycieczkę, jeśli wcześniej nie przyłożysz się do nauki?

Roześmiała się radośnie. Z trudem powstrzymała chęć, by rzucić się Johnowi na szyję.

– Oczywiście, papo. – Pocałowała ojca w policzek. Nie potrafił opanować cisnącego się na usta uśmiechu. Jego mała dziewczynka. Isobel należała do matki; były do siebie zbyt podobne, by mogło być inaczej. Eleanor natomiast to wyjątkowe dziecko. Już teraz dużo inteligentniejsza od siostry, nie stosowała żadnych sztuczek, żeby wkraść się w jego łaski, jak to czyniła Isobel. Eleanor potrafiła z nim walczyć, otwarcie, niczym równy z równym, tak samo jak kiedyś Elizabeth.

Fawcett poklepał córkę po ramieniu, skinął głową Johnowi i wyszedł. Chłopiec odprowadził wzrokiem wyprostowaną sylwetkę, aż zniknęła za zakrętem korytarza. Dopiero wtedy odetchnął z ulgą.

– Z całą pewnością nie wstał dzisiaj prawą nogą. Nie wierzyłem, że pozwoli ci jechać. A ty? – Ciężko opadł na stojącą przy oknie sofę. Ostatnie promienie popołudniowego słońca padły na twarz chłopca.

Podobnie jak Fawcettowie był blondynem, lecz jego włosy miały odcień dużo jaśniejszy, a teraz w świetle zachodu lśniły srebrem. Eleanor wzruszyła ramionami i rzuciła się na kanapę obok kuzyna.

– Papa się martwi. Nie chciał być niegrzeczny. Jest jak kwoka, która chciałaby wszystkie swoje młode mieć na oku. Uważa, że jesteśmy zbyt hałaśliwi i rozbrykani. I że to ty dajesz zły przykład. Dzisiaj zabronił mi wspinać się na drzewa tylko dlatego, że to twoja ulubiona zabawa. Nie pozwolił mi skakać przez przeszkody, bo ty je ustawiłeś. Podobno za bardzo rozrabiamy. Papa pewnie myśli, że przez ciebie nie zostanę damą, kiedy dorosnę. Albo zdarzy się wypadek gorszy niż złamane nadgarstki. Boi się, że któreś z nas skręci kark. John, przecież wiesz, ojciec tak naprawdę nie chce sprawić ci przykrości. On po prostu już taki jest.

Usiłowała złagodzić ból, który odzwierciedlał się na twarzy chłopca, ilekroć wuj spoglądał na niego gniewnie. Gdy chodziło o Johna, Charles Fawcett był nieobliczalny. Im bardziej Eleanor starała się zbliżyć ich do siebie, tym bardziej ojciec odsuwał się.

Westchnęła głośno. John smutno oparł głowę na jej ramieniu. Przez chwilę walczył ze sobą, lecz w końcu wybuchnął potokiem gorzkich słów, które gotowały się w nim od dawna. Nie chciał, by ktokolwiek domyślił się, jak bardzo rani go brak akceptacji, maskował więc rozżalenie oskarżycielskim tonem:

– Elly, wiesz równie dobrze jak ja, że on nigdy mnie nie lubił. Jest zazdrosny. O ciebie. O



to, że spędzamy razem tak dużo czasu. Dopóki do was nie przyjechałem, należałaś do niego. Teraz nie przebywasz z nim zbyt często, więc uważa, że bardziej zależy ci na mnie niż na nim.

Podobne oskarżenie rzuciła Johnowi w twarz Isobel podczas ich ostatniej kłótni. Teraz, kiedy o tym myślał, musiał przyznać jej rację.

– Tak samo było z moją mamą – mówił dalej. – Wuj Charles nie chciał, żeby wyjechała. Była nie tylko jego siostrą, ale i najlepszą przyjaciółką. A potem zjawił się mój ojciec. Opowiadał mi kiedyś o tym. Wuj Charles nigdy mu nie wybaczył tego małżeństwa.

Odsunął się, by spojrzeć na Eleanor. Jak zwykle, zaintrygowało go ich podobieństwo. Oczywiście, była niższa, drobniejsza i bardzo ładna. John żywił nadzieję, że do niego słowo „ładny” zupełnie nie pasuje. Miał ostre, wyraźne rysy, podczas gdy buzia kuzynki pozostała po dziecinnemu okrągła. Poza tym jednak Eleanor mogłaby być jego rodzoną siostrą, a nawet bliźniaczką. Tylko oczy ich różniły; jej – zielone, z piwnymi cętkami, jego – jasne niebieskie.

Błękitne jak ocean, stwierdziła kiedyś Isobel rozmarzonym głosem, pretensjonalnie wydymając usta. Nie cierpiał u niej tej zalotnej maniery.

Eleanor uniosła podbródek jak zawsze, gdy była zła.

– Nie gadaj bzdur, John. Papa wcale nie jest zazdrosny! Co za głupota! Po prostu martwi się, że przez ciebie mogłabym wpaść w tarapaty. To wszystko dlatego, że jesteś ode mnie starszy. Twierdzi... – zawahała się, nie wiedząc, czy powinna powtórzyć słowa ojca. – To podobno nienaturalne, byśmy spędzali razem tyle czasu, skoro jest między nami trzy lata różnicy. Nienaturalne i niebezpieczne. Więc on się martwi, to wszystko.

Była zdenerwowana, a jednocześnie nie chciała dopuścić do siebie myśli o zazdrości ojca. John poczuł ukłucie bólu.

– Dobrze już, dobrze. Wobec tego przyjmujemy twoją wersję: wuj Charles kocha mnie jak syna, tylko że ja, dziki chłopak z dżungli, mam zły wpływ na jego córeczkę! Lepiej? Bardziej ci odpowiada? – Tak brzmi oficjalna wersja Fawcetta, dodał w myśli. Wersja, którą rozpowszechniał wśród znajomych, pozwalając, by jad powoli docierał i do Eleanor.

– Do cholery, John, od kiedy jesteś taki delikatny! Nie chciałam sprawić ci przykrości. Mam po prostu dość atmosfery ciągłej szamotaniny. Czasami wydaje mi się, że ilekroć rozmawiam z jednym z was, drugi oczekuje przeprosin! Nie mogę się rozdziwić, John. To nie fair – złość w jej głosie przeszła w znużenie i smutek.

John oparł dłoń na kolanie kuzynki i westchnął ciężko. Miała rację. To nie było fair.

– Nie przeklinaj – upomniął ją. Wuj Charles nie omieszkałby uznać takiego słownictwa za kolejny dowód złego wpływu siostrzeńca. Chłopak jednak wcale nie panował nad Eleanor. Dzięki Bogu, była inteligentna i wygadana. Rozbawiła go myśl o próbie okiełznania Elly. Od razu poprawił mu się humor.

– Najważniejsze, że pozwolił ci pojechać do Vila Serrista! To już za dziesięć dni! Mama będzie taka szczęśliwa! Od dawna chciała cię zaprosić. Kiedy widziałyście się po raz ostatni, miałaś chyba ze dwa latka i pewnie byłaś tłustym, łysym brzdącem.

– W przeciwieństwie do ciebie, który, oczywiście, urodziłeś się piękny i taki już zostałeś, co? – pokazała mu język. Roześmiał się.

– Oczywiście! – objął kuzynkę, próbując oprzeć się o nią wygodnie. Eleanor wierciła się jednak tak długo, aż puścił ją z westchnieniem. Przekomarzali się jeszcze wesoło przez jakiś czas. Potem zapanowała przyjazna cisza. Eleanor rozmyślała o dzikim mroku dżungli, próbowała wyobrazić sobie czekające tam na nią przygody. John wspominał dom. W milczeniu obserwowali, jak słońce znika za linią drzew w zachodniej części ogrodu. Niebo przybrało purpurowy odcień, a na jego tle zaczęły się sylwetki nietoperzy.

Nie usłyszeli otwieranych drzwi i nie zauważyli, kiedy do biblioteki wsunął się służący. Honorio pracował u Fawcettów od wielu lat. Niedawno przekroczył czterdziestkę, dzieci jednak miały go za sędziwego starca, bo krótkie ciemne włosy przyprószyła mu już siwizna.

Cicho podszedł do stolika. Na tle okna widział sylwetki dzieci. Siedziały tak blisko siebie, że wyglądały jak jakiś mityczny dwugłowy stwór. Służący zapalił lampę. Świat za oknem roztopił się w czerni, za to pokój zakwitł kolorami. Eleanor nerwowo zamrugła.

– O, dobry wieczór, Honório. Nie wiedziałam, że już tak późno. Czy mama wróciła? – mówiła po portugalsku, automatycznie przeszedłszy na drugi używany w domu język. Papa nalegał, by rozmawiali tylko po angielsku. Przecież są Anglikami. Z domieszką krwi brazylijskiej, zwykła wówczas dopowiadać mama ze złośliwym uśmieszkiem. Eleanor zastanawiała się czasem, czy aby mama specjalnie nie drażni się z ojcem.

– Nie, *senhorita* Eleanor. Ale *senhor* Fawcett polecił mi dopilnować, by panienska zajęła się lekcjami. A *senhor* John ma nakarmić psy. – Honório mówił spokojnym, pewnym głosem człowieka, który znał ich od kołyski i nieraz miał okazję złoić im skórę.

Eleanor posłuchała od razu. Zsunęła się z kanapy, uśmiechem pożegnała Johna i pobiegła na górę. Chłopiec jednak zwlekał jeszcze przez chwilę, dopóki nie zniknęła za drzwiami.

– Honório, pół godziny temu zdawało mi się, że słyszę odjeżdżający samochód. *Senhora* Fawcetta nie będzie dzisiaj na kolacji, prawda? – zapytał niby od niechcienia.

Twarz służącego nie wyrażała żadnych uczuć.

– To prawda, *senhor* John. Ale przed wyjściem *senhor* Fawcett kazał mi dopilnować, byście nie zapomnieli o waszych obowiązkach. Do zmierzchu mogliście się bawić. A teraz trzeba nakarmić psy. Niedobrze kazać im czekać. One, w przeciwieństwie do panicza, dostają jeść tylko raz dziennie.

– Dobrze, dobrze. Nie kwestionuję ich potrzeb, Honório – choć zirytowany, John odpowiadał spokojnym głosem. Doskonale wiedział, kiedy karmi się psy, bo robił to od trzech lat. – Zastanawiałem się tylko, kto dziś zasiądzie do kolacji.

I miałem nadzieję, że wuja nie będzie wśród obecnych, dodał w myśli.

Wstał. Już teraz, jako czternastolatek, był wyższy od Honório. Chodził jednak zawsze troszkę zgarbiony, jakby chciał lepiej słyszeć swoich rozmówców. A dokładnie rzecz biorąc – małą Eleanor. Służący nie przypuszczał, by Johna obchodził ktokolwiek inny, choć chłopak starał się to ukryć.

Brazylijczyk cofnął się o krok. *Senhor* Fawcett stwierdził, że jego siostrzeniec to łobuz i gagatek. Nie ma więc o czym dyskutować. Wszyscy domownicy powinni mieć chłopca na oku. Honório nie bardzo wiedział, w jaki sposób John zapracował na tak złą opinię, bo według niego był to miły chłopak. Obserwował jednak jego i *senhoritę* Eleanor zgodnie z

poleceniem *senhora* Fawcetta.

John uśmiechnął się wyniośle, starając się nie okazywać, że zachowanie służącego zabolowało go i upokorzyło. W jego głosie zabrzmiały drwiące nuty.

– Honório, nie zapomnij o drugiej lampie. Któż może wiedzieć, jakie diabły czają się w mroku? – rzucił i ruszył do wyjścia, gwizdząc indiańską melodię, od której służącemu przeszły ciarki po plecach. Nie chciał przecież, by chłopiec czuł się jak wyrzutek. Wykonywał tylko polecenia *senhora* Fawcetta.

Kolację podano w małej jadalni, nazywanej tak w odróżnieniu od pokoju jadalnego, gdzie zasiadali, gdy Charles spędzał wieczór w domu, i którego Clarissa Fawcett nie znosiła z całego serca. Nie lubiła twardych drewnianych krzeseł i długiego ciemnego stołu. Nie cierpiała śnieżnobiałych, sztywno wykrochmalonych serwetek. Drażniło ją ostre światło i posępne portrety na ścianach. Szczególnie jednak nienawidziła ciszy; dzieci bały się przy stole rozmawiać, jej zaś nie przychodziło do głowy nic na tyle dowcipnego, by mogła zainteresować męża. Tak więc, ilekroć Charles jadł poza domem, rodzina zbierała się w małej jadalni.

Tam, wśród pomalowanych na wesoły żółty kolor ścian, przy okrągłym stole z orzecha, na którym leżały kolorowe serwetki, pozwalała dzieciom pochłaniać ogromne ilości lodów i kruszyć na barwny portugalski dywan. Objadali się słodyczami i rozwalali na krzesłach, do czego Charles nigdy by nie dopuścił. Kłócili się, kto ma zjeść ostatnią czekoladkę, dyskutowali nad słusznością decyzji, wstawali od stołu, kiedy chcieli, rzucali zmiętymi w kulki serwetkami. A Clarissa śmiała się, klaskała w dłonie i wydawała sprawiedliwe wyroki. Kolacje w małej jadalni stanowiły uroczą odmianę po ponurych codziennych posiłkach. Dzieci uwielbiały za nie Clarissę.

Ona sama pochodziła z pełnej ciepła i wyrozumiałości rodziny. Jedyńaczka, córka nie najmłodszych już rodziców, dorastała otoczona rozpieszczającymi krewnymi, przyjaciółmi i służbą. Uwierzyła, że takie będzie również dalsze życie – bez jednej chmurki na złotym horyzoncie.

Ale kiedy Clarissa skończyła dziewiętnaście lat, a jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym, zrozumiała, że świat wcale nie jest taki piękny, jak się przedtem wydawało. Nagle otoczyli ją ponurzy, zawzięci mężczyźni, którzy wymachując jakimiś świstkami papieru, żądali zwrotu pieniędzy. Krewni zniknęli gdzieś, przyjaciele przestali ją poznawać na ulicy.

Musiało upłynąć trochę czasu, zanim zdała sobie sprawę, iż rodzice przyjmowali tak wielu gości, z takim rozmachem i przez tyle lat, że praktycznie nie zostawili żadnych pieniędzy.

Clarissa nie należała do osób wybitnie inteligentnych, nie była jednak wcale głupia, choć jej mąż nigdy nie pojmował tej różnicy. Bardzo szybko zrozumiała, że jeśli chce nadal prowadzić styl życia, do którego przywykła, ma tylko jedno wyjście – poślubić człowieka bogatego. Musi więc zacząć uczęszczać na bale i przyjęcia, stwierdziła. Podjąwszy tę decyzję, usiadła za biurkiem i skreśliła dziesiątki kliwych listów do szkolnych przyjaciółek. Nie

upłynął miesiąc, a była już w Londynie. Resztki pieniędzy wydała na stroje, fryzjera i kosmetyki. Postawiła wszystko na jedną kartę i wygrała. Choć kawalerowie z angielskiego towarzystwa nie zwrócili na nią większej uwagi (nie była ani bogata, ani oszałamiająco piękna), jednak udało się jej oczarować młodego i, jak mówiono, bajecznie bogatego Brazylijczyka. Uśmiechała się zalotnie, trzepotała rzęsami i pozwalała wierzyć, że jest dużo lepszą partią, niż była w istocie. Zanim skończyło się lato, została panią Charlesową Fawcett z Rio de Janeiro. A zanim rok dobiegł końca, mąż miał jej serdecznie dosyć.

Clarissie nie sprawiało to wielkiej różnicy. Lubiła swoje nowe nazwisko. Brzmiało, jej zdaniem, o wiele ładniej niż pospolite Clarissa Crewe. Podobało jej się także życie w Rio, odpowiadała spokojna egzystencja wśród pogodnych domowników.

Ale Clarissa potrafiła być równie uparta jak Charles. Uśmiechała się do męża, stroiła w suknie i klejnoty, które jej kupował, ignorowała zaś jego wybuchy gniewu i złośliwe uwagi.

Charles szukał ucieczki w pracy, jak też w towarzystwie innych, mniej „pospolitych” kobiet, o czym nie omieszczał żony poinformować. Jego potrzeby intelektualne zaspokajała siostra. Spędzał z Elizabeth całe dni, ilekroć Michaela nie było na horyzoncie. Nie pragnął żadnego innego towarzystwa. Narodziny Isobel niewiele w jego życiu zmieniły.

Od najmłodszych lat Isobel bardziej obchodził kolor sukienki niż fakt, że jej kotek udusił się, bo zbyt mocno zawiązała mu kokardkę.

Charles uważał, że Clarissa nadmiernie rozpieszcza małą. Była to jednak tylko marginalna obserwacja. Naprawdę niewiele go to obchodziło. Kiedy Elizabeth wyjechała z mężem i synem do Vila Serrista, zupełnie zobojętniał wobec rodziny.

A potem całkiem niespodziewanie zwrócił uwagę na młodszą córkę.

Eleanor odpowiedziała mu uczuciem. Starła się sprawiać ojcu przyjemności. Błyskawicznie zawojowała jego serce. Charles nie dostrzegał, że starsze dziecko także się do niego garnie. Zauważył tylko, że Isobel odpycha i szczypie Eleanor, kiedy jest przekonana, że nikt ich nie widzi. Karał ją więc, a Eleanor brał na kolana i zamykali się w bibliotece. Clarissa i Isobel zostawały za drzwiami.

Clarissa robiła wszystko, by wynagrodzić Isobel oziębłość ojca. Obsypywała małą prezentami, tuliła i wymyślała pieśczośliwe zdrobnienia. Dziewczynka jednak ignorowała te wysiłki. Chciała tego, co miała Eleanor: papy.

Isobel była tak pochłonięta próbami zdobycia ojca, że przez – dłuższy czas nie zauważyła więzi łączącej siostrę z Johnem. Nie zwracała uwagi na wesoły śmiech kuzyna, któremu Eleanor opowiadała wydarzenia całego dnia. Nie wiedziała, że John uczy Elly jeździć konno i zachwyca się jej odwagą, że razem zbierają kwiaty dla Clarissy. Nie dostrzegała, jak przyjaźń Eleanor z kuzynem z dnia na dzień pogłębia się i krzepnie. Biedna Isobel; kiedy myśli wszystkich zaprzętał John, ona ciągle kokietowała papę.

Charles jednak widział, co się dzieje, i jego wzrok, utkwiony w lekko przygarbionym chłopcu, stawał się coraz bardziej ponury. John tymczasem beztróska pływał z Eleanor łódką po jeziorze i uczył dziewczynkę budować domki z kart. W oczach córki Charles dostrzegał ten sam zachwyt i oddanie, z którymi kiedyś patrzyła na ojca, ale teraz uczucia te były przeznaczone dla Johna. To do kuzyna biegła z każdym skaleczeniem, to za niego modliła się

co wieczór. Z dnia na dzień Charles tracił humor.

Minęło sporo czasu, zanim Isobel zrozumiała, jak ważny stał się John dla Eleanor. Skoro siostrze tak bardzo zależy na Johnie, ona, Isobel, zdobędzie go. Ten pomysł przyszedł jej do głowy nagle, jakby mimo woli. Świadoma swego uroku, przedwcześnie dojrzała dziewczynka zaczęła kokietować kuzyna. I jej, i koleżankom, które zaprosiła na urodziny, John wydawał się bardzo przystojny. Taki inteligentny, myślała, przynosi zawsze najlepsze oceny na świadectwach. Louis i Henry także uważali go za świetnego kompana. Miał tyle wspaniałych, szalonych pomysłów. Chociaż musiała przyznać, iż w ich wyniku szli spać bez kolacji. Potrafi odebrać Johna Eleanor; wiedziała, że potrafi.

Uśmiechała się więc do niego, wodziła za nim omdlewającym spojrzeniem spod zmrużonych powiek, siadała koło niego w kościele, w jadalni, na tarasie. Zachwycała się kolorem jego oczu i włosów. I uśmiechała się jeszcze szerzej, a John nadal ją lekcewał. Zupełnie jak papa. Isobel nienawidziła za to Eleanor z całego serca.

Wkrótce dziewczynka zauważyła, że papie nie podoba się bliskość Johna i Eleanor. Był zazdrosny. Podpowiedziała jej to własna zazdrość.

Isobel od razu dostrzegła swoją szansę. Jeśli tylko postara się odrobinę, papa będzie jej. Zniechęci się do Elly i zajmie wyłącznie kochającą córką. Kogo obchodzi jakiś tam John?

Pochylona nad resztkami czekoladowego budyniu Isobel co chwila zerknęła na Johna. Prawie nie tknął deseru – zbyt sycący – wyjaśnił Clarissie przepraszającym tonem. Ciotka uśmiechnęła się lekko.

– Isobel, kochanie, ty na pewno masz ochotę na dokładkę budyniu, prawda?

Zapytana westchnęła ciężko. Jeśli w dalszym ciągu będzie zjadała wszystkie smakołyki podsuwane jej przez matkę, zepsuje sobie figurę. Trzeba zacząć uważać na linię. Ale jeszcze nie teraz. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze. Nie, jeszcze nie teraz.

– A ty, Eleanor? – Clarissa traktowała dziewczynki sprawiedliwie, nigdy żadnej nie faworyzując. Obsesyjna miłość męża do Eleanor nie zmieniła jej stosunku do młodszej córeczki. Przecież to nie wina Elly, że jest inteligentniejsza i odważniejsza, a co za tym idzie bardziej wartościowa w oczach ojca niż Isobel. Clarissa żałowała tylko, że Charles nie może zdobyć się na więcej bezstronności w szafowaniu uczuciami.

Była także świadoma niechęci, jaką mąż od początku darzył siedzącego naprzeciw niej chłopca. Współczuła Johnowi i starała się zastąpić mu matkę. Uśmiechał się, obserwując jej wysiłki. Lubił ciotkę, ale zachowywał dystans.

Clarissa nie przejmowała się jego chłodem. John nie był typem maminsynka. Elizabeth wychowywała go na niezależnego człowieka. Elizabeth, przez którą pierwsze lata małżeństwa Fawcettów okazały się tak nieznośnie trudne! Elizabeth, w której towarzystwie Clarissa czuła się głupią gęsią. Elizabeth, której więź z Charlesem nie dawała młodej żonie spać po nocach. Ach, jakaż była szczęśliwa, kiedy szwagierka wyjechała z Rio!

Nic dziwnego, że John, syn takiej kobiety przejawiał niezależny charakter. Clarissie wystarczyło więc, że przynosił jej kwiaty i drobne upominki, które sam zrobił w szkole. Przez lata trzymała w szufladzie glinianą maskę. Schowała ją głęboko, by nie patrzeć na ohydny, wykrzywioną twarz. Oblicze demona, objaśnił jej John, symbol głosu wołającej o pomoc

Brazylii. Takich bzdur można się było spodziewać po synu Elizabeth. No, ale chłopak z pewnością z tego wyrośnie.

## Rozdział drugi

*Mato Grosso*  
*Sierpień 1954*

Spomiędzy palców Eleanor uciekała woda. Mknęli ku środkowi rzeki, gdzie prąd był najsilniejszy. Ich czółno tak bardzo przypominało olbrzymiego jaszczura, że na początku Eleanor nie chciała do niego wsiąść. Od pracowników faktorii nad Paraną dowiedziała się, że to po prostu wydrążony pień drzewa zwanego krokodylowym. W istocie, łódka – ciemny, podłużny kształt, groźny, a zarazem tajemniczy – kojarzyła się dziewczynce z potężnym gadem.

Kanoe zręcznie wymijało kamienie ukryte pod powierzchnią wody, zielonkawej, chłodnej, pachnącej ziemią i deszczem.

Była to przyjemna odmiana po ciężkich oparach unoszących się wokół faktorii. Dżungla podkradała się tam pod same zabudowania, w powietrzu mieszały się mdląco słodkie aromaty kwiatów i cuchnące wyziewy bagien. Orchidee i lilie kwitły obok stosów źle wyprawionych skór. Eleanor mogłaby przysiąc, że nawet stary faktor śmierdział, jakby jego ciało również przesiąkło odorem zgnilizny.

Odeszła na sam koniec drewnianego pomostu i dopiero wtedy odważyła się głęboko odetchnąć. Zafascynowana pochłaniała wzrokiem płynącą leniwie Parane. W oddali zniknął już prom, który ich tu przywiózł. Popołudniową ciszę przerwała pożegnalna syrena.

Dziewczyńce został w uszach ten dźwięk, ostatni sygnał cywilizacji. Od tej chwili otoczyła ją dżungla, dziewicza puszcza pełna indiańskich ścieżek. A do Vila Serrista zostało jeszcze dobrych kilka godzin drogi, jak mówił John.

Eleanor dotąd nie wyobrażała sobie, że jakakolwiek podróż może trwać tak długo. Najpierw pociąg powiózł ich przez *serrę* i wyżyny do Uberlandii.

Tam pożegnali się z papą, Louisem i Henrym. Obaj chłopcy nie ukrywali, że bardzo chcieliby popływać nocnym promem, ale tylko Honório wszedł z Elly i Johnem na pokład.

Eleanor była zachwycona pomysłem Henry'ego, który zabrał ze sobą mapę z zaznaczoną trasą podróży. Żałowała, że przyjaciel nie mógł pojechać do Vila Serrista. Henry bowiem zrobiłby wszystko, byle tylko sprawić jej przyjemność. W pociągu Louis i John zniknęli na kilka godzin, żeby się pobawić, czy jak to ujął Charles Fawcett – narobić szkód. Henry jednak został z nią i tatusiem. Grali w karty, rozwiązywali krzyżówki i niecierpliwie wypatrywali końca uciążliwej podróży.

Na promie Eleanor jadła z Johnem kolację przy stole kapitańskim. Kapitan, który uważał się za starego przyjaciela chłopca, bawił dzieci mrozącymi krew w żyłach opowieściami. Choć John uprzedzał ją, że nie powinna wierzyć w ani jedno słowo, poczuła ciarki na plecach. Ze zgrozą słuchała o okropnościach, jakich dopuszczają się dzicy Indianie, o tym jak porzucają związane ofiary na mrowiskach lub żywcem przypiekają, a potem zjadają nieszczęśników. Dziewczynka pobladła i zacisnęła wargi w grymasie, który John widywał na

jej twarzy, ilekroć pozwolił sobie na zbyt głupie żarty. Chciał przerwać rozmowę, wyprowadził więc kuzynkę na pokład.

W milczeniu wpatrywali się w czarną toń lśniąca w świetle księżyca. Potem wrócili do salonu i do późnej nocy grali w karty z dwójką innych pasażerów, starszym małżeństwem, powracającym na swoją fazendę. Dawno już minęła godzina, o której Eleanor zazwyczaj chodziła spać. Dlatego też, gdy w drzwiach stanął Honório i kazał jej natychmiast iść do łóżka, bez słowa sprzeciwu ruszyła do kabiny. Służący czekał, aż dziewczynka zamknie za sobą drzwi. Dopiero wtedy wrócił do siebie.

Kiedy tylko ucichły jego kroki, Eleanor wymknęła się na korytarz i zastukała do Johna. W jej kajucie śmierdzi, wyjaśniła i wślizgnęła się do łóżka Johna. Zasnęła, zanim zdążył zaprotestować choćby jednym słowem. Chłopiec wiedział, że kłamała. Bała się po prostu zostać sama. Nie mógł jej jednak za to winić. Miała przecież dopiero jedenaście lat.

Wreszcie dotarli do faktorii, gdzie umówieni byli z Elizabeth. Dotychczas John zawsze podróżował sam, ale tym razem Charles uparł się. Jeśli Eleanor ma jechać tak daleko, musi towarzyszyć jej ktoś odpowiedzialny, czego, zdaniem Fawcetta, nie można powiedzieć o Johnie.

Czekali więc na Elizabeth. Honório zabijał czas, rzeźbiąc coś w kawałku drewna. Dzieci biegały po całej faktorii i wypatrywały czólen. Wreszcie do brzegu przybiła łódź, ale Elizabeth w niej nie było. Honório awanturował się i tupał nogą dokładnie tak, jak robiłby to jego pan. Jednak Indianie nie zwracali na niego uwagi. Ze stoickim spokojem powtarzali, że *senhora* nie mogła przybyć. Tak, w kanoe jest miejsce tylko dla dzieci. Honório musi poczekać na prom i wracać. Eleanor zrobiło się żal oddanego opiekuna.

Starła się mu poprawić jakoś humor. Pomachała do niego, kiedy odpływali, ale służący siedział załamany i nie zareagował na pożegnalny gest.

Eleanor przechyliła się przez burtę, żeby zerknąć na swoje odbicie, i ponownie musnęła palcami powierzchnię wody.

– Uważaj, możesz stracić dłoń – ostrzegł ją John pozornie niedbałym tonem. Spojrzała zdziwiona.

– Dlaczego? Przecież nie ma tu śruby, a siedzę daleko od wiosł – ruchem głowy wskazała Indianina o imieniu Hatchet. Klęczał na dziobie wyprostowany i milczący. Na rufie za Johnem stał Monkey. Jego ponurą twarz pokrywała żółta farba, na której tajemniczo czerniły się magiczne znaki mające ułagodzić bóstwa rzeki. Uśmiechał się szeroko.

John oparł się o stos bagaży.

– Piranie – rzucił. Nie zdziwiło go niedowierzenie malujące się w oczach kuzynki. Nie liczył, że mu uwierzy. Mimo to wyjęła rękę z wody i wyprostowała się. John odetchnął z ulgą. Wiedział, do czego zdolna jest drapieżna ryba. Piranie atakują każde stworzenie, jeśli tylko poczują krew. Ich ofiarą najczęściej pada bydło, które o świcie schodzi do wodopoju. Kilka ukąszeń insektów czy zadrapań wystarcza, by zwabić ławicę drapieżników. Nagły ruch setki czarnych migocących trójkącików i po chwili na brzegu zostaje szkielet, oślepiąco biały w mdłym świetle poranka. John znał wielu Indian, którzy przez moment nieuwagi stracili palec, dłoń czy stopę. Postanowił nie spuszczać Eleanor z oka.



Czasami słońcu udawało się przedrzeć przez gęste korony drzew. Niespodziewany blask zmuszał dzieci do mrużenia powiek. Indianie przestawali wiosłować i rozkoszowali się złocistym światłem. Potem rzeka unosiła ich dalej, a zielona woda znowu stawała się niemal czarna.

Eleanor była zmęczona. Położyła się na dnie łodzi i obserwowała wysokie wierzchołki drzew i splątane węzły lian. Bawiły ją skrzekliwe nawoływania długonogich małp, które z wrzaskiem uciekały, kiedy kanoe bezszelestnie prześlizgiwało się w pobliżu ich siedzib. Pod sklepieniem z liści przelatywały błękitne ary i jaskrawozielone papugi. Zewsząd dobiegały dziewczynkę odgłosy dżungli. Słyszała cykady, niski, rytmiczny rechot żab drzewnych i dziwny, dźwięczny śpiew ptaków. Na wodzie kołysały się różowe lilie.

Zmierzch ochłodził powietrze. Z drzew kapały obficie krople rosy, zmieszane z trującymi roślinnymi sokami. John zarzucił więc kurtkę na głowę i ramiona Eleanor, żeby nie poparzyły jej skóry.

Było już niemal zupełnie ciemno, kiedy wpłynęli do zatoczki. Kanoe przybiło do brzegu. Ostatnie promienie zachodzącego słońca nadawały wodzie bursztynowy połysk.

Wsparta na ramieniu Johna Eleanor wyszła na brzeg. Pochyliła głowę, przechodząc pod gałęziami, z których zwisał czarny mech. I wtedy zauważyła wysoką, szczupłą kobietę.

– To mama – w głosie Johna zabrzmiała radość. Ojca nie było nigdzie widać, ale mama, jak zwykle ubrana w białą koszulę, bryczesy i wysokie buty, stała na skarpie i machała do nich na powitanie. Odpowiedział tym samym gestem. Kątem oka dostrzegł, że Eleanor również nieśmiało skinęła ręką. Nie знаła ciotki Elizabeth, więc czuła się niepewnie.

Chłopak zamknął matkę w uścisku silnych ramion i podniósł, co sprawiło, że wybuchnęła śmiechem.

– John, kochanie, nie musisz mnie dusić! Och, tak się cieszę, że cię widzę! Bardzo urosłeś! Ale czemu jesteś taki chudy? Przykro mi, że nie mogłam odebrać was z faktorii. Biedny Charles, bardzo by się martwił. A przecież Monkey i Hatchet radzą sobie z rzeką dużo lepiej niż ja. Nie mieliście żadnych kłopotów, prawda? – bezładny potok słów płynął nieprzerwanie. Eleanor nagle zatęskniła za swoją matką. Widziała, jak John przecząco potrząsa głową, tym samym lekceważąc obawy Honória. A potem Hatchet i Monkey mijali ją obładowani bagażami, więc jeśli nie chciała zsunąć się do wody, musiała podejść bliżej do ciotki.

– Ciotki Elizabeth? – wyciągnęła nieśmiało rękę.

Elizabeth zobaczyła miniaturkę syna: dziewczynkę o długich jasnych włosach, poważnych zielonych oczach i pełnych ustach. Mała stała sztywno wyprostowana, jakby znajdowały się nie w środku dżungli, ale w salonie w Rio. Elizabeth uściśnęła drobną dłoń i uśmiechnęła się serdecznie.

– Witaj, Eleanor. Cieszę się, że spędzisz z nami wakacje. Ty i John jesteście podobni niczym dwie krople wody! Ciekawe, czy Charles to zauważył? – zamilkła na chwilę. Z bólem serca uświadomiła sobie, jak bardzo Eleanor przypomina ją samą sprzed kilkunastu lat. To wiele tłumaczyło. Charles znalazł wreszcie kogoś, kto mu zastąpił siostrę. Znała go jak nikt inny, znała jego zaborczy, egoistyczny charakter. Musiała walczyć, żeby się od niego

uwolnić, uciec od roli, którą jej wyznaczył. Eleanor to jej doskonała dublerka.

Elizabeth wreszcie zrozumiała, co miał na myśli John, twierdząc, że wuj go nienawidzi. Dotychczas uważała to za dziecinne fantazje, ale teraz musiała spojrzeć na sytuację z innej strony. Może powinna pomyśleć o innym rozwiązaniu. Wrócić do Rio... ?

Dziewczynka powiedziała coś grzecznie. Elizabeth z trudem koncentrowała się na jej słowach. Było to uprzejme powitanie.

Uśmiechnęła się więc, podejmując rozmowę:

– Co słyhać u mamy? Jak tam Isobel? Mam nadzieję, że czuje się już dużo lepiej?

Eleanor odetchnęła z ulgą. Przez chwilę obawiała się, że ciotka zechce otoczyć ją troskliwą opieką, podobnie jak jej mama usiłowała matkować Johnowi.

– Tak, jest już prawie zdrowa, ale papa nie pozwolił jej z nami pojechać. Nie powinna się jeszcze męczyć.

– I pewnie dlatego przedwczoraj przez cały dzień w ogóle nie zsiadała z konia, co? – Johnowi wyrwała się cierpka uwaga.

Elizabeth nie była pewna, czy podobają jej się zmiany, które zauważyła w synu. John dorastał, dojrzewał nie tylko fizycznie, lecz także intelektualnie i duchowo. Może to wpływ Charlesa. Charles...

– Och, Isobel i tak by się tu nie podobało – pośpieszyła z wyjaśnieniem Eleanor. – Ona się boi owadów, węży i innych stworzeń. Zwariowałyby, tyle tu różnych zwierząt.

– A co powiesz o sobie? – zaskoczył ją zgryźliwy komentarz Johna. Eleanor zarumieniła się. To przecież zdarzyło się tylko raz, pomyślała, a pająk był duży, obrzydliwy i spadł prosto na kolana. Nic nie potrafiła poradzić na to, że się wówczas przeraziła. Przecież mógł być jadowity. Oczy dziewczynki zalśniły podejrzenie.

John jednak zauważył jej reakcję i pocieszająco otoczył kuzynkę ramieniem.

– Tylko żartowałem, głuptasku. Podniósł wzrok na matkę.

– Wiesz, to był nocny pająk, taki wielki czarny z czerwonymi plamami. Pewnie tkął sieć na wieczorne łowy i źle wymierzył, bo nagle wylądował na kolanach Eleanor. Co to był za wrzask! Jestem przekonany, że nigdy nie słyszałaś niczego podobnego. Dżungla zresztą też nie, bo gdy Elly zamilkła, wszędzie zapanowała cisza jak makiem zasiał – uśmiechnął się. – A poważnie, Eleanor zachowała się bardzo dzielnie. Gdyby to na mnie spadł taki włośchaty potwór, pewnie wyróciłbym kanoe!

– To okropne, moi kochani. Co zrobiłeś z pajakiem, John? Wrzuciłeś go do wody? – Elizabeth objęła dzieci i ruszyli w stronę domu.

– John wziął go do ręki i wyrzucił za burtę. Faj! Nie wiem, jak mógł go dotknąć! Na szczęście zrobił to tak szybko, że zdążyłam tylko krzyknąć. Gdyby nie John, nie wiem, co by się stało – teraz, kiedy pochwalił jej odwagę, mogła przyznać się do strachu.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie był jadowity, tylko obrzydliwy. Chodźmy do domu. Jednym ruchem dłoni zabił krążącego koło twarzy komara. Elizabeth uśmiechnęła się do siebie.

– Gdzie ojciec? Nie słyszał muszli?

Przez całą drogę do domu John czekał na dźwięk zapowiadający przybycie gości. Ilekroć

Indianin trzymający straż nad rzeką widział zbliżające się łodzie, dał w muszlę. Jeden długi sygnał, a po nim jeden krótki oznaczały przyjaciół, dwa krótkie – obcych, trzy – wrogów. Nadal zdarzały się napady Indian, którzy mordowali zatrudnionych na fazendach współplemieńców. John wzdrygnął się na tę myśl. Trzy krótkie dźwięki wiązały się dla niego z okropnymi wspomnieniami.

Przybycie dzieci poprzedził jednak sygnał „przyjaciele” i dlatego mama wyszła nad rzekę. Ale gdzie jest ojciec?

Chłopiec powtórzył pytanie. W głosie matki wyczuł konsternację, co jeszcze bardziej zbiło go z tropu. Odpowiedziała sztucznie pogodnym głosem:

– Och, pracuje. Zresztą wiedział, że po was wyjdę.

Coś było nie tak. Zawsze gdy wracał z Rio, oboje rodzice oczekiwali go na brzegu. To ich rodzinny rytuał. Dlaczego mama zachowuje się tak, jakby nieobecność ojca była czymś normalnym? Może nie chce o tym mówić w obecności Eleanor? Zerknął na nią zaniepokojony, ale Elizabeth udała, że nie dostrzega spojrzenia syna. Paplała o planach na najbliższe dni. Czy nie cudownie byłoby na przykład urządzić piknik przy wodospadzie?

Wspinali się na wzgórze, ale John co chwila zwalniał kroku. Rozglądał się, licząc, że gdzieś dostrzeże ojca. Nie było go jednak widać wśród porastających czerwone pagórki krzewów kawy. Czarna ściana drzew napierała na fazendę ze wszystkich stron. Na środku polany wyrosło kilka budynków. Światła z okien największego z nich zalewały ogród jasnym strumieniem. Od zachodu szeptał i bulgotał dopływ Parany, którym tu dotarli. Ze wszystkich pozostałych stron otaczała ich dżungla. Tak, to było Mato Grosso, O Sertao, dzika, nieznająca cywilizacji kraina, niezgłębiona puszcza. John odetchnął głęboko, szczęśliwy, że wrócił do domu.

Na polach nie było już robotników. Gdzieniedzie tylko pojedyncze postacie uwijały się, dźwigając ciężkie kosze. Jutro rozłożą podobne do czereśni owoce na ubitej ziemi, żeby wyschły. Potem oddzielią poczerńiałą lupinę od ziaren w młynie, zwanym *monjolo*. Zbiory kawy trwały od maja do września; właśnie dobiegały końca. John nieuważnie słuchał, jak Elizabeth objaśnia skomplikowany proces produkcji kawy. Ojca nadal nigdzie nie było widać.

Przyśpieszył kroku, by dogonić matkę i kuzynkę. Teraz, kiedy od domu dzieliło ich zaledwie kilka metrów, Eleanor spostrzegła, że budynek nie jest biały, jak wyglądał z daleka w ciemnościach, lecz koloru jasnego drewna. Gościnnie otwarte na oścież solidne frontowe drzwi wyciosano z jednego pnia. Światło lamp nadawało werandzie przytulny charakter. Okna okalały ciężkie, masywne okiennice, teraz rozsunięte na boki. W każdej z nich Eleanor zauważyła niewielki okrągły otwór. Już otwierała usta, żeby zapytać o przeznaczenie dziwnych dziur, kiedy na progu stanął wuj Michael. Eleanor wstrzymała oddech. John i Elizabeth zamilkli; on przerażony tym, co zobaczył, ona – zawstydzona.

Miguel Campos de Serra był pijany.

Brązowe zacieki potu na koszuli, nie ogolona twarz, przekrwione oczy – wszystko to wskazywało, że od dawna już jest w takim stanie. Toczył dokoła nieprzytomnym spojrzeniem. Bił od niego zapach *chicha*, miejscowej wódki z trzciny cukrowej i juki.

Wyprostował się z trudem. Dłonie kurczowo zacisnął na framudze drzwi.

– Witaj, John. Czekałem na twój przyjazd, John. Słyszałem dźwięk muszli. Właśnie wychodziłem ci na spotkanie, John – z nieprzytomnym uśmiechem powtarzał imię syna, jakby to był talizman, który sprawi, że wszystko znów będzie w porządku.

Chłopiec spuścił głowę.

– Dzień dobry, tato.

– Cieszę się, że wróciłeś do domu, synu. Dużo się tu zmieniło, i to zmieniło na lepsze, John. Nie uwierzysz własnym oczom. Na pewno zechcesz zostać, zamiast wracać do szkoły. Chyba powinniśmy taką ewentualność rozważyć? No, co ty na to, John? – zaśmiał się, ale brak reakcji ze strony chłopca wyraźnie zepsuł mu humor. Zirytowany rozejrzał się uważnie. Nagle zniknął gdzieś pijany poczciwiec. Jego miejsce zajął niebezpieczny awanturnik, który szuka, na kim mógłby wyładować swój gniew.

– O, a to kto? – patrzył na Eleanor. – Kto to jest, do cholery, co? Nikogo nie zapraszałem!

Wskazywał dziewczynkę palcem oślepiająco białym wśród ciemności. Wściekle krzywiąc twarz, uczynił niepewny krok naprzód. Eleanor przytuliła się do Johna. Chłopiec objął ją uspokajającym gestem.

Elizabeth w końcu odzyskała głos, choć nie mogła zapanować nad jego drżeniem.

– To nasza bratanica, Michael. Eleanor Fawcett, pamiętasz? W ciągu roku szkolnego John mieszka u jej rodziców, a teraz Eleanor przyjechała do nas z wizytą. To kuzynka Johna, Eleanor – powtarzała, chcąc upewnić się, że wyjaśnienia docierają do męża.

Miguel zmarszczył brwi i zwilżył wargi nabrzmiałym językiem. Elizabeth nie dała mu dojść do słowa.

– Kochany, chyba nie czujesz się najlepiej. Powinieneś się położyć. Chciała wziąć go pod rękę, ale wyrwał się gwałtownie.

– Nie mów mi, co mam robić, ty głupia dziwko! Jasne? I powiedz swojemu cholernemu bratu, jaśnie wielmożnemu panu Charlesowi Fawcettowi, że ma natychmiast zabrać swojego bachora z mojej ziemi. Powiedz... – tu Michael popełnił błąd; puścił framugę. Nagle poczuł, że cały świat wiruje i leci w dół.

– Tato! Tato! – John rzucił się do ojca i zdążył jeszcze podtrzymać osuwające się na ziemię bezwładne ciało. Upadli na drewniane deski werandy. Elizabeth pstryknęła palcami. Natychmiast pojawili się dwaj służący. Olbrzym o nieruchomej twarzy pokrytej czarną i czerwoną farbą oraz chudzielec w starych spodniach unieśli Michaela bez wysiłku i zniknęli w głębi domu. Nie czekali nawet na polecenia Elizabeth. Było oczywiste, że nie po raz pierwszy wykonują to zadanie.

Po ich odejściu zapanowała cisza. John, oparty o balustradę, wpatrywał się w mrok. Elizabeth nie ruszała się. Eleanor nigdy nie widziała bardziej udręczonej twarzy.

– John, kochanie, tak mi przykro. Miałam nadzieję, że uda mi się doprowadzić go do jakiegoś takiego porządku przed waszym przyjazdem. Zazwyczaj pilnuje się, żebyś go nie zobaczył w takim stanie. Ale prawda i tak w końcu musiała wyjść na jaw.

Mówiła zupełnie beznamiętnie, co tylko podkreślało tragiczne znaczenie słów. Przerwała i odetchnęła głęboko.

– Eleanor, mam nadzieję, że nie przejęłaś się tym, co powiedział mój mąż. Wujek

Michael jest... chory. Nie pamięta wielu rzeczy. Nawet kim są bliscy mu ludzie. Wcale nie chciał na ciebie krzyczeć. Jutro już będzie zdrow, obiecuję. I zapomni o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. Mam nadzieję, że ty również.

Przez chwilę białe dłonie unosiły się w mroku nocy, by zaraz opaść bezradnie. Elizabeth poszła zobaczyć, jak się czuje mąż.

Eleanor nie wiedziała, co ma robić. John nie ruszał się z miejsca. W końcu podeszła do niego i delikatnie dotknęła ramienia chłopca.

– John? Wszystko w porządku? John?

Kiedy się odwrócił, na jego policzkach dostrzegła ślady łez.

– Jasne, wszystko w porządku – rzucił z goryczą. Objęła go z całej siły. Sięgała mu zaledwie do piersi. John odwzajemnił jej uścisk. Stali tak przez dłuższą chwilę.

– Ale miałaś powitanie, co? Przykro mi, Elly. Tato zazwyczaj tak się nie zachowuje. To znaczy, z tego co wiem... Przykro mi, że na ciebie nakrzyczał – drżenie w jego głosie zdradziło Eleanor, że jest mu nie tylko przykro; John był upokorzony. Wszystko nagle zmieniło się. Ojciec, a nawet matka wydali mu się zupełnie obcymi ludźmi. W ciągu kilku chwil jego świat rozpadł się na kawałki. Chłopiec nie wiedział jeszcze, jak ma sobie z tym problemem poradzić.

Eleanor przytuliła kuzyna mocniej.

– Nie przejmuj się. To nie twoja wina. Jutro wszystko się ułoży. I pamiętaj, że jestem przy tobie.

– Wiem – szepnął obejmując dziewczynkę. – Tylko na ciebie liczę.

Później zaprowadził ją do pokoju gościnnego, a sam udał się na poszukiwanie rodziców.

Eleanor nie dowiedziała się, o czym rozmawiał z matką, ale kiedy zszedł na kolację, był już dużo spokojniejszy. Podczas jego nieobecności dziewczynka zdążyła się umyć. Wystarczyło zdjąć brudne ubranie i splukać z siebie kurz podróży, by od razu poczuła się lepiej.

Służąca Indianka przyniosła dzbanek letniej wody. Kobieta pojawiła się bezszelestnie. Uśmiechała się nieśmiało i kłaniała co chwila, aż Eleanor zakręciło się w głowie i kazała jej przestać. Indianka błysnęła białymi zębami i wskazując na siebie, powtórzyła kilka razy „Rosa”, po czym wybiegła.

Pokój gościnny było to obszerne wnętrze, w którym królowało wielkie drewniane łóżko. Śnieżnobiała moskitiera i pachnące prześcieradła kusily, by przytulić głowę do poduszki i zapomnieć o kolacji. Eleanor zwalczyła jednak senność. Zanim John zapukał do drzwi, zdążyła już zmienić ubranie i na nowo zapleść włosy.

– To ja! Jesteś gotowa?

Otworzyła kuzynowi i niecierpliwym gestem zaprosiła do środka. Chłopiec także umył się i przebrał. Teraz miał na sobie białą koszulę i bawełniane spodnie. Wilgotne włosy przylegały do czaszki, tylko kilka niesfornych kosmyków opadało na zaróżowioną od szorowania twarz.

– Rozmawiałaś z rodzicami? Pytałeś, co się dzieje? – nie mogła opanować ciekawości.

Unikał jej wzroku.

– Elly, mojemu ojcu nie potrafię zadawać takich pytań. Poza tym nadal jest... chory. A mama... – zamilkł na chwilę, ale zaraz podjął urwany wątek. – Mama mówi, że tato pije prawie przez cały rok. Bardzo przeżywa, że oficerowie chcą odsunąć od władzy jego idola, prezydenta Vargasa. Opowiedziałem ci przecież, co mój ojciec myśli na temat armii. Uważa, że korupcja i brak kompetencji dowódców kosztowały jego przyjaciół życie. Od czasu wojny nie ufa elitom wojskowym. Ostatnio podobno nie odchodzi od radiodbiornika. Ciągłe też wysyła ludzi na inne fazendy, żeby dowiedzieć się, czy nie dotarły tam jakieś nowe wieści. Zamartwia się sytuacją polityczną, ale... mama mówi, że wkrótce poczuje się lepiej.

Ku jego uldze przyjaciółka rozumiała go w pół słowa. Nie musiał zagłębiać się w szczegóły. Eleanor wystarczająco często słuchała wywodów Charlesa Fawcetta, by wiedzieć, że konflikt między prezydentem Vargasem a kołami wojskowymi nasila się z dnia na dzień. Coraz częściej mówiono o przewidywanym puczu.

– No dobrze, ale przecież polityka nie ma żadnego wpływu na sytuację w Vila Serrista ani na życie twojego ojca – zauważyła. \*

John westchnął ciężko.

– Nie ma, chyba że ojciec do tego dopuści.

W myślach ponownie przeżywał rozmowę z matką. Ojciec zawsze był idealistą, tłumaczyła, ale ostatnio stał się tak zgorzkniały, że zaczęła się o niego obawiać. Coraz częściej zdarzało się, że nie pamiętał, co robił, gdzie był. Usiłowała przekonać go, że powinien skonsultować się z lekarzem, ale Michael nie chciał nawet o tym słyszeć. Ilekroć poruszała ten temat, wpadał w szal i zniknął, by polować albo pić całymi godzinami.

John spojrzął na kuzynkę. W uszach ciągle brzmiały mu ostatnie słowa matki: „aż do następnego razu. To przez *chicha*. Alkohol odbiera rozum”. Nie był w stanie powtórzyć tego Eleanor, więc tylko wzruszył ramionami.

Dziewczynka słuchała zasepiona.

– Może powinnam porozmawiać z tatusiem? Poprosić go, żeby napisał do wuja Michaela?

Jej zapał znikł, kiedy dostrzegła ponury grymas na twarzy przyjaciela. Chłopiec zdecydowanie potrząsnął głową.

– Nie! Twój ojciec nie ma tu nic do gadania. Nie piśniesz ani słowa. Zrozumiałaś? – tak mocno ścisnął jej ramię, że Eleanor aż jęknęła.

Energicznie pokiwała głową.

– Dobrze, już dobrze! John, przestań. To boli. Puścił ją i speszony cofnął się o krok.

– Nie powiem nic, ale co ciocia Liz robi, jeśli... – zawahała się – ... jeśli twój tato naprawdę zachoruje?

– Da sobie radę. Jest silna. Zmieńmy temat, dobrze? Nie chcę więcej o tym rozmawiać.

– W porządku. Nie zależy mi na tym. – Eleanor rozcierała zaczerwienione miejsce na ramieniu. – Nie to nie – dodała po chwili i wyszła z pokoju. John wzruszył ramionami.

W jadalni Elizabeth samotnie oczekiwała ich przy stole. Także i ona się przebrała. Kwiecista sukienka zwisała jej luźno z ramion, jakby uszyto ją dla tęższej osoby. Najwyraźniej Elizabeth ostatnio schudła.

Eleanor rozejrzała się ciekawie. Ściany pokoju pokrywała boazeria z czerwonego drewna. Okna pozostawiono uchylone. Wieczorna bryza wprawiała zawieszoną nad stołem lampę naftową w monotony ruch. Na białym lnianym obrusie pyszniła się zastawa Wedgwooda, błyszcząły srebrne sztucce i kryształowe kieliszki. Pośrodku w dużym wazonie stały nieznane Eleanor kremoworóżowe kwiaty. Ich słodki zapach wypełniał całe wnętrze.

– O, jesteście wreszcie. Już chciałam wysłać kogoś na górę. Eleanor, usiądź tu, po mojej prawej stronie, a ty, John, po lewej. Nie ma sensu, żebyście krzyczeli do siebie przez cały stół, prawda? Pedro? – spojrzała na Indianina z żółtymi piórami tkwiącymi w małżowinie ucha, który najwyraźniej pełnił funkcję lokaja. – Zaczynamy. Niech Rosa zostawi kolację dla *Patrdo*. Może później zechce coś zjeść.

Tak oto już pierwszego wieczoru nauczyli się obywać bez Michaela.

Nigdy o nim nie rozmawiali, nie wspominali jego choroby, nie dziwili się częstej nieobecności. A on, gdy się pojawiał w czasie posiłków, najczęściej milczał. Zaciskał mocno usta i zirytowanym wzrokiem lustrował stół. Jeśli się odzywał, to wyłącznie do żony albo do służącego. Czasami wpadał w histerycznie dobry humor. Wtedy zaśmiewał się z własnych dowcipów, walił dużą dłońią w blat i oczekiwał, że wszyscy będą bawić się równie dobrze jak pan domu. Oddychali z ulgą, ilekroć nie schodził do jadalni.

Pierwszego wieczora podano zupełną żółwiową, delikatnie przyprawioną rybę, pieczone kuropatwy, warzywa, sałatkę z bananów, papai, winogron, pomarańcz i słonych orzechów cashew oraz zapiekane owoce drzewa chlebowego. Michael musi mieć większy wybór dań mięsnych, takich jak pieczeń z tapira czy dziczyzna w sosie winnym. Kiedy jest sama z Johnem, jadają skromnie, wyjaśniła bratanicy Elizabeth. Eleanor ze zdziwienia zamrugnęła powiekami. Skromnie? Była zaskoczona obfitością i smakiem potraw. Gdyby nie niektóre egzotyczne składniki, mogłyby to być dania serwowane na przyjęciu dla dygnitarzy w Rio! A ona wyobrażała sobie gotowanie na ognisku i noclegi w hamaku...

Po posiłku udali się wraz z Elizabeth do salonu. Usiedli na wysokich krzesłach. Rozmawiali o życiu w mieście i rozważali szanse rozwoju osadnictwa w dżungli. Przez otwarte drzwi uciekały pod sklepienie drzew dźwięki Liszta i Brahmsa. Wielkie brązowe ćmy, czarne chrabąszcze, srebrzyste muszki, komary i olbrzymia, długa na trzy cale modliszka krążyły, tańczyły i bzycały nad stojącą na stole lampą. Gdy zanadto zbliżyły się do płomienia, skwierczały nagle i martwe opadały na blat.

Co jakiś czas Elizabeth pstrykała palcami. Na ten znak służący zmniejszał płomień lampy i uprzątał owadzie cmentarzysko. Eleanor śledziła ów cykl z niezdrową fascynacją. Ilekroć odwracała wzrok od płomienia, przed oczyma wirowały jej czerwone plamy. Elizabeth tymczasem mówiła dalej. Nie zwracając uwagi na ginące owady, rozprawiała o teatrze i literaturze. Dzieci uśmiechały się i tłumili ziewanie.

Eleanor dobrze spała pierwszej nocy. Była wyczerpana dwudniową podróżą, dzikim pięknem dżungli, spotkaniem z pajakiem i nieoczekiwane wrogim powitaniem, jakie zgotował jej wuj Michael. Zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Nie obudziły jej ani ryki jaguara, ani psie szczekanie, które przeszło w pisk, kiedy zwierzę ginęło w paszczy

drapieżnika.

John natomiast usłyszał śmiertelny skowyt. Wiedział, że nie ma sensu iść na poszukiwanie psa, ale nie mógł po prostu zapomnieć i zasnąć. Podobnie jak nie potrafił przestać myśleć o ojcu. Chłopiec leżał na plecach, wsłuchany w ciemność. Z listwy nad jego głową spływała moskitiera. Nocna bryza wprawiała ją w ruch, ale nie była w stanie przeniknąć przez gęstą siatkę. Pocił się w upalnym powietrzu, wyczerpany do ostatnich granic, lecz sen nie nadchodził.

Koło drugiej nad ranem zaczęła się ulewa. Strumienie wody wpadały przez otwarte drzwi, tworząc kałuże na drewnianej podłodze. John rozsunał moskitierę i zerwał się z łóżka. Wyszedł na werandę. Nad jego głową grzmiało i błyskało. Kiedy tak stał wpatrzony w mrok, błyskawica oświetliła krajobraz oślepiająco jasnym błyskiem. Korony drzew głęboką czernią fantastycznych kształtów odcinały się na tle białego światła. Zielonożółte iskierki wyładowań elektrycznych tańczyły nad dżunglą, wyglądały jak olbrzymie orchidee. Powietrze przesycone było zapachem dymu i ozonu.

Strumienie wody zalewały chłopcu twarz, ale nie ruszał się z miejsca, zafascynowany pierwotną siłą burzy. Nagle ogarnęła go dzika radość. Zbiegł po schodkach werandy, nie zwracając uwagi na mokre drewno pod stopami.

Gdzieś z daleka, z ciemności płynął ku niemu przeciągły, monotony śpiew, przypominający dziecięcy chór. Melodia to nasilała się, to słabła, w zależności od porywów wiatru. Urzekała i niepokoiła rytmem, zapadała w uszy i w serce, kusiała. Uczynił kolejny krok naprzód.

– John – mimo ryku burzy usłyszał cichy, niski głos. Odwrócił się, wiedząc, kogo zobaczy.

– Myślałem, że śpisz.

– *Tigre* mnie obudził. Którego psa dopadł? – ojciec wydawał się już trzeźwy. Powrócił człowiek, którego John dobrze znał. Agresywny nieznajomy gdzieś zniknął.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może Daisy, to chyba ona czekała. Od dawna on tu grasuje?

– Owszem. Mniej więcej dwa tygodnie temu porwał mi najdroższego buhaja. Jutro na drania zapoluję. Chcesz mi towarzyszyć?

Ojciec znał odpowiedź. Zapytał, bo chciał zobaczyć, jak w oczach chłopca pojawia się błysk radości, a usta rozciągają się w szerokim uśmiechu. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– Tak, ojcie – odpowiedź była cicha i obojętna. – Jeśli sobie życzysz, pójdę z tobą.

Ciążąca cisza przedłużała się. Deszcz przybrał na sile. Ojciec i syn byli już przemoknięci do suchej nitki. John wzdrygnął się.

– Co to za dźwięk?

Michael Campos de Serra przez chwilę wsłuchiwał się w nocną dżunglę.

– Zazwyczaj śpisz o tej porze. To Indianie. Modlą się do Pawy, Złotego Człowieka, Syna Bożego. W ten sposób oddają bałwochwalczą cześć chrześcijańskiemu Bogu. Nigdy nie rozumieją katolicyzmu, więc po prostu stworzyli wspólny kult z chrześcijaństwa i swoich dawnych wierzeń. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Trzymaj się z daleka od ich kaplicy.



Nazywają ją „Domem Snów”. Ty czy ja nie mamy tam czego szukać.

Poklepał syna po ramieniu.

– No, czas do łóżka. Do zobaczenia przy śniadaniu. Musimy się zastanowić, jak dopaść tego drania jaguara.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Minął jednakże drzwi swojej sypialni. Zanim zniknął za rogiem, z ciemności wyłoniła się drobna postać. Sylwetka ojca i cień z mroku zlały się w jedno. John usłyszał niski, stłumiony śmiech. Jeszcze przez chwilę chłopiec wsłuchiwał się w odległy śpiew. Wreszcie wrócił do łóżka. Zasnął natychmiast.

Obudził się, gdy słońce stało już wysoko na niebie. Przez otwarte drzwi wpadały do pokoju pogodne głosy. Wyszedł na werandę, mrużąc oczy przed ostrym światłem dnia. Zobaczył matkę i Eleanor z koszykami w dłoniach. Obie uśmiechnęły się na widok rozczochranego chłopca w opadających szortach.

– Strasznie długo spałeś. Ciocia Elizabeth i ja wstałyśmy już dawno! – Dziewczynka pokazała palcem na obrastające werandę ze wszystkich stron krzewy hibiskusa. – Nazbieramy tych kwiatów i ustroimy nimi dom. Chcesz gałązkę?

Już, już miała uciąć łądygę, kiedy „kwiaty” wzbily się w powietrze różową chmurą. Po chwili motyle, błyszczące w słońcu jak osrebrzone rosą płatki, rozpierzchnęły się na wietrze. Eleanor aż jęknęła z zachwytu i biegiem ruszyła za kolorową chmurą.

– To miłe dziecko, prawda? Dobrze, że nie jesteś tam zupełnie sam. – Elizabeth z uśmiechem obserwowała rozbawioną dziewczynkę.

Skinął głową.

– Bardzo miłe. Ale wcale nie takie dziecko, przynajmniej nie zawsze – zamilkł zaskoczony własnymi słowami. „Nie takie dziecko”. Co chciał przez to powiedzieć? Chyba podświadomie pojmował, że jego mała przyjaciółka wczoraj wieczorem miała rację? Ojciec potrzebował pomocy. Jeśli jej nie uzyska, może...

Słowa matki wyrwały go z zadumy.

– Ojciec na ciebie czeka. Podobno wybieracie się na polowanie? Pośpiesz się, bo inaczej wyruszy bez ciebie. I, John... Bądź ostrożny, dobrze? Żadnego niepotrzebnego ryzyka, proszę. Nie obchodzi mnie, że jaguar pożera nasze zwierzęta. Nie chcę, żeby zabił ciebie – pocałowała syna w czoło. Odpowiedział jej uśmiechem odbijającym się w niesamowicie błękitnych oczach, oczach tak przenikliwych, że Elizabeth często czuła się nieswojo pod ich badawczym spojrzeniem.

– Nie martw się, mamó. Będę uważał na siebie... i na tatę – odpowiedział, odgadując jej niemą prośbę. – Mamó? Jeśli chodzi o tatę... – zawahał się. Nie wiedział, jak ująć w słowa to, co widział ostatniej nocy. Jak spytać, czy ojciec sypia z Indiankami? Odchrząknął i potrząsnął głową. – Nie, już nic.

Elizabeth ostrożnie układała kwiaty w koszyku. John z pewnością dopilnuje, żeby obaj z Michaeliem wrócili cali i zdrowi. Tylko Indianie znali dżunglę lepiej niż jej syn. No, ale też chłopiec dorastał pod ich opieką. Pokazywali mu, jak przeżyć, jak zdobyć żywność, jak leczyć za pomocą nie znanych białym ludziom roślin. Uczyli go znajdować tajemne szlaki w pozornie nieprzeniknionym gąszczu i tłumaczyli, jak omijać śmiertelne pułapki. Przed

wszystkim jednak nauczyli go zabijać. Dzielili się z Johnem wiedzą i doświadczeniem, jakby był jednym z nich, a on okazał się pojętnym uczniem. Elizabeth wzdrygnęła się. Nic mu nie będzie. Ani jemu, ani Michaelowi.

Eleanor wracała do niej w radosnych podskokach.

– Ciociu Elizabeth, złapałam motylka! Zobacz!

Z rozjaśnioną buzią ostrożnie rozchyliła dłonie. Różowy motyl wzbił się w powietrze. Przez chwilę unosił się nad ich głowami, po czym zniknął w głębi ogrodu. Eleanor odprowadziła go tęsknym spojrzeniem.

– Chciałam ci go pokazać! Wiem, że nie mogłabym go zatrzymać. Umarłby, gdybym włożyła go do pudełka.

Elizabeth pogłaskała małą po głowie. Doskonale wiedziała, co dziewczynka czuje. Tyle tylko, że ona miała na myśli nie motyla, lecz własnego syna.

– Eleanor, pomyślałam sobie, że może urządziłybyśmy piknik przy wodospadzie? Nie byłam tam od wieków. Mężczyźni idą na polowanie, więc w domu będzie nudno.

Dziewczynka uniosła głowę. Sądziła, że w związku z pojawieniem się drapieżnika plany ulegną zmianie.

– Ojej, a mogłybyśmy, ciociu? To znaczy, czy to bezpieczne? Przecież jeszcze go nie zastrzelili?

– Kochanie, tak wysoko nic nam nie grozi. Jaguar ukrywa się tutaj, na nizinie. Mając pod bokiem fazendę, nie musiał wyruszać na dalekie łowy. Zresztą nasi ludzie już go wytropili. Wczoraj w nocy zabił psa, więc nie ruszy się z kryjówki aż do zmroku – uśmiechnęła się, żeby rozwiać ostatnie obawy małej. – Eleanor, dżungla jest dzika i niebezpieczna, ale jeśli będziesz się przejmować każdym cieniem, nie wychylisz nosa za drzwi. A ja nie lubię zrezygnować z mojej wolności – oznajmiła stanowczo.

Eleanor bez przekonania pokiwała głową. Wyprawa do wodospadu okazała się bardzo męczącą eskapadą. Wąziutka ścieżka co chwilę ginęła wśród bujnej roślinności i Monkey musiał wyrąbywać przejście maczetą. Upał panował nie do wytrzymania. Otoczeni zieloną ścianą prawie nie mieli czym oddychać. Eleanor dreptała za ciotką, uważnie patrząc pod nogi. Bała się, że mogłaby nadepnąć na węża albo jadowitego pająka. Była żywym, pełnym energii dzieckiem, ale nigdy nie stanęła wobec tak męczącej próby. Teraz kiedy wlokła się noga za nogą, z podziwem obserwowała sprężyste, oszczędne ruchy Elizabeth, która z łatwością dotrzymywała kroku Indianom.

Koszula Eleanor, mokra na wylot i podarta w dwóch miejscach przez kłujące krzewy, kleiła się do pleców. Dziewczynkę swędziało całe ciało, spocone, pogryzione przez owady. Nie mogła opędzić się od myśli, że jakiś robak dostał się pod jedną z nogawek jej spodni.

Elizabeth obejrzała się. Mała była wyraźnie zmęczona. Świadczyły o tym zaczerwieniona buzia i rozczochrane włosy. Coraz więcej kosmyków wymykało się z długiego warkocza. Musi zaraz je zapleść, pomyślała ciotka, bo zaczepi o krzaki albo jakieś żyjątko się w nie wplącze. Na szczęście Eleanor nie bała się owadów. Nie przeszkadzał jej żuk wędrujący po dłoni, nie histeryzowała z powodu much i komarów. Tylko pająki wyprowadzały ją z równowagi. Elizabeth doskonale to rozumiała.

– Już niedaleko, Eleanor! – pocieszała. – Jeszcze tylko mila. Zaraz się wykapiemy, a potem zjemy lunch. Posłuchaj. To wodospad.

Do uszu Eleanor dobiegał odległy szum, do tego stopnia stłumiony dywanem zieleni, że gdyby nie słowa ciotki, nie odgadłaby jego źródła. Skinęła głową zbyt zmęczona, żeby mówić, i ruszyła dalej. Tuż za nią maszerował Hatchet. On i Monkey zawsze towarzyszyli Elizabeth w dżungli. Oni też chodzili z Johnem na dalsze wyprawy. Są najlepsi, ogłędnie odpowiedziała Elizabeth na pytanie bratanicy.

– Najlepsi w czym?

Wtedy ciotka uśmiechnęła się lekko.

– Och, we wszystkim – mruknęła niejasno i odeszła, a Eleanor jeszcze przez dłuższy czas wyobrażała sobie, jakie straszliwe niebezpieczeństwa kryją się w nieprzeniknionej dżungli.

Teraz usłyszała łoskot, głośniejszy i bardziej dudniący niż przedtem. W ciągu ostatnich stu jardów wędrowni czuli wibracje pod stopami. Powietrze drżało od jednostajnego huku. Jeszcze zanim wyszła z zielonego półmroku, wyczuła bliskość wody. Aż wreszcie stanęła na skalnym cyplu i spojrzała w słońce.

Spieniona biało-zielona masa spadała z wysokości dwóch pięter. Z pluskiem uderzała w skały, zasnuwała mgiełką rosnące na dole krzaki papai, by rozlać się szeroko w zatoczce, gdzie słońce ogrzewało czarne wulkaniczne głązy. Ze wszystkich stron dżungla buchała feerią barw i zapachów: różowe oleandry, wonne krzewy cynamonowe, białe i fioletowe orchidee, pomarańczowe storczyki o ostrych liściach. Żółte i zielone papugi przecinały powietrze kolorowymi smugami. Ptaki ukryte wśród listowia zanosily się ekstatycznym śpiewem, kończąc trele długą, wysoką nutą. Ważki buczały, brzęczały cykady, małpy uciekały na wierzchołki drzew i stamtąd przyglądały się intruzom.

– Jak tu pięknie! – Eleanor usiłowała przekrzyczeć huk wody. Elizabeth uśmiechnęła się do siebie. Pięknie. Tak, lecz nie tylko.

Gwałtowne, zdradzieckie, zapierające dech w piersiach – nie potrafiła znaleźć określeń trafnie oddających urodę tego miejsca. Toteż nigdy nie nadała mu nazwy. Wszelka próba klasyfikacji umniejszałaby potęgę dzikiej przyrody. W oczach dziecka Elizabeth widziała swoje uczucia i cieszyło ją to.

– Tutaj na skałach zostawimy jedzenie, a same od razu pójdziemy się wykapać, dobrze? Nie bój się, Monkey i Hatchet będą nas pilnować. – Elizabeth zdążyła już ściągnąć buty i skarpety. Eleanor poszła za przykładem ciotki i po chwili miała na sobie tylko kostium kąpielowy.

Była opalona, bo w domu często chodziła na plażę, w Copacabanie albo Ipanemie. Ostrożnie wsunęła stopy do wody. Elizabeth rozbierała się znacznie wolniej. Eleanor była zaskoczona bladością jej skóry. A potem ostatkiem sił dziewczynka stłumiła, okrzyk przerażenia. Na białym ciele ciotki wykwitwały wszelkie odcienie fioleto, czerwieni, zieleni i czerni – dziesiątki sińców w różnym stadium.

– Co ci się stało, ciociu Liz? Upadłaś? – zapytała zaszokowana. Elizabeth zaczerwieniła się.

– Och... tak, upadłam. Poślizgnęłam się na ścieżce i potłukłam o korzenie. Nie przejmuj

się, to wygląda gorzej, niż jest naprawdę – uśmiechnęła się z przymusem i weszła do wody. Eleanor westchnęła i ruszyła za nią.

John leżał nieruchomo. Modlił się w duchu, by muszki, które unosiły się nad nim bzyzącą chmurą i pokrywały skórę bolesnymi ukąszeniami, zechciały znaleźć sobie inny obiekt. Co prawda natarł się indiańską maścią odstraszającą insekty, ale mikstura spłynęła z potem. Zacisnął więc zęby i czekał. Spod zmrużonych powiek obserwował kozę, którą położyli na ścieżce. Zwierzę krwawiło obficie.

Przez polanę maszerowała właśnie kolumna dużych czerwonych mrówek o kremowych łebkach. Niosły martwą stonogę. John miał nadzieję, że nie zboczą z obranej drogi i ominą go. W innym wypadku musiałyby wspiąć się na drzewo. Mrówki jednak albo nie zauważyły, albo zlekceważyły obecność myśliwych i powędrowały wcześniej obraną trasą. John słyszał, że owady te są w stanie pokąsać na śmierć rannego człowieka, a szczątki trupa zawlec kawałek po kawałku do mrowiska. Obserwował je więc ciekawie.

Nieco dalej za drzewem krył się ojciec. Obaj ustawili się z wiatrem, tak więc, o ile jaguar nadal polował tam, gdzie wytropili go tubylcy, nie mógł ich zwęszyć. John otarł pot z czoła i na chwilę zamknął oczy. Był spięty i zdenerwowany, mimo że do tej pory jedynych wrażeń dostarczały mu owady. Jaguar, czy też, jak nazywają go Indianie, *tigre*, to sprytnie zwierzę. Wystarczy chwila nieuwagi, by to on, John, a nie koza, stał się przynętą.

Eleanor leżała na plecach. Unosiła się na powierzchni wody, rozłożywszy ramiona i nogi na kształt rozgwiazdy. Z zanurzoną do połowy twarzą słyszała tylko stłumiony grzmot wodospadu. Było tak ciepło, że Eleanor nie wiedziała już, czy trzyma dłoń w wodzie, czy w powietrzu. Spróbowała unieść ręce i nogi jednocześnie, i zniemacka zanurkowała. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Wystawiła głowę nad powierzchnię jeziora i pomachała do ciotki.

– Zgłodniałam już, a ty? Robi się późno! Czy mogę rozpakować prowiant?

Elizabeth skinęła przyzwalająco.

– Dobrze, idź. Zaraz do ciebie dołączę. Chcę jeszcze podejść do wodospadu. – Wynurzyła się z wody i wspięła na czarną skałę. Podskakiwała śmiesznie, bo rozgrzane kamienie parzyły mokłą skórę.

Eleanor obserwowała ją przez chwilę, po czym wyszła na brzeg i wykręciła włosy. Szybko wsunęła stopy w sandaalki i pochyliła się nad koszykiem z prowiantem. Po Indianach z Vila Serrista nie było ani śladu. Elizabeth jednak zapewniała ją, że w pobliżu urządzają sobie własny piknik.

Gdzieś w oddali rozległ się dziwny dźwięk, ale niemal natychmiast zagłuszył go łoskot wodospadu. Dziewczynka zerwała się na równe nogi i nasłuchiwała uważnie. Głos nie odezwał się ponownie. Może to tylko ptak? Albo Indianie, choć na myśl o tym przeszedł ją dreszcz. Nie miała ochoty na spotkanie z tubylcami. W pamięci odżyły mrozące krew opowieści kapitana.

Po chwili jednak uspokoiła się i kucnęła nad koszykiem. Ostrożnie odwijiała kanapki z kolorowych serwetek, w które zapakowała je ciotka. Nalała sobie lemoniady i upiła duży łyk. Kiedy po chwili stanęła na brzegu wyprostowana, na lekko rozsuniętych nogach, wyglądała na bez troskie, pogodne, szczęśliwe dziecko. Obserwująca ją z oddali Elizabeth pomyślała, że

w zielonym kostiumie, z długimi mokrymi włosami, siostrzenica przypomina wodną boginkę. Pomachała do niej.

Eleanor spojrzała na rzekę. Na środku, wśród wodnej mgielki, ujrzała ciotkę. Liz unosiła ramiona, jakby chciała schwytać miliardy drobniutkich kropel. W tej tęczowej chmurze wyglądał niezmiernie, zdążyła pomyśleć dziewczynka.

A potem znowu usłyszała ten głos. Tym razem bliższy i donośniejszy. Eleanor rozejrzała się niepewnie. Ptaki podrywały się do lotu, panicznie tłukąc skrzydłami. Małpy zniknęły wśród drzew. Nagle w dżungli zapanowała cisza. Nadal nie widać było nigdzie Monkeya i Hatcheta. Elizabeth na środku rzeki ogłuszona rykiem wodospadu nie usłyszałaby nawet wystrzałów armatnich. Eleanor zaczęła się bać.

John pierwszy zobaczył jaguara, w żaden sposób jednak nie mógł poinformować o tym ojca. Zamarł w bezruchu. Wymierzył dokładnie i oparł palec na cynglu. Wstrzymał oddech. Drapieżnik przemykał się wśród zarośli, całkowicie skoncentrowany na przynęcie.

Było to piękne zwierzę, emanujące siłą i wdziękiem. John zafascynowany obserwował grę mięśni pod jedwabistym nakrapianym futrem. Czuł, że żaden ruch nie umknie czujnym złocistym ślepiom, szerokie nozdrza pochwyć każdy zapach. Nagle Johna ogarnął żal, że za chwilę to cudowne stworzenie musi zginąć. Zawahał się.

I wtedy wystrzelił ojciec. Zbyt późno i niecelnie. Jaguar dostrzegł ruch wśród drzew i usłyszał trzask odbezpieczanej broni. Kula utkwiała mu w boku, ale drapieżnik biegł nadal. Znikł w ścianie zieleni, zanim John zdążył dobić go strzałem w czaszkę.

Chłopiec zerwał się z ziemi i dołączył do ojca, który już badał krwawy ślad. Tak, nie ma wątpliwości. *Tigre* jest ranny i obficie krwawi. Teraz dopiero oszalały z bólu i wściekłości stał się niebezpieczny. Jak można tak spartaczyć prosty strzał? John spojrzeł na ojca i po raz pierwszy dostrzegł w jego twarzy wyraz zwątpienia, a przez chwilę nawet grymas strachu. Zaraz jednak Michael ruszył śladem jaguara. John pobiegł za nim. Słyszał, jak ojciec klnie na czym świat stoi.

Nagle rozległy się przerażone krzyki tropicieli. Mężczyzna i chłopiec wypadli na polanę. Ich oczom ukazała się ponura sceneria. Jeden z Indian leżał na ziemi w kałuży krwi. Drugi bez słów wskazywał na północ. Biegli dalej, z każdym krokiem coraz bardziej przerażeni kierunkiem, który obrał jaguar.

Eleanor wydawało się, że tysiące ślepi obserwuje ją z zielonego półmroku. Powoli, ostrożnie zbliżała się do wody, nie spuszczać oczu z połyskliwej ściany roślinności, za którą czaił się nieznany wróg. Przypomniła sobie legendę o *Curcipuri*, duchu dżungli doprowadzającym ludzi do szaleństwa. Dotychczas uważała tę historię za bajania starych bab, ale teraz gotowa była zmienić zdanie. Pomachała do ciotki, lecz Elizabeth stała na drugim brzegu odwrócona do dziewczynki tyłem. Eleanor zdawała sobie sprawę, że nie da rady przepłynąć spienionej wody. Zresztą nawet gdyby się udało, cóż może zrobić Elizabeth? Wśród drzew czaiło się niebezpieczeństwo. Dżungla zamarła ze strachu.

Eleanor odwróciła się w stronę leśnego gąszczy.

## Rozdział trzeci

Zatacza koło. Idzie od wschodu, żeby nie biec pod wiatr. – Po wyczerpującym biegu Michael nie mógł złapać tchu. John potakująco skinął głową. Już dawno zorientował się, co chce zrobić ranny jaguar. Wiedział także, że jeśli zwierzę nie zmieni kierunku, wkrótce dotrze do wodospadu. A Eleanor i matka... Zatrzymał się, podniósł dłonie do ust i krzyknął ponownie. Może Elizabeth lub któryś z Indian usłyszą go. Matka zrozumie, że to ostrzeżenie. Przyśpieszył kroku. Pochylony, prowadził ojca sekretnymi ścieżkami, na których bawił się kiedyś jako mały chłopiec. Nagle skręcił gwałtownie, by ominąć dół ukryty pod warstwą liści. Na jego dnie zakończone ostro pale groziły śmiercią nieostrożnym intruzom. Michael jęknął zadyszany. John musiał zwolnić. Nie mógł pozwolić, by ojciec sam wędrował nie znanym sobie szlakiem. Skończyłoby się to tragicznie.

Woda była coraz głębsza. Eleanor czuła, jak napiera na jej wiotkie ciało, chce porwać, unieść prosto w rozszalałą topiel. Dziewczynka ukucnęła i czekała.

Po Hatchecie i Monkeyu nadal nie było śladu. Wściekła, wyobrażała sobie, co powie, kiedy ich zobaczy. Pewnie poszli na polowanie, zamiast pilnować jej i ciotki Elizabeth. Chyba że to coś, co kryje się w dżungli, już ich... Nie, przecież są doświadczonymi myśliwymi. Na pewno wyczuliby niebezpieczeństwo. Nawet ona dosłyszała dziwne odgłosy: trzask łamanych gałązek, szelest liści, chrząkanie i warczenie, jakby wśród zarośli czaiła się świnia albo tapir. Monkey i Hatchet, gdyby tu byli, już by jakoś zareagowali, Eleanor wiedziała o tym. Przecież ciotka Elizabeth mówiła, że są najlepsi. Może jednak to coś w dżungli jest jeszcze lepsze niż oni... I przedziera się w jej stronę.

A potem nagle go zobaczyła. Stał niecałe piętnaście metrów od niej. Czuła na sobie spojrzenie żółtych ślepi, błyszczących jak płynne złoto. Cętkowane futro sprawiało, że był niemal niewidoczny wśród bujnej roślinności. Zafascynowana wpatrywała się w czerwien rozwartego pyska. Jaguar parsknął i warczał pełen gniewu, strachu i nienawiści. Z ust Eleanor wydał się przeraźliwy wrzask.

John usłyszał krzyk. Przestał przejmować się ojcem i puścił się biegiem, choć czuł, że może już być za późno. Brakło mu tchu, bolały mięśnie, ale krążąca we krwi adrenalina pomagała nie zwalniać tempa. Rozpoznał głos Eleanor. Nie myślał o własnym bezpieczeństwie, nie obchodziło go, czy ojcu uda się przejść szlak pełen niewidocznych pułapek. Bał się jedynie o małą dziewczynkę, którą obiecał się opiekować. To ona wrzeszczała w panice.

Jaguar otworzył pysk jeszcze szerzej. Na widok nowej przeszkody na trasie ucieczki zaryczał z wściekłością. Zawahał się, kręcąc głową, żeby złagodzić ból. Przerazony i zły, nerwowo walił ogonem. Zbliżające się odgłosy z dżungli sprawiły, że zaryczał ponownie. Skoczył do wody. Sadził teraz wielkimi susami prosto na krzyczące dziecko.

Elizabeth wreszcie dostrzegła niebezpieczeństwo. Biegła do Eleanor jak mogła najszybciej. Wołała, żeby zejść z drogi drapieżnika. Dziewczynkę jednak sparaliżował lęk.

Potrafiła tylko kulić się w wodzie i wlepić oszalały ze strachu wzrok w zbliżające się zwierzę. A ono było coraz bliżej, niemal na wyciągnięcie ręki. Eleanor uniosła ramię obronnym gestem.

Nagły strzał zakłócił popołudniową ciszę. Jaguar, sprężony do skoku, zastygł na moment w bezruchu. Po chwili ciężko osunął się do wody. Prąd uniósł bezwładne zwłoki w dół rzeki.

Eleanor krzyczała i krzyczała, aż zdarte gardło odmówiło jej posłuszeństwa i przeraźliwy wrzask przeszedł w stłumione chrypienie. Nadal usiłowała schować się w wodzie i osłaniała twarz w obawie przed śmiertelnym ciosem. Sparaliżowana paniką świadomość nie zarejestrowała jeszcze zmiany sytuacji. Dziewczynka matowym spojrzeniem śledziła ciało jaguara. Było jej niedobrze, miała zawroty głowy, świat rozmazywał się przed oczami. W ustach wciąż czuła gorzki smak strachu. Już po chwili John był przy niej. Wziął Eleanor na rękę i przytulił z całej siły. Przywarła do niego i zaniosła się płaczem.

Monkey i Hatchet wyglądali na bardzo zawstydzonych, kiedy wieczorem przyszli ją przeprosić.

Dziewczynka siedziała w łóżku, nadal blada i wystraszona. Stanęli w drzwiach i z pochylonymi głowami mamrotali słowa skruchy niezrozumiałą mieszaniną portugalskiego i miejscowego dialektu. Eleanor skinęła głową. Wszystko w porządku, zapewniła. Nic się nie stało. John nad nią czuwał. Indianie skulili się jeszcze bardziej. Po chwili wyszli.

Elizabeth zajrzała przez uchylone drzwi. Widząc, że dziewczynka ma otwarte oczy, wniosła tacę pełną jedzenia.

– Dobry wieczór, kochanie. Jak się czujesz? Bardzo długo spałaś, dochodzi dziewiąta. Czy Monkey i Hatchet byli cię przeprosić?

Zapytana potwierdziła ruchem głowy.

– Eleanor, im jest naprawdę przykro. Poszli na polowanie, czego nie powinni byli robić. Wuj Michael bardzo się na nich rozgniewał. Uwierz mi jednak, kochanie, że nie mieli złych intencji. Po prostu zapomnieli. – Jak dzieci, dodała w myślach, a Michael ukarał ich, jakby, jakby... Zadrżała na samo wspomnienie. Wściekły na siebie za nieudany strzał, mimo protestów jej i Johna, wyładował gniew na Indianach. Teraz siedzi gdzieś z Rosą i pije. Powoli zaczynała mieć tego dość.

– Ciociu Liz? – z głosu Eleanor biła niepewność i zakłopotanie. – Wydawało mi się, że słyszałam, jak ktoś strzelał. A potem ty i John krzyczeliście... Czy coś się stało? Coś złego? – miała uważnie obserwować ciotkę. Elizabeth na moment znieruchomiała, by po chwili uśmiechnąć się szeroko. Eleanor rozpoznała rozpaczliwy grymas. Identyczny pojawiał się na twarzy mamy, ilekroć tatuś się złościł. Żaloszny, sztuczny uśmiech.

– Nie, kochanie. Musiało ci się coś przyśnić. Nikt nie strzelał, daję słowo. A teraz usiądź, poprawimy poduszki, dobrze? – Zapadła niezręczna cisza. Kobieta i dziewczynka unikały swego wzroku. Miała rację, pomyślała Eleanor. To nie był sen. Indianie krzyczeli, wuj Michael wrzeszczał na całe gardło. Obrzucał ich straszliwymi obelgami. O Boże! Co on im zrobił? A jak potraktował Johna i ciotkę Liz? Co tu się działo?

– Ciociu? Czy mogłabym porozmawiać z Johnem? – na dźwięk jej głosu Elizabeth wzdrzygnęła się. Po raz kolejny uświadomiła sobie, jak mało brakowało, by doszło do tragedii.

Jeszcze metr, półtora, ułamek sekundy i zginęłaby, rozszarpana na strzępy. Elizabeth przebiegł zimny dreszcz.

– Wpuszczę Johna dopiero, jak zjesz. Przyniosłam kakao i kaszę manną. Po tym zańsiesz szybko i spokojnie. Czy mam cię nakarmić?

– Och nie, dziękuję, ciociu. Sama sobie poradzę. I, ciociu, nie martw się już. Nic mi się nie stało. Przecież jaguar nawet mnie nie drasnął. John był szybszy. – Ze słów dziewczynki biła duma i satysfakcja. Elizabeth poczuła niepokój. „John go uprzedził”. W oczach tego dziecka John zawsze uprzedzi wszystkich. Nie spodobała się jej ta myśl.

– Dobrze. Zaczynj jeść, a ja zawołam Johna. To był piękny strzał, prawda? – uśmiechnęła się z trudem.

Zielone oczy przyglądały się ciotce badawczo.

– Tak, piękny. Wiedziałam, że John mnie uratuje. Obiecał tatusiowi troszczyć się o mnie.  
– Eleanor nie zdawała sobie sprawy z istotnego znaczenia własnych słów, ale Elizabeth rozumiała. John naprawdę zaopiekował się kuzynką. W pewnym sensie odebrał ją ojcu. Przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, jej syn znalazł porzucone małpiątko. Wychowywał je i zwierzątko towarzyszyło mu na każdym kroku. A gdy pewnego dnia wróciło do dżungli, do współbraci, był załamany. Zdecydował wówczas, że już nigdy nikogo nie obdarzy zaufaniem. W więzi łączącej dzieci Elizabeth dostrzegła cień tamtego uczucia. John i Eleanor byli uzależnieni od siebie, chociaż samowystarczalni w stosunkach ze światem zewnętrznym. John potrzebował miłości małej przyjaciółki, a dla Eleanor stało się oczywiste, że zawsze może na niego liczyć. Myśląc o tym, Elizabeth poczuła się nieswojo.

– On zawsze dotrzymuje słowa, prawda?

– O tak.

– Cieszę się. To dobry chłopiec. Jesteście kuzynami w pierwszej linii. To prawie tak jakbyście byli rodzeństwem – rzuciła niedbale. – Dobranoc, Eleanor. Miałaś ciężki dzień. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zawołaj. – Pocałowała bratanicę w policzek i wyszła.

Po kilku minutach pojawił się John. Nie zauważywszy tacy na kolanach Eleanor, z impetem rzucił się na łóżko. Na kołdrze wykwitła brązowa plama. Eleanor niedbale machnęła ręką.

– Cześć. Wszystko w porządku? – nie patrzył na nią. Leżał w poprzek łóżka, a głowa zwisała mu tuż nad podłogą. Był nienaturalnie beztroski i wesoły.

Eleanor wierzgnęła pod kołdrą.

– Tak, i dzięki za ratunek, ale teraz mam mokre i lepkie prześcieradło. Nie jestem głodna – z niesmakiem odłożyła łyżkę. – Czy mógłbyś to odstawić? – ruchem głowy wskazała tacę. John westchnął głośno i wstał, by wypełnić jej polecenie.

– Coś jeszcze, o pani i władczyni? Czy mam poprawić poduszki? Ochłodzić rozpalone czoło? – uklonił się nisko.

Eleanor parsknęła śmiechem.

– Pani i władczyni nie brzmi tak dobrze jak pan i władca, co? W każdym razie, niczego mi nie trzeba. Ciocia Liz poprawiła już poduszki. Chodź tutaj i opowiedz, co się stało. Wiem tylko, że wuj Michael rozgniewał się na Monkeya i Hatcheta. Czy on ich uderzył, John? Czy



to możliwe? – Chłopiec przestał się uśmiechać, a jej niepokój wzrósł. – On ich nie pobił, prawda? Przecież to nie była niczyja wina. Nikt nie przypuszczał, że jaguar znajdzie się w pobliżu wodospadu.

John westchnął ciężko.

– Tak, ale nie o to chodzi. Widzisz, wszystko mogło się zdarzyć. Mogli podkraść się Indianie, mógł zaatakować tapir, wąż... Monkey i Hatchet nie mieli prawa was zostawić. Tata ich ostrzegł, że jeśli to się powtórzy... Ale wiesz, jaki on jest. Oczywiście, przesadził – zamilkł zakłopotany. Tak bardzo chciał być lojalny wobec ojca.

– No i co? – Eleanor nie dawała za wygraną. – Co się stało? Bo wiem na pewno, że doszło do czegoś okropnego! Słyszałam... strzały? I krzyki. Proszę cię, John. – Zarumieniła się z emocji.

– Ja... – przełknął ślinę, a wraz z nią kulę, która nie pozwalała mu mówić. Teraz słowa popłynęły wartkim strumieniem. – Przyszedłem w najgorszym momencie. Ojciec zaprowadził ich za szopę. Miał ze sobą bat, wiesz, ten, którego używa na bydło. W każdym razie... walił nim o ziemię i krzyczał, że są beznadziejni, warci mniej niż jaszczurka i nie zasługują na to, by żyć. Monkey był przerażony, ale Hatchet tylko patrzył w ziemię. A potem ojciec... – zawahał się. – Ojciec oszalał. Uderzył Hatcheta i zamierzył się ponownie, tym razem na Monkeya. Rzuciłem się między nich i złapałem tatę za ramię.

John przełnął głośno i odwrócił wzrok. Czuł się upokorzony spojrzeniem Eleanor. Dziewczynka delikatnie wzięła go za rękę. Opuścił głowę i opowiadał dalej.

– Odepchnął mnie, jest bardzo silny, a potem uderzył. Tylko raz. Wtedy mama zaczęła krzyczeć i oprzytomniał. Popatrzył na nas i odszedł bez słowa. Nadal nie mogę uwierzyć, że zrobił coś takiego. – Chłopiec bezradnie potrząsnął głową.

– Boli cię? Gdzie cię uderzył? – Eleanor usiadła. John wpatrywał się w deski podłogi.

– Nie, bat tylko musnął mi kurtkę. Ale mama uważa, że ojciec stoczył się już na samo dno. Ona... się niepokoi – stwierdził oględnie.

– Wcale jej się nie dziwię! – Eleanor była bezlitosna. John uniósł głowę.

– Nie rozumiesz... przecież to nie jego wina...

– Jak to nie? A czyja?

– Widzisz, on się bardzo zmienił. Elly, on pije. Dlatego jest taki dziwny. – Po dłuższej chwili milczenia dodał: – Czasem dostaje ataku szału. Wtedy obwinia wszystkich, nawet jeśli sam popełnił błąd. Uważa, że to ja zawiodłem, bo nie dobiłem jaguara po pierwszym strzale. Ale nie miałem szans. Ojciec wypalił za wcześnie. Owszem, zanim strzelił, mogłem... – urwał w połowie zdania. Może to rzeczywiście jego wina. – Tylko że jaguar był taki piękny. Po prostu nie potrafiłem go zabić. – Mówił tak cicho, że Eleanor z trudem rozróżniała słowa. – Chciał jeść, nic więcej. Ojciec strzelił i zranił go. Jaguar uciekł, zanim zdążyłem go dobić. – John wyglądał, jakby mu było niedobrze. – Pomyśl, jak cierpiał, a jednak biegł taki kawał drogi, dobre kilka mil. Był ciężko ranny, ale nie poddawał się. A potem i tak musiałem go zabić, choć tak bardzo chciał żyć. – Popatrzył na Eleanor. W jego oczach zalśniły łzy. Zerwał się z łóżka i wybiegł z pokoju.

Wrócił późnym wieczorem. Przysiadł na skraju pościeli i odsunął kosmyk włosów z

twarży dziewczynki. Spała głęboko. Oddychała równo i spokojnie. Lekko rozchylone usta sprawiały, że wyglądała na zdziwioną. Pochylił się i opuszkami palców musnął długie rzęsy. Światło księżycy nadawało jego włosom srebrzysty połysk. Eleanor zamruczała cicho, przeciągnęła się i otworzyła oczy.

– John? Wszystko w porządku?

– Tak, śpij. Nie chciałem cię obudzić.

– Gdzie byłeś?

– Poszedłem się przejść. Chciałem być sam.

– Jeszcze żałujesz, że zastrzeliłeś jaguara?

– I tak, i nie. Nie, bo gdybym go nie zabił, zginęłabyś ty. Po prostu nie powinniśmy byli na niego polować.

– Ale przecież wtedy nadal porywałby wasze zwierzęta, prawda? A może nawet zaatakowałby jakieś indiańskie dziecko?

Tego właśnie w niej nie cierpiał. Zawsze była taka rzeczowa, myślała logicznie i obiektywnie. Nie odpowiadał więc. Eleanor dotknęła dłonią jego twarzy.

– Jesteś na mnie zły? To nie moja wina. Wcale nie chciałam znaleźć się na jego drodze.

– Wiem. Ale żałuję, że nie udało mu się uciec. Gdyby pobiegł bardziej na lewo, nie strzelałbym. Tylko że on skoczył prosto na ciebie. – Położył się obok kuzynki. – Nie mogłem pozwolić, by cię skrzywdził – dodał cicho.

– A czasami sam mnie krzywdzisz – wypomniała mu z dziecinną przekorą.

Przez chwilę zastanawiał się.

– To co innego – odparł w końcu. – Tak naprawdę, nie chcę sprawiać ci przykrości. Poza tym wiem, że zawsze mi wybaczysz, prawda, Elly?

Nie zdziwił się, kiedy westchnęła cicho i ukryła twarz na jego ramieniu.

– Pewnie tak – mruknęła.

Uśmiechnął się, zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Kiedy się obudziła, już go nie było. Z dworu dobiegały głośne śmiechy i rozmowy. Wysokie dziecięce głosiki przekrzykiwały się wesoło. Niskie, gardłowe głosy rozprawiły o czymś w niezrozumiałym dla Eleanor języku. Czasem tylko udawało się jej wychwycić jedno czy dwa znajome słowa. Odrzuciła koc i podeszła do okna. Ostrożnie wyjrzała. Napotkała równie ostrożne spojrzenie zdziwionych oczu. Patrzyły na nią z ciemnej twarzy ukrytej pod szopą czarnych włosów. Głowa nieznanego co chwila zniknęła i pojawiała się, jakby unoszona przyływem i odpływem odwagi. Eleanor gwałtownie cofnęła się o krok.

Usłyszała wybuch głośnego śmiechu i twarz zniknęła na dobre. Deski werandy zadudniły głucho pod bosymi stopami. Zgromadzony na trawniku tłumek patrzył w stronę jej okna. W ciemnych twarzach tylko oczy i zęby połyskiwały bielą. Eleanor zauważyła Johna. Nie zwrócił na nią uwagi, pochłonięty rozmową z dwoma chłopcami w jego wieku. Ich strój stanowiły przepaski biodrowe, pióra oraz malowidła wykonane zieloną i czerwoną farbą. Nieco z boku stał biały chłopak nieco starszy od Johna. Obserwował całą tę scenę wzrokiem, w którym rozbawienie mieszało się z politowaniem. Eleanor odeszła od okna i zaczęła się ubierać.

Kiedy wyszła na werandę, rozmawiali o *tigre*. Zatrzymała się u szczytu schodków. Słyszała, jak powtarzają to słowo, radośnie kiwając głowami. Kiedy wniesiono cielsko jaguara, twarze zebranych rozjaśnił uśmiech. Biały chłopak podszedł do martwego zwierzęcia przywiązanego do grubego drąga. Dźwignął łeb drapieżnika i obejrzał dokładnie. Po chwili parsknął śmiechem.

– Niezły strzał, John. Udało ci się kompletnie zniszczyć futro. Następnym razem celuj w czaszkę – mówił po portugalsku, tym samym wykluczając z rozmowy zebranych wokół Indian. John zaczerwienił się.

– Spokojna głowa, Ricki, następnym razem nie omieszkam poprosić cię o pomoc – w jego głosie pobrzmiwała złośliwa nutka. Nieznajomy jednak tylko uśmiechnął się, prezentując równy szereg zdrowych białych zębów, i uklonił niedbale.

– Dzięki za uznanie. – Pstryknął palcami, by natychmiast wyniesiono cielsko za szopę. Indianie szli równym, statecznym krokiem. Zdawało się, że w ogóle nie odczuwają dźwiganego ciężaru. John obserwował ich w milczeniu. Stał wyprostowany i spięty. Zaciskał prawą dłoń, jakby ponownie dotykał cyngla albo jakby chciał cofnąć tamten strzał. Po chwili wziął się w garść i z uśmiechem podziękował za przyniesienie jaguara.

– Nie ma sprawy. Szczerze mówiąc, było mi to nawet na rękę. Już od dawna do was. nie zaglądałem. Słyszałem, że goście kuzynkę z Rio? – Podniósł wzrok na werandę, jakby dopiero teraz zauważył obecność Eleanor. John spojrział w tę samą stronę.

– Elly! Chodź tu do nas i poznaj okolicznych mieszkańców, a zwłaszcza mojego wyjątkowo aroganckiego sąsiada, Ricardo Carvalho – zawołał.

Dziewczynka zbiegła ze schodów i ruszyła ku nim. Morze twarzy rozstąpiło się przed nią. John wziął ją pod rękę, jakby podkreślając swoje prawa.

– Elly, przedstawiam ci Ricarda. Nie zwracaj na niego uwagi. Biedak nic nie może poradzić na to, że jest nadętym głupkiem. Ricki, oto moja kuzynka Eleanor Fawcett z Rio de Janeiro. Nie próbuj jej podrywać, nie jest tym zainteresowana.

Na ostatnie słowa nieznajomy zareagował głośnym śmiechem. Skłonił się ponownie i zamknął dłoń Eleanor w długim uścisku. Wiatr rozwiewał mu brązową czuprynę, lśniąca niczym grzywa zadbanego konia.

– Eleanor, jestem oczarowany. To doprawdy niepojęte, jak równie urocza dziewczyna może mieć za krewnego takiego osła. Zrobię wszystko, żeby zatrzeć wrażenie niepoehlebnych słów twego kuzyna. Pozwól, że przedstawię cię moim. – Był bardzo pewny siebie. Poruszał się z wdziękiem, który nie tylko nie umniejszał wrażenia siły, lecz dodatkowo podkreślał prawo do władzy nad wszystkimi wokoło. Wysoki, barczysty, śniady siedemnastolatek zachowywał się z wyszukaną galanterią, której Eleanor jeszcze nie mogła oczekiwać od mężczyzn. Dziewczynka uśmiechnęła się blado. Nie wiedziała, kogo miał na myśli, mówiąc „moi”. Rodzinę? Czyżby też przyjechali? Może siedzą gdzieś z ciocią Liz?

Po chwili jednak stało się jasne, że Rickiemu chodziło o Indian. „Jego” Indian. Eleanor przyszło do głowy, że może właśnie oni są jego krewnymi, zważywszy śniadą karnację chłopca. Od razu jednak odrzuciła tę możliwość. Nie, mówił „moi” jak stary fazendero, jak plantator o niewolnikach.

– Moi ludzie! – zawołał w owym dziwnym języku, który słyszała już wcześniej. Indianie zareagowali głośnymi okrzykami i radosnym machaniem.

– Moi ludzie! – powtórzył.

John pokręcił głową i zwrócił się do Eleanor.

– Biedny Ricki cierpi na manię wielkości.

– Czy ci ludzie pracują u jego ojca? – wyszeptała mu do ucha. Zauważyła, że kuzyn obserwuje Ricarda z pobłażaniem i złością jednocześnie.

– Jego ojciec zmarł trzy lata temu. Widać, prawda? Ricki wczuł się w rolę *O Patrao*. Jego ludzie znaleźli jaguara w dole rzeki i domyślili się, że to my go zastrzeliliśmy. Przybyli całą gromadą, żeby świętować wraz z nami. Ricki to dziwak, ale tak naprawdę fajny chłopak. Owszem, ma dyktatorskie zapędy, troszczy się jednak o „swoich ludzi”. Najdziwniejsze, że im surowszy pan, tym bardziej akceptują go Indianie. Żywią respekt dla silnej władzy. My nie traktujemy naszych w ten sposób, a zobacz, jakim poważaniem cieszy się Ricki.

– Widzę. Z jakiego plemienia pochodzą „jego ludzie”? Z tego samego co wasi robotnicy?

– Tak, to wszystko Pareci, przy czym jego są bardziej dzicy. Nasi pracują dla białych od dawna. A tamci ciągle jeszcze znikają i wracają, kiedy im się podoba. Jako dziecko bawiłem się z wieloma spośród tych wojowników. – John wyraźnie był rad, że ich widzi. Co chwila machał komuś i odpowiadał na powitalne okrzyki. – Uczyli nas obu, Rickiego i mnie, jak przeżyć w dżungli. Pokazywali sekretne ścieżki. Wczoraj nie zdążyłbym do ciebie, gdybym nie znał tajnego skrótu. Te szlaki ciągną się dziesiątkami mil. Pamiętaj tylko, że to tajemnica, więc nie opowiadaj o tym w Rio – uśmiechnął się, ale wiedziała, że mówi poważnie.

– W porządku. Słuchaj, czy... czy to są łowcy głów? – niepewnie rozejrzała się po ciemnych twarzach. Niezrozumiałe słowa Rickiego wprawiły Indian w doskonały humor. Chichotali jak dzieci i tręcali się łokciami. Kilkunastoletni chłopcy o pomalowanych twarzach wyglądali równie groźnie jak dorośli mężczyźni. Kilka dziewcząt z fazendy Michaela kręciło się między nimi, wdzięcząc się i chichocząc. Ich piersi falowały rytmicznie za każdym gwałtowniejszym ruchem.

Indianie byli uzbrojeni. Ze skórzanych kołczanów wystawały strzały. Mieli także dmuchawki i drewniane dzidy. Na szyi u każdego z nich Eleanor dostrzegła mały skórzany woreczek. John wytłumaczył jej, że przechowują w nim wszelkie niezbędne skarby: ptasie pióra, paciorki, leki, groty strzał i amulety. Dziewczynka usiłowała nie zwracać uwagi na zapach spoconych ciał natartych zwierzęcym tłuszczem. Mrużyła tylko oczy, podrażnione wzniecanymi dziesiątkami stóp tumanami kurzu.

– Oczywiście, to łowcy głów, jak wszystkie okoliczne plemiona, ale naprawdę nie zajmują się preparowaniem czaszek zbyt często. W pewnym sensie trzeba na taki zaszczyt zasłużyć, na przykład być znanym z męstwa wojownikiem. Bardzo trudno jest właściwie zmniejszyć głowę. Wiem, bo obserwowałem ich podczas pracy – wyjaśnił spokojnie. Eleanor głośno przełknęła ślinę. Nagle zrobiło się jej słabo.

Ricki przepychał się do nich. Krzyknął coś ponad głowami Indian. John skinął twierdząco głową.

– Ojciec wysłał kilku ludzi na polowanie. Sam nadzoruje ubój tłustego cielaka. Dziś

wieczorem wyprawimy *Shingirotse* – oznajmił. – Już najwyższy czas, zbiory dobiegają końca. Będzie wesoło. Ricki, zostaniesz oczywiście?

Zapytany uśmiechnął się szeroko.

– Naturalnie. Moi ludzie bardzo się ucieszą. Ostatnio miałem z nimi trochę kłopotów, musiałem nawet kilku ukarać. Coś mi się wydaje, że nie byli tym zachwyceni, więc wasz *tigre* okazał się opatrnościowy. Odwrócił ich uwagę – puścił oko do Johna. – Dalej, wymyślmy im jakieś zajęcie, bo zaraz zaczną się nudzić. A to byłoby fatalne, prawda?

Znowu się uśmiechnął. Eleanor była ciekawa, czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo ją drażni. Sądziła, że tak.

– Mam! Polowanie na krokodyle! Tak, to doskonały pomysł. Może wyznaczmy nagrodę za zabicie największego, co, John? Damy im... damy im skórę jaguara. Jest tak podziurawiona, że nie nadaje się do niczego innego. Będą zachwyceni, mogą się założyć – poklepał Johna po plecach.

Na jego twarzy pojawił się dobrotliwy uśmiech, ale w oczach błyszczał spryt i przebiegłość.

John głośno wciągnął powietrze. Po chwili zrezygnowany zgodził się.

– Czemu nie? Ojciec mówi, że ostatnio namnożyło się krokodyli. Zeżarły mu najlepszego psa. Jest o to wściekły, zwłaszcza że niewiele później jaguar porwał Daisy. Dobrze, ale niech polują w dole strumienia. Matka nie lubi takich widoków. Wytlumacz im wszystko i zabierz nad wodę. Wkrótce do was dołączymy.

Otoczył Eleanor ramieniem i pociągnął w stronę domu. Nie mogła za nim nadążyć, więc wyrwała się, kiedy tylko wydostali się z tłumu.

– Nie tak szybko, John! Co cię ugryzło?

Zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Nadal szedł szybkim krokiem, cały czas mrucząc coś pod nosem. Wreszcie odezwał się do Eleanor.

– Sukisyn! Cholerny sukisyn! Wiedział, że są niespokojni i może stracić nad nimi kontrolę, więc przyprowadził ich tutaj, żeby się zabawili. Dzisiaj trudno będzie utrzymać ich w ryzach, sama się przekonasz. Ricki nie chce kłopotów na własnej fazendzie, kiedy przebywają tam jego matka i siostry. Uważa, że tutaj uda nam się ich uspokoić. A jeśli nie – cóż, nie jego fazenda, nie jego sprawa! Sukinsyn! – John był wściekły.

– Nie rozumiem. Co się dzieje? Jak on ich ukarał? – Elly wbiegła za kuzynem do domu. Pobladła, uświadomiwszy sobie, że Ricki dopuścił się jakiegoś okropnego czynu. Nie wiedziała, co zrobił, ale wyczuwała, że było to coś strasznego.

– Dyby. Nie stosujemy tego u nas. Wsadza się delikwenta do środka, często głową w dół, i zostawia tak na kilka godzin, a czasami nawet dni. To barbarzyński wynalazek, zwykle stosowany w koszarach. Pareci nie znoszą takiego traktowania, więc na pewno poczuli się obrażeni i będą chcieli się zemścić. Ricki przyprowadził ich tutaj, żeby ochłonęli. Wie, że mój ojciec daje sobie z Indianami radę. Sprytnie to obmyślił, co? – dorzucił gorzko. – Pójdę porozmawiać z tatą. Ty idź do mamy. Wytlumacz, co się dzieje – uśmiechnął się i zniknął za węglem.

Elizabeth nie była specjalnie zaskoczona opowieścią Eleanor. Westchnęła tylko ciężko,

nie przerywając pracy. Nadzorowała szykowanie poczęstunku. Co chwila ostro upominała Rosę, by nie rozsypywała mąki po podłodze.

– Ricardo to dziwny chłopak, raz czarujący, raz kłujący jak oset. Wiesz, w jego żyłach płynie odrobina indiańskiej krwi. To, moim zdaniem, tłumaczy skłonność do okrucieństwa. Widzisz, Indianie traktują pewne rzeczy inaczej niż my, biali. No i oczywiście Ricki jest bardzo bogaty. Fazenda rodziny Carvalho należy do najlepiej prosperujących w okolicy. Wielu plantatorów stara się o jego siostry, mimo domieszki kolorowej krwi. Ale znasz zapewne owo trafne porzekadło: „pieniądz wybiela”. Na twoim miejscu nie martwiłabym się niczym.

Humor ciotki zmieniał się z minuty na minutę. Eleanor udała, że wszystko rozumie. Wychodząc z kuchni słyszała, jak Elizabeth ponownie karci Rosę.

Przy lunchu wszystkim wrócił pogodny nastrój. Powtarzano sobie lokalne nowinki, żartowano. Ricki ze wszystkich sił starał się rozbawić Elizabeth. Michael promieniał. Pochlebiał mu fakt, że to on miał uspokoić Indian, nad którymi młody sąsiad stracił kontrolę. Nawet John się rozpogodził, podniecony perspektywą polowania na krokodyla. Wszyscy mówili szybko i głośno. Przekrzykując się wzajemnie, opowiadali historyjki, których nikt nie słuchał, i zaśmiewali z własnych kawałów. Eleanor odetchnęła z ulgą. Wszystko w porządku. Znała to. W domu w Rio często posiłkom towarzyszyła podobna atmosfera.

Także po południu bawili się wyśmienicie, głównie za sprawą krokodyla, który w żaden sposób nie dawał się upolować. Zamiast, jak oczekiwano, wbić zęby w kłodę, łamał ją niczym suchy patyk. John wyjaśnił Eleanor, że z drewnem w paszczy krokodyl nie mógłby zanurkować. Uwięziony na powierzchni wody stawał się łatwą ofiarą.

Bardzo szybko okazało się, że krokodyl znał zasady gry równie dobrze jak myśliwi. Był to potężny okaz, niemal czarny olbrzym o złośliwych oczach. Eleanor nieodparcie przywodził na myśl krokodyla z powieści o Piotrusiu Panu. Mężczyźni próbowali spętać potwora linami, wskakiwali i wyskakiwali z wody, krzyczeli ze złości, a czasem ze strachu. Krokodyl tymczasem spokojnie łamał kolejne żerdzie i potężnie wałąc ogonem, dawał nura w bezpieczne głębiny. Eleanor zaśmiewała się do łez.

Innym grupom myśliwych powiodło się lepiej. Przy akompaniamencie radosnych gwizdów i okrzyków zachwyty przydźwigano dwa cielska. Wojownicy, którzy otrzymali w nagrodę skórę jaguara, wyrażali swoje zadowolenie gwałtownym kiwaniem głową i wywracaniem oczu. Potem wszyscy rozeszli się, żeby zająć się przygotowaniami do wieczornych uroczystości, a biali uczestnicy łowów udali się umyć i przebrać do kolacji.

Zanim podano posiłek, Ricki, John i Eleanor grali w karty. John nie dawał partnerom żadnej szansy. Rickiego nie interesował jednak przebieg gry. Dużo ciekawsze były dla niego reakcje Eleanor, która wpadała w coraz gorszy humor, zła, że nigdy nie może być górą.

– Elly? Może zagramy tylko we dwójkę? To będzie rozgrywka fair. Ale pamiętaj: zwycięzca wybiera nagrodę – zaśmiał się cicho.

Eleanor poruszyła się niespokojnie. Nie wiedziała, co Ricardo miał na myśli, ale wyczuwała atmosferę napięcia.

– Nie, zresztą podano już kolację. Chodźmy, John. Nie chcę przegapić tańców.

Ricki wstał natychmiast, kiedy tylko uniosła się z krzesła. Im bardziej był uprzejmy, tym bardziej ją drażnił. John obserwował gościa spod zmrużonych powiek.

– Elly, *Shingirotse* potrwa do białego rana. Nie musisz obawiać się, że nie zdążysz – pośpieszył z wyjaśnieniem Ricki. – Teraz Indianie szykują *haya huasca*. Powinnaś tego skosztować – znów cicho się roześmiał. John drgnął gwałtownie.

– Nie ma mowy. Elly nie weźmie do ust niczego, co nie pochodzi z naszego stołu. Ani *haya husaca*, ani *chicha*. Zrozumiałaś, Elly?

Rozdrażniony zerwał się z krzesła. Ricki obrzucił go kpiącym spojrzeniem.

– Ojej, mamy tu prawdziwego dyktatora! Czyżbyś sam chciał poszaleć za wszystkie czasy, a zabraniał Elly tego samego? Ona się tak nie da. Prawda, moja śliczna? Zaopiekuję się tobą – posłał dziewczynce promienny uśmiech. Poruszyła się niespokojnie, zła na kuzyna za jego władczy ton, jednocześnie jednak świadoma, że Ricki zaczyna jakąś grę. Opuściła wzrok.

– Elly, zaczekaj na nas na werandzie – rozkazał John. – Proszę! – dodał szybko, widząc, jak dziewczynka unosi głowę w odruchu sprzeciwu. – Proszę! – powtórzył. Wyszła ociągając się.

John stanął przed Rickim i spojrzał mu w oczy. Mimo różnicy wieku byli niemal tego samego wzrostu. Głośno wciągnął powietrze.

– Ricardo, to jest moja kuzynka, prawie siostra. Mam nadzieję, że będziesz odnosił się do niej tak, jak chciałbyś, żebym ja odnosił się do twoich sióstr. Z szacunkiem – urwał zmieszany i skrępowany. Nerwowo oblizał usta i po chwili wahania podjął przerwany wątek. – A co ważniejsze, ona ma zaledwie jedenaście lat. Wiem, że w tym wieku wiele Indianek wychodzi za mąż, ale to nie jest Indianka. Pamiętaj, że masz do czynienia z dzieckiem. Jeśli potrzebujesz kobiety, szukaj jej gdzie indziej.

Po tych słowach zapadła pełna napięcia cisza. Ricki zmrużył oczy. Wyglądał, jakby drzemał.

– Ależ oczywiście. Nie miałem żadnych złych zamiarów. Chciałem tylko trochę pozartować. Przepraszam, jeśli to cię... zirytowało – uśmiechnął się złośliwie.

Eleanor wyczężyła słuch, by zorientować się, o czym rozmawiają, ale nie zrozumiała ani słowa. Westchnęła więc głośno i podeszła do okalającej werandę balustrady. W oddali migotały ogniska. To Indianie zaczęli już świętować. Mężczyźni nakładali pióropusze i pletli wieńce. Jeden z nich, wyjątkowo przystojny młody wojownik przepasany skórą pumy, tańczył na tle szkarłatnych krzewów hibiskusa. Wpatrzony w coraz ciemniejsze niebo kołysał się miarowo i podskakiwał. Z jego rozchylonych ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Był to niesamowity widok, toteż Eleanor ucieszyła się, kiedy ciotka zawołała ją do stołu. Z salonu dobiegł śmiech Rickiego, a potem odezwał się głos Johna. Kiedy weszła, chłopcy wyglądali jak starzy przyjaciele. Przekomarzając się wesoło, zaprowadzili ją do jadalni. Ricki odsunął jej krzesło, John pomógł usiąść matce. Wuj nie zjawił się. Czekali jeszcze kilka minut, ale w końcu rozpoczęli kolację bez niego.

Eleanor zobaczyła Michaela dużo później, kiedy *Shingirotse* rozpoczęło się na dobre, a nad fazendą zapadła, jak zawsze nagle i niespodziewana, tropikalna noc. Nie było jednak

ciemno. Dokoła płonęły wielkie ogniska, a nisko nad dżunglą zawisł srebrzysty księżyc, okrągły i duży niczym dorodny melon. Eleanor bez strachu oddaliła się od domu. Chciała sprawdzić, co dzieje się nad brzegiem rzeki. I tam właśnie ujrzała wuja Michaela.

Siedział oparty o drzewo. Otaczało go kilka Indianek. Śmiały się gardłowo i podawały sobie jakieś naczynie. Wuj Michael był nie ogolony, brudny i spocony. Niedbale obmacywał jedną z kobiet. Jego oczy błyszczały nienaturalnie. Eleanor domyśliła się, że znowu pił. Zatrzymała się w pół kroku i przyglądała przez chwilę. Nagle zapragnęła znaleźć się w towarzystwie ciotki. Kiedy odchodziła, Elizabeth siedziała na powalonym pniu, ściskając w dłoni naładowaną strzelbę. Dziewczynka ruszyła szybkim krokiem. Nie zauważyła ukrytego w zaroślach Rickiego, który zastanawiał się nad czymś intensywnie. Ricardo zastygł z uniesioną do ust tykwą pełną białego, gęstego płynu. Kiedy zobaczył, że Eleanor kieruje się w stronę rzeki, podążył za nią.

John miał pełne ręce roboty. Domyślił się, co oznaczała nieobecność ojca podczas kolacji. Michael zaczął świętować wcześniej niż inni. Teraz jest już zapewne pijany jak bela i nie będzie z niego żadnego pożytku, jeśli Indianie staną się agresywni. Na szczęście jednak Pareci sprawiali wrażenie zadowolonych, śmiali się i bawili. Z rzadka tylko wybuchały drobne kłótnie. John nie odchodził od największego ogniska. Rozmawiał z wojownikami, żartował, ale przez cały czas nie wypuszczał strzelby z dłoni. Chciał, żeby pamiętali o jego obecności. Nie martwił się o Eleanor. Matka będzie miała na nią oko.

Elizabeth nie mogła opędzić się od ponurych myśli. Wiedziała doskonale, gdzie jest i co robi jej mąż. Już nie starał się ukryć. Stał się niewolnikiem *chicha*. Kiedyś, dawno temu, był zupełnie innym człowiekiem. Dobrze wiedział, co jest dobre, a co złe. Jednym z najczęściej używanych przezeń słów był „honor”. Kochał ją wówczas, a ona zrobiłaby wszystko, byle tylko uciec od brata, od jego zaborczej zazdrości. Skorzystała więc z okazji. Poślubiła opanowanego i pewnego siebie Michaela. Pamiętała jeszcze, jaki był wówczas przystojny, może nieco surowy, nie tak dowcipny jak Charles, ale lojalny, wierny i bardzo zakochany.

Nie tyle rozumiał, co wyczuwał jej problemy z Charlesem. Dla jej dobra postanowił rozdzielić rodzeństwo. Nie wiedziała, czy ma być wdzięczna, czy wściekła. Cały czas miotła się między dwiema silnymi indywidualnościami. Ale to Michael miał rację, zdawała sobie z tego sprawę. Pierwsze lata małżeństwa były cudowne, pełne radości i miłości.

Elizabeth zapomniała o zmorach dzieciństwa, a nic nie zapowiadało koszmarów przyszłości. Kiedy leżała w silnych ramionach Michaela, czuła się bezpieczna i kochana.

Oddałaby wszystko, żeby tylko nie poszedł na wojnę. Wówczas właśnie zgorzkniał. Widziała, jak spalał się od środka. Żal i gniew trawiły jego siły, aż w końcu stał się bezwolnym robotem. Nie potrafił już okazywać uczucia. Pragnął tylko jednego: zapomnienia. A to dawała mu *chicha*. Przestał dostrzegać granicę między dobrem a złem. Nie myśl, mówił sam sobie, weź następny dzbanek, a wszystkie czarne myśli rozpierzną się błyskawicznie. Nie szkodzi, że już nic cię nie obchodzi, że nic nie czujesz. Napij się jeszcze...

Ricki zastąpił Eleanor drogę. Wynurzył się z krzaków, zanim zdążyła skrócić na ścieżkę wiodącą do głównego ogniska. Przestraszona cofnęła się o krok. Chłopak wyciągnął w jej



stronę naczynie. W świetle ognia jego spocona twarz lśniła nieprzyjemnie.

– Chcesz trochę, Elly? Nie bój się, to nic złego. Takie „mleko” tubylców. Przedtem tylko żartowałem o *haya huasca*.

Eleanor spojrziała na chłopaka niepewnie. Nie wiedziała, w jaki sposób odmówić, żeby go nie urazić.

– A co to właściwie jest *haya huasca*”? – zapytała po chwili.

– Środek, który *bruja*, czarownicy, zażywają, by mieć wizje. Narkotyk, pewnie jakiś opiat. Ale nie obawiaj się, nie proponowałbym ci czegoś takiego. Spójrz. – Upił duży łyk.

– Co to jest? Wygląda okropnie. Z obrzydzeniem zajrzała do kubka.

– Nie bój się, to tylko zmiażdżone korzenie. Będzie ci smakowało. No, dalej, dziewczyno, nie bądź taka strachliwa, na Boga! Spróbuj!

Zrobił krok naprzód, jakby chciał ją zmusić do picia, więc szybko umoczyła usta w białej mazi. Z łatwością przełknęła lepłą, włóknistą masę. Miał rację. To było smaczne. Odetchnęła z ulgą i oddała kubek.

– Nie, nie, Elly. Wypij wszystko, do dna. Zaraz przyniosę następną porcję. O tak. Widzisz, nie było takie złe, prawda?

Zabrał pusty kubek. Objął dziewczynkę ramieniem i poprowadził ku olbrzymim kadziom pełnym białej cieczy. Nie powiedział Elly, w jaki sposób to smakowite „mleko” powstaje. Nie wspomniał, że Indianki żuły trzcinę cukrową i korzenie juki, a następnie wypluwały masę do kadzi, w których fermentowała ona przez wiele dni.

Johna nigdzie nie było widać. Pewnie kręci się wśród Indian i pilnuje, żeby nic się nie stało. Ricki uśmiechnął się do jasnowłosej dziewczynki kroczącej u jego boku.

– O, proszę. Masz, wypij to jednym haustem, a wtedy ci doleję.

Grzeczna mała! Lubisz jeździć konno? Pewnie masz w domu kucyka? Powinnaś mnie odwiedzić. Pojedziemy na przejażdżkę. Na większości fazend nie ma koni. Zdychają szybko w tym klimacie. Ja jednak mam małą stajnię. Naprawdę, powinnaś mnie odwiedzić. Łądem to tylko dzień podróży, a rzeką jeszcze mniej. Przyjedź na dłużej. Nieczęsto goszczą w dżungli białe dziewczyny. – Obserwował ją uważnie. Głowa opadała Eleanor na bok. Powieki stawały się ciężkie. Podał jej pełny kubek.

– Ale... jakim cudem udało się wam dotrzeć tu tak szybko? To znaczy z jaguarem? – z trudem odnajdywała właściwe słowa. Starła się myśleć logicznie, ale oszałamiający natłok wrażeń nie pozwalał się skupić. Zerknęła na Rickiego. Uśmiechnął się, więc odpowiedziała mu tym samym.

– Polowałem. I tak miałem do was zajrzeć! A potem moi ludzie znaleźli jaguara. Zresztą doszły mnie słuchy o wizycie kuzynki z Rio. Od dawna nie widziałem żadnej białej dziewczyny, bo moich sióstr, oczywiście, nie liczę. Poza tym one nie są blondynkami. Przynosisz ulgę spragnionym oczom.

Przytulił ją do siebie i zaśmiał się, słysząc cichutki chichot. Tym razem Eleanor bez sprzeciwu opróżniła kubek. Była zachwycona, kiedy Ricki wziął ją na ręce.

– Leciutka jak piórko. Hoop! – kołysał ją i niósł w ciemność, a ona śmiała się, bo świat wirował wokół niej. Wreszcie zatrzymali się. Światła ognisk nie rozjaśniały już gęstego

mroku. Elly westchnęła i oparła głowę na ramieniu chłopca. Przestał ją kołysać.

– Co za szczęście! Spójrz, jaka ładna polanka. Może usiądziemy i napijemy się jeszcze trochę? – Ułożył ją delikatnie na trawie i podpierając głowę, wlewał resztki *chicha* do gardła. Z cichym śmiechem gładził jej policzki i szyję. Wreszcie zatrzymał dłoń przy kołnierzyku sukienki.

– Śliczna sukienka, prawie taka śliczna jak ty. Śliczna dziewczynka. Teraz odepniemy ten guzik, dobrze? Tak będzie ci łatwiej oddychać, wiesz? Ten też, prawda? A może odepniemy wszystkie? Jest tak gorąco! A ta sukienka nadaje się na plażę, a nie do dżungli. Taka śliczna sukienka.

Łagodny szept i dotyk dłoni działały na Eleanor uspokajająco. Leżała bezwładnie. Z nieprzytomnym uśmiechem poddawała się jego rękom.

Ricki rozpiął jej sukienkę i muskał palcami nagą skórę. Robił to tak delikatnie, że nie wiedziała już, czy to sen, czy jawa. Pojękiwała cicho z rozkoszy. *Chicha* sprawiła, że nie miała siły się poruszać. Półprzytomna, mogła tylko leżeć i pozwalać, by ją dotykał. Nocna bryza chłodziła jej skórę, a Ricki szeptał coś uspokajająco. Nie musiała się obawiać. Przecież tylko ją głaskał.

Aż nagle położył się na niej. Przerazona, wyslizgnęła się spod niego. Nie, Ricki, nie, powtarzała. Próbował ją uspokoić. Mocno złapał za ramię, czym sprawił jej ból. Popatrzyła na silny, opalony, porośnięty ciemnymi włosami nadgarstek i z całej siły wbiła w niego zęby. Chłopak krzyknął i wyszarpnął rękę.

Ale Eleanor już biegła. Za sobą słyszała przekleństwa i jęki bólu. Zatrzymała się na skraju polany. Niezdarnie zapięła sukienkę. Nie gonił jej. Otarła łzy. Obejrzała się ponownie, ale nadal nie było go widać. Powstrzymując szloch, ruszyła więc w stronę domu. Instykt podpowiadał jej, że tam Ricki nie odważy się jej dotknąć.

Sama nie wiedziała, co powstrzymywało ją, by pójść do Johna albo do ciotki i opowiedzieć o wszystkim. O ile jednak znała kuzyna, ten próbowałby ukarać Rickiego, a to mogłoby się źle skończyć dla młodszego z chłopców. Indianie z pewnością wzięliby stronę Rickiego. A może po prostu było jej wstyd. Przecież pozwoliła się pieścić i początkowo sprawiało jej to przyjemność. Oznaczało to, że jest nie lepsza niż... Sama nie wiedziała kto, ale czuła się okropnie. Nie można nikomu pozwolić się dotykać, powtarzała jej mama. Nigdy, dopiero mężowi po ślubie. A zatem ona także ponosi winę za to, co się stało. Nie potrafiłaby opowiedzieć ciotce ani tym bardziej nie zniosłaby, gdyby Ricki mówił o tym ze swoim okropnym uśmiechem. Co John by sobie o niej pomyślał?

Cichutko więc wślizgnęła się do domu. Pokój kręcił się w kółko. Eleanor zrobiło się niedobrze. Musiała wyjść na werandę i wymiotować. Po tym jednak poczuła się lepiej. Wypiwszy odrobinę wody, wróciła do łóżka. Ogniska nadal płonęły jasno. Uroczystości miały potrwać do białego rana. Dziewczynka zamknęła oczy. Zasnęła natychmiast.

O dziesiątej Elizabeth zaczęła rozglądać się za bratanicą, ale małej nigdzie nie było widać. Lekko zaniepokojona pani Campos de Serra zapytała o nią kilku Indian. Odpowiedzieli nieprzytomnym spojrzeniem. Ich umysły już od kilku godzin drzemały uśpione alkoholem i narkotykami. Zła, poszła szukać Johna. Znalazła syna wśród grupy

indiańskich wyrostków, w których rozpoznała towarzyszy zabaw jego dzieciństwa. Ze śmiechem wspominali właśnie dawne czasy.

– John! – zawołała. – Gdzie jest Eleanor?

Natychmiast podniósł na nią wzrok. Miał spokojne, trzeźwe spojrzenie. W jego oczach nie czaiły się demony *chicha*.

– Myślałem, że jest z tobą. Kiedy widziałas ją ostatni raz? Wstał. Wyteżył wzrok, ale ciemność była nieprzenikniona.

– Nie wiem. Nagle zniknęła. Nie mam pojęcia, dokąd mogła pójść. John wychwyił nutę paniki w jej głosie. Uspokajająco poklepał matkę po ramieniu.

– Najpierw sprawdzimy, czy nie ma jej w domu. Potem zobaczymy co dalej. A tak w ogóle, gdzie jest Ricki?

Także i na to pytanie nie znała odpowiedzi. Przeklinając pod nosem, John biegł do domu. Elizabeth z trudem za nim nadążała. Starał się nie myśleć o najgorszym. Jak burza wpadł do ogrodu, jednym susem przesadził werandę i zamarł na progu pokoju Eleanor. Na łóżku leżała drobna postać, tak szczelnie otulona kocem, że tylko jasna główka wyglądała spod pościeli. Dziewczynka miała zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Spała. Mała stopka wyslizgnęła się spod moskitiery. John ostrożnie poprawił siatkę i z bladym uśmiechem odwrócił się do matki. W jego błękitnych oczach malowała się ulga.

– Przez chwilę myślałem... – nie dokończył. Nie przyznał się do / duszącego za gardło strachu ani do wściekłości sprawiającej, że gotów był rozerwać kogoś na strzępy. Elizabeth jednak nie mógł oszukać. Kiedy patrzyła w ślad za synem, ogarnęło ją złe przecucie.

Ricki i jego ludzie odpłynęli bladym świtem. Zepchnęli czółna na wodę i zniknęli wśród porannej mgły bez słowa pożegnania. John nie przejął się tym. Taki po prostu był Ricki.

Następne kilka dni minęło spokojnie. Bawili się na fazendzie i robili krótkie wypady do dżungli, gdzie John pokazywał Eleanor swoje dawne kryjówki. Zbliżał się koniec sierpnia i upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Słońce zdawało się rozpalać nawet nikłe powiewy wiatru. Rozgrzane powietrze zastygło wśród drzew. Powoli wraz z temperaturą wzrastało napięcie w domu.

Z Rio nadchodziły jak najgorsze wieści. Prezydent Vargas tracił popularność w miastach i wśród wojskowych. Coraz głośniej mówiono o korupcji i komunizmie. Michael Campos de Serra codziennie niecierpliwie oczekiwał serwisów informacyjnych w radio. Po wysłuchaniu wiadomości wściekły wychodził z pokoju.

Podczas posiłków wygłaszał długie mowy, w których wysławiał prezydenta pod niebiosa. Rozwodził się nad rozkwitem gospodarki za jego kadencji. Udowadniał, że to Vargas ochronił Brazylię przed imperialistycznymi zakusami Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Przy tych słowach zwykle obrzucał Eleanor oskarżycielskim spojrzeniem. Zachwycał się sprytem i przezornością prezydenta, który wprowadził wysokie taryfy celne na importowane towary i jednocześnie utrudniał obcemu kapitałowi wejście na brazylijski rynek. Przekonywał, że Vargas był dla Brazylijczyków kochającym ojcem.

Kiedy Elizabeth wpadała mu w słowo przypominając o rosnącej inflacji lub powoływała się na fakt, iż Vargas preferował interesy aglomeracji miejskich i okręgów przemysłowych, a

nie plantatorów, Michael wpadał w furię. Gdy zaś pewnego razu stwierdziła, że mimo rzekomych lewicowych powiązań Vargas jest w głębi serca zatwardziałym faszystą, mąż cisnął talerzem o podłogę i wyszedł z jadalni.

A potem oskarżono Vargasa o wydanie rozkazu zabójstwa lidera opozycji, Carlosa Lacerdy. W domu zapanowała cisza. Ani Michael, ani Elizabeth nie podejmowali drażliwego tematu. Odnosiło się wrażenie, że nawet drewniany budynek zamarł w oczekiwaniu na dalsze wydarzenia. John i Eleanor niepokoił się coraz bardziej, ale kolejne dni mijały bez awantur. Michael był trzeźwy.

Kłopoty zaczęły się w połowie drugiego tygodnia ich pobytu. Nic nie zapowiadało nadchodzącej burzy. Słońce świeciło mocno. Zwilżone nocnym deszczem kwiaty syciły powietrze upajającą wonią, która skusiła dzieci do wyjścia na dwór.

Eleanor siedziała w ogrodzie. Bawiła się z kociętami. Miały dopiero kilka dni. Jeszcze ślepe, poruszały się niepewnie na chwiejnych łapkach. Miauczały żałośnie, najwyraźniej domagając się pożywienia. Stara kotka, chude, zabiedzone stworzenie, nie była w stanie wykarmić tylu głodomorów. Tak więc Eleanor wyprosiła w kuchni odrobinę mleka i usiłowała napoić maleństwa.

Jeden z kociaków miauczał i tulił się do jej dłoni. John, który właśnie przykucnął obok, delikatnie pogłaskał zwierzątko.

– To się nie uda, Eleanor. W ten sposób ich nie nakarmisz. Spójrz, ten mały już właściwie nie żyje.

Wystarczył jeden rzut oka, by przekonać ją, że kuzyn ma rację. Malutki chudzielec trząsał się i dygotał, zbyt słaby, żeby jeść. Elly westchnęła.

– Potrzebny nam smoczek, jak dla niemowlaka. Czy twoja mama nie ma czegoś takiego?

Ostrożnie położyła kociątko na trawie. Maluch na chwiejnych łapkach zbliżył się do rodzeństwa. Kotka czujnie obserwowała swoją gromadkę.

– Nie wiem, może. Chodź, spytamy ją. Ale ojcu się to nie spodoba. Zawsze powtarza, że należy pozwolić światu przyrody rządzić się swymi prawami. Jeśli nie wszystkie kociaki przeżyją... cóż, w ten sposób natura zapobiega nadmiernemu mnożeniu się kotów – wyjaśnił John.

Eleanor spojrzała na przyjaciela z ukosa.

– Jeśli tak, to po co zawracać sobie głowę lekarstwami? Natura zarządziła, że mamy umierać na polio, więc po co nam szczepionki? Przecież to tylko pokrzyżuje jej plany, prawda?

Dziewczynka była zła i wcale tego nie ukrywała.

– Ludzie są wyjątkiem. Nie wolno dopuścić, by umarł człowiek, jeśli tylko można temu zapobiec. Ale to nie dotyczy zwierząt – mówił coraz ciszej, jakby sam nie wierzył we własne słowa.

Eleanor zbyt dobrze go znała.

– Akurat! Bezmyślnie powtarzasz teorię wuja Michaela. Założę się, że nakarmiłbyś głodnego psa i wystąpił w obronie katowanego konia. W końcu to ty chciałeś, żeby jaguar uciekł, prawda?

Na te argumenty John nie znalazł odpowiedzi. Zmienił więc temat.

– Czy mama ma już dla mnie prezent urodzinowy? Wiesz, co dostanę? Zatrzymał się przy drzwiach i poczekał na Eleanor.

– Pewnie, że wiem, ale ci nie powiem.

Ze śmiechem spojrzała za siebie, tam gdzie zostawili kotkę z młodymi. Nagle przestała się śmiać.

– John! John! Spójrz! Jaki on wielki! Dobiera się do kociaka! Boże, co to jest?

Nerwowo szarpała kuzyna za rękaw koszuli. Chłopiec wychylił się przez balustradę.

– O Jezu! To pajak ptasznik! Pożre kociaka!

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie słowa, a już biegł do szopy. Ponowny okrzyk Eleanor sprawił, że zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się.

Stara kotka dostrzegła niebezpieczeństwo i ruszyła malcowi na pomoc. Ptasznik jednak nie miał zamiaru rezygnować. Stał na tylnych odnóżach i zaatakował matkę. Rzucił się do przodu, ilekroć kotka się cofała, i uciekał w tył przed jej pazurami.

Eleanor zamarła, wpatrzona w przerażający spektakl.

– Zabij go, John! Zrób coś, na Boga! On ją dopadnie!

Już wkrótce stało się jasne, że pajak jest bliski zwycięstwa. Atakował kotkę ogromnymi, włóchatymi odnóżami. Był olbrzymi, miał ponad siedem cali średnicy. Johna ogarnęło obrzydzenie. Ostatkiem siły woli zmusił się, by podejść do owada, ale natychmiast uskoczył do tyłu, gdyż pajak rzucił się w jego stronę.

– Eleanor, przynieś mi szpadel! Szybko! Atakuje mnie, a ja mam tylko gołe ręce!

Wyglądało, jakby chłopak zapraszał do tańca ohydneho, większego od kraba pająka. Ustępował mu z drogi, kiedy odrażające stworzenie okazywało agresję, straszył, gdy ten podpełzał zbyt blisko, prowokował, by pajak nie próbował się ukryć.

Eleanor wracała już ze szpadlem. Rzuciła Johnowi tę prowizoryczną broń i błyskawicznie schroniła się na werandzie. Stamtąd obserwowała, jednocześnie zafascynowana i przerażona, jak John igra z ptasznikiem i drażni go. W tym czasie kotka zajęła się najsłabszym malcem.

Chłopiec ponownie ruszył do przodu, czym wywołał natychmiastowy atak. Rozwścieczony pajak nie zatrzymał się, choć John nie ustąpił mu z drogi, biegł prosto na prześladowającego go człowieka. Eleanor wstrzymała oddech. W tej chwili John z całej siły wbił szpadel we włochate ciało.

– O fe! To obrzydliwe! – Eleanor nie mogła patrzeć na drgający korpus. Odwróciła się i zwymiotowała w krzaki.

John obrócił ku dziewczynce poblądlą twarz.

– Już po nim. Cóż, teraz chyba jednak nakarmimy te kociaki, co, Elly? Trzęsącymi się rękami odrzucił szpadel na bok.

Tymczasem kotka ostrożnie przenosiła maluchy do szopy. Najwyraźniej miała już dosyć ogrodu. Eleanor zgadzała się z nią w zupełności.

– Chodź, poszukamy cioci Elizabeth. Swoją drogą, czasami nie mieści mi się w głowie, jak ona może tu wytrzymać. Jeszcze nie skończy się jeden koszmar, a już zaczyna następny. Czy ona nigdy nie chciała stąd wyjechać?

Cień w oczach kuzyna kazał dziewczynie zamilknąć.

– John? Co się stało? Westchnął.

– Mama oznajmiła mi, że na jakiś czas wraca z nami do Rio. Nie radzi już sobie z ojcem. Liczy, że tata przyjedzie po nią, a wtedy może uda się namówić go na wizytę u lekarza.

Johna przerażała myśl, że ojciec zostanie na fazendzie zupełnie sam. Oczy Eleanor przypominały dwa okrągłe guziczki.

– Czy wuj Michael już wie?

– Nie. Mama powie mu o tym dziś wieczorem przy kolacji. Boi się, jak on to przyjmie.

Z trudem przełknął ślinę.

– Czy ciocia Liz nie kocha już twojego taty?

– Och, na pewno go kocha – westchnął ponownie. Mówił zduszonym, niepewnym głosem. – Czasami to nie jest takie łatwe. Ona się go boi i strach zaczyna niszczyć jej miłość. Jeśli mama stąd nie odjedzie, sprawy się tylko pogorszą. Znienawidzi ojca za to, jak ją traktuje. Czasami ja też go nienawidzę. Ale to nie jego wina. On jest chory.

Dopiero teraz Eleanor zrozumiała, że siniaki na ciele Elizabeth nie powstały wskutek upadku na ścieżce.

Zauważyła, że John z całej siły zaciska dłonie na poręczu.

– Nie chcę, żeby został tu zupełnie sam. Proponowałem mamie, że zamieszkał z nim przez ten rok, a do szkoły wrócę później. Nie pozwoliła mi. Twierdzi, że nie dałbym sobie rady... – zamilkł. Eleanor widziała ból w jego oczach, ale nie mogła znaleźć żadnych słów pocieszenia. Pociągnęła nosem i poklepała kuzyna po ramieniu.

– John... Tak mi przykro – mówiła powoli, zachrypniętym głosem, który jakby z trudem przeciskał się przez gardło. – Wszystko będzie dobrze. Poczekaj tylko. Lekarze pomogą wujowi Michaelowi. Nie przejmuj się tak bardzo. Wszystko będzie dobrze.

Sama nie wierzyła w to, co mówi, i John wiedział o tym.

– Elizabeth! Elizabeth! Chodź! Chodź i słuchaj!

Był 24 sierpnia 1954 roku. Głos Michaela niósł się echem po długich korytarzach. Dzieci zamarły w bezruchu. Słyszały, jak Elizabeth biegnie do gabinetu męża. Radio ryczało rozkręcone na cały regulator. Podniecony spiker wykrzykiwał coś niewyraźnie. John i Eleanor nie mogli rozróżnić słów, ale zorientowali się, że w kółko powtarzana jest ta sama informacja. A potem rozległ się krzyk, przejmujący, zduszony krzyk. Odbił się echem od drewnianych ścian. Brzmiał, jakby Michaelowi wrywano serce. Dzieci znów usłyszały tupot kroków, a potem trzaśnięcie, któremu towarzyszył szczęk zasuw. Stojąc w mrocznym holu, wstrzymały oddech.

– Michael! Michael! Otwórz, proszę! Michael! – wysokim głosem Elizabeth przerwał ciszę. Głuche uderzenia w zaryglowane drzwi zamierały w nieruchomym powietrzu. – Michael!

John pobiegł w stronę, skąd dochodził głos matki. Zaciskał pięści z całej siły, tak że paznokcie boleśnie wpijały się w dłonie. Ujrzał Elizabeth pod drzwiami sypialni ojca. Zapłakana, waliła w masywne drewno.

– Michael – szeptała z twarzą przy drzwiach. – Michael.

– Mamo? Co się stało?

Rozejrzała się nieprzytomnym wzrokiem. Włosy opadały jej na twarz i zasłaniały rozszerzone, błyszczące oczy. Złapała syna za ramię.

– John, Vargas nie żyje. Zastrzelił się. Właśnie podali tę wiadomość w radio – szarpała chłopca zrozpaczona. – Twój ojciec oszalał. Jego krzyk! O Boże, żebyś ty go widział! Zamknął się w sypialni. Ma broń... Boję się, John. Boję się, że sobie coś zrobi.

Ponownie przycisnęła policzek do drzwi.

– Michael?

Zapukała cicho. Z pokoju nie dobiegał żaden odgłos.

– Michael?

John zostawił matkę i pobiegł do jadalni, a stamtąd na werandę, gdzie wychodziły drzwi i okna sypialni ojca. Ale okiennice były zamknięte. Chłopiec próbował zajrzeć przez owe otwory, które pierwszego wieczoru tak dziwiły Eleanor. Choć czuł się bezbronny, kiedy tak stał z okiem przy przeznaczonym na lufę karabinu otworze strzelniczym, nie cofnął się, dopóki nie stwierdził, że nie zdoła odemknąć ciężkich osłon. Okiennice i drzwi zaryglowano od wewnątrz. Nie było siły, by je rozewrzeć. Przetrwały wszak niejedno oblężenie.

Nieśmiało zapukał.

– Tato? Tato, to ja, John. Czy mógłbyś otworzyć okno i porozmawiać ze mną? Proszę!

Czekał na próżno.

– Tato? Słuchaj, naprawdę mi przykro, że Vargas nie żyje. Wiem, jak bardzo go cenileś. Twoja śmierć w niczym nie pomoże. On odszedł, ale ty musisz żyć. Potrzebujemy cię. Tato? Tato, słyszysz mnie? Mama i ja potrzebujemy cię. Nie możesz nas zawieść!

Chłopiec nadśluchiwał przez chwilę, lecz w środku panowała głucha cisza.

– Tato, nie wiadomo przecież, czy dojdzie do puczu. Prawie na pewno nie. A jeśli nawet, to dla nas, tu w dżungli, nie będzie to miało znaczenia. Tato, proszę, wyjdź i porozmawiaj z nami, ze mną i z mamą. Martwimy się o ciebie. Nadstawił ucha.

– Powiedz coś chociaż, żebyśmy wiedzieli, że żyjesz. Cisza.

John czekał przez następne dziesięć minut. Wołał Michaela co jakiś czas, ale bez rezultatu. Tracił już resztki opanowania. Strach i wściekłość sprawiały, że oddychał coraz szybciej. Po raz kolejny uderzył pięścią w okiennice.

– Tato, co zamierzasz zrobić? Wybrać najłatwiejsze rozwiązanie, a nas zostawić z całym tym bałaganem? Tak? O to ci chodzi? A ja zawsze uważałem cię za bohatera! Myślałem, że jesteś najodważniejszy, najdzielniejszy! A ty po prostu chcesz uciec. Uciec i zostawić nas samych. Tato, błagam!

Płakał. Walił pięściami i krzyczał w szpary zatrzaśniętych okiennic, aż zdarł sobie skórę do krwi i nie mógł dłużej mówić. Ale okna nadal pozostawały zamknięte, a ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

– John, John, chodź. Chodź, to nie ma sensu.

Chłopiec otworzył oczy. Tuż za nim stała matka. Na jej twarzy malował się ten sam co u syna wyraz rozpacz i gniewu. W głosie jednak nie było już strachu, tylko normalna łagodność i opanowanie.

– Chodź, kochanie. Nic nie możesz zrobić. Wszystko będzie dobrze, masz na to moje

słowo.

Prowadziła go, jakby był inwalidą. Spazmy wstrząsały nim tak gwałtownie, że nie mógł utrzymać się na nogach.

Eleanor stała w drzwiach. Łzy, które gromadziły się od dawna pod powiekami, popłynęły teraz strumieniem. Nie odrywała wzroku od Johna.

– Czy on nie żyje? – wychlipała zduszonym głosem. Elizabeth pokręciła głową.

– Ależ skąd. Nic mu nie będzie. Eleanor, pomóż mi zaprowadzić Johna do salonu. Chodź, kochanie. No, nie płacz już. Rozchorujesz się, jeśli będziesz się tak wszystkim przejmować.

John przestał się trząść dopiero, kiedy ułożyły go na kanapie i zmusiły do wypicia szklaneczki brandy. Uspokoił się. Leżał bezmyślnie wpatrzony w sufit.

Elizabeth zostawiła syna pod opieką Eleanor i poszła zaparzyć herbatę. Nie próbowała już rozmawiać z mężem.

Eleanor przycupnęła na sofie obok Johna. Z całej siły ścisnęła jego dłoń. Wstrząsały nią dreszcze, ale John niczego nie zauważył. Martwym wzrokiem wpatrywał się w lampę.



## Rozdział czwarty

O dziesiątej oczy Eleanor zamykały się ze zmęczenia. John również był skrajnie wyczerpany. Elizabeth podała im herbatę i usiłowała namówić do zjedzenia kolacji, ale chłopiec nie był w stanie przełknąć ani kęsa. Elizabeth robiło się niedobrze na samą myśl o mężu. Także Eleanor nie miała apetytu. Pani Campos de Serra wysłała więc dzieci do łóżek.

Choć w domu panowała cisza, dużo czas upłynęło, zanim zapadli w płytki, niepokojący sen. Leżeli ubrani w łóżku Johna, we wzajemnej bliskości szukając pociechy i bezpieczeństwa.

John obudził się przed świtem. Nie wiedział, co wyrwało go ze snu, ale czuł się nieswojo. Wytężył wzrok, jednak w ciemnym pokoju nie dostrzegł nikogo obcego. U jego boku spała Eleanor.

Już miał położyć się, kiedy znów to usłyszał. Krzyk, zduszony, przerażony krzyk: „nie, Michael, nie!” A potem rozległ się huk wystrzału.

Chłopiec wyskoczył z łóżka i podbiegł do drzwi. Otworzył je gwałtownie i głuchy na wołania Eleanor, biegiem rzucił się w stronę pokoju rodziców.

Żółć podeszła mu do gardła. Bał się, że zacznie wymiotować, zanim dobiegnie do celu. Dobrze wiedział, co tam zobaczy.

– Tato – szeptał, a serce ścisnęło mu się z bólu. – Tato, błagam, nie.

Ostrożnie uchylił przymknięte drzwi. Zmusił się, żeby spojrzeć.

Krew była wszędzie: na podłodze, na łóżku, na ścianach. Na tle białej pościeli i moskitiery płonęły szkarłatne plamy. Nocna bryza kołysała lampą naftową, wprawiając cienie w rytmiczny ruch. John widział, jak tańczą po ciele leżącym na łóżku, jasno-ciemno, jasno-ciemno. Nagle przeczuwając grożące mu niebezpieczeństwo, popatrzył w prawo. Ojciec stał kilka metrów od niego. Uśmiechał się.

Chłopiec wrócił spojrzeniem do ciała matki. Poczł irracjonalną ulgę, że nie widzi jej twarzy. A potem dostrzegł, jak ojciec nieskończenie wolno unosi strzelbę i celuje prosto w niego. Wiedział, że umysł płata mu figle, wszystko dzieje się w normalnym tempie. Zauważył jeszcze jedno – uśmiech Micheala, szalony, maniackalny grymas, uśmiech zrodzony z *chicha*.

Cofnął się w ostatniej chwili. Drzwi eksplodowały setkami drzazg. John wiedział, że oskołki drewna poraniły mu ciało, ale nie zatrzymał się. Uciekał przed wrzaskiem ojca. W ustach czuł smak krwi, pewnie ugryzł się w język. Smak krwi i czegoś jeszcze, czegoś gorszego – gorzki, ostry, mdlący smak nienawiści.

Na Eleanor natknął się w połowie korytarza. Kazał jej biec. Dziewczynka jednak rozglądała się tylko, nie wierząc własnym oczom. Złapał ją więc za rękę i pociągnął za sobą. Wypadli na dwór, do ciemnego ogrodu. Za nimi niósł się chichot Michaela.

John ominął drzewo jacarandy. Biegł tak szybko, że Eleanor nie mogła za nim nadążyć. Upadła. Pomógł jej wstać i ruszyli dalej. Następnym strzałem rozerwał korę w miejscu, gdzie stali kilka sekund wcześniej.

Przemknęli się od werandy do szopy, od szopy do stodoły. Gnali ile sił w nogach przez

kolejne tereny otwartej przestrzeni. Co chwila zerkali przez ramię, ale byli zbyt przerażeni, by móc skoncentrować się na niewyraźnych cieniach. Krótki odpoczynek dawały im tylko rzucające cień ściany budynków. Przyciskali się do nich z całych sił, oddychając szybko i płytko. W pewnej chwili Eleanor zaczęła histerycznie szlochać. Wśród ciemności jej twarz lśniła śmiertelną bladością.

John zakrył kuzynce usta dłonią.

– Cicho! – syknął. – Usłysz nas!

Gdzieś, bardzo blisko, żwir zachrzęścił pod ludzką stopą. Chichot – radosny, stłumiony, chytry chichot – sprawił, że znieruchomieli. John odciągnął Eleanor. Kiedy znikali za rogiem, noc rozdarły czerwone błyski wystrzałów. Kulki śrutu trafiły ich oboje, ale nie przestawali biec. Byli coraz bliżej dżungli. Jeszcze kilka metrów i oto nagle znaleźli się wśród drzew. John zatrzymał się.

Nad słuchiwali. Głos Michaela, zwycięski i szyderczy, wibrował w mroku nocy.

– Widzęęę waaas! Iidęę! – krzyczał, jakby bawili się w upiorną wersję chowanego. Śmiech szaleńca przyprawiał dzieci o lodowaty dreszcz.

John nachylił się do ucha Eleanor. Szeptał tak cicho, że z trudem rozróżniała słowa:

– Jeśli będziemy zachowywać się spokojnie, nie znajdzie nas. Na razie nie możemy wchodzić głęboko w dżunglę. Jest za ciemno. Chodź, wiem, gdzie się ukrywamy.

Dziewczynka skinęła głową. Bała się, że jeśli otworzy usta, nie powstrzyma histerycznego okrzyku. John nas uratuje, powtarzała sobie. Dopóki jest z nią John, wszystko musi być dobrze.

Ruszając za kuzynem, jeszcze raz obejrzała się. Wuj stał pośrodku polany. Rozglądał się dookoła i przestępował z nogi na nogę. Szeroki, obłąkany uśmiech zmienił jego twarz nie do poznania.

– Wiiiidzęęę waaas! – zawołał.

Eleanor odwróciła się w popłochu. Nie mogła dostrzec żadnej ścieżki, żadnego szlaku, a jednak John pewnie podążał naprzód. Przedzierali się przez kolczaste krzewy, przemykali wśród drzew, ostrożnie omijali węże, rozrywali pajęczyny. Owady cięły ich bezlitośnie. Eleanor z całej siły zaciskała usta, żeby nie zacząć krzyczeć.

Zbliżali się już do rzeki, świadczył o tym cichy szmer płynącej wody. Potem wspięli się na skalny występ. John odchylił zasłonę zwisających pnączy i oczom dzieci ukazała się malutka grotka. Weszli do środka. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i zgnilizny. Przycupnęli pod ścianą.

Nad słuchiwali czujnie, jednak nie dochodziły ich odgłosy pogoni.

Czaili się w ciemnościach, wstrzymując oddech, by nikt ich nie usłyszał. Z zewnątrz dobiegał tylko szum wody i dźwięki typowe dla dżungli nocą. Po dłuższym czasie odważyli się odetchnąć pełną piersią.

John kazał Eleanor oprzeć się o skalną ścianę, tak że teraz na poły kuciała, na poły siedziała na stopach. Wtuliła głowę w splecione ramiona. John nie zwracał na nią uwagi.

– Odszedł? – zapytała szeptem.

Nie odpowiedział od razu, nadal nad słuchiwał.

– Tak, chyba tak. Być może rano ruszy naszym śladem, nie wiem. Jest pijany i... szalony. Eleanor, on zupełnie oszalał. Śmiał się! – nie mógł mówić dalej. Bał się, że wówczas nie zapanuje nad gniewem. Po chwili opanował się na tyle, by odezwać się ponownie. – Mama nie żyje.

– Nie żyje? To niemożliwe! O Boże, nie, to niemożliwe... – dziewczynka zaczęła płakać, więc przytulił ją do siebie. Jej łzy moczyły mu koszulę, jego spływały po policzkach. Pnącza szeleściły szarpane nocnym powiewem. Wiatr nasilał się, poruszał drobne gałązki i liście. Wtedy właśnie usłyszeli śpiewanie.

Płynęło z lewej strony, unosiło się i opadało. Smętna melodia tańczyła nad dżunglą, spowijała nocny krajobraz łagodną melancholią. Eleanor niemal bezwiednie podchwyciła rytm i nuciła cichutko. Jej cienki, żaloszny głosik powtarzający tubylczą pieśń przyprawił Johna o zimny dreszcz.

– Przestań! – rzucił ostro.

Usłuchała natychmiast. Sama nie wiedziała, dlaczego w ogóle zaczęła nucić. Melodia wkradła się do jej świadomości i była tam, zanim Eleanor się zorientowała. Dziewczynka przełknęła ślinę.

– Czy to z kaplicy? Pewnie są tam wszyscy robotnicy? I Monkey, i Hatchet? Oni nam pomogą, prawda?

– Może. Tak, chyba tak. – John wyraźnie nie miał ochoty opuszczać kryjówek.

Eleanor nie dawała za wygraną.

– Przecież mają broń. Albo może podkradną się do wuja Michaela i rzucą na niego sieć. Tym sposobem złapiemy go, a jednocześnie nic mu się nie stanie.

Przeraziła ją reakcja Johna. Nigdy dotąd nie słyszała tyle nienawiści w jego głosie.

– Mam nadzieję, że go zabiją! Zasługuje na śmierć. Będzie się smażył w piekle! – splunął.

Eleanor nie poznawała go. Nie mogła wykrztusić słowa. Chłopak zaciskał z całej siły pięści.

– Nie spocznę, dopóki go nie zabiję. O Boże! Mamo! – rozplakał się. Szlochał głośno, nie myśląc o niebezpieczeństwie. Nagle zerwał się na równe nogi.

Eleanor złapała go za ramię.

– Cśśś! John, cicho! Błagam! – szepnęła. Odepchnął ją. Zatoczyła się na ścianę i upadła z cichym jękiem. John zastygł w bezruchu. Przez chwilę oddychał ciężko, ale zaraz podszedł do kuzynki i pomógł jej usiąść.

– Przepraszam, Elly. Naprawdę przepraszam. Czy coś cię boli? Tulił ją do siebie i głaskał. Poczł krew na palcach, nie był jednak pewien, z czyich ran pochodzi. To zresztą i tak nie ma znaczenia, pomyślał zrezygnowany. Nigdy nie uda im się uciec. Chowając się, tylko odwekali nieuniknione. Jak mama. Znowu zobaczył zwłoki, białe, poznaczone szkarłatnymi plamami. Przytulił Eleanor mocniej. Oboje płakali ze strachu i gniewu.

Nareszcie łzy przestały płynąć. John przez chwilę rozmyślał nad czymś intensywnie. Potem delikatnie obmacał ciało kuzynki w poszukiwaniu ran. Kiedy dotknął łydki, dziewczynka gwałtownie wciągnęła powietrze. Nogawka spodni była mokra od krwi.

– Trafił cię w nogę? Czy to się stało, kiedy cię popchnąłem? – zapytał zduszonym głosem.

Eleanor pogładziła go po nosie. W ciemnościach musiała zgadywać, gdzie jest twarz Johna.

– To tylko trochę śrutu, nic strasznego. Ty pewnie też dostałeś. Raczej wyczuła, niż zobaczyła, jak twierdząco kiwa głową.

– Tak, całkiem sporo. I mam powbijanych masę drzazg, ale to musi poczekać do rana. Chodź, idziemy do kaplicy.

Pomógł jej wstać. Ku jego uldze utykała tylko nieznacznie. Ostrożnie wypęzli z grotu.

Długo szukali świątyni. Eleanor padała z nóg, kiedy wreszcie dostrzegli światła. John wiedział o istnieniu tego miejsca, nigdy dotąd jednak tu nie był. Nie odważył się złamać podwójnego zakazu: zarówno ojciec, jak i Indianie nie pozwalali mu zapuszczać się w tę okolicę.

Indianie nazywali swoją kaplicę „Domem Snów”. Stała na skraju polany. Dzieci, przestraszone i niezdecydowane, ukryły się wśród drzew. Bały się podejść bliżej.

Eleanor dostrzegła sylwetki tańczących do wtóru donośnego śpiewu. Oddychała powoli. Nagle poczuła się bardzo zmęczona i śpiąca.

– Chodź! – John pociągnął ją za sobą. Błyskawicznie przebiegli przez polanę i przywarli plecami do ściany budynku.

Nikt ich nie ścigał. Żadne strzały nie zagrzmiały w nocnym powietrzu. Nic nie zakłócało monotonnej indiańskiej pieśni. Odetchnęli głęboko i skręcili za róg. Ostrożnie zajrzeli do środka przez szeroko otwarte drzwi.

Eleanor cofnęła się od razu, ale John nie pozwolił jej uciec. Mocno ścisnął dziewczynkę za rękę i zakrywał dłonią usta. Kiedy się uspokoiła, puścił ją, a sam ponownie dał krok naprzód.

W przeciwległym końcu świątyni, w miejscu gdzie zazwyczaj znajduje się ołtarz, stał duży hebanowy posąg. Górował nad całym zasnutym kłębam dymu pomieszczeniem. Ramiona wyrzeźbionej postaci oplatała skóra węża boa, biodra okrywała spódniczka z traw. Pod czapą z papuzich piór widniał wieniec z kaktusów. Z szyi zwisał naszyjnik z ludzką czaszką. Ciemne, podobne do kłów zęby połyskiwały w ustach czarno-czerwonej twarzy. Posąg zdawał się patrzeć prosto na dzieci. Wyglądał, jakby rozwierał wargi, by krzykiem powiadomić o obecności intruzów.

Figura była przybita do olbrzymiego krzyża. Z ran w nadgarstkach ściekała częściowo zakrzepła krew. Nad głową widniał napis PAWA. To znaczy Chrystus, John przypomniał sobie słowa ojca. Pawa, Syn Boży.

U stóp krucyfiksu leżały dary ofiarne: surowe mięso i owoce. Przed ołtarzem zebrało się kilkanaście kobiet i dziewcząt, które John znał z widzenia. Ich nagie, nasmarowane tłuszczem ciała lśniły, wyginając się w rytualnym tańcu. Modlące się były w transie, nie zauważały nikogo ani niczego. Mokre od potu włosy oblepiały im nieprzytomne twarze. Mężczyzna wirujący wśród nich raz za razem ciał się w ramię. Krew z ran spływała do miseczki, którą co chwila unosił w stronę ołtarza.

Lampki oliwne rzucały na tę scenę niepewne, migotliwe światło. Nierówne płomyki zdawały się wieścić groźbę.

Eleanor nie mogła opanować drżenia.

Głuchy łoskot bębnow i jęklive zawodzenie fletów przybrały na sile. Mężczyźni rozsiedli się po lewej, kobiety po prawej stronie. Pograżeni w transie, obserwowali, jak wielki kapłan Bractwa Tańczącej Anakondy skacze, kołysze się i z każdym ruchem zbliża do roztańczonych kobiet, co pewien czas szlochając i krzycząc coś głośno, ale nie na tyle wyraźnie, by John mógł zrozumieć.

Chłopiec dostrzegł szklisty wzrok Indian, ich zwiotczałe ciała i niezdarne ruchy. Tubyłcy pograżeni byli w narkotycznym transie. Odciągnął więc Eleanor na bok.

– To nie ma sensu – szepnął, kiedy znaleźli się już w bezpiecznej odległości od świątyni.  
– Dużo czasu upłynie, zanim oprzytomnieją. Wolę, żeby nie wiedzieli, że ich widzieliśmy. Nie wiem, jak by zareagowali.

Dziewczynka wzdrygnęła się nerwowo.

– No i co teraz zrobimy? – spytała. John wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Musimy się stąd wydostać sami, nie licząc na niczyją pomoc. Chodź, już prawie świta. Trzeba się ukryć.

Pociągnął ją w głąb dżungli.

Dużo później usłyszeli strzał, ale wtedy byli już daleko, w pobliżu wodospadu. Pierwsze promienie słońca oświetlały korony drzew. Przystanęli, jednak huk nie powtórzył się. W ponurym milczeniu pomaszrowali więc dalej.

Kiedy dotarli na najwyższej położony występ skalny, John zarządził postój. Pomarańczowa jasność zalewała niebo, światło świtu próbowało przedrzeć się przez zielone sklepienie. Liście, wilgotne od rosy, lśniły jak wypolerowane. John usiadł. Eleanor poszła za jego przykładem. Chłopiec był zmęczony i zrezygnowany. Charakterystyczna dla niego żywotność przeszła w apatię. Przez chwilę wpatrywał się w czubki butów, jakby tam szukając odpowiednich słów.

– Elly, teraz musimy podjąć decyzję. Możemy iść na południe, na fazendę Rickiego. To dzień lub półtora ostrego marszu, ale znam drogę. Ricki nam pomoże. Ojciec nie odważy się ścigać nas u Carvalhów. Będziemy jednak musieli przemknąć przez obszary Villa Serrista... – zamilkł, kiedy zobaczył, z jakim uporem dziewczynka kręci głową. – Poczekaj, Elly. Wiem, że to ryzykowne, ale druga możliwość jest jeszcze gorsza. Trzeba by iść na wschód, wzdłuż strumienia. Potem wejdziemy w głąb lasu, aż dotrzemy do terenów misji. Wiem, że jest położona gdzieś nad innym dopływem Parany. To co najmniej trzy dni marszu. Znam dżunglę tylko do granicy terytoriów Indian Pareci, a to zaledwie połowa drogi. Dalej – zwilżył językiem wyschłe usta – zaczyna się kraina Morcego, Plemienia Nietoperzy. Są nastawieni wrogo do Pareci, a co za tym idzie, także i do nas. Nie wiem, czy uda mi się przeprowadzić nas tamtędy nie zwracając ich uwagi.

Spojrzał na kuzynkę, by upewnić się, że dotarło do niej, z jakimi niebezpieczeństwami wiąże się wybór drugiej trasy, ale Eleanor wciąż uparcie kręciła głową.

– Nie pójdę do Rickiego – powtarzała z zaciętą miną.

John nie mógł tego pojąć.

– Dlaczego nie, Elly? To dużo rozsądniejsze wyjście. Tak, trudno nam będzie przemknąć się przez fazendę ojca...

– Nie! Nie pójdę! Idź sam. Wrócisz po mnie i sprowadzisz pomoc. Oplotła kolana ramionami i skulona spuściła wzrok. Nagle Johnowi przypomniały się niepewność i strach, których doznał podczas nocy *Shingirotse*, gdy dowiedział się, że mała zniknęła.

Głęboko wciągnął powietrze zanim odważył się zapytać:

– Dlaczego nie, Elly? Co się stało? Czy Ricki... zrobił ci krzywdę? Drgnęła i uciekła wzrokiem. John pobladł.

– Elly, powiedz mi. Wiesz, że możesz mi zaufać, nikomu nie pisnę ani słowa. Muszę to wiedzieć. Elly?

Wiele minut upłynęło, zanim wreszcie odważyła się spojrzeć na kuzyna. Jej oczy wydawały się duże i ciemne w bladej twarzy.

– On mnie dotykał! – wydusiła spomiędzy zaciśniętych zębów. – Dał mi do picia biały napój i zaprowadził w dżunglę.

Nagle opuściła głowę. Nie była w stanie mówić dalej, nie mogła wytłumaczyć, że częściowo sama była winna. Z oczu popłynęły łzy.

– Elly? Gdzie cię dotykał? Pokaż mi. – John na próżno starał się opanować drzenie głosu. Dziewczynka pokręciła głową.

– Czy zrobił ci krzywdę? Czy coś bolało? – nie dawał za wygraną. Elly bez słowa zaprzeczyła.

– Elly, błagam! Musisz mi powiedzieć! – złapał ją za ramiona i potrząsnął.

– On... on rozpiął mi sukienkę i dotykał... tutaj – z wahaniem pokazała ręką. – A ja mu na to pozwalałam, John. Dopiero kiedy chciał się na mnie położyć, ugryzłam go i uciekłam – szlochała spazmatycznie. Płacz Eleanor wdierał się w jego rozszalałe myśli. Starając się opanować, John zdobył się na czuły, uspokajający uśmiech.

– Nie płacz, kochanie. To nie twoja wina. Ricki to kawał sukinsyna. Spoił cię *chicha*. Nie mogłabyś go powstrzymać. No cicho – tulił ją i uspokajał. Starał się zatrzeć w jej pamięci złe wspomnienia, zbagatelizować całe zdarzenie. – Dobrze zrobiłaś, że go ugryzłaś. Mam nadzieję, że wył z bólu! – uśmiechnął się, by pokazać zapłakanemu dziecku, że nie ma czego się bać ani wstydzić. Nie pozwalał dojść do głosu wściekłości, która gotowała się w nim, wrzała nienawiścią, zostawiając na języku cierpki posmak.

Eleanor odważyła się roześmiać.

– Owszem! Z całej siły ugryzłam go w kciuk. Wrzasnął i nie próbował mnie gonić. – Poczucie grozy zniknęło. Jej umysł przetransformował tamtą scenę, z przerażającego wspomnienia został tylko zabawny incydent – przecież to ona zwyciężyła.

John przygarnął kuzynkę do siebie.

– Nic dziwnego, że cię nie gonił. Dałabyś mu poczuć siłę swoich ząbków, prawda? Dobra dziewczynka! Spisałaś się na medal! A teraz posiedź przez chwilę cichutko. Muszę się zastanowić.

Wstał i podszedł do krawędzi urwiska. Wpatrzony w wodną kipieli ślubował zemstę. Oddychał głęboko, żeby ostudzić rozszalały gniew. Pewnego dnia spotkamy się, Ricki. Pewnego dnia.

Po chwili wrócił do Eleanor.

– Wstawaj, Elly. Idziemy na wschód.

Podał jej rękę. Podniosła się bez słowa sprzeciwu.

Pierwszy dzień wędrówki był męczący, ale posuwali się naprzód dość szybko. John dobrze znał trasę. Przemykali się wśród drzew tortugi, omijali ścieżki tapirów, ostrożnie przeskakiwali liany matopalo. John ostrzegł ją, by uważała na węże. Niedawne deszcze sprawiły, że gady wypełzały ze swoich kryjówek i czaiły się wśród kolczastych krzewów akacji, gotowe do ataku. Przez pierwsze kilka godzin Eleanor szła sztywna ze strachu, przekonana, że lada moment poczuje, jak oplata ją twarde i giętkie niczym pejcz ciało. Później, kiedy zmęczenie i strach dały się bardziej we znaki, przestała o tym myśleć. Nie rozglądając się, szła za Johnem. Przedstawiała opłakany widok: mała dziewczynka w przepoconym ubraniu, z gałązkami i liśćmi we włosach.

Podczas postojów pili wodę z rzeki. Wiedzieli, że powinni ją najpierw zagotować, ale nie mieli po temu ani czasu, ani możliwości. Jedli owoce, które zrywał dla nich John, i pili biały płyn spływający po czerwonym pniu nie znanego Eleanor drzewa. Po południu zatrzymali się na dłużej. John zmajstrował łuk i wystrugał strzały. Za grotę posłużyły ostre i twarde liście jakiejś palmy. O zmierzchu, kiedy zwierzęta szły do wodopoju, udało mu się ustrzelić arę. Spadała przy akompaniamencie przeraźliwych pisków i trzepotania skrzydłami.

Oskubał ją, nie zwracając uwagi na przerażoną minę Eleanor. Po niemal godzinie energicznego pocierania patykiem o patyk rozpałił małe ognisko. Zanim ptak był gotów do zjedzenia, zapadł zmrok. Eleanor czuła się tak wyczerpana, że prawie nie mogła jeść. Położyła się obok Johna. Chłopiec okrył ją liśćmi palmy słoniowej, zasnęła natychmiast. Wokół nich dżungla tętniła nocnym życiem. W ciemności niesły się ryki, piski i szelesty.

Następnego ranka obudził dzieci deszcz, ale bardzo szybko wypogodziło się. Upał powrócił z pełną siłą. Woda parowała, zasnuwając powietrze duszącymi oparami. Zjedli resztkę mięsa ary i wypili odrobinę gotowanej wody. Ciałem Eleanor wstrząsały dreszcze. Pot zalewał dziewczynce oczy, sprawiał, że widziała wszystko jak przez mgłę. Gorączka wymalowała jej na policzkach czerwone rumieńce. John znał te objawy. Zmełł w ustach przekleństwo.

Koło południa zarządził postój. Przysiadł na korzeniu, który wyrastał z ziemi wielkim garbem jak zgięty wpół palec. Eleanor wściekle drapała się w kostki. John kazał jej wstać, żeby lepiej obejrzyć poranione nogi. Duże, twarde guzki o średnicy mniej więcej centymetra pokrywały jasną skórę. Podciągnął dziewczynce skarpetki i wpuścił w nie nogawki spodni.

– Nie drap tego, Elly. To tylko pogorszy sprawę. Opuść rękawy i zapnij się pod samą szyję.

– I – Co to? Moskity? – z trudem powstrzymała ochotę, by ponownie podrapać się w nogę. Pokręcił głową.

– Nie. To muchy tabana, duże zielono-brązowe gzy. Kiedy dotrzemy do misji, opatrzymy

ukąszenia.

Nie powiedział jej, że w guzkach tkwią jaja owadów, które za dzień lub dwa spowodują stan ropny.

– Muszę zrobić bukłaki. Niedługo skręcimy w głąb dżungli. Musimy mieć zapas wody. Jeśli chcesz, możesz się teraz umyć. Przez jakiś czas nie będziesz mieć ku temu okazji.

Odwrócił się. Starannie zszywał skórę ary igłą z kolca i nicią z włókna palmowego. Za bukłaki posłużyły mu także łuski olbrzymich nasion.

– Na razie muszą nam wystarczyć owoce marajś. Później postaram się coś upolować, może iguanę, ale teraz trzeba się pośpieszyć, jeśli nie chcemy utknąć tu na wieki. Pora deszczowa może się zacząć lada dzień.

Wstała posłusznie. Uśmiechała się. Miała błyszczące oczy i zaróżowione policzki. Roześmiała się radośnie i podała chłopcu rękę. Nuciała melodię zasłyszaną w świątyni. John delikatnie odwzajemnił uścisk. Gorączka dopadła Eleanor na dobre.

Wędrowali wśród drzew, na których zerowały podobne do owoców ananasa pasożyty. Czerwone kwiaty wyrastały wysokie, prawie na metr. Eleanor chciała zerwać jeden z nich i boleśnie skaleczyła się w dłoń. John owinął jej rękę swoją chusteczką.

Rany postrzałowe wyglądały okropnie. Z napuchniętego ciała wyciekał przezroczysty płyn. Kiedy John próbował wymacać ziarna śrutu, pojawiła się ropa. Zdecydował, że z oczyszczeniem ran lepiej poczekać, aż dotrą do misji. Muszą się jednak śpieszyć.

Ku jego zdziwieniu nawet późnym popołudniem drugiego dnia nie spotkali Indian, choć wyczuwał ich obecność. Od mniej więcej dwóch godzin znajdowali się na terytorium plemienia Morcego. Z każdą chwilą John denerwował się coraz bardziej. Eleanor słabła w zastraszającym tempie. Szła wolniej i wolniej, ciągle musiał na nią czekać. Zatrzymali się, kiedy przypomniała sobie, że dziś są jego urodziny. Odśpiewała „Happy Birthday”, śmiała się, żartowała i płakała. To gorączka wywoływała szybkie zmiany nastroju. Wieczorem było oczywiste, że dziewczynka nie zrobi ani kroku dalej. Skulone pod drzewem banyanu dzieci żuły korzonki, które John zdołał wygrzebać. Tego dnia nie dopisało mu szczęście, niczego nie upolował.

Eleanor była nieprzytomna, majaczyła. Szczebotała coś do ojca, potem spytała cicię Liz, czy naprawdę urządzą piknik przy wodospadzie i czy to nie cudownie, że tatuś po nią przyjechał? John zaciskał zęby i nie zważając już na łzy spływające mu po policzkach, trzymał małą za rękę. Potem dziewczynka zrobiła się niespokojna, rzucała się i prosiła o coś, czego nie mógł zrozumieć. Kwiliła cichutko jak ranne zwierzątko. W końcu zapadła w płytki, męczący sen, który zaludniały potwory i upiory. John leżał obok. Usiłował ogrzać ją własnym ciałem.

W otaczającej dzieci ciemności czaiły się niewidoczne postacie o bystrych oczach. Chłopiec nie ruszał się w obawie, że sprowokuje tym cienie, sprawi, że się zmaterializują. Nic takiego jednak się nie stało. W końcu wyczerpany usnął.

Trzeci dzień okazał się najgorszy. Gorączka Eleanor nie spadała. Dziewczynka majaczyła, śniła koszmarne sny. John musiał ją nieść. Co godzina pozwalał sobie na krótki postój. Wiedział, że muszą iść, to ich jedyna szansa. Wiedział też, że nie może zostawić



Eleanor. Umarłaby od ukąszeń owadów lub rozszarpana przez dzikie zwierzęta jeszcze przed zachodem słońca. Niósł więc kuzynkę, niósł i przeklinał cały świat, niósł, aż osuwał się na ziemię skrajnie wyczerpany. Do południa pokonał zaledwie połowę zaplanowanego odcinka. Nie mógł obserwować słońca. Zielone sklepienie nie przepuszczało wiele światła, było jak drugie niskie niebo. Chłopiec wiedział jednak, że słońce jest gdzieś tam, wysoko, podobnie jak pewien był, że śledzą ich Indianie, choć dostrzegał jedynie ulotne cienie.

Według jego oceny od misji dzielił ich jeszcze dzień drogi, ale czy tam dotrą, zależało tylko i wyłącznie od owych cieni. Niewidoczne postacie posuwały się w ślad za dziećmi cicho i pewnie. Strach nie pozwalał chłopcu odpocząć, zaciskał lodowatą dłoń na płucach, z których wydobywał się płytki, urywany oddech. John nie mógł nic na to poradzić. Szedł, słaniając się pod ciężarem Eleanor, nie czując już zdrętwiałych dłoni.

Wreszcie ostrożnie ułożył dziewczynkę na ziemi. Otarł pot z czoła, kucnął i przytknął buklak do ust. Następnie usiłował wlać trochę wody między zaciśnięte zęby chorej. Cenny płyn ściekał jej po szyi. John rozplakał się. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że nie są sami.

Było ich czterech, pozostali kryli się w zaroślach. Pochylony nad Eleanor John wiedział, że wkrótce umrze. W ustach zabrakło mu śliny, adrenalina zmuszała serce do szalonego rytmu. Skona powoli, być może w męczarniach. Nawet najodważniejsi Pareci drżeli na samą wzmiankę o plemieniu Morcego.

Czterej Indianie wpatrywali się w chłopca intensywnie. Po włosach ufarbowanych na żółto i ciałach pokrytych czerwoną farbą rozpoznał w nich Ludzi Nietoperzy. Morcego. Zamknął oczy. Teraz już nic nie może zrobić. Właściwie było mu to obojętne. Żałował jedynie Eleanor, nie siebie, nie, naprawdę. Bezgłośnie szeptał modlitwę, której nauczyła go matka.

Kiedy otworzył oczy, już ich nie było. Przez trzydzieści nieskończenie długich minut trwał w bezruchu. Nic się nie działo. W końcu wstał, dźwignął bezwładne ciało Eleanor i ruszył dalej.

Wieczorem dziewczynka odzyskała przytomność, John wiedział jednak, że to tylko chwilowa poprawa. Leżał obok kuzynki w ciemności i zastanawiał się, czy Indianie powrócą.

Czy przyjdą tej nocy? Zakradną się, kiedy on i Eleanor zasną, i zamordują ich bezszelestnie? Czy też poczekają do świtu i wtedy zaatakują rozzwierając poranną ciszę wojennymi okrzykami, które sprawiają, że cała dżungla zastygnie w przerażeniu? O Boże! Wzdrygnął się. Pot na jego twarzy połyskiwał w mroku.

Zwymiotował, wściekły, że czuje w ustach mdły smak strachu. Nie miał innego wyjścia, musi iść w nocy. Byli już tak blisko celu, tak bardzo blisko. Wyobraził sobie zapach dymu i pokryte strzechą chaty. Będzie niósł Eleanor z nadzieją, że Indianie śpią albo boją się atakować w ciemności. Z nadzieją, że może wcale nie chcą ich skrzywdzić, tylko upewnić się, iż opuszczą terytorium Morcego. John zaczął bezgłośnie modlić się do dalekiego Boga.

Dominikanin zbierał drewno na opał. Świtało. Nocna mgła ciągle jeszcze wisiała między drzewami, spowijała polanę gęstym całunem.

Ksiądz był samotnikiem, tyleż z natury, co z okoliczności. Jego misja liczyła niewielu mieszkańców. Oprócz niego samego przebywały tam trzy zakonnice i kilka Indianek,

nowicjuszek. Dominikanin co dzień modlił się, by Bóg zesłał powołanie na jakiegoś młodego mężczyznę, ale tubylcy zjawiali się w misji tylko po to, by ukraść coś z żywności bądź narzędzi. Nigdy nie chcieli zostać dłużej.

Ojciec Janio westchnął i schylił się po następny kawałek drewna.

Nagle usłyszał coś za plecami. Wyprostował się gwałtownie i sięgnął po zawieszoną u pasa maczetę. Nigdy się z nią nie rozstawał. Odwrócił się i znieruchomiał. Na skraju lasu stało dwoje dzieci, dwoje jasnowłosych, jasnookich dzieci, brudnych i zakrwawionych. Splątane czupryny opadały im na twarze, a ich oczy... Zakonnik upuścił naręczę chrustu i wyciągnął ramiona. Dzieci nie poruszyły się.

– Moi kochani! Skąd się tu wzięliście? Czy jesteście ranni? Chłopiec drgnął nerwowo. Dziewczynka przyglądała się obcemu z przerażeniem w oczach.

– Jesteśmy z Vila Serrista. Potrzebujemy pomocy – nienaturalną ciszę przerwał beznamiętny szorstki głos starszego z dzieci. Jakby mu było obojętne, co usłyszy w odpowiedzi, pomyślał ojciec Janio. Przybysze nie uczynili ani kroku naprzód. Zastygli gotowi do ucieczki.

– Vila Serrista! Ależ to kawał drogi stąd, co najmniej trzy dni łądem. Niemożliwe, żebyście przedarli się przez dżunglę!

– Czemu nie? Z jakiego innego miejsca możemy wędrować? – odpowiedział pytaniem chłopiec.

Zdumiony ksiądz tylko pokręcił głową.

– No chodźcie, chodźcie, dzieci. Siostry zaraz opatrzą wam rany. Kiedy odpoczniecie, porozmawiamy. Dzięki Bogu Wszechmogącemu, że w ogóle żyjecie. Wszyscy myśleli, że zginęliście.

Puścił ich przodem, ale chłopiec zatrzymał się w pół kroku.

– Kto myślał, że zginęliśmy?

– No jak to, władze i ojciec dziewczynki. – Fra Janio wskazał głową Eleanor. – Bo wy jesteście John Campos de Serra i Eleanor Fawcett, prawda? – uśmiechnął się ciepło. – No oczywiście, że to wy! Jakież to inne białe dzieci mogą jeszcze wyłonić się z dżungli w trzy dni po takiej... – spoważniał. W jego głosie pojawił się smutek. – Takiej tragedii. Niech dobry Bóg ma w opiece ich dusze.

– Czy papa tu jest? Czy mogę do niego iść? – dziewczynka odezwała się po raz pierwszy.

Ksiądz uśmiechnął się z otuchą. Starał się nie dostrzegać cierpienia w oczach małej. Potrząsnął głową.

– Jeszcze nie, kochanie, ale wkrótce będzie. Sprowadzimy go. Wziął Eleanor za rękę, zadowolony, że nie wrywa dłoni. Odszukał wzrok chłopca.

– Usłyszeliśmy w radio, co się stało. Może opowiesz mi o tym, kiedy odpoczniesz?

John milczał. W jego spojrzeniu malowała się rozpacz. Dominikanin nie nalegał. Kiedy zbliżyli się do niskiego budynku, zawołał:

– Siostry Mario! Siostry Eugenio! Chodźcie tu i przywitajcie naszych gości!

Później, kiedy już powiadomiono władze, brat Janio mógł spokojnie obserwować umyte i

nakarmione dzieci. Zdziwiający, ale prawie nie muszą ze sobą rozmawiać, zauważył, rozumieją się bez słów, jakby znali swoje myśli. Ciekawe, czy byli równie zżyci przed tragedią, czy też dopiero koszmarne przeżycia w dżungli spowodowały tę bliskość. Uśmiechnął się do dziewczynki.

– Eleanor, twój tatuś jest już w drodze. Jeśli zatrzyma się gdzieś na noc, zjawi się tu jutro rano, w innym wypadku przybędzie już dziś późnym wieczorem. Kazał przekazać ci, że cię kocha i żebyś się niczym nie martwiła. – Mała słysząc te słowa uśmiechnęła się radośnie, ale chłopiec... Tego ojciec Janio nie mógł zrozumieć. Wydawało się, jakby nowina oznaczała dla Johna koniec świata. Bardzo to dziwne, pomyślał zdumiony zakonnik.

## Rozdział piąty

W pierwszej chwili po przebudzeniu Eleanor nie wiedziała, gdzie jest. Nie była to ponura, ciemna alkowa, w której zasnęła, a ona sama nie leżała na twardym prymitywnym pościeliu. Najwyraźniej znajdowała się w swoim pokoju, w domu. Zdumiona, usiadła gwałtownie. Za oknem padał deszcz. Dziewczynka rozejrzała się uważnie, miała na sobie koszulę nocną, tę białą z koronkowym wykończeniem. Pokój zaś wyglądał dokładnie tak jak w dniu wyjazdu, z tą tylko różnicą że na stolicku stał piękny bukiet róż, a obok patera ze świeżymi owocami. Eleanor była sama. Na krześle przy łóżku nikt nie siedział.

Wstała i podeszła do lustra. Czuła się nieswojo, jakby stopy nie chciały dotykać podłogi, a kolana nie mogły utrzymać ciężaru ciała. Dotarła jednak do ogromnego zwierciadła i przyjrzała się sobie uważnie.

Równie badawczym spojrzeniem odpowiedziała jej ze szklanej tafli blada istota o pozbawionych połysku włosach i pożółkłej cerze. Wydawało się, że cała jest żółta. Eleanor wyszczerzyła zęby. Ku jej uldze one przynajmniej nie zmieniły koloru. Koszmarny odcień nie pominął jednak nawet białek oczu. Dziewczynka podniosła koszulę, żeby obejrzyć prawą nogę. Rana też była żółta. Dopiero po chwili przyszło jej do głowy, że to na pewno jakaś maść. Podeszła do okna.

W jaki sposób wróciła do domu? Niczego nie pamiętała, a przecież podróż musiała trwać kilka dni. Czyżby była ciężko chora? Czy dlatego zrobiła się tak okropnie żółta?

Eleanor wyjrzała przez okno. Zobaczyła Johna wsiadającego do samochodu. Zastukała w szybę, ale nie usłyszał jej. Auto ruszyło, by po chwili zniknąć za bramą. Ciekawe, dokąd pojechał, zastanawiała się.

Drzwi otworzyły się niemal bezszelestnie, więc usłyszała dopiero głośny krzyk matki. Z niechęcią odwróciła się od widoku za szybą.

– Dzień dobry, mammo.

Niepewnym krokiem ruszyła w stronę łóżka, lecz Clarissa chwyciła córkę na rękę i troskliwie otulając kołdrą, mówiła coś wysokim, piskliwym głosem. Eleanor była zła i nieszczęśliwa. Miała łzy w oczach. Wyrwała się z matczynych objęć.

– Eleanor! Nie powinnaś jeszcze wstawać. Byłaś bardzo chora, kochanie. Papa i ja traciliśmy zmysły z rozpaczy. Jak się teraz czujesz?

Pani Fawcett dotknęła czoła małej. Było chłodne. Jednak grymas na twarzy Eleanor nie umknął uwadze matki. Dziewczynka walczyła ze łzami. Taka mała, smutna żółta buzia.

– Dobrze, tylko nogi mi się trzęsą, kiedy próbuję iść. Jak się tu dostałam? Pamiętam tylko, że byliśmy na terenie misji. – Usiadła i pytająco spojrzała na matkę.

– Wracaliście łodzią. Cóż to była za podróż! Przez cały czas miałaś gorączkę. Papa był załamany, a ja szalałam z niepokoju. Czekałam w domu i nie wiedziałam, co się dzieje. Potem przywieźli cię tutaj. Doktor da Silva praktycznie mieszkał u nas przez pierwszy tydzień. Kochanie, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak się cieszę, że się obudziłaś! – Clarissa otarła łzy z oczu. Eleanor odwróciła wzrok. Nagle przypomniała sobie, że ciocia Elizabeth nie żyje,

a John nie ma nikogo, kto by go pocieszył. Złapała matkę za rękę.

– Dokąd pojechał John? Widziałam przed chwilą, jak wsiadał do samochodu.

Z twarzy pani Fawcett zniknął uśmiech. Odsunęła się i nerwowo zmięła chusteczkę. Eleanor wiedziała, że matka gorączkowo szuka jakiegoś wykrętu.

– Ależ kochanie, za bardzo się przejmujesz. Teraz powinnaś się zdrzemnąć. Obiecuję, że dziś wieczorem, po wizycie lekarza, odpowiem na wszystkie pytania. Nie martw się, tatuś i ja zadaliśmy o Johna. A teraz śpij, skarbie.

Clarissa pocałunkiem uciszyła protestującą dziewczynkę i wyszła z pokoju.

Lekarz przyszedł o zmroku. Eleanor zasnęła, choć robiła wszystko, by nie poddać się zmęczeniu. Kiedy się obudziła, pokój zalewało światło lampy. Uśmiechnęła się na widok twarzy bliskich zebranych koło jej łóżka. Ojciec przytulił ją do siebie. Odpowiedziała silnym uściskiem.

– Moja dziewczynka! Wiedziałem, że wyzdrowiejesz. Masz zbyt rogotą duszę, żeby dać się pokonać byle chorobie.

Klepał ją po plecach z taką siłą, że poczuła się jak trzepany dywan. Odsunął się dopiero po dłuższej chwili, a wtedy jego miejsce zajął lekarz. Był to miły, sympatyczny człowiek, Eleanor знаła go od dawna. Leczył ją, kiedy miała ospę wietrzną i różyczkę. On też nastawiał złamane nadgarstki. Doktor da Silva uśmiechnął się i przyłożył jej do piersi zimny kawałek metalu. Kiedy kaszlała i oddychała, wsłuchiwał się uważnie.

– Dziewczyna jak złoto. Przez jakiś czas nie wolno jej się męczyć, poza tym wszystko w porządku. Płuca są czyste, gorączka minęła. Nie wiem co z wątrobą, ale możemy być dobrej myśli, przecież Eleanor jest młoda i silna. Nie powinno być żadnych kłopotów. Za miesiąc będzie już zupełnie zdrowa. Wtedy zrobimy badania – uśmiechnął się ponownie, zatrzasnął czarną torbę i wyszedł. Clarissa odprowadziła go do drzwi.

– A nie mówiłem? Moja dziewczynka! Kiedy przestanie padać, wyniosę cię do ogrodu, dobrze? – Charles Fawcett przysiadł na łóżku. Na jego twarzy malował się wyraz wielkiego zadowolenia. Eleanor wyciągnęła do niego rękę i opadła na poduszki.

– Papo, co się dzieje z wujem Michaeliem? Czy ktoś pojechał na fazendę? Skąd wiedzieliście, że wydarzyło się nieszczęście?

Te pytania nie dawały jej spokoju. Błąkały się po głowie od dawna, niemal od tamtej chwili, kiedy dotarli do misji. Wyczekująco spojrzała na ojca. Na jego twarzy pojawił się cień, oczy przygasały. Chrząknął.

– Michael Campos popełnił samobójstwo. Przypuszczam, że oprzytomniał, zobaczył, co zrobił, i... W każdym razie, to tubylcy wezwali pomoc. Nie można było odnaleźć ani ciebie, ani Johna. Przepadliście jak kamień w wodę. Nawet indiańscy tropiciele nie wiedzieli, co się z wami stało, bo szli waszym śladem tylko do granicy terytorium plemienia Morcego. Odchodziłem od zmysłów z niepokoju. A potem znalazł was brat Janio. Dotarłem do misji następnego dnia, ale pewnie tego nie pamiętasz, bo byłaś półprzytomna. Przewieźliśmy cię do domu i od tego czasu leżysz w tym oto łóżku – uśmiechnął się, dając córce do zrozumienia, że nie może liczyć na bardziej szczegółową relację.

Eleanor nie ustępowała.

– A gdzie jest John, papo? Mama nie chciała mi nic powiedzieć, a ja muszę z nim porozmawiać. Wiesz przecież, że uratował mi życie. Bez niego nie miałabym żadnych szans.

Charles nagle odwrócił wzrok.

– Po pierwsze, nie powinnaś była tam pojechać! Postąpiłem wystarczająco głupio, że pozwoliłem na to Elizabeth, ale ona była dorosłą zamężną kobietą. Nie mogłem nic na to poradzić, chociaż Bóg jeden wie, że robiłem wszystko co w mojej mocy. Teraz ona nie żyje i to z winy tego Camposa de Serry. W jego żyłach płynęła zła krew, od dawna to mówiłem. Nie pojechałabyś, gdybym postawił na swoim, ale miałem przeciw sobie Elizabeth i Johna, który mnie okłamywał mówiąc, że tam jest bezpiecznie...

– John nie kłamał! Nigdy nie powiedział, że w Vila Serrista jest bezpiecznie. Obiecał tylko, że się mną zaopiekuje. I dotrzymał słowa! – oburzona, wyrwała dłoń z ręki ojca. – Gdzie on jest? Gdzie jest John?

Oczy Charlesa zwilgotniały. Nie słyszał gniewnych słów córki.

– Moja biedna mała siostrzyczka. Co za bydlak strzela do bezbronnej kobiety? Biedna kochana Elizabeth. Nikt się nią nie zaopiekował. John jej nie ocalił, prawda?

– To się stało, zanim wbiegł do ich sypialni. Ona już nie żyła, papo. Nie mogłem nic zrobić. Poza tym ocalił mnie! Byłam mu kulą u nogi, przewracałam się, biegłam tak wolno, że omal nie zastrzelono nas obojga, ale nie zostawił mnie. Opiekował się mną. Prowadził przez dżunglę i nie opuszczał ani na chwilę, a nawet niósł przez cały dzień i całą noc, kiedy już nie mogłam iść. Jak możesz twierdzić, że to jego wina?! Przecież sam wiesz, że nie masz racji! – płakała i krzyczała.

Charles był w rozterce.

– Ależ ja wcale tego nie mówię, kochanie. Wcale nie winię o tę tragedię Johna. Po prostu źle się stało, że zabrał cię ze sobą na fazendę. To mnie złości. I ogarnia mnie rozpacz, bo Elizabeth i ja byliśmy tak sobie bliscy, a teraz utraciłem ją na zawsze.

– Dobrze, ale gdzie jest John? Ilekroć o to pytam, udajesz głuchego. Dzisiaj po południu widziałam, jak wsiadał do samochodu. Dokąd pojechał?

Bała się tego, co usłyszy. Ze strachu zniżyła głos do szeptu. Ojciec spojrzął jej w oczy. Z jego wzroku Eleanor wyczytała, że obawia się jej reakcji.

– Proszę cię, papo.

– John wyjechał do Anglii. Do szkoły. Uznaliśmy, że to najlepsze rozwiązanie. Od powrotu do Rio był bardzo smutny. Nie zauważyłaś tego, bo ciągle gorączkowałeś. Nie wiedział, co ze sobą począć. Płatał się bez celu. Nie potrafił zapamiętać. My, twoja mama i ja, uznaliśmy, że najlepiej mu zrobi zmiana otoczenia. Przyjdzie do siebie w nowym miejscu, wśród nowych ludzi, gdzie nikt nie będzie mu się kojarzył z tą tragedią. A ty przypominasz mu o przeżytym koszmarze bardziej niż ktokolwiek inny, Eleanor. On czasami nie mógł na ciebie patrzeć. Przecież chcesz, żeby był szczęśliwy. Zobacysz, polubi szkołę, zacznie inne życie i pogodzi się z przeszłością. Tak jest najlepiej, uwierz mi.

– To niemożliwe! John nie wyjechał! Nawet się ze mną nie pożegnał! Nie uwierzę, że wyjechałby bez słowa! – Rozglądała się po pokoju, jakby licząc, że kuzyn za chwilę wyłoni

się z jakiegoś ciemnego kąta. Podniosła głos: – Niemożliwe, żeby wyjechał!

– Óóó, kochanie. Nie denerwuj się. John był tu i pożegnał się z tobą, ale nie pamiętasz tego, bo miałaś gorączkę. Chciał poczekać, aż wyzdrowiejesz, niestety jednak semestr w jego nowej szkole właśnie się zaczyna. Przykro mi, Eleanor, ale zobaczysz – wkrótce o wszystkim zapomnisz.

– Nie! Nie! Nigdy nie zapomnę! Jak mogłeś w ogóle pomyśleć, że zapomnę Johna? On jest dla mnie najważniejszy na świecie. Papo, czemu mi to zrobiłeś? On ma już teraz tylko nas, a ty wysłałeś go między obcych. Nie spodoba mu się tam. Nie mogę pojąć, dlaczego się na to zgodził. A w ogóle zgodził się?! – wrzasnęła rozwścieczona. – Zgodził się?! – Nagle zmęczona, ciężko opadła na poduszki. – Dlaczego, papo? – jęknęła cichutko.

Na twarzy Charlesa pojawił się grymas wściekłości. Nigdy dotąd ojciec nie patrzył na Eleanor takim złym wzrokiem, ale nie zwróciła na to uwagi. Tępo wpatrywała się przed siebie, nawet nie ocierając łez.

– Dosyć, Eleanor! Nie mów mi, co jest dobre, a co złe. I nigdy więcej nie waz się podnosić na mnie głosu, jasne? – nie czekał, aż skinie głową. – Zrobiłem, jak uważałem za właściwe. Jeśli o mnie chodzi, to im dalej ten chłopak jest od ciebie, tym lepiej – urwał. Wstał i podszedł do drzwi. – Spij już. Jeszcze nie jesteś zupełnie zdrowa. Porozmawiamy jutro.

Wyszedł. Słyszała, jak mrucał pod nosem, że „zła krew zawsze się w końcu ujawni”. Eleanor skulona raz po raz uderzała pięścią w poduszkę.

Następnego dnia odwiedził ją Henry. Wszedł nieśmiało, z radosnym uśmiechem na twarzy. Czy Eleanor chce pogadać? Czy on może troszkę z nią posiedzieć? Przyniósł w prezencie książkę i karty do gry. Szybko odłożyła je na bok. Przypominały jej tamtą noc w pociągu w drodze do Mato Grosso.

– A tu mam dla ciebie papeterię. Pomyślałem, że może napiszemy do Johna... – chłopiec odrzucił brązowy kosmyk niesfornie opadający mu na oko. Eleanor ogarnęła ciekawość, czy Henry naprawdę żałuje, że John wyjechał. Isobel była zadowolona, sama jej to tego ranka powiedziała. I papa też się cieszył. Nic nie mówił, ale nie potrafił zwieść swojej młodszej córki.

– Czy ty też uważasz, że Johnowi będzie lepiej w Anglii niż tutaj? – zapytała nagle. Tym razem Henry nie odsunął włosów z czoła, wolał spoglądać zza zasłony ciemnej grzywki.

– Może nie lepiej, bo będzie tęsknił za tobą i nami wszystkimi, ale na pewno da sobie radę. Polubi nową szkołę, jestem przekonany. I nie będzie narażony na wścibskie spojrzenia i szeptki za plecami o tym, jak to jego ojciec zwariował. John nie znosi plotek, nie cierpiał ich nawet wówczas, kiedy nie dotyczyły rodziny, a co dopiero teraz... Lepiej żeby mógł ich unikać.

Nie patrzył na Eleanor. Bezwiednie bawił się różą na długiej łodydze, jakby chciał palcami poznać piękno kwiatu.

– A więc uważasz, że papa postąpił słusznie? Że miał rację, wysyłając Johna? – Eleanor podciągnęła kolana pod brodę i opłotła je ramionami.

– Tak, twój ojciec postąpił słusznie... – Henry zawahał się – ale John na pewno będzie tęsknił. Nie możemy dopuścić, żeby myślał, że o nim zapomnieliśmy. Dlatego właśnie

przyniosłem papeterię. Napiszemy do niego list. Mam tylko jedno pióro, więc będziemy pisać na zmianę. – Chłopak wyraźnie chciał załagodzić sytuację. Sięgnął po książkę. Miała im służyć jako podkładka.

Usadowił się wygodnie w rogu łóżka. Był znacznie drobniejszy od Johna, nie dorównywał mu też urodą. Nie znaczy to jednak, że nie posiadał uroku, specyficznego wdzięku, na który składał się melancholijny uśmiech, ciepłe spojrzenie piwnych oczu i autoironiczne poczucie humoru. Przyglądając mu się, Eleanor stwierdziła po raz kolejny, że Henry jest na swój sposób przystojny. Przy Johnie blakł, ale okazał się dobrym przyjacielem.

I zawsze był uczciwy.

Ta ostatnia cecha miała szczególne znaczenie. Eleanor wiedziała, że chłopiec nie przyznałby racji jej ojcu, gdyby naprawdę się z nim nie zgadzał. Może się więc myliła. Może papa rzeczywiście kierował się dobrem Johna, a nie tylko egoistyczną chęcią pozbycia się siostrzeńca. I z całą pewnością Henry nie pomylił się w jednym. Nic nie złościło Johna bardziej niż plotki i wytykanie palcami. Życie w Rio byłoby okropne. John odsuwałby się od wszystkich po kolei, zamykał w sobie, uciekał, być może, nawet przed nią. Wiedziała, że potrafi się tak zachowywać, bo w przeszłości zdarzało się im pokłócić. Jej kuzyn umiał przebaczać, nigdy jednak niczego nie zapominał.

– Dobrze. Będziemy do niego pisać codziennie, wtedy na pewno uwierzy, że za nim tęsknimy. A na Boże Narodzenie przyjedzie do domu. To już niedługo, za cztery miesiące – dziewczynka pochyliła się, by wziąć pióro. – Jak zaczniemy?

– Może „Drogi Johnie”?

– Nie, lepiej „Najdroższy Johnie”. To brzmi dużo cieplej – upierała się.

– Nie myślisz chyba, że podpiszę się pod listem do chłopaka i zacznę od „najdroższy”?!  
Za kogo ty mnie uważasz?

– Dobrze już, dobrze. W takim razie wyślemy mu dwa listy. Pisz sobie, jak chcesz. Ja zacznę od „najdroższy”. Czy myślisz, że w internacie kontrolują korespondencję uczniów?

– Nie wiem, po co mieliby to robić? Może ci nie wiadomo, ale szkoła to nie to samo co więzienie. – Henry mówił spokojnie, jednak rumieniec na policzkach zdradzał wzrastające zdenerwowanie.

– A skąd wiesz? Zawsze słyszałam, że angielskie szkoły są gorsze niż więzienie. A tę na dodatek prowadzą benedyktyni. Może każą uczniom nosić włosienice i modlić się godzinami w lodowato zimnej kaplicy? I czytają ich listy, i niszczą wszystko, co napisane jest ręką dziewczyny, chociażby była kuzynką. Myślisz, że pozwolą mu odpisać?

– Pewnie. Jeśli tylko będzie chciał. Przecież nie mogliby zabronić uczniom pisać do domu, prawda? Rodzicom by się to nie spodobało. Słuchaj, weź pióro, ja sobie przyniosę drugie. I skoro tak uważasz, zacznij od „najdroższy”.

Podniósł się z łóżka. Eleanor nie zwracała na niego uwagi. No tak, dla niej zawsze John był najważniejszy. Henry westchnął ciężko.

– Eleanor? Elly? – czekał, aż podniesie wzrok znad kartki. – Słuchaj, czy John kiedykolwiek mówił coś o... o chorobach psychicznych w jego rodzinie? Ze strony ojca?

Dziewczynka spojrzała na niego lodowato.



– Nie. Jego ojciec po prostu oszalał. Wiesz, czasem to się zdarza. Ale John nie jest wariatem i nigdy nie będzie. Nie waż się nawet tak myśleć.

– Dobrze. Ja tylko słyszałem, jak twój papa mówi, że „zła krew zawsze w końcu się ujawni”. Może on wie coś więcej na ten temat.

– Nic nie wie! Papa jest załamany po śmierci cioci Liz. To wszystko. Zaciśnięła usta w wąską kreskę. Henry przygryzł dolną wargę. Powtarzał sobie, że musi być ostrożny, nie wolno mu denerwować Eleanor. Przecież dopiero osiem dni temu przywieziono ją półżywą z dżungli. Nie trzeba o tym zapomnieć.

– W porządku – uśmiechnął się. – Nie sugeruję wcale, że John jest wariatem. Przecież to mój przyjaciel. Idę po pióro.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, zastanawiał się, czy naprawdę żałuje, że John wyjechał. Oczywiście, lubił go. Ale zanim John się pojawił, Eleanor była jego, Henry’ego, przyjaciółką. Może teraz znowu tak będzie. Na twarzy chłopca pojawił się smutny uśmiech człowieka dręczonego przez poczucie winy.

Niemal identyczny uśmiech zagościł na wargach Charlesa, który odkładał właśnie słuchawkę telefonu w swoim gabinecie. John dotarł do Anglii. Szczęśliwie był daleko od Eleanor. • Właściwie powinien być siostrzeńcowi wdzięczny. Fawcett zdawał sobie sprawę, że niewielu dorosłych potrafiłoby dokonać tego co ten chłopiec. To jednak tylko pogarszało sprawę. Jak można być wdzięcznym komuś, kto ukradł ci serce dziecka, usiłował nastawić córkę przeciw ojcu?

Boże, jak on nienawidził Johna! Nie tylko za to, że zabrał mu Eleanor, lecz także dlatego, co dziwne, że ją ocalił. Charles Fawcett nie mógł tego znieść. Nie mógł pogodzić się z myślą, że jego córka zawdzięcza życie Johnowi, że razem przeszli przez piekło. Tułaczka w dżungli stała się wydarzeniem zwrotnym w życiu Eleanor, a on, ojciec, nie mógł tego przeżycia z nią dzielić. John na to nie pozwolił, John zostawił go poza nawiasem. I za to Fawcett nienawidził siostrzeńca.

To była najsurowsza kara. Zesłanie. Rozstanie z kuzynką. Nie będzie Johna przy niej podczas lat dorastania, kiedy z dziecka Eleanor przemieni się w kobietę. Charles uśmiechnął się mściwie: oko za oko, ząb za ząb.

Szkoła benedyktynów nie jest taka zła. John przyzwyczaił się, a z czasem nawet pewnie ją polubi, podobnie jak inni chłopcy. Ale rozstanie zaboli. Charles znał swego siostrzeńca, wiedział, że chłopiec aż za dobrze zrozumie motywy postępowania wuja. Zrozumie, że nie obchodzi ich. W Rio życie popłynie normalnym torem i nikt nie będzie tęsknił za Johnem. To będzie jego kara.

Charles sięgnął po cygaro i przyciął je starannie. Rozwagał, czy pozwolić chłopcu przyjechać do domu na święta. Jest przecież jego prawnym opiekunem. Powierzono mu zarządzanie majątkiem Johna, dopóki siostrzeniec nie osiągnie pełnoletności. Teraz wszystko jest w jego, Charlesa, rękach. Humory Eleanor nie mają tu nic do rzeczy. Boże Narodzenie? Nie, to za wcześnie. Cztery miesiące to stanowczo za mało, by dać chłopakowi nauczkę. Niech pocierpi dłużej. Ferie może spędzić u kuzyna Maksa w Anglii. Tak będzie bezpieczniej. Co by nie mówić, John jest zły do szpiku kości, zupełnie jak jego ojciec.

Charles zaciągnął się dymem.

Zła krew zawsze w końcu się ujawni. Nie, lepiej niech John zostanie tam na dłużej.  
Najlepiej na zawsze.

## Rozdział szósty

*Rio de Janeiro*

*Marzec 1955*

Papo! Papo? Słyszysz? – energicznym ruchem Isobel wyrwała ojcu gazetę. – Przyjdiesz dziś na mój recital, prawda? Już powiedziałam wszystkim, że przyjdiesz. Chyba nie zapomniałeś?

W oczach dziewczynki malowała się niepewność, która pojawiała się tam, ilekroć chodziło o kontakty z ojcem. W jej oczach był także strach, że zapomniał, wahanie, czy mu przypomnieć, desperacja na myśl o odmowie. Charles widział rozterkę córki i, jak zawsze, zirytowało go to.

– Na Boga, Isobel, ależ ty utyłaś! Powinnaś zrezygnować z deseru, bo czekolady i budynie całkowicie zrujnują ci figurę! Masz przecież dopiero trzynaście lat – zerknął na zegarek. – O Jezuu, już tak późno? Czas na mnie.

Metodycznie złożył gazetę i spojrzał na żonę.

– Clarisso, powinnaś była mi o tym przypomnieć. Nie mogę ciągle zmieniać planów tylko dlatego, że dziewczynki występują w głupawych przedstawieniach.

– Ależ przypomielałam ci, Isobel także. Nawet zapisałeś w terminarzu. „Dziewiętnasta trzydzieści, szkoła”, pamiętasz? Więc zobaczymy się wieczorem, prawda? – Clarissa ani razu nie podniosła głosu. Uśmiechnęła się do Isobel i puściła do niej oko, co od razu poprawiło dziewczynce humor. Eleanor nie zwracała na nich uwagi. Sięgnęła po tosta.

– No cóż, chyba uda mi się przyjść. Ale bardzo was proszę – żadnych innych uroczystości w tym semestrze, dobrze? Nie mogę prowadzić firmy i ciągle urywać się z pracy. A co u ciebie, Eleanor? Nie bierzesz udziału w jakimś spektaklu, który powinienem zobaczyć?

Kiedy mówił do młodszej córki, jego głos złagodniał. Eleanor potrząsnęła głową.

– Nie, papo.

Charles przyglądał się jej jeszcze chwilę, jakby w oczekiwaniu na dalsze słowa, ale dziewczynka zacisnęła usta w wąską kreskę i milczała. Chrząknął więc i wstał.

– Zobaczymy się zatem wieczorem. Do widzenia.

Nie zwracał się do swoich pań o tradycyjny pożegnalny pocałunek Teraz, kiedy Eleanor ledwie muskała wargami policzek ojca, nie miało to już sensu. Spojrzał na nią. Zimna, obca i obojętna. Z wściekłością trzasnął drzwiami.

– O Boże – westchnęła Clarissa.

Isobel była załamana. Od razu straciła apetyt. Utyła? W nowej sukience, którą mama sprawiła jej na recital, na pewno będzie wyglądać okropnie, jak utuczone różowe prosię... Tak, sukienka jest zdecydowanie zbyt obcisła. Cała pewność siebie Isobel znikła bez śladu. Łzy zawisły na rzęsach, by po chwili zmoczyć policzki.

Eleanor uniosła głowę znad talerza.

– Nie płacz, Isobel. Papa zachował się... no, nieładnie. Jest zły, bo zakłócamy plan dnia i

wcale nie chce mu się iść do szkoły. Na pewno nie myśli, że utylaś. On po prostu... – zawahała się, szukając właściwych słów.

Clarissa dokończyła za nią:

– Wasz papa chodzi dziś zły jak osa. To, co do ciebie powiedział, było bardzo nieuprzejme, Isobel. Wcale nie utylaś i nie jesteś gruba. Jesteś śliczna, kochanie. Mam rację, Eleanor?

– Oczywiście – młodsza dziewczynka z przejęciem kiwała głową, bo też naprawdę zgadzała się z matką. – Bardzo piękna – dodała z emfazą. – Louis na pewno by się ze mną zgodził, skoro spędza z tobą tyle czasu – zachichotała.

Isobel rozpromieniła się i otarła łzy wierzchem dłoni.

– Ale dlaczego papa zawsze na mnie krzyczy? Gdyby to chodziło o ciebie, nie byłoby problemu.

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Och, Isobel, znasz go przecież: praca, praca, praca. Zresztą ja nie daję recitali ani nigdzie nie występuję, więc nie dowiemy się, jak zareagowałby w takiej sytuacji.

Wytarła palce w serwetkę.

– A właściwie dlaczego już nie grasz, Elly? Wydawało mi się, że to lubisz? – zapytała Clarissa. Wcale jej nie zdziwiło, gdy Eleanor nagle zacisnęła usta.

– Nie wiem. Chyba już mi się znudziło. No, muszę lecieć, bo spóźnię się do szkoły. Ty też, Isobel. – Wyszła, zanim matka zdążyła zadać następne pytanie. Clarissa jednak nie musiała snuć domysłów. I tak wiedziała. Eleanor odpłacała ojcu za to, że odesłał Johna i nie pozwalał mu wrócić do domu. Miała prawdziwy talent i Charles był z niej dumny, więc przestała grać.

W swoim pokoju Eleanor pośpiesznie pakowała książki. Od świąt Bożego Narodzenia między nią a ojcem panowały napięte stosunki. To wtedy właśnie zaczęła pojmować sens decyzji w sprawie Johna.

Gwałtownym ruchem wrzuciła piórniki do torby.

No cóż, jej na tym nie zależy. Papa może sobie krzyczeć i awanturować się do woli, wymyślać niestworzone historie, a i tak nie zmieni jej stosunku do ukochanego przyjaciela. Nie zasługuje na dobroć, ten kto nie potrafi odpowiedzieć tym samym. Eleanor była więc dla ojca uprzejma, ale nic poza tym. I miała zamiar pisywać nadal do Johna, skoro nie mogą się spotykać. Niech się dzieje co chce.

Na korytarzu wyminęła Isobel i wybiegła na dwór. Honório zawiezie je do szkoły, skąd po południu wrócą autobusem. Wskoczyła do samochodu i natychmiast wróciło ponure wspomnienie: John wsiadający do auta. Właśnie tamta, widziana przez okno scena utwierdzała dziewczynkę w zajadłości. Niech diabli porwą papę!

Po lekcjach Eleanor odłączyła się od rozchichotanych przyjaciółek. Śpieszyła się. Może dziś czeka na nią list? Wolą zabierać swoją pocztę, zanim papa sprawdzi, kto pisuje do jego młodszej córki. Tak więc codziennie, zamiast spacerować z innymi dziewczętami, wracała prosto do domu. To cena, jaką musiała płacić za korespondowanie z Johnem. List od kuzyna jednak wart był każdego wyrzeczenia. Eleanor nie mogła pohamować niecierpliwości. Na

pewno dziś dostanę list, przekonywała samą siebie.

Miała rację. Bładoniebieska koperta czekała na nią na srebrnej tacy w holu. Dziewczynka roześmiała się wesoło.

Ukryła list w kieszeni mundurka i pobiegła na górę. Starannie zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na balkonie. U jej stóp rozpościerał się gąszcz oleandrów, w oddali błękitniało morze. Przez kilka minut Eleanor rozkoszowała się oczekiwaniem. Dopiero potem wsunęła rękę do kieszeni.

*Droga Eleanor!*

*Czy wierzysz w duchy? – zdziwiona zamrugwała powiekami. Nie, skąd, nawet jej to do głowy nie przyszło. – Ja i mój przyjaciel Nick jesteśmy święcie przekonani, że mamy tu w internacie ducha. Po nocach stuka i wali w sufit, dokładnie nad naszymi głowami. Czasem słychać też szelesty i zgrzyty, jakby jakaś nieszczęśliwa dusza szukała wyjścia z pułapki. Dopuszczamy też gorszą możliwość: to diabeł, który ostrymi pazurami drapie w podłogę. Wielu z nas słyszało, jak zdierał tynk ze ścian. Niestety, nikt z dorosłych nie chce nam uwierzyć. Tak więc, jeśli nie dostaniesz następnego listu, wiedz, że to coś, co czai się na naszym strychu, dopadło mnie!*

*Czasami zastanawiam się, czy moi rodzice są teraz duchami? A Ty jak myślisz? Podobno nieszczęśliwe dusze nie mogą zaznać spokoju. Czasami reguła ta wydaje mi się trafniejsza w odniesieniu do żywych, tylko że nie wiem, jak nazywać takie osoby? Przecież nie zombie? A może kryje się tu gdzieś wiedźma, macumba, która nocami polewa mnie kurzą krwią? Eleanor, czy pamiętasz to wszystko? Ja często budzę się zlany potem. Śni mi się, że ojciec zabił nie mamę, lecz Ciebie, i że to nad Twoim ciałem kołysze się lampa. Ale to tylko sen, zły sen. Czy Ciebie także dręczą koszmary? Mam nadzieję, że nie. Dobrze, dość już tych ponurych wspomnień.*

*Nie uwierzysz, – ale w piątek wygrałem bieg przełajowy. Trasa wyglądała następująco: ze szkoły, przez boczną furtkę, koło pawilonu sali gimnastycznej, drogą aż do drogowskazu na Wykham, następnie z powrotem pod bardzo stromą, wysoką górę i na przełaj przez las. Dystans wynosił grubo ponad cztery mile. Wyprzedziłem dotąd najlepszego z zawodników, Chanie'ego o 32 sekundy. Wszyscy dziwili się, bo nie przykładałem się zbytnio do treningów. Ojciec Dominik, nasz opiekun, który zdawałoby się, czai się za każdym rogiem licząc, że przytupie kogoś na łamaniu regulaminu, stwierdził, iż był to już „najwyższy czas”. Stary mądrala!*

*Bardzo ucieszył mnie Twój list. Na Boga, Louis i Isobel? On chyba oszalał! Mam nadzieję, że nie zwariowałaś na punkcie Henry'ego, co, Elly?*

*Nick Cię pozdrawia. Pewnie trudno Ci się połapać, o kim piszę, więc następnym razem przyślę fotografię naszej klasy. Nick to ten mały grubasek (żartuję, oczywiście). Czy mogłabyś przysłać mi swoje zdjęcie? Przed wyjazdem nie miałem czasu o tym pomyśleć. I zdjęcie mojej mamy, jeśli jakieś znajdziesz.*

*Chyba już dosyć Cię znudziłem. Pójdę zaraz wysłać ten list. Mam nadzieję, że wszyscy mają się dobrze. Wszyscy, oczywiście, z wyjątkiem wuja Charlesa. Proszę, nie mów, że nie*

*wolno mi tak myśleć. Wiem o tym, ale nie panuję nad sobą. Jeśli jest sprawiedliwość na tym świecie, macumba codziennie wbija igły w jego podobiznę. Trzymaj się.*

*Całuję, John*

Zawsze tak samo kończył swoje listy. Eleanor nie podobało się to. Obawiała się kuszenia losu. Drżała na myśl, że przez owe „klątwy” coś mogłoby się ojcu stać.

Mała chmurka zakryła słońce, pogrążając balkon w cieniu.

Eleanor cieszyła się, że John znalazł nowych przyjaciół. Zżył się zwłaszcza z Nickiem, którego imię powtarzało się za każdym razem. Polubił nową szkołę, choć jego listy pełne były goryczy, szczególnie kiedy Charles nie pozwolił mu przyjechać do domu na święta. Początkowo John miał nadzieję, że zesłanie potrwa tylko do gwiazdki. Liczył, że uda się przekonać wuja, by pozwolił mu zostać w Brazylii. Potem jednak okazało się, że zarówno święta Bożego Narodzenia, jak i Wielkanoc, wakacje, a wreszcie kolejną gwiazdkę chłopak ma spędzić u kuzyna Maksa. I tak przez cztery długie lata, aż do końca szkoły. John pisał, że nie może znieść nawet myśli o tym. Wcześniej zesłanie wydawało mu się znośne, bo żył nadzieją, mógł liczyć dni, tygodnie, miesiące... ale teraz miał przed sobą przeraźliwie długi szmat czasu. Przez cztery lata nie zobaczy domu. Przez cztery lata nie zobaczy Eleanor!

To wtedy zmienił się jej stosunek do ojca. Czy mogła reagować inaczej, wiedząc, jak bardzo John się męczy? Owszem, przyzwyczyił się do nowego otoczenia, ale nadal uważał pobyt w Anglii za lata stracone. A winien cierpieniu kuzyna był nie kto inny tylko papa.

Dziewczynka podniosła się z westchnieniem, starannie złożyła list i schowała go do szuflady. Henry na pewno zechce go przeczytać. Sam rzadko pisywał do Johna. Ciekawa była, co powie na pierwszy akapit, ten o duchu stukającym w sufit? To okropne! Oby tylko Johnowi nic się nie stało. A pomyśl, że mogłaby „zwarować na jego punkcie”, na pewno setnie Henry’ego ubawi. Będą się razem zaśmiewać do rozpuku. Żalowała, że nie może od razu porozmawiać z przyjacielem. Nie chciała czekać do jutra. On już by wiedział, jak poradzić sobie z duchem, w to nie wątpiła. Niestety jednak musi iść na recital Isobel, a później nie zdąży już odwiedzić Henry’ego. Duch musi więc poczekać. Eleanor starała się nie myśleć o innych zmorach, o których pisał John. Nawiedzały one także i jej sny.

Charles przyszedł jako jeden z ostatnich. Eleanor i Clarissa zajęły już miejsca. Żona wstała i pomachała do niego, ale on, jak podejrzewała, celowo patrzył w zupełnie inną stronę. Koncert miał się właśnie rozpocząć, kiedy w końcu usadowił się obok swoich pań.

– Na Boga, Clarisso, dlaczego nie usiadłyście przy przejściu? Nie musiałbym przeciskać się między tymi wszystkimi ludźmi. Tak tu ciasno, że mam kolana pod brodą! – narzekał. Clarissa uśmiechnęła się, puszcżając mimo uszu skargi męża. Eleanor zaś po prostu zignorowała ojca.

Charles wiercił się na niewygodnym drewnianym krześle. Nagle już po raz drugi tego dnia poczuł ostry ból w klatce piersiowej. Przycisnął rękę do serca. Oddychał płytko. Cholerna Isobel i jej recital. Gdyby nie ona, siedziałby teraz w zaciszu biblioteki ze szklaneczką dobrej whisky. Z niechęcią spojrział na scenę.

Zabrzmiała muzyka. Fawcett pozwolił myślom oddalić się od auli szkolnej i krążyć w zupełnie innych rejonach. Nie był pewien, czy powinien wiązać się z nowym rządem. Obecny prezydent, Juscelino Kubitschek, jest chyba w stanie zapewnić krajowi stabilizację. Przepowiadano rychły koniec kryzysu. Ostatnio inflacja nie przekraczała rozsądnych granic, utrzymywała się na poziomie dziesięciu procent. Coraz częściej mówiło się o zagospodarowaniu interioru. Oczywiście, takie wizje snuto, odkąd sięgał pamięcią, ale być może nowy prezydent naprawdę coś w tej sprawie zrobi. Koncesje budowlane na północy to na pewno niezły interes. Charles znał osobiście wiceprezydenta, Joao Goularta. Może powinien zaprosić go na kolację? Postanowił porozmawiać o tym z Clarissa.

Sięgnął do kieszeni po kalendarzyk i nagle poczuł najostrożniejszy, najbardziej przeszywający ból, jakiego doznał kiedykolwiek w życiu. Rozżarzony nóż wbijał się w serce, ciął klatkę piersiową. Fawcett rozpaczliwie chwycił powietrze. Przycisnął dłonie do żeber. Clarissa usiłowała przytrzymać męża, ale okazał się dla niej zbyt ciężki. Osunął się na podłogę. Jakaś kobieta zaczęła krzyczeć.

Eleanor wpatrywała się w tę scenę oszołomiona. Widziała, jak ojciec upadł i Clarissa próbowała wciągnąć go na krzesło. Potem zapanował chaos. Wszyscy mówili coś, jeden przez drugiego, przekrzykiwali się. Matka pochylona nad ojcem, jego twarz niewidoczna za plecami ludzi. Papo! Papo! Ktoś szarpnął Eleanor za ramię i odepchnął pod ścianę.

Nagle tłum rozstał się. Jakiś człowiek, prawdopodobnie lekarz, żądał wezwania karetki. Dziewczynka nie miała siły się poruszyć. Stała pod ścianą, wsłuchana w oszalały rytm własnego serca. Bumbubum. Zrobiło się jej niedobrze.

Charlesa ułożono na noszach. Clarissa nie odstępowała męża. Nawet nie pomyślała o córkach. Drzwi otwierały się i zamykały, pochłonęły rodziców, nosze i lekarza. Eleanor obserwowała to wszystko ze swego kącika. Podbiegła do niej zapłakana Isobel. Włosy, zwykle starannie uczesane, zwisały jej niechlujnie wokół zaczerwienionej twarzy. Nagle Eleanor pomyślała, że Isobel rzeczywiście jest troszkę, tylko troszeczkę, ociupinkę za gruba. Niemal natychmiast odepchnęła tę myśl. Nie czas na takie rozważania. Papa jest chory, być może umierający. Wzięła Isobel za rękę. Może doszło do nieszczęścia, bo John życzył mu śmierci? „Mam nadzieję, że wszyscy mają się dobrze. Wszyscy, oczywiście, z wyjątkiem wuja Charlesa... „

A ona sama? Przy śniadaniu była dla papy taka okropna, właściwie od świąt nie odzywała się do niego. Boże, pozwól mu wyzdrowieć, modliła się w duchu. Będę grzeczna i tylko od czasu do czasu napiszę do Johna. I zabronię mu życzyć źle papie. Błagam cię, Boże! Nie pozwól mojemu ojcu umrzeć.

Isobel trzęsła się targana czkawką i z całej siły ścisnęła dłoń siostry. Eleanor zastygła zmrożona strachem. Żałowała, że nie można cofnąć czasu. Gdyby miała jeszcze jedną szansę, byłaby lepszym dzieckiem. Byłaby miła dla papy, nawet dla Isobel i nigdy nie zrobiłaby nikomu krzywdy.

Drgnęła, kiedy poczuła czyjąś rękę na ramieniu. To Honório przyszedł zabrać dziewczynki do domu. Rozplakała się w jego objęciach. Tak chciała, żeby wszystko było inaczej. Papa nie wie nawet, jak ona, Eleanor, bardzo go kocha. Żałowała, że była wobec

niego taka oschła.

Honório zaprowadził dzieci do samochodu i ruszyli w stronę domu. Nadchodziło lato. Przez uchylone szyby wpadało ciepłe powietrze, miękkie i delikatne jak jedwab. Dziewczynki milczały. Pustym wzrokiem śledziły ciemne budynki i jasno oświetlone ulice. Za oknami miasto przesuwało się niczym paciorki olbrzymiego naszyjnika.

Samochód mozolnie wspinał się na wzgórze.

Charles Fawcett żył.

Przez całą noc i cały dzień nie miały żadnych wiadomości. Dopiero wieczorem Clarissa zadzwoniła do domu i zapewniła, że wszystko będzie dobrze. Papa czuje się lepiej. Eleanor z trudem opanowała mdłości. Ojciec wyzdrowieje. Bóg wysłuchał jej modlitw i przychylił się do prośby. Nagle ugięły się pod nią nogi. Oparła się o szorstkie, solidne półki z książkami. Przypominały jej papę – szorstkie i solidne. Ta myśl rozbawiła ją. Eleanor roześmiała się, w jej głosie zabrzmiały ulga i radość.

Isobel zachowywała się zdumiewająco powściągliwie, kiedy Eleanor przekazała jej dobrą nowinę. Mruknęła tylko „och” i zajęła się porządkowaniem ubrań. Wśród sterty fatalaszków poniewierało się sporo rzeczy matki. Po szlochach i płaczach ostatniej nocy Isobel reagowała co najmniej dziwnie.

– Nie cieszysz się? On wyzdrowieje. Lekarze są o tym przekonani – powtórzyła Eleanor na wypadek, gdyby siostra czegoś nie zrozumiała. Ona jednak pojęła wszystko doskonale. Kiedy minął szok i zaskoczenie, jej umysł zaczął intensywnie pracować. Isobel uświadomiła sobie, z iloma korzyściami wiązałoby się życie pod opieką wyłącznie matki. Oczyma wyobraźni widziała już huczne przyjęcia. Postanowiła, że niedługo, za rok czy dwa, namówi matkę na samochód. Rozkoszowała się myślą, że nie będzie trzeba przynosić dobrych stopni na świadectwie. Tak, gdyby papa odszedł, czego oczywiście nie chciała, nauczyłaby się żyć bez niego. I oto wszystkie te piękne plany miały pozostać w sferze fantazji. Nie znaczyły więcej niż bańki mydlane, które niszczy władcza ręka. Dziewczynka spojrzała na łóżko.

– Hm, tak, to świetnie. Wspaniale. Kiedy mama wraca? Stała tyłem do siostry. Eleanor nie widziała jej twarzy.

– Wkrótce – odparła. – Zdąży na kolację. Pójdę zadzwonić do Henry’ego. Zawiadomisz Louisa? – nagle poczuła się nieswojo w towarzystwie Isobel. Nie mogła zrozumieć jej zachowania. W umyśle Eleanor pojawił się błysk podejrzenia, ale zgasiła go natychmiast.

– Dobrze. Idź już. Zaraz do ciebie dołączę.

Isobel wygładziła jedwabną spódnicę i starannie powiesiła na wieszaku. Szkoda, że nie będzie mogła jej nosić.

Tydzień później przywieźli go do domu. Zmizerniał i postarzał się. Twarz znaczyły mu zmarszczki, których tam wcześniej nie było. Miał niecałe czterdzieści lat, ale przeżycia ostatnich miesięcy dodały mu jeszcze dziesięć. Clarissa chuchała na niego i dmuchała. Isobel gadała i gadała. A Eleanor stała w drzwiach, blada i niezręczna. Żałowała, że nie wie, co powiedzieć.

Nie tutaj i nie teraz, mówiły jego oczy. Odprężyła się odrobinę i spuściła głowę. O czym to paplała Isobel, o szkole? Nie, o znajomych, o jakimś przyjęciu. Clarissa delikatnie



wypchnęła dziewczynki z pokoju. Isobel wyszła nadąsana, Eleanor zaś odczuła ulgę z domieszką poczucia winy. Śpieszyło jej się, bo chciała dokończyć list do Johna. Postanowiła zagrozić mu, że jeśli nie przestanie przeklinać papy, nie napisze już ani słowa więcej. Nie wolno Johnowi nawet tak myśleć, bo proszę, czym to się skończyło. Musi też wyznać kuzynowi, że przysięgła sobie, jeśli papa poczuje się lepiej, ograniczyć źle przez ojca widzianą korespondencję. Następny list wysła dopiero za miesiąc. Taką umowę zawarła z Bogiem.

Podpisała się i wsunęła arkusik papieru do koperty. Już miała ją zakleić, kiedy zobaczyła matkę stojącą w drzwiach. Wepchnęła więc list do kieszeni. Clarissa udawała, że niczego nie zauważyła.

– Papa chce z tobą porozmawiać! Pośpiesz się, żeby Isobel cię nie widziała. Uparła się do niego iść, ale lekarz mówi, że za bardzo ojca męczy. Zachowuj się spokojnie i uprzejmie, dobrze, Eleanor? Nie drażnij go. Nie wolno mu się denerwować, nigdy i w żadnym wypadku.  
– Clarissa uważnie przyjrzała się córce. Tak, Eleanor od razu zrozumiała, o co chodzi. Skazano je na dożywocie. To okropna myśl, pani Fawcett doskonale o tym wiedziała, jednak nie potrafiła inaczej tego sformułować. Prawda była taka, że dzięki swej chorobie Charles stał się wszechmocny.

– Pójdę już. Mamo? Czy papa miał atak serca przeze mnie? Bo źle się do niego odnosiłam? Złościłam się o... Johna?

– Ależ kochanie, skąd ci to przyszło do głowy! Papa od dawna pracował bardzo intensywnie, a ostatnio doszła do tego śmierć Elizabeth. Za dużo złości, gniewu i żalu, które zbyt długo nie znajdowały ujścia. To nie ma nic wspólnego z tobą ani z Johnem. Nie wolno ci obwiniać się za chorobę ojca. – Clarissa pocałowała ją w czoło i pchnęła w kierunku schodów. – A teraz idź już i wypal z nim fajkę pokoju.

Eleanor szła najwolniej jak umiała, w końcu jednak i tak znalazła się pod drzwiami sypialni ojca. Zapukała nieśmiało.

– Papo? Czy mogę wejść? Mama mówiła, że chciałeś się ze mną zobaczyć.

Charles Fawcett leżał w wysokim, obszernym łóżu. Poduszki i kołdry piętrzyły się, jakby próbował zrobić z nich namiot. Na jego twarzy pojawił się grymas, który, jak domyśliła się Eleanor, miał być powitalnym uśmiechem.

– Wejdz, myszko. Usiądź tu, koło mnie. Tak, zamknij drzwi. Chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy.

Na czubkach palców podeszła do łóżka. Dziwnie się czuła, patrząc na unieruchomionego ojca. Była niespokojna, bo domyślała się, że będą rozmawiać o sprawach, o których nie chciała nawet myśleć. Wiedziała jednak, iż nie ma innego wyjścia: obiecała przecież mamie nie zdenerwować go i ślubowała Bogu być grzeczną. Nie przypuszczała nawet, jak trudne się to okaże.

– Czy nadal się na mnie gniewasz, kochanie?

Kiedy była mała, papa nazywał ją „cukiereczkiem”, zwłaszcza gdy złościła się, bo kładziono ją spać zbyt wcześnie.

– Nadal się na mnie gniewasz, cukiereczku? – zawahał się, zanim użył dawno

zapomnianego spieszczenia.

– Czasami tak, papo. Nie rozumiem, dlaczego jesteś tak surowy wobec Johna, ale nie kłóćmy się już. Mama powiedziała, że nie wolno ci się denerwować, bo dostaniesz następnego zawału.

Nie, nie chciała tego powiedzieć, nie chciała sugerować, że ojciec gra nie fair. On jednak i tak nie zwracał na nią uwagi. Wsłuchiwał się w brzmienie własnych słów.

– Zdaję sobie sprawę, iż uważasz, że postąpiłem w stosunku do Johna zbyt surowo. Ale czasem trzeba być stanowczym dla czyjegoś dobra. Czy w to wierzysz, czy nie, Johnowi jest o wiele lepiej z dala od domu. W Brazylii nigdy nie zdoła zapomnieć. Nowe otoczenie pozwoliło mu znów żyć, sprawiło, że nie myślał w kółko o Tragedii. W szkole John jest zmuszony zajmować się innymi sprawami i nikt tam nie plotkuje na jego temat. Wiem, że się ze mną nie zgadzasz, ja jednak zrobiłem to, co uważałem za najlepsze dla tego chłopca. Za cztery lata powinien już być dość silny, by stawić czoło wspomnieniom. Wtedy, jeśli zechce, może wrócić. Będzie dorosłym człowiekiem i wydarzenia z przeszłości nie zdołają go zranić. Naprawdę tego nie rozumiesz, kochanie?

Mówił tak szczerze i żarliwie, z takim przekonaniem, że Eleanor mogła tylko potakiwać bezgłośnie. Nie powiedziała ojcu, że uczniowie w nowej szkole Johna wiedzieli o wszystkim i wcale nie kpili z Tragedii. To by papę tylko zdenerwowało. Nie chciała zarzucać mu złej woli, przecież obiecała być grzeczna. Westchnęła więc ciężko, kiedy wyciągnął do niej rękę. Dłoń ojca wydała jej się gorąca w porównaniu z własną chłodną skórą.

– Papo, rozumiem, że robisz to dla jego dobra, ale czy naprawdę John nie mógłby wracać do domu na wakacje? – starała się nadać głosowi spokojne, wyważone brzmienie. Ani śladu złości czy żalu, tylko beznamiętne zainteresowanie. Charles odetchnął głęboko.

– To zbyt mało czasu, by zapomniał. Przyjazd tutaj byłby jak rozdrapywanie dopiero co zabliźnionej rany. Każdego lata chłopak cierpiałby na nowo, na nowo przeżywał tamten koszmar. Nie rozumiesz, Eleanor? John musi stwardnieć, zmężnieć, wytworzyć w sobie ochronny pancerz. Dopiero wtedy będzie mógł wrócić do Rio.

– Za cztery lata? Kiedy skończy szkołę? Obiecujesz? – wiedziała już, jak rozegrać tę partię. Walka o wakacje Johna była i tak z góry przegrana. Teraz jednak Eleanor dojrzała szansę: ojciec przyrzeknie jej to, przekonany, że ona przez tak długi czas zapomni o wszystkim i nie będzie musiał wypełnić obietnicy. Ucisnęła rozpaloną dłoń.

– Obiecujesz, papo?

– Tak, kochanie, tak.

– Powiedz to, papo. Powtórz: „Obiecuję, że za cztery lata pozwolę Johnowi przyjechać do domu” – nalegała.

– Dobrze, Eleanor! Obiecuję! No, już zadowolona?

Charles Fawcett był zły. Poczerwieniał, co natychmiast przypomniało jej o własnych przysięgach.

– Dziękuję, papo. Nie chciałam cię zdenerwować. Bardzo ci dziękuję. John poczuje się lepiej, kiedy mu o tym napiszę.

Jeszcze zanim skończyła mówić, wiedziała, że popełniła błąd. Ojciec odął wargi jak

naburmuszone dziecko.

– Więc nadal z nim korespondujesz? Mimo tego, co ci powiedziałem?

– Tak, papo. Nie mogłabym tego nie robić. Pozwoliłeś mi przecież, choć uważałeś, że to zły pomysł. Johnowi bardzo zależy na moich listach. Chce wiedzieć, co się u nas dzieje. Zawsze pozdrawia wszystkich serdecznie, ciebie także.

W myślach błagała Boga, by przymknął oczy na to kłamstwo. Chory rozluźnił się.

– No dobrze. Pisz, jeśli musisz. Ale będziesz znowu moją małą dziewczynką, prawda? Nie będziesz się odwracała i zbywała mnie półsłówkami? Znowu staniesz się moją kochaną Eleanor? – w jego głosie dźwięczały błagalne nuty. Eleanor zrobiło się nieswojo. Ojciec zebrał o coś, co mu się należało. Skinęła głową, nagle zawstydzona. Kochała go, a on mógł umrzeć, być może przez nią. Pocałowała go w policzek.

– Przepraszam, papo – szepnęła. Przytulił ją do siebie.

– Ja też przepraszam, Eleanor. Musimy po prostu udawać, że to się nigdy nie zdarzyło, dobrze?

– Dobrze, papo. To się nigdy nie zdarzyło.

## Rozdział siódmy

*Rio de Janeiro*

*Wrzesień 1958*

Już z daleka widać było zarysy Śpiącego Olbrzyma. Górował nad horyzontem; spoczywający na plecach starzec, który może obudzić się lada chwila. Wówczas bez trudu wkroczy w morze i zatopi statek niczym dziecinną zabawkę.

John wpatrywał się weń jak zahipnotyzowany. Od zielonego giganta bila siła mitycznych herosów. Nagle chłopcu wydało się, że nos starca zdrzął.

Statek wślizgnął się w wąski przesmyk, nad którym dominowała Głowa Cukru. Już po chwili wpłynęli na spokojne wody portu, ujętego ramionami wzgórz.

Na wszystkich pokładach pasażerowie tłoczyli się przy burtach. Krzyczeli coś i śmiali się, pokazywali palcami i robili zdjęcia. Tylko John był spokojny. Wzruszony, spoglądał na rozpościerający się przed jego oczyma widok, w którym rozpoznał sylwetki starych przyjaciół. Oto Gavea, a tam, tak, tam są Dois Irmaos, Dwaj Bracia, a tu najwyższe ze wzgórz, Corcovado, Garb górujący nad całym miastem. Na jego szczycie Chrystus Zbawiciel wyciągał ramiona w powitalnym geście. John uśmiechnął się.

– Ta figura jest niesamowita, prawda? Nie przypuszczałam, że robi aż takie wrażenie.

Stojąca obok Johna dziewczyna nie ukrywała zachwyty. Zerknął na nią kątem oka. Wyraźnie czekała na jego opinię.

– To prawda. Jest jedyny w swoim rodzaju – mruknął w końcu, a nieznajoma uśmiechnęła się z zadowoleniem. Miała piękne, równe, białe zęby, które sprawiały, że jej pospolita twarz potrafiła przykuć uwagę. John spojrzał na swą rozmówczynię uważniej.

– Czy to pani pierwsza wizyta w Brazylii? – zapytał, choć i tak wiedział, że odpowiedź będzie twierdząca. Ku swemu zdziwieniu zdał sobie sprawę, że chciałby pokazać jej Rio. Pragnął z dumą powiedzieć: „to moja ojczyzna”.

Tak jak przypuszczał, potakująco skinęła głową.

– Tak. Wiele lat temu rodzice obiecali mi, że pewnego dnia tu przyjedziemy. Nie mogę w to uwierzyć nawet teraz, kiedy jestem już prawie na miejscu. Zamieszkamy w hotelu Copacabana Pałace. A pan? Czy był pan tu już kiedyś?

Oparł się plecami o reling.

– Ja jestem stąd. Wyjechałem cztery lata temu, a teraz wreszcie wracam. Czy wie pani, na co patrzymy?

Zaprzeczyła, więc wskazał jej Śpiącego Olbrzyma, złote plaże Copacabany i białe budynki nadbrzeżnych ulic. Opowiadał o starym forcie i dzielnicy handlowej, głównej arterii miasta, o Avenida Rio Branco.

Razem patrzyli na Praca Maua, plac pełen kwiatów, klombów i drzew. Obserwowali kłębiący się na brzegu tłum: Murzynów ubranych w najdziwaczniejsze stroje, cywilów i wojskowych. Z krzykami uliczników mieszało się wściekłe trąbienie klaksonów i

nawoływania handlarzy owoców. Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze.

– Nawet w marzeniach nie przypuszczałam, że tu jest tak cudownie, tak... inaczej.

John uśmiechnął się zadowolony. Był rad, że potrafiła docenić piękno jego świata. Uważnie przyglądał się twarzom na nadbrzeżu. Wiedział, że to nierealne, a przecież miał nadzieję, że dostrzeże gdzieś Eleanor. Jednak był to czwartek, a więc zwykły szkolny dzień. Elly na pewno siedzi w dusznej klasie i wyglądając przez okno, zastanawia się, czy on jest na pokładzie statku, który niedawno zawinął do portu. Nie, nie będzie jej w porcie. Podobnie jak nie będzie ciotki Clarissy. Tylko ukochana kuzynka знаła dokładną datę jego powrotu. Fawcettowie przesłali mu pieniądze na podróż, ale jedynie Elly wiedziała, kiedy John wraca do domu.

Stojąca obok dziewczyna zamilkła i badawczo zjrzała mu w oczy. Wodziła za nim wzrokiem od początku podróży. Posyłała zachęcające uśmiechy, upuszczała książki, kiedy ją mijał, pytała o drogę, jednak nigdy nie zwracał na nią uwagi. Sprawiał wrażenie człowieka żyjącego we mgle, wpatzonego we własny świat. Ona tymczasem tak bardzo chciała... chciała... czego właściwie? Poznać go? Pragnęła go po prostu, choć nie miała pojęcia dlaczego.

– Przepraszam! – uśmiech, wyciągnięta dłoń. – Jeszcze się nie przedstawiłam, prawda? Lydia Forrester. Skoro pokazał mi pan te wszystkie wspaniałości, możemy chyba zostać przyjaciółmi? – i znowu śmiech, który jednak zaraz znikł. Ze złością stwierdziła, że jej towarzysz ponownie szuka wzrokiem czegoś w oddali. Nie patrzył na nią, lecz poprzez nią.

– A pan to?... – nie dawała za wygraną.

– A... ja... jestem John. – Nic, ani śladu blond czupryny wśród morza głów. – John Campos de Serra. – Starał się skoncentrować na osobie dziewczyny. Lydii? Chyba tak. Chciał być uprzejmy. Próbował nie dać się ponieść wyobraźni, ale była to z góry przegrana walka. Lydia, pomyślał, jest bardzo miła, bardzo chętna i bardzo zwyczajna. Nie pytając wiedział, czego oczekuje od życia: bezpieczeństwa, małżeństwa, odpowiedniej pozycji. On jednak nie pragnął ani nie potrzebował żadnej z tych rzeczy. Pragnął i potrzebował tylko Eleanor.

– Ojej! A ja myślałam, że jak my jesteś Anglikiem! Masz brytyjski akcent. Co to za nazwisko?

Udaje nieśmiałą gąskę, stwierdził w duchu. Nie interesowała go. Nie chciał, by zepsuła mu uroczysty nastrój powrotu do domu. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Brazylijskie, jakież by inne? Przepraszam panią.

Odwrócił się i odszedł, niedaleko, tylko kilka metrów, żeby podkreślić, że nie życzy sobie jej towarzystwa. Lydia, zarumieniona z przykrości, wróciła do rodziców. Johna ogarnęło poczucie winy. Nie chciał być nieuprzejmy, pragnął tylko zachować dystans. Zmełł w ustach przekleństwo.

Wyładowywanie bagaży, kontrola celna i paszportowa zajęły im dużo czasu. Wielu pasażerów w oczekiwaniu na dopełnienie formalności popijało kawę, rozprawiając o aromacie i smaku brazylijskiego specjału. Zniecierpliwiony John opędzał się jak od much od uliczników, którzy proponowali mu filiżankę kawy albo taksówkę, bardzo, bardzo tanio, *senhor*, namawiali na nocleg w hotelu na drugim końcu miasta. John przecząco kręcił głową,

rzucał im drobne i po portugalsku odgrażał się, że za chwilę straci cierpliwość. A oni błyskali białymi zębami i gorliwie zbierali z ziemi monety.

Biedne dzieciaki. Tego dnia zauważył je po raz pierwszy. Sam był synem bogatej rodziny. Co prawda, dorastał w Brazylii, ale nigdy nie dostrzegł wszechobecnej tu nędzy. Była dla niego czymś naturalnym, więc się nad nią nie zastanawiał. Teraz obserwował, jak pięcioletni brzdąc z wysiłkiem taszczy ciężkie walizki, walcząc o ten przywilej z kilkoma innymi chłopcami w jego wieku lub niewiele starszymi. Dostanie za swój trud parę centavos, ale tych kilka drobnych monet oznacza jedzenie. Zapewne niejedyn z kręcących się po porcie malców miał na utrzymaniu całą rodzinę. Matka zajmuje się domem i co rok rodzi nowe dziecko. Starsze rodzeństwo żebrze lub kradnie. W takich rodzinach nie bywa ojca, tylko wielu zmieniających się mężczyzn. Dom to buda z kartonu i papy, przytulona do któregoś z otaczających miasto wzgórz. Na deszczu budowle takie zamieniają się w bezkształtne sterty mokrej tektury. Widzi się je na wszystkich niemal wzgórzach Rio. *Favelas*. Slumsy.

John wiedział, że nie powinien dawać chłopcu pieniędzy. Co innego, rzucać monety w powietrze. Kiedy zbierają je z ziemi, żaden nie dostanie o wiele więcej niż inni. Obdarowanie jednak jednego z nich większą sumą byłoby równoznaczne z wydaniem wyroku śmierci. Sam więc dźwignął swoją walizkę i podszedł do stanowiska celników.

Nikogo nie zainteresował jego bagaż. Rzut oka wystarczyło, by stwierdzić, że młody człowiek pochodzi z dobrej rodziny. Celnik nabazgrał coś kredą na walizce i pozwolił mu odejść. John wyszedł z budynku kapitanatu portu.

Na chwilę oślepiło go ostre słońce, odbijające się od białych ścian. Ruszył wolnym krokiem. Ignorował nawoływania taksówkarzy, kierowców lincolnów, packardów i coraz liczniejszych volkswagenów. W tych ostatnich usuwano drzwi od strony pasażera i wyjmowano przednie siedzenie. Tak powstała współczesna wersja zmotoryzowanej rikszy.

John widział, jak Lydia wsiada z rodzicami do taksówki. Dziewczyna rozglądała się za nim, więc ukrył się za stoiskiem sprzedawcy owoców. Kupił szklankę soku z pomarańczy i papai. Pił powoli, czekając aż Anglicy odjadą. Kiedy zniknęli, wstał i poszedł dalej. Jego walizka nie była ciężka. Nie miał wielu ubrań, a szkolny mundur został w Anglii. John swobodnie przerzucał bagaż z ręki do ręki i machał nim radośnie. Doszedł do przystanku akurat w momencie, gdy nadjechał autobus.

Tuż za nim gwałtownie, z piskiem opon zahamował jakiś samochód, ale John nie zwrócił na niego uwagi. Szukał w kieszeni drobnych. Nagle ktoś złapał go za ramię. Zniecierpliwiony strącił rękę intruza i zirytowanym głosem kazał mu się odczepić. Dłoń jednak nie dawała się zniechęcić. Z wściekłością odwrócił się, żeby zobaczyć, czego chce ten nachalny dzieciak.

Natręt okazał się zadziwiająco wysoki, miał poważne, ładnie sklepione czoło i jasnozielone oczy, zerkające spod ronda małego kapelusika. Piękne, długie włosy spływały na plecy złotą kaskadą. Dziewczyna miała piętnaście lat, nie była już dzieckiem, a jeszcze nie stała się kobietą. Jej widok sprawił, że w sercu Johna wezbrało morze czułości. Nadal trzymała go za ramię, zdyszana po długim biegu.

– Eleanor? Na Boga, Eleanor!

Upuścił walizkę i porwał kuzynkę w ramiona. Roześmiała się. Kapelusik spadł jej z

głowy, kiedy obejmowała go za szyję.

– Och, John! Ledwo zdążyłam! Biegłam taki kawał drogi, autobus spóźnił się, i będę mieć kłopoty, kiedy się wyda, że urwałam się ze szkoły. Ale musiałam po ciebie wyjść! Witaj w domu, John! – ucałowała chłopca w oba policzki i przywarła do niego z całej siły.

Na Praca Maua co chwila tworzyły się potężne korki. Uwięziona w taksówce Lydia miała dość czasu, by wypatrzeć Johna w tłumie. Widziała, jak podbiegła do niego jasnowłosa dziewczyna, nieletni dzieciak, ale jaka wysoka i chuda! I ten nietwarzowy mundurek! O co, u licha, w tym wszystkim chodzi? Lydia wyprostowała się, żeby lepiej widzieć. Och, John odwrócił się i wziął dziewczynę w ramiona. Podniósł ją tak gwałtownie, aż blondynce spadł kapelusz! A teraz ściskają się i całują! Lydia ze złością zacisnęła usta. Więc to dlatego młody człowiek nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Cały czas wypatrywał tej panienki. Dręczona zazdrością wychylała się przez okno, dopóki taksówka nie ruszyła z miejsca przy ogłuszającym akompaniamencie klaksonów. Po chwili John i nieznajoma zniknęli w tłumie. Lydia Forrester ciężko opadła na nagrzane oparcie ze skaju.

– John, puść! Zgnieciesz mnie! – Eleanor śmiała się radośnie. Niechętnie postawił ją na ziemi, nie wypuścił jednak z objęć. Popatrzył w roześmianą twarz kuzynki i nagle obojgu wydało się, że się w ogóle nie znają. Odsunęli się od siebie, zawstydzeni.

– Czy ktoś wie, że tu jesteś? – John przerwał przedłużające się milczenie. Eleanor podniosła z ziemi kapelusz. Chłopak sięgnął po walizkę.

– Skąd! Papa nie pozwoliłby mi jechać samej przez całe miasto! Mówiłam ci już, urwałam się ze szkoły. Jutro zrobią ze mnie mokrą plamę, ale mam to w nosie. Pośpiesz się, jeszcze zdążymy na autobus. Wsiądziemy przy Copacabanie i napijemy się czegoś. Masz pieniądze?

– Tak, w każdym razie dzisiaj nie martwmy się o gotówkę. Wuj Charles będzie mnie musiał wkrótce zasilić. A propos, jak się czuje szanowny papa?

– Doskonale.

Dopchali się do drzwi autobusu i zręcznie wślizgnęli do środka, w tłum podróżnych. Dopiero kiedy położyli walizkę Johna na półce pod sufitem i usiedli wygodnie, spojrzeli na siebie.

– Szczerze mówiąc – przyznała Eleanor – papa wcale nie czuje się dobrze. Ostatnio ciągle się złości, jest spięty, a wiesz przecież, że nie wolno mu się denerwować. John, proszę, pamiętaj, że on ma chore serce i wysokie ciśnienie. Nie kłóć się z nim, dobrze?

Słyszac zatroskanie w jej głosie, chłopak westchnął z irytacją.

– Innymi słowy, ciśnienie skoczyło szanownemu wujaszкови, bo musiał przesłać mi pieniądze na drogę. I nie opadnie, dopóki ja jestem w pobliżu, tak?

Choć wyglądał przez okno, nie widział budynków migających za szybą. Eleanor wzięła go za rękę.

– Nie, to nie tak. Proszę cię, John. Wiesz, że wszyscy się cieszymy z twojego powrotu, ale musisz ostrożnie obchodzić się z papą. Inaczej możesz go przyprawić o kolejny zawał, którego prawdopodobnie nie przeżyje. Proszę, nie złość się.

Wobec innych ludzi Eleanor była najczęściej złośliwa, błyskotliwa i zniecierpliwiona,

nigdy jednak nie zachowywała się tak w stosunku do Johna. Znali przecież nawzajem swoje myśli; słowa były tylko dodatkiem, kolejnym umocnieniem łączącej ich więzi. Eleanor podobał się dotyk jego dłoni, suchych, ciepłych i silnych. Oparła głowę na ramieniu kuzyna i z zadowoleniem poczuła, że John ją obejmuje.

– W porządku, Elly. Postaram się być miły i grzeczny. W końcu sam też nie chcę żadnych starć. Wszystko będzie dobrze, jeśli mi pomożesz.

– Dobra. Proszę, nie mówmy już o tym. Porozmawiajmy o tobie. Czy zdałeś wszystkie egzaminy? Czy żal ci było wyjeżdżać z Anglii? Pewnego dnia pojedziemy tam razem, wtedy mi wszystko i wszystkich pokażesz: twoją szkołę, przyjaciół i przede wszystkim szalonego kuzyna Maksa. Tak, jego przede wszystkim – z uśmiechem podniosła wzrok. Widziała zarazem starego przyjaciela i nieznanego. Osiemnastoletni John zdawał się bardziej mężczyzną niż chłopcem, ale nadal był to jej John.

– Nie wiem, co zrobiłbym bez Maksa. Twój ojciec nie miał chyba pojęcia, jak inteligentny i niekonwencjonalny jest to człowiek. Gdyby o tym wiedział, na pewno wysłałby mnie do kogoś innego. Obiecuję, że pewnego dnia poznam cię z kuzynem Maksem, ale nie mów o tym nikomu. To będzie nasz sekret – uśmiechnął się i ucisnął jej dłoń. – A egzaminy poszły mi chyba dobrze. Wyniki powinny być już tu dotrzeć. Nie wiesz, czy są dla mnie jakieś listy?

Pokręciła przecząco głową, więc mówił dalej.

– Wcale nie żałuję, że wyjechałem z Anglii. Podobało mi się tam, ale od samego początku chciałem wracać. Nigdy nie czułem się tam swojsko. Traktowałem szkołę jako zastępczy dom, miejsce gdzie mogę przetrwać na wygnaniu. Wytrzymałem dzięki Nickowi. Ojciec Dominik także bardzo mi pomógł. Brakuje mi ich obu. To jednak nie zmienia faktu, że natychmiast po zakończeniu sesji... – Potrząsnął głową. – Nie wiem, po prostu chciałem wrócić tu tak szybko, jak tylko się da. Wszystko inne straciło znaczenie. Kuzyn Maks zachował się bardzo przyzwoicie; po ostatnim egzaminie zabrał mnie do siebie i zabawiał aż do odplynięcia statku. W każdym razie ta część mojego życia jest już zamknięta. Nie chcę o niej nawet myśleć. Wróciłem do domu.

Minęli już Cinelandia, gmach opery i Edificio Monroe, i skręcili w Avenida Beira Mar. John zachłannie wpatrywał się w połyskujące wody zatoki Botafogo.

– A nie zakochałeś się w nikim? Nikogo nie zaprosiłeś na bal absolwentów? – Eleanor wyprostowała się i spojrzała na Johna ciekawie.

Gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie, skąd. Wykham nie jest, delikatnie mówiąc, łatwo dostępnym zakątkiem świata. Na balu wielu chłopaków nie miało partnerek. Zresztą byłem w kiepskim humorze i szybko wyszedłem.

Naprawdę John w ogóle nie poszedł tańczyć. Wolał iść na spacer do lasu, gdzie światło księżycy lśniło srebrem na mchu. Pragnął zaprosić na bal z tylko jedną dziewczynę: Eleanor.

– A to szkoda. Myślałam, że może zakochałeś się w jakiejś angielskiej piękności i przywieziesz ją do Rio, tak jak papa przywiózł mamę. Ale właściwie cieszę się, że tego nie zrobiłeś.



Kiedy siedziała tak obok kuzyna, nagle wyczuła w nim coś nowego, obcego, ekscytującego. Pachniał inaczej, nie tylko wodą i mydłem, lecz także kremem do golenia, wodą kolońską i... czymś jeszcze. Jego marynarka była szorstka i dorosła. To spostrzeżenie zaskoczyło dziewczynę.

– Naprawdę? – John uśmiechnął się. Tylko centymetry dzieliły ich twarze. – To dobrze.

Szukali czegoś w swoich oczach, żadne z nich jednak nie wiedziało, co spodziewa się tam znaleźć. Ulegli niesamowitemu wrażeniu, że patrzą na odrobinę tylko odmienioną wersję samego siebie. W ich wzroku malowały się te same myśli, ich piersi unosiły się w takim samym rytmie, jakby nie byli samodzielnymi ludźmi, lecz dwiema połówkami jednej całości. Dziwne. John przytulił policzek do twarzy kuzynki. Miała miękką, gładką skórę.

Autobus wjechał w wydrążony w skale tunel. Zapanował pomarańczowy półmrok. Wydawało się, że więżąca ich w swym wnętrzu góra tłumi wszelkie odgłosy. Mieli wrażenie, jakby kłęby waty zatykały im uszy. John musnął ustami wargi dziewczyny. Pachniał ciepło, świeżo i niepokojąco męsko. Eleanor nie poruszyła się. Napawała się nowymi doznaniem, upajała dotykiem jego skóry.

Autobus wynurzył się z tunelu. Słońce oślepiło ich. Spojrzeli na siebie i skrzepowani odwrócili wzrok.

– Gdzie chcesz wysiąść? Może przy Avenida Atlantica? – Eleanor starała się nadać swemu głosowi entuzjazm. Poprawiła kapelusz i wyjrzała przez okno. John podążył za jej wzrokiem. Przed nimi rozciągała się Copacabana.

– Tak, na następnym przystanku. Przekąsimy coś w restauracji i pójdziemy na plażę, co ty na to? Od czterech lat nie byłem na plaży.

Zdławił w sobie tęsknotę, świadom, że żadne z nich nie zdaje sobie sprawy z prawdziwej siły uczucia. Nie dorośli do niego, jeszcze nie. Zdjął walizkę z górnej półki i dał kierowcy znak, by się zatrzymał.

Wysiedli tylnymi drzwiami. Autobus odjechał w obłoku czerwonego pyłu. Przeszli przez jezdnię i przystanęli na ciągnącej się wzdłuż plaży promenadzie. Ciepły, łagodny wiatr pieścił ich twarze. Fale leniwie obmywały brzeg. John rozluźnił krawat i zdjąwszy marynarkę, zarzucił ją sobie na ramię. Przyglądał się tłumowi opalonych ciał. Gromadki dziewcząt w skąpych bikini biegały od wody do ręczników. Głośnym piskiem próbowały zwrócić na siebie uwagę chłopców. Ci zaś zmagali się z falami, i ślizgali na deskach, cudem utrzymując równowagę. Rozbrykane psy uganiały się po piachu. John nie mógł opanować uśmiechu. Wszystko tu wydawało się takie niewinne, pogodne i beztroskie.

Świat znajomy, a jednocześnie obcy. Chłopak nie wiedział, co o tym myśleć. Czuł się tak, jakby patrzył na doskonale znany, ale rysujący się nieostro widok. Kontury rozmazują się i nie bardzo wiadomo, co właściwie postrzegamy. John potrzęsął głową.

– Jak tam Henry? I Louis? Nadal z Isobel? – zerknął na Eleanor. Przez chwilę wyglądała na skonsternowaną. Zaraz jednak odpowiedziała zupełnie spokojnie.

– Louis? Owszem. Zawsze był i zawsze będzie. Obawiam się, że za kilka lat ten biedak poprosi ją o rękę.

– A ona się zgodzi?

– Pewnie tak, o ile nie trafi jej się lepsza partia. Wiesz, jaka ona jest – w śmiechu Elly dosłyszał zarazem rozbawienie i irytację.

Skinął głową.

– A Henry?

Nie był pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź. Przypominało to nieśmiałe dotykanie językiem chorego zęba, żeby przekonać się, jak bardzo nadal boli.

Eleanor rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

– Henry nigdy nie interesował się Isobel, nie w tym sensie – mówiła zbyt swobodnie, zbyt bez troski. John popatrzył na nią badawczo. Zaczerwieniła się pod jego wzrokiem.

– Cóż, tak, myślę, że to mnie lubi. Nigdy jednak nie zrobił nic... Wie, że bym mu tego nie wybaczyła. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Nagle ogarnęła ją złość. Dlaczego w ogóle się przed nim tłumaczy?

– W każdym razie obaj mają się dobrze. Louis zamierza studiować ekonomię w Sao Paulo. Henry ma jeszcze czas, żeby podjąć decyzję, ale według mnie na pewno wybierze prawo. A ty?

Właśnie, a ja? Zastanowił się. Antropologia, jak kiedyś planował? Socjologia? A może archeologia, wielka niewiadoma? Sam nie wiedział.

– Nie mam pojęcia. Pewnie zdecyduję się w ostatniej chwili. Chodź, zjedźmy coś. Ta restauracja wygląda nieźle.

– Ta z markizą w pasy?

To nie było zwykłe pytanie. W głosie Eleanor mieszały się zdziwienie i niepewność. John spojrzał na nią zaskoczony. Nie pojmował, czemu jego propozycja wzbudziła jakiegokolwiek obawy.

– Tak. Masz coś przeciwko?

– Och, nie... tylko że wszyscy są odpowiednio ubrani, a ja mam na sobie szkolny mundurek. Zaraz zasypią nas pytaniami, przekonasz się. Dlaczego nie jestem w szkole? Kto mi towarzyszy? Zapomniałeś już, jak tu jest, John. To Brazylia, nie Anglia. Dziewczyna musi... dbać o reputację – wyjaśniła podniesionym, zirytowanym głosem. Dopiero jej słowa przypomniały mu, jak bardzo pruderyjni są Brazylijczycy, zwłaszcza jeśli chodzi o młode dziewczęta. Choć na plaży nosiły skąpe bikini, szkolne mundurki skromnie zakrywały im kolana. Eleanor rzeczywiście nie pasowała do otoczenia. Dopiero teraz zauważył zaciekawione spojrzenia mijających ich przechodniów. Zastanawiali się pewnie, czemu dziewczynie nie towarzyszy ktoś starszy albo przynajmniej kobieta.

– W porządku, chodźmy więc na lody. Masz tu drobne. Idź” i kup coś pysznego, a ja muszę załatwić ważną sprawę. Zaraz wracam.

I już go nie było. Przebiegł ulicę. Zniknął. Eleanor wzruszyła ramionami i ustawiła się w kolejce po lody.

Zdążyła zapłacić i odejść na bok z dwoma wafelkami w dłoniach, kiedy John znów się pojawił. Uśmiechnął się i wziął swoją porcję. Powędrowali dalej wzdłuż ciągnącej się milami plaży.

– Gdzie byłeś? – Eleanor z apetytem zajadała lody. John wyjął z kieszeni niewielką

paczuszkę i rzucił w stronę kuzynki.

– Pomyślałem, że moglibyśmy zostać tu jeszcze trochę, zanim wrócimy do paszczy lwa. A czego potrzebujemy, żeby się dobrze bawić i, co ważniejsze, nie rzucać w oczy na plaży, no czego? – zapytał wesoło.

Zajrzała do paczuski.

– Kostiumy kąpielowe!

Z zachwytem wyciągnęła je z torebki. Tyle tylko, że strój, który miała włożyć, wcale nie przypominał jej starego kostiumu. Było to kilka nader skąpych skrawków materiału. Eleanor wpatrywała się w nie z niedowierzaniem.

– Bikini?

– Czemu nie? Będziesz wyglądała doskonale. Zresztą nie możesz się uważać za Cariocę, jeśli nie byłaś na Copacabanie w bikini, prawda? – uniósł brwi w żartobliwym zdziwieniu.

Parsknęła śmiechem.

– No, chyba nie. Ale papa dostałby kolejnego zawału, gdyby mnie w tym zobaczył.

– Jeszcze jeden powód, żebyś to włożyła. Ups, przepraszam, zapomniałem. Ani słowa o szanownym papie. Dalej, Eleanor. Będziesz wyglądała rewelacyjnie, sto razy lepiej niż te wszystkie napuszone dziewczuchy. Nie kapryś. Wydałem na ten kostium ostatnie pieniądze. Mam jeszcze tylko drobne na autobus do domu.

Postawił walizkę na ziemi i zmarszczył brwi. Skinęła głową.

– Dobra, dobra. Przekonałeś mnie. Gdzie mogę się przebrać?

– W sklepie, w którym to kupiłem. Uśmiechnęła się.

– W takim razie do zobaczenia za chwilę. Ojej, a ręczniki? – zatrzymała się w pół kroku.

Uniósł ręce i roześmiał się.

– Musimy improwizować, Eleanor. Nie bądź taka przyziemna. To mój pierwszy dzień w domu. Chcę leżeć na złotym piachu, pływać w błękitnym oceanie i odpoczywać! Spójrz – podszedł do niej. W wyciągniętej dłoni trzymał pusty wafelek. – Oto – oznajmił przesadnie pompatycznym głosem – symboliczny róg obfitości. Wróciłem tam, gdzie moje miejsce. Wszystkie bogactwa tego świata należą do mnie. Ty także. Więc jeśli mówię, że włożysz bikini, zrobisz to. I nie martw się ręcznikami, dobrze? – mówił pół żartem, pół serio. Na jego szczupłej twarzy pojawił się czarujący, łobuzerski uśmiech. Pokręciła głową.

– Na Boga, John, wpakujesz mnie w tarapaty. To zawsze było twoją specjalnością. Najgorsze jednak, że wolę tkwić w kłopotach po uszy z tobą, niż trzymać się w towarzystwie kogokolwiek innego.

– Na przykład Henry'ego? – zapytał z nagłym błyskiem w oczach.

– Kogokolwiek – powtórzyła stanowczo. Odwróciła się i poszła do sklepu. Nie zauważała pełnych podziwu spojrzeń, jakimi obrzucali ją plażowicze.

Kiedy kilka minut później wyszła z przebieralni, John czekał już na nią, niedbale oparty o kamienny murek. W porównaniu z innymi ludźmi na plaży wydawał się bardzo blady. Gdy przyjechał do Anglii, było dokładnie odwrotnie, pomyślał ubawiony.

– John, czuję się bardzo głupio. Zobacz, jestem cała opalona z wyjątkiem brzucha białego jak mleko! – jęknęła Eleanor. Czuła się nie tylko głupio. Miała wrażenie, że wszyscy na nią

patrzą. Skąpe skrawki materiału wyczyniały cuda z jej ciałem. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że bikini podkreśla i uwypukla normalnie niewidoczne okrągłości. John otaksował kuzynkę wzrokiem.

– Nie jak mleko, tylko jak dobra śmietana. Żeby to zmienić, musisz właśnie nosić bikini i opalić brzuch. Chodź, biegniemy do wody.

Przeskoczył murek i ruszył w stronę morza, nie czekając na nią. Odbiła się od ziemi i wylądowała na piasku z nieoczekiwanym wdziękiem. John parsknął śmiechem.

– Dobra, stara Eleanor. Nigdy nie szukasz łatwej drogi, co? – poprawił ramiączko jej kostiumu. – Dbaj o reputację – mruknął. Potem złapał dziewczynę za rękę i z krzykiem i piskiem pognali ku wodzie.

## Rozdział ósmy

Jeszcze zanim o zmroku wrócili do domu, rozpętało się istne piekło. Po południu dzwonił nauczyciel Eleanor. Co się z nią dzieje, czy jest chora? Clarissa wpadła w panikę i zatelefonowała do Charlesa, który z kolei zawiadomił policję. Tak więc kiedy John i Eleanor stanęli w progu, wszyscy domownicy byli na skraju hysterii.

Honório otworzył drzwi. Bez słowa odsunął się na bok. Eleanor zrobiła krok naprzód. John szedł tuż za nią. Zebrana w holu rodzina jakby zastygła w bezruchu. Umilkły głośnie klótnie i krzyki. Na Eleanor i Johna spoczęły spojrzenia pełne dezaprobaty. Mijały sekundy. Eleanor przełknęła ślinę.

– O Boże, przepraszam. Przepraszam i przykro mi, że się o mnie niepokoiłicie, ale dzisiaj John wrócił do domu – wykrztusiła w końcu. Jednak jej słowa zatonęły w kakofonii dźwięków. Oto wszyscy, którzy do tej pory milczeli, wybuchnęli nagle potokiem pytań, skarg i grózb.

Ojciec zbliżył się do dziewczyny, złapał ją za rękę i odciągnął od Johna.

– Gdzie byłaś? Jak mogłaś tak po prostu wyjść ze szkoły? Nikt cię nie pilnował? Za co, do cholery, płacę? Już ja porozmawiam z dyrektorką! Więc gdzie byłaś? Gdzie spotkałaś Johna? Co to ma znaczyć?! Uciekasz ze szkoły i włóczysz się z Johnem? Dlaczego nikt z nas nie wiedział, kiedy on wraca?! Szwendasz się nie wiadomo gdzie, a my zamartwiamy się, że cię porwano! Jesteś niedobrym, samolubnym dzieckiem! Nie spodziewałem się tego po tobie!

Co chwila szarpał Eleanor za ramię, jakby chciał sprawić jej dodatkowy ból. Wreszcie pociągnął ją w stronę policjantów.

– Patrz, co narobiłaś! Ci oficerowie przejechali taki kawał drogi tylko i wyłącznie z twojego powodu. Tracili czas. Obdzwoniliśmy wszystkie szpitale, rozmawialiśmy z twoimi przyjaciółkami, szukaliśmy cię wszędzie. Ty durna dziewczyno, jeśli tak dalej pójdzie, ładną zyskasz sobie reputację. Myśmy się zamartwiali, a ty się świetnie bawiłaś. Co robiłaś? Co ty robiłaś?! – Uniósł głos jeszcze bardziej.

Eleanor płakała. Nikt nie słyszał jej błagalnych jęków: „papo, proszę”. Chciała się od ojca odsunąć, ale on tylko mocniej zacisnął dłoń na jej nadgarstku. Zmusił ją, by spojrzała mu w twarz.

Policjanci wiercili się niespokojnie, bębnilo palcami w daszki czapek, mruzcili coś pod nosem. W końcu wyszli, obrzucając Johna wrogimi spojrzeniami.

Clarissa powstrzymała chłopaka, kiedy chciał pośpieszyć na pomoc Eleanor. Wiedziała, że mąż potrzebuje czasu, by ochłonąć. Przypomniała Johnowi o chorobie wuja. Isobel stała w drzwiach. Na jej ustach błąkał się uśmiech. Spod zmrużonych powiek obserwowała kuzyna.

Także Henry był świadkiem sceny w holu. Odciągał Charlesa od Eleanor, uspokajał go, osłaniał dziewczynę. Był jednak zaledwie średniego wzrostu. Fawcett przewyższał go znacznie i z góry spoglądał z wściekłością na córkę. Próbował też odepchnąć Henry’ego, ten jednak nie dał się ruszyć z miejsca. W końcu Charles ochłonął nieco.

Przez cały czas John nie odezwał się ani słowem. Jego pierwszym odruchem było bronić

Eleanor, ale Clarissa powstrzymała go. Przyznał ciotce rację. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że wuj wkrótce się uspokoi, zaś jego interwencja mogłaby tylko pogorszyć sprawę. Zbyt późno zrozumiał, że Charles miał prawo być wściekły. On, John, rzeczywiście zachował się nieodpowiedzialnie i samolubnie. Szeptem przeprosił Clarissę.

Ponownie zapadło milczenie. W pełnej napięcia ciszy spotkały się oczy wuja i siostrzeńca. We wzroku Charlesa chłopak zobaczył nienawiść. Zbladł i zacisnął usta. Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, dopóki Henry nie stanął pomiędzy nimi.

W wargach Johna nie było ani kropli krwi. Błękitne oczy pociemniały. Odchrząknął.

– Przepraszam, wuju Charlesie. To było nieodpowiedzialne z mojej strony. Powinienem był przyprować Elly wcześniej...

– Nie odzywaj się do mnie! – Charles nie pozwolił mu skończyć. John głęboko wciągnął powietrze. Nie próbował dodawać już nic więcej.

– Panie Fawcett, proszę się uspokoić. Niech pan siada. Wszystko jest w porządku. Wie pan, co mówią lekarze. Nie wolno się panu denerwować. Eleanor nic się nie stało. O wszystkim możemy porozmawiać spokojnie. Proszę, sir, niech pan usiądzie. – Henry nie dawał za wygraną, ale Charles był głuchy na wszelkie rozsądne argumenty.

– Nic nie jest w porządku! Do biblioteki, Eleanor! Ty, ty też chodź! – wskazał Johna ruchem głowy. – Rany boskie, Henry, puść mnie. Nie jestem inwalidą, do diabła! Jeśli chcę powiedzieć mojej córce, co o niej sędzę, nic i nikt mnie nie powstrzyma, jasne? Więc idź do domu – dodał już dużo spokojniejszym tonem. Henry westchnął i odsunął się, posyłając Johnowi ponure spojrzenie.

Eleanor ruszyła w stronę biblioteki. Było jej niedobrze ze złości, strachu, gniewu i poczucia winy. Nadgarstki pulsowały bólem.

John delikatnie odsunął Clarissę.

– Nie martw się, ciociu, wszystko będzie dobrze. Przepraszę go. Nie chcę się kłócić i pogorszyć całej sytuacji – uspokajał ją. Skinął głową Henry'emu, który właśnie wychodził. Henry odpowiedział chłodnym uśmiechem.

Charles czekał przy drzwiach biblioteki. Gestem wyciągniętej ręki rozkazał Johnowi, by wszedł pierwszy. Nagle powróciło dawne przeczucie, obawa, lęk. Powróciło potężną falą. Starszy mężczyzna obrzucił Johna spojrzeniem pełnym goryczy.

– Wchodź. I to już. Clarisso, ani słowa. Porozmawiamy później. A ty, Isobel, przestań się głupkowato uśmiechać i wracaj na górę. Masz, zdaje się, lekcje do odrobienia na jutro?

Nie czekał na odpowiedź. Wszedł do biblioteki i starannie zamknął za sobą drzwi.

John stał obok Eleanor i czekał, aż wuj zacznie mówić. Miał wrażenie, że powtarza się scena z przeszłości, gdy jako chłopiec prosił, by kuzynka mogła pojechać z nim do Vila Serrista. Był chory z nienawiści, gniew gotował się w nim i czekał na dogodną chwilę, by wybuchnąć. Jednocześnie zaś John czuł się poniżony i bezradny. Jak zawsze w obecności wuja.

Charles kazał im usiąść. Wykonali polecenie nie odrywając wzroku od jego twarzy. On sam stał nad nimi, by w ten sposób zyskać złudzenie przewagi. John z trudem opanował złośliwy uśmieszek; wiedział, że wuj nie chce mierzyć się z nim jak równy z równym.

Chłopakowi udało się jednak zachować obojętną minę. Nic się przez te lata nie zmieniło, a już z całą pewnością nie zmieniły się uczucia wuja.

– Eleanor, masz mokre włosy. Co robiłaś? – Fawcett uważnie przyjrzał się córce. Podniosła na niego wzrok, by po chwili znów opuścić głowę.

– Byliśmy na plaży – rzucił John. Charles odwrócił się do niego.

– Nie z tobą rozmawiam. Pytałem Eleanor. Mógłbyś mieć chociaż tyle przyzwoitości, żeby milczeć, kiedy się nikt do ciebie nie zwraca. Dość już kłopotów nam narobiłeś. Więc, Eleanor? I nie próbuj mnie okłamywać – kontynuował lodowatym głosem. John zagryzł wargi.

– Kiedy to prawda, papo. Wyszłam po Johna na nadbrzeże. Potem pojechaliśmy autobusem na Copacabanę, siedzieliśmy na plaży, kąpali się, gadali, a potem wróciliśmy do domu. To wszystko. Przykro mi, że się tak martwiłeś...

Ojciec nie dał jej skończyć zdania.

– Skąd wiedziałaś, że on dzisiaj wraca? Kto ci powiedział, skoro nikt z nas nie miał o tym pojęcia?

– Ja... pytałam Johna w liście, a on podał mi konkretną datę. Gdybyś do niego napisał i zapytał o to, wszyscy poszlibyśmy go przywitać i nie byłoby tego całego zamieszania. Papo, przykro mi, że zwagarowałam ze szkoły, i przepraszam, że tak się o mnie denerwowaliście, ale ja po prostu musiałam wyjść po Johna. Nie ma w tym nic złego, papo! Jeśli kłamałam, to przez ciebie! Zachowujesz się tak... nierozsądnie.

Eleanor wracała odwaga. Gniew i oburzenie z powodu złego traktowania ukochanego przyjaciela buzowały w niej jasnym płomieniem. Prawie nie słyszała już, co mówi ojciec. A Charles krzyczał na nią, zarzucał, że jest krętaczką, niegodną nazywać się jego córką. Co do Johna zaś...

– To nie była jego wina! – wrzasnęła. – Nie wiedział, że ucieknę ze szkoły, żeby na niego czekać. Po prostu to zrobiłam. Gdyby w tej rodzinie komukolwiek oprócz mnie na nim zależało, nie musiałabym iść na nadbrzeże sama! To ty robisz problemy, papo! Zachowujesz się, jakbym popełniła grzech, tęskniąc za Johnem! Za dzieckiem twojej własnej siostry! Powinieneś traktować go jak syna, a zachowujesz się, jakby był żebrakiem ze slumsów! Nie, do żebraka odniósłbyś się lepiej! Jesteś niesprawiedliwy, niedobry i... wredny! – krzyczała i płakała. Pod wpływem jej słów coś w Charlesie pękło, umarło. Stracił chęć do życia. Ciężko opadł na krzesło.

– Dosyć, Eleanor. Milcz! – John dotknął ramienia dziewczyny. Czujnie obserwował wuja. Jego uwadze nie umknęła nagle poszarzała twarz i rozpacz malująca się w oczach. Po raz pierwszy od bardzo dawna współczuł Charlesowi. – Przepraszam, sir. To wszystko moja wina. My tylko poszliśmy na plażę. Powinienem być jednak przewidzieć, że będziecie się martwić... – umilkł, bo zorientował się, że Fawcett w ogóle go nie słyszy.

Eleanor kulila się na krześle. Jej gniew wypalił się już, zostawiając jedynie kwaśny posmak w ustach. Poczowała dotyk dłoni Johna na ramieniu i nagle znów dostrzegła wszystko wyraźnie. Słyszała tykanie zegara i cykady za oknem, widziała ciężko opuszczoną głowę ojca. Podeszła do niego.

– Papo, bardzo mi przykro. Wiem, że wychodząc ze szkoły postąpiłam źle, i żałuję, że nie zadzwoniłam do domu, by was uprzedzić. Ale szczerze mówiąc, bałam się to zrobić. Nie miałam zamiaru nikogo urazić ani zdenerwować. Ja tylko chciałam zobaczyć Johna. Uważałam, że po czterech latach oczekiwania mogę sobie na takie powitanie pozwolić.

Charles ukrył twarz w dłoniach, potem przetaił oczy i podparł głowę rękami. Nagle poczuł absurdalną chęć, by się roześmiać.

– Możesz sobie pozwolić? – spojrzał na córkę, a potem na siostrzeńca pustym wzrokiem.  
– Więc wróciłeś. Cóż, zawsze wiedziałem, że w końcu wrócisz. Jesteś jak balansujący na skraju urwiska głaz, który lada moment runie i zmiążdży nas wszystkich – mówił niemal szeptem, cichym, ochryplym głosem raczej do siebie niż do nich. – Och, John, dlaczego się w ogóle urodziłeś? Jesteś moją nemezis, kontynuujesz dzieło swego ojca. Ale wiedz, że nie pozwolę ci skrzywdzić Eleanor. Nie pozwolę zabić także i jej – chwycił się za klatkę piersiową i zaniósł się kaszlem.

– Papo? Papo? Co się stało? Czy coś cię boli? – Eleanor przerażona uklękła przy fotelu ojca. – John, zawołaj mamę. Pośpiesz się!

Charles jednak odepchnął córkę i wstał, chwiejąc się lekko.

– Nie przejmuj się mną, Eleanor. Masz swojego Johna. Przecież jestem niesprawiedliwy, niedobry i wredny, zapomniałaś już? Podobno nie obchodzi mnie twoje szczęście. Daj mi spokój! – Wyszedł. Drzwi zamknęły się cicho.

Henry zbiegł ze wzgórze i skierował się w stronę domu. Był zły. Wbił ręce w kieszenie i, pograżony w myślach, niemal po omacku szedł wśród miękkiej ciemności. Rozmyślał o jednym: John wrócił. I od razu zaczęły się kłopoty. Eleanor nie poświęci już czasu jemu, Henry’emu. Nie będą więcej razem czytać i słuchać muzyki, nie będą grać w szarady z całą rodziną. Nie, ona pragnie spędzać całe dnie z kuzynem. Jak dawniej, kiedy ci dwoje stanowili nierozdzielny duet i nie potrzebowali nikogo więcej. Znowu będą śmiali się i szeptali, zazdrośnie strzegąc swoich tajemnic. A ilekroć ktoś zechce się dołączyć, odprawią go krótkim: „och, po prostu wspominamy dawne czasy. Nic ciekawego”. Cały świat zostanie na zewnątrz, jak kiedyś, podczas gdy oni odizolują się od rzeczywistości. Oni, we dwoje.

Z całej siły kopnął leżący na drodze kamyk i słuchał, jak uderza o bruk. Co, u licha, myślał sobie John, zachęcając ją, by wyszła po niego do portu? Przecież tyle nieszczęść mogło się przydarzyć! A potem, kiedy nie przyprowadzał jej do domu, choć wiedział, że wszyscy się martwią? Ale to cały Campos. Nigdy nie dbał o nikogo innego, tylko o siebie. Nawet Eleanor musi dostosować się do jego zachcianek. No tak, dla niego to żaden problem namówić piętnastoletnie dziecko do czego tylko zechce. Eleanor ufa kuzynowi bezgranicznie. Henry z furią kopnął następny kamień.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby John nie był taki zachłanny, rozmyślał dalej. Przecież on, Henry, nie miał żadnych zatargów z Charlesem Fawcettem. Nigdy nie dochodziło między nimi do scysji, choć często popołudniami zabierał gdzieś Eleanor. A dlaczego? Bo zawsze pamiętał, by odprowadzić dziewczynę do domu o właściwej porze, by dzielić się nią z rodziną. Nie próbował zagarnąć jej dla siebie. Przeklęty John. Po co w ogóle wrócił?



Eleanor czuła niesmak do samej siebie. Jak mogła tak napaść na ojca? Ona, która wiedziała, że papa jest chory i zmęczony, i na dodatek rzeczywiście zawiniła. Nie powinna była wagarować, żeby spotkać się z Johnem. To dziecinne i samolubne z jej strony. Przecież wystarczyło poczekać kilka godzin i zobaczyłaby kuzyna w domu, tak jak pozostali członkowie rodziny. A teraz wszystko przepadło. To przez nią papa ponownie znienawidził Johna. Jak mogła do tego dopuścić?

– Och, John. Tak mi przykro. Zepsułam wszystko, prawda? I przeze mnie papa poczuł się gorzej. Myślisz, że nic mu się nie stanie? Czy powinnam do niego iść? – Patrzyła na chłopca z rozpaczą i John poczuł, że powraca znajomy gniew. Wuj Charles doskonale wiedział, jak nią manipulować. Nie spełniasz moich oczekiwań, rozczarowałaś mnie, nie zasługujesz na to, by być moją córką. W tym domu zupełnie normalny, choć bezmyślny i nierozsądny czyn dziecka urastał do rozmiarów poważnego przestępstwa. John objął kuzynkę i przyciągnął do siebie.

Westchnął.

– Elly, nie przejmuj się tak. Twój ojciec zaraz się uspokoi. Postąpiliśmy głupio, ale dla niego to tylko pretekst, żeby mógł mnie na nowo znienawidzić – uśmiechnął się lekko, widząc oszołomienie w jej oczach. Starał się wytłumaczyć, o co mu chodzi. – Czy nie rozumiesz, że dopóki całkowicie nie poddasz się jego woli, wuj Charles nie będzie zadowolony? Chce kontrolować całe twoje życie, decydować o tym, co robisz i o czym myślisz, z kim się przyjaźnisz. Za kilka lat będzie wybierał dla ciebie chłopaków i kierunek studiów, a jeszcze później znajdzie ci męża. Nie pojmujesz tego?

Rozgniewana usiłowała go odepchnąć, ale nie wypuszczał jej z objęć.

– A ilekroć spróbujesz mu się sprzeciwić – mówił dalej – ilekroć zechcesz zrealizować własne plany, powie, że go zawiodłaś, złapie się za serce i zajęczy, a ty od razu ulegniesz. Zobaczysz, że tak będzie.

W głębi duszy Eleanor przyznawała mu rację, teraz jednak nie chciała o tym myśleć. Była zmęczona. Bolał ją nadgarstek. Przytuliła się do Johna i zamknęła oczy.

– Nie wiem, co mam robić. Nie mogę się rozdzielić i być z wami obydwoma jednocześnie. Proszę, postaraj się patrzeć na tę sytuację z większą wyrozumiałością. A ja spróbuję zmienić nastawienie papy.

Pogłaskał ją po policzku i delikatnie unióś jej podbródek do góry, więc musiała na niego spojrzeć. Doskonale знаła ten wyraz twarzy – to był jej John. Tak właśnie wyglądał, kiedy go sobie wyobrażała. Zaciśnięte usta, zdecydowany zarys szczęki, czujne, a zarazem troskliwe spojrzenie niebieskich oczu. Skinął głową.

– Dobrze. Spróbuję. Zawsze próbuję, Elly, naprawdę – puścił ją i podszedł do okna. – Czy myślisz, że jestem tu mile widziany? Po tym, co wuj przed chwilą powiedział? Jego nemezis, dobre sobie! Dlaczego mnie po prostu nie wyrzuci za drzwi?

– Papa nigdy by tego nie zrobił. Zresztą nie może. Jest twoim prawnym opiekunem, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. Do tego czasu musi się o ciebie troszczyć i zarządzać twoimi pieniędzmi.

– Czy mu się to podoba, czy nie. Wiesz, czasami prawie mi go żal. Prawie – w jego śmiechu nie było wesołości.

– Proszę, John.

Odwrócił się gwałtownie, nie chcąc, by Eleanor zobaczyła jego minę, żeby odgadła, jakie myśli chodzą mu po głowie. „Proszę, John”. Sprawiała wrażenie, jakby martwiła się tylko o ojca. A przecież to właśnie wuj, nikt inny, komplikował im życie. Wysłał go z domu na całe cztery lata! I po co? Nic się przecież nie zmieniło. Z oczu Charlesa wyczytał dawną nienawiść. I znowu on, John, jest wszystkiemu winien? Dlaczego? Bo miał czelność wrócić do domu! Matka musiała być szalona, skoro takiego człowieka uczyniła jego prawnym opiekunem. Jak mogła powierzyć syna opiece despoty, który nienawidził go od pierwszej chwili? Czy Eleanor naprawdę nie pojmuje, że uciekłyby stąd natychmiast, gdyby tylko mógł?

Odwrócił się do kuzynki i rzucił szorstko:

– Elly, musisz zrozumieć, że to błędne koło. Twój ojciec ma nade mną władzę i nie waha się jej używać. A ja nie dysponuję pieniędzmi. Żeby w tej chwili na siebie zarobić, musiałbym zrezygnować ze studiów. Zresztą fundusze na moje utrzymanie pochodzą z majątku rodziców. Twój ojciec nie ma do nich prawa, podobnie jak nie ma prawa mnie osądzać – przerwał, bo zobaczył, że w drzwiach stoi Clarissa. Ciotka zastygła z ręką na klamce. Gwałtownie zamknął usta.

– John, ja także żałuję, że twoi rodzice nie obarczyli kogoś innego tym obowiązkiem – jej głos wypełnił nagłą ciszę. – Nic na to jednak nie poradzimy. Przez najbliższe trzy lata będziesz musiał podporządkować się jeszcze woli mojego męża. Być może jest to niesprawiedliwe, ale – uśmiechnęła się smutno – wszyscy wiemy, że życie rzadko jest takie, jak być powinno. Możesz się złościć, aż cię krew zaleje, ciebie albo twego wuja, co jest dużo bardziej prawdopodobne, ale to niczego nie zmieni. Więc opanuj się, John, i ty też, Eleanor, i nie zapominajcie, pod którym dachem przebywacie. Dopóki nie będziecie w stanie sami się utrzymać, postąpicie tak, jak on zechce. Sama tego dopilnuję. Jasne?

Czekała, aż potwierdzą, że przyjęli ultimatum. John leciutko, niemal niezauważalnie skinął głową. Odetchnęła.

Być może ci młodzi mieli rację. Charles naprawdę postępował niesprawiedliwie i głupio, lecz zachowywał się tak, bo kochał Eleanor i martwił się o nią. Najbardziej ze wszystkiego zaś obawiał się, że John ją skrzywdzi. W jakiś niepojęty, szalony sposób identyfikował Johna z jego ojcem, Michaeliem Camposem. Utracił już siostrę, nie chciał stracić także i córki. To było irracjonalne, głupie, ale co można poradzić na obłądny strach? Bo Charles odchodził od zmysłów ze strachu. Clarissa widziała to w jego oczach.

– Świetnie – oznajmiła pogodnie. – Eleanor, ojciec czuje się nie najlepiej. Wolałabym, żeby dzisiaj już się nie denerwował. Nie rozmawiajmy więcej o całej tej sprawie. Dość już padło ostrych słów. John, przygotowałam dla ciebie twój dawny pokój. Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś starał się przebywać poza domem, kiedy wuj tu jest. Albo to, albo będziesz zmuszony zgadzać się z nim we wszystkim – posłała chłopcu ciepły uśmiech. – Przyszły już wyniki twoich egzaminów. Chciałam powiedzieć ci o tym wcześniej, ale w tym zamieszaniu... Charles mówił, że zdałeś bardzo dobrze, więc nie będziesz miał problemów z wstąpieniem na uniwersytet. W Sao Paulo, jak przypuszczam? – teraz mówiła spokojniej, łagodniej.

Potwierdził ruchem głowy.

– Tak, uważam, że tak będzie najlepiej. Słyszałem, że Louis też się tam wybiera? – starał się nadać głosowi opanowane brzmienie.

Clarissa uśmiechnęła się. Doceniała jego wysiłki.

– Owszem. Więc pojedziecie razem. Na pewno będziecie się świetnie bawić. Eleanor, kochanie, nie wyglądasz najlepiej. Może pójdziesz się odświeżyć? Maria poda ci kolację w małej jadalni. Chciałabym zamienić z Johnem kilka słów na osobności, dobrze?

Eleanor wytarła spocone ręce w spódniczkę. Było jej niedobrze. Najpierw nakrzyczał na nią ojciec, a ona odpłaciła mu tym samym. Potem John. To nie była zwykła kłótnia, jak dawne dziecięce spory o muszelkę znalezioną na plaży. Po raz pierwszy dziewczynka dostrzegła ciemne strony charakteru uwielbianego kuzyna.

Skinęła głową.

– Dobrze, mamó. Rzeczywiście czuję się trochę... dziwnie. Zobaczymy się później – dodała, wymijając Clarissę.

Na górze czekała Isobel. Weszła za siostrą do łazienki i starannie zamknęła drzwi. Eleanor widziała jej podniecenie: proszę bardzo, dramat, tragedia w domu i to Eleanor okazała się czarnym charakterem! Tego jeszcze nie było!

– O co chodzi, Isobel? – zapytała znużonym głosem. Napuściła trochę wody do umywalki. Spojrzała w lustro. Isobel przycupnęła na brzegu wanny. Krany i rury, wiekowe jak całe *paldcio*, krztusiły się i kaszlały.

– Dokąd poszliście z Johnem? Wszyscy szaleli z niepokoju, ale ja nie pisnęłam ani słóweczka – najwyraźniej gryzło ją poczucie winy. – Mówiłam ci, że nic nie powiem!

Uspokoila się dopiero, kiedy Eleanor obojętnie wzruszyła ramionami.

– Czy czekałaś na niego na nadbrzeżu? Czy dobrze się bawiliście? Eleanor jeszcze nigdy nie widziała siostry tak podekscytowanej. Nie pamiętała też, kiedy ostatnio Isobel była równie miła, choć przecież nie pochwałała wagarów. Wyraźnie dopóki sama nie miała kłopotów, cieszyła się burzliwą atmosferą.

– Mówiłam ci, że będę na niego czekała – odparła krótko Eleanor. Gdyby jednak mogła przypuszczać... nigdy by tego nie zrobiła.

Zanurzyła dłonie w ciepłej wodzie i sięgnęła po mydło.

– Wysłałam tuż przed lunchem, więc dużo czasu upłynęło, zanim zorientowali się, że mnie nie ma. Wsiadłam do autobusu, przesiadłam się i już... To całkiem proste.

Dopiero teraz dotarło do niej; to naprawdę było bardzo proste.

– A potem? Dokąd poszliście, kiedy spotkałaś Johna?

– Zobaczyłam go na Praca Maua, akurat wsiadał do autobusu. Myślałam, że już do końca życia będę tak jeździć w tę i z powrotem. Wyszliśmy przy Copacabanie i John... – uśmiechnęła się na to wspomnienie. – John wszedł do najbliższego sklepu i kupił nam obojgu kostiumy kąpielowe, bo chcieliśmy popływać. Więc pływaliśmy, opalali się i gadali.

– O! Pokaż! – Jak zwykle, ciuchy interesowały Isobel bardziej niż wszystko inne.

Eleanor parsknęła śmiechem. Widząc, że siostra nie rozumie jej nagłej wesołości, wyjęła kostium z kieszeni.

– Masz. Weź go sobie, jeśli chcesz. To nie dla mnie.

– Bikini! Byłaś na Copacabanie w bikini?! – Isobel nie tajiła podziwu. Eleanor zaczęła się zastanawiać, czy odczuwane przez nią opory nie są zbyt staroświeckie. Isobel również uważała, że Eleanor i John nie zrobili nic złego. Byli bezmyślni i nierozsądni, to wszystko. Może więc kuzyn i siostra mają rację. Źródłem dzisiejszej awantury był pewnie tylko odwieczny konflikt pokoleń, który nie ma nic wspólnego z prawdziwymi uczuciami ojca i Johna. Ta myśl przyniosła jej ulgę.

– Naprawdę mi go dajesz? Jest boski! Muszę natychmiast przymierzyć! – Isobel już zrzucała ubranie. Po raz pierwszy od powrotu do domu Eleanor roześmiała się szczerze i beztrąsko.

Na dole, w bibliotece, Clarissa zaproponowała Johnowi drinka i poprosiła, by i jej przyrządził coś do picia. Obserwowała go uważnie.

– Cóż, zapewne nie tak wyobrażałeś sobie powrót do domu, prawda? – zapytała po dłuższej chwili. Podobało jej się, że wydorósł, czego, niestety, nie mogła powiedzieć o swoim mężu. John podał jej szklanekę, zanim usiadł w fotelu naprzeciwko. Założył nogę na nogę, spojrzał na ciotkę i uniósł szkło.

– Nie, nie tak – zamilkł na moment. – Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo mi przykro – znowu cisza. – Twoje zdrowie, ciociu Clarisso. I dziękuję.

Upił duży łyk. Clarissa nie wiedziała, co pije, ale młody człowiek zapewne nie po raz pierwszy sięgał po ten napój. Wzruszyła ramionami.

– Za co?

– Och, za wszystko. Za to że pisałaś i podtrzymywałaś mnie na duchu, zapewniałaś, że o mnie nie zapomnieliście. Za to że wspierałaś Eleanor. Za to że dzisiejszego wieczora powstrzymałaś mnie i nie pozwoliłaś popełnić głupstwa. Czy też, powinienem powiedzieć, kolejnego głupstwa. A przyznaję, że byłem o krok od tego, kiedy wuj Charles zaczął tarmosić Eleanor... Dziękuję za wszystko. – Uśmiechnął się. Po raz kolejny uderzyła ją uroda i wdzięk tego chłopca. Kryła się w nim wielka siła. Nic dziwnego, że biedna Eleanor uległa jego urokowi. Ona sama, gdyby była trochę młodsza... Zawstydzona, odepchnęła tę myśl od siebie.

– Pod wieloma względami Eleanor jest jeszcze dzieckiem, John. A ty jesteś już dorosłym mężczyzną. Te dwa fakty wykluczają kolejne wybryki typu dzisiejszej wyprawy. Jeśli tego nie rozumiesz, nie jesteś taki inteligentny, za jakiego cię uważałam – uniosła szklanekę do ust, ale nie spuszczała z niego wzroku.

John spojrzał na ciotkę i szybko odwrócił głowę. Był zmęczony.

– Ciociu Clarisso, jestem jej kuzynem w pierwszej linii, jej *primoirmao* – użył brazylijskiego terminu oznaczającego specyficzny związek pokrewieństwa drugiego stopnia. Był bratem ciotecznym Eleanor, ona zaś była jego *primairma*, siostrą cioteczną.

Clarissa od razu zrozumiała, do czego zmierzał.

– Myślisz, że zarzucam ci coś niemoralnego? Nie, John, nie o to mi chodzi. Mówię o pozorach, reputacji. Dobrze, zabieraj Eleanor na plażę, nie ma problemu. Ale zabieraj także Isobel. I rób to w dni wolne od szkoły. I przyprowadzaj je do domu, zanim zajdzie słońce, a plotkarze puszcza języki w ruch.

Upiła spory łyk, wiedząc, że najtrudniejsze dopiero przed nią.

– Liczę także, że za kilka lat nie zapomnisz prawdy, którą dzisiaj wypowiedziałeś. Jesteście prawie rodzeństwem. Według nauk Kościoła katolickiego, a Brazylia, jak ci wiadomo, jest krajem katolickim, nie wolno wam się pobrać. Zbyt bliskie pokrewieństwo. Mam nadzieję, że pojmujecie to oboje i będziecie potrafili się podporządkować.

Boja wcale nie jestem tego taka pewna, dodała w myśli. Spojrzała mu w oczy. John także nie był pewien.

– Nigdy nie skrzywdzę Eleanor – odparł po dłuższej chwili. Ważył słowa i szukał odpowiednich argumentów, by uspokoić Clarissę, a jednocześnie nie deklorować się jednoznacznie. W Anglii kuzynowie w pierwszej linii mogli zawierać związki małżeńskie. Katolicy oczywiście nie, chyba że otrzymali dyspensę, ale członków Kościoła anglikańskiego nie obowiązywał taki zakaz. Choć nie było to zjawisko powszechne, zdarzały się małżeństwa między krewniakami. Zresztą nie potrzebował ślubu, by okazać Eleanor swoje uczucia. Co go obchodzi konwenanse? Już kiedyś słyszał te słowa, ale kto to mówił? I gdzie? Miał odpowiedź na końcu języka, kiedy ciotka znowu zabrała głos.

– Dobrze. Wiedziałam, że można na tobie polegać. Ty i Louis jesteście już dorosłymi mężczyznami. Powiniście wychodzić wieczorami, bawić się i flirtować z dziewczętami w waszym wieku, a nie przejmować się dziećmi. Bo Eleanor, choć wygląda dojrzała i odznacza się inteligencją, jest jeszcze dzieckiem.

Ton jej głosu zmienił się, złagodniał.

– Może zadzwonisz do Louisa? Umówcie się na drinka. I nie martw się o pieniądze, dobrze?

Zanim zdążył zaprotestować, wepchnęła mu do ręki zwitek banknotów i przysunęła telefon. Nie zostawiła go w spokoju, aż z błyskiem rozbawienia i podziwu w oku zrobił to, o co prosiła. Do tej pory nie wiedział, że z ciotki Clarissy jest takie ziółko.

Umówił się z Louisem w barze Copacabana Pałace, jednego z najstarszych i najlepszych hoteli w ekskluzywnej części miasta. Miał zamiar świętować, a ciotka dała mu dość pieniędzy, by zrobić to w odpowiednim stylu. Wziął prysznic i przebrał się. Włożył ciemną marynarkę z odpowiednio dobranym krawatem i jasne spodnie. Z uśmiechem niedowierzania wsunął do kieszeni kluczyki od samochodu ciotki. Pocałował ją w policzek i poprosił, by w jego imieniu powiedziała „dobranoc” dziewczętom. Odjechał przy akompaniamencie wściekłego ryku silnika, który doskonale słyszał było również w sypialni wuja. Charles Fawcett nie mógł się uspokoić przez następne pół godziny.

Eleanor umyła twarz i wyszczotkowała włosy sztywne od morskiej soli. Jutro rano przed wyjściem do szkoły musi umyć głowę.

To było cudowne popołudnie. Leżeli nad samą wodą, fale obmywały im stopy, słońce pieściło skórę. Upał rozleniwiał ją, przeciągała się w słońcu jak kotka. John przez cały czas był uroczy. Ani razu się nie pokłócili, nie traktował jej też jakby była dzieckiem. Zwijała się ze śmiechu, kiedy opowiadał anegdoty o kuzynie Maksie i Nicku albo komentował zachowanie innych plażowiczów.

Zdała mu dokładną relację z minionych czterech lat, przypominała wszystkie skandale,

afery i polityczne rozgrywki. Opowiadała, co się działo w domu. Na głos zastanawiała się, jak to możliwe, że Isobel ją drażni, a jednocześnie tak dobrze się rozumieją.

Leżeli bardzo blisko jedno drugiego, zwróceniu ku sobie twarzami. Nic nie wskazywało na istniejące między nimi niedomówienia, tylko czasem wprowadzała dystans chwila wahania czy zbyt szybko wypowiedziane słowa. Nie rozmawiali o tym, ale oboje dużo myśleli. Dopiero kiedy wrócili do domu, papa wszystko zepsuł, zdeptał.

Wpatrzona w swoje odbicie w lustrze Eleanor potrząsnęła głową. To nie ona jest podstępna, lecz papa. Wmawiał jej, że również chciałby, żeby John wrócił do domu, że pobyt w Anglii był dla jego dobra. Nieprawda! Ze złością odrzuciła włosy do tyłu.

Krzyknęła do siostry, że schodzi na kolację, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Prawdopodobnie Isobel przewracała do góry nogami szafę, komponując już strój na najbliższy wypad na plażę. Eleanor zbiegła na dół.

Maria czekała na nią w małej jadalni. Nie potrafiła ukryć ciekawości. Uważnie obserwowała dziewczynę. Obserwowała i zapamiętywała wszystko dokładnie, żeby później móc plotkować z resztą służby. Eleanor z godnością wyprostowała się.

– Dziękuję, Mario. Poradzę sobie sama. Późno już, a ty musisz jeszcze sprzątnąć kuchnię, prawda? – Rozczarowana kobieta odwróciła się na pięcie. Niewiele się dziś dowiedziała.

Choć właściwie od śniadania nie miała nic w ustach, Eleanor nie była głodna. Zresztą kto mógłby jeść po takiej awanturze? Grzebała widelcem w talerzu i głowiła się, o czym mama rozmawia z Johnem. W tym momencie poczuła, że się czerwieni. Przecież doskonale знаła odpowiedź na to pytanie. Wbiła zęby w bułkę.

Na podjeździe rozległ się warkot samochodu. Silnik ryczał wściekle jak nigdy. Pisk opon i cichnący szum motoru towarzyszyły odjazdowi. Eleanor, zdziwiona, podniosła głowę. Z pietra dobiegały wrzaski ojca. Po chwili usłyszała też na schodach kroki matki. O dziwo, Clarissa szła powoli, jakby jej się wcale nie śpieszyło. Ciekawe, kto odjechał tym samochodem?

Eleanor domyśliła się natychmiast: John. Wybiegła z jadalni.

– Mamo? Dokąd on pojechał? Nie odszedł na zawsze, prawda? – spocone ze zdenerwowania dłonie zacisnęły się na poręczu.

Clarissa pochyliła się ku dziewczynie z uśmiechem. Przykładając palec do ust, pokręciła głową.

– Umówił się z Louistem – szepnęła. Dała znak córce, by spokojnie poczekała.

Eleanor westchnęła głośno i wróciła do jadalni. Ciężko opadła na krzesło. Umoczyła palec w śmietanie. Dlaczego John nie powiedział jej, że wychodzi? A właściwie dokąd poszedł o tak późnej porze? W tej samej chwili uświadomiła sobie, że i John, i Louis są już dorośli, zupełnie jak rodzice, a to oznacza, że mogą wychodzić, kiedy zechcą. Ona zaś musi siedzieć w domu i odrabiać lekcje. Eleanor ta myśl rozżłościła.

– W takim razie muszę szybciej dorosnąć – oznajmiła solniczce i wstała. To nie ma sensu. Nie mogła jeść, zwłaszcza kiedy wiedziała, że John bawi się świetnie w towarzystwie Louisa. O ile zna tego ostatniego, są z nim dziewczyny. Obrzydliwe, wymalowane idiotki, które szczebioczą głupkowato, trzepoczą rzęsami i mają duże... Nie dokończyła.

– A kogo to obchodzi? – rzuciła przekornie i pobiegła na górę. Rozebrała się szybko i, nie myjąc się, wskoczyła do łóżka. Kiedy Clarissa zajrzała do niej, Eleanor już spała. Matka zgasiła światło i ostrożnie zamknęła drzwi.

## Rozdział dziewiąty

Austin Healey ciotki przypadł Johnowi do gustu. Chłopak opuścił dach auta, więc wiatr rozwiewał mu włosy, kiedy pędził w dół wzgórza. Nie takiego samochodu spodziewał się po Clarissie. No, ale też do dzisiaj nie znał jej naprawdę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że to jeszcze młoda kobieta; zapewne nie miała więcej niż trzydzieści kilka lat. Przypomniawszy sobie, jak rozpieszczała ich, gdy byli dziećmi. Nie przypuszczał wtedy, że w jego dobrej, tolerancyjnej, łagodnej ciotce kryje się osoba pragnąca po prostu cieszyć się życiem, tańczyć, śpiewać i szaleć, i nie przejmować się mężem. Dlaczego, na Boga, wyszła za takiego nudziarza jak Charles?

I czyżby to mąż kupił jej taki wspaniały samochód? To nie w jego stylu, przynajmniej według Johna.

Wtedy przemknęło mu przez głowę, że może nie zawsze sprawiedliwie ich oceniał, zwłaszcza wuja. Po chwili jednak otoczyły go światła Copacabany i nie myślał już o niczym. Był młody, chwilowo bogaty i prowadził wspaniały samochód. Skręcił w Avenida Atlántica, nie zwracając uwagi na tarposzający koszuł wiatr od morza. Dziewczyny posyłały mu zachęcające uśmiechy. Jak dobrze znowu być w domu!

Zaparkował przed hotelem. Ze wszystkich stron dobiegały dźwięki muzyki. W mieszaninę melodii dobiegających z dziesiątków barów wdzierały się fragmenty rozmów i głośne gwizdy portiera wzywającego taksówkę dla gości. John włożył kluczyki do kieszeni i wysiadł. Szedł równym, pewnym krokiem, który bynajmniej nie odzwierciedlał stanu jego ducha. Teraz żałował, że wybrał Copacabana Pałace. Bo cóż on wiedział 123

o drogich hotelach i eleganckich barach? Przecież nigdy jeszcze nie był w takim miejscu.

Wszedł do olbrzymiego, wyłożonego marmurem holu. Po chwili odnalazł bar, w którym umówił się z przyjacielem.

Louis już czekał. Siedział w rogu sali ledwo widoczny w panującym półmroku. John pomachał mu i zaczął przepychać się przez tłum gości. Jakaś kobieta obdarzyła go zachęcającym uśmiechem i wskazała wolne krzesło przy swoim stoliku, on jednak tylko przecząco pokręcił głową. W końcu dotarł do Louisa. Uścisnęli sobie dłonie i poklepalili nawzajem po plecach. Starzy przyjaciele znów byli razem.

– Johnny! Tak się cieszę, że cię widzę! Dobrze wyglądasz. Urosłeś chyba ze stopę, co?

Louis był niski, nie mierzył więcej niż pięć stóp i dziesięć cali. Doskonale skrojony garnitur ukrywał silne, masywne ciało. On także się zmienił, wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Kelner zjawił się natychmiast, kiedy tylko pstryknął palcami.

– Czego się napijemy? Słuchaj, to prawdziwe święto. Co powiesz na szampana? Tak, prosimy szampana – pewny siebie i spokojny, mówił z amerykańskim akcentem. Z uśmiechem obserwował Johna. Dokonywał bilansu podobieństw i różnic z chłopakiem, którego kiedyś znał.

– Cieszę się, że się spotkaliśmy, Louis. A tak przy okazji, wpadła ci ostatnio jakaś większa sumka, czy może zawsze jesteś takim odstawionym playboyem? – John uśmiechnął



się krzywo, usiłując wcisnąć długie nogi pod blat. Rozejrzył się po sali: przygaszone światła, małe stoliki, miniaturowy parkiet, na którym tylko jedna para usiłowała, bez powodzenia zresztą, naśladować figury tanga. Tancerze wyglądali na bogatych. Dziewczyna była wyraźnie znudzona.

– Odziedziczyłem majątek – zażartował Louis i obaj parsknęli śmiechem. Jego rodzice byli tyleż bogaci, co hojni. Louis nie musiał czekać na spadek – No, opowiadaj. Jak cię przyjęto w domu? – uśmiechnął się, widząc minę Johna. Opowieść przyjaciela serdecznie go bawiła. Słuchając o kłótni Eleanor z ojcem, Louis klepał się po udach i śmiał na całe gardło. Zanim skończył mówić, John podzielał już jego zdanie co do anegdotycznego charakteru całej awantury. Szampan uderzył im do głów, otulając świat wesołą mgiełką.

Przez następną godzinę na przemian pili i opowiadali sobie dzieje ostatnich lat. Musieli na nowo odnaleźć się w starej przyjaźni. Teraz nie było już problemu, kto będzie przywódcą. Uznali, że są sobie równi. W rozmowie uważali, by dopuszczać drugiego do głosu. To ciekawe, pomyślał John przez opary szampana. Zaraz jednak zapomniał o bożym świecie, bo nagle ujrzał dziewczynę ze statku.

Onieśmielona, stała przy drzwiach w towarzystwie rodziców. Była ładna przeciętną, pospolitą urodą, ale jemu wydała się piękna jak Wenus wyłaniająca się z morskiej piany. Poderwał się energicznie.

– Co się dzieje, stary? Podoba ci się któraś? – zainteresował się Louis. On sam obserwował ciemnowłosą dziewczynę na parkiecie. Uśmiechała się do niego znad ramienia partnera.

– Hm, tak, chwileczkę. Zamów jeszcze jedną butelkę, dobrze? – John poruszał się niepewnie. Szampan plątał mu nogi, sprawiał, że bar wirował i kołysał się. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy i zanim sam się spostrzegł, stał już obok poznanej rano dziewczyny i czule ścisnął jej rękę.

Lydia nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Nie zauważyła, jak się zbliżał, zresztą po ich rozstaniu na statku nie przyszłoby jej do głowy, że mógłby do niej podejść. Był pijany. Jej rodzice przyglądali mu się z wyraźną dezaprobatą. Usiłowali odciągnąć córkę od jasnowłosego nieznajomego.

Lydia dotknęła ramienia matki uspokajającym gestem.

– Wszystko w porządku, mamusiu. To John, poznaliśmy się na statku. Pamiętasz, pokazywał mi Rio. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda, John? – wiedziała, że młody człowiek zgodzi się ze wszystkim, co usłyszy. Wyczytała to z jego pustego spojrzenia i sztucznego uśmiechu. – John Campos de Serra, a to moi rodzice. Mamusiu, skoro spotkałam tu znajomego, nie musicie już ze mną zostawać. Wrócę za jakąś godzinę, dobrze?

Państwo Forrester byli bardzo zmęczeni. Nie mieli ochoty iść do baru, ale Lydia błagała, by wstąpili choć na jednego drinka. Zgodzili się, bo całą tę długą podróż zaplanowali i odbyli, chcąc sprawić jedynacze przyjemność. Przecież Rio to egzotyczne miasto, pełne przystojnych młodych ludzi spędzających czas na zabawie. To nie byłoby w porządku, gdyby taka urocza i ładna dziewczyna jak ich Lydia nudziła się ze staruchami, skoro już poznała tu przyzwoitego młodego człowieka. Wszystkie te myśli kłębiły się w głowie pani Forrester. Są

tacy zmęczeni, tak bardzo chcą iść spać. Chyba rzeczywiście zostawią Lydię pod opieką tego Johna Camposa. Tylko na godzinę.

Lydia bezbłędnie odgadywała tok rozumowania matki. Ojciec nie odzywał się. Chciał tylko jednego: położyć się. To żona zawsze trzęsa się nad córką. Gdy starszy pan dał krok w kierunku drzwi, Lydia ruszyła za Johnem i zanim matka się zorientowała, rozdzielił je tłumek rozbawionych gości. Dziewczyna uniosła dłoń w pożegnalnym geście. Po chwili zniknęła w głębi baru. Matka westchnęła i poddała się.

John prowadził Lydię do swojego stolika. Cały czas zastanawiał się, co go, u licha, opętało, że do niej podszedł. Kiedy tylko spojrział na nią z bliska, straciła cały urok. Lydia widziała wahanie w jego oczach, ale nie zwracała na to uwagi. John klął w duchu na czym świat stoi. Co najlepszego zrobił? Był pijany, owszem, ale to nie tłumaczyło głupiego zachowania. Jej rodzice też mu się nie podobali; nudni, nadęci burżuje. Uśmiechnął się ironicznie na tę myśl. Burżuje. Proszę, proszę, dzisiaj jesteśmy radykałem!

Lydia wzięła ów grymas za zachętę i przysunęła się bliżej. Przycisnęła kolano do jego nogi. Nie oponował. Spojrział na Louisa.

– Lydio, Lydio... jak? A, Forrester. Oto mój najlepszy przyjaciel, Louis Preston. Polubisz go. Jest na wskroś brytyjski. Żadnych brazylijskich nazwisk – opróżnił swój kieliszek i pochylił się ku niej. Siedzieli teraz bardzo blisko siebie, niemal przytuleni. – Chcesz szampana? – zapytał. Tylko lekko rozbiegany wzrok świadczył o jego stanie.

Lydia po chwili wahania skinęła głową. Tak, chętnie napije się szampana. Louis nalał jej. Pochłaniał dziewczynę wygłodniałym wzrokiem, dzieląc uwagę między nią a kogoś na parkiecie. Odwróciła się, chcąc zobaczyć, o kogo chodzi. John z minuty na minutę tracił humor. Nie czynił żadnych wysiłków, by podtrzymać rozmowę, więc Lydia głośno wciągnęła powietrze i próbowała po raz kolejny.

– Często tu przychodzisz? – zapytała. John burknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego. Louis za to uśmiechnął się pogodnie. Nie patrzył już na parkiet. Ciemnowłosa zniknęła. Uznał, że lepszy wróbel... Nie jest zła, ocenił w myśli. Trochę przyciężka i koszmarnie ubrana, ale ma ładną cerę, miłą twarz, piękne włosy. Nie spuszczał jej z oczu. Nerwowo poprawiła się na krześle, wyprostowała. Delikatny materiał sukienki opinał duże piersi. Nie, naprawdę nie jest zła.

– Wpadam tu co jakiś czas, tu albo do innej knajpy w tej okolicy. Lubię się zabawić. – Louis położył rękę obok jej dłoni. – Ale John właśnie wrócił do domu ze szkoły w Europie, więc dzisiaj nadrabialiśmy stracony czas. Świętujemy spotkanie po latach.

Kopnął Johna pod stołem, nie wiedząc, czy przyjaciel chce tę dziewczynę, czy nie. Bo jeśli chce, on, Louis, nie będzie mu wchodził w paradę.

John uniósł głowę. Co jest, do licha? Louis wskazał wzrokiem Lydię. Mogę? John zerknął na nią kątem oka. Uśmiechnęła się i mocniej przycisnęła kolano do jego uda. Odwrócił spojrzenie. Wzruszył ramionami.

– W jakiej szkole byłeś, John? W Eton? – Lydia nie dawała za wygraną. Potrząsnął głową.

– Nie, w Wykham – mruknął. Zdumiona, szeroko otworzyła oczy.

– Ach, więc jesteś katolikiem? – w pytaniu słychać było rozczarowanie. Lydia nie chciała wiązać się z kimś, kto nie byłby odpowiednim kandydatem na męża. Rodzice nie pozwoliliby jej na związek z katolikiem. Byli najbardziej anglikańskimi anglikanami, jakich można sobie wyobrazić. Z westchnieniem cofnęła nieco nogę.

– Tu, w Brazylii, niemal wszyscy są wyznania katolickiego, Lydio – wtrącił się Louis. – Z wyjątkiem mnie, oczywiście. I ja, i moi rodzice jesteśmy protestantami. Ty zapewne też? – bezbłędnie wychwycił swoją szansę. Puścił oko do Johna i przysunął się do dziewczyny.

– Och, tak. A ty, Louis, nie chodziłeś do szkoły w Anglii? Przecież jesteś Anglikiem?

– Nie, nie. Tu jest moje miejsce. Johna zresztą także, tylko że jego wuj nie chce tego zrozumieć – kątem oka dostrzegł, że John wstaje i idzie do baru. – To było straszne – ściszył głos do poufałego szeptu. – Proszę, napij się szampana. Zobacz, ile jeszcze zostało. Rodzice Johna zginęli w... w okropnych okolicznościach. Zostali zamordowani w Mato Grosso, w sercu dżungli. Wuj przejął nad nim opiekę, ale... – tu Louis westchnął przejmująco – on i John nie znoszą się, więc wysłano chłopaka do Anglii. Dziś właśnie wrócił.

– Wiem. Statkiem. Podróżowaliście razem. – Lydia wierciła się podekscytowana. Miała zatem rację przypuszczając, że za chłodem Johna, za jego smutkiem kryje się jakaś tragedia. Wszystko stawało się jasne.

– Tu, w Brazylii, mamy słowo idealnie określające uczucia Johna – *saudade*. Słabość duszy, melancholia, ciężar świata na twoich ramionach. Piętno nieszczęścia. To słowo ma wiele znaczeń, nie potrafię tego wytłumaczyć po angielsku.

Louis celowo wplótł do rozmowy portugalski. *Saudade* brzmiało obco, egzotycznie i tajemniczo. Lydia złapała przynętę.

Widział Johna pogrążonego w rozmowie z jakimś mężczyzną. Przyjaciel zdawał się zadowolony, że zostawił sprawy przy stoliku własnemu biegowi. Louis wyczuwał jego niechęć do Lydii. Dziwne, przecież nie jest zła. Uśmiechnął się i odnalazł jej stopę pod stolikiem.

– A na dodatek – z wdziękiem zadał rozmówczyni swoisty *coup de grace* – John zakochał się w swojej kuzynce. To bardzo smutne, bo nie ma dla nich nadziei. Nie mogą się pobrać.

Zwilżył usta szampanem i dołał obydwójgu do pełna.

– Czy ona jest wysoką blondynką? Mniej więcej szesnastoletnią? – dziewczyna starała się nie okazywać ogarniającego ją rozczarowania. Przecież John nic dla niej nie znaczył. Nie mogła jednak uwolnić się od ukłucia zazdrości.

– Tak, to ona. Widziałaś Eleanor? Ach, rzeczywiście. Czekwała na Johna w porcie, więc pewnie zauważyłaś ją, kiedy statek przybijał do brzegu. To prawdziwa piękność, prawda? Ma piętnaście lat. Jest oczkiem w głowie swego papy, czyli wuja Johna.

– I John naprawdę kocha się w piętnastolatce? – w głosie Lydii brzmiały szok, dezaprobata i... tak, zazdrość. To tylko pogarszało sprawę. Wypiła resztkę szampana. Kręciło jej się w głowie od alkoholu.

– Tak, choć sam jeszcze o tym nie wie. Nigdy nie istniała dla niego inna dziewczyna – na chwilę Louis porzucił grę. Z troskanym wzrokiem spoglądał na przyjaciela. – Za kilka lat rozpęta się piekło. John czeka, aż Eleanor dorośnie. Jej ojciec liczy, że to nigdy nie nastąpi. W

końcu dojdzie do konfrontacji. Nie wiadomo, kto wtedy ucierpi najbardziej – spojrzał na Lydię. Rozzłościł go wyraz zgorzsenia w jej oczach. – Według mnie, będzie to Eleanor.

Kiedy odwrócili głowy w stronę baru, Johna już nie było.

Jechał do domu, nie zdejmując nogi z pedału gazu. Zdawał się nie zauważać wiatru, który przenikał go na wskroś, wywiewał opary alkoholu. Samochód nie poddawał się okolicznościom. Choć kilkakrotnie John był pewien, że wyląduje na latarni, auto twardo trzymało się jezdni.

Zapomniał już o Lydii, zapomniał o niej natychmiast po odejściu od stolika. Louis może ją sobie wziąć, proszę bardzo. Nie obchodziły go wszystkie Lydie świata. Zwolnił. Jeszcze ostatni zakręt. Ściany wyrosły nagle z ciemności. Teraz samochód poruszał się wolniutko. Silnik mrucał na niskich obrotach. Brama. Wóz zatrzymał się przed wejściem do budynku. Fernando, jeden ze służących, zasnął skulony na schodkach, jakby własnym ciałem chciał bronić domostwa Fawcettów. John wyminął go i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Nie paliły się żadne światła z wyjątkiem małej lampki w holu. Maria musiała o niej zapomnieć. A może pozostawiono ją specjalnie dla niego. Zanim wbiegł na górę, nacisnął wyłącznik. Zapanowała ciemność, rozjaśniona jedynie srebrną poświatą księżyca. Nie było mu potrzebne światło. Doskonale wiedział, dokąd iść. Przeskakiwał po dwa stopnie, pewnym krokiem przemierzał długie, ciche korytarze, bezszelestnie stąpał po drewnianej podłodze.

Eleanor obudziła się przerażona. Coś zatrzęsło jej łóżkiem, z ciemności dobiegł ją czyjś oddech. Leżała nieruchomo, wsłuchana w mrok, w szaleńcze bicie swego serca. Strach ścisnął ją za gardło, nie pozwalał krzyczeć. Po chwili poczuła, że nocny gość położył się obok niej. Westchnął. I wtedy go rozpoznała. Z ulgą odwróciła się w jego stronę.

– John? Już późno. Dopiero teraz przyszedłeś do domu? – jej dłoń dotknęła nagiej skóry. Dziewczyna zawahała się i cofnęła rękę.

– Tak. Czy mogę tu spać? Nie masz nic przeciwko temu, prawda? – mówił niewyraźnie, stłumionym głosem. Głowa opadła mu na poduszkę, tak że teraz tylko centymetry dzieliły ich twarze. Czuła na policzku jego oddech. Ciepło bijące od ciała Johna przenikało jej koszulę nocną. Pachniał papierosami, alkoholem i wodą po goleniu. Ponownie wyciągnęła rękę. Kiedy go dotknęła, domyśliła się, że nie ma nic na sobie. On jest pijany, stwierdziła zdumiona.

– Tak, możesz tu zostać – szepnęła. Fakt, że przyszedł właśnie do niej, budził w Eleanor rozmaite uczucia. Była zadowolona i wzruszona, i jeszcze podekscytowana w nowy, dziwny sposób, jakby brakło jej tchu.

Wpatrywała się w mrok, chcąc dostrzec chociaż kontury jego twarzy, ale było zbyt ciemno. Nagle silne ramiona otoczyły ją, przyciągnęły. Nie wrywała się, nie próbowała go odepchnąć. Nie przyszło jej to w ogóle do głowy. Zamiast tego przytuliła się mocniej. Rozkoszowała się bliskością jego ciała, ciepłem, które parzyło.

Kiedy musnął wargami jej kark, kiedy pieścił słońską skórę szyi gorącym oddechem, jęczała cicho. Wcisnął ją głębiej w poduszkę, podczas gdy jego usta błędziły w dół, aż do piersi. Niecierpliwie szarpnął tkaninę blokującą do nich dostęp. Zsuwał koszulę nocną niżej i

nizej. Delikatne palce badały całe ciało, sprawiały, że sutki kurczyły się i twardniały.

Wiedziała, że powinna go odepchnąć, zacząć krzyczeć, ale jej umysł spowija ciężka, gorąca zasłona, jakby powietrze nocy nasycone było sennymi marzeniami. Miała wrażenie, że śni. We snach John zawsze był przy niej.

Leżała więc bez ruchu, napawając się pieszczotami. Pozwalała mu całować szyję i piersi; otworzyła usta w niemym zachwycie, zaskoczona rozkoszą, jaką dawał jego dotyk. Poddawała się ruchom ciepłego języka, który sprawiał, że sterczące sutki drżały na chłodnym nocnym powietrzu. Cały pokój wypełniała jedyna w swoim rodzaju mieszanina woni. Eleanor czuła sól, dym, alkohol i ciepły zapach skóry mężczyzny.

John przesuwiał dłonie, płaskie i twarde, wzdłuż jej żeber aż na brzuch. Nie mogła opanować dreszczy. Potem oparł głowę na jej piersiach, i przytulił się z całej siły. Otoczyła go ramionami. Mruczał coś tak niezrozumiale, że dopiero po kilku minutach odgadła, iż szeptał jej imię.

Zawołała go cichutko, ale nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Kiedy nie ruszał się przez dłuższy czas, domyśliła się, że zasnął, w nią wtulony. W ciemności jego oddech wydawał się bardzo głośny.

Przez kilka godzin Eleanor nie zmieniała pozycji; głaskała go po głowie, po twarzy, tuliła do siebie. Żałowała, że tak nie może być zawsze. Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa czuła się bezgranicznie kochana i bezpieczna.

Przed świtem niechętnie wyplątała się z objęć kuzyna, poprawiła na sobie koszulę i zasnęła, zwinięta w kłębek. Kiedy się obudziła, Johna już nie było.

## Rozdział dziesiąty

Piątkowy ranek oznaczał szkołę. Niewyspana, półprzytomna Eleanor wygramoliła się z łóżka i poszła do łazienki. Isobel, już umyta i ubrana, szorowała właśnie zęby. Ze zdziwieniem przyglądała się siostrze spod przymrużonych powiek.

– Spóźnisz się. Nie mam zamiaru na ciebie czekać i wysłuchiwać reprimendy tylko dlatego, że zasnęłaś. Musisz poprosić mamę, żeby cię odwiozła. Ja wychodzę za piętnaście minut. Wiesz, że Honório nie znosi niepunktualności. Dlaczego jesteś taka zmęczona? Przecież poszłaś spać wcześniej ode mnie.

Eleanor zamarła, przerażona. Czyżby Isobel coś słyszała? Przecież ich pokoje sąsiadowały ze sobą. Ale nie, dzieliła je przecież gruba ściana, a poza tym we wzroku siostry nie było podejrzliwości, tylko zniecierpliwienie.

Westchnęła ciężko. Miała podkrążone oczy. Isobel przypuszczała, że Eleanor przeraża perspektywa tłumaczenia się w szkole z wczorajszej eskapady. Nie zdziwiła się więc wcale, kiedy usłyszała jej słowa:

– Nie czuję się najlepiej. Chyba zaraziłam się jakimś paskudztwem. Isobel ziewnęła, zręcznie zaplatając włosy w długi warkocz.

– Nie licz, że uda ci się zostać w domu. Papa nigdy się na to nie zgodzi. Na twoim miejscu pośpieszyłabym się, bo inaczej czekają cię jeszcze większe kłopoty – odłożyła szczotkę. – Nie wiesz, dokąd John wczoraj poszedł?

Nie dostrzegła nagłego rumieńca na twarzy siostry. Eleanor opuściła głowę, udając, że szuka szczoteczki do zębów. Isobel widziała tylko obojętne wzruszenie ramion.

– Umówił się z Louistem, z tego co wiem. Spytaj mamy. I wyjdź stąd. Nie mogę się śpieszyć, jeśli ciągle mnie o coś pytasz – irytacja maskowała wstyd. Isobel uśmiechnęła się i wyszła. Eleanor ochlapała twarz zimną wodą.

Co ma teraz zrobić? Nie mogłaby spojrzeć Johnowi w oczy. Ani teraz, ani nigdy później. Dlaczego go nie powstrzymała? Dlaczego dała mu się całować, dotykać w taki sposób? Nie powinni byli tego robić, zwłaszcza po tej okropnej awanturze. Nie mogła uwierzyć, że postąpiła tak głupio. A może tylko o tym śniła? Może Johna wcale nie było w jej łóżku, może wcale nie... Na samo wspomnienie ogarnęło ją poczucie winy, niesmaku i – pożądanie. Pochylona nad umywalką, wpatrywała się w bladą twarz w lustrze. Są przecież kuzynami w pierwszej linii!

Ta myśl sprawiła, że zrobiło się jej niedobrze. Zaraz też wmówiła sobie, że się czuje chora. Zbladła, spościła się. I nadgarstek też ją bolał po tym, jak papa go wykręcił. Tak, ręka wyglądała okropnie, była opuchnięta i sina. Eleanor uniosła dłoń do oczu. Jakim cudem dostrzegła to dopiero teraz?

– Elly? Idziesz? Pośpiesz się, bo nie zdążysz zjeść śniadania – to głos mamy. Eleanor przez moment rozważała, czy Isobel przedstawi mamie swoje wątpliwości. Odczekała jeszcze chwilę i... tak, na schodach rozległy się kroki Clarissy. Dziewczyna wsadziła sobie dwa palce do gardła i zwymiotowała.

Zanim Isobel wyruszyła do szkoły, Eleanor wróciła do łóżka, czekając na lekarza. Nie chciała się zgodzić na jego wizytę, ale matka nie ustępowała, a ona nie miała siły na kłótnie. Próbowała się uśmiechnąć, efekt jej wysiłków był jednak żalony.

– Nie mam chyba złamanego nadgarstka?

Znała odpowiedź na to pytanie, ale trochę udawania nie zaszkodzi. To przynajmniej usprawiedliwiało ponurą minę i dziwne zachowanie. Zresztą nadgarstek naprawdę dawał się jej we znaki, nawet najprostsze czynności sprawiały ból. Najprostsze czynności czyli, na przykład, doprowadzenie koszuli nocnej do porządku. Eleanor chciało się płakać. Zamrugowała szybko kilka razy, żeby powstrzymać łzy.

– Ależ skąd, kochanie. Najwyżej zwichnięty, a najpewniej tylko posiniaczony. Leż spokojnie, zaraz przyniosę ci aspirynę. Wiesz chyba, że sama jesteś sobie winna? – Clarissa udawała groźną, ale córka dosłyszała, jak mruczy do siebie: – Doprawdy, Charles nigdy nie zna umiaru!

Wyszła do swego pokoju poszukać lekarstwa.

Eleanor ukryła twarz w poduszce. Wydało jej się, że czuje zapach Johna. W pierwszej chwili chciała odrzucić poduszkę w najdalszy kąt pokoju, w następnej zaś przytuliła ją do siebie, wpatrując się pustym wzrokiem w ścianę.

Papy już nie było w domu. Zawsze wychodził o tej porze, tego ranka jednak pojechał do biura wcześniej niż zwykle. Może chciał uniknąć spotkania z Johnem? Albo z nią? Nerwowo uniosła rękę do gardła, dotknęła guzików koszuli. To się nie może powtórzyć, nigdy i nigdzie. Nie wolno im do tego dopuścić. Przecież John jest jej *primordio*. Westchnęła przejmująco, jakby chciała zaczerpnąć większy haust powietrza. Była ciekawa, co na to wszystko John. Kilka godzin intymności na zawsze zmieniło ich wzajemne stosunki. Eleanor rozplakała się na tę myśl.

Dużo jednak czasu miało upłynąć, zanim Eleanor ponownie zobaczyła Johna. Wyszedł z *palacio*, kiedy wszyscy jeszcze spali. Udał się na przystanek, gdzie czekał na autobus w towarzystwie robotników i służących. Śpieszyli do swoich obowiązków w domu, przy dziecku lub w ogrodzie bogatych pracodawców. John postawił kołnierz ciemnoniebieskiej kurtki. Poranny chłód dawał mu się we znaki.

Nie chciał mieszkać w domu wuja Charlesa aż do stycznia, kiedy to zaczynał się nowy semestr na uniwersytecie. Nie miał ochoty włączyć się co wieczór po Copacabanie czy Ipanemie i pić z Louistem. Postanowił znaleźć pracę, najlepiej gdzieś daleko od Rio. Oczywiście tylko na kilka najbliższych miesięcy.

Nie pomyślał, że robi to, by nie leżeć godzinami w łóżku, pocąc się na myśl, że Eleanor śpi w pokoju obok. Nie musiał. Ta wiedza tkwiła w nim gdzieś głęboko, i to od dawna. Eleanor jest jeszcze ciągle dzieckiem. Dlatego on, John, musi odejść.

Nie pamiętał, co się działo poprzedniej nocy. Nadmiar szampana i emocji spowodował kilkugodzinną amnezję. Nie wiedział, jakim cudem znalazł się w łóżku kuzynki. Kiedy się obudził, spała zwinięta w kłębek. Wstał, ubrał się i wyszedł, nie zakłócając jej snu. Sumienie nie dawało mu jednak spokoju. Co on tam robił? Czy doszło między nimi do czegoś? Ale nie, na pewno nie, Eleanor spała tak spokojnie, jej koszula nocna była starannie zapięta. Nie ma

się czym martwić.

Autobus nadjechał w kłębach spalin. John cierpliwie czekał w kolejce wsiadających. Przed nim stała stara kobieta dźwigająca olbrzymią paczkę z czystą bielizną. Miała ostre, nieprzyjemne rysy. Jej dłonie przypominały szpony; to lata prania i szorowania zostawiły ślad. John schwycił pakunek i wtaszczył do autobusu. Jednak staruszka zignorowała jego dobre chęci. Ciężko opadła na siedzenie obok swego bagażu. Chłopak spojrzał na nią obojętnie, po czym przeszedł na tył wozu. Tam usiadł, opierając nogi o przeciwległe siedzenie.

Jakie zajęcie mógłby znaleźć? Na pewno pracę fizyczną. Może będzie robotnikiem? Oczywiście, musi wyjechać z Rio. Wuj nigdy nie wybaczyłby mu, gdyby ściągnął hańbę na całą rodzinę, pracując fizycznie w Rio. Zresztą chciał się stąd wyrwać, odejść, ukryć gdzieś, gdzie nikt go nie odnajdzie przez najbliższe tygodnie, może miesiące. Nikt, nawet Eleanor. I znów poczuł się niepewnie. Czyżby wzdragał się przed rozpatrywaniem wydarzeń ostatniej nocy? Złościło go własne tchórzostwo.

Mógłby też zaciągnąć się na parowiec albo stary frachtowiec pływający wzdłuż wybrzeża. A może lepiej na statek kursujący po wodach śródlądowych, choćby Paranie? Zarobi trochę pieniędzy, pozna inne oblicze Brazylii – a to mu się bardzo przyda, jeśli ostatecznie wybierze antropologię – i nauczy się obywać bez towarzystwa polujących na mężów Angielek z klasy średniej i wizyt w modnych barach, gdzie jeden drink kosztuje więcej niż tygodniowe zarobki pasażerów tego autobusu. Rozejrzał się po zniszczonych twarzach, zaciśniętych ustach. Oni wiedzieli, co jest w życiu ważne.

Napisze do wuja i poprosi o pozwolenie na wstąpienie na uniwersytet w Sao Paulo. Resztą zajmie się Louis. Obiecał mu to poprzedniego wieczora, zanim szampan uderzył im do głowy, zanim zjawiała się Lydia. Przez chwilę John zastanawiał się leniwie, czym się dla przyjaciela skończyła ta noc. Nie obchodziło go to jednak. Poprawił się na siedzeniu i zapadł w drzemkę.

W połowie Avenida Rio Branco obudziła go starucha. Z niespodziewaną siłą dźgała go w ramię kościstym palcem. Zamrugał szybko, wyprostował się, rozejrzał. Po obu stronach jezdni tłoczyły się sklepy, teatry, biura i kawiarnie. Wszystkie ukryte za żelaznymi kratami i łańcuchami, pozamykane na głucho. Pod kępą drzew stało kilka taksówek. Kierowcy spali, pochyleni nad kierownicami. W powietrzu fruwały strzępy papieru. Śmiecie i odpadki czekały na zamiataczy ulic. W pierwszym momencie John nie wiedział, gdzie jest, dopiero po chwili wszystko sobie przypomniał. Niemal podświadomie zrobił znudzoną minę. Starucha nie odchodziła. Niechętnie sięgnął do kieszeni. Drobne monety wpadły w suchą, pokrytą odciskami dłoni. Kobieta zamruczała coś pod nosem. Na jej twarzy pojawił się grymas, który w ostateczności mógłby uchodzić za uśmiech.

John ziewnął}. Było zimno. Miał ochotę na filiżankę kawy i gorącą bułeczkę. Otulił się szczelnie kurtką i wysiadł na najbliższym przystanku. Rozejrzał się. Wszystko było jeszcze zamknięte.

Oparł się o mur, zarzuciwszy torbę na ramię. Niedbale skrzyżował nogi, zapalił papierosa. Nie śpieszyło mu się, mógł poczekać.



Doktor da Silva bardzo ostrożnie badał Eleanor. Po pierwsze, zauważył, że płakała, choć teraz łzy dawno już obeschły. Oprócz tego jednak w cieniach pod oczami dziewczyny kryło się coś, co kazało mu być bardziej delikatnym niż zazwyczaj. Znał charakter Charlesa Fawcetta. I choć rozumiał gniew ojca, współczuł dziecku.

– Cóż, Eleanor, mamy tu poważne zwichnięcie. Wiesz, że masz słabe nadgarstki. Zabandażujemy i unieruchomimy rękę na jakiś czas, dobrze? Powiedzmy tydzień lub dwa? – uśmiechnął się ciepło. W odpowiedzi tylko skinęła głową, jednocześnie odwracając wzrok.

Może w jej zakłopotaniu nie ma nic dziwnego? Była nieposłuszna i ojciec się na nią rozgniewał. Chyba jednak zareagował zbyt gwałtownie, pomyślał nagle da Silva, owijając nadgarstek bandażem. No, ale z tymi Anglikami nigdy nic nie wiadomo.

– Dobrze, wiedziałem, że można na tobie polegać. Kiedy ostatnio cię leczyłem, okazałaś się idealną pacjentką. To było, och, wiele lat temu, kiedy przechodziłaś żółtaczkę. Zobaczymy, czy teraz będziesz równie cierpliwa. – Uwaga ta nie miała wiele wspólnego z prawdą, ale doktor wierzył w dobroczynny wpływ pochwał. I nie ma co się dziwić, myślał, że wtedy dziewczynka sprawiała tyle kłopotów. Pamiętał dokładnie, jak mu się wyrывała, wołała kogoś, kuzyna, o ile dobrze pamiętał. Johna Jakiegoś tam. Tego, który uratował jej w dżungli życie. Tego, uświadomił sobie da Silva nagle, przez którego doszło do awantury poprzedniego wieczora. To przecież ten sam chłopiec.

– Słyszałem, że twój kuzyn John wrócił do domu. Pewnie bardzo cię to cieszy?

Nie, nie pomylił się. Kiedy usłyszała to imię, podskoczyła zakłopotana, zawstydzona i... smutna. Z powodu rodzinnego zamieszania, dlatego że ojciec wykręcił jej rękę? Da Silva wątpił w to. Przyjrzał się swojej pacjentce niepewnie, szybko pakując do torby rzeczy.

– Wszystko jest w porządku, prawda, Eleanor? Bo jeśli nie, możesz ze mną o tym porozmawiać.

Drzwi były częściowo przymknięte. Matka dziewczynki kręciła się po domu. Jaka ładna kobieta z tej *senhory* Fawcett, pomyślał, zanim ponownie skupił uwagę na Eleanor.

Potrząsnęła głową.

– Nie, wszystko w porządku.

Tylko że znowu płakała. Otarła łzy wierzchem dłoni.

Charles spędził poranek bardzo pracowicie. Do dziewiątej podjął decyzję o przyszłości Eleanor. O dziesiątej miał już gotową listę szkół prowadzonych przez zakonnice. O jedenastej zawęził listę do dwóch pozycji, Colegio Santa Ifigenia i Colegio Sagrado Coracao – Świętego Serca. W towarzystwie Honória odwiedził obie szkoły. O dwunastej podjął już decyzję; jego córki będą uczęszczały do Sagrado Coracao. Na ten wybór wpłynęło wiele czynników: a więc dobre maniery i skromność uczennic, z którymi rozmawiał, doskonałe wyniki w nauczaniu i, co najważniejsze, surowa dyscyplina. Nikomu nie uda się opuścić murów szkoły bez pozwolenia, żadna z dziewcząt nie spotka się w tajemnicy z chłopakiem, nikt nie wymknie się ukradkiem na plażę. To przekonało Fawcetta, więc bez namysłu zapisał obie córki, co bardzo ucieszyło siostrę przełożoną.

Po lunchu zajął się przyszłością Johna. Zadzwoił do pracownika uniwersytetu w Sao Paulo zajmującego się rekrutacją nowych studentów i przeczytał mu oceny Johna. Jego

rozmówca nie robił żadnych problemów. Obiecał, że osobiście dopilnuje, by umieszczono chłopca na liście słuchaczy, poprosił tylko o przesłanie notarialnie poświadczonej kopii świadectwa. Wielce zadowolony z siebie Charles odłożył słuchawkę. Teraz zastanowi się tylko, co zrobić z siostrzeńcem do czasu rozpoczęcia nowego semestru.

Clarissa nie chciała budzić Johna, o dwunastej w południe uznała jednak, że już najwyższa pora, by wstał. Wysłała Adelię, pokojówkę, do jego pokoju, sama zaś odprowadziła doktora da Silvę do drzwi. To doprawdy czarujący mężczyzna, pomyślała. Uwielbiała sposób, w jaki dyskretnie z nią flirtował, nigdy nie przekraczając granic dobrego smaku. Podała mu rękę.

– Bardzo panu dziękuję, doktorze, za tak szybkie przybycie. Też uważałam, że to tylko zwichnięcie, ale zawsze lepiej się upewnić – uśmiechnęła się, kiedy, pochylony nad jej dłonią, ucałował powietrze w odległości pięciu centymetrów od skóry. Cóż za dbałość o konwenanse. Nie dla niego podboje Don Juana, westchnęła żartobliwie.

Da Silva wyprostował się, starannie poprawił odrobinę przekrzywiony krawat.

– Ależ to oczywiste, droga pani. Dziecko jest już spokojniejsze, ale nadal smutne. Czy byłaby pani łaskawa z nią porozmawiać? Próbowałem, lecz... – wzruszył ramionami. Ach, pomyślał, tak doskonale się rozumiemy. Gdyby nie *senhor* Fawcett, gdyby nie *senhora* da Silva... kto wie? Taka szkoda.

Odjechał perłowoszarym homburgiem. Clarissa wróciła do domu. W holu zatrzymała się, by poprawić bukiet lilii w wazonie i wyprostować krzywo wiszące lustro. Zerknęła na swoje odbicie, odruchowo przyglądając włosy.

– *Senhora!* Nie ma go! O, proszę, zostawił list dla pani! – Adelia zbiegała ze schodów dysząc ciężko. Jej pulchne ciało nie przywykło do takich wyczynów. Clarissa odwróciła się szybko, wyrwana z przyjemnych marzeń. Dlaczego sama nie poszła go obudzić?

Prawie wyrwała kopertę z rąk pokojówki. Otworzyła ją od razu. Adelia nie odchodziła. Clarissa przeczytała list, złożyła go starannie i wsunęła do kieszeni. Zagryzła usta w zamyśleniu.

– Dziękuję, Adelio. Zdejmij pościel z łóżka *senhora* Johna. Wyjechał na pewien czas.

– Ale, *senhora*, w łóżku nikt nie spał. Pościel jest nie ruszona. Czy nadal mam ją zmienić? – Adeli nie uśmiechała się ta praca, bo łóżko było duże i szerokie, a ona coraz grubsza i starsza. Z nadzieją złożyła ręce jak do modlitwy.

Clarissa zastygła w bezruchu, daremnie szukając w myślach wytłumaczenia. Odszedł wkrótce po tym, jak wrócił ze spotkania z Louistem? Ale nie, list miał dzisiejszą datę. Poza tym pisał, że wyrusza wczesnym rankiem. Więc może po prostu położył się, nie rozścielając łóżka? Też nie, w nocy było zbyt zimno, by mógł obejść się bez koca. Więc gdzie spał?

Zerknęła na pokojówkę, zadowolona, że ta nie jest skora do podejrzeń.

– Dobrze, zostaw to tak, jak jest. Już pora na lunch. Idź, pomożesz Marii w kuchni.

Clarissa weszła do biblioteki męża i zamknęła za sobą drzwi.

Coś martwiło Eleanor. Nie tylko ona odnosiła takie wrażenie; doktor da Silva mówił to samo. Coś oprócz wczorajszej awantury i dzisiejszego bólu nadgarstka. Może to miało związek z Johnem? I gdzie, na Boga, John spędził ostatnią noc?

Kiedy jednak Clarissa zebrała się na odwagę i poszła porozmawiać z córką, Eleanor spała. Wyglądała bardzo młodo i bardzo niewinnie w zapiętej pod szyję koszuli, z rozsypanymi na poduszce włosami. Matka cofnęła się cicho. Jej podejrzenia są bezpodstawne. Prawie w to uwierzyła.

Kiedy tego wieczora Charles oznajmił, że zapisał dziewczęta do Colegio Sagrado Coracao, Clarissie spadł kamień z serca. Nie zważając na łzy i gniew Isobel, poparła decyzję męża. Niepokoił ją wyraz oczu Eleanor; spojrzenie młodszej córki pełne było skruchy i poczucia winy. Może więc przyklasztorna szkoła jest dobrym rozwiązaniem? Może.

List Johna sprawił Charlesowi wielką ulgę. Kolejny problem z głowy. Oczywiście, mógł załatwić wysłanie siostrzeńca gdzieś daleko, ale niełatwo dałoby się to zrobić wbrew woli chłopaka. Teraz wszystko rozwiązało się samo. Eleanor nie może mu zarzucić, że to, jak zwykle, jego wina. Musi przyznać, że Johnowi nie zależy na niej na tyle, by chciał zostać. To dobrze, to bardzo dobrze.

Podczas kolacji Charles uśmiechał się szeroko, przeprosił Eleanor i w ogóle tryskał dobrym humorem. Isobel dąsała się i narzekała, że musi opuścić szkołę i przyjaciółki w ostatnim roku nauki, a przecież ona nic nie zrobiła? Eleanor zaś siedziała milcząca, pogrążona w myślach. Clarissa obserwowała swoich bliskich z bólem w sercu. Po raz pierwszy w życiu miała nadzieję, że John już do nich nie wróci.

Północny wiatr wiał silnie i nieprzerwanie, spiętrzając morze w olbrzymie fale, między które „Espirito Santo” zapadał się z monotonną regularnością. Metal tał o metal, burty trzeszczały, jakby chciały ulec i wpuścić wodę do środka. Śruby napędowe skrzypiały głośno. Jeszcze chwila i oto frachtowiec znów mozolnie wspinał się na kolejną górę z zielonego szkła.

Wstający dzień zabarwił niebo dziwnym światłem, srebrnym raczej niż złotym. Ponure barwy nocy znikwały powoli za horyzontem. Statek wydawał się niemal cieniem na tle ciemnego morza. Woda mieniła się fioletem i czernią. Johna ogarnęło nie znane dotychczas uczucie; był pewien, że przetrwa wszystkie ataki losu. Wodny pył chłodził mu twarz, wiatr wypełniał płuca, a on śmiał się, upojony spartańskimi warunkami tej podróży. W tej chwili wydawało mu się, że będzie żył wiecznie.

Był cały obolały po wielogodzinnej pracy w maszynowni. Kręciło mu się w głowie od wdychania oparów paliwa, zmieszanych z jakąś nieprzyjemną, nie zidentyfikowaną wonią. Nie wiedział, czy to ryba, zgniłe owoce czy może tylko wspomnienie, jedyny ślad po przewożonych niegdyś ładunkach.

Pod pokładem czekał na niego hamak. Choć wiedział, że powinien odpocząć, John nie mógł się oderwać od fascynującego spektaklu natury. Z zachwytem i strachem zarazem pochłaniał go wzrokiem. Pierwsze promienie słońca, oświetlające bezmiar wzburzonych wód, tańczące nad połaciami falującej zieleni, sprawiały, że pełen radości i woli życia trwał przy balustradzie wpatrzony w horyzont, jakby chciał kierować owym widowiskiem siłą własnej woli. Bosman krzyknął, że chłopak ma zejść na dół, ale wiatr porwał i zagłuszył jego słowa. John stał jak zaczarowany.

Dwa dni wcześniej wyszli z Vitórii. Nieszczęlny, zardzewiały frachtowiec kierował się ku

Porto Seguro. John zaciągnął się na „Espirito Santo” jeszcze w Rio. Statek przewoził części do maszyn, trochę artykułów spożywczych, mleko w proszku, mydło, lekarstwa, towary luksusowe, jak porcelana czy siodła, nieosiągalne w Vitorii, i... trumnę. To właśnie przez trumnę dwóch marynarzy opuściło pokład: woleli poczekać na inny statek. Pozostali spoglądali na siebie niepewnie i składali morzu ofiary z kurzego wola oraz kwiatów.

Byli starymi, doświadczonymi żeglarzami. Początkowo odnosili się do Johna bardzo podejrzliwie. On jednak nie miał wyboru. Tylko „Espirito Santo” chciał wziąć go na pokład, a on musiał opuścić Rio jak najszybciej.

Teraz, kiedy od miasta i lądu dzieliły go setki mil, wydawało mu się dziwne, że za wszelką cenę chciał wyjechać. Przez całe cztery lata marzył o jednym: o powrocie do domu, po czym w przeciągu dwudziestu czterech godzin z własnej woli opuścił go ponownie. Wyruszył w tajemniczą pielgrzymkę, dokąd i po co, sam nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Wystarczyło mu, że jest w drodze.

W Vitorii, sennym, brudnym miasteczku, przybili na krótko do brzegu. Na wodach zatoki wyrastało wiele malutkich wysepek. Otaczające miasto wzgórzami lśniło w słońcu setkami blaszanych dachów: mieściły się tam palarnie kawy i *favelas*, dzielnice biedoty. Samo miasteczko składało się z jednej szerokiej alei, wzdłuż której ciągnęły się nowoczesne bloki, i kilku bocznych uliczek i zaułków, wąskich, ciemnych i ubogich. Moreira, bosman, wyjaśnił Johnowi, że *fina gente*, przedstawiciele klasy wyższej, zamieszkiwali wille na wyspach albo osiedlali się wysoko na wzgórzach. Biedota gnieździła się jak najbliżej wody.

Nie chciało mu się iść do miasta. Reszta załogi śpieszyła do *churrascaria*, hali, gdzie zjedzą mięso pieczone na rożnie i pochłoną olbrzymie ilości piwa. Później znikną w ciemnych uliczkach, oddając się innym cielesnym rozkoszom. Kiedy nalegali, przecząco potrząsnęła głową. Poszedł na targ, gdzie zaopatrzył się w owoce i plecione matę na plażę.

Wody portu obmywały czarne brzegi wysepek pochodzenia wulkanicznego, na których pyszniły się wszystkie odcienie zieleni. John siedział na plaży, zjadał owoce i ignorował nawoływania handlarzy, którzy zachęcali do nabywania najrozmaitszych towarów. Sprzedawca soku owocowego przeszedł tuż obok niego. Ugiął się pod ciężarem dwóch pojemników zawieszonych na końcach niesionego na ramionach drąga.

Po plaży poniewierały się rybnie łby i resztki *lei*, kwiatnych wieńców. To morze wyrzucało na brzeg pozostałości składanych sobie ofiar. Stara Murzynka w turbanie na głowie kuciała przy małym ognisku. Podkasawszy żółto-pomarańczowo-różową spódnicę, obserwowała płomień. Na prymitywnym grillu skwierczały *acaraje*, placki z krewetkami smażone na oleju palmowym. Zajęta liczeniem pieniędzy, nie zważała na żar bijący od ognia.

John obserwował tubylców spod spuszczonej powiek. Powoli upodabniał się do innych plażowiczów. Słońce zalewało piach falami gorąca, przyszpilało go do ziemi. Chłopak wypluł czarne, podobne do ziaren pieprzu pestki papai i opadł na plecy. Szorstka mata drażniła skórę, ale nie zwracał na to uwagi. Na niebie, nisko nad wodą, wisiały szare burzowe chmury. Nieruchome powietrze nabrzmiewało upałem. Zasnął.

Po południu, kiedy skwar zelżał, wykąpał się. Pływał od jednej wysepki do drugiej, w przerwach odpoczywając na płaskich wulkanicznych skałach i polując na uwięzione w

kałużach kraby i skorupiaki. Poruszał się szybko i pewnie, ignorował silny podwodny prąd. Raz tylko wpadł w panikę, kiedy coś dużego otarło mu się w mętnej wodzie o nogę.

Był to spokojny, rozleniwiający dzień, pełen dziwnych, wcześniej odpychanych myśli. Dzień, który pomógł mu podjąć decyzję. John niechętnie wrócił na statek.

Wypłynęli w morze następnego ranka o brzasku. Po południu rozpoczął się sztorm. Nic nie wskazywało, że nadchodzi, ani komunikaty radiowe, ani obserwacja nieba. Tylko rwanie w ramieniu wzmogło czujność Moreiry. Kazał sprawdzić umocowanie ładunku i szczelnie zamknąć luki. Kilka godzin później rozpętało się piekło. Zapadła noc. Johna wysłano do maszynowni, do pomp.

Uśmiechnął się do Moreiry. Czuł, jakby wiatr wysysał mu powietrze z płuc. Był cały mokry. Bosman krzyknął coś niewyraźnie. John niechętnie puścił poręcz, by ostrożnie przedostać się do drabinki. I właśnie wtedy statek zatrzęsł się ostrzegawczo, zapadając w przepaść głębszą niż inne. Spiętrzona ściana wody zmierzała prosto na nich. John odwrócił się. Moreira otworzył szeroko usta, nie wiadomo czy ze strachu, czy też chcąc go ostrzec.

A potem fala przewaliła się przez pokład. Szarpała, tarposiła, dusiła, przerażająca w swojej masie. John kulił się na mostku, wciśnięty w najdalszy kąt. Kilka stóp wody odbierało mu życie, sekundy zmieniały się w minuty, w wieczność. Miał wrażenie, że jego serce i płuca rozerwą się, a dudnienie w głowie stawało się nie do zniesienia. Otworzył usta, by ulec wodzie, lecz fala już cofała się, ciągnąc go za sobą. Nie dawał się, nie puszczał liny, zapierał się stopami w metalowy pokład, rozpaczliwie chwytając powietrze wielkimi haustami.

Moreiry nigdzie nie było widać. Przez statek tymczasem przetaczał się kolejny gigantyczny grzywacz. Stary frachtowiec trzeszczał niebezpiecznie. John rozglądał się przerażony. Po zachwytach nad dzikim żywiołem nie zostało śladu. Ich miejsce zajęła lodowata pustka w żołądku; strach.

Na Boga, gdzie jest Moreira? Fala porwała go ze sobą? A może jeszcze ostatkiem sił trzyma się burty, liny, pokładu, czegokolwiek, co nie pozwala zniknąć w czarnej kipieli? John wciągnął w płuca potężny haust powietrza i puścił linę bezpieczeństwa. Przy akompaniamencie wyjącego wiatru dobrnął do burty mostka. Przywarł do niej z całej siły i spojrzął w dół, w wodną przepaść. Dopiero po dłuższej chwili zobaczył skuloną postać, kurczowo ściskającą stalowy uchwyt. Krzyknął, ale wiatr uniósł jego słowa. Sam nie mógł dosłyszeć własnego głosu.

Kolejna fala zjawiała się niemal natychmiast. John ledwie zdążył wrócić do swego bezpiecznego kąta, gdzie kilkakrotnie owinął liny wokół dłoni. Morze wyło i huczało, ale szybciej niż poprzednio dało za wygraną. Chłopak wyplątał się z lin i podpełznął do drabinki. Deszcz i pył wodny bardzo ograniczały widoczność, więc poruszał się niemal po omacku, cały czas oczekując następnej fali, tej, która uniesie go ze sobą i ciśnie w piekielną otchłań.

Był już na drabince, kiedy nadeszła. Przywarł do stalowych szczebli. Nie tracił nadziei, choć atak żywiołów zdawał się nie słabnąć. Po opadnięciu wody miał nie więcej niż piętnaście czy dwadzieścia sekund, by dotrzeć do Moreiry. Zdążył. Bosman nadal kurczowo trzymał się uchwytu. Lewa ręka sterczała pod dziwnym kątem, prawą oplatała lina bezpieczeństwa. John dotarł do niego w najprostszy możliwy sposób – puścił drabinkę i

wylądował na pokładzie, w ostatniej chwili złapawszy się burty. Pochylił się nad Moreirą. Mężczyzna miał zaciśnięte mocno oczy i ranę na czole.

Na pokładzie pojawili się inni. Mokre, lśniące od deszczu cienie uwijały się na mostku. Dwóch marynarzy schodziło po drabince. Mieli ze sobą linę. Zanim kolejna fala przesłoniła świat, John dostrzegł, że do niego machają. Kurczowo trzymał Moreirę i czekał.

Złapał linę dopiero za czwartym razem. Przywiązał do niej bosmana i siebie. Morze zaatakowało jeszcze raz, jakby kpiąc sobie z ludzkich wysiłków. Fala zwała Johna z nóg, zaraz jednak cofnęła się. Po chwili już ciągnięto ich w górę ku drabince.

Dotknęli stalowych szczebli dokładnie wtedy, kiedy nad frachtowcem spiętrzyła się kolejna olbrzymia ściana wody. Runęła na statek i John nagle poczuł, że nie trzyma już liny. Zsuwał się z pokładu razem z cofającą się falą. Wtedy czyjaś mocna ręka złapała go za marynarkę. Krztusząc się i kaszłąc wisiał na drabince, dopóki nie otworzyły się drzwi. Ostatkiem sił wczołgali się z Moreirą do suchego, cichego pomieszczenia. Wejście zatrzasnęło się za nimi z metalicznym hukiem.

Przez całe dwa dni „Espfrito Santo” zmagał się z żywiołem. Minęli Porto Seguro, postanowiwszy zawinąć do Salvadoru. Trzeciego dnia sztorm uspokoił się. Wpłynęli do zatoki Todos os Santos. Spokojne teraz morze lśniło jasną zielenią w świetle słońca. Załoga ledwie trzymała się na nogach. Tłoczyli się na pokładzie, uśmiechając radośnie na widok Sao Marcelo, starego fortu, górującego nad wysepką pośrodku zatoki. Wielu z nich całowało zawieszane na szyi krzyżyki, dotykało amuletów mających przynosić szczęście. Niektórzy dziękowali bogini Imanja, władczyni mórz. Inni tylko patrzyli otępiąłym wzrokiem.

Oparty o burtę John spoglądał na gładkie wody zatoki i miasto prażące się w słońcu. Łagodna bryza lekko kołysała statkiem, jakby ten kojący ruch miał pomóc im pozbyć się napięcia ostatnich dni. Chłopak dyskretnie obserwował pozostałych członków załogi. Był ciekaw, ilu z nich zaciągnie się ponownie na „Espfrito Santo”, obojętnie, z trumną czy bez. Jego, w każdym razie, nie będzie wśród tych śmiazków.

Morze jest wspaniałe, jednak ląd ma zdecydowanie więcej uroków. Przyszło mu do głowy, że mógłby na jakiś czas zostać w Salvadorze, może także zwiedzić Bahię? Zobaczy przynajmniej kawałek Brazylii. To wydawało się ciekawsze niż cztery miesiące monotonnego pływania w tę i z powrotem.

Zakotwiczili w zatoce. John przeprawił się na nadbrzeże dużą łodzią. W kieszeniach przyjemnie szeleściły pieniądze. Przed rozstaniem Moreirą uścisnął mu dłoń i uśmiechnął się. W jego ciemnych oczach odmalowało się wiele uczuć, ale trwało to tylko chwilę. Pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę. Sztorm był już przeszłością i znowu stali się sobie zupełnie obcy.

John zachłannie wdychał zapach lądu. Strome klifowe wybrzeże dzieliło Salvador na dwie części, Cidade Alta i Cidade Baixa, górne i dolne miasto. Minął bazar i wąskimi uliczkami wspinał się coraz wyżej. Targowisko tętniło życiem, kolorami i hałasem. Wśród wysokich murów było chłodniej. Cieniste uliczki, brukowane kocimi łbami, prowadziły do cichego Cidade Alta. Kolonialne rezydencje, nowoczesne biurowce, barokowe kościoły o

łuszczących się fasadach, fontanny szemrzące cicho w gęstwinie ogródków. Zagubiony, John włóczył się bez celu po placach i zaułkach, zatrzymując się co jakiś czas, by wypić szklankę soku albo z zachwytem obserwować ciemnoskóre dziewczyny, które sprzedawały kwiaty, kadzidelka i chroniące przed „złym okiem” amulety. Odpowiadały mu spojrzeniami jednocześnie zuchwałymi i nieśmiałymi.

Dopiero późnym popołudniem dopadło go zmęczenie. Burczało mu w brzuchu, żołądek upominał się o obiad. Znużony i głodny rozglądał się za tanią restauracją albo barem, gdzie mógłby zjeść *ensopado* albo *caruru*. Miał chotę na coś ciepłego i ostrego, z pomidorami, czosnkiem i owocami morza. Ślinka leciała mu do ust na samą myśl o pożywnym posiłku. Budynki rzucały już coraz dłuższe cienie, więc przyspieszył kroku.

Zauważył, że liczba *terreiro*, świątyń voodoo, niemal dorównywała liczbie kościołów. Uświadomił sobie, że w Bahii, podobnie jak w Mato Grosso, rozpowszechnione były magia i okultyzm. Na chwilę powróciło wspomnienie Domu Snów w Vila Serrista, magicznych obrządków, które widział owej nocy, kiedy zginęła matka. Voodoo i chrześcijaństwo zlewały się ze sobą, tworząc mieszanekę stanowiącą zlepek koszmarnych obrazów, utrwalonych w jego umyśle.

Przez chwilę John stał niezdecydowanie na progu *terreiro*. Chciał tam wejść, chciał pozbawić mocy stare kosmary. Pot wystąpił mu na czoło, zwilżył dłonie. Chłopak wytarł powoli ręce. Nie ma się czego obawiać, udowodni to.

Dziewczyna sprzedająca amulety i kwiaty obserwowała go ze swego stanowiska na rogu. Dostrzegła lśniąca twarz i rozbiegany wzrok. Zastanawiała się, czy ten młody mężczyzna ma gorączkę. Wyraz jego oczu nie dawał jej spokoju. Wreszcie wzruszyła ramionami i ponownie zajęła się swoim towarem.

John jeszcze się wahał, rozglądał dokoła niepewnie. W końcu, wstrzymując oddech, wszedł. Jego kroki odbijały się echem od kamiennej posadzki, własny cień, duży i niepokojący, sunął przed nim. W powietrzu unosił się zapach kadzideł i ciężki, słodki aromat lilii, ale nie widać było nic ciekawego oprócz krwi i dziwnych rysunków na ścianach. Kurzej krwi.

Zatrzymał się. Potrząsnął głową, śmiejąc się z ulgą, zadowolony, że przezwyciężył dziecinny strach. Ruszył w stronę ołtarza, dalej w półmrok. Teraz już nie bał się tak bardzo.

Nagle zastygł sparalizowany lękiem, gotów krzyknąć na całe gardło. W ciemnych niszach przy ołtarzu wisiały ludzkie ręce, nogi, ramiona. Świeciły blado w półmroku. Przerazony, odskoczył do tyłu, wpadł na ścianę, przygryzł sobie język do krwi. Martwa dłoń zakołysała się tuż przed nim.

Dopiero po chwili John zdał sobie z ulgą sprawę, że to woskowe figury, symbolizujące „cudownie” uzdrowione części ciała. Przez chwilę wdychał słodkawy, mdły zapach, który pamiętał ze świątyni w dżungli, woń kojarzącą się ze zwierzęcym legowiskiem, ale zaraz odwrócił się i wybiegł na ulicę. Ciężko oparł się o ścianę i odetchnął głęboko.

Dziewczyna zauważyła, że dzieje się coś dziwnego. Odłożyła na bok tacę z amuletami, kazała jednemu z dzieci pilnować jej i podeszła do nieznanego. Poblądły i spocony, chciwie wciągał powietrze. Dotknęła jego ramienia.

– Dobrze się czujesz? Może ci pomóc? – zapytała, sama nie wiedząc, czemu to robi. Owszem, był przystojny, ale nie potrzebowała kolejnego mężczyzny, miała z nimi wystarczająco dużo do czynienia. W Salvadorze było wielu chorych, wielu głodnych, ona zaś nigdy nie śpieszyła im z pomocą. Musiała troszczyć się o siebie, co już było wystarczająco trudnym zajęciem. Kiedy jednak odwrócił się, by na nią spojrzeć, dziewczynie zaschło w ustach, a ramiona pokryła gęsia skórka. W jego oczach krył się strach; zdawały się ją hipnotyzować, aż zagubiła się w ich błękicie. Cofnęła się o krok.

– Teresa! Chodź tu, chodź szybko!

Okrzyk wyrwał ją z transu. Teresa z trudem oderwała spojrzenie od źrenic nieznajomego. Odwróciła się, by zobaczyć, czego chciał malec. Na rogu trwała szamotanina; jej mały pomocnik i obca dziewczynka wrywali sobie tacę z plecionkami. Podbiegła do nich i z całej siły uderzyła niedoszłą złodziejkę. Kopała i kłęta, aż nieznajoma podkasła spódnice i uciekła. Jej lament był muzyką w uszach Teresy. Dziewczyna, oparłszy ręce na biodrach, dyszała ciężko.

Kiedy rozejrzała się ponownie, zobaczyła, że młody mężczyzna odchodzi. Niepewnym krokiem szedł po nierównym bruku, co chwila opierając się o mury domów. Zawołała, ale nie reagował. Wtedy wsadziła dwa palce do ust i gwizdnęła przeraźliwie.

Ciałem Johna targały dreszcze. Jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia, jakie wywarły na nim kołyszące się w półmroku ręce i nogi. Nagle zapragnął uciec z ciasnych, klaustrofobicznych uliczek, chciał widzieć światło i morze, wdychać wilgotne, słone powietrze.

W pierwszej chwili uznał dziewczynę za część koszmaru; ścisnęła go za ramię jak czarownica o posępnej, wrogiej twarzy. Dopiero teraz uświadomił sobie, że to zwykła uliczna handlarka. Odetchnął z ulgą, cały czas głowiąc się, którądy iść. Nagle usłyszał za sobą ostry gwizd. Odwrócił się, by sprawdzić, co się dzieje.

Dziewczyna zbliżała się do niego niemal tanecznym krokiem. Tacę oparła na biodrze. Spod spódnicy wylaniały się długie, zgrabne nogi koloru polerowanego drewna. W jej żyłach płynie zapewne indiańska, europejska i murzyńska krew, przemknęło Johnowi przez głowę. Wszystkie trzy rasy mieszały się, dając w efekcie egzotyczną piękność. Zatrzymał się.

– Dokąd idziesz, *senhor Lourol* Zgubiłeś się? Zszedłeś ze statku? – Nie przypominał znanych jej Europejczyków, nie z tymi złotymi włosami i błękitnymi oczami. Tanie ubranie nie zdołało ukryć dobrego pochodzenia. Może przyjechał z południa albo z jakiegoś wielkiego miasta, może z Rio de Janeiro albo Sao Paulo? W każdym razie nie jest tutejszy, tego była pewna.

John uznał ją za bezczelną i impertynenką. Zwróciła się do niego bardzo poufale – „panie blondyn”. Zakołysała biodrami, spytała, czy zabłądził w mieście. Roześmiała się gardłowo i zwilżyła językiem pełne wargi. Bezczelna, impertynenką i uwodzicielska, poprawił się w myśli. W ustach miał nadal sucho po niedawnych emocjach, więc przełknął ślinę, zanim odpowiedział:

– Tak, niedawno weszliśmy do portu. Którędy najszybciej dostanę się na nadbrzeże? – popatrzył jej w oczy. Uśmiechnęła się.

Więc to prawdziwy *carioca*, i to z Rio. Mówił z charakterystycznym twardym akcentem,



raczej *Atlantchio* niż *atlantico*, *p'ra* niż *para*. *Carioca* z dobrej, zamożnej rodziny. Pewnie zabawia się w marynarza, dopóki mu się nie znudzi. Wtedy wróci do dostatniego życia, do bogatych krewnych. Wydęła wargi.

– Wkrótce będzie zupełnie ciemno. Trudno ci będzie znaleźć drogę. W Salvadorze łatwo zabłądzić, a po zmroku jeszcze łatwiej stracić pieniądze. Zaprowadzę cię, jeśli chcesz.

– Idziesz do portu? Bo nie chciałbym zajmować ci czasu. Doskonale wiedział, że powinien odejść, zignorować ją, udawać, że nie istnieje. Tak postąpiliby Louis i Henry. On jednak był zmęczony, nadal zdenerwowany i pragnął towarzystwa. Skinieniem głowy przyjął więc jej propozycję. Dziewczyna poprawiła tacę na biodrze i krzyknęła do oczekujących dzieci, że na dzisiaj już koniec. Niech wracają do domów i przyjdą jutro. O ile one w ogóle mają jakiś dom, pomyślał John, patrząc na podarte ubrania i smutne buzie. Nowa znajoma zdawała się tego nie zauważać.

Ruszył za nią. Skrzyła w zupełnie inną ulicę niż ta, którą miał zamiar iść.

– Jak się nazywasz? – spojrzała na niego przez ramię. Przyśpieszył kroku, by się z nią zrównać.

– John. Uśmiechnęła się.

– Po prostu John?

– Na razie, po prostu John. A ty?

– Teresa. Po prostu Teresa. Na zawsze – w ciemnych oczach pojawił się kpiący błysk.

– Jak to?

– Matka porzuciła mnie, kiedy byłam malutka, ojca w ogóle nie znałam. Nauczyłam się walczyć o byt, ale nie mam nazwiska. Jestem po prostu Teresa.

Nie oczekiwała współczucia, nie rozczulała się nad sobą. Stwierdzała fakt. Jakby chciała powiedzieć: „tak jest, czy ci się to podoba czy nie”. John zawstydział się.

Milczeli przez większą część drogi. Dziewczyna prowadziła go przez zaułki, bramy, uliczki, w górę i w dół, po schodkach i mostkach. Nuciała coś pod nosem, jakąś rzewną, ekliwą melodię, która nie pasowała do jej pogodnej twarzy i uwodzicielskiego kołysania biodrami. Podążał za nią, zbyt zmęczony, by się zastanawiać, dokąd go prowadzi.

– Więc ile czasu tu będziesz? Chcesz zostać w Salvadorze, w Bahii? – Nie patrzyła na niego, szła dalej szybkim, pewnym krokiem.

Odchrząknął.

– Nie wiem jeszcze. Czy trudno tu o pracę?

Nie powiedział, że zabija czas do stycznia, do rozpoczęcia studiów. Wydawało mu się to zbyt niedelikatne po tym, co usłyszał o jej losie. Zresztą dziewczyna domyślała się, kim on jest.

– Dla ciebie – nie. Nie, jeśli jesteś wykształcony i szukasz zajęcia na kilka miesięcy. Ile masz lat, John? – Zadawała bezpośrednie pytania i udzielała szczerych odpowiedzi.

Uśmiechnął się mimo zmęczenia.

– Osiemnaście. A ty?

– Chyba siedemnaście, w każdym razie coś koło tego. Jaka praca cię interesuje? Fizyczna harówka czy siedzenie w biurze? Bo pewnie mógłbyś robić i jedno, i drugie, co? – oszacowała

go wzrokiem. Jej uwadze nie umknęły szerokie ramiona i smukła sylwetka. No tak, dobrze karmiony od dziecka, wyrósł na silnego młodzieńca. Zwilżyła językiem usta.

– Wolałbym pracę fizyczną, niekoniecznie w porcie, może być też w głębi łądu. Sam jeszcze nie wiem. Dopiero co przyjechałem.

Szok, który przeżył w *terreiro*, sprawił, że nie był już niczego pewien. Co tu właściwie robi, jaki sens ma przebywanie wśród ubogich i udawanie, że jest się jednym z nich? Poprzednie pomysły wydały mu się głupie i śmieszne. Niedojrzałe. Powinien trzymać się z ludźmi swojego pokroju, a nie próbować egzystencji wśród biedoty, a potem odejść, kiedy uzna to za nudne i monotonne. Odejść, bo czeka na niego uniwersytet. Spojrzał na Teresę mając nadzieję, że nie osądzi go zbyt pochopnie, zbyt surowo.

Ale ona ani myślała go krytykować. Pochodził z *fina gente* i już. Wybrańcy losu mogą robić, co im się żywnie podoba, zmieniać plany, kiedy zapragną. Jeśli John chce przez jakiś czas pracować fizycznie, czemu nie? Liczyła tylko, że mu się zabawa w prawdziwe życie nie znudzi chociaż przez kilka tygodni. Potrzebowała kogoś, kto by zapewnił jej jedzenie, kto pomógłby odłożyć trochę pieniędzy, bo sprzedawanie od świtu do nocy kwiatów i talizmanów, ponoć przynoszących szczęście, jej szczęścia wcale nie przyniosło. Chciała, by jej zostało coś po tym jasnowłosym młodzieńcu, kiedy ogarnie go nuda i odjedzie do swojego świata. Spojrzała na Johna, mając nadzieję, że nie osądzi jej zbyt pochopnie, zbyt surowo.

Oboje ujrzeli niepewność w oczach drugiego i uśmiechnęli się, każde do swoich myśli.

– Masz już gdzie mieszkać? Gdzie spać?

Ściemniało się, uliczki wyglądały coraz groźniej. John nie miał pojęcia, dokąd doszli ani nawet w którą stronę trzeba iść do portu. Potrząsnął głową.

– Więc możesz przenocować u mnie. Niezbyt elegancko, ale przynajmniej mieszkam sama. Chcesz?

Musiała mieć własny pokój, obskurną izdebkę z maciupieńkim balkonem i sfatygowanym łóżkiem, żeby móc zarabiać wieczorami. Tej nocy zrezygnuje z pracy w nadziei na przyszłe korzyści. Dziewczyna zwolniła kroku i silniej zakołysała biodrami. John ponownie skinął głową.

Był oszołomiony, jakby wędrował nieznanymi, niewidzialnymi dla innych ścieżkami, z których każda wiodła do innego życia, do innego Johna. Jego przewodniczką była Teresa, więc szedł za nią, zbyt zmęczony i zaskoczony uczuciami, które w nim budziła, by się sprzeciwiać.

Zauważył, że przemierzali teraz starą część miasta. Z pomalowanych niegdyś na wesołe kolory domów odpadał tynk. Większość kamienic dobiegała kresu swoich dni jako tanie, wilgotne pensjonaty i burdele. Na wielu balkonach płonęły lampy pod różowymi abażurami. Chłopiec czuł się coraz bardziej nieswojo. Z wahaniem spojrzął na swoją towarzyszkę.

Teresa właśnie skręciła w wąski zaułek i zatrzymała się przed brudnymi drzwiami. Zobaczył, że macha do niego. No chodź, czego się boisz? Wyczytał ironię z niecierpliwego ruchu jej dłoni. Właśnie wyrzucano z baru grupę pijanych marynarzy. W bramach czaili się posępni mężczyźni. Kobiety o rozpuszczonych włosach i rozpiętych bluzkach wychylały się przez poręcze balkonów. John wrócił spojrzeniem do Teresy. Ciemne oczy rozbliły. Tak?

Czy nie? Nie było to odpowiednie miejsce na samotne spacery. Z westchnieniem pokiwał głową.

Wspinał się stromymi schodami na strych. Przez chwilę Teresa mocowała się z zamkiem. Niemal wszystkie drzwi na korytarzu otworzyły się, niewiele, odrobinę jak muszle ostryg, i równie szybko zamknęły z cichym trzaskiem. Wzruszyła ramionami.

– Chcą wiedzieć, kto przyszedł, kto może próbować ich okraść. To dobry system. Wszyscy pilnują wszystkich, nikt nikomu nie ufa. Wejdz.

Znalazł się w ciasnym pokoiku, dusznym jak wszystkie strychy. Drzwi cudem trzymały się na zawiasach.

Dziewczyna znów wzruszyła ramionami. Lekceważącym spojrzeniem omiotła nędzne wnętrze.

– Niezbyt tu pięknie, prawda? Ale to mój dom. Dwie pary drzwi oddzielają mnie od tych wszystkich na ulicy – ostatnie słowa niemal wypluła z pogardą.

W kącie na podłodze leżał wygnieciony materac. Chusta z frędzlami służyła jako kotara, dzieląca pomieszczenie na dwie części. Metalowe wiadro, stojące pod poobijanym, a niegdyś białym zlewem, i blaszana miednica zastępowały łazienkę. Nad umywalką wisiało zmatowiałe lustro, nadtłuczone i pęknięte w jednym rogu. Najwyraźniej ktoś za mocno dokręcał mocującą je śrubę. Pod lustrem na szklanej półce leżała szczoteczka do zębów, kubek, szminka. Na mikroskopijnym balkoniku, który wyglądał, jakby miał runąć w dół pod najlżejszym ciężarem, stała butla gazowa. Wieszak za drzwiami służył jako szafa dla kilku sukienek. Po podłodze poniewierały się nie wykończone plecionki. W tym pokoju upływało jej życie.

– Zamknij drzwi za sobą, dobrze? Tak jest bezpieczniej – postawiła tacę na podłodze, żeby spojrzeć na gościa. Zdawał się wypełniać sobą całe jej mieszkanie, sprawiał, że klitka stawała się jeszcze mniejsza, jeszcze bardziej duszna. Wykonawszy polecenie, stał niezdecydowany. Czekał aż ona, Teresa, powie mu, co ma robić, dokąd iść.

Zniknęła za zasłoną. Ze starego kartonu wyciągnęła opróżnioną już do połowy butelkę taniego wina i metalowe pudełko po papierosach, w którym zostało jeszcze kilka skrętów. Dla klientów, pomyślała z żalem, ale zaraz odgoniła od siebie wszelkie wątpliwości. Cóż tam, ona też musi mieć coś z życia. Nawet jeśli John jutro odejdzie... Czy często spotyka się takich jak on? Często, co? Spojrzała na niego. Miękkie jasne włosy, wyraziste rysy, smukłe ciało. Był wyjątkowy. Nie nalegał, nie pośpieszał jej, tylko czekał, nadal ubrany, na gest zachęty ze strony gospodyni. No, często?

Nietrudno było znaleźć odpowiedź na to pytanie. Nigdy! Takie jak ona mogły liczyć tylko na zalanych marynarzy albo tutejszych robotników, którzy podkradali pieniądze żonom i przyjaciółkom. Czasem byli do tego stopnia obrzydliwi, że nie mieli nikogo, komu mogliby cokolwiek podkradać. Ona zasługuje na coś lepszego. Więc dalej, daj mu wina, daj mu skręta. Daj mu wszystko. Kogo to, do licha, obchodzi?

– Prześpię się tutaj, dobrze? Przepraszam za kłopot. Nie przypuszczałem, że masz tak mało miejsca – zamilkł nagle, speszony jej spojrzeniem. Przyglądała mu się spod opuszczonych powiek, w kąciку ust kołysał się papieros. – To... bardzo uprzejme z twojej

strony, że pozwolisz mi u siebie przemocować. Ja... ja chętnie zapłacę za nocleg, tylko na dzisiaj. Jeśli nie będzie zbyt drogo – dodał po chwili, zmieszany jak zwykle, gdy chodziło o pieniądze.

Uśmiechnęła się na te słowa. Tylko *finis gentes* nie umieli rozmawiać o pieniądzach.

– Jeszcze nigdy nie miałaś kobiety, prawda? – odezwała się po dłuższej chwili, kiedy milczenie stawało się nie do zniesienia. Chłopak zaczerwienił się i odwrócił głowę. Nie odpowiadał. Teresa opadła na materac. Przeciągnęła się prężąc jak kotka.

– Słuchaj, John, podobasz mi się. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Nieważne, że jeszcze nikogo nie miałaś, znam się na rzeczy. Więcej, jestem w tym bardzo, bardzo dobra – zniżyła głos do gardłowego, kuszącego szeptu. – A kiedyś trzeba zacząć, prawda? Więc chodź, napij się wina, zapal sobie. Na pewno poczujesz się lepiej – podniosła szklankę. John rozejrzał się niepewnie, zanim podszedł i wyjął naczynie z jej dłoni. Unikał wzroku dziewczyny. Westchnęła.

– Dobra, słuchaj, jeśli nie chcesz, nie ma sprawy. Usiądź tu koło mnie, porozmawiamy. Opowiesz mi o sobie? – śmiała się głośno, więc i na jego twarzy pojawił się blady uśmiech.

Usiadł na podłodze po turecku, uniósł szklankę.

– Potem. Najpierw ty opowiedz o sobie.

Oparła się o ścianę, podkuliła nogi, poprawiła coś przy dekolcie i upiła spory łyk wina.

– Dobrze. Początek już znasz, prawda? Mówiłam ci, że matka mnie porzuciła, po prostu zostawiła samą. Poszłyśmy spać razem w jakiejś bramie czy na schodach, a kiedy się obudziłam, jej już nie było. Miałam wtedy cztery, może pięć lat. Wystarczająco dużo, by pojmować pewne rzeczy, zbyt mało, by zrozumieć inne – wzruszyła ramionami, a on zdał sobie sprawę, że bynajmniej nie o szkolnej, książkowej wiedzy mówiła. Ta dziewczyna otrzymała bardzo specyficzne wykształcenie. Przez chwilę zastanawiał się, co Eleanor by o niej pomyślała.

Teresa dołała mu wina. Kiedy się pochyliła, poły bluzki rozsunęły się, odsłaniając piersi równie brązowe jak uda, z wyjątkiem ciemnoróżowych brodawek. Długie, ciemne, kręcone włosy, do niedawna splecione w warkocz, teraz opadały luźno, w miękkich lokach układały się na białej bluzce i obnażonych ramionach. John odwrócił wzrok, wbijając spojrzenie w szklankę. Wino wypełniło mu pusty żołądek przyjemnym ciepłem. Na czole poczuł kropelki potu. Usiłował skupić się na słowach Teresy, próbował zdławić myśli, które przyprawiły go o rumieniec zażenowania.

– Znalazła mnie jakaś staruszka, nawet nie pamiętam jej imienia. Karmiła i opiekowała się mną przez kilka dni, potem uciekłam. Codziennie sprzedawałam kwiaty i plecionki, żebrałam, a nawet kradłam, żeby zdobyć kilka cruzeiros. Grzebałam w śmietnikach. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile dobrych, ładnych rzeczy ludzie tacy jak ty wyrzucają tylko dlatego, że im się znudziły. Ubierałam się na śmietniku i jeśli akurat nic nie zarobiłam, tam się żywiłam. Spałam w tekturowych pudłach, rurach, ogródkach.

Potem, kiedy miałam koło jedenastu lat, zaczęłam... no wiesz – pomogła sobie dosadnym gestem. – Od tego czasu zarabiam więcej, Stać mnie na to mieszkanie... – zaciągnęła się głęboko skrzętem. Przez dłuższą chwilę nie wypuszczała dymu z ust. Upiła łyk wina, smakując

je z wyraźną przyjemnością. John nie mógł oderwać wzroku od różowego języka, który przesuwał się po pełnych wargach, w górę i w dół, w lewo i w prawo. Czuł się jak mysz hipnotyzowana przez węża, oglupiała i zafascynowany.

– Chcę się stąd wyrwać. Oszczędzam, ale to trudna sprawa. Nie da się jednocześnie odkładać pieniędzy i żyć. Czasami tracę już nadzieję, że kiedykolwiek stąd wyjadę. W takich momentach miałabym ochotę kogoś zabić, tylko po to żeby ukraść forszę i uwolnić się od tego wszystkiego – jej głos był teraz szorstki, oczy rozbłysły. John obserwował dziewczynę uważnie.

– Ale nie zrobię tego. Będę tu tkwić, choć uważam, że zasługuję na coś lepszego – miejsce poprzedniej agresywności zajęły nutki rozbawienia. – Przecież jestem ładna, prawda? Gdybym miała trochę pieniędzy, mogłabym być damą, może nie? – powtórzyła. Wyprostowała się, odrzuciła włosy do tyłu, utkwiała wzrok w jego oczach. – Może nie?

Nie, nie jest piękna, pomyślał. Nie dla niego, nie tak jak Eleanor. Z całą pewnością jednak odznacza się zmysłową, egzotyczną, prowokującą urodą. O jej ciele można mówić tylko z zachwytem, stwierdził, zauważając wszystkie okrągłości podkreślone tanią obcisłą bluzką, włosy, jakby żyjące własnym życiem, długie, zgrabne nogi. Otaczała ją specyficzna aura, prymitywny urok, któremu nie można się było oprzeć. On, w każdym razie, nie mógł.

Jednak oprócz pokusy i zachęty, z utkwionych w nim oczu John wyczytał także niepewność, strach, potrzebę akceptacji. Ta dziewczyna potrzebowała go. Było to upajające uczucie. Przysunął się do niej. Musnął palcami jej policzek.

– Tereso, możesz być, kimkolwiek zechcesz. Damą, jeśli tego zapragniesz, aktorką, modelką, kochanką bogatego mężczyzny. Kimkolwiek zechcesz – ich usta zbliżyły się do siebie. Zęby dziewczyny lśniły nieskazitelną bielą wśród ciemnych warg. John dotknął jej ust.

– Jak? Jak mogę stać się kimś lepszym? – dopytywała się.

Jego oczy były teraz bardzo blisko jej twarzy, duże, niebieskie i poważne.

– Osiągniesz wszystko, jeśli będziesz tego pragnęła wystarczająco mocno i wykorzystasz każdą okazję – uśmiechnął się niewyraźnie. Wiedział, o czym ona myśli, choć alkohol i narkotyk spowolniały mu umysł. Strach ostatnich godzin zniknął, odszedł bez śladu, dołączył do innych wspomnień.

Teresa objęła Johna, przyciągnęła do siebie. Pełne, ciemne wargi odnalazły jego usta.

– Korzystaj z okazji – mruknął, osuwając się na materac. Na policzku czuł gorący oddech, zwinne palce rozpiwały mu koszulę i spodnie. Zręczne, szybkie, lekkie dłonie tańczyły po jego ciele, przyprawiały o dreszcze. Leżał na plecach, spocony i zdyszany, a usta dziewczyny błędziły po jego klatce piersiowej, po brzuchu i dalej, coraz niżej. Nie potrafił już myśleć, tracił wątek, emocje brały górę nad rozumem. Przyciągnął ją do siebie, wygiął się w łuk. Słyszała, że cały czas mamrocze ostatnie zdanie. Dygotał, kiedy go pocałowała. Szczytował szybko, za szybko, ale błyskawicznie odzyskał siły. Roześmiała się gardłowo i usiadła na nim okrakiem. Jęknął.

– Korzystaj z okazji – zażartowała i mocno ścisnęła mięśnie, tak że nie mógł się poruszyć. Pochyliła się nad nim. – Korzystaj z okazji – powtórzyła. Wcale nie była zaskoczona, kiedy w końcu to zrobił.

## Rozdział jedenasty

*Rio de Janeiro*

*Grudzień 1958*

Eleanor leżała na trawie. Obok poniewierała się zapomniana powieść, „Gabriela” Jorge Amada. Nie była to lektura odpowiednia na lato, na upalny, słoneczny dzień. Dziewczyna przewróciła się na brzuch i uderzyła patyczkiem w skorupkę ślimaka. Natychmiast schował się w muszli.

Henry nie podnosił wzroku znad książki. Usiłowała dojrzeć, co czyta. Aha, chyba coś o strzelcach Carrara. Z westchnieniem opadła na plecy. Już dwa miesiące upłynęły, od kiedy John zniknął. Eleanor zastanawiała się, czy kuzyn wróci do domu na Boże Narodzenie? W takim razie został jej tylko tydzień na kupienie mu prezentu. Podarki dla reszty rodziny wybrała już wcześniej. Co do Johna nie mogła się zdecydować. Wszystko, cokolwiek zdołała wymyślić, wydawało się zbyt dziecinne lub nudne, głupie bądź nadmierne poważne. Nic do niego nie pasowało. Dziewczyna z zadumą żuła żdźbło trawy.

– Jak myślisz, czy John ucieszyłby się z krawata? – rzuciła, przerywając milczenie.

Henry uniósł głowę.

– Nie – odparł spokojnie.

Eleanor wypluła słomkę. Choć wiedziała, że przyjaciel nie ma ochoty na rozmowę o Johnie, złośliwie podtrzymywała temat.

– Więc co mam mu kupić na gwiazdkę? Co chciałbyś dostać, gdybyś był Johnem?

– Nie jestem Johnem. Nie wiem, co on życzyłby sobie dostać. Ja chciałbym nowe pióro albo może spinki do mankietów, ale John? Nie mam pojęcia – stwierdził zimno.

Żartobliwie trąciła go stopą.

– Nie dąsaj się, Henry, bo nie dam ci żadnego prezentu. Jestem pewna, że wymyślisz coś odpowiedniego, jeśli tylko się postarasz.

Spojrzał na nią obojętnym wzrokiem. Przynajmniej starał się, by tak to wyglądało. Eleanor usiadła.

– Może książkę? Na przykład coś o archeologii, on się tym interesuje. Powiedzmy, album o ruinach i wykopaliskach, ze zdjęciami starych naczyń, broni i, nie wiem, posągów i tym podobnych rzeczy. Co ty na to?

– Może. Ale to byłby bardzo drogi prezent, a przecież nawet nie wiesz, czy on w ogóle wróci na święta. Miałaś może od niego jakieś wieści? – zazdrość ścisnęła Henry’ego za gardło. Opanował się z najwyższym trudem, powtarzając sobie, że Eleanor i John są kuzynami w pierwszej linii i nigdy nie będą niczym więcej.

Dziewczyna pochyliła się i zatrzasnęła mu książkę przed nosem. Czytał dramaty Brechta.

– Nie, ani słowa. Ciekawe, gdzie on się podziewa? Czasami się o niego martwię, w głębi duszy jednak wiem, że ma się dobrze. Wyczułabym, gdyby było inaczej – zamyśliła się na chwilę. – No, coś wykombinuję. Jesteś głodny? Bo ja już marzę o lunchu, a ty? Maria dziś

nam chyba przyszykuje *moqueca*. Ojej, zapomniałam, ty nie lubisz ryby, prawda?

Z rozrzewnieniem pomyślała o duszących się pomidorach, cebuli, papryce, rybie i czosnku. Uwielbiała *moqueca*. John także. Lubili te same rzeczy; choć dzieliły ich setki kilometrów, doświadczali podobnych uczuć. Byli jak bliźnięta jednojajowe. Zauważyła, że Henry przygląda się uważnie, jakby chciał poznać jej myśli. John nie miałby z tym problemów, stwierdziła w duchu i zawstydzila się.

– Nie, nie bardzo. – Henry nawet nie dostrzegł, że Eleanor wcale go nie słucha. Nadal rozważał kwestię lunchu. – Ale chętnie zjadłbym omlet. Maria chyba nie będzie zła? A w ogóle, kiedy wracają twoi rodzice?

Eleanor uśmiechnęła się. Oto cały Henry: gotów był zjeść cokolwiek, byle tylko ona nie musiała rezygnować z ulubionej potrawy. Zupełnie inny niż John. Ten upierałby się, że oboje zjedzą to samo, przy czym jemu dostanie się większa porcja. Ona nie zgodziłaby się, więc klóciliby się, dopóki nie dotarłby do nich komizm sytuacji. Wtedy wśród śmiechu podzieliliby się po równo.

Tak, Henry nigdy by się z nią nie spierał. Był zawsze uprzejmy, zawsze rozsądny. Dlaczego więc ona nic do niego nie czuje? Wszystkie koleżanki z klasy Eleanor przepadały za nim. No ale też, stwierdziła cynicznie, widywały zapewne niewielu chłopców.

– Chyba pojawią się późnym popołudniem – odparła. – Mama nienawidzi Sao Paulo i jeździ tam tylko, kiedy papa ją zmusi. Twierdzi, że miasto jest brudne i brzydkie. Tym razem udali się na zebranie rady nadzorczej kolei Lampedusca. Z tego co wiem, papa chce sprzedać część udziałów i zainwestować w projekt Brasilii. Dlatego uparł się wziąć ze sobą Clarissę. Szkoda, że John i Louis będą studiować w takim ponurym mieście. Wolałabym, żeby zostali tutaj, a ty?

– Ja zostanę tutaj – udał, że nie rozumie jej pytania. Może wcale nie oczekiwała na nie odpowiedzi? Spojrzał na przyjaciółkę spod rzęs. Teraz, kiedy w wieku szesnastu, a właściwie prawie siedemnastu lat miał za sobą najgorsze fazy okresu dojrzewania, stał się atrakcyjnym chłopcem. Eleanor, jak zauważył, nie miewała żadnych gorszych czy lepszych etapów rozwoju. Nie zmieniała się, tylko każdego roku rosła o kilka centymetrów. Henry z zachwytem patrzył na jasne włosy, opadające na wysokie inteligentne czoło. Jej ciało było smukłe i szczupłe jak u dziecka. No, może niekoniecznie dziecka, w końcu miała już prawie szesnaście lat. Oczy chłopca zatrzymały się na bluzce Eleanor, w której rozpięła, jego zdaniem, o jeden guzik za dużo.

– Tak? I co, będziesz tu studiował prawo? Myślałam, że twoi rodzice chcieli wysłać cię do Sao Paulo? – usiadła, nagle świadoma, że Henry intensywnie wpatruje się w jej piersi. Spojrzała na niego z wyrzutem. Odchrząknął i przybrał, jak to zwykła określać, napuszoną minę. Robił to zawsze, ilekroć mówiono o jego przyszłości, która była już dokładnie wyznaczona i zaplanowana. Za dokładnie, stwierdziła z westchnieniem.

– Owszem, ale zmienili zdanie. Ukończę szkołę wcześniej i jeśli dobrze zdam egzaminy końcowe, od razu wstąpię na uniwersytet. Czeka mnie dużo nauki, ale moi nauczyciele uważają, że dam sobie radę. Gdybym chciał studiować w Sao Paulo, musiałbym czekać jeszcze rok, a ojciec życzy sobie, żebym jak najszybciej rozpoczął pracę w jego kancelarii. A

kiedy już będę renomowanym prawnikiem, zajmę się polityką.

Przestał udawać, że pociąga go kariera prawnicza, kiedy poruszył temat, który go naprawdę pasjonował.

– Pomyśl, Eleanor, obecnie wprowadza się tyle połowicznych reform. Bo na przykład, jak można dawać ludziom ziemię, nie oferując jednocześnie nisko oprocentowanych kredytów? Przecież oni nie mają nawet narzędzi! A kto poniesie koszty bezpłatnego kształcenia teraz, kiedy mamy galopującą inflację? Pomyśl z Brasiilią też wymknął się spod kontroli. Wszyscy chcą wziąć udział w tej imprezie i zarobić jak najwięcej, ale kto zapłaci rachunek? Kubitschek beztrudno planuje, wydaje majątek państwowy i ma nadzieję, że jego następcą upora się z tym bałaganem, bo on z całą pewnością nie da sobie rady! – Henry zarumienił się, kiedy uświadomił sobie, że ojciec Eleanor należy do tych, którzy pragną szybkiego zysku.

Dziewczyna odrzuciła włosy do tyłu.

– Papa uważa, że Kubitschek jest bardzo udanym prezydentem. Gospodarka rozwija się. Ludzie czują się dumni z tego, że są Brazylijczykami. Zresztą wiceprezydent bywa u nas na kolacjach. To dobry przyjaciel papy. Według niego gospodarka nigdy nie była w równie dobrym stanie, a Brasilia to doskonały pomysł, bo otwiera interior. Poza tym papa dużo inwestuje w te projekty, a nie tylko stara się wyciągnąć z nich jak najwięcej forsy, co zdaje się sugerowałeś.

Rozłożyły ją insynuacje Henry'ego. On także stracił panowanie nad sobą.

– W takim razie wszystko w porządku, prawda, Elly? Nic nie szkodzi, że nie stać nas na zerwanie stosunków z Międzynarodowym Funduszem Walutowym czy ograniczenie inwestycji obcego kapitału. Bądźmy nacjonalistami. Tylko zechciej przypomnieć sobie, skąd twoja rodzina się tu wzięła. Nawet jeśli uważasz się za Brazylijkę, to w piątej części jesteś Angielką. Cudzoziemką. *Estrangeira* – wypowiadał każde słowo powoli, wyraźnie. Eleanor zacisnęła zęby. – Jeśli sprawy będą się nadal rozwijały w tym kierunku, może się to okazać pewną niedogodnością, nie uważasz?

Rozejrzał się po starannie utrzymanym ogrodzie, zatrzymał wzrok na szemrzącej cicho fontannie. Bogactwo i przywileje jak okiem sięgnąć. Czy długo jeszcze?

– Na miejscu twojego papy nie spoufalałbym się zbyt z Goulartem. Mój ojciec uważa go za spryciarza i oportunistę, gotowego na wszystko byle tylko utrzymać się przy władzy. Jak dotąd, całkiem nieźle sobie radził, ale w końcu wszystko się na nim skrupi, zapamiętaj moje słowa. Na nim i na jego przyjaciółach. Trzeba będzie znaleźć kozły ofiarne – mówił bardzo poważnym tonem. Niesforny kosmyk opadał co chwila na czoło.

Przez chwilę Eleanor ogarnęły wątpliwości, ale szybko odepchnęła je od siebie.

– To ty tak twierdzisz. Od kiedy to jesteś wszystkowiedzący? Henry, ciągle robisz mi wykłady na temat polityki, jakbym sama nie miała pojęcia, co się dzieje. Informuję cię zatem, że mam własny rozum, a jeśli nie zgadzam się z tobą, to trudno. Chodźmy na lunch. Maria nie znosi, kiedy się spóźniamy.

Poprawiła włosy i wstała, dając mu do zrozumienia, że dyskusja dobiegła końca. Może posunął się za daleko? A może ją znudził? Okazał się zbyt przyziemny? Nie posiadał umiejętności Louisa i Johna, którzy przedstawiali swoje poglądy z żelazną logiką i



nieodpartym wdziękiem. Nie znaczyło to jednak, że nie myślał czy nie martwił się o przyszłość. Chciał, żeby Eleanor i jej rodzina żyli bezpiecznie i dostatnio. To dlatego czasami tak dużo gadał i, być może, nużył monotonią swoich wypowiedzi.

Kiedy szli do domu, zaduma i smutek na twarzy przyjaciółki szczerze go zaniepokoiły. Otoczył ją ramieniem.

– Nie przejmuj się mną. Lamentuję jak stara baba. Zapomnij, co mówiłem – uśmiechnął się lekko. Ten autoironiczny uśmiech dodawał zatroskanej twarzy chłopca specyficznego uroku.

Zmrużyła oczy.

– Wiesz, co mnie martwi, Henry? Czasami wydaje mi się, że jesteś jedynym w naszym gronie, który ma dobrze poukładane w głowie. Nas obchodzi tylko, czy jesteśmy coraz dowcipniejsi i sprytniejsi. Nie widzimy przy tym, że na łeb, na szyję pędzimy prosto ku upadkowi.

Zanim w pełni zdała sobie sprawę, z tego co powiedziała, było już za późno. Wyrzucała sobie brak delikatności, gdy zobaczyła, jak Henry zaciska usta. Nie chciała powiedzieć, że jest nudny. Nie o to jej chodziło, bo wcale taki nie był. Po prostu czasem chciałaby, żeby odważył się na jakieś szaleństwo. Coś zupełnie zwariowanego, zgodnego z maksymą „nieważne, co inni o tym sądzą, zrobię, jak zechcę, i już”.

On jednak nigdy by tak nie postąpił. Po prostu musiał być doskonałym synem, doskonałym przyjacielem, doskonałym uczniem. Słyszając nietaktowne słowa przyjaciółki, uśmiechnął się smutno.

– Wątpię w to, Eleanor. Tylko w bajkach nagroda spotyka woły robocze – w jego głosie pobrzmiwały ironia i zmieszanie. Przytrzymał dziewczynie drzwi i przepuścił ją przed sobą.

– Nie jesteś wołem roboczym, Henry – zaprotestowała gwałtownie.

– Nie, chyba nie – nie spuszczał z niej wzroku. – Po prostu za bardzo się przejmuję. To głupie, prawda? – Zrobiło jej się go tak bardzo żal, tak przykro z powodu bezmyślnej uwagi, że serdecznie pocałowała chłopaka w policzek. – Henry, nigdy nie przejmujesz się za bardzo. Właśnie to w tobie lubię.

Wynagrodził ją czarującym uśmiechem. Po raz kolejny zdumiała się, że nie pragnie dostać go za męża. A potem westchnęła na myśl o tym, który zamieszkiwał jej marzenia.

Święta Bożego Narodzenia obchodzono w domu Fawcettów bardzo uroczyście. Clarissa całymi tygodniami ozdabiała *paldcio*, oddając się, jak to żartobliwie nazywała, „wiosennym porządkom”. Czyściła sztućce, polerowała mosiężne lampy, przystrajała drzwi i kominki pękami zielonych gałęzi i jasnozłotą gazą. Hol jaśniał od białych świec i wazonów z różami. Stoliki uginały się pod ciężarem pater, na których piętrzyły się stosy orzechów i pomarańcz nabijanych goździkami, kandyzowanych owoców, gruszek i śliwek, czekoladek w złotych papierkach, lukrowanych keksów i malutkich biszkopcików. W całym domu unosiły się zapachy przypraw i kwiatnych *potpourri*. We wszystkich pokojach paliło się światło, a w kominku jaśniał niczym płomień bukiet żółtych kwiatów, bo prawdziwy ogień wydawał się o tej porze roku nie do zniesienia.

Nie były to prawdziwe angielskie święta; nigdy nie padał śnieg, a słońce świeciło zbyt mocno, ale według Clarissy chodziło o atmosferę. Pani Fawcett troskliwie przechowywała z roku na rok, trudne do zdobycia w Brazylii szyszki sosnowe i starannie pokrywała je złotą farbą. Isobel i Eleanor pomagały jej, klóćąc się zawzięcie, która ma wiązać kokardy przy pomarańczowych lampionach, a która rozmieszczać gałązki cynamonu po całym domu. W każdym kącie zwieszały się suszone kwiaty i zioła, nad każdymi drzwiami przyczepiono jemiolę. Clarissa osobiście przyrządzała pudding śliwkowy kilka tygodni wcześniej, żeby zdążył odstać się w spizarni.

Maria i Adelia piekły ciasta i ciasteczka, które Eleanor lukrowała na zielono i czerwono, a potem dumna z siebie eksponowała na stolyczku w bibliotece.

Isobel i Clarissa szykowały paczuszki pełne orzechów, przypraw i najrozmaitszych smakołyków, symboliczne upominki dla nieoczekiwanych gości, którzy wpadną do Fawcettów między gwiazdką a Nowym Rokiem. Krzątały się po kuchni, gromadząc słoiczki korzennych wonności, keksy, marynowane jajka przepiórcze i naczynka z pikantnym sosem.

Charles natomiast eksperymentował przy barku, gdzie komponował nowe, niepokojąco mocne wersje ajerkoniaku i ponczu. Ponieważ nalegał, by wszyscy kosztowali drinków jego pomysłu, domownicy stale chodzili na lekkim rauszu.

Gwiazdkowe prezenty piętrzyły się pod choinką, przyciągały wzrok wesołymi kolorami opakowań, rozjaśniały ponurą zazwyczaj bibliotekę. Samo drzewko ustrojono dziesiątkami czerwonych kokardek, białymi suszonymi kwiatami, przezroczystymi szklanymi bombkami, w których odbijało się słońce, i misternej roboty zabaweczkami z aksamitu i brokatu. Na każdej gałązce płonęła mała biała świeczka. Co wieczór wszyscy domownicy zbierali się w bibliotece, przekonując się nawzajem, że nigdy nie widzieli piękniejszej choinki.

Od Johna nadal nie było wieści.

W Wigilię Bożego Narodzenia Fawcettowie tradycyjnie już wydawali przyjęcie. Nic wielkiego, jakieś czterdzieści osób. Owi bliscy przyjaciele wpadali na szampana i tartinki, mające zastąpić brytyjski keks i wino owocowe. Należy dostosować się do klimatu, twierdziła Clarissa. Goście krążyli między biblioteką, holem i salonem. Kobiety nosiły eleganckie suknie koktajlowe, mężczyźni – ciemne garnitury. Gawędzili, plotkowali, żartowali, pili i jedli zbyt dużo, jednym słowem – dobrze się bawili. Zadowolone głosy rozbrzmiewały w całym domu. Maria i Adelia roznosiły tace z kanapkami, w czym pomagała im Eleanor. Honório i Fernando serwowali drinki.

Isobel promieniała, dumna z nowej sukni, którą wyblągała płaczami i dąsami. Louis zachowywał się szarmancko, jak to tylko on potrafił. Henry z uprzejmym uśmiechem słuchał nie kończącej się opowieści starszej damy o jej ostatniej podróży do Europy. Co jakiś czas zerkał ukradkiem na Eleanor. Uśmiechnęła się współczująco, zanim zniknęła w ciżbie gości. Przez chwilę widział jeszcze fragment białej sukienki, potem tłum zasłonił ją całkiem.

Charles Fawcett nie odchodził od barku w holu. Rozmawiał z *senhorem* Arreasem de Botelho, ojcem Henry'ego, a zarazem jednym z najlepszych prawników w Rio. Oczywiście, dyskutowali o polityce. W Brazylii wszystkie rozmowy w końcu sprowadzały się do tego tematu. Charles miał właśnie ponowić atak na starego przyjaciela, kiedy usłyszał za sobą jakiś

hałas. Widział, jak oczy jego rozmówcy rozszerzają się ze zdumienia, choć twarz pozostała nieruchoma. Cały hol obiegło osłupiałe westchnienie. Charles odwrócił się, zaciskając pięści. Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc.

W drzwiach stał John, nie ogolony, zmęczony, z oczyma nabiegłymi krwią. Miał na sobie podarte dżinsy i koszulę rozpiętą pod szyją. W jednej ręce trzymał torbę. Ale to dziewczyna, którą obejmował drugim ramieniem, stanowiła powód ogólnego zainteresowania.

Teresa tkwiła bez ruchu. Widziała zwrócone w swoją stronę twarze, twarze o szeroko otwartych oczach i mocno zaciśniętych ustach. Od razu zorientowała się, że ubrała się niewłaściwie. Całkowicie, upokarzająco niewłaściwie, począwszy od mikroskopijnego kapelusika cudem trzymającego się nad lewym uchem, poprzez obcisłą sukienkę z satyny o barwie płomienia, aż po czerwone pantofelki na szaleńczo wysokich obcasach, które jeszcze kilka minut temu tak jej się podobały. Na przyjęciu najwidoczniej obowiązywały stonowane kolory. Czerwień żadnej kreacji nie była tak jaskrawa jak barwa jej sukienki. Teresa nie zauważyła też błyszczących materiałów, wysokich obcasów ani kapeluszy. Goście przyglądali się jej jeszcze przez chwilę, mgnienie oka, by niemal natychmiast wrócić do przerwanych rozmów.

Chciała uciec, ale John mocno ścisnął ją za rękę, nie pozwalając odejść. Wtedy zobaczyła śpieszącą do nich dziewczynę. Była to wysoka, szczupła blondynka w prostej białej sukience. Uśmiechnęła się ciepło, zatrzymując się przed nowo przybyłą. Teraz przynajmniej ciekawscy mieli zasłonięty widok. Teresa otworzyła usta ze zdumienia.

Jeszcze nigdy nie widziała dziewczyny równie jasnej, wdzięcznej i delikatnej, prawdziwej młodej damy. Nieznajoma wyciągnęła rękę, garbiąc się lekko, zupełnie jak John. Jej oczy uśmiechały się, ale nie wyrażał tego żaden ruch, tylko silne wewnętrzne światło, blask, który dodawał im ciepła. John w końcu puścił ją i Teresa nieśmiało uścisnęła dłoń dziewczyny.

– Cześć, jestem Eleanor. Bardzo się cieszę, że wpadliście na nasze bożonarodzeniowe przyjęcie. Nie wiedzieliśmy, czy John się zjawi – miała niski, przyjemny głos.

Teresa musiała przełknąć ślinę, zanim spróbowała cokolwiek powiedzieć.

– Jestem Teresa. Czy jesteś siostrą Johna?

Zaskoczenie w twarzy dziewczyny wystarczyło jej za odpowiedź. Kolejny błąd. Jęknęła bezgłośnie. Wiedziała, że nie ma tu czego szukać. Och, czemu John nie opowiedział więcej o swojej rodzinie? Dlaczego nie nauczył dobrych manier, które jemu i ludziom z jego sfery przychodziły z taką łatwością? Kiedy zaprezentowała mu nowy strój, nabyty za wszystkie oszczędności, zapewniał, że wygląda pięknie. Teraz już wiedziała, co oznaczał lekki uśmiezek. Widocznie bawiła go myśl o jej upokorzeniu.

Eleanor wyczuła zawstydenie i gniew dziewczyny. Ogarnęła ją fala współczucia. Jak John mógł pozwolić tej Teresie przyjść tu w takim stroju? Gdzie ją poderwał? On jest doprawdy okropny!

– Jestem kuzynką Johna. To dom mojego ojca, Charlesa Fawcetta, jego wuja. Wejdźcie, proszę. Pewnie macie za sobą długą drogę – zerknęła na torbę Johna. – Może najpierw pójdziecie na górę się odświeżyć? John, twoja sypialnia jest gotowa. Znajdziesz tam też wyprasowany garnitur, jeśli zechcesz się do nas przyłączyć.

Kiedy zwracała się do kuzyna, mówiła tonem zimnym, obojętnym. W odpowiedzi szybko skinął głową i popatrzył na zebranych gości.

Więc tak miało wyglądać ich powitanie! Po tym wszystkim, do czego między nimi doszło. Nic nie szkodzi, tak będzie najlepiej. Eleanor z trudem przełknęła ślinę przez ściśnięte bólem gardło.

– Chodźmy, Tereso. John sobie poradzi. Pójdziemy na górę razem, dobrze? – poprowadziła ją przez hol przesiąknięty aromatem cygar i eleganckich perfum. Cały czas paplała głupstwa, byle tylko odwrócić uwagę dziewczyny od krępującej sytuacji. W końcu dotarły do sypialni. Eleanor z ulgą zamknęła drzwi, które stłumiły dobiegające z dołu wybuchy śmiechu.

Teresa jeszcze nigdy nie widziała takiego pokoju. Owszem, pozostałe pomieszczenia wyglądały imponująco, przytłaczały przepychem, ale tu... Czegóż by nie oddała za taki pokój? Za uroczą sypialnię, której ściany pokrywała pastelowa tapeta w niebieskie i zielone kwiaty, ptaki i chińskie pagody, mająca idealnie ten sam odcień co zasłony w oknach i rozciągnięty na deskach podłogi dywanik. Jak cudownie byłoby mieć to zgrabne, małe biurczko i krzesło, i duże drewniane łóżko z miękkim materacem, stertą poduszek i baldachimem, ze śnieżnobiałymi muślinowymi zasłonkami upiętymi po bokach. Spojrzała w kąt, gdzie na komodzie siedziały lalki i prawie łysy, pozbawiony uszu pluszowy miś. Poczowała ukłucie bólu. Teresa potrafiła docenić piękno. Jeszcze w Salvadorze często zatrzymywała się przed wystawami najdroższych sklepów. Nigdy jednak nie widziała czegoś, co mogłoby równać się z tym pokojem, mieszną dobrobytu i przytulności. To tego brakowało jej w dzieciństwie.

Podeszła do toaletki. Uniosła ciężkie srebrne lusterko, delikatnie pogłaskała kciukiem misternie zdobioną oprawę. Eleanor obserwowała gościa w milczeniu.

– Tereso, może odświeżysz się w łazience i przebierzesz? – zapytała, tocząc wewnętrzną walkę. Może uda się to mądrze rozegrać; zabawi się w dobrą wróżkę i doprowadzi dziewczynę do przyzwoitego wyglądu. Złagodzi, chociaż częściowo, gniew, który widziała w oczach ojca i niesmak w oczach matki. Któraś z sukienek Isobel na pewno będzie pasować.

– Och, hm... ja nie miałam nic innego. Ja... My nie wiedzieliśmy, że zaprosiliście dziś gości – skłamała Teresa. John uprzedzał ją, że mogą trafić w sam środek zabawy, bo wigilijne przyjęcie należało w domu Fawcettów do tradycji. To właśnie dlatego kupiła sobie nową sukienkę, pantofle i kapelusz. Nagłym ruchem ściągnęła go z głowy i zmęła w rękę.

Eleanor uniosła dłonie, jakby chciała powiedzieć: „nie, nie rób tego, nie martw się, poradzimy sobie ze wszystkim”. Widziała zakłopotanie dziewczyny. Współczuła jej z całego serca.

– Zaraz wrócę. Usiądź i poczekaj. Wiem, co włożysz. Wybiegła, by pojawić się ponownie chwilę później. Przyniosła sukienkę, którą Isobel miała na sobie podczas zeszłorocznego przyjęcia i której nie włożyła nigdy więcej, uważając ją za starą i niemodną.

Eleanor podniosła strój do światła; była to skromna, elegancka sukienka z zielonego jedwabiu, z krótkimi rękawkami wiązany na satynowe tasiemki.

Teresa przecząco potrząsnęła głową.

– Och, nie... Nie mogę!

Naprawdę znaczyło to, że nie chce. Nikt nie będzie traktował jej z góry i z łaski pożyczal starych łańców. Przecież to nie jest sukienka dla niej! Tak ubrana wtopi się w tło, a wtedy ta blond piękność będzie błyszczeć jeszcze bardziej! Zmarszczyła brwi. Najwyraźniej panienka jest sprytniejsza, niż się wydaje. Na pewno chcą ją, Teresę, załatwić, w stylu *fin a gente*. Zakpić z niej, tak jak zrobił to John. Przez chwilę chciało jej się płakać; gwałtownym gestem otarła łzy.

– Ależ Tereso, proszę. Zapewniam cię, że będziesz świetnie wyglądała. Choć teraz też prezentujesz się bardzo ładnie, nie są to rzeczy odpowiednie na przyjęcie, prawda? Więc przymierz tę sukienkę. Tylko przymierz. Jeśli ci się nie spodoba, zaraz ją zdejmiesz, dobrze? – starała się złagodzić jej cierpienie, pomóc zapomnieć o bólu. Przeklinała Johna. Arogancki, samolubny, okrutny. Nie mogła wymyślić więcej obelg. Zaciśnęła zęby.

Teresa nie wiedziała, jak odmówić, więc naburmuszona, wzięła sukienkę z rąk Eleanor i czekała, aż ta wyjdzie. Eleanor, przyzwyczajonej do korzystania ze wspólnej szatni szkolnej, nie przyszło do głowy, że dziewczyna może czuć się skrępowana. Kiedy po dłuższej chwili zdała sobie sprawę z popełnionej gafy, Teresa już mocowała się z suwakiem. Eleanor przeprosiła i wymknęła się z pokoju.

Wpadła prosto na Johna. Zdążył się już ogolić i przebrać. Teraz wyglądał jak wszyscy inni młodzi mężczyźni obecni na przyjęciu. Jest jak kameleon, to dla niego tylko zabawa, przemknęło Eleanor przez głowę. Tylko że nie on za to płaci, lecz tamta biedna dziewczyna rozpaczliwie usiłująca mu dorównać. Potrząsnęła głową z dezaprobatą.

– Wesołych świąt, Eleanor – z uśmiechem pochylił się, by pocałować ją w policzek, ale wyrwała się. Nie zwrócił na to uwagi. – Schodzisz na dół? Mam dla ciebie prezent. Chyba ci się spodoba. Kupiłem go w Bahii. Tam na północy jest zupełnie inaczej. Świetnie się bawiłem i na dodatek zarobiłem trochę pieniędzy. Niedużo, ale wystarczyło na prezenty gwiazdkowe, a nawet jeszcze trochę mi zostało. Powinnaś zobaczyć Salvador. To fascynujące miasto. Jeśli zechcesz, zabiorę cię tam pewnego dnia.

Zdawał się nie zauważać wściekłości w oczach kuzynki. Beztróska paplał o tym, co widział, gdzie był. To mówił inny, obcy człowiek, a nie John, który potrafił czytać w jej myślach. Eleanor odpowiedziała krótko i oschle. Czowała, że cała sztywnieje.

Ani słowem nie wspomniał Teresy i choćby dlatego nie mogła mu wybaczyć. W końcu sama poruszyła ten temat.

– Czy to tam poznałeś Teresę? W Bahii? Zmrużył oczy, spoważniał.

– Tak. A właściwie, gdzie ona jest?

– W moim pokoju. Przebiera się. Miło, że w końcu o nią pytasz. Powiedz, nie przyszło ci do głowy, że będzie tu wyglądała nieco... dziwnie? Czy też jest to swoisty przejaw twojego poczucia humoru?

Dostrzegła błysk złości w oczach Johna, choć jego twarz zachowała beztróski wyraz.

– Nie bądź głupia, Eleanor! – jej oskarżenia zirytowały go. – Wydała całe oszczędności na ten strój, specjalnie na dzisiaj. Jak mogłem jej powiedzieć, że jest nieodpowiedni? Miałem nadzieję, że sama tego nie zauważy. Do diabła z tym, co mówią plotkarze! Skąd, u licha,

przyszło ci do głowy, że chciałem ją upokorzyć? A może szanowny papa znowu nad tobą pracował? – pochylił się nad nią, lekko przekrzywiając głowę.

– Chyba zapominasz, pod czyj dach sprowadziłeś swoją... przyjaciółkę. Współczuję zarówno jej, jak i moim rodzicom. Czego nie raczyłeś zauważyć, najedli się wstydu w obecności ludzi, na których im zależy. Więc nie oczekuj, że wzruszy mnie twoja sytuacja. Zresztą nie widzę ku temu powodu. Zawsze robisz to, na co masz ochotę i niech szlag trafi cały świat! Do cholery z ich uczuciami... do cholery z moimi! Idź już na dół, John, i pokaż, że na nich gwizdziesz. Ja zajrzę do Teresy – odwróciła się na pięcie i podeszła do drzwi swego pokoju.

Szarpnął ją za ramię.

– Więc o to ci chodzi? Uważasz, że mi na tobie nie zależy? – szukał jej wzroku, ale uparcie odwracała głowę. – Eleanor, to z twojego powodu musiałem odejść. Powinnaś to rozumieć.

Dlaczego, zastanawiała się, dlaczego mam to rozumieć? Nie dopuścił jej jednak do głosu.

– Musiałem odejść, bo nie mógłbym... – przerwał, szukając odpowiednich słów. – Bo przebywanie z tobą przez dłuższy czas pod jednym dachem jest zbyt trudne. Choć na to już nie wyglądasz, nadal jesteś dzieckiem. A ja nie mogę panować nad sobą przez cały czas.

Więc wyjechałem na północ, gdzie miło spędzałem czas, zwłaszcza odkąd poznałem Teresę. To zupełnie naturalne w moim wieku, chyba o tym wiesz. Zabrałem ją ze sobą, bo ją lubię i uważam, że przynajmniej tyle jestem jej winien. Chciała się stamtąd wyrwać, wyjechać z Salvadoru, a ja byłem jej jedyną szansą. Pomagała mi tam, teraz ja pomogę jej tutaj. Znajdę dla niej pracę, pomogę się urządzić. I to wszystko. Kiedy już stanie na własnych nogach, usunę się z jej życia. To tylko... układ, jeśli można tak powiedzieć, który odpowiada nam obojemu. Zapewniam cię, nikomu, powtarzam: nikomu nie stanie się krzywda.

Zaskoczył go gorzki, złośliwy śmiech Eleanor.

– Nikomu oprócz Teresy, jeśli nadal będziesz ją przedstawiał ludziom, którzy jej nie akceptują ani, szczerze mówiąc, nie chcą poznać. Wiem, że mówię jak snobka, ale naprawdę nie o to mi chodzi. Sprawileś jej wielką przykrość. Czy naprawdę nie zauważyłeś, jak bardzo była dotknięta? Myśli, że jej upokorzenie sprawiło ci przyjemność. Przeprowadziłeś ją tutaj, gdzie nikogo nie zna, gdzie nie wie, jak się zachować i nie potrafi dać sobie rady. Ci ludzie nigdy nie zaakceptują jej i ty dobrze o tym wiesz. Dlaczego to zrobiłeś?

Wyczuwała jego gniew. Był zły na siebie i na nią za to, że wytknęła mu brak delikatności. Przestał się uśmiechać, nie cieszył się już z powrotu do domu. Nerwowym ruchem odrzucił włosy z czoła. Stał się jeszcze bardziej obcy, nieosiągalny.

– Nie przypuszczałem, że Teresa cokolwiek zauważy. Więc dobrze, to nie był najlepszy pomysł. Postąpiłem głupio i bezmyślnie. Przepraszam. Będę ją trzymał z dala od twoich rodziców. Ale uwierz mi, nie chciałem jej zranić. Od dawna błagała, żebym ją przedstawił swojej rodzinie.

Był zmęczony, zagubiony, jakby to jego spotkała wielka przykrość. Eleanor potrząsnęła głową.

– Idź przeprosić papę. Nie denerwuj go, John, bo to się źle skończy. Wyrzuci cię z domu i

to tym razem na dobre. Ja zajmę się Teresą. Powiedz mi, czy ona zamierza kontynuować... co właściwie chce tu robić? – starannie omijała nazwanie profesji Teresy po imieniu. A może John w ogóle nie wiedział? Może ona sama też nie powinna się domyślać, choć trudno się spodziewać, że mieszkając w Rio można zachować nieświadomość w takich kwestiach. Zresztą o czym, według dorosłych, rozmawiają uczennice klasztornych szkół?

– Pomyślałem, że mogłaby spróbować sił jako modelka. Louis na pewno ma jakieś znajomości. Przecież obraca się w światku artystycznym. Nie wiem, zobaczę.

Nie chciał więcej o tym rozmawiać. Miał dość. Najchętniej wręczyłby Teresie trochę pieniędzy i wyrzucił ją za drzwi, ale nie mógł tak postąpić. Niepewność, zaufanie i wiara, że jej pomoże, nie pozwalały mu na postępowanie, które mogłoby dziewczynę zranić. Westchnął i odszedł.

Eleanor zastała Teresę przed lustrem. Przyglądała się swojemu odbiciu z zadowoloną, ba, tryumfalną miną. Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, odwróciła się zakłopotana.

– Jak to wygląda? Jest trochę za luźna, ale... – wzruszyła ramionami. Nie dokończyła. Eleanor wpatrywała się w nią przez długą chwilę.

– Ależ Tereso, wyglądasz wspaniale! Ta sukienka nie leżała na mojej siostrze nawet w połowie tak dobrze! Och, poczekaj tylko, aż John cię zobaczy!

Na chwilę zapomniała, że wcale nie chce, by kuzyn nadal się z tą dziewczyną widywał. Była zachwycona jej wyglądem. Zniknęła gdzieś tandetna elegancja. Przed lustrem stała zupełnie inna osoba, po dawnej Teresie nie został żaden ślad. Bose stopy dodawały jej egzotyki, nie ujmując wdzięku. Była piękna. Eleanor pomyślała z żalem, że jej nigdy nie uda się osiągnąć takiego efektu.

– Upniemy ci włosy, o tak, w ciasny kok, a na szyję... może to? Złoto pasuje do zielonego – podała gościowi prosty, ale gruby łańcuszek i dobrane do niego kolczyki, które dostała od ojca na urodziny. Teresie rozbłyły oczy. Podekscytowane dziewczyny pochyliły się nad szafką z butami, by znaleźć coś odpowiedniego. Obie miały stopy dużo większe niż Isobel.

Kiedy Eleanor dowiedziała się, że Teresa nie ma nazwiska, stanowczo pokręciła głową.

– Tak nie może być. Wszyscy oczekują, że przedstawię cię pełnym imieniem i nazwiskiem. Zresztą jeśli chcesz zostać modelką, musisz się jakoś nazywać. Wymyśl coś. No, dalej.

– No, nie wiem. Może Lopes? Co ty na to? – powiedziała niepewnie. Eleanor wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Jeśli przyjdzie ci do głowy lepszy pomysł, zawsze możesz je zmienić. Teraz, w każdym razie, nazywasz się Teresa Lopes. Tak, to brzmi nieźle.

Transformacja dobiegła końca. Upięte w kok włosy odsłaniały piękną twarz, uwydatniały wysokie kości policzkowe i smukłą szyję. Sukienka podkreślała doskonałą figurę. Złoto połyskiwało ciepło na czekoladowej skórze. Teresa wyglądała jak jedna z eleganckich modelek, z wdziękiem paradujących po wybiegach w najlepszych domach mody w Rio. Eleanor wydała się samej sobie pospolita i brzydka.

Kiedy razem schodziły na dół, przyciągały liczne spojrzenia, ale o zgoła innym wyrazie niż zaledwie godzinę wcześniej. Większość gości nie zorientowała się, że to ta sama

dziewczyna. W ich oczach malował się zachwyt lub zazdrość, w zależności od płci obserwatora. Ci, którzy rozpoznali towarzyszkę Johna, parskali z dezaprobatą, jednak bez kpiny. Teresa była zbyt piękna, by z niej drwić. Isobel z wściekłością wpatrywała się w zieloną sukienkę, szepcząc coś do dwóch dziewcząt, sióstr Louisa. Eleanor zignorowała ją. Poprowadziła Teresę prosto do Clarissy.

– Mamo, to znajoma Johna, Teresa Lopes. Niedawno przyjechała z Salvadoru. Chciałaby pracować w Rio. Tereso, to moja mama, *senhora* Fawcett. Mama ma znajomości w wielu domach mody, prawda, mamo? Teresa pragnie zostać modelką. Czy mogłabyś ją przedstawić komu trzeba? – Eleanor było przykro, że wywiera nacisk. Ktoś jednak musi pomóc tej dziewczynie, a John najwyraźniej nie wybiega myślami w przyszłość dalej niż na najbliższe dziesięć minut. Posłała matce błagalne spojrzenie, prosząc o zachowanie spokoju.

Clarissa stanęła na wysokości zadania. Skinęła głową i wyciągnęła rękę.

– Witaj, Tereso. Więc chcesz zostać modelką? Cóż, myślę że mogłabym wspomnieć o tobie paru osobom. Ze względu na twoją przyjaźń z Johnem. Może omówimy to później? – uśmiechnęła się. Jej mina w najmniejszym stopniu nie zdradzała zakłopotania i niesmaku. Przeniosła wzrok na córkę. – Kochanie, przedstaw Teresę twoim przyjaciółom, dobrze? Ja muszę zająć się przekąskami.

Odeszła. Eleanor była pełna podziwu dla opanowania matki. Ani śladu niezadowolenia czy dezaprobaty.

Północny akcent Teresy nasilał się wraz ze zdenerwowaniem.

– Twoja mama jest taka miła, po prostu czarująca. Myślisz, że przedstawi mnie komuś z domu mody? Jestem gotowa pracować bardzo ciężko, zrobię wszystko, co mi każą, naprawdę. To moje największe marzenie, być modelką i mieszkać w Rio de Janeiro. Nic nie może się z tym równać. Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa.

Eleanor uśmiechnęła się. Cóż to za miła, prostolinijna dziewczyna, pomyślała. Prawie naiwna. Było w niej coś urzekającego. Teraz zrozumiała, dlaczego John się z nią związał.

I wtedy Teresa zrobiła taką minę, jakby zapomniała, o czym przed chwilą mówiły; rozchyliła usta, zapatrzona w kogoś za plecami Eleanor. Wyglądało na to, że coś, lub ktoś, mógł równać się z jej marzeniem. Eleanor odwróciła się. Za nią stał szeroko uśmiechnięty Louis z dwoma kieliszkami szampana. Westchnęła.

– Zdaje się, że nie macie nic do picia. Proszę, Eleanor, a to dla ciebie, moja droga. Zdaje się, że nie dosłyszałem twojego nazwiska? Jestem Louis Preston, przyjaciel Johna.

Ostatnie zdanie sugerowało, skonstatowała ze złością Eleanor że dobrzy przyjaciele dzielą się wszystkim. Wszystkim, ale nie Teresą, Louis zapamiętaj to sobie.

– Teresa Lopes – wyszeptała oszołomiona młodym mężczyzną Z uśmiechem przytknęła kieliszek do ust. Z trudem opanowała grymas kiedy poczuła kwaśny smak szampana. Pochyliła głowę i posłała Louisowi zalotne spojrzenie spod trzepoczących rzęs. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Eleanor rozpaczliwie szukała wzrokiem Johna, ale to Henry pochwycił jej spojrzenie i pośpieszył na ratunek. Odetchnęła z ulgą, kiedy przedstawiała go Teresie. Sama zaś ujęła protestującego Louisa pod rękę i zaprowadziła do kąta, gdzie dąsała się Isobel.



John ukrył się na tarasie za biblioteką. Przeprósł już Charlesa. Na szczęście znalazł go wśród grupki gości, więc nie doszło do awantury. Teraz celowo uciekł przed gwarem przyjęcia. Boże, jak ci ludzie go nudzili! Oparł nogi na balustradzie, poprawił się na krześle i opróżnił szklanekę whisky. To z zapasów wuja. Alkohol palił w przelyk, rozgrzewał, rozpędzał chmury.

W Salvadorze wszystko było inaczej. Ciężko pracował i cieszył się drobnymi przyjemnościami: dobrym posiłkiem, butelką wina, Teresą. Tam akceptowano go dla niego samego. Nikogo nie obchodziło, w jakim środowisku się obraca, ile ma pieniędzy, gdzie się ubiera, jakim samochodem jeździ. Teresa go uwielbiała, a on rozkoszował się jej podziwem. Tutaj sytuacja przedstawiała się inaczej. Bez względu na to, co zrobił, wuj nigdy nie był z niego zadowolony. Przyjaciele ulegali presji środowiska, które stanowiło najwyższą wyrocznię. Nawet Eleanor potępiła go, bo miał czelność” zadawać się z ludźmi z niższej klasy.

Był przekonany, że właśnie dlatego tak się wściekła. Udawała, że obchodzi ją los biednej, nieszczęśliwej Teresy. Zbierało mu się na mdłości, kiedy o tym myślał.

Odrzucił głowę do tyłu, by popatrzeć w niebo. Próbował odnaleźć znane sobie konstelacje. Tam to Wielki Wóz, a niżej, to musi być Mały Wóz. Tuż obok Kasjopeja, Andromeda i trochę wyżej Perseusz. Nie pamiętał innych nazw. To Nick znał się na gwiazdach, tylko że wtedy bawili się w astronomów na północnej półkuli. Pamiętał, jak nocami wymykali się na dach, żeby obserwować migające na nieboskłonie światelka.

Poczuł ukłucie bólu. Przez chwilę zatęsknił za prostą, nieskomplikowaną przyjaźnią z Nickiem. Któż inny widywał Johna w rozpacz, złości, gniewie i potrafił żartem poprawić mu humor? Tylko Nick... i Eleanor.

Odepchnął tę myśl. Elly była na niego zła i zgorziona tym, co zrobił. Jej niesmak zepsuł mu radość z tych trzech miesięcy w Salvadorze. Wcześniej wydawało mu się, że postępował słusznie. Żył na własny rachunek, nie prosił krewnych o nic. Wystarczyło jednak kilka słów, by zaczął swoje zachowanie postrzegać jako egoistyczne uzalanie się nad sobą. I wykorzystywanie innych. Może miała rację? Żałował, że nie może poznać zdania Nicka na ten temat. Ponownie zapatrzył się w niebo.

– Eleanor, jak mogłaś! Tak po prostu dałaś moją sukienkę tej szmacie, którą przyprowadził John? Powinnaś mi za nią zapłacić. Przecież już nigdy jej nie włożę! To bardzo wielkoduszny gest, moja droga, ale dlaczego nie ofiarowałaś Teresie własnych ciuchów? – Isobel pluła jadem.

– Na Boga, Isobel, przecież musiałam jej coś pożyczyć, a nic z moich rzeczy by na nią nie pasowało. Jest dużo niższa ode mnie. Poza tym ma moje buty i biżuterię, więc i tak to nie ty ucierpiałaś najbardziej. Zresztą to miła dziewczyna. Polubiłabyś ją, gdybyś z nią porozmawiała. Louis, wytłumacz jej! – Eleanor szukała pomocy u naburmuszonego mężczyzny. Ostatnie czego mi trzeba, to awantura i Isobel domagająca się natychmiastowego zwrotu sukienki! Tylko na Henrym można polegać, pomyślała z rozpaczą. Johna nigdzie nie było widać.

Louis wzruszył ramionami.

– Wcale nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zdjęła tę sukienkę tu i teraz. Z całą pewnością byłby to interesujący widok. Ależ cwaniak z naszego Johna, co? Nie wspomniał o niej ani słowem, choć dostałem od niego kilka listów. A gdzie on właściwie jest? Muszę z nim porozmawiać.

– O nie! Nie musisz! – Isobel złapała go za ramię. – Właściwie, Louis, to ja muszę z *tobą* porozmawiać – ukłuła go palcem w pierś. – I to o kilku sprawach. Eleanor, idź i powiedz tej... tej kreaturze, że jeśli zabrudzi moje rzeczy, własnoręcznie wyrzucę ją za drzwi. Co zresztą należało od razu uczynić!

Eleanor zostawiła ich i z ulgą ruszyła ku bibliotece. Być może John tam się schował. Chciała zamienić z nim kilka słów na osobności. Znalazła go na tarasie, wpatzonego w gwiazdy.

– Cześć – odezwała się.

– Cześć.

Przez dłuższą chwilę nie mówili nic więcej.

– Mężczyźni oszaleli dla Teresy. Lepiej uważaj na Louisa. Chłopak zachnął się słysząc te słowa.

– Louisa interesują wszystkie wolne kobiety, nie gardzi też mężatkami. Uwierz mi, Teresa da sobie radę. Z kim ją zostawiłaś? – dodał, jakby nie do końca wierzył w to, co mówi.

– Z Henrym.

– W takim razie jest bezpieczna. Dobry stary Henry nie śmiałby jej dotknąć – zażartował, co nie spodobało się Eleanor.

– To, że Henry jest stały w uczuciach, czego nie można powiedzieć ani o Louisie, ani, najwyraźniej, o tobie, nie znaczy wcale, że jest niedołągą! Zapewniam cię!

– Czyżby? Naprawdę? A w jaki sposób zechcesz mi to udowodnić? Zakładam, że przemawia przez ciebie osobiste doświadczenie? – mówił teraz półgłosem, patrząc na kuzynkę kątem oka. Nadal kpił.

– To nie twoja sprawa. Nie pytam cię o szczegóły twojego związku z Teresą, prawda? Chcę tylko powiedzieć, że Henry jest wart o wiele więcej, niż się tobie i Louisowi wydaje. Żaden z was nie potrafi się odnosić do kobiet równie troskliwie i szarmancko. Zapewniam cię, że – Teresa jest w dobrych rękach. Louis tymczasem oddałby dużo, żeby znaleźć się na twoim miejscu, czy raczej – w twoim łóżku! – warknęła.

John zerwał się na równe nogi. Krzesło kołysało się przez chwilę, zanim z hukiem upadło na kamienną posadzkę.

– Co dokładnie masz na myśli, Eleanor? Czyżby Henry w końcu zdobył twoje serce? O to chodzi? A może jesteś zazdrosna o Teresę? – uśmiechnął się kpiąco. – Owszem, lubię ją, ale nie obchodzą mnie jej decyzje. Jeśli chce się wiązać z Louisem, proszę bardzo, nie moja sprawa. I nie twoja. To dotyczy wyłącznie Teresy, nie nas. Więc nie mówmy już o niej. Ty natomiast... – przyciągnął ją do siebie. – Ty mnie obchodzisz, i to bardzo, zatem jeśli kochany Henry zalecał się do ciebie, zaraz mu pokażę, jak bardzo mi na tobie zależy. Więc zalecał się czy nie? – w jego cichym głosie nie było śladu wesołości; był śmiertelnie poważny.

Potrząsnęła głową.

– Nie wygłupiaj się. Jedyńm mężczyzną, który posunął się ze mną dalej niż do niewinnego pocałunku w policzek, byłeś ty. Jak śmiesz zachowywać się niczym surowy ojciec, kiedy chodzi o Henry’ego! To ty jesteś rozpustnikiem, nie on! – prawie wypluła ostatnie słowa.

Pobladł pod opalenizną, kości policzkowe wyraźniej zarysowały mu się pod skórą. Potrzeba ucieczki, obawa przed zbyt intensywnym pragnieniem Eleanor... Nie, nie zrobił tego. Na pewno nie! Spojrzał na nią niepewnie, wytrącony z równowagi.

– Ja nie... O co ci chodzi? Kiedy ci coś... zrobiłem? Kiedy?

– Tej nocy kiedy wróciłeś z Anglii. Tej nocy zanim po prostu zniknąłeś na trzy miesiące z pierwszą lepszą... Najwyraźniej byłeś zbyt pijany, by cokolwiek zapamiętać. Zresztą to nie ma żadnego znaczenia, prawda? – była pełna niesmaku dla samej siebie, ale nie mogła się powstrzymać. Złość i ból, tłumione przez trzy miesiące, w końcu znalazły ujście. W dodatku John nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Nie zamartwiał się godzinami, dniami, tygodniami. A ona nadal o tym myślała.

– Do czego... do czego doszło między nami? Ja nie... ? – nie mógł skończyć zdania. Głos mu się załamał.

Dostrzegła jego przerażenie i przez chwilę zrobiło się jej go żal. Nie wiedział. Pociuszającym ruchem pogładziła Johna po ramieniu. Przytulił jej dłoń.

– Nie. Nie to. Ale... Och, zapomnijmy o tym! Nie potrafię o tym mówić. Wystarczająco upokarzające jest to, że niczego nie pamiętasz – jej głos opadł do szeptu. – Cóż, John, dzięki. Najwyraźniej jestem na twojej liście za Teresą. Ją przynajmniej kojarzysz, nawet jeśli, jak twierdzisz, nic cię nie obchodzi – wyrwała dłoń z jego uścisku. Odeszłyby, gdyby nie pogłaskał jej czule po twarzy, nie musnął palcami policzka. Zawahała się.

– Opowiedz mi – poprosił ochryple.

Kiedy skończyła, milczał przez kilka chwil. W głębi duszy wściekał się na samego siebie.

– Tak mi przykro, Eleanor. Mój Boże, czy nie rozumiesz, że to dlatego musiałem wyjechać? Bałem się właśnie czegoś takiego. Moja biedna dziewczynka, gryzłaś się tym przez cały czas, przekonana, że odszedłem z pierwszą lepszą kobietą... – przyciągnął kuzynkę do siebie i ukrył twarz w jej włosach. – Eleanor, jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Nigdy o tym nie zapominaj. Oprócz ciebie nie liczy się nikt inny.

Oparł się o balustradę, nie wypuszczając jej z ramion. Westchnęła głośno.

– Tylko że my nigdy nie będziemy razem, John. Nigdy. Jesteśmy kuzynami w pierwszej linii – znowu mówiła silnym, pewnym głosem, ale w jej głowie rozpaczliwie kołatało się jedno pytanie: „Dlaczego? Boże, dlaczego jesteśmy tak blisko spokrewnieni? Dlaczego? Dlaczego?”

– Wiem. To nie znaczy jednak, że nie możemy kochać siebie nawzajem bardziej niż kogokolwiek na świecie. Bo ty mnie kochasz najbardziej, prawda, Eleanor? – Tymi słowami zdradził strach, wiecznie czający się w sercu, potrzebę miłości, pragnienie, by przedkładała go nad ojca, nad Henry’ego. By także ona go potrzebowała.

Zrozumiała.

– Kocham cię tak jak wszystkich członków mojej rodziny... tylko trochę mocniej. Ale nie

wolno mi żywić do ciebie innych uczuć, John. Jesteś moim bratem. Wiesz o tym.

– Tak, ale i tak kochasz mnie najbardziej. To mi wystarczy – szepnął. W myśli dodał: „na razie”. Przytulił ją mocniej. Przywarła do niego z całej siły.

Tak objętych zastali Teresa i Henry. Szukali ich od dawna. Teresa chciała już iść, a Henry porozmawiać z Eleanor. Sprawdzili w salonie i bibliotece, gdzie musieli spędzić sporo czasu, bo zagadywano ich i wciągano do rozmowy. Długo więc trwało, zanim w końcu stanęli w otwartych drzwiach na taras. I tam ich zobaczyli, dwie splecione ze sobą postacie rzucające tylko jeden cień.

Henry na moment tylko stracił głowę. Niemal natychmiast wycofał się, ciągnąc Teresę za sobą. Ona jednak zdołała dostrzec nieruchome sylwetki w mroku. Ku własnemu zdumieniu, w pierwszej chwili nie czuła nic. Ale przecież wrażenie, że ją zdradzono, pojawiło się już dawno, w momencie gdy Teresa wkroczyła w progi tego domu. Obok niej Henry wiercił się niespokojnie; nie chciał podpatrywać. Po chwili wahania dziewczyna pozwoliła mu zaprowadzić się z powrotem do biblioteki.

Henry to mity młody człowiek, stwierdziła. Przystojny, dobrze wychowany i bardzo, bardzo sympatyczny. Nie знаła nikogo miłszego. Spojrzała mu w oczy. Były pełne bólu.

– Przestań o niej myśleć – rzuciła szorstko. – Ją i Johna coś łączy, i to od dawna. Wiedziałam o tym od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam ich razem. Ona złamie ci serce, Henry. Nie dopuść do tego.

Uśmiechnął się smutno i podał Teresie chusteczkę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płacze, a to tylko pogarszało całą sprawę. Chciała, nie, musiała stąd uciec.

– Jeśli chodzi o Johna, Eleanor jest bezradna. Między nimi nic nie było, nie wolno ci nawet tak myśleć. Jednak są sobie bardzo bliscy, byli od zawsze, od kiedy bawiliśmy się razem jako dzieci. Poza tym John uratował jej życie i, w pewnym sensie, Eleanor należy teraz do niego. – Henry próbował przekonać nie tylko Teresę, ale i samego siebie.

Otarła łzy.

– Nigdy mi o tym nie opowiadał. W ogóle nic nie mówił o rodzinie. Mieszkaliśmy razem przez prawie trzy miesiące, a ja właściwie nic o nim nie wiem. Co ty na to?

– To cały John. Nie potrafię ci wytłumaczyć motywów jego postępowania. Wiem tylko, co czuje Eleanor – wzruszył ramionami i uśmiechnął się blado.

Teresa zgodziła się z nim.

– Tak, to cały John. Słuchaj, Henry, czy znasz jakiś hotel, w którym mogłabym się zatrzymać? John nie będzie miał teraz dla mnie czasu, a ja jeszcze nie znam Rio. Jakiś mały, tani hotelik? – Ostatnie zdanie dodała na wszelki wypadek, gdyby przyszło mu do głowy polecać jej miejsce, które wybrałby dla kogoś ze swego środowiska. Zanim odpowiedział, zastanawiał się długo.

– Tak, chyba tak. Louis mi kiedyś wspominał o niedrogim pensjonacie, zresztą mogę ci pożyczyć trochę pieniędzy. A czy na pewno nie chcesz tu zostać? Zdawało mi się, że matka Eleanor obiecała spróbować załatwić ci pracę w domu mody?

– Akurat – zachnęła się Teresa – tylko tak mówiła, żebym przestała gadać i nie kompromitowała ich w środku przyjęcia. Chodź, chcę już iść – ujęła go pod ramię i

pociągnęła w stronę holu. Puszczając mimo uszu perswazje Henry'ego, by się jeszcze raz zastanowiła. Miała dość tego domu i jego mieszkańców.

– A dokąd to się wam tak spieszy? – Louis zagroził im drogę do drzwi.

– To nie twoja sprawa – oświadczył zdecydowanie Henry, ale młody człowiek nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Uśmiechał się do Teresy i oto Henry poczuł, że dziewczyna nie ścisła już kurczowo jego ramienia. Puściła je, zasłuchana w uwodzicielski, łagodny głos:

– Ależ Tereso, nie możesz tak po prostu odejść i zabrać ze sobą mego serca. Wyrwałaś je z mojej piersi w chwili, kiedy cię ujrzałem.

Była to kwiecista, szyta grubymi nićmi przemowa, ale Teresa jeszcze nigdy nie doświadczyła męskiej adoracji. W pierwszej chwili ze zdumienia zabrakło jej słów. W końcu bardzo zadowolona z siebie oznajmiła, że bynajmniej nie ma zamiaru zniknąć bez śladu. Wręcz przeciwnie, byłoby jej ogromnie miło, gdyby Louis zechciał jej pomóc w szukaniu noclegu. Nie, Henry nie musi się już fatygować. Louis się nią zaopiekuje.

Ten ostatni zaś puścił do przyjaciela oko, jakby chciał powiedzieć: „Trudno, stary. Miałeś pecha. Spróbuj ponownie za kilka lat”. Henry z trudem powstrzymał ochotę, by pięścią zetrzeć głupkowaty uśmiech z zadowolonej z siebie twarzy.

Odwrócił się i poszedł do biblioteki. Była dopiero jedenasta, a już padał z nóg ze zmęczenia. Zastanawiał się, do której potrwą przyjęcie.

Ciężkie, masywne drzwi zamknęły się za ostatnimi gośćmi grubo po północy. John poczuł wyrzuty sumienia, nie znalazłszy nigdzie Teresy. Już miał wyruszyć na dalsze poszukiwania, kiedy Henry dyskretnie wytłumaczył mu sytuację. Campos wzruszył ramionami. Prawdopodobnie Louis jest w stanie pomóc tej dziewczynie bardziej niż on. Podziękował Henry'emu i odwrócił się, tłumiąc ziewnięcie. Henry z obrzydzeniem potrząsnął głową. Grymas na jego twarzy w żadnym wypadku nie przypominał uśmiechu.

Eleanor była zła, że Teresa wpadła w sidła Louisa, a Isobel wściekała się, gdyż dziewczyna wyszła w jej sukience. Świąteczny wieczór nie miał więc szans na harmonijne zakończenie.

– Zabrała też twoje buty i biżuterię, panno Wielkoduszna. Już nigdy ich nie zobaczysz, zapewniam cię – piekliła się starsza z panien Fawcett.

Przez chwilę Eleanor czuła przemożną ochotę, żeby powiedzieć: „Tak, i Louisa też zabrała”, ale nie mogłaby sprawić siostrze takiej przykrości. Poza tym Isobel prawdopodobnie miała rację.

Eleanor odprowadziła Henry'ego do wyjścia i podziękowała mu za opiekę nad Teresą. Już miała zamknąć za nim drzwi, kiedy spojrzała na nią dziwnie i wzruszył ramionami.

– Cóż, byłaś tak zajęta gdzie indziej, że nie miałem innego wyjścia. Przykro mi tylko, że nie udało mi się powstrzymać Louisa. No ale z drugiej strony nie jestem typem, za którym szaleją dziewczęta, prawda? Wesołych świąt – pocałował ją w policzek i odszedł w ciemność, nawet się nie oglądając. Eleanor miała wrażenie, jakby zaniedbała ukochanego psa, który nagle odwrócił się i ugryzł. Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Wyrzucała sobie, że nie była

dla Henry'ego miłsza.

Następne dwa tygodnie okazały się trudne dla wszystkich. John starał się jak najrzadziej przebywać w domu: spotykał się ze starymi przyjaciółmi, chodził do restauracji i do kina. Charles wypłacił mu pewną sumę, nie precyzując, gdzie i na co siostrzeniec może wydać pieniądze. Bo też tak naprawdę wcale to wuja nie obchodziło. Liczyło się jedynie to, by John trzymał się z dala od domu, z dala od Eleanor.

Eleanor ze swej strony starała się nie spędzać z kuzynem zbyt wiele czasu, nie złościć ojca, nie zaniedbywać Henry'ego. Z uśmiechem kręciła przecząco głową, kiedy John namawiał ją na wspólny wypad do miasta. Nie, wykręcała się, niestety, już jest umówiona z kimś innym. Może później? Wzruszał ramionami i wychodził sam.

Isobel demonstrowała objawy złamanego serca, bo Louis odwiedzał ją nader rzadko, a ilekroć przychodził, był roztargniony i niecierpliwy. Plotki głosiły, że często widuje się z Teresą, której załatwił pracę modelki w jednym z mniej znanych domów mody. Isobel dąsała się i szlochała, ale młody człowiek nie chciał na ten temat rozmawiać i z takim utęsknieniem oczekiwał rozpoczęcia studiów, że Isobel podejrzewała, iż Teresa także jedzie do Sao Paulo. Była w tej sytuacji bezradna, ale postarała się, by przynajmniej nie być w domu jedyną osobą, która cierpi w owe dni radości i pokoju na ziemi.

Clarissa, jak zwykle, przykładała wszelkich starań, by życie domowe toczyło się gładko i bez tarć. Tłumiła kłótnie w zarodku i rozpieszczała Charlesa tak bardzo, że z trudem zbierał dosyć energii, by wykrzesać z siebie choćby gniewny pomruk.

Wesołych świąt, szepnęła do swego odbicia w lustrze, kiedy wigilijne przyjęcie dobiegało końca. Kąciki jej ust opadały ku dołowi, a oczy straciły dawny blask. Clarissa poczuła, że jest panią w średnim wieku.

## Rozdział dwunasty

Trzy lata studiów w Sao Paulo minęły bardzo szybko. Louis i John zajmowali wspólnie mieszkanie niedaleko uniwersytetu, ale poza domem widywali się rzadko. Już podczas pierwszego roku okazało się, że ich zainteresowania diametralnie się różnią.

Louis nie zrezygnował z bujnego życia towarzyskiego, regularnie uczęszczał na przyjęcia i do klubów nocnych, a mimo to udawało mu się zdawać wszystkie egzaminy. Czasem, kiedy wpadał do Rio, spotykał się z Teresą, jednak zdarzało się to coraz rzadziej. Oddalali się od siebie: ona robiła karierę modelki, on dążył do zapewnienia sobie dobrej posady u Charlesa Fawcetta. Dużo i często pisał do Isobel.

John, który podjął ostateczną decyzję w czasie pobytu w Salvadorze, studiował antropologię. Szczególnie zajmowały go problemy biedoty miejskiej. Z każdym dniem tracił złudzenia, coraz wyraźniej widział przepaść dzielącą bogatych i ubogich. Zaczaj brać udział w studenckich zebraniach, gdzie dyskutowano o polityce, reformach, sposobach zmniejszenia inflacji i postulowano wprowadzenie powszechnego nauczania. John wygłaszał mowy o konieczności przyspieszenia procesów demokratyzacji i socjalizacji, które zmieniły oblicze mocarstw Europy Zachodniej. Maszerował z transparentami, wymyślał hasła, agitował i buntował się. Rówieśnicy uważali go za urodzonego przywódcę, profesorowie za genialnego ucznia, władze uniwersytetu za niewygodnego studenta.

Chodził na demonstracje, przyjaźnił się z socjalistami, wśród których było także kilku ukrywających się komunistów, dużo pił, palił marihuanę i coraz rzadziej jeździł do Rio. W końcu przestał pisać do Eleanor.

Córki Charlesa Fawcetta również spędziły te lata bardzo pracowicie.

Po ukończeniu szkoły Isobel pracowała na pół etatu jako sekretarka w biurze Czerwonego Krzyża. Chodziła na niezliczone przyjęcia, flirtowała z każdym wolnym mężczyzną z Rio oraz kilkoma z innych miast i niepokoiła potencjalne teściowe, które drżały na myśl, że zjawi się w ich domu jako synowa. Ona jednak odrzucała wszystkie oświadczenia, więc starsze panie odzyskiwały utraconą równowagę. Kiedy Louis był na trzecim, ostatnim roku studiów, Isobel z zachwytem przyjęła od niego duży zaręczynowy pierścionek z brylantem. Natychmiast zajęła się kompletowaniem wyprawy. Ślub miał się odbyć w grudniu 1961, po uroczystości wręczenia dyplomów.

Eleanor uczyła się pilnie i ukończyła szkołę z dobrymi wynikami. Zdecydowała się na studia w Sao Paulo i ostrożnie wspomniała o tym kiedyś przy kolacji. Ojciec był przeciwny. Henry również. Obaj uważali, że tak długi pobyt poza domem nie wyjdzie dziewczynie na dobre. Henry opowiadał o zamieszkach, demonstracjach, aresztowaniach. Plastycznie odmalowywał brzydotę miasta, przekonywał, że będzie tam bardzo samotna – z dala od rodziny i przyjaciół. Eleanor puszczała to wszystko mimo uszu.

Nie chciała nudnej, bezpiecznej pracy, jaką miała Isobel. Nie pociągała jej myśl o dziesiątkach wielbicieli. W głębi duszy Eleanor nie wierzyła, by ktokolwiek kiedykolwiek się jej oświadczył. Młodych mężczyzn onieśmiałął zarówno jej wygląd, jak i umysł. Cóż, to nie

jej wina, że ma mózg, którym chce i potrafi się posługiwać, ani że jest wyższa niż większość znanych jej mężczyzn. To ich problem, nie jej. Poza tym nie interesowało jej małżeństwo.

Chciała wstąpić na uniwersytet Sao Paulo i studiować historię i literaturę. Pragnęła być tam gdzie John. Tymczasem zaczęła uczyć się francuskiego w Alliance Francaise, co cieszyło ojca, i pracować z biedakami co cieszyło ją. W przykościelnych szkółkach, prowadzonych przez Colégio Sagrado Coracao, uczyła ubogie kobiety czytania i pisanie. Kiedy Charles protestował, argumentowała, że to praca społeczna, dobroczynność. To samo przecież robi Isobel. Tak naprawdę zajęcia sióstr różniły się jak dzień i noc, oboje wiedzieli o tym doskonale. Eleanor jednak wygrała.

Henry studiował prawo. Za dwa lata miał rozpocząć pracę w kancelarii ojca. Ta myśl nie sprawiała mu wcale radości. Profesja prawnika, uświadomił sobie pewnego dnia, miała jednak i dobre strony. Będzie dużo zarabiał. Będzie w stanie wynająć mieszkanie, zaangażować się w politykę... i założyć rodzinę. Już wkrótce.

W ciągu ostatniego roku wyrósł i zmężniał. Był teraz eleganckim przystojnym mężczyzną. Za ironicznym uśmiechem i łagodnym spojrzeniem piwnych oczu krył się analityczny, błyskotliwy umysł. Henry poczuł się niemile zaskoczony, kiedy odkrył, że stał się obiektem spekulacji na małżeńskim rynku. Nie miał zamiaru łamać serc wszystkich wolnych panien w Rio. Chciał tylko Eleanor.

– Więc dokąd się dziś wybierasz, John? Na kolejną fascynującą dyskusję o prawach ludu i bezprawiach rządu? – Louis zerkając w lustro poprawiał krawat. Uśmiechnął się, zadowolony z siebie, i zapiął marynarkę.

John leżał na kanapie z nosem ukrytym w książce. Odpowiadał półsłówkami:

– Jeszcze nie wiem. Gdzieś pójdę. Niedługo chyba wpadnie Pedro. Pedro, nowy, politycznie zaangażowany przyjaciel Johna, był synem jednego z najbardziej znanych dziennikarzy, autora artykułów demaskujących korupcję i nieskuteczność działań wysokich urzędników. Ojciec Pedra był człowiekiem, którego rząd najchętniej zobaczyłby w trumnie, a może nawet pomógłby mu tam trafić. Louis z trudem opanował ziewnięcie.

– A ty? Znowu idziesz na przyjęcie? – John znał odpowiedź, on także był zaproszony i nawet kusilo go, by pójść. Jak jednak mógłby bawić się w towarzystwie uprzywilejowanej grupki bogaczy, skoro w swoich przemówieniach protestował przeciwko nierówności i niesprawiedliwości?

Louis spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się.

– Cóż, Johnny, wiesz, jak to jest. Za dużo dziewczyn, za mało czasu. Zostały mi tylko cztery miesiące do ślubu z twoją kuzyneczką Isobel. Muszę więc cieszyć się życiem, dopóki jeszcze mogę – roześmiał się głośno, kiedy John skrzywił się znudzony. Louisowi nie zależało na jego aprobacie. Johnny, pomyślał, jest teraz przeciwny niemal wszystkiemu na tym świecie. Zrobił się okropnie drętwy.

Utwierdził się w tym przekonaniu tego samego wieczora, kiedy wpadł na Camposa przed znanym lokalem, w którym niektórzy członkowie rządu marnowali czas i pieniądze, zwłaszcza pieniądze. John stał obok policjanta. Był spokojny i opanowany, jakby nie słyszał głośnych okrzyków, kierowanych zarówno do niego, jak i grupki przerażonych mężczyzn.



Wśród nich Louis rozpoznał pewnego ministra.

John nie był sam. Niedaleko zgromadziła się grupka agitatorów, którzy domagali się uwolnienia współtowarzysza i, co jakiś czas, dla odmiany, wyjaśnień od rzeczonygo ministra. Był on odpowiedzialny za zawarcie rządowego kontraktu, w wyniku czego do jego kieszeni wpłynęła spora ilość gotówki, natomiast armię zaopatrzone w wybrakowane, nieprzydatne towary. Louis dostrzegł Pedra; jego ciemną twarz wykrzywił grymas wściekłości. Rozpoznał także innych demonstrantów. Starzy polityczni kumple, pomyślał z westchnieniem. Miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno i zdąży schować się w cień.

Ale John już go zauważył. Pochylił głowę w drwiącym pozdrowieniu, ignorując tym samym policjanta, który mocniej złapał go za ramię.

Louis odpowiedział uśmiechem. A co tam! Zobaczysz, co da się zrobić. Podszedł bliżej.

– Cześć, stary. Znowu zakłócasz spokój publiczny?

Nagle pojawienie się Louisa, eleganckiego i wytwornego, w towarzystwie równie dobrze ubranych znajomych wytrąciło policjanta z równowagi. Na wszelki wypadek mocniej wykręcił Johnowi ramię.

Ten jęknął z bólu, ale zaraz się opanował.

– A cóż to za zakłócanie. Chcieliśmy pokazać ludziom, co nowego wymyślili nasi przyjaciele w rządzie, to wszystko. Niestety, pan minister się zdenerwował. Posłali już po posiłki, więc na twoim miejscu zmiatałbym stąd.

Louis rozejrzał się niespokojnie.

– Johnny, i to cię bawi? Chcesz iść do więzienia? – Zerknął na policjanta. Zobaczył, że ten wykręca ramię przyjacielowi. Pod wzrokiem młodego człowieka policjant poluźnił uścisk.

– Nie, wcale nie. Ale jeśli nikt nie zaprotestuje, kto będzie wiedział o korupcji i przekupstwie? Zresztą ojciec Pedra zapłaci za nas kaucję. Nie zrobiliśmy nic złego.

John był taki pewny siebie, tak spokojny i opanowany, że nawet Louisa ogarnął podziw. Teraz rozumiał, dlaczego ludzie mu wierzyli. Przemawiał płomiennie, zawsze zdawał się mieć asa w rękawie i nie tracił głowy nawet w opałach. Miał nerwy ze stali, trzeba mu to przyznać.

– W porządku, stary. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – Louis wsunął ręce w kieszenie. Policyjny wóz zatrzymał się obok nich z piskiem opon. Umundurowani funkcjonariusze wyskoczyli na chodnik. John uśmiechnął się ponuro widząc, jak biegną w ich stronę. Spojrzał na przyjaciela i skrzywił się w żartobliwym grymasie.

– Owszem. Nie mów nic mojemu wujowi.

Clarissa cierpliwie czekała, podczas gdy Isobel zastanawiała się, z jakiej tkaniny ma być uszyta jej suknia ślubna. Rozstrzygnięcie tej trudnej kwestii wymagało drapowania kolejno surowego jedwabiu, satyny, tafty i mory. Isobel wdawa się w długą dyskusję z krawcową. Szczegółowo omawiały zalety i wady każdego materiału, jego miękkość, ciężar, wygląd w świetle świec. Krawcowa udzielała wyczerpujących odpowiedzi, równie pochłonięta tematem jak sama Isobel.

Clarissa ukradkiem zerknęła na zegarek. Już prawie trzecia, a pokaz mody zaczyna się o wpół do czwartej. Czy zdążą? Dlaczego Isobel uparła się, że wybierze tkaninę przed

pokazem? Przecież niedługo dołączy do nich Eleanor, która mogłaby służyć siostrze radą. Clarissa westchnęła ciężko, bo Isobel cisnęła właśnie belę materiału na podłogę i zażądała nowych próbek. Krawcowa wydeła usta i klasnęła w dłonie. Pomocnice wniosły nowe zwoje tkaniny. Clarissa miała nadzieję, że Isobel wychodzi za mąż nie tylko po raz pierwszy, ale i ostatni.

Kwadrans po trzeciej cały pokój spowijały materiały o różnych odcieniach bieli: śnieżnobiałe, przybrudzone, opalizujące, kremowe, barwy leosci słoniowej. Pani Fawcett nalegała na taftę koloru kości słoniowej, ale Isobel nie podzielała gustu matki. Koniec końców zdecydowano się na ciężki kremowy jedwab, przy którym skóra Isobel wydawała się biała jak mleko. „Kwaśne mleko”, mruknęła pod nosem jedna z pomocnic, dźwigając kolejne ciężkie bele materiałów. Isobel posłała jej ostrzegawcze spojrzenie. W porównaniu z czasem poświęconym problemowi sukni, na tiulowy welon zdecydowała się bardzo szybko.

Zanim Clarissie udało się wyciągnąć Isobel z pracowni krawieckiej i wepchnąć do sąsiedniej sali, gdzie odbywały się pokazy, pierwsze modelki przemierzały już wybieg. Spóźnione panie Fawcett usiadły z tyłu, zamiast na swoich zwykłych miejscach tuż przed estradą. Isobel, oczywiście, chciała przepychać się naprzód, ale Clarissa wyperswadowała jej to spokojnym, acz stanowczym tonem.

– Nie rozumiem, czemu nie zajmujemy naszych stałych miejsc. Przecież nikt tam nie siedzi. Nic stąd nie widzę, mamó. Ta kobieta przed nami wszystko mi zasłania. – Isobel upierała się jeszcze, z miny matki wywnioskowała jednak, że niczego nie wskóra. Z westchnieniem oparła się wygodniej.

Clarissa zastanawiała się, czy córka choć trochę zmieniałaby się na lepsze, gdyby wyprowadziła się z domu rodziców. Wtedy widywałyby się zaledwie raz, dwa razy w tygodniu. Była to upojna myśl. Clarissa od dawna już ją pieściła i hołubiła. Niestety, Charles uparł się, że odda młodym całe skrzydło w *paldcio*. Czy on nie rozumie, że przeznaczeniem kobiety jest opuścić dom rodzinny? Fakt, że niektórzy zięciowie pracują w firmach teściów, niczego tu nie zmienia. Clarissa miała jeszcze nadzieję, że Charles oprzytomnieje, zanim w ich domu zamieszka mężczyzna, lubiący alkohol i kobiety, i jego żona, która wkrótce stanie się zgorzkniałą, nudną matroną. Wyobrażała już sobie, jak całe *paldcio* zatrzęsie się od ich bitew. Już teraz ustawiali wojska w szyku bojowym. Przeczowała, że wkrótce na zawsze straci jedyną oazę spokoju. Będzie dobrze, jeśli przy tym nie postrada także zdrowych zmysłów.

– Och, mamó, spójrz! Czyż to nie wspaniałe? To mój kolor i jak dla mnie zaprojektowane, nie uważasz? – podekscytowana Isobel wskazała na szerokie, luźne spodnie z bladezielonego jedwabiu. Tkanina opływała miękko biodra wyjątkowo szczupłej, wysokiej, ciemnoskórej modelki. Cieniutka koszulka na ramiączkach odsłaniała długą, smukłą szyję i niepokojąco głęboki dekolt. Zdaniem Clarissy niewiele było ubrań na świecie mniej odpowiednich dla niskiej blondynki o dużym biuście.

– Zapisz numer, kochanie. Przecież pokaz się jeszcze nie skończył. Najpierw obejrzymy wszystkie modele, dobrze?

W tej chwili uwagę Clarissy przyciągnęła wyjątkowo atrakcyjna dziewczyna, prezentująca naszywaną cekinami czarną suknię koktajlową.

Wycięcie w kształcie litery V na plecach odsłaniało gładką, lśniącą brązową skórę. W dziewczynie było coś znajomego, ale Clarissa nie mogła sobie uświadomić co. Czekala, aż modelka odwróci się i jeszcze raz przespaceruje się przed oczami widzów. Wracała. Szła z wysoko podniesioną głową, jakby ciągnął ją do tyłu ciężki kok czarnych włosów. Masywne kolczyki z onyksów oprawionych w złoto kołysały się w rytm kroków. Duże czarne oczy badawczo przyglądały się publiczności. To była Teresa.

Isobel rozpoznała dziewczynę w tym samym momencie i syknęła głośno. W tym dźwięku zawierał się cały gniew, niecierpliwość i oburzenie. Po raz pierwszy Clarissa nie miała o to do niej pretensji. – Więc to jest ta ulicznica, którą John przywiózł do Rio, a Louis odebrał przyjacielowi. Odebrał i ukształtował w kobietę swoich marzeń jak Pigmalion Galateę. Clarissa w duchu pogratulowała przyszłemu zięciowi dobrego smaku, a Teresie zapału i determinacji. Ciemnowłosa piękność mogła stanowić konkurencję dla każdej kobiety, a zwłaszcza dla takiej, która, choć ładna, stanowczo za bardzo lubi słodczyce. Tak, Clarissa aż za dobrze zrozumiała wściekłość córki.

– Mamo! To ta kreatura! Ta żebraczka, która ukradła moją sukienkę! – Isobel nie starała się mówić szeptem. Wiele głów odwróciło się w ich stronę.

Clarissa chrząknęła z zakłopotaniem:

– Cicho, kochanie. Nie ma sensu robić zamieszania. Zresztą nie chciałaś już tej sukienki. Daj spokój.

– Dać spokój?! A co ze złotym łańcuszkiem Eleanor? A co z Louistem? Przecież to ta szmata odebrała mi go prawie na rok, to przez nią najadłam się wstydu. Nie, nie dam spokoju. Spójrz tylko na nią, jak się panoszy, jakby myślała, że ktoś ją podziwia. Ja w każdym razie wiem, co z niej za ziółko, i zadbam, żeby za wszystko zapłaciła!

Clarissa nie mogła już tego słuchać. Modliła się, by rozjuszona Isobel nie wywołała awantury. Nie tutaj, gdzie otaczało je tylu znajomych i przyjaciół.

– Isobel, wyjdiesz na idiotkę – ostrzegła. – Ludzie pomyślą, że jesteś zazdrosna i obawiasz się, że nie utrzymasz Louisa przy sobie. Uspokój się. Zapamiętaj moje słowa: to tobie będzie przykro, jeśli mnie nie posłuchasz.

– Nie tak przykro jak jej, zapewniam cię! Ale nie bój się, mamo! Nie zrobię nic, co mogłoby nas skompromitować. Zastanawiałam się tylko, czy według madame Chervil jesteśmy dobrymi klientkami? Przypuszczam, że moja wyprawa stanowi poważną pozycję w dochodach firmy. Jak myślisz, ile jest warta Teresa w porównaniu z nami? Tutaj albo w którymkolwiek innym dobrym domu mody? Bo przecież jesteśmy klientkami wszystkich, prawda? – Isobel mówiła już innym głosem: niższym, spokojniejszym, bardziej wyrachowanym. Clarissa westchnęła.

– Daj spokój. Przecież to już przeszłość. Louis nie widział się z nią od dwóch lat. Ona nie może ci już nic zrobić. Po co to wszystko rozgrzebywać? W imię czego?

Isobel szeroko otworzyła jasnyniebieskie oczy.

– Jak to w imię czego? Z zemsty, oczywiście. Z zemsty, mamo – poprawiła się na krześle. Uśmiechała się. Dopiero teraz wyglądała naprawdę ładnie. Co za szkoda, że zazwyczaj chodzi nadąsana, pomyślała Clarissa. .

Pokaz mody przestał ją interesować. Niemal nie zauważała dziewcząt paradujących po wybiegu w kolorowych obłokach tkanin. Jej ulubiona kolekcja letnia, jej ulubiony dom mody; nic nie było w stanie poprawić Clarissie humoru. Zdenerwowana wypatrywała kolejnego wyjścia Teresy i nasłuchiwała gniewnego mamrotania Isobel. Miała nadzieję, że nie dojdzie do awantury, ale była świadoma, że oszukuje siebie samą. Znała przecież córkę.

Eleanor podbiegła do nich po zakończeniu pokazu, kiedy wyszły do foyer. Spóźniła się, bo wcześniej miała lekcję francuskiego. Stała z tyłu, niewiele więc zobaczyła nad głowami ludzi. Nie lubiła pokazów mody; jej zdaniem za mało prezentowano tam rzeczy praktycznych i wygodnych, a za bardzo podporządkowywano się samouwielbieniu kreatorów mody, którzy uważali, że wobec ich geniuszu rozsądek się nie liczy, a absurd staje się regułą. Obiecała jednak spotkać się z mamą i Isobel, żeby pomóc siostrze w wyborze fasonu sukni ślubnej. Dobry Boże, oby to był ostatni ślub Isobel! Co za zamieszanie!

– Cześć! Gdzie się schowaliście? Wypatrywałam was na naszych zwykłych miejscach! – cmoknęła obie kobiety w policzek i zręcznie lawirując w tłumie, wyprowadziła je z największego ścisku. Clarissa westchnęła i spojrzała na Isobel. Isobel przewróciła oczami i wskazała matkę ruchem głowy. Eleanor potakiwała ze zrozumieniem.

– Eleanor, nie uwierzysz, kto brał udział w tym pokazie. Ta szmata, Teresa! Jako modelka! Wyobrażasz sobie?! Była po prostu śmieszna, kiedy usiłowała wyglądać elegancko. Zapewniam cię, że świat dowie się o początkach jej kariery. Kto się dziwką urodził, zostanie nią do końca życia.

– No tak, ty wiesz o tym doskonale, prawda? – rzuciła ironicznie pani Fawcett. – Proszę, uspokój się już! Eleanor, postaraj się ją przekonać. Nic dobrego nie wyniknie z atakowania tej dziewczyny. A jeśli wykurzysz ją z domów mody w Rio, pojedzie do innego miasta, na przykład do Sao Paulo. I co ty na to, kochanie? – Clarissa była zła; rumieniec pokrywał jej policzki, w oczach błyskał gniew. Na okrągłej twarzy Isobel malował się upór i mściwość. Eleanor żałowała, że w ogóle zgodziła się z nimi spotkać.

– A co mnie to obchodzi? Louis już wkrótce wraca. Dla mnie Teresa może sobie jechać do Sao Paulo. Może John znowu się nią zajmie? – warknęła.

– Och, zamknij się w końcu! – Eleanor na moment straciła panowanie nad sobą, zaraz jednak wzięła się w garść. – Opamiętaj się; przyjechałam tu, żeby rozmawiać o twojej sukni ślubnej, a nie wysłuchiwać bzdur o osobie, która nas w ogóle nie obchodzi. Isobel, przecież ona ci w niczym nie może zagrozić, nie widzisz tego? Wychodzisz za męża za jednego z najatrakcyjniejszych mężczyzn Rio, będziesz miała cudowne wesele, na które przyjdzie pół tysiąca gości, jedziesz do Europy w podróż poślubną! Wszyscy twoi znajomi skrecają się z zazdrości. Co przy tym znaczy ktoś taki jak Teresa? Możesz sobie pozwolić na wspaniałomyślność i zapomnieć o tej dziewczynie. Chodźmy zobaczyć, na jaki materiał się zdecydowałaś. – Eleanor pochlebiała siostrze licząc, że ją tym ułagodzi. Przez pewien czas wydawało się, że osiągnęła cel.

Ponownie przemierzały dom mody śpiesząc do pokoi krawcowej, gdzie czekał na nie kremowy jedwab. Clarissa szła o kilka kroków za dziewczętami. W myślach miotała przekleństwa na starszą córkę. Tak naprawdę jednak wcale jej tego nie życzy, dodała nagle z

niepokojem zerkając w sufit.

Wydawało się już, że niebezpieczeństwo minęło, kiedy zza rogu wyłoniła się Teresa w towarzystwie innej modelki. Isobel błyskawicznie złapała swego wroga za ramię.

– Chwileczkę, moja droga. Chciałabym zamienić z tobą kilka słów na temat pewnej zielonej sukienki, pary butów i złotej biżuterii. Na pewno wiesz, o czym mówię, prawda, Tereso? Ukradłaś je z naszego domu w wieczór wigilijny trzy lata temu, kiedy nas skompromitowałaś na przyjęciu! – Isobel zawsze miała donośny głos. Teraz także wznosił się dźwięcznym echem nad głowami klientów, silny i przenikliwy. Wiele głów zwróciło się w stronę grupki przy schodach.

Teresa popatrzyła na napastniczkę. W czujnym spojrzeniu ciemnych oczu krył się strach.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Proszę mnie puścić! Musiała mnie pani z kimś pomylić.

Nawet mówiła inaczej, bardziej miękko, z akcentem środowisk, do których chciała się dostać. Ale to nadal była Teresa. Eleanor usiłowała odciągnąć siostrę.

– Na Boga, Isobel, przestań! To już nie ma żadnego znaczenia! Robisz scenę! Wszyscy na nas patrzą!

Nagle pochwyciła spojrzenie Teresy. W oczach modelki malowała się wściekłość.

Ale Isobel nic już nie mogło powstrzymać.

– No to niech patrzą! Niech się dowiedzą, że ta dziewczucha jest złodziejką! Prosto ze slumsów, z burdelu w Salvadorze przyszła nie proszona na nasze przyjęcie wigilijne! A kiedy przyjęliśmy ją życzliwie i pożyczylimy ubranie i biżuterię, zabrała się z tymi wszystkimi rzeczami i nigdy ich nie zwróciła! Oto kogo pani u siebie zatrudnia, madame Chervil!

Dyrektorka domu mody przybiegła poinformowana, że w holu doszło do scysji między modelką a klientką. Isobel oparła ręce na biodrach i z wściekłością uderzała stopą w posadzkę.

Madame Chervil była zbulwersowana. Widziała upór i złość Isobel. Usłużna wyobraźnia podsunęła jej od razu wizję jednej z najlepszych klientek na zawsze znikającej za progiem. I dlaczego? Z powodu jakiejś modelki, która, choć bardzo ładna i lubiana, była przecież nikim? Wszyscy to widzieli, wszyscy słyszeli, że oskarżono Teresę o kradzież. Dziewczyna nie może tu pracować!

Teresa doskonale wiedziała, o czym myśli szefowa, więc nie dała jej dojść do słowa:

– Proszę się nie martwić, madame Chervil. Nie zostanę nawet chwili dłużej – rozejrzała się dookoła. Zauważyła ciekawskie spojrzenia gości, którzy nadstawiali ucha, by nie uronić ani słowa. Uśmiechnęła się gorzko i podniesionym głosem zwróciła się do Isobel:

– A co do pani, *senhora*, powinna się pani zastanowić, kogo należałoby nazwać złodziejką. Bo ja zabrałam tylko starą sukienkę, której pani już nie nosiła. Uznałam ją za rekompensatę za to, co *mi* ukradziono tamtej nocy. A zrobiła to ona.

Wszystkie oczy przesunęły się w ślad za jej dłonią. Teresa dramatycznym ruchem wskazała Eleanor, w której twarzy nie została > nawet kropla krwi.

– Pani siostra. Ciekawe, ile osób wie, że ma romans ze swoim kuzynem, swoim *primoirmao*, Johnem Camposem de Serra? – przerwała, by rozejrzeć się po twarzach zebranych. – Tak jest. Przyłapałam ich na gorącym uczynku w domu jej ojca, na tym

okropnym przyjęciu, na które zostałam zaproszona. I to właśnie przez Johna. Dlatego tak nagle wyszłam – dyszała ciężko, dając upust wściekłości. – Pani przyszły mąż, Louis Preston, nalegał, żeby mi towarzyszyć. To dlatego jest pani wściekła! Byliśmy kochankami przez cały rok! Zrobił z pani idiotkę, oszukiwał przez cały czas. I nadal to robi. Co pani na to, *senhorita* Isobel? A pani, *senhorita* Eleanor? Jak się miewa John? Nadal tak się kochacie? – splunęła na ziemię prosto pod nogi Isobel i odeszła, nie zwracając uwagi na zaszokowanych świadków tej sceny. Minęła sprzedawczynię z trudem powstrzymujące chichot, odźwiernego, który zastygł osłupiały, i kołysząc biodrami, wyszła na ulicę. Nikt się nie poruszył.

Nagle wszystkie spojrzenia skierowały się ponownie na Isobel i Eleanor. Siostry stały obok siebie, blade, zawstydzone i przerażone. Pięćdziesiąt par oczu przyglądało się im badawczo. Isobel jęknęła i wbiegła do pokoju krawcowej, byle dalej od ciekawości tłumu. Eleanor wzięła głęboki oddech. Odnalazła wzrokiem matkę; Clarissa szarpała zapięcie pod szyją, jakby brakowało jej powietrza.

– To nieprawda, mamó. Uwierz mi. To nieprawda – powiedziała miękko. Wyciągnęła rękę.

Clarissa skinęła głową i podeszła do niej. Uśmiechnęła się.

– Nawet przez chwilę jej nie wierzyłam. Teresa chciała nas zranić. Szkoda mi jej. Przecież kiedy się u nas pojawiła, nie miała właściwie żadnych ubrań, więc pogodziłam się z tym, że zabrała rzeczy, które jej pożyczylimy – mówiła spokojnym silnym głosem, dając do zrozumienia wszystkim zainteresowanym, że jej córka jest niewinna. Wzięła dziewczynę za rękę i zaprowadziła do pokoju krawcowej. Starannie zamknęły za sobą drzwi.

Oczywiście, nikt im nie uwierzył. Wiele osób dawno już zauważyło zażyłość łączącą młodszą córkę Charlesa Fawcetta z jej kuzynem. Teraz wszystko stało się jasne! Nic dziwnego, że po powrocie Camposa z Anglii umieszczono dziewczęta w szkole klasztornej! Wyraźnie jednak i to nie pomogło. Z tej małej musi być niezłe ziółko, a przecież ma dopiero osiemnaście lat. Wielkie nieba, cóż za sensacja! I kto by pomyślał? Wydawało się, że to taka miła dziewczyna. Nikt nie podejrzewał jej o romanse, a już zwłaszcza z *primoidol*! A do tego jeszcze ta starsza siostra. Oczywiście, nie można się dziwić, że poniosły ją nerwy na widok dziewczyny, z którą zdradzał ją narzeczony. Co nie znaczy, żeby Isobel była wyjątkowo miłą osobą, co to, to nie! Miała ostry język i zbyt chętnie flirtowała, zanim się zaręczyła. Wielu kobietom sen z powiek spędzała myśl, że trafi pod ich dach jako synowa. Doprawdy, coś takiego! Charles Fawcett spuścił nos na kwintę, kiedy się o tym dowiedział! Poczekajcie tylko, aż o tym usłyszycie!

Tak więc plotka pomknęła przez miasto szybciej niż wiatr. Każdy coś zmieniał, przekręcał i dodawał, tak że w końcu wydawało się, że ani Isobel, ani Eleanor nie będą w stanie pokazać się publicznie z podniesionym czołem. Opowiadano o bójce. Isobel miała podrzeć sukienkę modelki i oskarżyć ją o romans z narzeczonym. Ta natomiast jakoby obsypała pannę Fawcett stekiem obelg i spoliczkowała obie siostry. Wspominano także, że modelka opowiadała o orgiach z udziałem Johna i Louisa i że zdradziła, iż John i Eleanor sypiają ze sobą od lat! Od dzieciństwa! To zbyt okropne, żeby o tym mówić.

Po powrocie do domu Eleanor zaniknęła się w swoim pokoju. Nie chciała z nikim

rozmawiać. Isobel najpierw wyrzuciła zaręczynowy pierścionek z brylantem przez okno, a następnie rozkazała Honóriowi i Fernandowi przeczesywać zarośla w świetle latarki, aż go odnajdą. Pisała do Louisa list za listem, żądając, by wyniósł się z jej życia. Gniotła kartki i zalewając się łzami, wyrzucała za okno w ślad za pierścionkiem.

Clarissa siedziała w salonie. Pustym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń. Czy to prawda? Eleanor i John? Czy rzeczywiście byli kochankami, jak się kiedyś obawiała? Ciasno spłotła palce. Nie ruszała się z kanapy. Czekwała na powrót Charlesa.

Domyśliła się, że mąż wie o wszystkim. Huk zatrzaskiwanych drzwi rozniósł się echem po całym domu.

– Clarisso? Gdzie jesteś?

Miał dziwny głos. Nie był zły; prędzej zgorzony, pełen niesmaku. Stracił honor, bo jego córki skały swoją reputację, uświadomiła sobie nagle. I to wszystko tylko dlatego, że Isobel nie mogła opanować żądzy zemsty. Ładna mi zemsta!

– Tutaj jestem, Charles. W saloniku. – Po chwili stanął na progu. – Wejdz, kochany. Zamknij drzwi. Proszę – podała mu szklanekę z podwójną whisky. – Będziesz tego potrzebował. A teraz, zanim cokolwiek powiesz, proszę, byś mnie wysłuchał. Zapoznaj się najpierw z naszą wersją, dobrze? Potem powiesz, co o tym myślisz. Zgoda?

Fawcett usiłował dojść do głosu. Nagle jego mięsiste, wilgotne wargi wydały się Clarissie obrzydliwe. Szybko odwróciła wzrok.

– Dobrze. Opowiadaj.

Przez cały czas, kiedy mówiła, przechadzał się po pokoju. Pięć kroków do przodu, obrót, pięć kroków do tyłu, obrót... W końcu zamilkła. Wlepiała wzrok w swoje mocno splecione dłonie.

– Więc to nieprawda? Spytałaś Eleanor i ona powiedziała, że to nieprawda? – dopytywał się. Nie obchodziło go nic innego, teraz widziała to wyraźnie. Isobel i jej reputacja, Louis – nic nie miało znaczenia. To nieważne. Ale Eleanor... Eleanor i John. Nie, to nie do zniesienia!

– Nie musiałam jej pytać, Charles. Sama natychmiast wszystkiemu zaprzeczyła. A ja jej wierzę. Moim zdaniem Teresa plotła, co jej ślina na język przyniosła, byle tylko mieszać nas z błotem. Eleanor jest niewinna. To najzupełniej pewne – oznajmiła bardzo stanowczo. I tylko jej palce zacisnęły się mocniej.

– Ale kto nam uwierzy? Najgorsze już się stało, prawda? – warknął Charles. Clarissa zauważyła jednak, że nie był już taki blady, taki przygarbiony. To nieprawda. Teraz, kiedy już wiedział, da sobie radę z plotkarzami. Wypił do końca swoją whisky i natychmiast nalał nową porcję. Usiadł w fotelu naprzeciwko żony. Przez dłuższy czas trwali w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Tylko zegar na kominku zakłócał ciszę monotonnym tykaniem. Clarissa zastanawiała się, czy Charles pogodzi się z hańbą.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, zdumiona uniosła głowę. W progu stał Henry. Wyglądał, jak zwykle, miło i spokojnie, ale Clarissa dostrzegła jego bladość i rozplomieniony wzrok.

– Przyszedłem, gdy tylko usłyszałem, co ludzie wygadują. To nieprawda! Nie możecie państwo w to uwierzyć. Byłem z Teresą przez całe przyjęcie. Zobaczyliśmy Johna i Eleanor

na tarasie. Nie robili nic złego, stali tylko przytuleni do siebie, jak to oni. Teresa się zdenerwowała i wyszła z Louisem. To wszystko. Przysięgam. Byłem tam.

Słowa toczyły mu się z ust wartkim strumieniem, żeby jak najszybciej zaprzeczyć oskarżeniu. Wreszcie chłopak zamilkł. Ciągle stał w progu. Dyszał ciężko, nie mogąc złapać tchu.

– Czy jesteś tego pewien, Henry?

W odpowiedzi na pytanie Clarissy zdecydowanie pokiwał głową.

– Och, dzięki ci, Boże! Dzięki ci, Boże, i tobie dzięki, Henry! – Charles wybuchnął głośnym śmiechem, jakby jego radość od dawna już szukała ujścia, by w końcu wypełnić pokój tubalnymi dźwiękami. Wstał, podszedł do Henry’ego, poklepał go po plecach, uściskał serdecznie. – Dzięki ci, mój drogi!

Henry był zakłopotany. Z uśmiechem wyzwoił się z ramion Charlesa, spojrzał na Clarissę.

– Jak się czuje Eleanor? Opowiadam wszystkim, co się wtedy naprawdę wydarzyło. Niedługo plotkarze o tym zapomną. Teraz jednak Eleanor musi być bardzo ciężko. Czy mógłbym z nią porozmawiać? – przez jego zakłopotanie przebijała duma, że się dobrze spisał, ale przede wszystkim troska o dziewczynę.

Clarissa skinęła głową.

– Pójdę zobaczyć, co się z nią dzieje. Tymczasem napij się czegoś mocniejszego. Zawołam cię, jeśli będzie chciała się z tobą zobaczyć, ale uprzedzam, że była bardzo... zdenerwowana.

Za bardzo, dodała w myśli, by niemal natychmiast odrzucić wszelkie podejrzenia. To nieprawda i Henry może to udowodnić, czyż nie?

Zastała córkę pogrążoną w pisaniu listu. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, dziewczyna wepchnęła kartkę pod poduszkę.

Clarissa przełknęła ślinę.

– Jak się czujesz, kochanie? – dopatrywała się śladów łez, ale Eleanor, choć blada, była spokojna. – Henry jest tutaj. Przyszedł, kiedy tylko... kiedy tylko się dowiedział. Ale wiesz, wszystko jest w porządku. Henry nie odstępował Teresy przez całe przyjęcie. – Choć poczuła zdradziecki rumieniec na policzkach, starała się wyglądać na opanowaną i beztruską. Usiłowała udawać, że bezgranicznie wierzy Eleanor. – On twierdzi, że w słowach Teresy nie ma nawet odrobiny prawdy i powie o tym wszystkim znajomym. Teresa widziała tylko, jak stałaś z Johnem na tarasie, i ogarnęła ją zazdrość. – Chciała zapytać: dlaczego? Dlaczego tak niewinny widok wzbudził w tej dziewczynie zazdrość? Nie mogła jednak wykrztusić tego z siebie. Nie wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu. – Więc teraz wszystko już jest w porządku. Eleanor uśmiechnęła się smutno.

– Nie jestem i nigdy nie byłem kochanką Johna. Wiem, że mi nie wierzysz, ale taka jest prawda. Słowa Henry’ego tylko to potwierdzają. Czym ty się tak martwisz, mam?

– Wcale się nie martwię! Powiedziałam, że ci wierzę, i tak jest! Nie wygłupiaj się, Eleanor. – Clarissa mówiła ostrzej, niż zamierzała, jej zaprzeczenie było zbyt pośpieszne, zbyt gwałtowne. Wciągnęła oddech. – Henry chce się z tobą zobaczyć. Mam go przysłać?



– Tak, oczywiście.

– Dobrze, zaraz mu powiem. – Clarissa wpadła córce w słowo, kończąc tym samym dyskusję. Uśmiechnęła się blado. Jej oczy błagały Eleanor, żeby już o tym nie mówiła, nie poruszała niebezpiecznego tematu. Eleanor odwróciła głowę. Clarissa poszła po Henry’ego.

Dobry, poczciwy Henry. Zawsze lojalny, zawsze przy tobie, zawsze po twojej stronie. Henry. Rozsądny, cierpliwy, uczciwy Henry. Eleanor potrząsnęła głową. Może powinna traktować go inaczej niż tylko jak starego przyjaciela? Może on czuł do niej więcej, niż chciała dostrzec? Wystarczała jednak choćby przelotna myśl o Johnie, by Eleanor przekonała się, że to nie ma sensu. Każdego mężczyznę porównywała do Camposa i nikt nie wychodził z tej próby zwycięsko. Gdyby nie John... Gdyby nie był jej kuzynem. Gdyby... Takie rozważania niczego nie zmieniały.

Wyjęła list spod poduszki i raz jeszcze przeczytała. Między linijkami suchej relacji kryły się wstyd i ból. John odnajdzie je bez trudu, ale nie przejmie się. Uzna to za śmieszne, niepotrzebne wyolbrzymianie drobnego incydentu. On nie znosi samej idei społeczeństwa; nie obchodzi go opinia innych. Żałowała, że pod tym względem nie są podobni.

Pukanie do drzwi wyrwało Eleanor z zadumy.

– Wejść, Henry – wsunęła list z powrotem pod poduszkę i wyprostowała się.

– Cześć. Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, jak się ma jedna z osławionych panien Fawcett. Czy aby na pewno mam zamknąć drzwi za sobą? Czy to bezpieczne? Nie rzucisz się na mnie, prawda? – na wąskiej twarzy zagościł uśmiech, w brązowych oczach błysnęła kpina.

Cisnęła w niego poduszką.

– Podlec! Dla ciebie to żart, ale ja jestem skończona! Jaka stara matka zechce mnie na synową? Równie dobrze mogłabym od razu wstąpić do klasztoru, rozpocząć nowicjat! Tylko że teraz nawet tam mnie nie przyjmą! – mówiła z zabawnym przerażeniem, jednak w jej głosie czaiło się zbyt wiele strachu, by Henry uznał, że żartuje.

Usiadł koło Eleanor na łóżku.

– A ja myślałem, że nie interesuje cię ani małżeństwo, ani bale debutantek i tym podobne sprawy? – Nadal kpił. Chciał zobaczyć, dokąd sięga ból.

– Owszem, jeśli to ja mogę z nich zrezygnować. Nie chcę tylko, żeby rezygnowano ze mnie! – przewróciła się na plecy, zaskoczona trafnością tej myśli. Szkoda, że John tego nie pojmuje. – Jestem skończona w całym Rio. Nikt mnie już nie zaprosi – prorokowała.

Henry parsknął śmiechem.

– Nie gadaj głupstw. Nawet jeśli Brazylijczycy są nieco zacofani, to przecież nie będzie aż tak źle. Zresztą ja będę cię zapraszała. Czy to ci nie wystarczy?

– Och, Henry! Pewnie że tak! – przysunęła się bliżej i pocałowała go w policzek. – Ale nikt nie uwierzy, że w tamten wieczór towarzyszyłeś Teresie. Wszyscy wiedzą, że jesteś... jesteś moim przyjacielem – dodała po chwili wahania.

– I że jestem w tobie zakochany? Czy to chciałaś powiedzieć? – dokończył powoli. Nie patrzył na nią.

Zapadła cisza. Eleanor zaczerpnęła powietrza.

– A jesteś?

Naprawdę nie chciała znać odpowiedzi na to pytanie.

– Tak – mruknął w końcu. Popatrzył jej w oczy.

– Czy to dlatego usiłujesz ratować moją reputację? – zapytała miękko. Nadal leżeli obok siebie. Tylko kilkanaście centymetrów dzieliło ich twarze.

Potrząsnął głową.

– Nie. Mówię prawdę. Tamtej nocy Teresa widziała tylko, jak staliście objęci na tarasie.

Ale co z pozostałymi nocami? Przyglądał się dziewczynie uważnie, jakby chciał odczytać jej myśli, tak jak potrafił to John. I nie był pewien.

Eleanor dostrzegła w jego oczach zwątpienie. Zazwyczaj pogodnie uśmiechnięty, Henry przybrał obojętną minę. Nie chciał jej osądzać. I cokolwiek się stanie, nie zrobi tego.

– Chyba jeszcze nigdy nie byłam zakochana – wyznała z wahaniem w głosie, niepewna, czy emocje wywołane przez Johna nie zaliczają się właśnie do tej kategorii uczuć. Ale nie, John to członek rodziny. Kochała go jako krewnego.

– Nie? Cóż, to nie ma znaczenia. Jeszcze się zakochasz. Nie jesteś jeszcze bardzo...  
wiekowa – kpiący uśmiešek powrócił na twarz Henry'ego.

Pod wpływem impulsu Eleanor pocałowała przyjaciela w usta.

– Mam nadzieję, że to w tobie się zakocham – oznajmiła nagle. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie skłamała. Jeśli ktoś zasługiwał na miłość, to właśnie Henry.

Zaczerwienił się, zadowolony i zakłopotany jednocześnie. Usiadł gwałtownie i odwrócił wzrok. Zapatrzył się w zagładający przez okno mrok. Na chwilę wznosił dłoń do ust i jakby wbrew sobie dotknął warg. Potem wstał, nadal nie patrząc na Eleanor.

– Też mam taką nadzieję. Muszę iść. Powiedziałem w domu, że wrócę na kolację. Zobaczymy się jutro, dobrze? – wreszcie odważył się na nią spojrzeć. Odzyskiwał już panowanie nad sobą, równie zabawny i czarujący jak zawsze. Wysunął podbródek. Teraz przynajmniej wiedzą, na czym stoją. Jedyne co mu pozostało, to cierpliwie czekać.

Isobel zastukała do siostry późnym wieczorem, kiedy w całym domu zgaszono już światła. Eleanor leżała w łóżku, ale nie mogła zasnąć. Posunęła się, robiąc miejsce dla Isobel. Zapuchnięte czerwone oczy i drżące usta do niedawna szczęśliwej narzeczonej wzbudziły w niej litość.

– O co chodzi, Isobel? Przecież wiedziałaś, że Louis miał romans z Teresą, więc czym się tak denerwujesz? – delikatnie oparła jej rękę na ramieniu.

Isobel ukryła twarz w dłoniach.

– Louis. Kiedy się o tym dowie, na pewno będzie mnie o wszystko obwiniał. Albo uwierzy w jakieś okropne plotki. Wiesz, jaki on jest. Dla niego najważniejsze to reputacja i *image*.

Mówiła z twarzą wtuloną w chusteczkę, więc Eleanor miała kłopoty ze zrozumieniem.

– No i co? Przecież to nie on stoi pod pręgierzem, tylko my! Co to obchodzi Louisa? – rozszłościła się. Siostrę najwyraźniej interesują tylko uczucia narzeczonego. A co z jej, Eleanor, uczuciami? Dopiero po chwili usłyszała strach w głosie Isobel.

– Teraz on może nie chce się ze mną ożenić! Nie rozumiesz? – zanosila się płaczem. W

tym momencie Eleanor przyszło do głowy, że Isobel naprawdę kocha Louisa.

Złagodniała.

– Ależ co ty, oczywiście że on się z tobą ożeni! Dlaczego nie? Te brednie nie będą miały dla niego żadnego znaczenia. Jeśli go stracisz, to tylko dlatego, że nie okazujesz mu, że ci w ogóle na nim zależy. Wiesz, aż do tej pory nie wierzyłam w twoją miłość. Myślałam, że po prostu uznałaś Louisa za najlepszą partię.

Isobel uniosła głowę.

– Jak możesz mówić takie rzeczy? Dlaczego jesteś taka okrutna? Oczywiście, że go kocham!

– Więc lepiej zacznij mu to okazywać. Isobel, ty mu zwykle dokuczasz. Louis jest młody i pełen energii, a ty chciałabyś przykuć go łańcuchem do siebie i trzymać w domu. Schudnij, zadbaj o swoją urodę i poproś go, żeby zabierał cię wszędzie ze sobą. Niech zobaczy, że inni mężczyźni też cię pragną. Bądź zabawna. Nie praw mu złościwości i nie krzycz, kiedy popełni błąd, tylko postaraj się go ułagodzić. To nic trudnego, Isobel. Pomyśl o tym. I powiedz mu, że go kochasz.

Eleanor zamilkła nagle, przerażona, że siostra obrazi się na nią. Jednak poważna mina Isobel oznaczała, że dziewczyna wzięła sobie jej słowa do serca.

– Naprawdę tak uważasz? Naprawdę uważasz, że on mnie nadal kocha? – Ton pełen pokory i skruchy w ogóle nie przypominał normalnego głosu Isobel. Eleanor przytuliła ją do siebie.

– Ależ oczywiście. Tylko pamiętaj: najpierw pomyśl, a dopiero potem otwieraj buzię.

Isobel spadł kamień z serca. Podbiegła do lustra, żeby obejrzeć szkody, jakich na jej twarzy dokonała rozpacz. Zaraz też pożyczyła od siostry zestaw do makijażu i malowała się, paplając wesoło o swoich planach. Eleanor nie słuchała jej. Pogrążyła się w myślach. Co jakiś czas tylko potakiwała automatycznie.

– Wiesz, powinnyśmy robić to częściej – oznajmiła Isobel nagle. Zamarła z ręką w pudernicze. Odnalazła w lustrze wzrok Eleanor. – No, mam na myśli takie rozmowy. Najwyższy czas, żebyśmy ucinały sobie siostrzane pogawędki. Mogłabym nauczyć cię, jak się malować. I pożyczać ci ciuchy, żebyś ładniej wyglądała. Co ty na to?

Propozycja była tak nieoczekiwana i brzmiała tak szczerze, że Eleanor ocknęła się z zadumy. Przez krótką chwilę poczuła łzy w oczach, jednak wywołało je raczej wspomnienie popołudniowego koszmaru niż oferta Isobel. Uśmiechnęła się.

– Masz rację. Powinnyśmy. Stanowczo za mało czasu spędzamy razem – urwała. – Isobel... ty nie wierzysz w te bzdury o mnie i o Johnie, prawda? – cichy głosik zamilkł, kiedy Isobel odwróciła się, by na nią spojrzeć.

– O tobie i Johnie – powtórzyła. Wpatrywała się w swoje dłonie. – Nie, wiem, że między wami do niczego nie doszło – uśmiechnęła się smutno. – W każdym razie, jeszcze nie.

Ponownie zajęła się makijażem. Eleanor patrzyła na nią przerażona.

## Rozdział trzynasty

Gorzko! Gorzko!

Tłum podchwycił okrzyk. Rozbawieni goście zwartym kręgiem otaczali Louisa i Isobel. Państwo młodzi zbliżyli się do olbrzymiego tortu. Aż trzech mężczyzn przenośli do ogrodu to cudo z białego marcepanu. Eleanor krzyczała i śmiała się wraz z innymi. Sprawiała wrażenie pogodnej i beztroskiej. Zupełnie jak dziecko, pomyślał John. Tyle tylko, że w wieku dziewiętnastu lat z pewnością już dzieckiem nie była.

W wianku i jasnożółtej, pastelowej sukience druhny wyglądała jak leśna nimfa. Wiatr szarpał wstążki wplecione we włosy. Pojedynczy promień słońca przedarł się przez gałęzie drzew i zalał dziewczynę złotym światłem. Zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłą pieśzczotą.

Kiedy je otworzyła, John stał tuż koło niej. Z uśmiechem wzięła go pod rękę i poprowadziła ku gościom.

– Piękna z nich para, nie uważasz? Nie wierzyłam, że Isobel uda się tyle schudnąć. Biedna krawcowa umierała ze strachu, że nie zdąży wykończyć sukni, bo dostała ją do uszycia zaledwie kilka dni temu! Jest przepiękna, prawda? Isobel miała rację, upierając się przy kremowym jedwabiu, chociaż mama i ja byłyśmy temu przeciwne. No, ale też moja siostrzyczka zazwyczaj wie, czego chce – paplała wesoło, nie chcąc, by wścibscy plotkarze zepsuli im świąteczny nastrój. Nie mogła jednak powstrzymać się od ukradkowych spojrzeń w prawo i w lewo.

– Nie obawiaj się. Przez najbliższych kilka minut wzrok wszystkich skupi się na młodej parze. My gramy tylko drugie skrzypce – stwierdził John sarkastycznie. Skuliła się. – Masz rację, moja droga. Isobel wygląda wspaniale. Odzyskała cały swój urok. Nic dziwnego, że Louis puszy się i pręży jak zadowolony kocur. A jeśli o tym mowa – skinął głową Henry’emu, który podnosił małą siostrzyczkę Louisa, żeby mogła zobaczyć tort – czy Henry już ci się oświadczył?

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że nie! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – zaprotestowała energicznie. W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami z ironicznym uśmiechem. Była ciekawa, dlaczego ostatnio stał się taki szorstki. Czy to wpływ życia studenckiego? Szkoda, że nie potrafi się odprężyć i cieszyć życiem jak każdy inny człowiek.

Otaczał ich ogród pełen barw i zapachów lata. Duży namiot w biało-zielone pasy stanowił ochronę przed słońcem. Fontanna wyrzucała z siebie błyszczące łuki srebrnej wody. Było to najprzyjemniejsze miejsce, można się tu było ukryć przed upałem i ochłodzić dłonie w zimnej wodzie.

Na bufecie zastawionym wykwintnymi daniami stały wazy pełne kwiatów. Tort weselny zajmował osobny stół przystrojony różami i kameliami. Z pięciuset zaproszonych gości znakomita większość tłoczyła się dookoła tego stolika. Eleanor wiedziała, że nie ma szans przepchać się przez tłum, żeby zobaczyć, jak Isobel kroi ciasto. Oparła się o słup wspierający dach namiotu i ogarnęła wzrokiem zebranych.

– Poważnie myślisz o studiach w Paryżu? Nie uda mi się wybić ci tego z głowy? – John z zadumą patrzył na gromadę eleganckich, dobrze wychowanych ludzi. Śmiali się głośno i przekrzykiwali. Pamiętał takie sceny z dzieciństwa, ale teraz odbierał je niemal jako obelgę. Miał wrażenie, że jest jednym z nich, a jednocześnie nie wolno mu się do nich przyłączyć. To było niepokojące uczucie. Zagryzł dolną wargę.

– Tak, najzupełniej poważnie. Papa nie pozwoli mi na studia w Sao Paulo. To zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę ciągle zamieszki i demonstracje – spojrzała na kuzyna kątem oka, ale on nadal wpatrywał się w tłum. – Po prostu muszę stąd wyjechać na jakiś czas. Chcę pomieszkać z dala od domu, posmakować odrobiny wolności.

– Ale nie uciekasz, prawda? Nie wyjeżdżasz przez te głupie plotki?

– Nie. Zresztą to było trzy miesiące temu. Ludzie szybko zapominają. Poza tym Henry nas bronił. Powtarzał, że był z Teresą tamtego wieczoru. Zapewniał, że wszystko sobie wymyśliła. – Jego uśmiech nie uszedł uwadze Eleanor. – Słyszałam, że ostatnio znowu się z nią spotykasz?

– No i co z tego? Zważywszy, że ty i twoja rodzina pozbawiliście ją pracy w Rio i w ogóle obrzydziliście to miasto, czemu nie miałbym jej pomóc? Uważani, że jestem jej to dłużny – odparł chłodno.

– Och, John! Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć, że Teresa ci się podoba i lubisz spędzać z nią czas? Dlaczego zawsze robisz z tego sprawę honoru? Jesteś jej dłużny! Mam nadzieję, że nigdy w życiu nie dowiem się, że ktoś spotyka się ze mną tylko dlatego, że jest mi coś dłużny! – rzuciła impulsywnie. Odpowiedział obojętnym spojrzeniem. – Cóż, zobaczymy się później – pożegnała go zimno. – Idę pomóc mamie przy krojeniu tortu. – Odeszła sztywno wyprostowana.

Isobel i Louis karmili się nawzajem ciastem przy wtórce okrzyków, śmiechów i oklasków. John podszedł do Henry'ego, który pilnował, by Georgina, najmłodsza siostra Louisa, nie spadła ze stołu, na którym miała swój punkt obserwacyjny.

– Cześć, Henry. Widzę, że bawisz się w pana Nianię. Jak tam, Georgy, widać coś?

– Tylko ich głowy. O, całują się! Ojej, Louis jest cały umazany tortem, a Isobel całuje go mimo to! Nie mogę na to patrzeć! – zeskoczyła ze stołu i zanim Henry zdążył ją powstrzymać, pobiegła szukać matki.

John parsknął śmiechem.

– Rzeczywiście, nie brzmiało to apetycznie. Co nowego, Henry? Zacząłeś już karierę polityka? – zapytał od niechcienia.

– Och, dopiero stawiam pierwsze kroki. Muszę skończyć studia, zanim skoczę na głęboką wodę. Ty za to jesteś bardzo aktywny, co? Słyszałem, że dobrze cię już znają w Sao Paulo – poprawił się na krześle i dolał sobie i Johnowi szampana.

– Dziękuję. Och, wiesz, jak to jest. Najpierw nie masz zamiaru się angażować, aż nagle pewnego dnia okazuje się, że utkwieś po uszy. Zresztą ktoś musi w końcu uświadomić rządowi, że trzeba pomóc ubogim – szybko haustem opróżnił swój kieliszek i od razu nalał sobie następny.

Henry obserwował go uważnie.

– I to ty jesteś tym kimś, tak? Samotny rycerz bez skazy? Naprawdę uważasz, że możemy nagle stać się demokratycznym państwem z dobrze funkcjonującym systemem pomocy społecznej, ot tak? – pstryknął palcami.

John skrzywił się. Nie był to bynajmniej pogodny uśmiech.

– A czemu nie? Co nas powstrzymuje, oprócz bandy skorumpowanych urzędników, którym zależy jedynie na jak najszybszym napełnieniu swoich kieszeni? Wiesz, w Sao Paulo jest pewien facet, żadna gruba ryba. Nabral tyle łapówek, że stać go na przytulne mieszkanie na dachu jednego z wysokościorców tutaj, na Copacabanie! I nikt nic nie robi, żeby to ukrócić! – zdenerwowany, przeczesał palcami włosy.

– Ale robi... w swoim czasie. – Henry pochylił się ku Johnowi. – Czy nie wiesz, że najniebezpieczniejsza dla młodego społeczeństwa jest chwila, kiedy wolność jest już w zasięgu ręki? Każdy po nią sięga, zachłannie i chciwie. Wtedy rząd wprowadza represje i nadzieja pryska jak bańka mydlana. Przypomnij sobie Węgry, na Boga! – Nie przerwał, mimo coraz wyraźniejszej irytacji rozmówcy. – Musimy najpierw stworzyć mocne fundamenty, na których można będzie się oprzeć, przeprowadzając reformy. Chodzi mi o to, że wszystkie kraje, którym udało się przekształcić w państwa demokratyczne, osiągnęły poziom, do jakiego nam jeszcze daleko. Miały już za sobą rewolucję przemysłową, odpowiedni kapitał, niski procent analfabetyzmu i tra...

– Och, Henry! Obudź się, do cholery! Do końca świata możesz się tak wymądrzać, ale to niczego nie zmieni. Rząd tymczasem rozdaje czece obietnice na prawo i lewo, dla uspokojenia ludzi, a tacy jak Goulart ciągle się bogacą cudzym kosztem. Potrzebne nam są poważne zmiany. Jest tylko jeden sposób, żeby dać pracę wszystkim chętnym i wykształcić analfabetów. Należy podzielić się majątkiem – zatoczył łuk ręką, zamykając w tym geście drogę ubrania, biżuterię, srebro i porcelanę, ogrody i *paldcio*. – Niech wszyscy mają tyle samo, niech...

– ... wszyscy zostaną komunistami, tak? O to ci chodzi? To coś nowego. Od kiedy uważasz, że Rosja wybrała najwłaściwszą drogę? – Henry mówił ciszej, spokojniej. – Naprawdę sądzisz, że komunizm rozwiązałby nasze problemy?

W tej chwili myślał jednak przede wszystkim, że to bardzo niebezpieczne. Niedługo może się okazać, że John znalazł się na liście rządowej. A to nikomu nie wyszłoby na dobre, a już szczególnie nie Eleanor. Nie wspominał o tym jednak.

– To nie chwyci. Nikt was nie poprze. Masy nie są dość wykształcone i uświadomione politycznie, zresztą w ich charakterze leży poprzestawanie na małym. Marzą o dachu nad głową i jedzeniu. Rząd obieca ludziom, że to dostaną, jeśli będą cierpliwi, więc na pewno poczekają. Zrozumieją, że reformy nadejdą...

– Kiedy, Henry? Kiedy nadejdą? W następnym stuleciu? Taki ze mnie komunist jak i z ciebie, ale może właśnie komunizm jest czynnikiem, który spowoduje zmiany. Na Boga, czy naprawdę jesteś na tyle ślepy, że nie widzisz, iż Goulart nie okaże się lepszy niż jego poprzednicy? Przez dwie kadencje był wiceprezydentem. Czy pamiętasz, by chociaż raz postulował jakieś radykalne działania? Teraz jako prezydent jest jak chorągiewka na wietrze. A ta cudowna reforma, której tak wypatrujesz, nie nadejdzie nigdy, jeśli wojsko znowu

przejmie władzę. – John z trudem panował nad sobą. Upał dawał mu się we znaki. Młody człowiek szybko opróżnił kolejny kieliszek szampana.

Henry również upił mały łyżeczek.

– Masz rację. I dlatego właśnie nie wolno nam drażnić armii gadaniem o rewolucji komunistycznej. Nie lubię Goularta tak samo jak ty, ale musimy pracować w ramach już istniejących praw. Nie możemy wszystkiego odrzucić i zacząć od początku. To się nie uda – tłumaczył łagodnie. Mierzyli się wzrokiem, każdy święcie przekonany o swoich racjach.

W końcu Henry uśmiechnął się.

– Dziś jest zbyt ładny dzień na takie dyskusje. Chodź, zjemy po kawałku tortu – wstał i czekał na Johna, ten jednak pokręcił przecząco głową.

– Idź. Mnie jest za gorąco. Ochłonę tutaj – skrzywił się zabawnie i nagle obaj parsknęli śmiechem, co zdarzało się im często, kiedy bawili się razem jako mali chłopcy. Henry skinął głową i ruszył w stronę Eleanor. Trzymała w ręku talerzyk z ciastem. Po chwili oboje zniknęli w tłumie.

John wycofał się do domu, do swojego pokoju. Zamknął za sobą drzwi. Jeszcze nigdy nie czuł się tak zrozpaczony.

Przez trzy długie lata w Sao Paulo czekał, aż Eleanor dorośnie i do niego przyjedzie. Wierzył, że z dala od rodziny przekonałby ją, że konwenansów i reguł, w których ją wychowano, nie przestrzega się nigdzie poza ciasnym światkiem bogaczy. Uświadomiłby jej, że może być, kim zechce, i robić, co tylko zapragnie. Eleanor miała dobre serce, przecież inaczej nie marnowałaby czasu, ucząc w szkole dla biedoty. I kochała go, był tego pewien. A jednak zamiast do niego, jedzie do Paryża.

John miał wrażenie, że zmarnował ostatnie trzy lata: tyle planów, tyle myśli i wszystko na nic. Wykluczono go z gry, zanim w ogóle wszedł na boisko. Kto to zrobił? Nie wierzył, by Eleanor sama wpadła na pomysł wyjazdu do Europy. Chciała uciec, dobrze, ale nie aż tak daleko. Ktoś musiał jej to podsunąć: ojciec albo... Henry. Nie wiadomo, dlaczego John był przekonany, że tym razem to nie wuj. To zbyt wyrafinowany pomysł jak na Fawcetta. Charles preferował rządy silnej ręki: nie pojedziesz na studia do Sao Paulo i już. Henry jednak nie działał tak bezpośrednio. Ponieważ i on nie chciał, by spotykała się z Johnem, przekonał ją, że Paryż jest najlepszym rozwiązaniem. Chciał, żeby wyjechała daleko stąd. Spryciarz z tego Henry'ego.

John położył się na plecach. Oparł głowę na splecionych dłoniach. Wszystko zostało już postanowione. Nie uda mu się zmienić planów Eleanor. Nic jej nie przekona, nawet siła jego miłości. Mocno zacisnął powieki. Nie chciał myśleć o jej wyjeździe, o pustej, szarej przyszłości.

– Gdzie John?

Były to pierwsze słowa, jakie Eleanor skierowała do Henry'ego, kiedy wreszcie do niej dotarł.

Popatrzył w stronę stolika, przy którym niedawno siedzieli. Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chyba poszedł się przewietrzyć. Jest bardzo gorąco, a on bynajmniej nie wylewał szampana za kołnierz. Co powiesz na małą przechadzkę do fontanny? Mam

wrażenie, że się roztapiam w tym słońcu – poluził węzeł krawata. Wykrochmalony kołnierzyk uwierał go w szyję.

Dziewczyna odgarnęła włosy z czoła.

– Dobrze. Idź, zawołaj Marię, żeby mnie zmieniła. Na pewno umiera już z ciekawości, co się dzieje. Jeszcze dwadzieścia osób i będę wolna. Spotkamy się za pięć minut przy fontannie, dobrze? – Henry skinął głową i wycofał się ze ścisłego koła, jakim goście otaczali krojącą tort Eleanor.

Uśmiechnęła się. Kroiła i nakładała ciasto automatycznie, nie myśląc o tym, co robi. Zastanawiała się nad słowami Johna. Czy sprawiała mu przykrość swoją decyzją? Ucieka, powiedział. Przed kim niby, przed nim? Ale przecież w ciągu ostatnich trzech lat prawie do niej nie pisał, rzadko przyjeżdżał do domu, a teraz na dodatek znowu spotyka się z Teresą. Jaką więc różnicę sprawi jej wyjazd do Paryża?

Zresztą John miał już dwadzieścia jeden lat. Przejął spadek po rodzicach. Teraz może zacząć szukać kobiety, którą pokocha, z którą spędzi życie. Po co mu ona, Eleanor, w Sao Paulo? Byłaby tylko kulą u nogi, budziłaby zazdrość w dziewczynach, które nie są z nim tak blisko, stałaby się przyczyną nowej fali plotek. Nie, Johnowi będzie lepiej bez niej.

– Eleanor, moja kochana, dla mnie tylko malutki kawałeczek. Nie chcę sobie do końca zniszczyć figury! – głos Guillerminy, w skrócie Mino, najlepszej przyjaciółki Isobel, wyrwał ją z zadumy. Posłusznie ukroiła wąski pasek ciasta.

– Szczerze mówiąc, nie pojmuję, czym ty się przejmujesz, Mino. Z taka szczupłą sylwetką mogłabyś być modelką – powiedziała szczerze.

– O mój Boże, jesteś kochana! Ale nie, za żadne skarby świata nie zostałabym modelką! Wiesz przecież, co to za kobiety! To znaczy, jeśli nie ty, któż może to wiedzieć? Chyba nie przejęłaś się tym, że ta dziewczyna zamieszkała z Johnem. To znaczy... nie żebym wierzyła w plotki o was, ale mimo wszystko, fakt, że właśnie z nią... – Mina paplała dalej. W jej ciemnej, pociągłej twarzy nie było złośliwości, tylko zaskoczenie, kiedy zobaczyła, że Eleanor nagle pobladła.

– Nie, Mino. W tych plotkach nie ma ani odrobiny prawdy. Powinnaś o tym wiedzieć równie dobrze jak wszyscy – oznajmiła po dłuższej chwili. – Wiem o Teresie i uważam, że to nic złego. Zawsze ją lubiłam, mimo tych... bzdur, które o mnie naopowiadała.

Mina odeszła z rumieńcem na policzkach. Niestety, następna osoba była równie ciekawa, co też Eleanor myśli o ostatnich rewelacjach, jednak tę panią było dużo trudniej wprawić w zakłopotanie niż przyjaciółkę Isobel. Znajoma Clarissy, *senhora* Borges, wypytywała, badała i analizowała, a Eleanor coraz bardziej trzęsły się ręce ze zdenerwowania.

– Ładna dziewczyna z tej Teresy, choć przyznaję, nie w moim guście. Nie lubię zmysłowości, ale mężczyźni to uwielbiają. Przyjaciele twojego Johna na pewno głowią się, co też ona w nim widzi. No, ale ty chyba znasz jego sekrety, jesteście przecież ze sobą tak blisko... – *senhora* Borges zwilżyła usta językiem. Pulchna twarz rozpromieniła się; zatruta strzała dosięgła celu. Eleanor drżała, w jej oczach migotała bezsilna wściekłość.

– Bardzo proszę! Myślałam, że zdaje sobie pani sprawę, jak nieprzyjemne i kłamliwe są te plotki! Przepraszam, ale nie chcę więcej na ten temat rozmawiać – odwróciła głowę i



zobaczyła Marię, stojącą tuż obok. Służąca uważnie przyglądała się kobiecie, która pozwoliła sobie na obraźliwe uwagi pod adresem jej panienki. Odebrała nóż Eleanor i lekko popchnęła ją w stronę ogrodu. Dziewczyna oddaliła się z ulgą.

– Słucham, *senhora*, co mogę pani podać? Przypuszczam, że ma pani ochotę na *bardzo* duży kawał ciasta, prawda? Wygląda pani na osobę o zdrowym apetycie. Na pewno lubi pani dobrze zjeść – zagadnęła głośno Maria i ukroiła podwójny kawał tortu. *Senhora* Borges zacisnęła usta i odeszła bez słowa.

Co bardziej wścibscy goście spoglądali na siebie porozumiewawczo i szeptem omawiali reakcję Eleanor. Dziewczyna była okropnie zdenerwowana, prawda? A jak zbladła. Przecież nie ma dymu bez ognia? Ukradkiem zerkali na Charlesa Fawcetta, który rozmawiał i żartował z prezydentem Goulartem. Wietrząc nowy temat do plotek unosili brwi i uśmiechali się znacząco.

Eleanor pobiegła do ogrodu. Henry stał przy fontannie. Zatrzymała się, by popatrzeć na niego z ukrycia. Uśmiechnęła się, kiedy chcąc zerwać różę, ukłuł się i zaklął siarczyście.

– Na Boga, Henry, nie przyszłoby mi do głowy, że znasz takie słowa. Przez tyle lat utrzymywałeś mnie w przekonaniu, że jesteś wzorem dżentelmena! – zażartowała. Odwrócił się szybko, zakłopotany i rozbawiony jednocześnie.

– No cóż, więc teraz poznałaś mój najstraszniejszy sekret. Jeśli uważasz, że ja przeklinam, powinnaś usłyszeć prawników w sądzie. Proszę, to dla ciebie – podał jej różę bladeżółtą jak sukienka Eleanor, jaśniejącą czystym złotem na obrzeżach płatków. Dziewczyna przysunęła kwiat do twarzy. Co za szkoda. Prawie nie pachnie.

Henry spojrzał na przyjaciółkę uważnie.

– Chodź tutaj do cienia i usiądź. Przyniosłem szampana, chłodzi się w fontannie, i coś do jedzenia. Szczerze mówiąc, nie mam teraz ochoty na ciasto. A ty? – zorientował się już, że coś jest nie w porządku, choć udawała beztroską i pogodną. Była blada, miała błyszczące oczy, jakby z trudem powstrzymywała łzy. Co się stało? Czy John znowu ją skrzywdził?

Zaprowadził ją do cienia. Usiedli na kamiennej ławeczce, ukrytej wśród dzikiej winorośli. Eleanor odetchnęła z ulgą, kiedy ogarnął ich chłodny półmrok.

– Wianek ci się przekrzywił – poinformował ją Henry z uśmiechem.

Ostrożnie poprawił stroik, wyplątał wstążki z włosów. Na koniec delikatnie pogładził dziewczynę po policzku. – Teraz lepiej?

– O tak! – zaśmiała się słabo. Skąd wiedział, jak ją pocieszyć? I cóż ją obchodzą wstrętne plotkarze, skoro ma Henry'ego, który się o nią troszczy? Uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Co powiesz na odrobinę szampana? Od początku przyjęcia właściwie nic nie piłam, a od zakończenia uroczystości w kościele nie usiadłam nawet na chwilę. Najwyższy czas, żebym i ja się trochę rozerwała.

– O! To mi się podoba! Zaraz osuszymy całą butelkę! – Zerwał srebrną folię, odwinął drucik i zręcznie wyciągnął korek. Eleanor podsunęła swój kieliszek. – I wiesz, co mi właśnie przyszło do głowy? – dodał.

– Co? – zainteresowała się. Henry odłożył butelkę z powrotem do fontanny.

– Przyszło mi do głowy, że pod koniec przyszłego roku mógłbym odwiedzić cię w

Paryżu. Akurat skończę studia. Chyba będzie mi się należała mała wycieczka do Europy. Co ty na to?

– Ależ Henry, cudownie! Nie mogłeś mi powiedzieć nic miłszego! – zawołała ucieszona. Wypili. Wznosili toast za toastem: za Isobel i Louisa, za Paryż, za wizytę Henry’ego. Alkohol, duszny aromat kwiatów i dziwny, żelazisty zapach wody uderzały im do głów. Bawili się świetnie. I tylko przez chwilę Eleanor wyobraziła sobie, o ile byłoby lepiej, gdyby to nie Henry, lecz John odwiedził ją w Paryżu. Zaraz jednak odepchnęła tę myśl, zła, że coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy.

Wieczorem przygrywał zespół muzyczny; Isobel i Louis zatańczyli pierwszego walca na pustym jeszcze parkiecie. Potem Charles poprosił Clarissę i stopniowo coraz więcej par wirowało w blasku świec. Kelnerzy sprząтали zbędne naczynia i wnosili nowe półmiski. Eleanor zostawiła Henry’ego w towarzystwie przyjaciół i skierowała się w stronę domu. Chciała się upewnić, czy podróżny kostium Isobel jest przygotowany i czy zniesiono już bagaże młodej pary. Domyślała się, że przyjaciele Louisa przyczepili do tylnego zderzaka samochodu balony i stare buty. Miała tylko nadzieję, że nie powypisywali sprośności na oknach. Isobel poczułaby się urażona. Poprosiła Honória, żeby to sprawdził.

To było długie, gorące popołudnie, stwierdziła Eleanor. Wilgoć w powietrzu nie dawała oddychać. Po zmroku okryła ogród warstwą rosy. Wilgotna sukienka przylegała do ciała. Włosy ciężko opadały na plecy. Dziewczyna z rozkoszą powitała chłodny wiaterek.

Kręciło jej się w głowie po wypiciu sporej ilości szampana. Podśpiewując pod nosem, wygładziła nieliczne zagniecenia na sukience Isobel, przesunęła dłonią po koronkowej bieliźnie. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Wyprostowała się, poprawiła włosy, bezskutecznie próbując doprowadzić je do porządku, i pobiegła do pokoju Johna.

Młody człowiek spał, beztrzesko rozwalony na łóżku. Marynarka, krawat i inne części weselnej garderoby poniewierały się na podłodze. Miał na sobie tylko slipy. Eleanor przypomniała sobie pewien dawno miniony poranek. Byli wtedy w Vila Serrista. John wyszedł na werandę ubrany tak jak teraz, jedynie w stare szorty. Zażęknęła za czasami, kiedy kuzyn był szczęśliwy i pogodny, kiedy w jego słowach nie dźwięczały gorycz i gniew, kiedy wystarczyło jedno spojrzenie czy uśmiech, by poznał jej myśli.

Cichutko zamknęła drzwi i podeszła bliżej, pochyliła się nad nim. Nie mogła się powstrzymać; musiała odsunąć pieścizliwie kosmyk jasnych włosów z czoła, obrysować palcami kontury twarzy. Jest taki chudy, pomyślała z bólem w sercu. Za chudy. Może Teresa źle gotuje albo może on nie ma czasu jeść, pochłonięty strajkami, zamieszkami i protestami. Teraz, kiedy spał, z jego twarzy zniknął cały cynizm i gniew. Wyglądał jak mały chłopiec, beztrzeski i uśmiechnięty. Pocałowała go w czubek nosa. Nie poruszył się.

Przesunęła dłonią po barkach, wzdłuż ramienia. Dotyk silnych mięśni pod skórą sprawiał jej przyjemność. John nie miał ani grama tłuszczu, w przeciwieństwie do Louisa, który tracił już urodę playboya, zaczynał tyć. Za dużo alkoholu, za dużo smakołyków, pomyślała Eleanor z niesmakiem. Cieszyła się, że to nie ona za niego wyszła. Wróciła spojrzeniem do Johna i z przerażeniem stwierdziła, że ma otwarte oczy. Obserwował ją.

– Ojej! Mogłeś powiedzieć, że nie śpisz! – wypomniła. Nawet w ciemnym pokoju

dostrzegł jej rumieniec.

Uśmiechnął się leniwie.

– Było mi tak dobrze. Nie przerywaj. To przyjemne.

– Co? To? – znowu musnęła jego ramię. – Czy to? – z całej siły pociągnęła go za włosy pod pachami.

Z okrzykiem bólu przewrócił ją na łóżko i nakrył swoim ciałem.

– To nie było śmieszne, Eleanor – mruknął zdenerwowany. Dziewczyna zachichotała w odpowiedzi, rozbawiona jego reakcją, oszołomiona szampanem i upałem. Na drugi raz zastanowi się poważnie, zanim uda, że śpi, pomyślała.

Leżał na niej, dysząc ciężko. Spojrzał jej w oczy.

– Czemu to zrobiłaś? Już miałem nadzieję, że dla odmiany postanowiłaś być miła, tak jak kiedyś – w jego tonie pobrzmiwała irytacja i, być może, odrobina rozczarowania.

– A kiedy ja byłam miła, John? Przecież klóciliśmy się i bili o każdy drobiazg! Przepychaliśmy się, ty ciągnąłeś mnie za włosy, ja gryzłam cię w rękę. Ale to naprawdę nic nie znaczyło. I nigdy, teraz też, nie chciałam sprawić ci bólu, tylko się poprzekomarzać – przestała się uśmiechać.

Wyczuła, że zmienił mu się humor, ale nie potrafiła się do niego dostosować.

– No cóż, w takim razie udało ci się. Miałem piękny sen, zanim przyszedłaś. A potem byłaś taka... – przerwał, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. – Taka czuła. Taka delikatna. Pomyślałem, że może... – umilkł rozczarowany. Puścił ją.

Nie wstała. Ze zmarszczonym czołem patrzyła mu w oczy.

– Może co?

Nie odpowiadał, a ona zastanawiała się, czy John pamięta jeszcze, jak dobrze im było ze sobą w dzieciństwie. Należeli wtedy do siebie. Poglaskała go po ramieniu.

– Że może ci jeszcze na mnie zależy – odparł w końcu. Szeroko otworzyła oczy.

– Ależ skąd ci przyszło do głowy, że mi nie zależy? Wiesz przecież, ile dla mnie znaczysz, prawda? Myślałam, że to oczywiste.

Chciał zaprotestować, ale urwał w pół słowa. Wstał z łóżka. Podszedł do okna. Zielonobiała markiza jaśniała w ciemności. Płomyki świec leciutko drżały, kołysane słabą bryzą.

Stała za nim, objęła go, przytuliła się do nagich pleców.

– O co chodzi, John? Co się dzieje? – zapytała cichutko, niemal szeptem.

Nakrył jej dłonie swoimi.

– Nie wiem, Eleanor. Przeraza mnie tempo, z jakim się od siebie oddaliśmy. Nie potrafimy się już odnaleźć. Coraz mniej nas łączy – odwrócił się tak gwałtownie, że nie zdążyła się odsunąć, i zamknął ją w mocnym uścisku. – Przeraza mnie to – powtórzył.

Ukrył twarz w jej włosach. Eleanor przytuliła go mocniej.

– A nie powinno. Jestem tu i zawsze będę. Nie bój się – wyszeptwała. Wtedy wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko, położył delikatnie i opadł na posłanie obok niej.

– Eleanor, powiedz mi, co się dzieje? O czym tak dumasz? – zapytał nagle. Teraz ona się przestraszyła.

– Nie wiesz? Nie potrafisz już tego wyczuć? – zapytała miękko. Potrząsnął przecząco głową.

– Nie! Nie rozumiem tego. Co się z nami stało? Dlaczego wszystko się zmieniło? Dlaczego nie odgadujemy już nawzajem swoich myśli, a ilekroć jesteśmy razem, walczymy, i jedno stara się drugie zranić? Nie pojmuję tego i wcale mi się to nie podoba! – podniósł głos.

Zakryła mu usta dłonią, nie pozwalając mówić dalej. Chciała ukoić jego ból, uciszyć strach.

– Wszystko będzie dobrze, dopóki nam na sobie zależy i chcemy być razem. Ja... żałuję, że nie jadę do Sao Paulo. Liczyłam, że to pomogłoby nam wyjaśnić pewne sprawy. – Odsunął się od niej. – Ale papa nie chce o tym słyszeć, a ja nie rozporządzam pieniędzmi i przez najbliższych kilka lat jeszcze nie będę ich miała. Nie mam wyboru, John. W przeciwieństwie do ciebie. Muszę szukać kompromisów. I tym właśnie jest dla mnie Paryż – kompromisem. Rodzice zgodzili się, że wyjadę z domu, ale nie do miasta, które wrze od zamieszek. John, walczyłam o studia w Sao Paulo przez cały rok i nie udało mi się papy przekonać. A potem rozeszły się te plotki o nas... Cóż, wtedy i ja zapragnęłam wyjechać jak najdalej od tego wszystkiego. Nawet od ciebie – westchnęła ciężko. – Przepraszam.

Jego oddech musnął policzek Eleanor ciepłym powiewem. Więc jednak nie jest aż tak źle.

– Nie przepraszaj. To także moja wina. Może gdybym był podobny do Louisa czy Henry’ego, bardziej konserwatywny i giętki, gdybym się potrafił dopasować do życzeń twojego ojca, może wtedy reagowałby na mnie inaczej. Ale ja nie umiem, Eleanor. Rozumiesz to, prawda? Nie potrafię być... doskonały.

– Tak – odparła powoli. – Wiem o tym. To chyba... przeznaczenie. Zły los. Zmierzamy w przeciwnych kierunkach, a papa nie pozwala nam się zmienić. Nie chce, żebyśmy się zbliżyli, bo uważa, że sprawimy sobie nawzajem ból. Albo jemu. Jego nemezis, pamiętasz? – przywarła policzkiem do ramienia kuzyna, objęła go mocno. Za oknem niebo mieniło się fioletem. Wieczorne powietrze wypełniała muzyka. W pokoju było już ciemno. Zmrok zbliżał ich do siebie, łagodził obcość, którą wcześniej czuli.

Nie była zaskoczona, kiedy John ją pocałował. Być może od dawna tego pragnęła, może już od tamtej nocy, gdy przyszedł do niej do łóżka, pijany i nieszczęśliwy, załamany zgotowanym mu przez rodzinę powitaniem. A może czekała na to od chwili, gdy przyglądała mu się w autobusie, zdumiona zmianami, jakie zaszły w chłopcu przez cztery lata.

Eleanor przytuliła się do niego, rozchyliła usta, chciała, by trzymał ją w objęciach. Jego wargi smakowały obco i znajomo jednocześnie. Nie martwiła się już ich związkami, nie obchodziło jej, co sobie pomyślą plotkarze. Kiedy John ją całował, wkładając w tę pieszczotę wszystkie rozterki i cierpienia ostatnich lat, myślała tylko o tym, jak bardzo go pragnie. I jak naturalne jest to pragnienie.

– Nie mów „nie”, Eleanor. Błagam, najdroższa, nie odmawiaj mi – jęknął. Dziewczyna czuła jego ręce na swoim ciele. Przyciągały ją, unosiły. Ujęła twarz Johna w dłonie i odwzajemniła pocałunek, mocno, z namiętnością, od której kręciło się w głowie, która upajała i unosiła ze sobą.

Wianek zerwany z głowy poleciał w ciemność. Żadne z nich nie słyszało, gdzie upadł.

John szarpał na Eleanor sukienkę, podarł na ramieniu, bo zaczepiła się, a on nie miał cierpliwości czekać. Dziewczyna krzyknęła, ale nie słuchał jej, ogarnięty pożądaniem. Szarpnął mocniej i tkanina pękła, opadła z ramion na biodra, w dół. Eleanor przeraziła siłą, z jaką John ją tulił. Nie słyszał cichych prośb o spokój i delikatność.

Przywarła do niego, rozkoszowała się dotykiem chłodnej, jędrnej skóry. Niemal nieświadomie poprawiła się na łóżku tak, by obojgu było jak najwygodniej. Oplotła kochanka ramionami. A on obsypywał pocałunkami jej twarz, szyję, piersi. Niemal wygięła się w łuk, chcąc być jak najbliżej niego.

– Nie opuszczaj mnie, Eleanor. Nigdy! – szepnął, a potem wypełniły ją ból i rozkosz, jedno nierozzerwalnie splecione z drugim. Dużo czasu minęło, zanim powrócili do rzeczywistości.

Dopiero kiedy w korytarzach rozległ się śmiech Isobel i jej druhen, zdali sobie sprawę, że musi już być bardzo późno. Zamarli, wtuleni w siebie. Zza drzwi dobiegało ich rzucone mimochodem pytanie Isobel o siostrę. Eleanor poczuła dłoń Johna na plecach; przyciągał ją do siebie, uspokajał. Jęknęła, przerażona i pełna niesmaku dla tego, co zrobili. Teraz nie było już odwrotu!

Głosy słabły, aż umilkły zupełnie, a oni nadal leżeli bez ruchu, bez słowa. Stopniowo Eleanor zaczęła wyczuwać granicę między sobą a Johnem. Jeszcze przed chwilą byli jednym ciałem, jedną osobowością. Drżała. Ukryła twarz na jego ramieniu. Płakała.

– O Boże, John, co myśmy zrobili? – jęknęła.

Przesunął się, tak że teraz patrzył jej w twarz i mógł obetrzeć łzy z jej oczu. Pocałował Eleanor w usta; ponownie ogarnęło ją pragnienie, by poczuć go w sobie, po raz kolejny popełnić to samo szaleństwo.

– Nie płacz, najdroższa. Kochaliśmy się. To nic złego. Przecież naprawdę się kochamy. Ćśś – uspokajał ją, a ona z radością przyjmowała jego pocałunki. – Spokojnie, Eleanor. To przydarza się setkom tysięcy ludzi na całym świecie. Wiele osób zawiera związki małżeńskie z kuzynami. Tylko wśród katolików jest to uważane za grzech. A ty nie jesteś zagorzałą katoliczką, więc o co chodzi? Wszystko jest w porządku. To, co nas łączy, nie może być złe. Wiesz o tym? Słyszysz tę prawdę w moich słowach? Nie mogliśmy nic na to poradzić; od zawsze wiedzieliśmy, gdzieś w głębi serca, że tak się stanie.

Przykrywał ją swoim ciałem, wyczuwał wszystkie jej okrągłości, gładką rozpaloną skórę.

– Zawsze będziesz moja – wyszeptał i wtedy dziewczyna zrozumiała, że John ma rację. Ponownie stała się jego częścią i wszystkie jej wątpliwości, opory zostały poza nią. Unoszona namiętnością, Eleanor po prostu zamknęła oczy i oddała się uczuciom. Chciała mieć go przy sobie, poruszać się razem z nim, kochać go tak, jak on kochał ją.

Obudziła się po kilku godzinach. Panująca wokół cisza uświadomiła jej, że jest środek nocy. Leżała na brzuchu, czuła na plecach ciężar Johna. Ból między nogami przypominał o szaleństwie ostatnich godzin. Powinna teraz cichutko przekraść się do swego pokoju, nie potrafiła jednak odepchnąć ukochanego. Uniosła się na łokciu, wyginając plecy w łuk.

Wtedy obudził się. Przycisnął usta do jej ramienia, odnalazł dłońmi piersi, muskał palcami sutki, aż stały się twarde i sterczące, aż poczuł, że jeszcze bardziej wygina plecy i

bezgłośnie jęczy w ciemności.

Pasowali do siebie idealnie, pomyślała ospale, jakby każda jej wypukłość miała swój odpowiednik we wklęsłości jego ciała. Przygarnął ją mocniej, i po chwili znów byli razem. Powtarzał i powtarzał, że ją kocha. Kiedy nie mogli już znieść narastającej rozkoszy, poddali się uczuciom. Potem jeszcze długo leżeli ciasno spleceni.

W końcu John zasnął z głową na piersi Eleanor. Poczucie bezpieczeństwa otulało go równie namacalnie jak jej ramiona. Po raz pierwszy od dawna nie śnił o ogniu i śniegu...

## Rozdział czternasty

Dwa dni później wyjechała do Paryża.

Nikt nie zwrócił uwagi na jej ponurą minę w rano po ślubie Isobel. Wiele osób cierpiało wskutek zbyt dużej ilości szampana i wysokiej temperatury, tak więc nikt nie zauważył bladłości Eleanor, kiedy skulona siedziała w bibliotece.

Isobel z trudem wpackowała Louisa do samochodu i wyjechała w podróż poślubną. Tylko nieliczni goście byli w stanie pożegnać młodą parę, rzucając ryż i płatki kwiatów. Nie dziwiono się nieobecności Eleanor. Zakładano, że szampan zrobił swoje i dziewczyna uciekła do łóżka. Co, jak z goryczą w duchu stwierdziła, w pewnym sensie było zgodne z prawdą.

Nikt niczego nie podejrzewał. To dziwne, pomyślała. Po tylu plotkach była przekonana, że wiele osób zauważy, że ona i John zniknęli w tym samym czasie. No, ale też wieczorem wszyscy byli już pijani.

Od tamtej pory unikała kuzyna – jego wzroku, głosu, samej jego obecności. Ignorowała wszelkie wysiłki, które czynił, by z nią porozmawiać na osobności, rzadko odzywała się przy stole, w nocy zamknęła się na klucz. To wszystko jej wina. Poszła do niego i nie protestowała, nie odepchnęła go, więc to jej wina. Wiedziała, że postępują źle, podczas gdy John myślał tylko o tym, jak ją zdobyć. Pragnął tego tak mocno, i w końcu uległa jego woli, nie usłuchała głosu, który gdzieś w głębi serca wołał, że nie, nie wolno, muszą przestać. Teraz jednak ten głos dudnił dziewczynie w uszach. John to jej *primoirmao*. Są zbyt blisko spokrewnieni, dla ich miłości nie ma usprawiedliwienia. Ona, Eleanor musi odejść.

Zresztą wszystko zaplanowano już wcześniej. Od dawna miała zamiar wyjechać zaraz po ślubie Isobel. Nie było zbędnego pośpiechu, nikt nie unosił pytająco brwi na wiadomość o terminie podróży. Tylko John poczuł się zaskoczony, jakby nie mógł uwierzyć, że nic się nie zmieniło, że przygotowania nadal trwają. Że Eleanor naprawdę leci do Paryża. Przez cały tydzień wodził za kuzynką wzrokiem, zbity z tropu jej oschłością, przesiadywał całymi godzinami w swoim pokoju. W nocy wyjechał do Sao Paulo, zostawiwszy krótki list. Eleanor była nieszczęśliwa, ale jednocześnie odczuła ulgę, co z kolei wywołało poczucie winy.

Nie mogła zapomnieć bólu i zagubienia w oczach Johna. Zadręczała się, sama siebie oskarżając o brak serca. Kochała go, ale dlaczego, dlaczego, ilekroć byli razem, miała wrażenie, że traci panowanie nad swoim życiem, jakby kazano jej biec szybciej, niż stopy mogły ją nieść? Dlaczego zawsze ulegała jego woli?

Następnego ranka rodzice i Henry odwieźli ją na lotnisko. Rozplakała się, nagle świadoma, że nikogo z nich nie zobaczy co najmniej przez rok, choć tak bardzo ich kocha. Ściskali się i całowali na pożegnanie. Henry objął ją mocno, po czym wypuścił z ramion z uśmiechem. Kiedy już po kontroli paszportowej szła do samolotu, ogarnęło ją zupełnie nowe, nie znane dotąd uczucie – była wolna.

John siedział przed telewizorem i oglądał audycję dla dzieci w TV Globo. Wyciszył

dźwięk, więc na ekranie bezgłośnie migotały misie, baloniki i laleczki. Chłopak bezmyślnym wzrokiem wpatrywał się w kukielki. Myślał. Miał zupełnie inny obraz przed oczami. Dolał sobie wina, przygotował następnego skręta i poprawił się w fotelu, nieobecny i półprzytomny.

Teresa zerkała na niego niespokojnie. W kuchni, gdzie szykowała kolację, było bardzo gorąco. Nie pomagały szeroko otwarte okna, letnia styczniowa noc przytłaczała upałem. Gdyby nie to, że John nie zjadł porządnego posiłku, odkąd wrócił z Rio, dziewczyna nie dusiłaby się teraz w ciasnym pomieszczeniu. Nie lubiła gotowania ani sprzątanania, nie lubiła żadnej pracy, przy której nie można się stroić i olśniewać wdziękiem. Bała się, by ludzie nie uważali jej za jego służącą. Ponieważ jednak John schudł ostatnio jeszcze bardziej, nie mogła dłużej lekceważyć sytuacji. Jeśli ceną za jego zdrowie ma być ślęczenie w dusznej kuchni – zrobi to. Dziś, jutro i w każdy inny dzień.

Teresie podobało się ich mieszkanie: z oddzielną kuchnią i łazienką i aż dwoma pokojami! Zachwycalo ją skromne umeblowanie i biel ścian, nie przytłoczonych setką zbędnych bibelotów. I podobał się jej mężczyzna, który tu mieszkał, jego spokój, inteligencja, troskliwość. Więcej niż podobał, pomyślała z ciężkim sercem, kochała go.

Ale on jej nie kochał. Nigdy zresztą tego nie ukrywał. Lubił ją, odpowiadało mu jej towarzystwo, kiedy wracał zmęczony z zajęć w Escola de Sociologia e Politica iub gdy do późnej nocy zbierał materiały do pracy magisterskiej, ale nie kochał jej. Tym uczuciem darzył tylko swoją kuzynkę. Eleanor. Teresa siekała liście mięty szybkimi, precyzyjnymi ruchami. Zabijała myśl o Eleanor.

– Pracujesz jutro?

Podniosła głowę. John stał w drzwiach z uśmiechem na ustach. Był to sztuczny, wymuszony grymas, ale i tak świadczył o postępie. Teresa zwątpiła już, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy przyjaciela w lepszym humorze.

– Nie, jeśli masz inne plany – odparła szybko. – To nic wielkiego, zdjęcia próbne do filmu. Na pewno przyjdą setki kandydatek. Nic się nie stanie, jeśli nie pójde.

Dostrzegła jego zmartwioną minę i od razu zrozumiała swój błąd. Teraz John będzie się martwił, że ona za bardzo angażuje się w ich związek. Po chwili jednak chłopak odzyskał spokój.

– Nie, nie. Byłem po prostu ciekaw, jakie masz plany. Po południu idę na zebranie, więc może się zdarzyć, że wrócę dopiero późnym wieczorem. Podyskutujemy o Goularcie i jego ministrach. Szykuje się świetna zabawa – dodał z ironią. Teresę przeszedł dreszcz. Wolałaby, żeby John nie zajmował się polityką. Prędzej czy później rząd zechce się zemścić. Mój Boże, czy nie mógłby zostać lekarzem albo prawnikiem?

– No cóż, jeśli tak, to chyba pójde na te zdjęcia. Podobno mają tu kręcić amerykański film i potrzebują statystek. Kto wie, może mi się poszczęści – roześmiała się, jakby samo przypuszczenie, że coś może się jej udać, było absurdalne. – Chodź, zjedz. Ugotowałam coś dobrego.

Zmusiła go, by usiadł, namawiała na dodatkowy talerz zupy, dodatkową kromkę chleba, dodatkowy plasterk sera, aż miał wrażenie, że zaraz pęknie. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio tyle zjadł. Jedzenie rozleniwilo go, przeszywający ból złagodniał. John ujął rękę Teresy i



pocałował wewnątrz dłoni.

– Nie rozumiem, dlaczego ze mną jesteś, Tereso. Opiekujesz się mną i karmisz. Dlaczego? – zmarszczył brwi, jakby naprawdę intrygował go ten problem.

Wzruszyła ramionami.

– A dlaczego nie? Pasujemy do siebie. Żadne z nas nie bawi się w sentymentalne bzdury – z wysiłkiem nadała głosowi twarde brzmienie. – Dajemy sobie to, czego potrzebujemy. A kiedy ten układ przestanie nam odpowiadać, rozstaniemy się. Tak jak poprzednim razem.

Więc nie myśl, że cię kocham i dlatego możesz złamać mi serce. Nigdy się o tym nie dowiesz. To mój sekret, myślała z rozpaczą.

John widział tylko jej uśmiech, nie zauważył, że był to żaloszny grymas, niemal skurcz mięśni. Nie dostrzegął bólu w oczach dziewczyny.

– W porządku – mruknął. Właśnie to chciał usłyszeć. – Dobrze nam ze sobą, prawda? Komu potrzebna miłość?

Wyszedł z kuchni. W sypialni rzucił się na łóżko z ciężkim westchnieniem. Teresa, pogrążona w ponurych rozważaniach, nie wstawała od stołu.

Po dłuższym czasie zabrała się za zmywanie. Potem porządkowała zapiski Johna porozkładane po całej podłodze. Notatki do jego pracy dyplomowej. Po chwili wahania usiadła przy stole i zaczęła je przeglądać. Wiedziała, że zajmie to dużo czasu, bo nadal miała problemy z czytaniem, ale próbowała znaleźć w tych notatkach wyjaśnienie, dlaczego John jest taki, jaki jest.

„... im lepiej poznajemy człowieka jako jednostkę i społeczność ludzką w jej obecnej formie... „ i tak dalej, i tak dalej, przez wiele stron, na których omawiał zagadnienia socjologiczne. Nie pojmowała ani słowa. Dopiero przy końcu zauważyła fragment zaznaczony innym kolorem.

„W Brazylii daje się zauważyć brak pewnego *esprit de corps*. Sergio Buarque de Holanda, mówiąc o specyficznych cechach ludów Półwyspu Iberyjskiego, stwierdza, że «... wartość mężczyzny definiuje to, w jakim stopniu udało mu się uniezależnić od innych, na ile nie potrzebuje nikogo»... Teresa czytała uważnie, przekonana, że właśnie tu kryje się klucz do osobowości człowieka, którego tak rozpaczliwie kochała. Niestety, sens tych słów umykał jej. Zdenerwowana brnęła dalej.

„Uważam, że w Brazylii dzieje się tak samo. W kulturze brazylijskiej prawdziwy mężczyzna to ten, kto nikogo nie potrzebuje... „ Ostatnie pięć słów podkreślono grubą kreską.

Kiedy tak siedziała, zrobiło jej się zimno. Więc może o to chodzi; może wcale nie jest tak, że John kocha Eleanor, a nie ją, Teresę. Może on po prostu nikogo nie potrzebuje. Zadrzała na tą myśl. No cóż, takie jest życie. John nauczy się potrzebować jej, tak jak ona potrzebuje jego.

Spodziewała się jego dziecka.

Nigdy w życiu Eleanor nie zmarzła tak bardzo. Wiatr tarł szalik, dmuchał prosto w twarz, kiedy przechodziła przez jezdnię i wymijała zaparkowane samochody. Dziewczyna klęła pod nosem i szła dalej, kurczowo ściskając koszyk z zakupami. Zgrabiętymi palcami szukała kluczy. Rue D'Amelie była niedaleko. Zanim jednak dotarła do domu, miała

wrażenie, że przemaszerowała przez śnieżną pustynię i skutą lodem tundrę. Przekręciła klucz w zamku i oparła się o framugę.

– Eleanor, *c'est tu la? Attends, j'arrive!*

Drobna, ciemnowłosa dziewczyna zobaczyła ruszającą się klamkę i podbiegła do drzwi. Wpuściła do środka wysoką blondynkę, która chwiała się na nogach, jakby była ostatnim, skrajnie wyczerpanym wojownikiem Hannibala świeżo po przejściu przez Alpy.

– Wchodź, wariatko! – zawołała ciemnowłosa po francusku. Eleanor wręczyła jej koszyk.

– Na Boga, Sophie, nie wyjdę stąd aż do wiosny – jęknęła. Przyjaciółka ze zrozumieniem kiwała głową, niosąc zakupy do kuchni.

– Tak, tak, wiem. Ale jutro też są wykłady i co zrobisz, hę? Powiem ci: po raz kolejny zmierzysz się z zadymką i mrozem. Potem zaś po raz kolejny opowiesz mi, jak ciepło jest w Brazylii, a ja ci opowiem, jak ciepło jest na południu Francji. I będziemy razem brnęły przez śnieg do domu, przemarznięte na kość, i narzekały jak stare baby – zachichotała Sophie.

Eleanor zmrużyła oczy.

– Czy jesteśmy aż tak mało oryginalne? No ale skoro na to czekasz, chętnie ci opowiem, jak to wszyscy moi bliscy i przyjaciele właśnie teraz leniuchują w ogrodzie, pływają w basenie albo grają w tenisa. Słońce pali, kwiaty kwitną i... o Boże, jak ja nie znoszę Paryża!

Jej dramatyczny okrzyk nie zdołał wytrącić z równowagi drobnej Francuzki. Spokojnie odgryzła kawałek bagietki i uśmiechnęła się.

– Ja też. Pojadę z tobą do Brazylii. Nie mam nic przeciwko odrobinie słońca. Ani przeciw wspaniałym mężczyznom, którzy nie spędzają całych dni po kawiarniach, pijąc kawę, paląc i dyskutując o polityce.

Sophie pochyliła się z papierosem nad palnikiem gazowym i dopiero wtedy postawiła czajnik na kuchence. Gotowała wodę na kawę.

– Niestety, wszyscy, których znam, tak właśnie się zachowują! Ciekawe dlaczego polityka wydaje się im takim fascynującym tematem? Znam dziesiątki bardziej interesujących. – Eleanor rzuciła palto na kanapę, która zajmowała niemal połowę mikroskopijnego saloniku. Podeszła do kominka. Przynajmniej miały prawdziwy ogień.

– Na przykład? – zainteresowała się Sophie. Podsunęła paczkę papierosów w stronę Eleanor, która bezskutecznie usiłowała się nauczyć zaciągać.

– Powiedzmy: literatura, podróże, restauracje, teatr, muzyka... – zaczęła. Sophie wpadła jej w słowo:

– Sklepy, ciuchy, film, seks, faceci – wyrecytowała szybko.

– No, to także – przyznała Eleanor. – Ale tylko pod warunkiem, że będą trzymali ręce przy sobie. Mam dosyć dawania im po łapach.

– Czy Brazylijczycy nigdy nie zaczepiają kobiet? Byłam przekonana, że gorąca latynoska krew nie pozwala im zachowywać się wstrzemięźliwie. – Sophie wyglądała na rozczarowaną.

Eleanor parsknęła śmiechem.

– Jeśli o mnie chodzi, to i owszem. Masz, skończ – podała przyjaciółce papierosa i zaniósła się kaszlem, wciąż czując w ustach kwaśny posmak. – Nigdy nie nauczę się palić, więc nie ma sensu więcej próbować. Będę po prostu piła jeszcze więcej kawy i wyglądała na

bardziej znudzoną i niedostępną niż dotychczas – przybrała nonszalancką pozę, jakby siedziała przy kawiarnianym stoliku. Sophie potrząsnęła głową.

– Jesteś wystarczająco niedostępna. Nie staraj się być jeszcze bardziej podobna do Grety Garbo. Otwórz się.

Eleanor jednak wcale sobie tego nie życzyła.

Siedziały tak i gadały, plotkowały o wykładowcach, kpiły z innych studentów, narzekały na pogodę i ciasnotę w mieszkaniu.

Eleanor poznała Sophie Gastambide w malutkim hoteliku na lewym brzegu Sekwany niedaleko Placu Inwalidów. Obie zatrzymały się tam, rozglądając za jakąś lepszą kwatery. Sophie pochodziła z południa Francji, z okolic Perpignan. Jej ojciec jest malarzem, wyjaśniła zaraz pierwszego dnia, i dla swojej twórczości potrzebował odpowiedniego światła. Kiedy poznały się lepiej, wyznała jednak po prostu, że mieli mało pieniędzy, a życie w Paryżu okazało się zbyt drogie.

W dwa tygodnie po rozpoczęciu wykładów dziewczęta wynajęły razem mieszkanie. Eleanor, której Charles wyznaczył hojną pensję, płaciła większą część czynszu, za co Sophie odwdzięczała się, wprowadzając przyjaciółkę w niuanse francuskiej gramatyki i zwyczajów kawiarnianych. Już dwa miesiące mieszkały razem. Eleanor uważała się za wielką szczęściarę mając Sophie przy sobie.

– Powiadam ci, Maurice de Baudet jest tobą zachwycony. Stanowisz ucieleśnienie ideału blondynki, jaki wpoila mu matka. I na dodatek jesteś bogata. Z twoją pomocą mógłby przywrócić dawną świetność rodowym posiadłościom, jak choćby temu mauzoleum na Ile de la Cite. Chyba bardzo cię polubił – zauważyła Sophie. Z zabawnie poważną miną wydmuchiwała dym. Wyglądała na tak mądrą i doświadczoną, jak tylko może wyglądać drobna brunetka o twarzy w kształcie serca i dużych szarych, figlarnych oczach. Z zazdrością spojrzała na Eleanor. Jakże chciałaby być wysoką, szczupłą blondynką. Jakże chciałaby mieć, niczym przyjaciółka, rzesze wielbicieli wodzących za nią ponurym wzrokiem.

Dla Eleanor zaś, która patrzyła na świat z imponującej wysokości pięciu stóp i dziesięciu cali (dziesięciu i pół, jeśli mierzyć dokładnie), uosobieniem urody była drobniutka, krucha ciemnowłosa kokietka, zupełnie jak Sophie. Nie mogła uwierzyć w opowieści przyjaciółki, jakoby Francuzi uwielbiali aryjskie blondynki. Na Boga! Przecież są w większości niscy, na co im wielka baba?

– On mnie nie interesuje – oznajmiła. Sophie skwitowała jej odpowiedź wzruszeniem ramion.

– Ha, skoro nie chcesz zostać markizą, czemu miałabym się tym martwić? Proszę, zjedz ekierkę i zniszcz tę swoją świetną figurę!

Eleanor wzięła ciastko, położyła na talerzyku i ostrożnie ukroiła widelczykiem. Sophie pokręciła głową. Nic nie zmieni tej dziewczyny.

– Sophie, ja nie chcę tu zostać. Po ukończeniu studiów wracam do Brazylii, tam gdzie moje miejsce. Co mnie obchodzą rodowe posiadłości de Baudetów? – Eleanor przeciągała sylaby jak arystokratka, aż Sophie parsknęła śmiechem.

– Jak można nienawidzić Paryża, najbardziej romantycznego, wyrafinowanego,

eleganckiego, najpiękniejszego miasta na świecie! Nie! Tego już za wiele! Prowincjuszka! To ja poślubię Maurice'a, chociaż jestem niska, ciemnowłosa i biedna. Może jego matka nie zauważy różnicy. W końcu wystarczy, by mężczyzna raz wszedł do mego łóżka, a na zawsze pozostaje moim niewolnikiem! – Sophie często składała podobne deklaracje, ale Eleanor nigdy nie zauważyła, by przyjaciółka pozwalała wielbicielom na coś więcej niż flirt. To tylko utwierdzało Eleanor w przekonaniu, że musi dla siebie zatrzymać swoją tajemnicę. Obawiała się reakcji Sophie.

– No więc zrób to. A ja, głupia wieśniaczka, przyjadę na twój ślub pięknie opalona, ze świętą ognistych Brazylijczyków, którzy co chwila szczypią wszystkie kobiety w tyłek. Wtedy uciekniesz od ołtarza i od Maurice'a i będziesz mnie błagała na kolanach, żebym zabrała cię z Paryża, bo przed śmiercią chcesz jeszcze raz zobaczyć słońce! Taki los czeka łowców tytułów! – zakończyła grobowym głosem.

Sophie zwijała się ze śmiechu.

– A zatem moim przeznaczeniem jest wieczna pogon za słońcem i nowymi rozrywkami. Nie bój się, Maurice jest bezpieczny. Nie wpadnie w moje szpony – oblizała palce. I już po wszystkim, pomyślała ze smutkiem. W tym momencie Eleanor podsunęła jej połówkę swojego ciastka. Sophie rozpromieniła się i od razu wsadziła ekierkę do buzi, jakimś cudem ani na chwilę nie przestając mówić:

– Czy dostałaś dziś list od swego przyjaciela Henry'ego, który absolutnie nie jest twoim chłopakiem i nie wolno nawet o nim myśleć w tych kategoriach, a który jednakowoż co tydzień przysyła ci listy pełne tęsknoty? Wiesz, kogo mam na myśli? I narzeka, że nie może się doczekać odwiedzin u ciebie?

– Owszem. Tak, dostałam od niego list, ale nie zdążyłam jeszcze przeczytać. Jest w mojej torbie, jeśli chcesz posłuchać wieści z końca świata – mruknęła Eleanor i poprawiła się na kanapie. – I wiesz, to nieprawda, że nienawidzę Paryża. Uważam, że jest piękny, elegancki i... och, wszystko to, co mówiłaś. Daję słowo – dodała, widząc cyniczny grymas przyjaciółki. – Tylko dlaczego tu jest tak zimno? Mój Boże, czy John też cierpiał takie katusze podczas czterech lat w Anglii? – powiedziała bezmyślnie, do siebie raczej niż do Sophie, ale Francuzka zastrzygła uszami i przestała buszować w torbie. Pytająco uniosła brwi.

– A kim, jeśli można wiedzieć, jest John?

Rumieńce na twarzy Eleanor zdradziły, że to on jest powodem braku zainteresowania przyjaciółki innymi mężczyznami. To przez niego nazywano ją „Królową Śniegu”. Ciekawe!

– Och, to mój kuzyn – rzuciła Eleanor i wyciągnęła rękę po list Henry'ego. – Chcesz, żebym ci przeczytała? – usiłowała za wszelką cenę odwrócić uwagę Sophie od Johna.

Szare oczy rozjaśniły się. Kogo ona chce oszukać?

– Dobra. Ale musisz mi tłumaczyć. Mój angielski jest zdecydowanie gorszy niż twój francuski, że już nie wspomnę o zerowej znajomości portugalskiego. A w jakim języku właściwie on pisze?

– Głównie po angielsku. Jego mama pochodzi z Anglii, więc Henry nie ma z tym żadnych kłopotów. Dobra, zobaczmy – rozerwała kopertę, wyjęła list i zaczęła czytać. W porównaniu z eleganckim stylem oryginału, jej tłumaczenie wydawało się toporne.

– „Najdroższa Eleanor! Sprawiasz wrażenie, jakbyś się świetnie bawiła, czego Ci bardzo zazdroszczę. Chciałbym cisnąć w kąt opasłe tomiska i przylecieć do Ciebie natychmiast, zamiast czekać jeszcze cały rok”. – Tu dziewczęta spojrzały na siebie i parsknęły śmiechem. – „Pocieszam się jednak, że jako prawnik zarobię tyle, że będę mógł robić, co zechcę. Wtedy zabiorę Cię w podróż, przy której zbledną uroki Paryża; pokażę Ci piękno twojej ojczyzny, żeby już nigdy nie przyszło Ci do głowy nas opuścić”.

No proszę, oto Henry w każdym calu, pomyślała Eleanor z bladym uśmiechem.

– „Isobel i Louis zamieszkali w zachodnim skrzydle *palcio*. Isobel, oczywiście, zaangażowała dekoratora wnętrz, żeby, jak to określiła, «doprowadził tę rudę do odpowiedniego stanu». Przypuszczam, że sprawiło to przykrość Twojej biednej mamie, i wcale się temu nie dziwię, bo powszechnie wiadomo, że Palacio Lampedusa zalicza się do najpiękniejszych prywatnych rezydencji w Rio de Janeiro. Niestety, Isobel nie ma za grosz taktu, a Louis... cóż, Louis siedzi pod pantoflem i zgadza się z każdym jej słowem. Nie pojmuję, co podkuśliło twojego ojca, żeby obstawać przy wspólnym mieszkaniu. Miejmy nadzieję, że z czasem wszystko się ułoży”.

Eleanor nie wierzyła własnym oczom. Henry niezmiernie rzadko kogoś krytykował. Biedna mama.

„Moi rodzice udają się w rejs po Morzu Śródziemnym. Uważam, że to dobrze robi obojgu. Ojciec narzeka na artretyzm, a mama pragnie zmian. Obiecałem, że zadbam o wszystko podczas ich nieobecności.

Mam także wiadomości o Johnie. Długo wahałem się, czy Ci o tym napisać. Ani Twoi rodzice, ani Isobel nie poinformowali cię jeszcze i mi pozostawili decyzję, czy w ogóle Ci o wszystkim powiedzieć. Uważam, że nie mam prawa zatajać przed Tobą wieści o kimś tak bliskim Ci jak John”.

Eleanor umilkła. Nie mogła dalej tłumaczyć, tylko szybko czytała po angielsku. Sophie zaprotestowała głośno, bo prawie nic nie rozumiała. Eleanor nie zwracała na nią uwagi.

„Kilka dni temu John ożenił się z Teresą. Dowiedzieliśmy się od znajomych Louisa z Sao Paulo. Podobno Teresa spodziewa się dziecka... dziecka Johna i to było najlepsze wyjście z sytuacji. Nie wiem, co John o tym idzi ani kiedy ma się urodzić dziecko. Może powinnaś do niego napisać. Ja nie chciałbym pchać się tam, gdzie niemal na pewno mnie nie chce. Wybacz, jeśli sprawiłem Ci tą wiadomością ból, ale uważałem, że powinnaś wiedzieć.

Przypuszczam, że nie możesz teraz myśleć o niczym innym, więc kończę już. Za kilka dni napiszę znowu. Wszystkiego najlepszego, Henry”.

Eleanor siedziała przy kominku. Milczała. Płomienie nieprzyjemnie grzały ją w twarz, ale ona niemal pragnęła fizycznego bólu. Więc John się ożenił. Z Teresą. Będą mieli dziecko. Przez krótką, szaloną chwilę Eleanor żalowała, że to nie ona jest w ciąży. Że nie poczęła dziecka tamtej nocy po ślubie Isobel. Zaraz jednak wróciła do rzeczywistości. Jej ciąża niczego by nie zmieniła. Nie mogła poślubić swego *primoiirmao*, bez względu na to, jak bardzo go kochała.

– Cóż – odezwała się drżącym głosem. – A to dopiero niespodzianka.

Starannie złożyła list i schowała go do kieszeni. Wróci do niego później, w zaciszu swego

pokoju. Przeczyta go tak, jak do tej pory czytała list, który zostawił dla niej John przed wyjazdem do Sao Paulo. Pisał wtedy o miłości, o tym że będzie czekał na Eleanor, że koniec końców i tak są sobie przeznaczeni. A teraz, niecałe dwa miesiące później, miał ciężarną żonę. Roześmiała się gorzko.

Sophie widziała, jak dziewczyna pobladła, słyszała drżenie w jej głosie, kiedy po angielsku czytała końcówkę listu. Niewiele zrozumiała, ale wychwyciła sedno sprawy. John ożenił się. Eleanor na zawsze pozostanie skrytą, niedostępną „Królową Śniegu”, jeśli ona, Sophie, nie dowie się, ile ten mężczyzna naprawdę dla przyjaciółki znaczył. Był bliższy niż kuzyn, to jasne, ale o ile bliższy?

– Opowiedz mi o Johnie, Eleanor. Aż do dzisiaj nigdy o nim nie wspominałaś. Cóż takiego uczynił, że trzęsiesz się jak osika na wietrze?

– On... ożenił się z dziewczyną, z którą z przerwami spotykał się od kilku lat. Ona jest w ciąży. – Eleanor starała się mówić normalnym głosem, ale poniosła klęskę.

– No i? Jaki to ma związek z tobą? – naciskała Sophie. Wyczuwała tajemnicę, straszliwy, mroczny sekret, którym przyjaciółka chciała się z kimś podzielić, ale była zbyt zamknięta w sobie, by zrobić to z własnej woli.

– Mówiłam ci już, to mój kuzyn. Syn siostry mojego ojca. Mój *primoirmdo*,

W oczach Eleanor rozbłyły łzy, w głosie pojawiły się historyczne nuty. Zerwała się na równe nogi, ale Sophie nie dała jej odejść.

– A ty jesteś w nim zakochana. Czy on o tym wie?

– Oczywiście! O Boże, ty nic nie rozumiesz... – Eleanor rozplakała się. Zanosiła się płaczem, szlochała z głową ukrytą w dłoniach. Włosy opadały jej na twarz. Sophie bez słów trzymała ją w ramionach. Potem Eleanor opowiedziała jej wszystko o Johnie, od ich pierwszego spotkania na tarasie *palacio*, do nocy po ślubie Isobel.

Sophie zaparzyła kawę. Siedziały w saloniku. Na kominku buzował ogień. Za żelaznymi okiennicami hulał wiatr.

– Może jestem bardzo głupia albo niewyobrażalnie gruboskórna – odezwała się w końcu Sophie – ale nadal nie rozumiem, czemu od niego uciekłaś. Kochasz go. On twierdzi, że cię kocha. Zawsze był najważniejszym człowiekiem w twoim życiu. Poszliście do łóżka. A potem ty uciekłaś? Dlaczego?

– Sophie, czy ty mnie w ogóle słuchałaś? John jest moim kuzynem w pierwszej linii! To prawie tak jakbyśmy byli rodzeństwem. Ludzie tak blisko spokrewnieni nie mogą w Brazylii zawierać związków małżeńskich.

– Nie jesteś katoliczką. Do tego jesteś w połowie Angielką, a nawet w trzech czwartych, mam rację? Więc wyjedźcie gdzieś w świat i bądźcie razem. John nie widział przeszkód, prawda? A o co tobie chodzi?

Eleanor znieruchomiała. Jeszcze nigdy nikt nie sformułował tego równie prosto. Mimo to nie godziła się na pozytywne rozwiązanie.

– Ojciec i John nie znoszą się. To by zniszczyło moją rodzinę – zaczęła, ale Sophie przerwała jej pogardliwym prychnięciem.

– Twój ojciec nie miałby wiele do powiedzenia, gdybyście mieszkali z dala od niego,

prawda? Rodziny się przyzwyczajają. Zresztą w tym roku skończysz dwadzieścia lat. Jak długo jeszcze chcesz czekać, zanim wstaniesz i powiesz: „Słuchajcie, to moje życie i ja podejmuję decyzje. To nie wy będziecie mieszkali z moim mężem, ale ja!” Tak trzeba rozprawić się z rodzinką – zamilkła. Widziała wahanie, niepewność Eleanor; zastanawiała się, czy w oczach przyjaciółki nie kryje się coś jeszcze. Coś, o czym nie wiedziała sama Eleanor.

– On nie opuściłby Brazylii, Sophie. Marzy o demokratycznym kraju i walczy o niego. Kocha mnie, ale zawsze jestem na drugim miejscu. Zresztą nie ma już o czym mówić. Za późno! Ożenił się, a Teresa spodziewa się dziecka. Nic już się nie da zrobić – zauważyła zmęczonym głosem. Nie chciała więcej o tym myśleć. Nic się już nie da zrobić, powtarzała bezgłośnie.

– Nie – Sophie westchnęła ciężko. – Teraz już nie – zamyśliła się głęboko. Eleanor siedziała obok niej na podłodze, oparta o kanapę. – Masz zdjęcie Johna? I Henry’ego? – zapytała nagle Francuzka. Eleanor tylko skinęła głową. Nie miała siły wstać.

– W najwyższej szufladzie. Koło łóżka.

Sophie już wbiegała po schodach. Wróciła z plikiem fotografii w dłoni. Uklękła koło Eleanor i podała jej zdjęcia. Eleanor przeglądała je pobieżnie.

– To Isobel i moi rodzice. W naszym ogrodzie zeszłego lata. O, a to Henry z zeszłego lata. Nie pamiętam, gdzie wtedy byliśmy. On jest taki kochany. – Sophie wychwyciła ciepłe nuty w jej głosie, kiedy wspominała o Henrym. Uważnie spojrzała na zdjęcie. Spodobał jej się wyraz twarzy młodego mężczyzny. Zdawał się kpić z całego świata i siebie samego. Miał regularne rysy, był wysoki i smukły. Zerknęła na przyjaciółkę.

– To ten, który pisze co tydzień? A ty chcesz czegoś więcej? – zakpiła.

Eleanor uśmiechnęła się smutno. Podała jej ostatnie zdjęcie.

– A to jest John.

Sophie w milczeniu oglądała fotografię. Eleanor pstryknęła ją na dzień przed ślubem Isobel, tuż po przyjeździe kuzyna z Sao Paulo. Wysiadał właśnie z samochodu, nie wiedząc, że jest fotografowany. Eleanor ukryła aparat za plecami, żeby się nie zorientował. To pamiątka, powiedziała sobie wtedy. Żeby o nim nie zapomniała w Paryżu.

Sophie wpatrywała się w zdjęcie z niedowierzaniem.

– Rozumiesz, o co mi chodzi? – spytała Eleanor.

– Tak, chyba tak – przyjaciółka podniosła wzrok. – Wygląda identycznie jak ty, gdybyś była mężczyzną. Ma inny wyraz twarzy, ale... ech, czemu oni zawsze są tacy przystojni? – zażartowała i ponownie spojrzała na zdjęcie. Teraz wszystko było jasne. Eleanor ma rację, nikt nigdy nie zajmie w jej sercu miejsca Johna. Oddała zdjęcie.

– On jest twój – rzuciła bezmyślnie.

Eleanor potrząsnęła głową z ciężkim westchnieniem.

– Nie – odparła. – Teresy. Wsunęła zdjęcie między pozostałe.

## Rozdział piętnasty

Eleanor wysłała do Johna oficjalny, oschły list z gratulacjami. Nie zdziwiła się, że nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Henry na bieżąco informował ją o poczynaniach Johna i pozostałych członków rodziny, ale przekazywał tylko suche fakty. I tak, dowiedziała się, że Isobel jest w ciąży, że John nadal agituje przeciw Goulartowi i że coraz więcej przedstawicieli klasy średniej i wyższej krytykuje obecny rząd.

Także Isobel przypomniała sobie o siostrze. Jej listy stanowiły całkiem przyjemną lekturę, choć Isobel wyraźnie nie przejmowała się ortografią. Za to nie szczędziła Eleanor żadnych szczegółów dotyczących przebiegu ciąży. Pisała też, że Teresa staje się coraz bardziej znana w Sao Paulo. Występuje w wielu reklamach telewizyjnych. Podobno dostała nawet rolę w filmie. Isobel nie omieszkła zauważyć, iż prawdopodobnie zatrudniono ją *via* łóżko, ale Eleanor uśmiechnęła się tylko lekko i zapomniała o tej uwadze.

Siostra pisała, że John ma zamiar wyjechać z Sao Paulo zaraz po ukończeniu studiów. Nikt nie wiedział, dokąd się wybiera, ale krążyły plotki, że chce wrócić do Vila Serrista. Eleanor zadrżała na samą myśl o tym.

Henry informował ją o prezydencie Goularcie, który zabiegał o poparcie związków zawodowych, niestety bezskutecznie. Coraz bardziej też skłaniał się ku poglądom radykalnej lewicy. Oskarżał obcych inwestorów o galopującą inflację i podupadającą gospodarkę. Mimo zapewnień Henry'ego, że jej rodzinie nic nie grozi, Eleanor martwiła się, głównie o Johna. Zastanawiała się, czy nie wrócić do domu.

W tym czasie jednak do *Paryża* przyszła wiosna i Eleanor zakochała się w mieście. Kochała bulwary wysadzone drzewami, które co wieczór moczył deszcz, i Sekwanę po której żeglowały *bateaux mouches*, przemykając się pod niezniszczonymi mostami. Kochała światła odbijające się w rzece wieczorem i zapach świeżych rogalików, kawy i kwitnących wiśni rano. Kochała zielony półcień Lasku Bulońskiego, gdy słońce przenikało przez młode listki i kurz wzbijał się w powietrze, i gdzie godzinami przesiadywały z Sophie w La Cascade, zajadając się *chocolat liegeois*. Kochała zakupy w szesnastej dzielnicy i spacer po Boulevard Victor Hugo, zatłoczonym eleganckimi mamami prezentującymi swoje wypucowane pociechy. I kochała ich mieszkanko mimo ciasnoty i schodów, które musiała pokonać, by się do niego dostać.

Tego szczególnego sobotniego ranka pod koniec czerwca Eleanor siedziała na balkonie, zajęta czytaniem najnowszych listów. Z poczuciem winy słuchała, jak Sophie tłucze się po kuchni.

– Sophie, błagam, zostaw to! Chodź na powietrze! – zawołała. Słońce już ozłociło jej skórę, jasnym blaskiem lśniło w mokrych jeszcze, świeżo umytych włosach. Sophie stanęła w progu, wycierając ręce w fartuch. Usiadła na poduszce obok Eleanor i wystawiła bladą twarz w stronę ciepłych promieni.

– Cudownie! Po prostu cudownie! – zamruczała. Eleanor uśmiechnęła się.

– Prawda? Ale, ale; o czym ty mówisz? O pogodzie czy o pewnym młodzieńcu, który



zdaje się cieszyć u ciebie szczególnymi względami? MarcAntoine Jakiśtam?

Sophie skrzywiła się zabawnie.

– Stare dzieje. Poznałam kogoś sympatyczniejszego, ale chyba i on znudzi mi się przed końcem tego tygodnia. Wszystko to szczeniaki w porównaniu z twoimi wielbicielami – w jej głosie zabrzmiała nuta zazdrości, ale Eleanor nie zwróciła na nią uwagi.

– Z kim idziesz do Claudette?

– Nie wiem jeszcze. Może z jaśnie Maurice'em. Nie zastanawiałam się nad tym – westchnęła. Maurice już ją zaprosił, a nie chciała go urazić i pójść z kimś innym. Tylko że on był taki poprawny i nudny! Szkoda, że nie potrafi zrozumieć, że ona uważa go wyłącznie za przyjaciela, nikogo więcej.

– Och, nie! Nie z nim! Tyłu mężczyzn usycha z miłości do ciebie! Dlaczego z Maurice'em? Przecież to ostatnie przyjęcie w tym roku akademickim! I pewnie ostatnie przed wakacjami, bo wszyscy się już rozjeżdżają. Chyba nie chcesz, żeby Maurice włóczył się za tobą przez całą noc, prawda, Eleanor? Czasem jesteś śmieszna. Oddałabym wszystko, żeby choć kilku z twoich adoratorów zainteresowało się mną – wytknęła Sophie.

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Mówiłam ci już, że jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. A z kim ty idziesz? – zerknęła na przyjaciółkę kątem oka. Sophie była zirytowana i, tak, nadal się martwiła. Zupełnie niepotrzebnie, bo Eleanor nie myślała już o Johnie. Jego małżeństwo to najlepsze rozwiązanie dla wszystkich. Zresztą i tak nie było dla ich uczuć przyszłości. John nie miał nic wspólnego z niechęcią Eleanor do spotykania się z innymi mężczyznami. Po prostu wielbiciele nie podobali się jej. Byli nudni.

– No? – ponagliła.

– Och, z Georges'em albo Laurence'em. Obaj mnie zaprosili. Powiedziałam, że dam im znać. Pamiętaj, to już tylko tydzień. Musisz znaleźć sobie kogoś odpowiedniego. Poza tym tobie został jeszcze jeden egzamin, a mi dwa. I co ty na to?

Eleanor parsknęła śmiechem.

– Sophie, ty zawsze masz dwa razy więcej egzaminów i dwa razy więcej chłopaków niż ja, choć uważasz ich za chłystków i wolisz moich wielbicieli. Czy nie możesz choć troszeczkę zwolnić tempa? Jak to możliwe, by taka mała, krucha istotka chciała pochłonąć życie jednym wielkim haustem? Kiedyś się udławisz.

– A ty jesteś za piękna, żeby całe życie trzymać się na uboczu – odcięła się Sophie. – Jeśli to John cię tego nauczył, to lepiej, że jesteś z dala od niego – zamilkła, widząc ból w oczach przyjaciółki, jej nagle posmutniała minę. W myślach przeklinała się za brak delikatności. Niech Eleanor trzyma się z boku, jeśli jej z tym dobrze. Cóż znaczy kilka miesięcy? Przecież ma do tego prawo.

Sophie nie była jedyną osobą, która uważała, że Eleanor pozwala życiu przepływać między palcami. Niejeden z adoratorów domyślał się, że chłód jasnowłosej panny Fawcett musi mieć jakiś głębszy powód. Ani oni jednak, ani Sophie nie mieli pojęcia, co chodziło Eleanor po głowie tamtego lata.

Przyjęcie Claudette odbywało się w Neuilly, niedaleko Lasku Bulońskiego. Według

Eleanor było tyleż urocze, co nudne. Zupełnie jak ja, pomyślała z goryczą. Wszyscy zachwycali się jej sukienką, kolorem tkaniny znakomicie harmonizującym z cerą. Dziękowała z uśmiechem i tłumiała ziewnięcia.

Dziewczyna rozpoznawała wiele twarzy. Kojarzyła je z uniwersytetem albo z przyjęciami, na które zabierał ją Maurice. Nie czuła się jednak równie dobrze jak na podobnych imprezach w Rio. Tam знаła wszystkich od dziecka, ale też tu nie była wśród obcych. Z uśmiechem gawędziła, słuchała kawałów i zastanawiała się, o której może wyjść, nie obrażając gospodyni. Wielu gości rozważało, czy Maurice poprosi Eleanor o rękę, a jeśli tak, to czy ona go przyjmie.

Sophie natomiast bawiła się doskon. Paplała radośnie, objadała się smakołykami przy bufecie, szalała na parkiecie w ramionach coraz to innych tancerzy. Pomachała do Eleanor. Przyjaciółka stała koło Maurice'a. Wyglądała na zmęczoną i znudzoną. Sophie zrobiło się jej żal, ale po chwili pochłonięta zabawą zapomniała o całym świecie.

Toteż w parę godzin później Sophie nie zdziwiła nieobecność Eleanor. Rozboliła ją głowa, wyjaśnił światowym tonem Maurice, więc taksówką pojechała do domu. Nie chciała, żeby ją odprowadzał. Sophie westchnęła ciężko.

Czekał na nią na schodach. Siedział skulony, oparty plecami o ścianę. Schody były już bardzo zniszczone. Ciężkie meble, które tamtędy wnoszono i znoszono, zostawiły na nich swój ślad. John zdawał się tego nie zauważać. Po prostu siedział i palił; patrzył, jak Eleanor pokonuje ostatnie kilkanaście stopni. Światło było tak skąpe, że dziewczyna nie widziała wyraźnie jego twarzy. Kiedy podeszła bliżej, żarówka zgasła.

– Na początku nie mogłem uwierzyć, że tu mieszkasz – odezwał się. – To nie w twoim stylu.

– John... ? Co ty, na Boga, tu robisz? – Eleanor zatrzymała się przed nim. Nie wiedziała: podnieś się, czy będzie nadal siedział w ciemności. – Długo czekasz?

W mroku korytarza coś zaszeleściło. Po chwili stał tuż obok niej. Prawie się dotykali w wąskim, ciasnym korytarzu. Pachniał dymem papierosowym i potem, ale wyczuwała także specyficzny zapach jego skóry. Wdychała go głęboko, rozkoszując się chwilą bliskości.

– Godzinę. Chyba nie masz nic przeciwko temu? Nie miałem dokąd pójść.

Po tych słowach zapadła cisza.

– Zapal światło, żebyśmy mogła otworzyć drzwi – poleciła ostro, zdradzając tym samym swoje zdenerwowanie. Słaba żarówka zalała schody mdłym światłem, wywołała cienie z zakamarków korytarza.

– Teraz lepiej? – John przyglądał się kuzynce uważnie. Szukała klucza w torebce. – Wcześniej wróciłaś. Jest dopiero dziesiąta, a wyglądasz, jakbyś wyszykowała się na przyjęcie.

Nie powiedział, że jest piękna, nie pochwalił sukienki, której nigdy nie widział, nie zdziwił się, że przyjaciółka tak wydojrzała, choć wszystko to zauważył. Eleanor poruszyła się niespokojnie.

– Wreszcie – popchnęła drzwi. – Wchodzimy. Nie znoszę tego korytarza.

Po pospęnej atmosferze klatki schodowej mieszkanko tchnęło przytulnością. John z

głośnym westchnieniem zamknął drzwi.

– Na długo przyjechałeś?

Szła przed nim. Nie chciała, by zobaczył wyraz oczekiwania na jej twarzy, by dostrzegł reakcję na swoją odpowiedź. Postawiła torbę na ziemi, nadal odwrócona do przybysza tyłem.

– Na kilka dni – odparł niejasno. – Ładnie tu – z uznaniem rozejrzał się po pokoju. – I tak przytulnie. Po klatce schodowej spodziewałem się jakiejś meliny. Sama to urządziłaś?

Odwróciła się wreszcie. Była zadowolona, że na jakiś czas zostawili trudne tematy w spokoju. Z dumą popatrzyła na salonik.

– Właściwie tak. Sophie trochę mi pomogła, ale jej jest wszystko jedno, jak wygląda otoczenie. Ja to co innego, wiesz, że nie mogę pracować w bałaganie – zaśmiała się cicho. – Za to Sophie dobrze gotuje. Chcesz kawy?

– Hm, tak – wydawał się roztargniony. Cały czas podziwiał pokój pełen książek, kwiatów i chodniczków. Bezpretensjonalne i urocze wnętrze. Oaza spokoju. Zupełnie jak Eleanor. Uśmiechnął się i głęboko wciągnął powietrze.

– Czy to Henry? – podszedł do kominka. Gwałtownym ruchem zdjął z gzymsu małą srebrną ramkę.

Eleanor wyjrzała z kuchni. Zauważyła nagle wyprostowaną sylwetkę, ściągnięte ramiona.

– Tak. Sophie chyba zakochała się w nim na odległość. Czyta wszystkie jego listy i zachwyca się tym zdjęciem. To ona je tu postawiła – odpowiedziała szybko, lekkim tonem. Pomyślała o spoczywającej na dnie szuflady fotografii Johna, zawsze ukrytej i zawsze drogiej.

– Aha. Lubisz tę Sophie? Dobrze ci się z nią mieszka? – odstawił zdjęcie na kominek. Uśmiechnęła się, wyjmując kubki z kredensu.

– Jest cudowna. Poczekaj, aż sam się przekonasz, kiedy wróci z przyjęcia. Byłyśmy tam razem. Sophie jest szalona, nawet na chwilę nie zwalnia tempa.

Wniosła kawę.

– Czy ona o nas wie? – zapytał otwarcie. Eleanor potrząsnęła przecząco głową. W jej gwałtownym ruchu był strach i coś jeszcze, jakby szalona, głupia radość. Podniosła wzrok.

– Nie ma „nas”.

John zacisnął usta, jakby chcąc powstrzymać płacz. Westchnął.

– Zawsze byliśmy i zawsze będziemy. I ty o tym dobrze wiesz, Elly – odwrócił się i wyszedł na balkon.

Sophie właśnie wysiadała z samochodu Laurence’a, kiedy coś przykuło jej uwagę. Na balkonie ich mieszkania pojawił się wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Wpatrywał się w nocne niebo, w dachy okolicznych domów. Po chwili dołączyła do niego Eleanor. Stali ramię przy ramieniu i patrzyli – przed siebie, nie w dół. On był... obcy, zupełnie inny niż mężczyźni, których Sophie dotychczas poznała. Dopiero ter z, patrząc na nich dwoje, dziewczyna uświadomiła sobie, że Eleanor także :st... obca, inna. Powróciła wzrokiem do nieznanego.

Był wyjątkowo przystojny, jasny blondyn o wyrazistych rysach twarzy. Garbił się lekko, kiedy mówił do Eleanor. Sophie spostrzegła napięcie obydwójga rozmówców, widziała wyraz twarzy przyjaciółki. Od razu domyśliła się, kto przyjechał. Nieznajomym mężczyzną był

John, kuzyn Eleanor.

Naprawdę wyglądają jak rodzeństwo, pomyślała zdumiona. Ale wspólna krew dała im nie tylko zbliżone rysy; mieli podobne nawyki, poruszali się tak samo. Sądząc po ich minach, zapomnieli o całym świecie. Sophie zagryzła wargę. Co on, u licha, tu robi?

– Laurence? Chodź, wstąpimy jeszcze gdzieś na drinka. Proszę – zawróciła do samochodu. Laurence niczego nie pojmował. Najpierw upierała się, by odwiózł ją do domu, teraz chce iść do baru. Posłusznie otworzył drzwiczki auta.

– John, co tu robisz? Opowiedz.

Nie wiedząc nawet, Eleanor powtórzyła pytanie Sophie. Była blada, w ustach zaschło jej do tego stopnia, że mogła tylko szeptać. Mężczyzna wzruszył ramionami. Z całych sił trzymał ją za rękę, nie pozwalając odejść. Wpatrywała się w jasne włosy na jego nadgarstku. Z trudem docierał do niej sens wypowiedzianych słów.

– Chciałem cię zobaczyć, chciałem choć na trochę wyrwać się z Brazylii. Musiałem to zrobić. O co chodzi, Eleanor? Nie cieszysz się, że mnie widzisz? Nawet odrobinę? Nadal chcesz, żebym się wyniósł z twojego życia? – pobladł gwałtownie. Na tle ciemnego nieba przypominali alabastrowe posągi. Dostrzegła smutek w jego oczach. Potrząsnęła głową. Weszła do pokoju.

– Po co tu przyjechałeś? Jesteś żonaty. A Teresa spodziewa się dziecka. Gdzie w tym wszystkim jest dla mnie miejsce?

– Teresa poroniła.

Nagle pokój zawirował, znikł i Eleanor widziała tylko dwa błękitne jeziora. Pochłaniały ją, unosiły jak przypyływ. Straciła równowagę. Upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

– Tak mi przykro! O Boże! Co się stało? – krzyknęła ochryple. Westchnął:

– Chciała dostać prawdziwą rolę. Kiedy ją zaangażowano, była podwójnie szczęśliwa, bo chodziło o film produkcji amerykańskiej. Głodziła się, żeby brzuch nie rzucał się w oczy. A ja... no cóż, ja byłem zbyt zajęty studiami i protestami... kiedy się zorientowałem, było już za późno.

Straciła dziecko. Poroniła. W czwartym miesiącu – głośno przełknął ślinę, odwrócił wzrok. Patrzył na salonik, nie widząc go.

– Jak się teraz czuje? Bardzo się tym przejęła? – Eleanor odsunęła włosy z czoła. Zastanawiała się, jaka byłaby jej reakcja, gdyby to ona znalazła się na miejscu Teresy. Chciała wiedzieć, co John o tym myśli.

– Nic jej nie jest. Ciężko pracuje. Ostatnio prawie w ogóle jej nie widuję. Chyba poczuła ulgę. Nie dlatego, że dziecko nie żyje, ale że nie musi przerywać pracy, żeby się nim zajmować. To dziwne. Tak naprawdę to nie mam pojęcia, co ona czuje – wzruszył ramionami, jakby zaskoczony tą myślą. – Ja sam też nie wiem, co czuję. Nie kocham Teresy ani ona nie kocha mnie. To się po prostu stało.

„To się po prostu stało”. Zastanawiał się, czy aby na pewno powiedział prawdę.

– Tak jak między nami, tak? – nie wiedziała, po co tak mówi. Może chciała zobaczyć jego reakcję.

– Nie! Nie! Między nami jest coś zupełnie innego i ty dobrze o tym wiesz – zapewnił ją

cichym, a mimo to silnym głosem.

Spuściła głowę.

– Tak, chyba tak. Ale co nam to pomoże... Zresztą myślałam, że zmieniłeś zdanie, kiedy ożeniłeś się z Teresą. Ciągłe się nad tym zastanawiałam, bo brakowało mi ciebie bardziej niż kiedykolwiek, a na dodatek tęskniłam za rodzicami, Isobel, za Brazylią. Chciałam wrócić do domu, choć wiedziałam, że nie mogę, nie powinnam. Kocham Paryż... ale nie pasuję tu.

Wzruszył ramionami.

– Jesteśmy cudzoziemcami. To dziwne, prawda? Dopóki nie opuścisz Brazylii, nie wiesz, gdzie jest twoje miejsce na ziemi. Nauczyłem się tego jeszcze w Anglii – uśmiechnął się smutno. – Chodź, wyjdźmy znów na balkon. Lubię noc. Porozmawiajmy.

Wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca. Eleanor zastanawiała się, czy to dlatego, że go przyjęła. Nie mogła jednak postąpić inaczej. Był częścią jej samej.

– Dobrze.

Nocny chłodny wiatr rozwiewał im włosy. Eleanor zadrżała, więc John otulił ją swoją marynarką. Sam zdawał się nie odczuwać zimna; rozluźnił krawat i rozpiął koszulę pod szyją. Nie znosił być skrzepowanym ani przez ludzi, ani przez ubrania, przemknęło jej przez głowę.

– Co masz zamiar robić? – zapytała po dłuższej chwili. Ulice spowijała ciemność, latarnie dawały niewiele światła. Noc pachniała wilgotnymi igłami sosnowymi, trawą i spalinami.

– To zależy od wielu rzeczy – spojrzał na Eleanor.

– Ode mnie? – zgadywała. W gardle poczuła znajomy skurcz. Mocniej owinęła się marynarką.

– Częściowo tak. I od innych.

– Na przykład?

– Jestem na liście – wyznał nagle. Wpadła w panikę. W Brazylii umieszczenie czyjegós nazwiska na liście osób pozbawionych praw politycznych oznaczało prześladowania, aresztowania, tortury, może nawet śmierć. Nie mogła złapać tchu.

– Przez działalność na studiach? Jesteś na liście rządowej czy wojskowej?

– Nie wiem. Ostrzeżono mnie tylko, żebym zniknął na jakiś czas. Teresa nie ma z tym nic wspólnego, o niczym nie wie. Powiedziałem jej, że wyjeżdżam, ale nie wiem dokąd i na ile. Nie przejęła się zbytnio. Ma dużo pracy przy filmie. Ona mnie już nie potrzebuje – wbił ręce w kieszenie. Zacisnął pięści. – To jest mój kraj, Elly, i nikt nie może mnie z niego wyrzucić. Zostanę w Brazylii, choćby to okazało się kłopotliwe – posłał jej znaczące spojrzenie. – Kłopotliwe dla wszystkich.

– Więc po co tu przyjechałeś? Czego ode mnie chcesz? – żałowała, że nie potrafi zapytać o to inaczej, nie tak oschle, ale strach odbierał jej rozum. Zadygotała z zimna.

– Chcę... Na Boga, przecież wiesz, czego chcę! Chcę ciebie! – krzyknął udręczonym głosem. Cofnęła się, porażona siłą jego požądania. Pokręcił głową. Zniżył głos do szeptu, ledwie słyszalnego na wietrze. – Wiem, że nie powinienem był tu przyjeżdżać, ale pragnąłem cię zobaczyć przed powrotem do kraju. Będę musiał przez pewien czas się ukrywać, może nawet bardzo długo. Marzyłem o kilku dniach normalnego życia z tobą, zanim się zaczniesz. Tylko o to proszę, Eleanor. Nie pozwolilibym sobie na takie ryzyko w domu, tam byłoby to

niebezpieczne. Nie wspominając o tym, że, jak zauważyłaś, jestem żonaty – nie mógł opanować bladego uśmiechu.

Otoczyła Johna ramionami. Chciała go chronić, pocieszać. Cierpiała na samą myśl o tym, że ma go ponownie stracić.

– Nie wracaj tam. Proszę. Poczekaj do końca kadencji Goularta. Kiedy to będzie? W 1965, prawda? To już za trzy lata. Mógłbyś tutaj dalej studiować, może zrobić doktorat? I byłibyśmy razem. Po co masz wracać, skoro będą cię prześladować? Po co? – tuliła go mocno. Przez chwilę wydawało się jej, że jeśli nie wypuści ukochanego z objęć, on nie odejdzie od niej, nie wróci do Brazylii.

John głąskał włosy Eleanor, oparty brodą na jej głowie, zapatrzony w horyzont.

– Nie dowiedzą się o moim powrocie. Celowo poleciałem samolotem, żeby mieli w aktach, że opuściłem kraj. Nie zdążyli mnie aresztować. Teraz jestem za granicą. Jeśli uda mi się niepostrzeżenie dostać do Brazylii, będę bezpieczny, rozumiesz?

Usiłował ją uspokoić, ale nie słuchała go. Wiedziała, że kłamał. Nikt, czyje nazwisko znalazło się na liście, nie był bezpieczny, dopóki nie zmienił się rząd.

– A my? – zapytała cicho. Pocałował ją w czubek głowy, ale nic nie powiedział. Odpowiednia chwila minęła. Eleanor wiedziała, że John podjął ostateczną decyzję.

Siedzieli w milczeniu, każde pograżone w swoich myślach. W końcu wzięła go za rękę.

– Chodź do łóżka – zaproponowała. Posłał jej długie, smutne spojrzenie.

– Elly, to niczego nie zmieni. I tak wyjadę – uprzedził cicho. Skinęła głową.

– Wiem. Chodź do łóżka.

Weszli do pokoju obejmując się mocno, desperacko.

Byli już na schodach, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe i weszła Sophie. Zobaczyła ich od razu, zobaczyła, jak tulili się do siebie, i zrozumiała, dokąd szli. Poczzerwieniała.

– Ojej, przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać. To znaczy, ja... już późno. Cześć – mówiła, co jej ślina na język przyniosła. Jej słowa nie docierały do nich. Rozdzielili się. Eleanor nie mogła się skoncentrować, John wyglądał na zagubionego.

– Sophie, nie wiedziałam, że już tak późno. To jest John. – Eleanor starała się zatuszować pierwsze wrażenie. Co jeszcze mogła powiedzieć? I tak wszystko było jasne.

John skinął głową, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że w mieszkaniu przebywa jeszcze ktoś oprócz nich dwojga. Był już tak blisko szczęścia, że teraz miał wrażenie, jakby siłą sprowadzono go do rzeczywistości, nie dając nawet czasu na uporządkowanie myśli. Co za koszmar, stać koło Eleanor i nie obejmować jej, bać się, że nie pozwoli mu na to ponownie. John chciał, żeby ta mała brunetka, która im przeszkodziła, odeszła stąd jak najszybciej. Uśmiechnął się z trudem.

– Cześć.

Niewiele było słów mniej odpowiednich w tej sytuacji, ale nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć. Miał pustkę w głowie.

Sophie podniosła wzrok na gościa. Wyczuła jego niecierpliwość, a nawet wrogość i mocno zacisnęła usta.

– Cześć. Słuchajcie, nie chciałam wam przeszkadzać. Idę spać. Eleanor, pamiętaj, że jutro

musimy wcześniej wstać. Ojciec nas oczekuje – wyminęła ich szybko, nie ukrywając, że ją urazili.

Eleanor przełknęła ślinę.

– Nie pojedę z tobą jutro. Dołączę za kilka dni. Kiedy John wyjedzie – uśmiechnęła się smutno. Nie rozumiała, czemu Sophie ma taką zdziwioną, wrogą, zazdrosną minę. Zazdrosną? Eleanor natychmiast zgańla samą siebie za takie przypuszczenia. Przyjaciółka wcale nie jest zazdrosna, tylko martwi się, że przez Johna będą jakieś kłopoty. Sophie wzruszyła ramionami.

– Dobrze, rób, co chcesz. Zawiadomisz mnie, kiedy przyjedziesz? Miło było cię poznać, John. Dobranoc.

Z tymi słowami zniknęła w swoim pokoju.

– O Boże! To nie wypadło najlepiej, prawda? Czy myślisz, że sprawiliśmy jej przykrość?  
– zmartwiła się Eleanor.

John z uśmiechem przyciągnął ją do siebie.

– Moja kochana. Nie przejmuj się – pocałował dziewczynę w usta, delikatnie, jakby nie był pewien, czy nie posuwa się za daleko. W odpowiedzi przywarła do niego całym ciałem.

– Chodź do łóżka – szepnął. Skinęła głową. Objęci poszli na górę.

Tym razem kochali się inaczej. Powoli, leniwie, jakby mieli przed sobą całe życie, zsuwali z siebie ubrania, chichotali i szeptali, pieścili się i dotykali. Zdawali się wiedzieć instynktownie, jak dać sobie nawzajem największą rozkosz. Eleanor przestała się obawiać, pozwalała Johnowi robić wszystko, co chciał. Zapomniała o skromności. Błądziła po jego ciele ustami i językiem, badając i pieszcząc każdy skrawek skóry.

Kiedy w końcu w nią wszedł, kiedy rozgrzani i spoceni leżeli w uścisku, otworzyła usta w niemym okrzyku rozkoszy. Przywarli do siebie jeszcze mocniej, aż jęknęła głośno. Dopiero wtedy przestał się powstrzymywać.

Nie wypuszczał jej z ramion przez całą noc. Nie uległ falom zmęczenia, które chciały unieść go w sen. Uśmiechał się czule, patrząc na dziewczynę uśpioną na jego piersi. Pragnął z nią zostać, nigdy jej nie opuszczać, ale inne uczucie przerastało nawet tę miłość. Wiedział, że nie uspokoi się, dopóki nie wróci do Brazylii.

Został na pięć dni. I pięć nocy. Eleanor odrzuciła lęk i poczucie dobra i zła. Żyli, jakby mieli się już więcej nie spotkać, jakby kilka dni miało im wystarczyć za całe lata. W głębi duszy każde z nich uważało to za wielce prawdopodobne.

Prawie nie sypiali, tak pochłonięci smakowaniem każdej wspólnej godziny, minuty, że lekceważyli zmęczenie. A jeśli w końcu zasnęli, to spleceni ze sobą, żeby nawet we śnie wiedzieć, że jeszcze ciągle są razem.

Eleanor gotowała pikantne dania z pomidorów i owoców morza, które oboje tak lubili. Siedzieli na balkonie, opalali się, rozkoszowali ponownie odnalezioną bliskością. Czasami jadali w znanych restauracjach, takich jak Brasserie Lipp czy Cafe Flore. Obserwowali ludzi, żartowali, trzymali się za ręce. Spacerowali po parkach i bulwarach, oglądali wystawy, niczego nie kupując. Przesiadali w ulicznych kafejkach, na wiklinowych krzeselkach, pili wino, *cafecreme* albo cappuccino, czytali gazety i rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali.

Byli dla siebie całym światem. Odnaleźli drogę do krainy, którą zamieszkiwali w dzieciństwie, krainy, której Henry im zazdrościł, bo nie miał do niej dostępu. Powróciły dawne nawyki, umiejętność porozumiewania się bez słów, wspólne poczucie humoru. Czasem przychodziły dziwne, lodowate chwile: wtedy przypatrywali się sobie zachłannie, jakby chcieli na zawsze zapamiętać ukochaną twarz.

Godziny miłości i pożądania dopełniały szczęścia, stały się spoiwem między cegłami domu, który wznosili tylko dla nich dwojga. Eleanor nie chciała nawet myśleć, że ta sielanka dobiegnie końca. Że John musi wyjechać.

Ostatniego dnia leżeli w łóżku. Popołudniowe słońce przenikało przez żaluzje, ścieląc się paskami światła na pościeli. John drzemał, choć upał i duchota były nie do zniesienia. Eleanor patrzyła na jego twarz. Widziała drobne zmarszczki koło oczu, wystające kości policzkowe, duże, szerokie usta. Przesunęła palcem wzdłuż rysujących się pod skórą żeber, musnęła ustami wrażliwe miejsce na szyi, tuż nad barkiem. Wdychała jego zapach: ciepły, czysty i męski. Przeciągnął się i zamruczał, ciągle z zamkniętymi oczami.

– Czy ty w ogóle spałeś? – zapytała.

Uśmiechnął się leniwie i potwierdził niewyraźnym mamrotaniem. Po kilku chwilach obudził się całkowicie.

– A ty?

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Wzięła ze stolika szklanek wody.

– Nie, nie chciałam tracić czasu – odparła. Podała kuzynowi szklanek, upiwszy kilka łyków. – Masz, napij się. Na pewno jesteś spragniony po tych ilościach wina, jakie spożyliśmy do obiadu. A właściwie która jest?

Było już późno, widziała to po pozycji słońca na niebie. Mężczyzna z ciężkim westchnieniem otworzył oczy. Ściągnął z Eleanor nakrycie. Powoli, umiejętnie pieścił jej piersi. Kiedy nabrzmiały, ucałował je po kolei na pożegnanie. Potem delikatnie owinał dziewczynę prześcieradłem.

– Dochodzi piąta. Muszę wyjść o szóstej, jeśli chcę zdążyć do Hawru. Wsiadam tam na statek – wyjaśnił po chwili. Do tej pory nie chciała nawet słyszeć o niczym, co miało związek z jego powrotem do Brazylii. Wyczuł jednak, że teraz musi wiedzieć.

– Jak masz zamiar prześlizgnąć się przez kontrolę paszportową w kraju? Przecież od razu cię aresztują!

– Nie, jeśli będę się posługiwał fałszywym nazwiskiem i zniknę jeszcze w porcie. Uwierz mi, nie ja pierwszy to zrobię. Nie zauważą, że odchodzę, a nawet jeśli, to i tak nie zwrócą na to uwagi. Będę tylko marynarzem – wypił resztkę wody i odstawił szklanek. Przyciągnął Eleanor do siebie, po raz kolejny dziwiąc się miękkości jej skóry, zapachowi włosów.

Przytuliła się do niego.

– Skąd będę wiedziała, czy ci się udało? Czy cię nie aresztowali? – była przerażona i zarazem zdecydowana nie okazać strachu, być równie opanowana jak on.

– Prześlę ci wiadomość. Nie od razu, więc nie martw się, ale wkrótce się dowiesz. I chwilowo nie wracaj do Brazylii, dobrze? Mógłbym nie oprzeć się pokusie i przyjechać cię zobaczyć, a na jakiś czas muszę zniknąć im z oczu – pocałował ją w czoło, błądził dłońmi po



twarży, szyi, plecach. – Skończ studia, baw się dobrze i nie przejmuj się mną, dobrze?

Poruszyła się, jakby już chciała się odsunąć, teraz zanim nie będą w stanie się rozstać.

– Dobrze.

Wiedział, że Eleanor zrobi, o co ją prosił. Odgadł to z jej pocałunków. Całowała go tak, jakby żegnali się na zawsze.

Sophie wyjechała do ojca wczesnym rankiem następnego dnia po przyjęciu. Eleanor nie słyszała, jak dziewczyna wychodziła. Przez kilka dni miała wyrzuty sumienia, że porzuciła przyjaciółkę. Tłumaczyła sobie jednak, że przecież niedługo do niej dołączy. No i Sophie nie ma jej na pewno za złe tych kilku dni szczęścia. Nie, nie Sophie.

Tak więc, kiedy nadeszła pora, Eleanor szybko spakowała walizki i ustawiła je przy drzwiach. Sprawdziła, czy wyłączyła gaz, i upewniła się, że pozamykała okna. Odczuwała ulgę, opuszczając mieszkanie. Rozstała się z Johnem zaledwie dwanaście godzin temu, a już wiedziała, że to koniec. Eleanor podniosła walizki i przekręciła klucz w zamku.

Lato mijalo spokojnie. Eleanor i Sophie kąpały się w morzu, jeździły na rowerach, gotowały, sprzątały i prowadziły dom panu Gastambide. O matce Sophie nigdy nie było mowy, a Eleanor bała się zapytać. Na temat Johna również panowało milczenie i z kolei Sophie nie chciała się dopytywać.

Kiedy wrócili do Paryża, nastal już sierpień. Miesiące do Bożego Narodzenia przeszły nie zauważone. Lada dzień miał zjawić się Henry. Eleanor sama była zaskoczona swoim podnieceniem. Z przejęciem biegala po mieszkaniu, sprzątała, ustawiała kwiaty w wazonach. Sophie zaśmiewala się do łez, ale dzielnie uczestniczyła we wszystkich przygotowaniach. Eleanor oprzytomniała, dopiero kiedy zerknęła w lustro. Z okrzykiem przerażenia upuściła miotłkę i pobiegła doprowadzić się do porządku.

Wreszcie rozległ się dźwięk dzwonka. Henry stał w progu jak zwykle uroczy i troszeczkę onieśmielony. Eleanor rzuciła mu się na szyję i uściskała goręcej niż kiedykolwiek, jakby to mogło jej przybliżyć Johna. Henry bowiem stanowił nić łączącą ją z kuzynem, z Brazylią. Dopiero w tym momencie dziewczyna uświadomiła sobie, jak bardzo tęskni za wszystkimi krewnymi. Po długiej chwili wypuściła gościa z objęć i obrzuciła badawczym spojrzeniem. Stał przed nią nowy, obcy Henry; dorosły mężczyzna, prawnik niezależny od rodziców. Był zadowolony i spokojny. Wciągnęła go do mieszkania.

– Sophie, przedstawiam ci Henry’ego, o którym tyle słyszałaś i przez którego listy tak niemiłosiernie ze mnie kpiłaś. Henry, to Sophie. Jej przedstawiać wcale nie trzeba.

Francuzka podała przybyszowi rękę. Uśmiechnęli się do siebie i uścisnęli dłonie. Obojgu spodobało się to, co zobaczyli. Po chwili Henry wrócił spojrzeniem do Eleanor. W jego oczach Sophie zobaczyła miłość, skrzętnie ukrytą w obawie przed odtrąceniem. Miłość do Eleanor. Poczula ukłucie bólu.

– Wejdz, Henry, i opowiadaj. Jak podróż? Czy bez kłopotu dotarłeś do nas? Przepraszam, że nie wyszliśmy po ciebie na lotnisko, ale miałyśmy dzisiaj ostanti egzamin, a wiesz, jak to jest. – Eleanor wprowadziła go do saloniku, usadowiła na krzesło. Henry tylko się uśmiechał i

w odpowiednich chwilach potakiwał lub zaprzeczał ruchem głowy. Eleanor nie dopuszczała go do słowa. – Przywiozłeś nam pogodę, wiesz? Rok temu było po prostu okropnie, a teraz proszę: słońce świeci, prawie nie ma wiatru... To twoja zasługa! O, może się czegoś napijesz? Wina, kawy? A może jesteś głodny? Na pewno jesteś zmęczony po tak długiej podróży! Och, tak się cieszę, że cię widzę!

Impulsywnie pocałowała go w policzek. Roześmiał się tylko, podczas gdy rok temu poczerwieniałby jak burak.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. W domu nic nie jest tak jak przedtem, od kiedy wyjechałaś. Brakuje nam ciebie. – Mówił po angielsku, ale powoli, żeby i Sophie wszystko zrozumiała. Jego francuski pozostawiał zbyt wiele do życzenia. – Tak, chętnie napiłbym się wina. Z nie znanych mi przyczyn w ogóle nie jestem zmęczony. Więc jak wam poszły egzaminy?

Jego pytanie dotyczyło obydwu dziewcząt. Sophie uderzyło, jak bardzo zachowanie Henry'ego kontrastowało ze sposobem bycia Johna. Tamten nie marnował dla niej słów, nie wysiłał się na uprzejmości poza krótkim „cześć”. Dwaj mężczyźni w życiu Eleanor różnili się jak ogień i woda. Sophie nie miała żadnych trudności z ustaleniem, który z nich jej się bardziej podoba.

– Cóż, zdałyśmy, tylko tyle mogę na ten temat powiedzieć – zaczęła ostrożnie, gdy Eleanor wybuchnęła śmiechem.

– Nie słuchaj jej, Henry. Jest najzdolniejszą studentką na roku; zalicza wszystko znakomicie! Nigdy jej nie dogonię. I spójrz tylko na nią! Czy wygląda na kujona?

Henry posłusznie popatrzył na Francuzkę. Zobaczył drobną, bladą istotkę o wielkich szarych oczach ukrytych pod szopą ciemnych loków. W tych oczach, zwykle pełnych figlarnych błysków, kryło się zakłopotanie.

– Rzeczywiście, Sophie, wyglądasz jak cieplarniana orchidea, a nie intelektualistka. Ponieważ jednak lubię dziewczyny z głową na karku, podwójnie się cieszę, że cię poznałem – oznajmił poważnie.

Uśmiechnęła się, po raz pierwszy nie wiedząc co odpowiedzieć. Wstała.

– Ja... ja przyniosę wino, a wy tu sobie pogadajcie. Na pewno nie zabraknie wam tematów.

Choć przeszła na francuski, Henry ją rozumiał. Zerwał się z krzesła, kiedy się podniosła.

– Na litość boską, Henry, nie bądź taki sztywny. Sophie na pewno nie chce, żebyś wstawał, ilekroć wchodzimy lub wychodzimy. Odpręż się. Jesteśmy w Paryżu, są lata sześćdziesiąte. Z nami nie musisz przestrzegać etykiety – zażartowała Eleanor.

Młody człowiek usiadł.

– Nie rozumiem, czemu mówiłaś także o sobie – zaczął się przekomarzać. – Dla ciebie nie wstałbym. Sophie jest taka miła. Poszczyło ci się, że znalazłaś taką przyjaciółkę – zauważył po chwili.

Przez moment Eleanor zastanawiała się, czy Sophie mu się podoba. Miała nadzieję, że tak.

– Tak, jest wspaniała. Usiłuję ją namówić, by przyjechała do nas do Rio na kilka miesięcy. Na ostatnim roku studiów mogłaby zacząć uczyć się portugalskiego. Chciałabym przedstawić jej wszystkich tych ludzi, których zna z opowiadań. Na pewno jej się tam spodoba, nie sądzisz?

– Wszyscy uwielbiają Rio, więc nie przypuszczam, żeby Sophie miała okazać się wyjątkiem. Wiem za to na pewno, że moi przyjaciele uwielbialiby ją... – wykrzywił usta w komicznym grymasie. – Ojej, chyba mam sklerozę. Przecież przywiozłem zdjęcia dziecka. Isobel i Louis byli rozczarowani, że nie przyjechałaś na chrzciny, ale rozumieją, że nie mogłaś przerwać studiów. O, proszę, oto mały Charlie. Twój ojciec przepada za nim jak za własnym synem. I na dodatek mały dostał imię na cześć dziadka! Isobel staje się z latami coraz sprytniejsza.

Mówił ironicznym tonem, co było u niego nowe. Dawny Henry nigdy nie krytykował innych, nigdy nie pozwalał sobie na złośliwe, cyniczne uwagi. Nie był to już ten sam chłopak, którego żegnała, wyjeżdżając z domu; zmienił się, wydorósł. Była ciekawa, czy i w niej zaszły jakieś zauważalne zmiany.

Pochylili się nad zdjęciami. Wkrótce dołączyła do nich Sophie. Plotkowali o wspólnych znajomych, opowiadali sobie wydarzenia ostatnich tygodni. W pewnym momencie Henry wspomniął Johna. Eleanor zamarła w bezruchu, ukryła dłonie pod stołem, żeby drżeniem nie zdradziły jej zdenerwowania. John został oficjalnie uznany za zbiega politycznego. Henry jednak przypuszczał, że kuzyn ukrywa się gdzieś w Mato Grosso, chociaż nie mieli od niego żadnych wiadomości. Obrzucił Eleanor badawczym spojrzeniem, ona jednak tylko wzruszyła ramionami i odwróciła głowę. Po chwili zmienili temat. Sophie i Henry rozmawiali o najnowszych filmach. Porozumiewali się przy tym dziwną mieszanką angielskiego i francuskiego. Eleanor ciężko oparła się o poduszki kanapy i zatęęła w myślach.

Bardzo tęskniła za Johnem. Czasami nawet bardziej niż była w stanie to znieść. List od niego, celowo niejasny i nie podpisany, przyszedł w październiku. Jej ukochany żył i miał się dobrze, tyle tylko wiedziała. Natychmiast spaliła pojedynczy arkusik.

Henry zamieszkał niedaleko od nich, w pensjonacie przy Rue Patrice Le Fevre. Dziewczęta cieszyły się jego towarzystwem przez tydzień. We trójkę chodzili na koncerty i do kina, przesiadywali w kafejkach na Polach Elizejskich, oglądali arcydzieła w Luwrze i spacerowali po bulwarach. Ostatni wieczór przed wyjazdem Henry’ego do Włoch chcieli spędzić w Ogrodzie Luksemburskim, ale było zbyt zimno i ponuro. Nagie gałęzie drzew posępnie kołysały się na wietrze. Wrócili więc do mieszkania, by omówić plan podróży i zdecydować, gdzie się spotkają.

– Nadal uważam, że masz bardzo archaiczne podejście do życia. Nikt nie zwróciłby uwagi na to, że z tobą jadę, a nawet jeśli, to powiemy, że jestem twoją siostrą. – Eleanor uparcie wracała do tematu, na który klócili się przez cały tydzień.

– Nie, Eleanor. To moje ostatnie słowo. Co by sobie pomyśleli twoi rodzice? I wszyscy inni, jeśli już o tym mowa. Niezamężna dziewczyna nie może towarzyszyć mężczyźnie w podróży. Nie pozwolę, żebyś się skompromitowała. – Henry był wyjątkowo stanowczy.

Sophie nie zwlekała z poparciem go. Spojrzała na przyjaciółkę.

– Nie marudź, Eleanor. Henry przyjedzie do nas na święta do Gassin. Nie możesz tak po prostu z nim wyjechać. To byłoby niewłaściwe – nie spuszczała z Henry’ego czujnego wzroku, na wypadek gdyby zmienił zdanie. Wiedziała, jak bardzo chciałby, by Eleanor mu towarzyszyła, i dziękowała niebiosom za jego doskonałe maniery. Ten mężczyzna wolał zrezygnować z własnej przyjemności, niż popełnić coś niestosownego.

Tak więc Eleanor musiała im ulec. W głębi duszy uważała, że to śmieszne. Przecież między nią a Henrym do niczego by nie doszło. On był na to zbyt wielkim dżentelmenem, a ona nie była nim w tym sensie zainteresowana. Zawsze zamawialiby osobne pokoje i tylko zwiedzali razem. Przecież nigdy nie była we Włoszech. Kogo obchodzi, co powiedzą inni? Henry jednak był niewzruszony i musiała pogodzić się z porażką.

Pomyślała o Johnie, jak z nią zamieszkał, jak nie rozłączali się nawet na chwilę i nagle zapragnęła się dowiedzieć, co Henry o tym sądzi. Liczyła, że przyjaciółka dotrzymała obietnicy i nie pisnęła nawet słówka ani jemu, ani komukolwiek innemu.

Sophie zaprosiła Henry’ego na święta do Gassin, małego miasteczka wśród wzgórz niedaleko od St. Tropez, gdzie ostatnio mieszkał i pracował jej ojciec. Młody człowiek obiecał, że postara się do nich dołączyć. Dziewczęta pomachały mu na pożegnanie. Eleanor zastanawiała się, kiedy Henry przejrzy na oczy i zrozumie, że Sophie jest w nim zakochana. Miała nadzieję, że już wkrótce.

*Vila Serrista*

*Grudzień 1962*

Zza szop dobiegł jego uszu zdławiony, niewyraźny dźwięk. John ruszył w tamtą stronę powstrzymując oddech. Czuł, że na karku cierpnie mu skóra, i to zdenerwowało go tak samo jak tajemniczy odgłos. Nie boi się przecież. Nie ma się czego obawiać.

Zapach suchej, spalonej słońcem ziemi i mdły odór rozkładu sprawiły, że z niesmakiem zmarszczył nos. Zacisnął mocno usta. Ramieniem otarł pot z czoła. Jego koszula była zupełnie mokra. Zatrzymał się, by popatrzeć w słońce.

Skąd pochodził ten hałas? Na fazendzie pozostali tylko nieliczni Indianie. Większość uciekła do dżungli albo na inne plantacje, gdzie mieli nadzieję znaleźć pracę, jedzenie i opiekę. Nie odszedł tylko Monkey z rodziną i kilku najwierniejszych. Nie było już też właściwie zwierząt na fazendzie. Więc skąd się brał dziwny dźwięk?

Dzień nabrzmiewał upałem, burzowe chmury gromadziły się nad polaną. Co jakiś czas pomrukiwały ostrzegawczo. Muchy, oszołomione parnym powietrzem, lepiły się do skóry. John strącił je z obrzydzeniem i ruszył dalej. Prawa dłoń zaciskała się na maczecie. Lewa, pusta, zamykała się i otwierała, drgała konwulsyjnie, jakby gotując się do walki z tajemniczym napastnikiem.

Szopa przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Drzwi cudem trzymały się na zawiasach, dach zapadł się w jednym końcu. Powietrze przesycił zapach drewna i traw, i stęchlizny. Dżungla napierała, chciała odzyskać utraconą ziemię. Tajemniczy dźwięk ucichł nagle. John wyteżał wzrok i omiół spojrzaniem ciemne zakamarki. Niczego nie dostrzegł.

Wszedł do środka i przeszukał najdalszy kąt, skąd, jak mu się wydawało, dochodził odgłos. Nic. Tak samo jak ostatnim razem, i jeszcze wcześniej. Nie wiedział co to, ale już wielokrotnie słyszał ten dźwięk. Na pewno. A teraz znowu nic. Głęboko wciągnął powietrze i odwrócił się do drzwi. Wydało mu się, że kątem oka pochwycił ruch, błyskawiczne, niemal niezauważalne poruszenie. Odwrócił się, ale cokolwiek to było za stworzenie, zdążyło uciec. Młody człowiek potrząsnął głową i wyszedł z szopy. Szedł powolnym, spokojnym krokiem, choć najchętniej puściłby się biegiem. Zmierzał w stronę domu.

Wracając do dżungli, popełnił błąd. Wiedział o tym od początku. Dokąd jednak miał pójść? Zostało mu trochę pieniędzy, które zdążył podjąć z banku, zanim zablokowano jego konto, ale przy galopującej inflacji nie wystarczyłyby mu na długo. A gdzież indziej mógł – tak skutecznie ukryć się przed władzami? Zniknąć bez śladu na całe trzy lata? Nie miał innego wyboru.

Przyjrzał się budynkowi. Drewno gniło, lata deszczów i zaniedbania zrobiły swoje. Widział powybijane szyby, pokryte pleśnią meble. Odkąd wrócił, nie wszedł do pokoju rodziców. Nie otworzył zamkniętych drzwi. Spał w swojej dawnej sypialni. Sprzątał najlepiej jak potrafił: powyrzucał zgniłe zasłony, dywaniki podziurawione przez owady. Mieszkał w spartańskich warunkach. Indianie za żadne skarby nie przekroczyliby progu domu. Według nich to miejsce nawiedzone przez duchy. Nie zbliżali się więc do bungalowu.

A teraz te hałasy. John był przekonany, że naprawdę je słyszał. Ale Monkey zapewniał, że nikt inny niczego nie zauważył, i patrzył na swego pana pytającym wzrokiem. Najwyraźniej zastanawiał się, czy na polanie wkrótce znowu poleje się krew. John odesłał Indianina, rozgniewany.

Gdyby tylko miał z kim porozmawiać, gdyby ktoś był przy nim wieczorami, nocami. Gdyby Eleanor mu towarzyszyła. Powoli pojmował, dlaczego ojciec zaczął pić. Ludzie opowiadali o szaleństwie dżungli. I teraz otaczała go, mroczna, groźna i tajemnicza. Tu był jego dom, ale John zaczynał się go bać.

To wina bungalowu i związanych z nim wspomnień, uznał tego wieczora. Zbyt wiele się tam wydarzyło. W ścianach czaiło się echo tamtych strasznych dni; krzyki matki, wrzaski ojca. Johnowi wydawało się, że mury domu przesiąknięte są krwią, tą samą, która nadal pokrywała tapety, łóżko i zasłony pokoju, do którego nigdy nie wchodził. Zadrzał, zamknął oczy. Widział ogień i śnieg, ogień i śnieg, mieniące się w świetle rozkołysanej lampy. Ukrył głowę w dłoniach. Wyrwał mu się zduszony okrzyk. Już dość! Już dość! Jutro spali dom. Aż do fundamentów.

Wstał przed świtem. Gromadził resztki mebli pośrodku pokoi i polewał benzyną, której smużki ciągnęły się aż do ogrodu. Kiedy przyłożył do nich zapalnik, ogień pomknął ku domowi jak oszalały świetlik. Objął w posiadanie drewniany budynek, wykwitał różowo-pomarańczowoczerwonymi płomieniami z okien, zalotnie, uwodzicielsko tańczył na dachu. Przez chwilę wydawało się, że otworzyły się zamknięte okiennice pokoju rodziców, otworzyły z przerażającym, groźnym trzaskiem. A potem dom zaczął się zapadać, zamieniać w bezkształtną stertę. John nie odchodził. Patrzył, jak bungalow płonie.

Indianie obserwowali go z daleka. W milczeniu posyłali sobie znaczące spojrzenia, jakby

wiedzieli coś więcej, ale nie chcieli tego zdradzić.

Była Wigilia Bożego Narodzenia.

*Gassin Boże*

*Narodzenie 1962*

Było znacznie chłodniej, niż Eleanor się spodziewała. Zimę na południu Francji wyobrażała sobie jako ciąg łagodnych, słonecznych dni, podczas których natura odpoczywa po upalnym lecie. Tymczasem było zimno. Ostry wiatr od morza przynosił lodowate powietrze. Kamienne ściany domu, latem dające ochronę przed upałem, teraz potęgowały ziąb. Deszcz padał bez ustanku, chmury nie przepuszczały nawet promyka słońca. Dla Philippe'a Gastambide'a, schorowanego ojca Sophie, nadszedł czas odpoczynku.

Starszy pan przesiadywał na wiekowym szeszlengu przy oknie, a dziewczęta ubrane w najgrubsze rzeczy, jakie mogły znaleźć, zajmowały się domem. Znosiły drwa do kominka. Gotowały pyszne, pożywne zupy i potrawy. Z czułością otulały Philippe'a kocami, kiedy po nocach zanosił się kaszlem. I niecierpliwie wypatrywały Henry'ego.

Henry zjawił się na cztery dni przed gwiazdką, dokładnie tak jak im obiecał. Nagle dom wypełniły śmiechy, żarty i ciepło charakterystyczne dla świąt Bożego Narodzenia. Nawet Philippe dołączał do młodych, kiedy wieczorami grali w szarady i głupie, zapamiętane z dzieciństwa, salonowe gry. Tylko Eleanor nie mogła pozbyć się dziwnego uczucia, które pojawiło się niedawno. Niewytłumaczalny lęk budził ją w nocy, drżącą, zbyt przerażoną, by otworzyć oczy i spojrzeć w ciemność.

Dziewczyna izolowała się coraz bardziej, a pozostali spoglądali na siebie ze zmartwieniem. Nie mogli pojąć, co się stało. Czy tęskni za domem, za rodziną? Brakuje jej brazylijskich upałów? Martwi się o wyniki egzaminów? Nie wiedzieli. Nawet nie zauważyła ich niepokoju. Lęk narastał.

Sophie i Henry spędzali ze sobą coraz więcej czasu, bo Eleanor udawała się na długie, samotne spacery po sosnowym lesie. Smutnym, nieobecny wzrokiem wypatrywała tylko jej wiadomych celów. Wkrótce przekonali się, że próby wciągnięcia Eleanor do rozmowy nie mają sensu; irytowała się i zamykała w sobie jeszcze bardziej. Może to początki grypy? A może martwi się polityczną sytuacją w kraju?

Sophie i Henry'ego zbliżyły wspólne próby rozweselenia przyjaciółki. Bariera językowa nie była już problemem; każde mówiło w swoim języku, ale rozumieli się doskonale. Sophie podziwiała młodego człowieka jak jeszcze nigdy nikogo w życiu. Zachwycała ją nie tylko jego inteligencja czy wrażliwość, nie tylko urok, lecz połączenie tych wszystkich cech w jednej osobie. Z dnia na dzień Sophie szanowała i kochała Henry'ego coraz bardziej.

W Wigilię świąt Bożego Narodzenia Eleanor była wyjątkowo cicha. Z trudem wykrzesala z siebie dość energii, by rozpakować swoje prezenty i podziękować za nie. Zaraz po kolacji położyła się do łóżka. Pociła się i miała dreszcze, jakby złapała grypę.

O świcie obudziła cały dom przeraźliwym krzykiem.

John widział, jak dach zapada się coraz głębiej, ściany składają się jak w budowlach z

kart i oto resztki domu zawaliły się z ostrym trzaskiem. Ogień nadal szalał, ale teraz płomienie buzowały na kupie gruzów. Nie próbowały przebyć ubitej ziemi dzielącej je od innych budynków. John z ulgą patrzył na dymiące zgliszcza. Stało się.

Otarł pot z czoła i spojrzał na niewielką kupkę rzeczy, które sobie zostawił. Torba z ubraniami, kilka książek, dubeltówka, amunicja, trochę żywności, tytoń, naczynia kuchenne. Żałośnie mało w porównaniu z tym, co kiedyś posiadał. To bez znaczenia. Teraz niczego nie potrzebuje. Zamieszka w indiańskiej chacie. Będzie uprawiał warzywa, polował, łowił. Może spróbuje zorganizować kilka spotkań, podburzy nieco tutejsze umysły. O ile tubylcy mu na to pozwolą.

Myśl, która pojawiła się po raz pierwszy, kiedy podpalał dom, powróciła teraz, silniejsza i wyraźniejsza. Gdzie ma się schronić w razie napadu dzikich? Monkey i kilku wiernych Indian nie stanowili żadnej ochrony. Dom, twierdza z masywnymi okiennicami, za którymi kryło się szaleństwo, był kupą popiołów. Co teraz powstrzyma obcych wojowników? Wiedzieli już, że wrócił.

Zatrzymał się na środku polany, wsłuchany w granie cykad, rechot żab i wrzaski małp. Odrzucił głowę do tyłu i zapatrzył się w sklepienie nieba. Okolicę zamieszkiwały dwa plemiona. Pareci nie stanowili zagrożenia. Nigdy by go nie skrzywdzili, z wieloma z nich łączyło go braterstwo krwi. Nie, to plemię mieszkające na wschodzie przerażało go, to tamci wojownicy ścigali go w snach. Morcego, Ludzie Nietoperze, malujący ciała na czerwono, a włosy na żółto. Ci sami, którzy śledzili jego i Eleanor podczas wędrówki przez dżunglę. Dlaczego wtedy ich nie zabili? John głęboko wciągnął powietrze. Zastanawiał się, czy przyjdą po niego teraz.

Było już południe. Uznał, że najwyższy czas przygotować sobie nocleg. Zabrał swoje rzeczy i udał się na przeciwległy skraj polany. Monkey czekał na niego przy opuszczonych chatach. Indianin martwił się. Teraz, kiedy dom spłonął, byli bezradni.

– Odchodzisz? – zapytał. John pokręcił głową.

– Nie. Zostaję. Tutaj – wskazał na najmniej zrujnowaną chatę. – Idź, zawołaj ludzi, żeby pomogli mi doprowadzić to miejsce do ładu, dobrze? Zostanę tutaj – powtórzył stanowczo. Zastanawiał się, co zrobiłby, gdyby Monkey nagle uznał, że już nie lubi swego pana. Wydawało mu się, że Indianinowi wszystko jest obojętne. Monkey musiał jednak dostrzec coś dziwnego w jego oczach, bo nagle skinął głową i odwrócił się przerażony. John westchnął i rzucił bagaż na ziemię.

– I przyślij Shiri! Będzie prowadziła mi gospodarstwo! – krzyknął za Monkeyem. Wstrząsnął nim dźwięk własnego głosu. Oto on, John Campos, zachowywał się jak prawdziwy fazendeiro, jak właściciel niewolników. Zrób to, zrób tamto. Ja ci rozkazuję. Splunął na ziemię. Potrzebował pomocy, a Indianie nie zrobią niczego dobrowolnie. Przez jakiś czas musi tak żyć.

O zmroku przyszła Shiri, najmłodsza córka Monkeya. Kobiety wystroiły ją, jakby szła na święto zbiorów. Na brązowej skórze pyszniły się naszyjniki z piór, pas z muszli, sznury koralików, bransoletki ze zwierzęcych kłów. Z małych koralików zawieszonych na szyi wydobywał się zapach kwiatów i wanilii. Była wysoka i smukła. Czarne włosy sięgały

podbródka, otaczały płaską twarz bez wyrazu. Shiri miała niecałe trzynaście lat.

John zignorował ją. Nie chciał sobie brać dziecka na kochankę. Chciał tylko, by mu gotowała i sprzątała w chacie, podczas gdy on będzie polował i próbował doprowadzić fazendę do dawnego stanu. Dziewczynka nie przejęła się jego reakcją. Ukucnęła przy drzwiach i obserwowała go z niezmiernie obojętną miną. John dalej czyścił dubeltówkę.

Zauważył u Monkeya stary muszkiet, jeden z wielu, jakie ojciec kupił niegdyś dla służby domowej. Produkowano je w Anglii, w firmie P. Dunoulin & Co. Dopóki nie zawodziło odrutowanie, można z nich było zabić każde stworzenie, nawet jaguara. Młody człowiek zastanawiał się, ile lat ma broń Monkeya. I czy, gdyby zaszła taka potrzeba, Monkey stanąłby w jego obronie.

Rankiem tego dnia Shiri udała się na połów. Złapała dużą srebrzystą rybę w pomarańczowe cętki. Oczyszczyła ją i, owinąwszy filety w liście, piekła w żarze. Tylko w ten sposób można było mieć pewność, że w mięsie nie będzie żadnych pasożytów, atakujących wszystkie gatunki ryb w wodach dżungli. John poczuł smakowity zapach, kiedy dziewczynka podała mu wieczorny posiłek. Nie był głodny, ale zmusił się do jedzenia.

Wypił także trochę białego płynu, który mu podała. Nie była to *chicha*, tylko zwykły napój tubylców. Z wahaniem umoczył usta w kwaśnej cieczy.

Bał się zasnąć, bo wiedział, że koszmar przyjdzie także i tej nocy. A John nie chciał ponownie patrzeć na tamten pokój. Bał się widoku krwi na ścianach i rozkołysanej lampy. Bał się, że na łóżku znów będzie leżało martwe ciało, tylko tym razem nie będzie to matka, lecz Eleanor. W końcu jednak zamknął oczy i zapadł w niespokojny sen. Pocił się i dygotał na chłodnym wietrze. Shiri obserwowała go ze swego kąta, z twarzą równie pozbawioną wyrazu co przedtem. W pewnej chwili na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Kiedy jednak ojciec na migi dał znak, żeby za nim podażyła do dżungli, nie sprzeciwiła się.

Tej nocy nadeszli Morcego, ale John o niczym nie wiedział. Nie mógł wyzwolić się z koszmaru, krzyczał, płakał, przeklinał wśród ciemności, a oni stali wokół niego z uniesionymi dzidami, gotowi do ciosu. Jeden z wojowników kopnął go. Wówczas John otworzył oczy. Były duże, błękitne i pełne szaleństwa. Rozległ się przeraźliwy krzyk. Morcego uciekli.

Gorączka wstrząsała Johnem jeszcze przez tydzień. Monkey i Shiri kurowali go, poili wodą i mlekiem, podawali tajemnicze ziołowe wywary, których receptury znają tylko Indianie, i wlewali mu w usta białą lepką maź. Obmywali go i robili okłady z palmowych liści. Palili ogniska, których gęsty, ciężki dym odurzał, odbierał przytomność. Shiri ogrzewała swego pana własnym ciałem. Wiedzieli, że Morcego nie wróca. Dopóku John tu jest, nic im nie grozi. Teraz on będzie ich talizmanem. Ludzie Nietoperze nie zbliżą się do niego. Shiri dobrze знаła działanie narkotyków, które podała w białym napoju: otulą umysł Johna zasłoną, zatrzymają go z nimi, z Pareci, pogrążonego w na pół zapomnianych snach. Uśmiechnęła się.

Eleanor obudziła się i ze zdumieniem spostrzegła Henry'ego, Sophie i Philippe'a, którzy stali przy jej łóżku. Nadal słyszała straszny głos niosący się echem przez noc. Kurczowo przywarła do Henry'ego.

– Ktoś krzyczał – szepnęła, ciągle jeszcze przerażona. Henry mocniej otoczył ją ramionami.



– Cśś, kochanie. Wszystko w porządku. To tylko zły sen. To ty krzyczałaś.

Biło od niego ciepło i spokój. Eleanor nie wiedziała, dlaczego nadal dygoce, wystraszona jak nigdy dotąd. Zauważyła, że Sophie posyła przyjacielowi zmartwione spojrzenie.

– Przepraszam. Nie wiem, czemu się tak zachowałam. Myślałam... myślałam, że to ktoś inny i dlatego wpadłam w panikę... – potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, zakłopotana. – Przepraszam.

– Nie gadaj głupstw, Eleanor. Przecież każdy miewa koszmary.

A teraz połóż się i spróbuj zasnąć. Jestem tuż obok, gdybyś mnie potrzebowała.

Henry opatulił dziewczynę kołdrą, ucałował w policzek i wraz z Gastambide'ami wyszedł z pokoju. Zostawił uchylone drzwi.

Kochany Henry, pomyślała. Zawsze można na niego liczyć. Taki rozsądny, taki mądry. Tym razem jednak mylił się. To nie był tylko sen. Ona naprawdę słyszała i wie, że krzyczał John. Poznała jego głos.

Jeszcze długo po tamtej nocy głowiła się, co mogła znaczyć owa wizja. Obawiała się, że John jest chory, że grozi mu niebezpieczeństwo. Łamała sobie głowę nad sposobem nawiązania z nim kontaktu. Przez cały czas uśmiechała się uprzejmie, rozmawiała i zapewniała, iż czuje się doskonale.

Henry wyruszył na dalsze zwiedzanie Europy, obiecawszy, że zajrzy do nich do Paryża jeszcze przed odlotem do Brazylii. Eleanor i Sophie wróciły na uczelnię. Zanim do Eleanor dotarły wieści z domu, stary rok dobiegł końca.

Isobel pisała, że nazwisko Johna znajduje się podobno także na liście wojskowej, co znaczyło, że biedak miał niewielkie szanse na powrót do normalnego życia. Nikt nie wiedział, gdzie obecnie przebywa; nie widziano go od dawna. Teresa wyjechała do Stanów Zjednoczonych kręcić następny film i oświadczyła publicznie, że nic już jej z Johnem nie łączy. Przypuszczalnie chciała uniknąć kłopotów. Kraj dojrzał do kolejnego puczu; może jeszcze nie w tym momencie, ale z pewnością przed upływem kadencji Goularta. Mówiono, że ma on zamiar próbować utrzymać się na stanowisku prezydenta, choć nawet kobiety zaczęły urządzać marsze protestacyjne.

Papa zamartwiał się, usiłował zerwać więzy łączące go z prezydentem, ale było już za późno. Powszechnie uważano go za poplecznika Goularta. Isobel przewidywała spore kłopoty, zwłaszcza jeśli wyjdzie na jaw, że John jest ich bliskim krewnym.

Eleanor, blada i niespokojna, to chciała natychmiast wracać do Brazylii, to przypominała sobie, iż obiecała Johnowi nie pojawiać się w kraju przez jakiś czas. Nie mogła nic zrobić; ta bezradność była gorsza od wszystkiego. Lepiej byłoby siedzieć w Rio i bać się o przyszłość wraz z całą rodziną. Sophie wytrzeszczyła ze zdumienia oczy, kiedy dowiedziała się, co może grozić Fawcettom, jeśli dojdzie do puczu. Zadawała też naiwne pytania o los Henry'ego, co rozbawiło i wzruszyło Eleanor. Dla Sophie świat kręcił się wokół Henry'ego. Eleanor miała nadzieję, że nie skończy się to złamanym sercem przyjaciółki.

W lutym 1964 roku zmarł ojciec Sophie. Chorował od dawna, kaszlał i cierpiał, aż dla wszystkich stało się jasne, że to coś poważnego. Sophie nie wróciła po Bożym Narodzeniu do Paryża, została z Philippe'em, by go pielęgnować. Eleanor brakowało jej wesołej paplaniny i

energii, które kpiły z zimy za oknem i przeganiały troski. Dziewczęta pisywały do siebie, Eleanor uczestniczyła w pogrzebie, ale Sophie nie wróciła już na uczelnię. Nie miała pieniędzy, za to aż nadmiar rachunków do zapłacenia. Sophie ucałowała Eleanor na pożegnanie i obiecała, że kiedyś przyjedzie z wizytą. Bez niej Paryż stracił wiele ze swego uroku.

W 1964 roku, kiedy na półkuli północnej królowało lato, Eleanor wróciła do Brazylii. Brakowało jej zaledwie jednego semestru do ukończenia studiów, ale w marcu tegoż roku armia obaliła Goularta. Prezydent uciekł za granicę. Wojskowi przejęli władzę. Eleanor uznała, że czas wracać do domu.

## Rozdział szesnasty

*Vila Serrista*

*Lipiec 1964*

John siedział przed chatą i czytał. Nie przeszkadzał mu monotony stukot deszczu, bo chronił go daszek z liści palmowych, który wybudowali razem z Monkeyem. Ta niby – weranda była jedynym miejscem, gdzie mógł liczyć na przewiew, odrobinę chłodniejszego powietrza. Poruszył się, żeby rozkołysać hamak. Leniwie, od niechcienia przeglądał książkę. Wszystkie powieści, które uratował z domu, przeczytał już wiele razy, jednak ciągle wracał do dzieł Conrada, bowiem w jego prozie odnajdywał samego siebie. To dziwne uczucie, widzieć własne odbicie w słowach napisanych przez człowieka od dawna nieżyjącego. Czasem John zastanawiał się, czy ma w sobie więcej z Jima, czy z Kurtza. Może z obu, a może z żadnego z nich. Teraz nie był już niczego pewien.

Rozejrzał się. Pod innymi chatami krzątali się Indianie, zajęci lepieniem garnków, tkaniem, garbowaniem skór. Nikt nie zwracał na niego uwagi, tylko Shiri uśmiechała się po swojemu. Potrząsnął głową i wrócił do przerwanej lektury „Lorda Jima”:

„Dopiero gdy usiłujemy walczyć o istotną potrzebę innego człowieka, dostrzegamy, jak niezrozumiałe, jak chwiejne i mgliste są istoty, które dzielą z nami widok gwiazd i ciepło słońca. Rzekłbyś, że samotność jest ciężkim i nieodzownym warunkiem istnienia...” \* [Joseph ConradKorzeniowski „Lord Jim”, tłum. Aniela Zagórska, Ossolineum 1978]

To prawda, stwierdził ze smutkiem. Nikt nie ma tych samych myśli, pragnień, potrzeb. Każdy jest inny. Weźmy na przykład małą Shiri; taka jest pewna, czego chce, że nie mieści jej się w głowie, iż on mógłby marzyć o czymś innym. Jej wystarczy miejsce do spania, jedzenie i mężczyzna. Chciała, żeby został jej mężczyzną, i nie pojmowała, czemu ją odtrącał. Właśnie zróżnicowane potrzeby sprawiają, że każdy człowiek jest sam. Czy dlatego zawsze trzymał się na uboczu, z dala od innych? Bo, jak Conrad, uważał za nieodzowny warunek istnienia, to w co inni nie chcieli uwierzyć? A może po prostu zwariował. Ostatnio miał takie kłopoty z koncentracją, że nie wykluczał tej ewentualności. Ciekawe, czy Indianie uważali go za szaleńca.

Westchnął. Zanim odłożył książkę, startł z okładki warstwę białej pleśni. To wszechobecna wilgoć. John nie wierzył, by jego skromna biblioteczka przetrwała jeszcze wiele pór deszczowych. Nie sądził także, by udało się to jemu samemu. Nie z gorączką, która wracała co kilka tygodni i wyniszczała organizm, nie teraz, kiedy zamazane, niewyraźne dni zlewały się ze sobą i ciągnęły w nieskończoność.

Wyblakłe zdjęcie, pożółkłe i pogniecione, wysunęło się spomiędzy stronic. Zawahał się, ale podniósł je. Była to dawno zrobiona fotografia dziecka, które już nie istniało. W końcu odważył się na nią spojrzeć. Mocno zacisnął usta, jakby chciał mieć pewność, że nie wydobędzie się z nich żaden dźwięk. Dwunastoletnia Eleanor śmiała się do niego ze zdjęcia. John uważnie wpatrywał się w pogodną twarz.

To nie miało sensu. Nauczył się żyć sam. Nie potrzebował nikogo, nawet jej. Była tylko wspomnieniem, to wystarczało. Spojrzał w niebo. Sądząc po wysokości słońca, dochodzi szóstka. Niedługo zwierzęta przyjdą do wodopoju. Dźwignął się z hamaka i podniósł mały kołczan i łuk. Ciężka praca i skąpe pożywienie nadały jego sylwetce smukłości i sprężystości. Podobnie jak Indianie nosił przepaskę biodrową, więc widoczne były wszystkie blizny i chorobliwie żółtawy odcień skóry. Z szyi zwisał na sznurku ząb jaguara, przegub otaczała brudna, wyblakła bransoletka z plecionych nitok, podarunek od Teresy. Był to cały jego ubiór.

John postanowił, że niedługo uda się w dół rzeki do ojca Janio. Pozna najnowsze wieści, może pomyśli nawet o krótkim wypadzie do cywilizowanego świata. Wiedział, że jeśli wkrótce stąd nie odejdzie, nigdy już nie wyrwie się z dżungli. Dziwnym jednak trafem, ilekroć myślał o wyjeździe zbyt intensywnie, powracała gorączka. A Indianie znów go pielęgowali, opiekowali się podczas tygodni pełnych koszmarnych snów i powtarzali, że nie wolno mu odejść. Tym razem jednak wyjedzie. Teraz albo nigdy. Goulart wkrótce straci władzę, John był tego pewien. Wtedy będzie można wrócić do domu.

Dżungli nie uważał już za swój dom. Była jego więzieniem, jego piekłem, a on, jak potępieniec, tańczył, miotał się i krzyczał, trawiony gorączką przez długie miesiące przymusowej izolacji. Zastanawiał się, czy ma tu zostać do końca życia. Może to właśnie kara, czyściec na ziemi. Czasami tracił poczucie rzeczywistości, nie odróżniał jawy od sennych majaków. Nie potrafił ocenić, czy nocna dżungla naprawdę rozbrzmiewa głośnym dźwiękiem bębnow, czy ognie płoną w rzeczywistości, czy tylko w jego umęczonej wyobraźni. Niekiedy nadchodził błogi bezwład, wysysał z ciała wolę życia. Całymi dniami, tygodniami nawet, John leżał słaby i półprzytomny, pogrążony w narkotycznym świecie. Czasami podejrzewał, że oszalał, kiedy indziej obwiniał Indian za swój stan. Ta myśl wywołała smutny uśmiech na jego twarzy. Shiri odpowiedziała tam samym. Ucierała właśnie korzeń między dwoma kamieniami.

W głębi duszy John wiedział, że Indianie nigdy nie pozwolą mu odejść. Był ich talizmanem, ochroną przed plemieniem Morcego.

Nucił coś cichutko, bezszelestnie przemykając się wśród drzew. Czarne pasy pokrywały jego twarz i ciało. Tylko błękitne oczy jaśniały w półmroku.

Biblioteka wydała się Eleanor mniejsza i bardziej pretensjonalna, niż pamiętała. Dziewczyna zerknęła na kanapę przy oknie, chcąc się przekonać, czy i ona zmalęła, ale nie, wyglądała dokładnie tak samo jak we wspomnieniach.

Zebrał się tu wszyscy: Eleanor, Isobel i Louis, mama. Siedzieli sztywno, nie wiedząc, co powiedzieć teraz, kiedy znowu byli razem.

Henry zdążył się już przywitać. Zajrzał do Fawcettów wcześniej. W brązowych oczach błyszczały radość i nadzieja. Opowiadał o swoich planach na przyszłość i o nowej pracy, zastanawiając się, co Eleanor zamierza teraz robić. Kiedy jednak zorientował się, że przyjaciółka go nie słucha, pożegnał się i wyszedł, taktowny jak zawsze. Domyślał się, że rodzina chciałaby zostać we własnym gronie.

Tylko papy jeszcze nie było. Spóźnia się, skonstatowała Eleanor ze zdumieniem. To nie w jego stylu, zwłaszcza iż wiedział o jej przyjeździe. Stłumiła niepokój i poszukała wzroku

Isobel.

– Nie mieści mi się w głowie, że jesteś matką. – Przypomniała sobie uroczego brzdąca, który na czworakach podpełzał się przywitać. – To dziwne. A ja jestem ciotką! Na pewno jesteś szczęśliwa, że masz Charlie’ego!

Starali się być dla siebie bardzo uprzejmi, ale dwa i pół roku rozłąki nie mogło przeminąć bez śladu.

– A mnie nie mieści się w głowie, że wróciłaś do domu bez zabójczego Francuza u boku – zażartowała Isobel. Intrygował ją chłód Eleanor. Czy ona nadal marzy o Johnie? Nie, na pewno nie.

Isobel świetnie wygląda, oceniła Eleanor. Na zadowoloną... na szczęśliwą nawet. Nie przypuszczała, że macierzyństwo będzie siostrze aż tak służyło. I małżeństwo. Najwyraźniej Louis nie stracił w jej oczach nic ze swego uroku.

– Gdzie też może być Charles? – odezwała się nagle Clarissa, jakby nie mogła już dłużej opanować niecierpliwości.

Eleanor dostrzegła w jej oczach lęk.

– O co chodzi, mamó? Czym się martwisz?

– Niczym. Dlaczego miałabym się martwić? Troszkę się tylko niepokoję, bo twój ojciec nigdy się nie spóźnia. Nie mam pojęcia, co go zatrzymało.

Eleanor nie dała się oszukać. Matka była zdenerwowana i nerwowo nasłuchiwała.

Wkrótce usłyszeli warkot samochodu Charlesa, towarzyszył mu jednak także inny wóz i po chwili w holu rozbrzmiały podniesione głosy. Ojciec krzyczał. Drugi głos, niższy i spokojniejszy, tłumaczył coś oschłym, władcym tonem. Domownicy zerwali się z miejsca i wybiegli z biblioteki.

Hol zatłoczony był nieznanymi mężczyznami w mundurach. Dowodził nimi niski kapitan o niepokojąco pewnej sobie twarzy. Charles pocił się, kłócił z policjantem, ale w jego oczach widniał strach, a w gniewnym głosie dawało się słyszeć wahanie. Eleanor zaczęła się bać. Pozostali znieruchomieli.

– Pojedzie pan z nami, *senhor* Fawcett, zapewniam pana. Od pana zależy, czy zrobi to pan dobrowolnie, czy też nie. Jak pan widzi, nakaz aresztowania jest w porządku – niski mężczyzna, układny, pewny siebie i antypatyczny, uśmiechnął się. Charles, który uważnie studiował trzymany w ręku papier, podniósł głowę. Napotkał spojrzenie Eleanor. We wzroku ojca wyczytała rozpacz, że jest świadkiem jego upokorzenia. Rozpacz i strach.

– Papa! – rzuciła mu się na szyję, ale on splótł ręce na piersi, jakby jej nie chciał objąć. – Co się tu dzieje, papo?

– Eleanor, moja droga – przytulił ją lekko. – Wracaj do biblioteki, kochanie. Clarisso? Zabierz dziewczęta do biblioteki. Louis pomoże mi wyjaśnić to nieporozumienie. To tylko pomyłka, nie martwcie się. No, idź już – odepchnął Eleanor od siebie, bez słów błagając, by odeszła i nie patrzyła na jego upokorzenie. Z oczami pełnymi łez zrobiła, czego chciał.

Do tej pory nie wiedziała nawet dokładnie, co znaczy „lustracja”. Nie pojmowała, czemu papa był taki blady, taki przygaszony. To niemożliwe, na pewno zaszła jakaś okropna pomyłka, przecież sam tak mówił. Pomyłka, którą wkrótce wyjaśni. Eleanor była przekonana,

że niskiego kapitana o doskonałych manierach i lodowatym spojrzeniu spotka zasłużona kara. Przecież nie mogą papy aresztować i pozbawić praw obywatelskich, prawda?

I czy naprawdę cała rodzina również straci wszelkie prawa? To właśnie sugerował kapitan, kiedy po dokonaniu aresztowania wszedł do biblioteki z drwiną na twarzy. A może chodziło o ukaranie papy za działalność Johna? Ojciec nie zrobił przecież nic złego. Jak mogli go tak po prostu zabrać, skoro nie przedstawiono mu nawet aktu oskarżenia? Przed jaką komisją ma stanąć?

Zadzwoiła do Henry'ego zaraz po wyjściu policji. Powiedziała, co się stało, z trudem panując nad paralizującym strachem. Cichutkim głosem opowiadała, jak policjanci zabrali ojca.

– Z ich słów wynikało, że pozostanie w areszcie, dopóki nie postawią go przed jakąś komisją. Nie rozumiem tego, Henry! Co wspólnego mają kontakty papy z Goulartem z tym, co teraz się dzieje? Grozili mu więzieniem i utratą praw obywatelskich. Boże! Henry? Oni nie mogą tego zrobić, prawda? Ten kapitan to obrzydliwy człowiek! Papa nie zrobił nic złego. John właściwie też nie, a już pozbawili go praw obywatelskich. Na pewno będą go poszukiwali... – traciła panowanie nad sobą. Przerwy w rozmowie stawały się coraz dłuższe. Henry kazał jej czekać. Zrobi, co będzie w jego mocy. Więc czekali.

Gdzie jest John? Czy w ogóle jeszcze żyje? Eleanor siedziała w bibliotece ze spuszczoną głową, ukryta za zasłoną włosów i rozmyślała. Próbowała wyobrazić sobie, że umarł. Od dwóch lat nie było od niego żadnych wiadomości, żadnego znaku życia. Co oznaczało wołanie, które usłyszała w noc wigilijną? Czy był to krzyk konającego? Zaciśnęła powieki, ale nie czuła nic, żadnego śladu jego obecności, tylko dotkliwą pustkę. Czy naprawdę już go nie ma?

Ból, jaki sprawiła ta myśl, stawał się nie do zniesienia. Eleanor gwałtownie podniosła się i podeszła do okna. W cieniu przy drzwiach wejściowych stał policjant. Na całą rodzinę nałożono areszt domowy, tak powiedział kapitan. Odzyskają swobodę, kiedy władze odnajdą Johna.

Przesłuchiwano wszystkich po kolei: znajomych, przyjaciół, żonę.. Nikt niczego nie wiedział, nawet Teresa, teraz znana gwiazda filmowa. Mieszkała w Kalifornii i nie potrzebowała już swego męża. Eleanor splotła ręce na piersi i hardo spojrzała na kapitana. Uśmiechnęła się gorzko.

Nie miała pojęcia, jak długo pozostaną zamknięci we własnym domu. Kilka dni? Tygodni? Miesiący? Na pewno nie. Ale rząd wojskowy otrzymał uprawnienia, o jakich nikomu się przedtem nie śniło. Nowe przepisy stanowiły kpinę z prawa parlamentu do wetowania postanowień prezydenta. Rozwiązano związki zawodowe, aresztowano ich przywódców, usunięto z uniwersytetów aktywnych politycznie studentów. Zdelegalizowano związki rolników. Pojedynczy człowiek nie miał żadnych szans. Ani papa, ani John.

Przechadzała się nerwowo po bibliotece w tę i z powrotem, aż Isobel nie wytrzymała:

– Na miłość boską, Eleanor, przestań! Wydepczesz dziurę w podłodze i doprowadzisz mnie do szaleństwa ciągłym tupaniem! Kiedy przyjdzie Henry?

– Nie wiem. Powiedział, że tak szybko jak będzie mógł. – Eleanor usiadła na kanapie

przy oknie.

– To śmieszne – oburzała się Isobel. – Jak można prowadzić w tym kraju interesy, czy chociażby żyć normalnie, jeśli co parę lat dochodzi do puczu i każdy, kto miał związek z poprzednim rządem, jest oskarżany o zdradę i korupcję? Jak można być zdrajcą wobec rządu, który siłą przejął władzę? – dopytywała się. Strach wykrzywił jej ładne rysy.

Eleanor westchnęła.

– Będąc po niewłaściwej stronie o niewłaściwym czasie. Nie bądź naiwna, Isobel – spojrzała na Louisa, ale on zdawał się nie słyszeć ich rozmowy. Siedział zamyślony, skupiony, jakby dokonywał wewnętrznego obrachunku, który nie dotyczył nikogo z zebranych. Eleanor miała nadzieję, że szwagier nie żałuje teraz, iż związał się z rodziną Fawcettów, nie myśli... ale nie, on nie jest taki. A poza wszystkim kocha żonę.

Louis podniósł wzrok i pochwycił jej spojrzenie. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem uśmiechnął się, a Eleanor ogarnął wstyd. Nie, Louis ich nie opuści.

– Mamo, czy oni wiedzą o chorobie papy? Czy zabrał swoje tabletki? – podeszła do matki, oparła jej dłoń na ramieniu.

– Mówiłam im o tym. Kazałam poczekać, aż przyniosę lekarstwa. Ale ten kapitan był bardzo niecierpliwy, nie wiem, na ile pomogą ojcu tabletki. Oni nie chcą widzieć w aresztowanym człowieka, czyjś męża i ojca, bo wtedy mogliby mu współczuć, a tego sobie nie życzą – ścisnęła córkę za rękę. – Eleanor, nie wiem, jak sobie poradzimy. Musimy zacząć pracować, a i tak nie uda nam się zapewne utrzymać domu. Co do firmy... kto się tym wszystkim zajmie? Louisowi i Isobel nic się nie stanie. Bank będzie funkcjonował niezależnie od sytuacji, ale handel... nie mam pojęcia.

Clarissa wpadała w panikę. Po raz pierwszy od śmierci rodziców nie miała nikogo, na kim mogłaby polegać, kto podejmowałby za nią decyzje, kto by się o nią troszczył. Była przerażona.

– Nie martw się, mamo. Wszystko się dobrze skończy. Nie stracimy domu. Papa wróci, zanim się spostrzeżesz, a nawet jeśli pozbawią go praw obywatelskich, nie znaczy to, że nie będzie mógł pracować. Henry go wydostanie, zobaczysz – zapewniała Eleanor stanowczym głosem. Clarissa spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Tak, kochanie, chyba masz rację. Musimy polegać na Henrym. On nam pomoże.

Więc czekali, ale Henry ani nie dzwonił, ani nie przychodził. Wreszcie po północy położyli się spać.

Henry, zmęczony i nie ogolony, zjawił się wczesnym rankiem. Kiedy Eleanor zeszła na śniadanie, właśnie pił kawę. Nie próbował nawet wstać na widok przyjaciółki.

Pocałowała go w policzek i obrzuciła badawczym spojrzeniem.

– Henry, wyglądasz, jakbyś nie spał całą noc. Czy widziałeś się z papą?

Potarł skronie, chcąc złagodzić ból głowy. Odsunął włosy z czoła.

– Tak. Mój ojciec i ja robiliśmy wszystko, żeby załatwić zwolnienie, ale niestety, nie udało się. Twój ojciec stanie przed sądem. Jedyne, co zdołaliśmy osiągnąć to przynajmniej tyle, że proces odbędzie się szybciej, niż planowano. Najpóźniej w przyszłym tygodniu.

Dzięki temu mają mniej czasu na wyszukiwanie obciążających dowodów, świadków, którzy podważyliby wiarygodność jego zeznań i tak dalej. Muszą zgromadzić poważne zarzuty i dowody w ciągu zaledwie kilku dni, w innym wypadku twój ojciec zostanie uwolniony. Nic więcej, niestety, nie byliśmy w stanie zrobić – spojrzał na nią przepraszająco. Eleanor wzięła go za rękę.

– Ależ Henry, dziękuję ci bardzo! Tobie i twojemu ojcu. Nie wiem, co zrobilibyśmy bez was w tej sytuacji. Mamie spadnie kamień z serca. Czy widziałeś papę? Jak on się czuje?

– Nieźle, zważywszy na okoliczności. Jest trochę zdenerwowany, ale zaklina się, że nigdy nie prowadził interesów niezgodnych z prawem. Co prawda, dzięki znajomościom jego firma podpisała kilka kontraktów, których inaczej z pewnością by nie otrzymała, ale w Brazylii takie praktyki są na porządku dziennym. Może, ale tylko może, uda nam się wyciągnąć go z tego bez szwanku. W najgorszym wypadku straci prawa obywatelskie i będzie skazany na mniej więcej rok więzienia, teraz trudno to dokładnie przewidzieć. Wszystko zależy od tego, kto będzie go sądził i ilu kozłów ofiarnych im potrzeba.

Henry starał się przekazać nowiny jak najogólniej. Podkreślił, że Charles Fawcett ma duże szanse, a mimo to Eleanor pobladła, wstrzymała oddech. Wierzyła, że przyjaciel wszystko załatwi i życie wróci do normalnego trybu, a on mówił o roku więzienia! Co na to papa? Jak on da sobie radę, jak zniesie taki wstyd? A mama i ona? Co zrobią? Oczywiście, ona może pójść do pracy, ale i tak nie zdoła utrzymać ich obu i domu. Mama nie przeżyłaby utraty *paldcio*. Co się z nimi stanie?

Henry domyślał się, jakie myśli chodzą po głowie Eleanor. Mocno uściśnął jej dłonie, próbując wykrzesać dość energii, by dziewczynę uspokoić. Nie było to łatwe, zważywszy że miał za sobą nie przespaną noc. Policjanci nie należą do szczególnie uprzejmych gospodarzy.

– Wszystko będzie dobrze. Zatrudnimy kogoś, żeby poprowadził firmę, albo awansujemy jakiegoś zdolnego pracownika. Nie straciecie domu, więc nie zamartwiaj się tym. Twój ojciec zna sytuację i, na wszelki wypadek, jest przygotowany na najgorsze. Spodziewa się, że może zostać skazany, zatem jego serce powinno wytrzymać. Dopilnujemy, żeby traktowano go jak najlepiej. Będzie miał zapewnione dobre warunki i świeżą żywność. Ale może nie będzie aż tak źle i uda nam się go wyciągnąć.

Do jego uszu dobiegł rytmiczny stuk obcasów. To Clarissa śpieszyła ku nim przez hol.

– Głowa do góry. I nie zapominaj, że matka na tobie polega, Eleanor, dobrze? Zrobisz to dla mnie?

Spojrzał na nią uważnie, jakby oceniał jej odporność na nieszczęście.

Ucieszyło go to, co zobaczył w oczach przyjaciółki. Na tle pobladłej, wymęczonej twarzy jaśniały ciepłem, jak zawsze. Uśmiechnął się. A ona poczuła, że jeśli będzie na nim polegać, wszystkie kłopoty powoli rozwiążą się. Był jej podporą, jej skałą. Skinęła głową.

– Tak. Dzięki, Henry, za to, że zawsze jesteś przy mnie – pocałowała go w policzek. Jednodniowy zarost stanowił przyjemny kontrast dla gładkiej skóry.

– A gdzieś indziej miałbym być? – szepnął. Po chwili delikatnie, bardzo delikatnie dotknął jej ust wargami.

Fawcetta uznano winnym korupcji. Na dziesięć lat pozbawiono go praw obywatelskich i



skonfiskowano połowę majątku osobistego. Nie ukarano go jednak więzieniem. Henry walczył o to jak lew. Dwa tygodnie później Charles wrócił do domu, ciężko wspierając się na jego ramieniu.

Z raportu policyjnego rodzina dowiedziała się, że nadal nie było nic wiadomo o miejscu pobytu Johna Camposa de Serry. Przeszukano fazendę i przesłuchano tamtejszych Indian. Twierdzili oni, iż ostatnio widzieli Johna, kiedy był małym chłopcem. Utrzymywali także, że dom Camposów spłonął od uderzenia pioruna. Przeszukano chaty, ale bez rezultatu. Wnoszono z braku jakichkolwiek śladów, że John Campos de Serra opuścił kraj. Dopóki nie napłyną nowe informacje, sprawę zawieszono i zniesiono areszt domowy rodziny.

Eleanor myślała o spalonym domu i krzyku, który usłyszała w środku nocy. Szlochała, zamknięta w swoim pokoju.

W ciągu ostatnich kilku tygodni Charles bardzo się postarzał. Posiwiął i wychudł. Był już tylko cieniem dawnego energicznego człowieka. Miał strach w oczach. Nie pozwalał Clarissie czy Henry'emu oddalić się od swego boku, jakby bał się stracić ich z pola widzenia. Eleanor nie mogła znieść tego widoku; odchodziła szybko, żeby nie dostrzegł jej łez.

Z czasem odzyskał część dawnej siły i wigoru. Ponownie zajął się prowadzeniem interesów, znowu zapraszał przyjaciół na kolacje do *palacio*. Henry i jego rodzice przychodzili najczęściej. Wiele osób odrzucało zaproszenia Fawcettów, inni zjawiali się tylko raz. Koło znajomych zmniejszyło się widocznie. Charles coraz więcej czasu poświęcał sprawom zawodowym; zakładał fundusze powiernicze dla żony i córek.

Niewiele kontraktów zlecano teraz jego firmie, toteż niewielu ważyło się współpracować z człowiekiem, na którym ciążyło oskarżenie o zdradę stanu. Sytuacja finansowa rodziny pogorszała się. Inflacja pochłaniała resztki majątku. Interesy szły źle, wydatki przekraczały zyski. Clarissa zaczęła oszczędzać na prowadzeniu gospodarstwa. Zwolnienie służących nie wchodziło w rachubę. Pracowali dla Fawcettów od lat, należeli do domowników. Zostaną w *palacio*, dopóki będzie co jeść, zdecydowała. Należało jednak ograniczyć inne wydatki: na stroje, nowe samochody, podawane na przyjęciach smakołyki.

Charles uśmiechał się ponuro i pracował jeszcze intensywniej. Eleanor nigdy nie kochała ojca bardziej niż w tym trudnym okresie, kiedy ujawnił prawdziwą siłę ducha. Wieczorami siadywała z nim w bibliotece. W weekendy chodziła na spacer po otaczających dom wzgórzach. Jeździli razem na Copacabanę, gdzie pili soki owocowe w ulicznych kawiarnianych ogródkach i obserwowali przechodniów. Odnajdywali bliskość, która łączyła ich dawno temu.

Mały Charlie był jedyną radosną istotą w domu ponurych twarzy i ciężkich westchnień. Biegał na jeszcze krzywych nóżkach po ogrodzie, tryumfalnym krzykiem oznajmiając, że dotarł do fontanny. Zwykle już po chwili płakał ze złości, bo Isobel albo Adelia, teraz mianowana nianią, odciągały go od niebezpiecznego miejsca. W niemowlęctwie Charlie miał jasne włoski, ale teraz zaczynały mu już ciemnieć; robił się coraz bardziej podobny do Louisa. Isobel psuła chłopczyka bez umiaru. Charles senior brał go na kolana z zachwytem i dumą dziadka, który nie doczekał się własnych synów. Eleanor obserwowała ich z ciepłym uśmiechem. Mały i duży Charles potrzebowali siebie nawzajem.

A ona potrzebowała Henry'ego. Jego delikatna siła, poczucie humoru i niezmienna miłość pomogły jej przetrwać straszne dni po uwięzieniu ojca. Pomogły także złagodzić rozpacz, kiedy Eleanor uznała, że John umarł, opuścił ją na wieki i trzeba nauczyć się żyć bez niego.

Godziny samotności, podczas których go opłakiwała, były gorsze, smutniejsze niż mogła to znieść. Czowała się, jakby odebrano jej połowę, lepszą połowę jej samej, zostawiając pustą skorupę. Czasami tęsknie spoglądała na morze, na gładką taflę migoczącą w oddali i myślała o nicości, jaką niosła cicha toń. Marzyła o zagłuszeniu bólu. Ale nie, to byłoby tchórzostwo.

Bez celu włóczyła się po wzgórzach, odwiedzała stare miejsca zabaw, ożywiała wywołujące uśmiech wspomnienia. Smutny uśmiech, który gasł, kiedy wracała do rzeczywistości. Henry obserwował ją z kamienną miną.

– To nie ma sensu, Elly – stwierdziła pewnego listopadowego wieczora Isobel. – On odszedł i nigdy już nie wróci. Pozwól mu na to.

Siedziały na tarasie. Półmrok rozjaśniała tylko świeca na stole. Płomyk kołysał się lekko. Eleanor wyprostowała się i założyła nogę na nogę. W żaden sposób nie okazała, że dotarły do niej słowa siostry. Były same. Inni domownicy jedli kolację albo już spali.

Isobel umoczyła usta w kawie.

– Wiesz, byłam o was zazdrosna. o ciebie i o Johna – zamyśliła się, pogrzyżała we wspomnieniach. – Mielicie swój własny prywatny świat, tylko dla was dwojga. Czasami wpuszczaliście nas, pozostałych, ale zawsze na krótko. To był wasz świat i tego wam zazdrościłam – roześmiała się gorzko, jakby niespełnione dziecinne marzenia nadal sprawiały jej ból. – Wiedziałaś o tym?

Eleanor zwróciła na nią pociemniałe nagle oczy.

– Nie, chyba nie. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. To nie było celowe, my po prostu... on był mi bliższy niż... niż... – urwała. Nie mogła tego wypowiedzieć.

– Gdzie on jest, Elly? Czy potrafisz to wyczuć? – Isobel zrozumiała, co siostra miała na myśli. Wreszcie udało jej się z tym pogodzić.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem.

– Teraz nie chciałabym przeżywać takiej bliskości za nic w świecie. Ale wtedy... Boże, jak ja pragnęłam dołączyć do was, zaznać tego specyficznego uczucia wspólnoty, przynależności, które było między wami. Dziękuję Bogu, że do tego nie doszło – w jej głosie nie było satysfakcji czy złości, jedynie smutek i współczucie dla siostry i może nawet dla Johna.

Eleanor skinęła głową.

– Wiem – uśmiechnęła się lekko. – Ale teraz masz Louisa i Charlie'ego. Nie potrzebujesz nikogo więcej.

– A ty? Mogłabyś mieć Henry'ego.

– Ach tak... Henry'ego.

Na twarzy Eleanor nie malowało się żadne uczucie.

Ojciec Janio pochylił się nad kurnikiem i głębiej wcisnął pale.

Ostatniej nocy deszcz wymył ziemię i jedna ze ścian obsunęła się w czerwone błoto. Na

szczęście żaden kurczak nie uciekł daleko.

Mokra ziemia oblepiała stopy, sandały grzęzły w śliskiej mazi, wilgotna sutanna nieprzyjemnie przylegała do nóg. Zakonnik zagnał ostatniego kurczaka do zagródki i starannie zamknął furtkę. Głupie stworzenia, pomyślał wracając do budynku. Może siostra Eugenia postawiła wodę na kawę?

Kiedy wszedł do sieni, zorientował się, że coś wyprowadziło zakonnice z równowagi. Bez celu krzątały się po korytarzu, machały rękami i co chwila zerkały w sufit, jakby oczekiwały pomocy od niebios. Ojciec Janio burknął coś pod nosem, w myślach obdarzając siostrzyczki i kurczaki tym samym epitetem. Był w złym humorze. Na dzisiaj miał dość kłopotów.

– No? – zapytał od progu. Stał w drzwiach i ociekał deszczem: woda spływała mu z sutanny, włosów, brwi, nosa. Zakonnice w zbitej gromadce, przewracając oczyma, wskazywały na przeciwległy kąt pomieszczenia, gdzie zasłona udawała konfesjonał. Janio głośno wciągnął powietrze.

– O co chodzi?! – krzyknął.

Ciągle milczące siostry tylko spoglądały smutnym wzrokiem. Duchownego nie cieszyła już prostota ich duszyczek, nie radowała pobożność. Był zmęczony dżunglą, odludziem, wilgocią. Może nawet był zmęczony... ale nie, nie wolno mu tak myśleć. Bez słów, pokornie błagał Stwórcę o wybaczenie. Wyminął kobiety i ruszył w stronę konfesjonału.

– Młody człowieku, jesteś tam? – zagrzmiał donośnie. John odsunął zasłonę, ale nie podniósł się z krzesła. Ojciec Janio zmarszczył czoło. – Plotki głoszą, że udałeś się na północ, do Bahii. Szukało cię najpierw wojsko, potem policja. Byli tu u nas, w Vila Serrista i na kilku innych okolicznych fazendach. Mają na ciebie chrapkę.

John uśmiechnął się blado i oparł o ścianę. Był wycieńczony.

– „Mają chrapkę?” Coś takiego, ojciec młodnieje w tej głuszy! Tak, wiem o wszystkim, ale to było już dość dawno temu. Tak mi się przynajmniej wydaje. Niełatwo jest zmierzyć czas – mówił powoli, jakby do końca nie wiedział, co chce powiedzieć. – To dlatego tu jestem. Pomyślałem, że mógłbym na trochę wychylić nos z dżungli, może nawet wpaść do Sao Paulo i Rio. Na pewno odłożyli już moje akta na półkę – zerknął na księdza. Ten zachowywał stoicki spokój. – W każdym razie cieszę się, że ojca widzę. Świetnie ojciec wygląda – zmrużył nabiegłe krwią oczy.

Kapłan odnalazł jego wzrok.

– Hmm, dziękuję i za to, choć dobry Bóg mi świadkiem, że wcale dobrze się nie czuję, bo deszcz i upał bardzo dają mi się we znaki. Gdzie byłeś, John? Wszyscy myśleliśmy, że ukrywasz się w Vila Serrista, ale kiedy przeszukali fazendę, a od ciebie nie było żadnych wieści przez ostatnie dwa lata... Czy dużo podróżowałeś?

Nagle zakonnik dostrzegł zdumienie w oczach młodego mężczyzny. Dopiero teraz przyjrzał mu się uważniej. Zdziwiły go blizny widoczne na niemal nagim ciele, przeraziły głębokie bruzdy w młodej przeciwieź twarzy.

– Dwa lata? Aż tak długo? – zamilkł, nie mogąc pogodzić się z myślą, że ukradziono mu tyle czasu. Potrząsnął głową. – Ojcie, przez cały czas byłem w Vila Serrista, w dżungli.

Wiedziałem, że coś jest nie w porządku, że nie mogłem tak długo chorować, mieć kłopotów z koncentracją. Pragnąłem uciec, ale nie potrafiłem wziąć się w garść. Widzi ojciec, Indianie chcieli mnie zatrzymać. W końcu zdecydowałem się wymknąć, żeby z tobą porozmawiać. Któż inny mógłby mi udzielić wyczerpujących informacji? Wiem, że zawsze słuchasz wiadomości.

Poprawił się na krześle. Posłał księdzu zmartwione spojrzenie.

– To dziwne. Wróciłem do domu, bo tu czułem się bezpieczny, a tymczasem życie w Vila Serrista okazało się sto razy gorsze niż ucieczka przed policją. Bałem się jeść, pić, spać. I wygląda na to, że miałem rację – uśmiechnął się ironicznie. – Spędziłem dwa lata w stanie zamroczenia. Właściwie nic nie pamiętam – z westchnieniem oparł głowę na rękach.

Ksiądz złagodniał, okazywał teraz więcej zrozumienia. John podjął przerwany wątek.

– Wynika z tego, że przez dwa lata byłem nieświadomym niczego narkomanem. Nie obwiniam Indian. Uważali mnie chyba za talizman, „złe oko”. Bali się, że jeśli mnie utracą, przyjdą wojownicy Morcego. – Zamilkł na chwilę, zanim poprosił z wahaniem w głosie: – Ojciec, miałem nadzieję, że pozwolisz mi zostać tu przez kilka dni. Czy nie będę przeszkadzał tobie ani siostrze?

John wyglądał na zmartwionego, załamane nawet, jakby nie wierzył, że stary kapłan udzieli mu schronienia.

Ojciec Janio dostrzegł strach i chorobę, która nadal wyniszczała młode ciało. Dotknął ramienia przybysza.

– Naprawdę myślałeś, że zamknę przed tobą drzwi? Jakże mógłbym? Pan jest moim pasterzem – odpowiedział po prostu.

John odetchnął z ulgą.

– Dziękuję, ojciec. Po raz drugi ratujesz mnie z opresji. Ale nie martw się, odejdę, jeśli ściągam na was niebezpieczeństwo czy niewygodę. Kiedy tylko będę w stanie, odejdę.

– Nie, John. Chcę, żebyś zawsze uważał naszą misję za bezpieczne schronienie. A teraz chodź, zjesz z nami i opowiesz, co wiesz. Potem ja zrelacjonuję ci poczynania nowego rządu. To będzie ponura opowieść, a takich najlepiej słuchać z pełnym żołądkiem – poklepał Johna po plecach.

Przy śniadaniu ojciec Janio opowiadał o czystkach w dużych miastach, o tym że Mazzilli, tymczasowy prezydent, jest marionetką w ręku wojskowych, że generał Humberto Castelo Branco zostanie głową państwa w przyszłym roku. Nie tracono nadziei, że okaże się on większym zwolennikiem demokracji niż aktualni przywódcy, a zwłaszcza niż generał Costa e Silva, który ze swego gabinetu w Rio pociągał za wszystkie sznurki. Zakonnik radził Johnowi jeszcze przez co najmniej rok trzymać się z dala od dużych miast.

John z kolei opowiedział, jak poprzedniej nocy uciekł Indianom, kiedy spali. Przez dżunglę dotarł do fazendy Rickiego, skąd ukradł czółno.

– Ricardo żyje tam zupełnie sam. Jego matka wyprowadziła się do zameżnej córki. Druga siostra mieszka w Rio. Ricki dziwacznie, pozostawiony sam sobie. Nie widział mnie – mówił spokojnym, rzeczowym tonem. Nikt nie chce ukrywać ściganego. To zbyt niebezpieczne. Zresztą nigdy nie ufał Rickiemu. Nigdy mu nie wybaczył. Zastanawiał się nawet, czy nie

szukać sprawiedliwości za krzywdę Eleanor, ale uznał, że to bez sensu. Ricki żył we własnym piekle – to wystarczająca kara.

Ksiądz zrewanżował się informacjami o sytuacji na północy kraju.

Wielu polityków, którzy poparli pucz, nie miało nic do powiedzenia w nowym rządzie. Byli wśród nich gubernatorzy poszczególnych stanów, zwolennicy demokratycznych zmian: Ademar de Barros z Sao Paulo, Jose de Magalhaes Pinto z Minas Gerais i Carlos Lacerda z Guanabara. Wszyscy oni domagali się reform i zwiększenia swobody, i coraz głośniejszymi głosami mówili o swoich żądaniach. Obawiano się, tłumaczył ojciec Janio, że rząd nie zrezygnuje z dalszych represji, a pierwszymi, których postara się nauczyć posłuchu, będą właśnie gubernatorowie.

– To woda na nasz młyn – zauważył John. Od niechcienia obracał w palcach resztkę chleba. Ksiądz spojrział na niego z powątpiewaniem. – Tak, ojczu. Im surowszy reżim, im więcej terroru i aresztowań, tym więcej osób zacznie się buntować, zapagnie wolności. Musimy wierzyć, że ludzie są na tyle silni, odważni, by w końcu przestać się bać. Wojsko dopuszcza się jednego okrucieństwa za drugim. Pewnego dnia naród krzyknie: „dość!” A wtedy ty i ja, i inni, którzy walczyli od dawna, wskażemy drogę. Wolność nadejdzie, wiem o tym – wzruszył ramionami, świadomy patetyczności tych słów. Nie mógł jednak nic na to poradzić; wierzył w nie.

Na chwilę dał się przekonać także ojciec Janio, porwany zapalem dźwięczącym w młodym głosie. Zaraz jednak przypomniał sobie, co grozi Johnowi, jeśli go aresztują.

– Piękne słowa, John. Temu krajowi potrzebni są tacy jak ty. Obawiam się jednak, że za mego życia nie dojdzie do żadnych zmian. Ani za twego, o ile oczywiście mnie przeżyjesz – uśmiechnęli się, obaj świadomi ryzyka. Gospodarz zmienił nagle temat. – Opowiedz, co słyszę u twojej uroczej kuzyneczki. Nie widziałem jej od lat, ale doskonale tę dziewczynkę pamiętam. Jak teraz wygląda?

John podał księdzu małe zdjęcie.

– To Eleanor w Paryżu kilka lat temu. Studiuje tam – wyjaśnił. Ksiądz pochylił się nad fotografią; oczy zawodziły go ostatnio. Młoda dziewczyna siedziała na zalanym słońcem balkonie. Uśmiechała się, ale w jej oczach było coś więcej, jakiś smutek, desperacja, które dobrze pamiętał. Patrzyła na robiącego zdjęcie tak intensywnie, jakby chciała zajrzeć mu w głąb duszy. Ojciec Janio uśmiechnął się, że tego nie zauważa.

– Wyrosła na ładną dziewczynę. Miałaś od niej jakieś wieści? John schował fotografię. Wahał się, kilkakrotnie przetykał ślinę.

– Nie, od czasu kiedy zrobiłem to zdjęcie. Pojechałem się z nią zobaczyć, zanim wróciłem do Vila Serrista – głęboko wciągnął powietrze. – Ojczu, wiele lat już upłynęło, odkąd ostatnio... chciałbym, żebyś wysłuchał mojej spowiedzi.

Stary ksiądz podniósł głowę. W jego mądrych oczach malowało się współczucie.

– No tak, tego się spodziewałem – mruknął, biorąc Johna za rękę. – Zapamiętaj jedno, chłopcze. Bóg wybacza wszystko, nawet największe grzechy, dopóki serce jest szczere. Chodź, wysłucham twojej spowiedzi.

Wstał i zniknął za zasłoną.

Henry wiedział, że Eleanor go nie kocha. Powiedziała mu to szczerze, kiedy pewnego dnia przycisnęła ją do muru. Miał jednak nadzieję, że z czasem sytuacja ulegnie zmianie. Był tego pewien. Przecież dziewczyna darzyła go wszystkimi pozytywnymi uczuciami, z wyjątkiem miłości. Na nikim nie zależało jej bardziej niż na nim. Z wyjątkiem Johna, oczywiście. Ale John odszedł, prawdopodobnie już nie żyje, więc Henry może zaryzykować. Miał w sercu miłości za siebie i za nią.

Eleanor nerwowo spacerowała między oknem a barkiem, jakby miała nadzieję, że ktoś im przeszkodzi. Wiedziała, że Henry zdecydował się poważnie z nią pomówić. To dlatego chciał, żeby zostali sami.

– Elly, uspokój się i usiądź. Nie mogę z tobą rozmawiać, kiedy tak biegasz w tę i z powrotem. Proszę – poklepał siedzenie fotela.

Spojrzała na mebel z niesmakiem. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, odsunąć chwilę, która nadchodziła nieubłagane. Zamiast tego jednak posłusznie przycupnęła naprzeciwko gościa. Zupełnie zaschło jej w ustach.

– Elly, przypuszczam, że wiesz, o co chcę cię dzisiaj zapytać. Proponuję, żebyś wzięła pod uwagę kilka czynników, zanim podejmiesz decyzję.

Henry był bardzo zmieszany i jednocześnie ogromnie stanowczy. Eleanor unikała spojrzenia mu w oczy. Współczuła i jemu, i sobie. Cała sytuacja wyglądała z gruntu źle.

– Po pierwsze, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Pochodzimy z tego samego środowiska, znamy tych samych ludzi, rozumiemy się doskonale. To bardzo ważne – przerwał. Nie wiedział, czy jego słowa w ogóle do niej docierają. Pragnął porwać ukochaną w ramiona, całować i wyszeptać oświadczyzny, widzieć, jak szczęśliwa i zarumieniona zgadza się zostać jego żoną. Wiedział jednak, że tą metodą nie osiągnąłby niczego. – Po drugie, twój ojciec jest stary i schorowany. Potrzebujecie kogoś, kto zadbałby o interesy... o rodzinę i majątek. Jestem gotów to zrobić. Chcę to zrobić – poprawił się, żeby nie pomyślała, iż uważa to za niewygodny ciężar. Naprawdę pragnął się nimi zaopiekować. – Pamiętam, kiedyś przyznałaś, że mnie nie kochasz, w każdym razie nie taką miłością, jaką ja darzę ciebie – zamilkł. To było zbyt bolesne. – Ale powiedziałaś także, że jeśli kiedyś się zakochasz, to we mnie. Uważam, że to bardzo ważne... znaczące. – Nie, wszystko poszło nie tak jak trzeba. Mówił jak nadęty dureń. Nic dziwnego, że pobladła i odwróciła wzrok.

Była smutna. Dlaczego Henry uznał, że musi się upokorzyć, wykazać wszystkie plusy ich małżeństwa? Wolałaby, żeby wykrzyczał swoją miłość i rzucił się na kolana. Jej smutek pogłębiała świadomość, iż przyjmie oświadczyzny. Życie zagrało nie fair, zarówno z nim, jak i z nią.

– Proszę cię, Elly. Pragnę, żebyś została moją żoną. Proszę, powiedz: tak.

No, w końcu to z siebie wydusił, nawet na chwileczkę przyklęknął na jedno kolano. Eleanor miała wrażenie, że obserwuje całą tę scenę z oddali. Z zimną krwią dostrzegła, jak bardzo głupio Henry wygląda w tej chwili i jak żałośnie jest szczerzy. Biedny, biedny Henry.

– Tak, Henry. Dziękuję ci.

Widziała jego zaskoczenie i radość. Zerwał się na równe nogi, porwał ją w ramiona,

przyciągnął do siebie. Nie chciała, żeby ją całował, ale przewyciężyła się i nie odepchnęła go.

– Och, Elly! Och, najdroższa! – szepnął. Przymknęła oczy. Henry jednak wiedział doskonale, ile ją to kosztuje, i wypuścił ją z objęć. – Nauczysz się mnie kochać, Elly, obiecuję ci.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku.

– Wiem o tym, Henry. Postaram się być dobrą żoną.

Trzy tygodnie później wzięli ślub. Była to skromna, rodzinna uroczystość, nieporównywalna z weselem Isobel.

Eleanor nie wiedziała, jak poinformować o swoim małżeństwie Sophie. Całymi dniami głowiła się, czy lepiej ją zawiadomić, czy też pozwolić, by z czasem dowiedziała się sama. To jednak byłoby tchórzostwo, uznała i przemogła się. Napisała do przyjaciółki ciepły, sedeczny list, w którym wszystko wyjaśniła. Pisała o kłopotach ojca i pomocy Henry'ego, i że ma nadzieję, iż Sophie zrozumie i wkrótce ich odwiedzi.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Po długim namyśle Henry zgodził się, by on i Eleanor przyjęli propozycję Charlesa i zamieszkali w *paldcio*. Papa mnie potrzebuje, tłumaczyła Eleanor, podobnie zresztą mama. Fawcettowie zawsze traktowali Henry'ego jak syna. To normalne, że chcą, aby w tych ciężkich czasach rodzina trzymała się razem. Może później, kiedy papa poczuje się lepiej, a sytuacja polityczna ustabilizuje się, wyprowadzimy się. Później, kiedy będzie więcej pieniędzy. Jeszcze nie teraz.

Eleanor nie chciała nawet o tym myśleć, a Henry zrobiłby wszystko, byle tylko ją zadowolić. Więc zostali.

## Rozdział siedemnasty

*Październik 1965*

Eleanor wyciągnęła się na rozłożonym na trawie kocu, w cieniu różanych krzewów. Szeptala coś do niemowlęcia leżącego koło niej. Niespełna pięcioletni Katherine Arreas de Botelho uśmiechała się i machała drobnymi piąstkami. Gaworzyła coś radośnie, kiedy matka stroiła głupie miny i podawała małej palce do trzymania. – Kto jest taką spryculą? No, kto jest taką spryculą? – wzięła dziewczynkę na ręce, przytuliła do siebie. Katherine wpatrywała się w nią intensywnie niebieskimi oczyma. W popołudniowej ciszy głośno dzwoniły cykady. Słońce kryło się za koronami drzew, ale i tak panował upał. Eleanor była śpiąca. Jeszcze nie wróciła do siebie po porodzie, ciągle czuła się bardzo zmęczona, choć chciałyby odzyskać dawne siły. Przytuliła córeczkę, poprawiła się na poduszce i zasnęła, uspiona odgłosami ogrodu: śpiewem ptaków, brzęczeniem owadów, szmerem wody w fontannie. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

Obudziły ją dzwony kościelne, wzywające na wieczorne nabożeństwo. W czystym powietrzu dźwięk niósł się daleko. Ziewnęła. Cienie były teraz dłuższe, popołudniowy upał ustępował przed zmierzchem. Mała może się przeziębicić, jeśli jeszcze zostanie na dworze, pomyślała. Sięgnęła ręką obok siebie, ale dziecka nie było na kocu. Przerażona uniosła głowę. W panice poderwała się z ziemi.

Na kamiennej ławeczce, tej samej, na której piła z Henrym szampana w dniu ślubu Isobel, siedział mężczyzna. Trzymał w ramionach Katherine. Obserwował z rozbawieniem, jak dziewczynka zawzięcie żuje jego palec. Jasna czupryna opadała mu na oczy. Podniósł wzrok. Kiedy zobaczył, że Eleanor nie śpi, uśmiechnął się smutno.

– Twoje? – zapytał.

Eleanor wstała, niezgrabnie odrzuciła włosy do tyłu. Otwierała i zamykała usta, nie mogąc wydobyć z nich żadnego dźwięku, więc tylko skinęła głową.

– I Henry’ego? Twojego męża, jak przypuszczam? – patrzył na dziecko, jakby nie chciał, by zobaczyła wyraz jego oczu.

Ponownie skinęła głową; dopiero po chwili odzyskała głos.

– Ja... ja słyszałam twój krzyk. A potem powiedzieli mi, że Vila Serrista spłonęła. Myślałam... o Boże, Boże! – oparła się o pień, zakrywając usta dłonią. Chciała wykrzyczeć słowa żalu, bólu i straconych nadziei, słowa, które pomogłyby mu zrozumieć. To jednak nie byłoby fair wobec Henry’ego. Nie zasłużył na to. Opuściła rękę, dopiero kiedy była pewna, że jest w stanie opanować drżenie głosu.

– Gdzie ty byłeś, John? Sądziliśmy, że nie żyjesz. Podniósł głowę. Miał poważną, smutną minę.

– To tu, to tam. W Vila Serrista, na misji ojca Janio, w Bahii, niedawno w Sao Paulo. Przepraszam, że się z tobą nie kontaktowałem, ale nie uważałem tego za bezpieczne dla żadnego z nas – spojrzał na dziecko. – Jest śliczna. Kiedy na nią patrzę, żałuję...



Eleanor usiadła obok niego.

– Żałujesz, że Teresa poroniła?

– To też – odparł. Zrozumiała, co miał na myśli. Wpatrywali się w siebie chciwie, bezwstydnie, jednak nie zmniejszali dzielącego ich dystansu.

– Piękna, prawda? Ma pięć tygodni. Ciągłe nie mogę uwierzyć, że jest moja. Mam wrażenie, że lada chwila ktoś przyjdzie i mi ją odbierze, powie, że tylko się nią opiekowałam – uśmiechnęła się nieśmiało. Zgodził się z nią.

– Czuję to samo. Nie mogę uwierzyć, że to twoje dziecko. Jak tam Henry? Dobrze się wam układa?

Chciał usłyszeć coś wręcz przeciwnego. Dla Eleanor było to równie oczywiste jak to, że pomyliła się, sądząc, że z czasem zapomni Johna. To był jej błąd i musi z tym żyć. Zarumieniła się gwałtownie.

– Tak, w porządku. Henry jest bardzo zajęty, stawia pierwsze kroki w polityce. Ale jest dobrym mężem – nie mogła mówić dalej. Gwałtownie zmieniła temat: – Słyszałeś o papie?

– Tak, bardzo mi przykro z tego powodu. Jak on to znosi? – zagryzł wargi. W pewnym sensie to on ponosił winę za kłopoty wuja. Gdyby nie byli spokrewnieni, Fawcetta nie spotkałaby równie surowa kara. John nie wiedział, czy Eleanor obwinia go za to, co się stało.

– Już lepiej. Na początku było mu bardzo ciężko. Nam wszystkim też, oczywiście, ale jemu w szczególności. Wyobrażasz sobie, jak cierpiał, kiedy przyjaciele zerwali z nim kontakty! Ładni mi „przyjaciele”! – zachnęła się.

Dopiero teraz dostrzegł zmiany, jakie w Eleanor zostawił ostatni rok. Była chudsza, bardziej spięta, czujna, gotowa rzucić cyniczną uwagę. Podał jej Katherine. Wzięła małą z czułością. Uśmiechnęła się do niej. Odwrócił wzrok.

– Mówiłaś, że słyszałaś mój krzyk? Co miałaś na myśli? – zapytał nagle.

Opowiedziała mu, co się zdarzyło w Wigilię w Gassin; jaka pewna była, że słyszała jego głos. Pobladł.

– Naprawdę wtedy krzyczałeś? – zapytała. Potwierdził powolnym ruchem głowy.

– Miałem gorączkę. Indianie Morcego napadli na fazendę tamtej nocy, kilka godzin po tym, jak spaliłem dom. Byłem nieprzytomny, majaczyłem. Uciekli przerażeni, kiedy zacząłem krzyżeć. Przez następne dwa lata właściwie nie ocknąłem się z maligny. Zadbali o to Monkey i jego ludzie. Chcieli, żebym został. Dziwne, że śniłaś o moim krzyku. Dreszcze mnie przechodzą na myśl o tym, ciebie nie?

Zamilkli, porażeni siłą łączących ich uczuć, szczęśliwi i jednocześnie wystraszeni.

Wreszcie Eleanor przerwała ciszę. Starła się nadać słowom normalne brzmienie.

– John, czy możesz zostać? A może to zbyt niebezpieczne? Muszę przyznać, iż jestem zaskoczona, że odważyłeś się tu przyjść. Skąd wiesz, czy nie obserwują domu?

– Oni? Policja albo wojsko? – wzruszył ramionami. Wszystko jedno. Dzisiaj to i tak bez znaczenia. – Nie wydaje mi się, by mieli wystarczająco wielu ludzi na takie akcje. Według nich albo nie żyję, albo przebywam za granicą. W ciągu trzech lat nigdzie mnie nie widziano. Nie ma się czego obawiać, mogę tu zostać przez kilka dni. O ile, oczywiście, nikt nie puści pary z ust. To dotyczy w szczególności Marii i Adelii. Wiesz przecież, jak szybko rozchodzą

się plotki – roześmiał się do odległego wspomnienia. Eleanor ucieszył ten dźwięk. John wydawał się w dużo lepszej formie niż podczas ich ostatniego spotkania, mniej zgorzkniały, już nie tak zbuntowany, spokojniejszy.

– A jak tam ojciec Janio? Nadal próbuje ratować dusze i namawia młodych mężczyzn, by wstępowali do zakonu? – przełożyła Katherine na bok. John pogładził miękkie jasne loczki dziecka.

– W porządku. Wydaje mi się, że zaczyna mieć dość dżungli i dobrych siostrzyczek, ale nigdy się do tego nie przyzna. Podczas naszego ostatniego spotkania wysłuchał mojej spowiedzi.

Spojrzał na nią poważnie. Zdumiona, szeroko otworzyła usta. Czują, jak na policzkach wykwiła jej rumieniec.

– Powiedziałeś mi o nas?

– Na tym polega spowiedź, wyznaje się wszystko. Wszystkie grzechy.

– Czy teraz uważasz mnie za grzech? – cichy głos nabrzmiał bólem. John przyłożył dłoń do jej twarzy.

– Nie. Nigdy. Powiedziałem to samo księdzu. Stwierdził, że jeśli nie okażę skruchy, nie może dać mi rozgrzeszenia. Nie okazałem skruchy. Nigdy nie okażę – uśmiechnął się. Po chwili również i Eleanor się rozpogodziła. Potarła policzkiem o wnętrze jego dłoni.

– Bardzo za tobą tęskniłam, John.

– Wiem. Ja też za tobą tęskniłem.

Patrzyli sobie w oczy, mówili słowa, których nie słyszał nikt oprócz nich. Cienie wydłużały się coraz bardziej.

Henry obserwował ich z werandy, starając się nie ulec rozpaczy, nie poddać zazdrości. Ostatni rok przyniósł mu tyle radości, tyle szczęścia. Był przekonany, że Eleanor zaczynała go kochać. A Katherine uzupełniała tę sielankę. Ostatnimi czasy Eleanor uśmiechała się coraz częściej, zapomniała o strachu, który ich od siebie oddalał. Otwierała się przed mężem duchowo i emocjonalnie, bardziej niż się spodziewał, przekonany, że stać ją na to tylko wobec Johna. A teraz John wrócił. Henry z całej siły uderzył dłonią w kamienną balustradę. Prawie nie poczuł bólu.

Usłyszał kroki. Louis zatrzymał się tuż za nim.

– Drinka? – zapytał, patrząc na ogród. Najwyraźniej wiedział, co pochłaniało uwagę szwagra. Podał mu szklanę.

– Dzięki. Skąd wiedziałeś?

– Zobaczyłem ich z mego pokoju. Charles już wie?

– Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że jeszcze nie. Mimowolnie Henry uśmiechnął się w ów typowy dla siebie sposób, który sprawiał, że ludzie doceniali go i lubili. Louis skrzywił się.

– Dziś przy kolacji będzie wesoło. Staruszek zyska wreszcie powód, żeby się złościć. Co jakiś czas musi się wywrzeszczyć, to mu dobrze robi. Słuchaj, nie martw się o Eleanor. To dobra dziewczyna. Kocha cię, choć sama jeszcze o tym nie wie. John znowu odejdzie, żeby stoczyć kolejną osobistą wojnę, Eleanor potęskni za nim trochę, a potem przypomni sobie o

tobie i o małej. I będzie zadowolona – stwierdził z przekonaniem.

Henry odwrócił wzrok.

– Zadowolona? Ja wcale nie chcę, żeby była zadowolona. Chcę, żeby była szczęśliwa, absolutnie i całkowicie szczęśliwa – odrzucił głowę do tyłu i wypił duszkiem cały alkohol. Nie lubił whisky, ale potrzebował płynnego ognia. – A wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Podziwiam Johna. Żałuję, że nie mam dość odwagi, by robić to samo co on. Walczy za nas wszystkich, za kraj, a my tylko popijamy whisky, uprzejmiem gawędzimy przy posiłkach i staramy się unikać kłopotów. Brzydzę się tym! Brzydzę się samym sobą!

Spojrzał na Louisa, blady i poważny. A potem znowu się uśmiechnął.

– Chyba pójde porozmawiać z moją żoną. Zobaczymy się przy kolacji, Louis.

Szwagier odprowadził go wzrokiem. Westchnął.

Późno w nocy Eleanor leżała wsłuchana w regularny oddech Henry'ego. W jej głowie rodził się coraz to nowy, coraz bardziej szalony plan. Ona i John wyjeżdżają razem do Anglii, gdzie wychowują Katherine, zatajając przed nią prawdę o jej ojcu. Albo: John poddaje się władzom i błaga o wybaczenie, twierdząc, że tylko za rządów Goularta podburzał do strajków. Wtedy mogłaby rozwieść się z Henrym i być z tym, kogo kocha. Ale nie, nic z tego. Żadnego z planów nie da się urzeczywistnić, przede wszystkim dlatego, że nie potrafiłaby skrzywdzić Henry'ego. Okazał się idealnym mężem, a jednak, mimo wszystkich swoich zalet, nie wystarczał jej. Nie był Johnem. Nienawidziła siebie za tę myśl. Jeśli w tej tragicznej sytuacji ktoś ma cierpieć, niech to będzie ona. Henry'ego nie wolno skrzywdzić.

Przypomniała sobie kolację. Przy stole panowała dziwna, nienaturalna atmosfera, jakby w głębi ducha wszyscy czekali, kiedy nieoczekiwany gość odejdzie i powróci beztraska poprzednich wieczorów. John był w większym stopniu członkiem rodziny niż Louis czy Henry. Łączyły go z Fawcettami więzy krwi, jednak to on był obcy. To on był outsiderem, który zakłócał delikatną równowagę. Papa zapowiedział, że podczas pobytu siostrzeńca będzie jadał w sypialni. Nie chciał widzieć Johna, nie życzył sobie rozmów na jego temat. Dla Charlesa John nie istniał.

Dla Eleanor istniał za to jedynie on. No, może nie tylko. Była jeszcze Katherine. To mała jest najważniejsza i właśnie z jej powodu Eleanor nie mogłaby uciec z Johnem. John zawsze był niespokojnym duchem. Nie śmiałyby ryzykować życia i przyszłości córki.

Jak jednak ma się uporać z własnym bólem? Jak może być dla Henry'ego dobrą żoną teraz, kiedy na myśl o kochaniu się z innym niż John mężczyzną zbierało się jej na mdłości? Boże, co powinna zrobić?

Tak bardzo pragnęła porozmawiać z Sophie. Z Sophie, która byłaby w stanie obiektywnie ocenić sytuację, zrozumiałaby ich dramat. Tylko że prawdopodobnie nie chciałaby niczego rozumieć! Nigdy nie lubiła Johna. Nie, Sophie w niczym by nie pomogła.

Henry poruszył się i jęknął przez sen. Eleanor ścisnęło się serce. Odgarnęła mu włosy z czoła, pogłaskała po ramieniu, chcąc uspokoić, złagodzić ból, który tego wieczoru dostrzegła w jego oczach. Odwrócił się i przyciągnął ją do siebie. Leżała nieruchomo w nadziei, że Henry zaraz zaśnie. On jednak był zupełnie rozbudzony; szukał w ciemności jej ust, podciągał

koszulę.

Myślała o minionych nocach, o tym jak nauczyła się przyjmować jego nieśmiało, delikatne pieszczoty. Nie mogła tego nawet porównywać z tym, co przeżywała w ramionach Johna. Nigdy nie poczuła się częścią Henry'ego. On jednak ją kocha, a ona jest jego żoną. Potrzebuje jej, zwłaszcza teraz, kiedy obawia się odrzucenia. Przyciągnęła męża do siebie.

John nie spał. Leżał z otwartymi oczami na swoim dawnym łóżku, w swojej dawnej sypialni. Nie zmienił się ani kolor farby na ścianach, ani wystrój pomieszczenia. To był jego pokój, ale pokój zapomniany w domu tętniącym życiem, pełnym zmian. Bo też John był zapomnianym członkiem rodziny. Nie mógł ich nawet za to obwiniać. Dążyli do spokojnego, pogodnego życia, a on wprowadzał chaos. Oczekiwali, że wszyscy dostosują się do ich wymogów i żądań. On chciał zmian. Doskonale rozumiał, dlaczego przywitali go tak chłodno i zmieniali temat, ilekroć poruszał co bardziej drażliwe kwestie. Nie miał do nich pretensji, że liczyli, iż odejdzie następnego ranka, a jeśli nie, to dzień później. On również nie chciał tu zostać. Wrócił tylko dla Eleanor. A ona była najniezwyklejsza z nich wszystkich.

Pocił się na myśl, że Eleanor leży teraz w łóżku z Henrym, może nawet się z nim kocha. Zastanawiał się, czy ona czuła to samo, kiedy był z Teresą. Ale nie, na pewno nie. Teresa nic do niego nie czuła, był dla niej tylko szczebelkiem w drabinie sukcesu. Teresa nie stanowiła zagrożenia, za to Henry – tak. Zaciśnął zęby. Wpatrywał się w sufit. Czekał na nadejście świtu.

Kiedy Henry się obudził, była dopiero piąta. W półmroku szukał wzrokiem źródła dźwięku, który wyrwał go ze snu. Nie zobaczył niczego ani nikogo. Nawet jego żona zniknęła. W pierwszej chwili chciał wstać i jej szukać, ale nie poruszył się. Długo wpatrywał się w podłogę. Potem z westchnieniem opadł na poduszki i zamknął oczy. Ufał Eleanor. Nawet jeśli poszła do Johna, będą tylko rozmawiali. Nie należała do kobiet, które prosto z łóżka męża idą do innego mężczyzny. Wiedział o tym. Niedługo zasnął ponownie.

W pokoju dzieciennym Eleanor siedziała z Katherine w ramionach. Mała, szczelnie owinięta kocikiem, spała głęboko z buzią na piersi matki.

– Zdawało mi się, że słyszę jakieś hałasy? Wszystko w porządku? – Isobel zajrzała z korytarza. Zdziwiona, Eleanor uniosła głowę.

– Tak, oczywiście. Przepraszam, że cię obudziłam. Nie denerwuj się. Charlie śpi jak zabity.

– Charlie, moja droga, przespałby wojnę – oznajmiła Isobel z macierzyńską dumą. Usiadła naprzeciwko siostry. – Chciałabym, żeby miał siostrzyczkę albo braciszka, ale na razie nic na to nie wskazuje. Co nie znaczy, że nie staramy się ze wszystkich sił – zaznaczyła.

Eleanor uśmiechnęła się. Isobel była dobrą matką i dobrą żoną. Szkoda, że ona nie jest taka. Ta myśl wyrwała ją z letargu. Nigdy dotąd nie chciała być podobna do siostry. Czyżby aż tak zmienił się jej system wartości? Isobel jednak była obecnie bez porównania miłsza, lepsza niż kiedyś. To miłość do Louisa spowodowała tę zmianę. A ona, Eleanor? Czy jest teraz gorsza? Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że siostra coś mówi, i z trudem skoncentrowała się na jej słowach.

– Nie możesz zasnąć czy chodzi o Johna? Westchnęła ciężko.

– Isobel, zawsze chodzi o Johna. Odkąd byliśmy dziećmi, nie istniał dla mnie nikt inny. Kiedyś zawstydzwały mnie moje sny, marzenia o nim, o nas. Teraz nie dbam już o łączące nas pokrewieństwo. To nie ma znaczenia w porównaniu z prawdziwymi przeszkodami: z Henrym i z nią – czule spojrzęła na córeczkę. – Nie mogłabym opuścić ich dla Johna.

– Ty i John byliście kochankami, prawda? – Isobel nie była zdziwiona, kiedy Eleanor twierdząco skinęła głową. – Tak myślałam. Mama chyba też. I co teraz? Co zrobisz? – podkuliła nogi, szczerzej otuliła się szlafrokiem.

– Nie wiem. Chyba nic. Najgorsze było to, że nie wiedziałam, gdzie on jest, czy w ogóle żyje. Dopóki myślałam, że go na zawsze straciłam, mogłam sobie z tym poradzić. Ale teraz, kiedy wrócił, nie wiem. Czasami... Boże, czasami w pewnym sensie żałuję, że w ogóle wrócił.

Za ścianą, w ciemnym korytarzu John zamknął oczy. Nigdy nie przypuszczał, że usłyszy takie słowa z ust Eleanor, a jednak wypowiedziała je aż nadto wyraźnie. Znieruchomiał, jego twarz wyglądała jak maska. W głowie dudniło mu ciągle to zdanie. Żałowała, że wrócił. Była taka sama jak inni, uważała go za outsidera, chciała, żeby sobie poszedł. Nie winił jej. Bezszelestnie przemknął się do swojego pokoju.

Ani Eleanor, ani Isobel nie wyczuły jego obecności. Rozmawiały dalej, rozkoszując się ową bliskością, która połączyła je tak niedawno i którą tak łatwo było zniszczyć. Umacniały tę więź aż do wschodu słońca, kiedy to wróciły do swoich sypialni i mężów.

Następnego ranka John był zadziwiająco cichy. Ignorował wysiłki Eleanor, która próbowała wciągnąć go do rozmowy. Milczał, odgradzony od innych gazetą. Louis i Henry wymieniali nad stołem porozumiewawcze spojrzenia. Henry gwałtownie opuścił głowę, kiedy John odchrząknął i odezwał się do Louisa:

– Czy mógłbyś wynająć mi mieszkanie w porcie? Coś skromnego, pokój z łazienką. Zapłać gotówką i podaj swoje nazwisko. Ciebie nikt nie będzie sprawdzał. Zaraz dam ci pieniądze. Nie powinienem tu dłużej zostawać, to zbyt niebezpieczne dla nas wszystkich.

Louis spojrzął na niego z ukosa.

– Dobrze, jeśli naprawdę tego chcesz. Nie obawiasz się, że ktoś cię rozpozna? W zeszłym roku w całym mieście wisiały plakaty z twoim zdjęciem. Teraz niewiele już ich zostało, ale nadal istnieje duże ryzyko – mówił równie cicho jak John, nie chcąc, by słyszeli ich pozostali.

W pierwszej chwili podejrzewał, że troska o bezpieczeństwo rodziny to tylko wymówka, że tak naprawdę John chce spotykać się z Eleanor bez świadków. Kiedy jednak zobaczył ponurą minę i zaciśnięte usta przyjaciela, zmienił zdanie. W nocy musiało dojść do decydującej rozmowy i Eleanor kazała mu odejść. To miało sens. Nagle Louisowi zrobiło się go żal. Poklepał go po ramieniu.

– Nie martw się, Johnny. Znajdę coś. Pojedziemy zaraz po śniadaniu. Możesz na mnie polegać jak zawsze – mruknął. John odpowiedział mu wdzięcznym spojrzeniem. Na Boga, ten człowiek musi mieć kogoś, na kogo może liczyć, pomyślał Louis. Jeśli nie Eleanor, to on podejmie się tego zadania. Ktoś w tym gronie musi pamiętać, że John należy do rodziny. Rozzłoszczony, sięgnął po kolejnego tosta.

Henry obserwował ich ukradkiem. A więc Louis znów jest po stronie Johna. To tylko

ułatwia sprawę. John potrzebował pieniędzy, ale nie przyjąłby ich od Henry'ego. Może, jeśli Louis będzie pośrednikiem, Campos nie dowie się, skąd pochodzą? Tyle przynajmniej Henry mógł zrobić. Na początek.

Głęboko zamyślony, zapatrzył się w swój talerz. Potem spojrzał na żonę – i uśmiechnął się.

Eleanor wiedziała, że coś jest nie w porządku. Jakże mogłaby nie zauważyć oschłości Johna, chłodu w jego oczach? Rozumiała doskonale, co chciał jej przez to powiedzieć, ale nie pojmowała, dlaczego ją odpychał. Nie miała pojęcia, co tak na niego wpłynęło. A to tylko utrudniało pożegnanie: Eleanor była pewna, że czymś go zraniła, a nie potrafiła tego naprawić. Wszyscy stali w holu. Pocałowała Johna w policzek i na moment przywarła do niego całym ciałem. Nie poruszył się, ledwie odwzajemnił jej uścisk. Puściła go i cofnęła się.

– Zobaczmy się znowu wkrótce, czy mamy czekać następne trzy lata? – zażartowała. Nie patrzyła mu w oczy. Poczula rękę Henry'ego obejmującego ją w tali i z najwyższym trudem opanowała chęć odepchnięcia męża, wysłania go do wszystkich diabłów.

John uśmiechnął się lekko, ale z jego oczu nie znikał wyraz cierpienia.

– Kto wie, Eleanor? To jest właśnie najbardziej ekscytujące w życiu – niewiedza.

Odwrócił się i wyszedł, zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta. Eleanor patrzyła za nim i czuła, jakby połowa jej samej odchodziła, aby, być może, już nigdy nie powrócić. Odsunęła się od Henry'ego.

– Będę na górze – z tymi słowami pobiegła na piętro. Szła prosto, z wysoko uniesioną głową. Henry i Isobel obserwowali ją z niedowierzaniem. Clarissa poszła powiadomić Charlesa, że John znowu ich opuścił.

– Henry, chcę iść do pracy.

Podniósł głowę znad dokumentów, które właśnie studiował. Od nagłego pojawienia się i zniknięcia Johna upłynęły już dwa tygodnie. Henry właśnie zaczynał mieć nadzieję, że Eleanor pogodziła się z losem. Zmarszczył brwi.

– Do jakiej pracy? Chcesz otworzyć butik, jak Mina? – rozbawiła go ta myśl.

Eleanor energicznie potrząsnęła głową, zniecierpliwiona.

– Nie, nie, nic takiego. Mówię poważnie, Henry. Mam dwadzieścia dwa lata i co dotychczas osiągnęłam? Byłam bogatą, rozpieszczoną córeczką. Jestem bogatą, rozpieszczaną żoną i matką, a to nic nie znaczy. Mam dość... mam dość bycia bezużyteczną!

Chodziła szybko po pokoju, wyraźnie zdenerwowana. Do Henry'ego dotarło w końcu, że mówi poważnie. Odłożył papiery.

– Nie jesteś tylko czyjąś córką czy żoną! Ty to ty! Tak było i będzie. Isobel należy do kobiet, które są najszczęśliwsze, kiedy ich życie kręci się wokół mężczyzn. Ty zawsze byłaś inna. Przepraszam, kochanie, jeśli nie dawałem ci odczuć, że jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko żoną. Jesteś dla mnie wszystkim: moją przyjaciółką, moją kochanką, moją powiernicą, moją podporą. Jak możesz mówić, że jesteś bezużyteczna? – podszedł do niej, objął. Stała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Najwyraźniej nie zauważył, że posługiwał się ciągle tym samym zaimkiem dzierzawczym. Nie widział różnicy między swoją własnością a jej potrzebą samorealizacji.

– Więc nie masz nic przeciwko temu, żebym zaczęła pracować? – zapytała. W odpowiedzi usłyszała długie westchnienie. Nieważne, że Henry był w połowie Anglikiem; miał w sobie także latynoską krew, a Latynosi nie życzyli sobie, żeby ich żony pracowały. Eleanor jednak nie dawała za wygraną. – Chciałabym założyć szkołę. Kiedyś już uczyłam, pamiętasz? Zanim wyjechałam do Paryża. To była mała szkółka dla kobiet ze slumsów, źle prowadzona, bez sponsorów. Ja zrobiłabym to o wiele lepiej, gdybyś tylko pożyczył mi trochę pieniędzy. Na papę nie mogę liczyć, wiem o tym. Zresztą on ostatnio tak martwi się o pieniądze, że nie śmiałabym nawet go pytać.

Widząc powątpiewanie w oczach męża, ciągnęła dalej:

– Henry, sam mówiłeś, że nic się nie zmieni, dopóki nie zwalczymy analfabetyzmu. Wiem, że niewiele mogę zrobić, ale jestem w stanie choć trochę pomóc. Wciągnę w tę działalność moje koleżanki ze szkoły. To zdolne, mądre dziewczyny, które siedzą w domu i marnują wiedzę zdobywaną przez tyle lat. Ja na przykład mówię płynnie po angielsku, portugalsku i francusku, mam właściwie akademickie wykształcenie z historii i literatury. Nie chcę się przechwalać, Henry, ale jestem inteligentna. Miałam doskonale stopnie. Czy nie uważasz, że to marnotrawstwo, jeśli siedzę w domu i nic nie robię? Jakbyś się czuł, gdybyś usłyszał: „Tak, kochanie, cudownie, że skończyłeś prawo, a co zjemy na kolację?”

Nie chciała go zdenerwować, ale tak bardzo starała się dowieść swoich racji, że powiedziała więcej, niż zamierzała, dała się ponieść emocjom, a to niedobrze. Henry był wyraźnie dotknięty.

– Nie miałem pojęcia, że uważasz, iż tracisz czas w domu. Nigdy nie traktowałem cię lekceważąco. Eleanor, uważam, że jesteś bardzo niesprawiedliwa – wrócił do biurka i zajął się segregowaniem papierów.

Zamknęła oczy.

– Henry, nie mówię, że traktujesz mnie lekceważąco. Jesteś najlepszym mężem, jakiego można sobie wyobrazić. – Uśmiechnął się lekko, słysząc te słowa. – Proszę cię tylko, byś zaakceptował fakt, że chcę pomóc innym nauczyć się czegoś o świecie. Żebyś się zgodził, bym podzieliła się z nimi moim bogactwem, moim wykształceniem, moim czasem, moim... jak ci to wytłumaczyć?! Henry, czuję, że postępuję bardzo samolubnie. Mam tak wiele, podczas gdy większość ludzi ma tak mało. Nie mogę dać im pieniędzy, bo nie dysponuję własnymi funduszami. Mogę im jedynie ofiarować swój czas. I chciałabym, żebyś to zaakceptował. Proszę – wyciągnęła rękę. Ujął ją z wahaniem.

– Zawsze byłaś bardziej wygadana niż to potrzebne tobie czy mnie. A co z Katherine? Nie chcesz spędzać z nią czasu, z nią i jej braciszkiem lub siostrzyczką, kiedy przyjdzie na nich pora? – przyciągnął żonę do siebie.

Z trudem wytrwała w objęciach Henry’ego. Dotknęła jego ramienia.

– Nie zaniedbam Katherine. Po prostu nie będę z nią przesiadywała całymi dniami, tak jak teraz. Jej wystarczą Isobel i Charlie. Nie potrzebuje wyłącznie mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę. A co do... – zawahała się. – Henry, ostatnio jestem ciągle zmęczona. Miałam nadzieję, że poczekamy jeszcze rok czy dwa, zanim zdecydujemy się na następne dziecko. Widzisz, dźwiganie takiej istotki przez dziewięć miesięcy, a potem wydanie jej na

świat, to bardzo wyczerpujące zajęcie. Na razie nie mam siły, by przejść przez to jeszcze raz. Muszę odpocząć. Rozumiesz to, prawda?

W Brazylii nie sprzedawano środków antykoncepcyjnych, poza tym Henry był katolikiem; zrozumiał, o co żona go prosi. Głośniejszym niż zwykle wypuścił powietrze z płuc. Eleanor czekała.

– Dobrze, jeśli to jest twoje życzenie. Możesz założyć tę swoją szkołę, pomogę ci. Masz na to rok. Po upływie tego czasu ci, których w to wciągniesz, będą musieli zająć się wszystkim sami, bo wtedy będę oczekiwał, że ponownie skoncentrujesz się tylko na Katherine. A poza tym chcę mieć drugie dziecko. Jasne?

Mówił tak, jakby pouczał pracownika swojej kancelarii. Eleanor zjeżyła się.

– Henry! Nie jestem twoją własnością! Mamy rok 1965, a nie średniowiecze! Jeśli mi nie pomożesz bez stawiania warunków, poproszę kogoś innego. Nie mam zamiaru dłużej siedzieć bezczynnie i obgryzać paznokcie. Jasne?

W jej głosie rozbrzmiewała taka sama siła i stanowczość jak kiedyś, gdy kłóciła się z ojcem o swoje prawa. Henry był wyraźnie zbity z tropu.

– Po co się do mnie zwróciłaś, skoro i tak zrobisz, co zechcesz? – zapytał chłodno.

– Bo, jak już powiedziałam, chciałam twojej aprobaty. Nie przyszło mi do głowy, że będziesz się sprzeciwiał czemuś, co sam uważasz za jedną z najpotrzebniejszych rzeczy w tym kraju. Moim zdaniem musimy pomóc Brazylii wydostać się z bałaganu, w jakim obecnie tkwi, i doprowadzić ją do demokracji. Myślałam, że ty także do tego dążysz.

– Owszem, i robię, co mogę. Nie chcę, żebyś wplątała się w coś niebezpiecznego. Krótko mówiąc, nie życzę sobie, żebyś zajmowała się polityką. W tej rodzinie jest już aż nadto działaczy – rzucił.

Eleanor nie zamierzała się poddać.

– Ach tak? Masz na myśli Johna, jak przypuszczam? Tak, on walczy i jestem z niego dumna. Ale nie widzę, żeby inni rwali się do działania. Louis? Papa? Ty? Co ty takiego robisz, Henry? Powiedz!

Kiedy była zła, potrafiła dotkliwie zranić. Wiedziała, że powinna zamilknąć, ale gorycz zbyt długo się w niej gromadziła i teraz wypływała potokiem agresywnych słów. Kiedyś i tak musiało do tego dojść.

– Robię więcej, niż myślisz, Eleanor – odparł szorstko, zły, że pozwolił się sprowokować.

– Z racjonalnego punktu widzenia, moja działalność jest dużo skuteczniejsza niż poczynania Johna. On znalazł się o krok od terroryzmu. Ale ty i tak będziesz z niego dumna, bez względu na to, co zrobi, prawda?

Henry zgarnął dokumenty z biurka i wyszedł, z całej siły trzaskając drzwiami.

Eleanor nie ruszyła się z miejsca. Wzięła wazon ze stolika, chcąc cisnąć nim o kominek, ale nie mogła się na to zdobyć. Nigdy w życiu nie uczyniła niczego destruktywnego. Nawet mi się nie podoba, stwierdziła patrząc na matowe jasnozielone szkło, a i tak nie potrafiła go rozbić. Ostrożnie odstawiła naczynie na miejsce i zamknęła oczy.

Jak to możliwe, że do tego stopnia straciła panowanie nad sobą? Było jej wstyd, a jednocześnie nadal wściekała się na Henry'ego. Dlaczego tak nagle wyszedł, dlaczego nie



starał się jej przekonać? Dlaczego nie dał jej szansy, żeby do końca przedstawiła swoje zdanie? Teraz kłótnia zatruje atmosferę, dopóki któraś ze stron nie podda się i nie przeprosi. Eleanor nie chciała, żeby Henry się poddawał; chciała, żeby rozumiał. A sama nie miała zamiaru go przeproszać.

Co, u licha, miał na myśli twierząc, że „robi więcej, niż jej się wydaje... ?” Co takiego robi?! Był dobrym prawnikiem. Czasem podejmował się jakiejś sprawy za darmo, jeśli żywił przekonanie o niewinności ubogiego klienta. Ostatnio został doradcą burmistrza Rio, ale to wszystko, o ile wiedziała. Co jeszcze mógł robić?

Wyszła z gabinetu, ciekawa, dokąd mąż poszedł. Z dala usłyszała dzwonek do drzwi, podniesione głosy i powitalne okrzyki. Ich sypialnia była pusta. Duże łóżko wyglądało teraz dziwnie nie na miejscu. Przycupnęła na białej wykrochmalonej narzucie. Och, Henry, tak mi przykro. Nie chciałam, żeby tak wyszło! Nie chciałam wcale powiedzieć, że robisz za mało albo że John jest od ciebie lepszy. Przepraszam.

Poczucie winy narastało w niej. Minuty mijały, a Henry nie przychodził jej pocałować i przeprosić, jak to zdarzało się zawsze dotychczas. Wyszła na korytarz. Liczyła, że usłyszy jego kroki, ale w ich skrzydle *paldcio* panowała cisza. Niechętnie ruszyła na dół, do głównej części domu.

Z saloniku mamy dochodziły radosny gwar. Eleanor poszła w tamtą stronę. Pomyślała, że to pewnie doktor da Silva przyszedł na herbatę. Niedawno owdowiał i czuł się bardzo samotny. A mama odpoczywała w jego towarzystwie, Eleanor uważała doktora za czarującego człowieka. Miała nadzieję, że to jego głos zaraz usłyszy.

Kiedy jednak otworzyła drzwi, zastygła w zdumieniu. Tyłem do niej stał Henry. Trzymał kogoś w objęciach; ze swego miejsca widziała tylko szczupłe ramiona splecione na jego szyi. Już miała się wycofać, gdy zobaczyła, że także Clarissa stoi w pokoju z uśmiechem na ustach. Przez chwilę nie mogła pojąć, jak to możliwe, że matka się uśmiecha, widząc Henry’ego tulącego obcą kobietę. Nagle zrozumiała.

– Sophie?! – krzyknęła zdumiona. Henry wypuścił gościa z objęć, odsunął się i Eleanor ujrzała drobną postać w zabawnej króciutkiej sukience. Szare oczy błyszczały radością.

– Eleanor? Jak widzisz, przyjechałam, bo chciałam na własnej skórze doświadczyć podszczypywań Brazylijczyków. Niestety, Henry nie daje się na to namówić, więc musisz przedstawić mnie jakiemuś seksownemu Latynosowi! – wyciągnęła rękę i Eleanor podbiegła do niej z radosnym okrzykiem.

– Och, Sophie! Ty małpiszonie! Czemu nie zawiadomiłaś nas o przyjeździe? Odebrałabym cię z lotniska. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś! Tak się cieszę, że cię widzę!

Ścisnęły się przez dłuższy czas, a Henry i Clarissa przyglądali się im pobłaźliwie.

Wreszcie Sophie odsunęła się, by spytać z niepokojem:

– Mam nadzieję, że nie będę wam przeszkadzać. Wydałam masę pieniędzy na bilet i właściwie nie stać mnie już na hotel. Pomyślałam sobie, że... że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, jeśli zostanę u was przez kilka dni?

Zasypali ją zapewnieniami, że może zostać, ile zechce: tygodnie, miesiące, lata nawet, wołała ze śmiechem Eleanor. Sophie spojrziała na Henry’ego, który wtórował

entuzjastycznym okrzykiem żony. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy; w jego wzroku malowało się zdziwienie, w jej – bolesne pożądanie. Clarissa była świadkiem tej wymiany spojrzeń. Przestała się uśmiechać. Z lekko przechyloną głową uważnie przyglądała się Francuzce.

– Na długo przyjechałaś, Sophie? Chyba ciężko pracowałaś nad swoją angielszczyzną? Jest wyśmienita! Czy uczyłaś się także portugalskiego? – paplała Eleanor. Była pod wrażeniem osiągnięć przyjaciółki, która uczyła się i jednocześnie pracowała, żeby spłacić długi ojca. Dokonała o wiele więcej niż ona. Z wyjątkiem urodzenia Katherine, oczywiście. Nic nie mogło się równać z Katherine.

– No pewnie! Mój portugalski jest okropny, ale liczę, że się poprawi. Co do tego, ile tu zostanę – nie mam pojęcia. Postanowiłam być nieodrodną córką mego ojca i włączyć się po świecie. A od jakiego miejsca miałabym zacząć, jeśli nie od kraju, w którym mieszkają moi najbliżsi przyjaciele? – roześmiała się.

Eleanor wzięła ją pod rękę, chcąc jak najszybciej pokazać córeczkę. Na krótką chwilę jej oczy spotkały wzrok Henry’ego; jeszcze jej nie przebaczył. Był uroczy wobec Sophie, ale nadal gniewał się na żonę. Pożegnał ją lodowatym spojrzeniem.

– Sophie, moja droga, chodźmy na górę. Muszę pokazać ci Katherine, zanim rozsadzi mnie matczyzna duma. Chodź już. Mamo, Henry, wybaczcie nam.

I już ciągnęła Sophie po schodach.

– Dzięki Bogu, że tu jesteś – szepnęła, kiedy oddaliły się od saloniku. – Dzisiaj bardzo pokłóciłam się z Henrym. W ogóle się do mnie nie odzywa i to tylko dlatego, że chcę założyć szkołę dla ubogich. To nic strasznego, chyba się ze mną zgodzisz? Ale on uważa, że jeśli się tym zajmę, zaniedbam jego i Katherine. W końcu krzyknęłam, że nie jestem niczyją własnością i, do licha, wiesz, jak to jest. Padło wiele złych słów, choć Bóg mi świadkiem, nigdy nie chciałam go obrazić! Jest dla mnie taki dobry! Musisz mi pomóc go przekonać; rozmawiaj z nim, zajmij moje miejsce! Zrobisz to dla mnie, Sophie? – szepnęła błagalnie. Zerknęła na przyjaciółkę kątem oka. – Sophie?

– Ach tak, ależ oczywiście, Eleanor. Zrobię to. Na Boga, nie mogę uwierzyć, że ty i Henry pokłóciliście się – zamilkła na chwilę.

Eleanor nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Wiesz, to się zdarza nawet w najlepszych małżeństwach. Zazwyczaj Henry przeprosza mnie natychmiast albo ja to robię, ale tym razem oboje zaparliśmy się. Nie wiem, jak z tego wybrnąć. To głupie, co? Na dodatek uraziłam go, bo powiedziałam, że przez najbliższy rok czy dwa nie chcę mieć więcej dzieci – westchnęła. – No, dość już. Co u ciebie? Gdzie mieszkałaś? Co robiłaś?

Eleanor zasypała gościa pytaniami. Sophie parsknęła śmiechem.

– Mieszkałam z pewnym bardzo bogatym starszym panem, który spłacił moje długi i nauczył mnie cenić dobrobyt, aż niedawno, kilka dni temu, uznałam, że mam dość jego jowialnej, tłustej twarzy i niezdarnych paluchów. Zapragnęłam przygód, zabawy i młodych, silnych mężczyzn, więc sprzedałam trochę biżuterii, którą mnie obsypywał, i przyleciałam tutaj. Oto jestem! – skrzywiła się, widząc zdumienie przyjaciółki.

– Sophie! To nieprawda! O mój Boże! – Eleanor była zgorzonna i zbyt zdziwiona, żeby to ukryć.

– Nie, to nieprawda. – Sophie uśmiechnęła się jeszcze szerzej aż do bólu w policzkach. – Ale taka wersja brzmi lepiej niż to, co naprawdę robiłam. Pracowałam w drogerii, żeby spłacić długi ojca. Wieczorami uczyłam się angielskiego i odkładałam każdy grosz. Żadnych kochanków. Nudne to było jak diabli – wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

Eleanor roześmiała się z widoczną ulgą.

– Och ty, niedobra! A ja ci uwierzyłam! Jestem dumna, że sama sobie poradziłaś. Prawdziwa z ciebie bohaterka! – uściskała dziewczynę serdecznie. Zatrzymały się przed drzwiami dzieciennego pokoju. Eleanor położyła palec na ustach.

– Maluchy śpią, więc musimy być cicho. Chodź, zobacz.

Sophie posłusznie weszła za nią do środka. Nie potrafiła nad sobą zapanować, kiedy zobaczyła uśpione dzieci i miłość jaśniejącą w oczach Eleanor. Przez chwilę była... niemal zła.

– Henry, czy ty i Eleanor pokłóciliście się?

Clarissa nienawidziła takich rozmów, jednak zadała to pytanie zaraz po wyjściu przyjaciółek. Owo króciutkie spojrzenie, które przypadkiem pochwyciła, zatrzęsło fundamentami jej świata niemal tak mocno jak aresztowanie Charlesa. Kiedy wskazała Henry'emu krzesło, nie była to prośba, lecz rozkaz.

Zięć usiadł. Był zirytowany i niespokojny. Nie wiedział, jakich słów użyć, żeby jak najogólniej wyjaśnić sytuację.

– Tak, coś w tym rodzaju. Eleanor chce iść do pracy, a mnie się to nie podoba. Nie chce mieć więcej dzieci, a ja ich pragnę. Normalna kłótnia między małżonkami. A dlaczego pytasz? Czy to cię niepokoi, Clarisso?

Zakładał, że jeśli nie wykaże chęci do rozmowy, teściowa nie będzie naciskać. Pani Fawcett zdawała się czytać w jego myślach.

– Henry, wiesz, że nie lubię kłopotów. Oczywiście, że niepokoję się, gdy ty i Eleanor nie możecie dojść ze sobą do ładu. Pragnę jednego: żeby moi bliscy byli szczęśliwi. Tak więc proszę, zrób co możesz, żeby wszystko znów było w porządku. Nie mieszam się w wasze sprawy, nie mówię, kto ma rację, a kto nie. Proszę o jedno: żadnych awantur i niesnasek w moim domu. Nie chcę tego. Wiesz, jak bardzo takie historie denerwują Charlesa.

I mnie, dodała w myśli. Zastanawiała się, czy poruszyć także temat Sophie, ale zażenowanie nie pozwoliło jej na to. Henry to dobry człowiek; nigdy nie skrzywdziłby Eleanor.

– Dobrze, Clarisso. Masz moje słowo. – Henry musnął ustami jej policzek. Pachniała kwiatowymi perfumami, które, choć dla wielu kobiet byłyby zbyt intensywne, do niej pasowały idealnie. Była jak róże w jej ogrodzie, gdzie nigdy nie widział chwastów. Nie szkodzi, że korzenie ich tkwiły pod ziemią; powierzchnia była idealnie czysta. Uśmiechnął się ironicznie i oznajmił, że idzie do biura. Wyszedł, puszczając mimo uszu protesty Clarissy, że to przecież sobota.

Mentor Henry'ego w dziedzinie polityki, Rodolfo Pereira, burmistrz Rio de Janeiro, miał

zamiar ubiegać się o ten urząd ponownie w przyszłym roku. W zeszłym tygodniu uchwalono drugi Akt Instytucjonalny. Od tego czasu w kraju istniały tylko dwie partie polityczne. Trzyńście dawnych ugrupowań przekształcono w partię prorządową ARENA\* [Aliança Renovadora Nacional] (Narodowy Związek Odnowy) i marionetkową partię, opozycyjną MDB\* [Movimento Democrático Brasileiro] (Brazylijski Ruch Demokratyczny). Nadchodziła nowa fala prześladowań; po raz pierwszy cywile stawali przed sądem wojskowym za działalność wywrotową. Zwiększono liczbę członków Sądu Najwyższego z jedenastu do piętnastu. Dodatkowa czwórka umacniała pozycję wojska. Henry zaczynał się martwić, co zostanie z demokratycznych reform poprzedniego rządu. Martwić? Nie, znacznie więcej: był przerażony.

Miał za zadanie przeprowadzić Pereirę przez ten polityczny galimatias do zwycięstwa. Nie była to wdzięczna rola. W tych okolicznościach Henry nie miał czasu na rozmyślenia o buncie żony. Zbył problemy rodzinne wzruszeniem ramion.

Rodolfo Pereira był przyzwoitym, uczciwym człowiekiem, a przy tym konserwatystą i demokratą. Właśnie kogoś takiego potrzebowało Rio w ratuszu. Należał do ARENY i choć wstąpił do partii z oporami, wojsko nie powinno sprzeciwiać się jego kandydaturze. Z drugiej strony jednak przeciwnicy burmistrza byli lepiej zorganizowani niż poprzednio, a na dodatek również należeli do tej samej organizacji politycznej. Szansa na zwycięstwo wzrosłaby, gdyby kontrkandydatem Pereiry okazał się, jak poprzednio, jeden z populistycznych przywódców. Nikt nie przemawiał tak płynnie jak oni, ale za to nie mieli pojęcia o organizowaniu i administracji.

Kiedy jednak ścierały się dwa odłamy tej samej partii, wynik był nie do przewidzenia. A Henry nie ufał opozycji. Stanowili ją zagorzali zwolennicy coraz ostrzejszego reżimu. Do czego dojdzie, jeśli przejmą władzę?

Aktualna pozycja Henry'ego dawała mu możliwość wglądu we wszystkie ważne dokumenty na biurku burmistrza. Najczęściej udawało mu się zrobić z tych informacji użytek; wystarczyło słówko do Louisa albo jego przyjaciela, który parał się dziennikarstwem. Właśnie dzięki tym informacjom wiele osób, zagrożonych przesłuchiwaniami lub aresztowaniem, zdążyło zniknąć, zanim policja zapukała do ich drzwi. Gdyby jednak opozycja doszła do władzy, Henry nie miałby już czego szukać w ratuszu. Nikt nie ostrzegałby już o niebezpieczeństwie, a to kosztowałoby wiele ludzkich istnień.

Siedział przy biurku. Okulary, które od niedawna nosił, przesunął na czubek głowy. Roztargniony, masował sobie skronie. Niech diabli wezmą wojsko! Coś, co zaczęło się jako niewinna przepychanka, przekształciło się w zażartą walkę o władzę. Może Eleanor ma rację? Może, jeśli ludzie zdobędą wykształcenie, reszta przyjdzie sama? Z ciężkim westchnieniem pochylił się nad dokumentami.

Po południu Eleanor i Sophie wybrały się na zwiedzanie Rio. Zaczęły od powszechnie znanych atrakcji, takich jak Głowa Cukru i Corcovado, wzgórze, z którego błogosławił miastu wysoki na sto stóp posąg Chrystusa. Z okien kolejki linowej wiozącej przyjaciółki na Głowę

Cukru rozpościerał się widok na cały port. Wody zatoki Guanabara mieniły się różnymi kolorami, od zieleni i błękitu po czerń. Słońce odbijało się w falach i zaglądało przez szyby rozkołysanego wagonika.

Daleko pod nimi przesuwało się Rio de Janeiro. Oto malutka jak domek dla lalek Akademia Morska i wyścigi konne, prestiżowy Jockey Club i dzielnice bogaczy, Ipanema i Leblon. Eleanor chłonęła te widoki z ulgą. Dopiero stąd widziała świat w należytej perspektywie. Wszystko to nic, dziecinne zabawki w porównaniu z majestatem gór i morza. Jakie znaczenie ma fakt, że papę wykluczono z Jockey Clubu i zabroniono mu wstępu na wyścigi? Przecież to głupie ludzkie wymysły, które są niczym w porównaniu z naturą. Rozejrzała się dokoła z wyraźnym zadowoleniem.

– Od lat tu nie byłam – wyjaśniła przyjaciółce. – Ostatni raz jeszcze w szkole, z wycieczką. Ten widok uświadamia ci, jaką drobiną jest człowiek i jego problemy w porównaniu z ogromem natury – roześmiała się nagle. – O Boże, ależ to pompatyczne!

Teraz żałowała, że wypowiedziała swoje myśli na głos. Sophie posłała jej poważne spojrzenie.

– Czy świadomość znikomości tego co ludzkie sprawia, że czujesz się lepiej? – zatoczyła ramieniem szeroki łuk w kierunku miasta. – Na zasadzie: pstryknij palcami, stuknij obcasami i wszystko znika?

– Jak Dorotka z Krainy Oz? Tak, chyba tak. – Eleanor westchnęła głośno. – Ale to nie trwa długo. Kiedy wracasz, a kiedyś musisz wrócić, wszystko znów urasta do olbrzymich rozmiarów.

– Wydaje mi się, że tu jest bardzo spokojnie. Nie przyszłoby mi do głowy, że wojsko przejęło władzę zaledwie rok temu. Brazylijczycy najwyraźniej nie bardzo się tym przejmują – stwierdziła Sophie. Eleanor ogarnęło zdumienie i jednocześnie ciekawość, jak też cudzoziemka postrzega ich sytuację. Czy naprawdę życie w Rio wyglądało tak spokojnie?

– Wiesz, widzi się wszystko inaczej, kiedy cios spada na twoją rodzinę, na przyjaciela... na kochanka. Wtedy dopiero otwierają ci się oczy – odparła miękko. Rozejrzała się uważnie, ale nikt ze zwiedzających nie zwracał na nie uwagi.

– Na przykład na twojego ojca? I Johna? – zainteresowała się Francuzka. – O co tu właściwie chodzi? Czy nadal widzisz się z Johnem? Czy nadal jesteście... kochankami? – nie spuszczała oka z Eleanor.

– Nie. To skończyło się, kiedy trzy lata temu John wyjechał z Paryża. Od tamtego czasu widzieliśmy się tylko raz, przez jeden dzień. Zresztą nie zapominaj, że jestem mężatką – wzruszyła ramionami, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie. Sama nie wiedziała, czemu ukrywa uczucia przed przyjaciółką, jednak między nimi coś się zmieniło. Dawna Sophie i być może dawna Eleanor były teraz innymi ludźmi. Dzielły je dwa lata różnych doświadczeń. Eleanor nie mogła już rozmawiać z nią o Johnie, to wiedziała na pewno.

W świetle słońca oczy Sophie były jasne i ufne. Eleanor poczuła się nieswojo, zatajając przed nią swoje sekrety, ale tak było lepiej. John odszedł z jej życia, a Sophie nie musi znać całej prawdy. Nikt jej nigdy nie pozna.

Na stacji Cosme Velho wsiadły do kolejki, która miała je zawieźć na Corcovado, do stóp

posągu Chrystusa. Spacerowały wokół pomnika, podziwiały bajeczny widok: opiekuńcze ramiona łądu obejmujące zatokę. Zadziały głowy do góry, żeby popatrzeć na figurę. Osłaniały oczy dłonią, bo biały kamień lśnił osłepiającym blaskiem. Potem wróciły do wagonika. W połowie drogi w dół pociąg zatrzymał się na dwudziestominutowy postój przy małej restauracji ukrytej wśród sosen. Sophie uparła się, że chce spróbować *guarana*, napoju robionego z kory, więc kupiły dwie butelki i schroniły się w cieniu drzew. Usiadły niedaleko posągu Ceres, której jacyś dowcipni turyści pomalowali usta szminką. Eleanor zwilżyła wargi i spróbowała się odprężyć. Od kiedy wysiadła z wagonika, była spięta, jakby spodziewała się, że coś wyskoczy na nią z zarośli.

– To nie takie złe. Trochę jak sok z niedojrzałych jabłek. Hm, chyba polubię Brazylię. Może zostanę tu na dłużej – stwierdziła Sophie.

Jej słowa wywołały uśmiech na twarzy Eleanor. Jak to dobrze mieć przyjaciółkę znowu przy sobie, taką energiczną i radosną, pomyślała. Uniosła butelkę i wygłosiła toast:

– A więc za twój jak najdłuższy pobyt. I za naszą przyjaźń. Sophie odrzuciła głowę do tyłu i wypila resztę napoju.

– I za to, żeby spotkała mężczyznę, który dorównywałby mi we wszystkim: byłby równie dowcipny, przystojny i biedny.

Roześmiały się, ale w głosie Sophie nie było wesołości.

Za posągu obserwował je ukradkiem wysoki jasnowłosy mężczyzna w niebieskiej koszuli i spranych spodniach khaki. Wygodnie oparł się o drzewo, przekonany, że go nie zobaczą, zwłaszcza teraz, kiedy skończyły pić i chichotały jak rozbawione uczennice. Przez chwilę zastanawiał się, czy Eleanor nie wyczuła jego obecności. Na początku rozglądała się niepewnie, wpatrywała w cień. Teraz jednak zdawała się całkowicie pochłonięta rozmową.

Miała na sobie białą sukienkę. Była niewiarygodnie pociągająca; szczupła, wysoka, opanowana, o czujnych zielonych oczach. Zebrane do tyłu włosy odsłaniały małe kształtne uszy. Perłowe kolczyki lśniły mlecznym blaskiem. Obserwował obie kobiety z dziwnym uczuciem. Od tak dawna nie spotkało go nic przyjemnego, że nie potrafił uwierzyć, by nawet ich widok mógł wywołać uśmiech na jego twarzy.

Jeszcze przez kilka minut siedziały koło pomnika. Choć nie słyszał ich słów, ton głosów i śmiech zdradzały, że dobrze się bawią. Potem odezwał się sygnał wzywający do dalszej podróży, więc wstały i poprawiły sukienki. Ze smutkiem patrzył, jak odchodzą. Nadal brakowało mu Eleanor.

Kiedy wieczorem wróciły do *palacio*, Henry powitał je przy drzwiach żartobliwym komentarzem o uciechach, jakim to oddają się kobiety, podczas gdy on musi pracować. Pocałował Sophie w policzek. Objął żonę ramieniem i delikatnie dotknął jej ust.

– Wybacz, ukochana. Miałaś rację: zachowałem się jak średniowieczny tyran. Możesz założyć szkołę. Bez żadnych warunków z mojej strony – szepnął. W odpowiedzi posłała mu spojrzenie tak pełne wdzięczności i poczucia winy, że w duszy skłął się od najgorszych za zadany jej ból.

– Henry, przepraszam za wszystko, co powiedziałam. Nie chciałam cię urazić. Jesteś naprawdę idealnym mężem i dobrym przyjacielem. Bez ciebie nie dałabym sobie rady.

Bardzo się martwiłam, że ciągle się na mnie gniewasz – uściskała go serdecznie. – Niedługo będziemy mieć następne dziecko. Obiecuję – jej uśmiech zdawał się rozjaśniać cały pokój, wypełniać go radością. Sophie poczuła się brzydka i niezdarna, kiedy wchodzili do salonu, gdzie już czekali pozostali członkowie rodziny. Clarissa odetchnęła z ulgą, widząc, że równowaga została przywrócona.

Aż do późnego wieczora *palacio* rozbrzmiewało wybuchami śmiechu. Sophie oczarowała wszystkich swoim sarkastycznym poczuciem humoru, a Eleanor bawiła rodzinę śmiesznymi wspomnieniami z życia w Paryżu. Henry obejmował żonę ramieniem, ona zaś co jakiś czas głaskała go po dłoni albo z uśmiechem spoglądała w oczy. Clarissa podziękowała za to Opatrzności. Sophie coraz bardziej gorączkowo okazywała dobry nastrój.

O dziwo, Sophie i Isobel od razu przypadły sobie do gustu. Zazwyczaj Isobel podejrzewała wszystkie kobiety, że zastawiają sidła na jej męża, była więc oschła i czujna. Sophie zaś, która znała ją z opowieści Eleanor i listów Henry'ego, spodziewała się spotkać naburmuszoną sekutnicę. Ponieważ jednak Isobel ostatnio wydorosłała, a Sophie nie przejawiała żadnych niepokojących zamiarów wobec Louisa, nic nie stało na przeszkodzie, by polubiły się od razu. Bawiły się doskonale w swoim towarzystwie, przez większą część wieczoru dyskutując o ciuchach, przyjęciach i dzieciach. Eleanor była bardzo zadowolona.

## Rozdział osiemnasty

*Sierpień 1967*

Szkoła okazała się doskonałym pomysłem. Eleanor była przekonana, że nawet bez pomocy Henry'ego zdobyłaby fundusze od przyjaciół i ich rodzin, jednak poparcie męża gwarantowało jej powodzenie od pierwszego dnia.

Całość opierała się na prostym pomysłem; ofiarodawcy sponsorowali konkretnego ucznia, a nie ogólnie szkołę. Słuchaczy wybierano spośród mieszkańców slumsów. Musieli wykazać się inteligencją, chęcią nauki i wybicia się. Niektórzy sponsorzy finansowali tylko jednego ucznia, inni wielu, w zależności od zasobów i poglądów. Isobel i Louis także włączyli się do pracy, zdobywając fundusze od swoich przyjaciół, którzy z kolei namawiali do udziału w tej akcji kolejnych znajomych, i tak pierwszy kamyk pociągnął za sobą lawinę.

Eleanor uczyła czytania i pisania, historii, geografii i angielskiego. Jej dawne koleżanki szkolne wykładały matematykę, podstawy nauk ścisłych, higienę i zasady żywienia. Dwa razy w tygodniu wieczorami Henry dyskretnie prowadził zajęcia z wiedzy politycznej.

Uczniowie byli pilni i uczyli się chętnie. Wiedzieli, jaki czeka ich los, jeśli przegapią jedyną szansę na zdobycie wykształcenia. Pracowali ciężko, zadawali zadziwiająco trafne pytania i zaciekle walczyli o najlepsze stopnie. Eleanor zdumiewał ich głód wiedzy. Poświęcała coraz więcej czasu, żeby móc podzielić się z nimi swoimi wiadomościami.

Nikt formalnie nie wystąpił o zgodę na otwarcie szkoły. Kościół udostępnił bezpłatnie budynek, w którym odbywały się zajęcia. Uczniowie wiedzieli, że nie dostaną żadnych oficjalnych świadectw, ale wystarczała im świadomość, iż zdobywają wykształcenie. Na początku Henry codziennie oczekiwał policji, z czasem jednak i on się odprężył, zadowolony, że udaje im się choć trochę pomóc ludziom potrzebującym.

Zanim doszło do wyborów w czerwcu 1966, kiedy to Rodolfo Pereira i wielu członków rady miejskiej utrzymało swoje stanowiska, zwolennicy nowego reżimu głosili, że błędem jest dopuszczanie do władzy polityków poprzedniej kadencji. Proponowano unieważnienie wyborów. Pewien generał posunął się nawet do tego, że zagroził użyciem wojska. Henry chodził blady i roztrzęsiony, i całymi godzinami pił samotnie w bibliotece. Burza przeszła bokiem. Wyniki wyborów utrzymano jako prawomocne.

W lipcu tegoż roku odebrano prawa obywatelskie radnym miejskim zbyt otwarcie krytykującym rząd. Opozycyjne MDB zagroziło masowymi protestami, kiedy jednak członkowie tej partii zdali sobie sprawę, że i ich może spotkać to samo, zamilkli. Costa e Silva, generał, który przejął ster władzy po upadku Goularta, był kandydatem ARENY w wyborach prezydenckich, co w rzeczywistości gwarantowało mu wygraną. Ludzie jeszcze bardziej uważali na to, co mówią, doszukiwali się ukrytych podtekstów i nieczystych intencji w słowach najbliższych przyjaciół. Patrzyli na świat podejrzliwymi oczyma.

John był równie zajęty. Dzielił swój czas między Rio a Sao Paulo. Często podróżował na fałszywych papierach. Jeździł na spotkania do interioru, podsycił sprzeciw, rozdawał ulotki,



tłumaczył, co można zrobić, by powstrzymać wojsko, które coraz mocniej zaciskało pędy na gardle kraju.

Odbywał długie rozmowy z dostojnikami Kościoła, którzy w dużym stopniu sprzyjali lewicy. Zawsze jednak znajdowali się zwolennicy oficjalnych władz, obiecujący ludziom raj w niebie za dodatkowe cierpienia na ziemi. John napisał do ojca Dominika, swego dawnego opiekuna w Wykham, z prośbą o pomoc w nawiązaniu kontaktów z duchownymi popierającymi opozycję. Nie rozczarowała go otrzymana wkrótce odpowiedź.

Kiedy w sferach rządowych zaczęto mówić o „reformie” szkolnictwa wyższego, John i inni przywódcy ruchów studenckich zorganizowali, z poparciem Kościoła, tajny kongres zakazanego UNE\* (Narodowego Związku Studentów). Postanowili, że odbędzie się on w Belo Horizonte, i w lipcu tego roku John udał się na sekretny zjazd.

Był urodzonym mówcą, pewnym siebie, swoich poglądów, swojej misji. Ci, którzy się wahali, ulegali słowom wysokiego, jasnowłosego \* Unio Nacional dos Estudantes rewolucjonisty, który z taką pasją potrafił przemawiać. Wielu innych utwierdzało się w dokonanym uprzednio wyborze.

Rok później zwołano następny kongres, tym razem w Sao Paulo, i znów zaproszono Johna. Był zarazem realistą i wizjonerem. Wielu księży, jak i lewicowych radykałów czekało na jego mowy równie niecierpliwie. Studenci uwielbiali go. Zgodził się niechętnie. Wiedział, ile ryzykuje: wojsko deptało mu po piętach.

Podróżował nocą. W wyznaczonym dniu czekał na przedmieściach do zapadnięcia zmroku.

Leżał w rowie na poboczu drogi i trzął się z zimna pod cienkim kocem. Deszcz nie ustawał. Zimny wiatr szarpał mokrym okryciem, przewiewał na wylot.

Towarzysz Johna, Pedro, czuł się równie zmęczony i przemarznięty. Starał się jak najciaśniej otulić swoim ponczo. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości: miał dopiero dwadzieścia cztery lata. Nie mogli iść do żadnego baru w starej dzielnicy miasta. Byłoby to dla nich zbyt niebezpieczne. Musieli czekać, aż się ściemni.

John próbował się zdrzemnąć, ale dreszcze szarpały nim, trzęsły jak wiatr palmowymi liśćmi, nie dawały zmrużyć oka.

Wiedział, że nadchodzi gorączka. Zawsze wracała o tej porze roku. Już niedługo pogrąży się w nierealnym świecie, będzie dryfował na granicy jawy i snu. Pedro rzucił przyjacielowi zatroskane spojrzenie, ale milczał. Kongres odbędzie się dzisiaj albo nigdy. John nie może ulec chorobie.

– Słuchaj, Pedro, słyszałeś o Carlosie Marigheli? – Campos z trudem opanował szczękanie zębów.

– Tak, to ten terrorysta. Dlaczego pytasz?

– Znasz kogoś, kto mógłby mnie z nim skontaktować?

Nie był pewien, ile Pedro wie. Młody człowiek krył w sobie zaskakujące tajemnice. Jego ojciec był znanym politykiem i magnatem prasowym. Jako jeden z nielicznych miał dość odwagi, by nawet teraz głośno krytykować rząd. Pedro był do niego bardzo podobny, jednocześnie odważny i beztroski, a czasami bardzo czujny. Pytania Johna obudziły w nim

właśnie czujność.

– A o czym chciałbyś z Marighelą rozmawiać? – Pedro już niemal zsiniał z zimna. W wąskiej twarzy dominował duży, orli nos i ciemne oczy ukryte pod ciężkimi powiekami. John ufał mu jak bratu.

– O nas. O ewentualnym połączeniu sił. Moglibyśmy zaatakować jakieś obiekty wojskowe. Może wtedy potraktują nas poważnie. Ludzie muszą się dowiedzieć, że ktoś walczy o ich wolność. Nie pochwalam terroryzmu, czasem jednak może się on okazać użyteczny. Obecną drogą nigdzie nie dojdziemy.

– Więc co tu robimy? Jaki sens ma ten kongres, skoro to niczego nie da? – uniósł się Pedro. John zrozumiał, że przyjaciel nadal widzi światełko w ciemności; nie stracił wiary w sens walki. Nie pogodzi się z myślą o terroryzmie, dopóki nie zobaczy wyraźnie, jak marne efekty osiąga ich żaloszny ruch oporu. Byli za ledwie drzazgą pod paznokciem dla rządu, uciążliwym komarem dla wojska, powodem irytacji dla policji, ale niczym więcej. Pojednawczo uśmiechnął się.

– Uspokój się, Pedro. To tylko propozycja, może kiepska. Zapomnij o tym, OK?

Znów ogarnęły go dreszcze. Był chory, jednak nie mógł teraz poddać się gorączce. Za dwie godziny udadzą się na wyznaczone miejsce. Musi wytrwać do tego czasu. Zacisnął zęby i poprawił na sobie koc.

Kiedy nadszedł czas, nie mógł się poruszyć. Bolały go mięśnie, miał zawroty głowy. Z trudem kuśtykał obok Pedra. Zbliżali się do starego magazynu od strony torów kolejowych. Sala była już prawie pełna. Ciche, skulone postacie siedziały na zimnej podłodze. John wspiął się na podwyższenie.

– Dasz radę mówić? – zapytał szeptem Pedro. Przyjaciel ciężko opierał się o ścianę, był rozpalony. Pedro obserwował go niespokojnie.

– Tak, ale będę przemawiał pierwszy. Nie wytrzymam długo. Powiedz im, żeby zaczęli, dobrze?

Miał na myśli księży, którzy zebrali się w kącie i naradzali szeptem. Ich mokre sutanny były uwalane błotem. Kiedy Pedro zajął się sprawami organizacyjnymi, John zastanawiał się, co powie. Niedawno napisał mowę, którą planował wygłosić na kongresie, ale teraz zdawał sobie sprawę, że jest za długa. Poza tym nie pamiętał jej dokładnie. Chwilami oddalał się od rzeczywistości, uciekał w senne majaki, tak że nie do końca wiedział, co jest prawdą, a co przewidzeniem.

– John? John, czekają na ciebie.

Nie wiadomo skąd Pedro znalazł się u jego boku. Rzeczywiście; w magazynie panowała cisza jak makiem zasiał. Wszystkie głowy były zwrócone w jego stronę.

Podszedł do prowizorycznej mównicy oświetlonej dwiema lampami naftowymi. Dostrzegł kilka znajomych twarzy; byli to księża, z którymi od dawna współpracował. Uśmiechnął się do nich.

Patrzyli na niego z nadzieją i wyczekiwaniem, jakby uważali, że jedynie on jest w stanie powstrzymać falę marazmu i pesymizmu. John poczuł, że jest bardzo zmęczony. Dlaczego tyle się po nim spodziewają? Przecież jest tylko człowiekiem, na dodatek chorym i

pozbawionym złudzeń. Czy tego nie widzą?

Starał się oszacować liczbę zebranych. Dwieście osób, może trochę więcej. Nie tak dużo. Z drugiej strony, kto tu przychodził, ryzykował życie, a to sprawiało, że liczył się każdy uczestnik.

Odchrząknął, ze wszystkich sił starając się zachować jasność umysłu.

– Nie będę dziś długo mówił. Jak widzicie, jest tu wielu, którzy przebyli długą drogę, żeby do was przemawiać. Także niejeden z was zechce na pewno coś powiedzieć, tak więc nie zabiorę wam dużo czasu.

Już od kilku lat walczymy z rządem armii, opierającym swą władzę na represjach. Z rządem, który obiecywał reformy, rozdawnictwo ziemi, edukację, rozwój gospodarki i edukacji, poprawę sytuacji społecznej. A co nam dali? Dali nam trzy święte reguły polityki brazylijskiej. Znać je wszyscy: Reguła Cudownego Rozwiązania: jeśli jeden prezydent nie może sobie z czymś poradzić, następnemu uda się to z pewnością. Reguła Wakatu – czyli polityczne „komórki do wynajęcia”. I Reguła Kozła Ofiarnego: niech ktoś inny dostanie w tyłek za błędy rządu. Winni są cudzoziemcy, lewica, komuniści, tylko rząd nigdy, przenigdy nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

To się musi skończyć. Obecnie władza spoczywa w rękach ludzi skorumpowanych. Dławią oni wszelkie ruchy reformatorskie, bo niewykształcone masy nie stanowią dla nich zagrożenia. Jesteśmy tu dzisiaj, aby potępić generała Costę e Silva, potępić jego rząd, brak sprawiedliwości społecznej, zaniedbania w dziedzinie reform. Jesteśmy tu, aby potępić Akty Instytucjonalne, które pozbawiają obywateli ich praw, aby potępić rząd wojska, potępić narastający wpływ obcych mocarstw na nasz kraj – przerwał. Otarł pot z czoła.

– W niedalekiej przeszłości niektórzy próbowali coś zmienić; uciekali się do przemocy: podkładali bomby w redakcji gazety „O Estado de Sao Paulo”, chcieli zorganizować zamach na Costę e Silva, kiedy okazał się jedynym kandydatem na prezydenta, podejmowali zbrojne akcje w Rio Grandę do Sul. Ponieśli klęskę. A dlaczego? Bo działali w izolacji, byli tylko garstką rozżalonych. Musimy zastraszyć rząd naszą liczbą. Musimy wyjść na ulice i domagać się reform. Musimy wyprowadzić robotników z fabryk i uświadomić im, że nie tylko nas, studentów, dotyczą represje, ich również. Oni także kończą w więzieniu. Ich więzieniem jest życie, życie bez nadziei i bez pieniędzy. Realne zarobki tylko w ciągu ostatniego roku spadły o trzydzieści procent, a inflacja nie zmniejsza się. Robotnicy stają się więźniami własnego kraju. Muszą zrozumieć, że to oni stanowią siłę Brazylii. Trzeba doprowadzić do wyborów powszechnych... – urwał. Pomieszczenie wirowało wokół niego, światła mieniły się kolorami tęczy, cisza dźwięczała w uszach.

– Trzeba doprowadzić do wyborów powszechnych – powtórzył i znów umilkł. Chciał jeszcze tak dużo powiedzieć, tak wiele należało jeszcze wytłumaczyć, a oni tak uważnie słuchali.

Nagle wydało mu się, że jest w wąskim, ciemnym tunelu, którego ściany zamykają się wokół niego. Nie wiedział, jak się wydostać. Dał krok do przodu. Światła tańczyły przed nim, ostre i nieprzyjemne. A potem zamknął oczy i poczuł na policzku kojący chłód podłogi. Odetchnął z ulgą. Powie im później.

Katherine siedziała na kolanach Sophie, która palcem wskazywała na kolorową postać. Obok nich Isobel i Charlie klaskali w dłonie z uciechy, kiedy klaun puszczał bańki ustami. Wielkie różowe kule szybowały do góry, aż pod kopułę namiotu. Katherine zapiszczała z radości.

– Patrz, Sosi, patrz! – chichotała. Francuzka przytuliła ją do siebie i mrugnęła do Isobel.

– Jeśli na tym polega macierzyństwo, to chyba mi się to podoba – oznajmiła.

Isobel zaśmiała się, szczęśliwa. Spodziewała się drugiego dziecka.

– Na razie znasz tylko dobre strony. Na początku czeka cię niezła harówka – ostrzegła.

Sophie patrzyła na małą Katherine. Choć miała dopiero niecałe dwa latka, już była miniaturową dorosłej kobiety. Była spokojna i pewna siebie. Mówiła wyraźnie, pełnymi zdaniami. „Czy mogłabym prosić o mleko? Dziękuję. A może ty też się napijesz?” To zdumiewało Sophie. Poglaskała dziewczynkę po główce. Tak bardzo chciałaby, żeby Katherine należała do niej. I Henry. Potrafiłaby ich uszczęśliwić tak, jak Eleanor nigdy nie będzie w stanie.

Eleanor obchodziła przecież tylko jej szkoła. Troszczyła się jedynie o nieznanym, którzy potrzebowali pomocy. Nie szkodzi, że cierpi na tym rodzina. Oni sobie poradzą. Zawsze znajdzie się ktoś, kto zatroszczy się o Katherine, kto porozmawia z Henrym. Eleanor nie musi zawracać sobie tym głowy. Sophie skrzywiła się ze złością. Jak zawsze, kiedy uświadamiała sobie niesprawiedliwość losu, który Eleanor dał tak wiele, a jej tak mało.

– Czy mieści ci się w głowie, że Eleanor nie chciała przyjść tu dziś z nami? Myślałam, że Katherine zapłacze się na śmierć, ale to jej wcale nie wzruszyło. Ona czasami jest bardzo... uparta, prawda? – zapytała niewinnie.

Isobel zerknęła na Francuzkę przełomie, ale nie poświęciła jej słowom wiele uwagi.

– O tak, Eleanor zawsze była uparta. Szkoda, że nie przyszła. Katherine jest po raz pierwszy w cyrku. To dla dziecka wielkie przeżycie, a ona tego nie widzi. Maluchy tak szybko rosną – zmierzwiła włosy synka. Charlie spojrzął na nią z uśmiechem. – Prawda?

– Tak. Dobrze przynajmniej, że mogę ją zastępować, zająć jej miejsce. Sophie nie musiała się obawiać podejrzeń. Isobel zaczynała ją uważać za członka rodziny, za jeszcze jedną siostrę. Nie chcieli nawet słyszeć, że mogłaby się wyprowadzić. Kiedy dostała pracę w konsulacie francuskim, Henry zaapelował do sumienia Fawcettów, żeby zatrzymali ją u siebie. Przecież wiadomo, jak mało zarabiają pracownicy placówek dyplomatycznych! I Charles, dzięki Bogu, zaproponował, by dalej z nimi mieszkała. W *palacio* nie zabraknie miejsca dla nikogo, a czynsze w Rio osiągają zawrotne ceny. Dlaczego w ogóle myślała o wyprowadzce? Także Eleanor nalegała, by Sophie została. Była wdzięczna przyjaciółce za czas, jaki ta poświęcała Katherine i Henry'emu. Sophie zgodziła się chętnie. Udała, że nie dostrzega zmarszczonego czoła Clarissy, która zastanawiała się, jak długo Francuzka ma zamiar mieszkać pod ich dachem. Sophie mogłaby odpowiedzieć jej na to pytanie, ale wołała jeszcze poczekać.

Za ostatnim uczniem zamknęły się drzwi. Eleanor musiała jeszcze zetrzeć tablicę i ustawić równo stoły. Było późne popołudnie i skończyła już na dzisiaj pracę. Żałowała, że nie mogła pójść do cyrku z Katherine, Isobel i Charliem. Czuła się winna. Nie miała jednak

wyboru. Gdyby odwołała zajęcia, uczniowie musieliby przyjść ponownie, żeby odrobić stratę. Wielu z nich zwalniało się z pracy na czas lekcji, wszyscy mieli także inne obowiązki. Nie mogła po prostu powiedzieć: „Przepraszam was, przyjdźcie jutro. Dzisiaj idę do cyrku z moją córeczką”.

Nie było jej przykro. Postanowiła, że w jakiś sposób wynagrodzi to Katherine. Może wybiorą się gdzieś tylko we dwie? Pokaże małej, jak bardzo ją kocha.

Przeciągnęła się, wyczerpana długim stanieniem.

Z tyłu klasy dobiegł jej uszu jakiś szmer. Ponieważ znajdowały się tam drzwi łączące salę z pomieszczeniami kościoła, pomyślała, że to zakonnica przychodzi na pogawędkę. Nikt jednak nie odpowiedział na jej powitanie. Zdziwiona, podeszła do drzwi i otworzyła je. Korytarz był pusty. Wróciła do sali. Poskładała wszystkie pomoce i schowała je w szafce. Tablica była czysta, kosz na śmiecie opróżniony. Eleanor lubiła zostawiać wszystko w porządku.

Znowu usłyszała hałas. Tym razem było to drapanie. Znieruchomiała. Serce waliło jej jak oszalałe. To głupota, bać się teraz, kiedy jeszcze się nie ściemniło. Mimo to ogarnęło ją przerażenie. Krzyknęła. Odpowiedział jej ludzki głos. Grube mury zagłuszyły słowa, ale z całą pewnością nie było w nim groźby. Śmiejąc się ze swego strachu, podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. To na pewno jedna z zakonnice albo ksiądz.

Człowiek, który opierał się ciężko o futrynę, nie był księdzem. W korytarzu stał wysoki mężczyzna z kilkudniowym zarostem na wymizerowanej twarzy. Wilgotne ubranie kleiło się do ciała, do pokrytej potem skóry o niezdrowym bladym odcieniu. Eleanor wyciągnęła ręce i John osunął się w jej ramiona.

– John? Na Boga, co ci jest? Jesteś ranny czy tylko chory? Chodź, oprzyj się na mnie.

Podprowadziła go do ławki, podtrzymując, by nie upadł. Nie odpowiadał na jej pytania. Oczy błyszczały mu nieprzytomnie. Skąd przyszedł? Co ma z nim zrobić? Odgarnęła włosy z rozpalonego czoła. Nie był ranny, lecz ciężko chory. Eleanor rozejrzała się niespokojnie.

W pobliżu nie zauważyła nikogo. Nawet na dworze nie widziała żywej duszy. Wszyscy śpieszyli do domów, na obiad. John oddychał ciężko i zanosił się kaszlem. Tuliła go do siebie, starając się powstrzymać łzy, które wzbierały pod powiekami. Musi mu pomóc. Ale jak? Potrzebował lekarza, schronienia, ciepłego łóżka, jedzenia. Co więcej, potrzebował czasu. Gorączka mogła ciągnąć się całymi tygodniami. Eleanor czuła, jak paraliżuje ją lęk. Nie może poddawać się rozpacz, musi myśleć!

Wkrótce nadejdzie nocny strażnik. Będzie sprawdzał, czy wszędzie pogaszono światła i pozamykano drzwi. Natychmiast zadenuncjowałby Johna na policji, była o tym przekonana. Ten antypatyczny człowiek upajał się odrobiną władzy, jaka spoczywała w jego rękach. Z dumą paradował w mundurze i wymachiwał pałką. Na pewno rozpozna Johna, a wtedy aresztują go, może nawet będą torturować. Panika odbierała jej jasność myślenia.

– John? John, posłuchaj mnie. Musisz wstać, nie dam rady cię nieść, a nie możemy tu zostać. Musisz wstać i iść ze mną do samochodu. Rozumiesz? Kochanie, rozumiesz, co do ciebie mówię?

Powoli, powoli słowa Eleanor przenikały przez mgłę spowijającą jego umysł.

Wyprostował się, skinął głową i z trudem dźwignął się na nogi. Zachwiał się, więc podtrzymała go. Wolnym krokiem ruszyli do drzwi.

Czuła zapach brudnych ubrań. Jego żebra dawały się wymacać pod pokrytą zimnym potem skórą. Nie wiedziała, od kiedy jest w takim stanie. Był blady i rozpalony gorączką. Oparła go o ścianę i otworzyła drzwi.

Jej samochód stał daleko od budynku. Kazała Johnowi zaczekać, a sama pobiegła na parking. Podjechała tak blisko szkoły, jak tylko to było możliwe. Wróciła po kuzyna i raczej go zaniósła niż zaprowadziła do wozu. Bezwładnie zwałił się na tylne siedzenie. Szybko wpełchnęła go do środka, przykryła swoim płaszczem, wsunęła sweter pod głowę. Zatrzasnęła drzwiczki i usiadła za kierownicą. Kiedy ruszyła, zauważyła, że nocny strażnik udaje się właśnie na pierwszy obchód. Szybko włączyła się w ożywiony ruch uliczny.

Doktor da Silva mieszkał na Rua do Ouvidor, niecałe dwadzieścia minut drogi od szkoły. Eleanor była przekonana, że znajmie się Johnem, chociażby przez dzień lub dwa, póki nie uda się jej znaleźć kogoś innego. Nie mogła zabrać kuzyna do domu. Po ogłoszeniu ostatniego Aktu Instytucyjnego papa zabronił siostrzeńcowi przekraczać próg *palacio*. Oznajmił, że nie będzie ryzykował dla Johna życia swoich bliskich. Nie rzucał czczych pogroźek. Eleanor szybko jechała w stronę Avenida Rio Branco.

Z tyłu dochodziły ją jęki i pomrukiwania. John powtarzał coś w kółko, wołał jakiegoś Pedra. Nie знаła nikogo o tym imieniu. Prawdopodobnie był to jeden z jego przyjaciół. Zapewniła Johna, że nic mu nie grozi, i uspokoił się na jakiś czas.

Kiedy skręciła w boczną uliczkę odchodzącą od Rua do Ouvidor, było już ciemno. Ostrożnie wyminęła zaparkowane tam samochody z nadzieją, że żadnego nie potrąci, nie porysuje. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, byłoby spotkanie z policją.

Uliczka była nie oświetlona, a reflektory samochodu Eleanor nie rozjaśniały mroku w dostatecznym stopniu. Dziewczyna chciała jednak jak najszybciej doprowadzić Johna do mieszkania doktora i zapewnić mu należytą opiekę. Chory tymczasem majaczył, krzyczał coś o *chicha* i nietoperzach, miotał się na tylnym siedzeniu. Bezszykownie próbowała go uspokoić.

O Boże, już po ósmej, stwierdziła z przerażeniem, zerknąwszy na deskę rozdzielczą. Wszyscy są już w domu. Zaraz zaczną się o nią niepokoić. Zrobiło się jej niedobrze na myśl, że mogą zawiadomić policję. Ale nie, w tych czasach nikt już nie wzywał policji. Zadzwoń do domu od doktora da Silvy i powie im, że jest cała i zdrowa. Żeby tylko lekarz był u siebie i zgodził się pomóc. Oby nie odesłał jej z kwitkiem. Modliła się rozpaczliwie, kiedy parkowała samochód przed kamiennym murem.

Doktor da Silva zajmował apartament w starym *palacio* przekształconym na blok mieszkalny. Za murem rozciągał się duży ogród. Eleanor otworzyła drewnianą furtkę i skręciła w lewo, mijając liczne rowery i skutery. Mieszkanie i gabinet lekarza mieściły się na parterze i pierwszym piętrze. Nacisnęła dzwonek i czekała niecierpliwie.

Kiedy w końcu otworzył drzwi, od razu zorientowała się, że właśnie szykował się do wyjścia. Pod frakiem połyskiwała w ciemności śnieżnobiała koszula. Ze zdziwieniem patrzył na rozczochraną, bladą dziewczynę.

– Co się stało, moja droga? Czy twój ojciec poczuł się gorzej? A może mama?

Kiedy pomyślał, że chodzi o Clarissę, przestraszył się jeszcze bardziej. Eleanor uśmiechnęła się lekko.

– Nie, nie. To John, doktorze. Czeka w samochodzie. Ma wysoką gorączkę, majaczy. Nie przychodził mi do głowy nikt oprócz pana. Papa nie wpuści go do domu, a nie mogę zawieźć go do szpitala, bo jest poszukiwany. Czy pan mi pomoże? Błagam! – nieświadomie podniosła głos.

Da Silva przełknął ślinę i bojaźliwie zerknął na ogrodzenie, po chwili jednak wrócił spojrzeniem do przerażonych oczu swego gościa. Miał nadzieję, że dziewczyna zrozumie.

– Ależ moja droga, nie mogę udzielić pomocy ściganemu! Straciłbym licencję i poszedł do więzienia, gdyby to wyszło na jaw. Nie, nie odważę się na to!

Był uważnym, pedantycznym człowiekiem, co przejawiało się nawet w chwilach zdenerwowania. Teraz staranie wyrównywał mankiety koszuli, żeby spod fraka wystawało dokładnie tyle bieli, ile trzeba.

Eleanor miała ochotę krzyknąć.

– Błagam. Nie mamy dokąd iść. Niech go pan przynajmniej zbada. Boję się o niego. Wygląda, jakby chorował już od kilku dni. Czy nie może pan nawet rzucić na niego okiem? – nie dawała za wygraną.

Po chwili wahania lekarz zgodził się.

– Poczekaj. Pójdę po torbę. Wiem, gdzie możemy go ukryć. Aha, jeszcze tylko odwołam dzisiejsze spotkanie. Zaraz wracam.

– Czy mógłby pan... czy mógłby pan zadzwonić do mamy? W domu na pewno się już o mnie martwią. Niech pan im powie... niech pan im powie prawdę, ale uprzedzi, że ze względu na mnie muszą zachować spokój. Proszę porozmawiać z mamą, z nią pójdzie najłatwiej. Ona także kocha Johna. Nie będzie się złościła, że mu pomagam.

Instynktownie Eleanor zrobiła najwłaściwszą rzecz dla zapewnienia sobie poparcia doktora. Powiedziała, że mama kocha Johna. Teraz da Silva podejmie ryzyko nie tylko dla niej, ale i dla Clarissy. Widziała, jak uśmiechnął się na wzmiankę o matce.

– Dobrze. Za pięć minut będę gotów. Lepiej poczekaj na mnie w samochodzie. I, na Boga, staraj się go uspokoić – polecił i szybko zniknął za drzwiami.

Wróciła do Johna. Siedział i z przerażeniem rozglądał się po ciasnym wnętrzu. Wsunęła się na miejsce obok niego.

– Już dobrze, John. Połóż się. Jestem przy tobie. No połóż się, proszę. Skłoniła go, by opadł na siedzenie. Sama ześlizgnęła się na podłogę.

żeby nie zobaczyli jej nieliczni przechodnie. Było już ciemno, ale nie na tyle późno, by okoliczni mieszkańcy nie spacerowali po ulicach. Chusteczką starła choremu pot z czoła. Wilgotne włosy szczelnie przylegały do czaszki. Wygląda, jakby już nie żył, przemknęło jej przez głowę, a słabe unoszenie się i opadanie klatki piersiowej to tylko gra cieni. Narzuciła na niego płaszcz.

– Aresztowali ojca Pedra – odezwał się nagle zadziwiająco wyraźnie. Eleanor podniosła głowę.

– Kim jest Pedro, John? Czy to twój przyjaciel?

Zanim przebrzmiały jej pytania, uświadomiła sobie, że wcale nie odzyskał przytomności, lecz wygłosił te słowa w nagłym przeblýsku świadomości. Gładząc go po policzku, czekała na doktora.

Da Silva wiedział, którego samochodu szukać. Niejeden raz widział go na podjeździe u Fawcettów. Szybko usiadł na przednim siedzeniu i na migi dał Eleanor znak, by wracała za kierownicę.

Ona prowadziła, on mówił, dokąd ma jechać. Oddalali się od miasta. Światła Rio nikły w tyle, kiedy pędzili wzdłuż wybrzeża na północ. Po obu stronach szosy ciągnęły się pola, które z czasem ustąpiły miejsca zarośłom, gęstym i nieprzeniknionym jak dżungla. Oprócz nich na szosie nie było nikogo. Po półgodzinnej jeździe lekarz kazał jej skręcić w prawo. Znaleźli się na wąskiej drodze, ścieżce raczej wijącej się wśród wydym i moczarów.

Doktor da Silva był bardzo zdenerwowany. Co chwila oglądał się za siebie, aby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Eleanor nie mogła znieść atmosfery zagrożenia.

W końcu ścieżka urwała się. Przed nimi wyrósł mały, stary domek. W bladym świetle księżycy jaśniał wśród piachu i traw. Razem na poły zanieśli, na poły zaciągnęli Johna na małą werandę. Doktor otworzył drzwi, po raz ostatni sprawdzając, czy nikt ich nie obserwuje, i weszli do środka. Ułożyli chorego na zniszczonej kanapie. Sprężyny zaprotestowały, choć nie stanowił dla nich dużego obciążenia.

Doktor zniknął w drugim pokoju. Wrócił, niosąc dwie lampy naftowe. Jedną powiesił na haku nad kanapą. Wydobył skądś także stołeczek.

– Czyj to dom? – Eleanor rozglądała się nieufnie. Da Silva uśmiechnął się.

– Nie wiem. Chyba niczyj. No, może mój. Przyjeżdżam tu czasami, kiedy chcę odpocząć od... tego wszystkiego – machnął ręką w stronę miasta. – Znalazłem go przez przypadek, doprowadziłem do porządku, przywiozłem trochę mebli. Nic wartościowego, więc nie poniosę straty, jeśli nagle zjawi się prawowity właściciel. Odpoczywam tu, chodzę na spacer, obserwuję ptaki, czytam. To bardzo spokojna okolica – dodał znaczącym tonem. Właśnie badał Johna, obmacywał wątrobę i śledzionę, naciskał obolałe miejsca, wsłuchiwał się w oddech. Chory jęknął.

– Hram. Musi dużo odpoczywać, przyjmować jak najwięcej płynów i chininy. Zaraz mu zaaplikuję podwójną dawkę. Musisz pilnować, żeby zażywał to codziennie. To nie jest pierwszy atak tej gorączki, prawda?

– Nie, chyba nie. Kiedyś wspominał, że ciężko chorował w dżungli kilka lat temu. Indianie utrzymali go przy życiu, podawali swoje lekarstwa, ale najwyraźniej miewa nawroty. Zwłaszcza w porze deszczowej. Czy on wyzdrowieje?

Pochylona, czule głaskała kuzyna po twarzy. Lekarz poruszył się niespokojnie. Dotykała go pieścizotliwie jak kochanka, nie jak brata. Głośno zatrzasnął torbę.

– Z czasem pewnie tak, chociaż to może jeszcze długo potrwać. Musisz się nim troskliwie opiekować, dopilnować, żeby zażywał lekarstwa i jak najwięcej pił. Oczywiście, żadnego alkoholu. Reszta jest w rękach Boga – westchnął. – Muszę wrócić do miasta twoim samochodem. Odstawię go do *paldcio* i wytłumaczę twojemu mężowi, jak tu dojechać. Jeśli



mi się uda, zajrzę do was w piątek wieczorem. Eleanor, bądź bardzo ostrożna. Gdybyś zobaczyła, że zbliża się ktoś obcy, uciekaj na wydmy. Rozumiesz?

Sądząc po jej zdumionej minie, niewiele pojmowała.

– Ale... ja nie mogę zostać z Johnem! Myślałam, że to pan się nim zaopiekuje, przynajmniej dopóki nie znajdziemy jego przyjaciół. Ja mam rodzinę, prowadzę szkołę... nie mogę zostać!

Panika ogarniała ją na samą myśl o takiej odpowiedzialności.

– Cóż, moja droga, ja też nie. Prowadzę praktykę lekarską. Jeśli chcesz, możesz zostawić go tu samego, ale wtedy nie ręczę za jego życie. Potrzebuje troskliwej opieki i czasu, i to dużo jednego oraz drugiego. Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim przywiozłaś go do mnie – dodał z wyrzutem. Skarcił ją, jakby była dziesięciolatką, która bezmyślnie popełniła głupstwo.

Dziewczyna zaczerwieniła się i spuściła głowę.

– W takim razie zostanę. Nie mogę go porzucić – szepnęła niewyraźnie. Emocje, których nie chciała okazać, ścisnęły ją za gardło. – Dziękuję panu za wszystko, doktorze. Przepraszam, jeśli postawiłam pana w trudnej sytuacji, ale nie miałam do kogo się zwrócić. Mama będzie panu bardzo wdzięczna – podała mu rękę. Ucisnął ją ze smutnym uśmiechem.

– Przykro mi, że zostawiam cię tutaj samą, ale przecież nie na długo. Twój mąż bez wątpienia przyjedzie tak szybko, jak będzie mógł, i sprowadzi pomoc. No, na mnie czas. Bez oporów korzystaj ze wszystkich zapasów. Jeśli dam radę, wpadnę w piątek. Dobranoc, Eleanor.

Przez cały czas przesuwiał się w stronę drzwi. Teraz wreszcie udało mu się czmychnąć.

Eleanor została sama na środku pokoju. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w odgłosy nocy: odległy szum morza, szelest wiatru wśród traw. Potem ocknęła się z zadumy i poszła do Johna.

Trzeba go rozebrać, pomyślała, i ułożyć na jakimś porządnym łóżku. Z lampą naftową w dłoni przewędrowała cały domek i odkryła sypialnię w tylnej jego części. W szafie była pościel, więc szybko przygotowała w miarę wygodne posłanie. Niestety, wszechobecna wilgoć nie oszczędziła prześcieradeł.

Doktor jednak pomyślał o wszystkim; na najniższej półce Eleanor wypatrzyła termofor. Zabrała go do kuchni, gdzie zagrzała wodę na butli gazowej. Zorientowała się, że w domku nie ma bieżącej wody, trzeba ją było przynosić z podwórka, gdzie stała w wielkich beczkach. W kredensie znalazło się dość zapasów, by przeżyli kilka dni, zanim otrzymają świeże produkty. Doktor nie zwracał sobie głowy gromadzeniem wiktuałów na dłuższy pobyt. Prawdopodobnie jego żona nigdy domku nie odwiedziła. Eleanor rozejrzała się za łazienką. Jak się później okazało, trafnie spodziewała się najgorszego. Mimo tych niewygód domek był darem opatrności.

Umieściwszy termofor w łóżku, wróciła po Johna. Wiedziała, że powinna go wykąpać, ale zagrzanie odpowiedniej ilości wody trwałoby bardzo długo, a jemu najbardziej potrzebny był wypoczynek. Wsparty na jej ramieniu, powlókł się do sypialni, gdzie ciężko opadł na pościel. Nie protestował, kiedy rozbierała go i obmywała ciepłą wodą. Potem ułożyła chorego

na posłaniu i otuliła grubą puchową kołdrą, którą także znalazła na dnie szafy. Najwyraźniej doktor nie gardził odrobiną luksusu. John leżał spokojnie. Oddychał płytko i nierówno przez rozchylone usta. Podciągnęła mu kołdrę pod brodę.

Było jej zimno, więc wróciła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. W nocnym powietrzu unosił się chłód. Eieanor zamknęła drzwi i zasunęła zasuwkę. Szczękała zębami. Sweter zostawiła w samochodzie, miała na sobie tylko bluzkę i spodnie, upaprane błotem wszędzie tam, gdzie zetknęły się z ubraniem Johna. Ale to nie szkodzi. Henry wkrótce przyjedzie. Wiedziała, że tak będzie. Drgnęła ze strachu, kiedy czajnik zagwizdał.

## Rozdział dziewiętnasty

Zanim da Silva przybył do Paldcio Lampedusca, dochodziła już północ. Mimo to budynek był rzęsiście oświetlony. Henry czekał na doktora w holu. Blokował drogę do salonu, gdzie zebrali się pozostali.

– Dzięki Bogu, nareszcie. Gdzie jest Eleanor? Nie przyjechała z panem? – Henry pobladł z wściekłości.

Lekarz popatrzył na niego uważnie.

– Niestety, nie. Ktoś musiał zostać z Johnem. Jest ciężko chory. Przyjechałem samochodem Eleanor. Zaraz ci wytłumaczę, jak się do niej dostać. O, popatrz, sporządziłem mapkę – podał młodemu człowiekowi kawałek papieru. – Ale, jeśli wolno mi coś zasugerować, nie radziłbym ci jechać tam po nocy. Możesz natknąć się na patrol albo blokadę. Chyba wzmogli ostatnio czujność, nie wiadomo. W każdym razie lepiej poczekać do rana. Bezpieczniej. Ja, o ile pozwolicie, zamówię sobie taksówkę. Miłe towarzystwo, nieco za dużo wina. Taksówka to rzecz oczywista w takim wypadku. – Był jak zawsze spokojny i dokładny. Nastrój Henry'ego nie zbijał go z tropu, kiedy jednak Henry zaczął naciskać, poczuł się nieswojo.

– Jak bardzo chory jest John? Co mu w ogóle jest? – dopytywał się. Po raz pierwszy okazał w jakikolwiek sposób, że nie do końca ufa swojej żonie.

Da Silva wzruszył ramionami.

– Nie może utrzymać się na nogach. Jest w tak ciężkim stanie, że nie wolno zostawić go samego. Upłynie wiele czasu, zanim odzyska siły. Pańska żona wykazała się odwagą i lojalnością, zostając z nim, czego wcale nie planowała. Jestem przekonany, iż jest pan z niej bardzo dumny – uśmiechnął się ironicznie. Henry zeszywniał i odwrócił wzrok.

– Doktorze! Wreszcie pan przyjechał! Henry, dlaczego nie wprowadziłeś doktora do salonu? Na pewno ma pan ochotę na drinka po tylu emocjach. Proszę, niech pan wejdzie.

Clarissa wyjrzała do holu, żeby zobaczyć, co opóźnia nadejście da Silvy. Wzięła go pod ramię i pociągnęła za sobą. Henry, wściekły, ruszył za nimi.

Następne pół godziny należało do najgorszych chwil w życiu doktora. Miał szczerą nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiał przez coś takiego przechodzić. Mieszkańcy domu podzielili się na dwie frakcje. Charles Fawcett, Henry, Isobel i młoda Francuzka o imieniu Sophie, której roli w *paldcio* nie pojmował, zjednoczyli się po jednej stronie. Po drugiej stronie znalazła się uwielbiana przez doktora *senhora* Fawcett i jej zięć, Louis Preston.

Da Silva nie chciał wdawać się w rodzinne spory, ale oba obozy usiłowały go skaptować. Mąż Eleanor, Henry, zmienił się nie do poznania. Najwyraźniej ich małżeństwo nie układa się tak doskonale, jak wszyscy sądzą, pomyślał doktor. Na przykład ta sprawa z Eleanor i Johnem. Od dawna plotkowano na ich temat. Może w tych złościwościach kryło się ziarenko prawdy. Dlaczego bowiem Henry, zazwyczaj uroczy, czarujący człowiek, zachowywał się tak agresywnie? No, ale to nie jego sprawa. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Niech sami rozwiązują swoje problemy. Da Silva posłał Clarissie tęskne spojrzenie i odetchnął z ulgą,

kiedy nadjechała po niego taksówka.

Clarissa jak zwykle odprowadziła doktora do drzwi. W salonie tymczasem kłótnia trwała w najlepsze. Louis rozwodził się właśnie nad znaczeniem więzów rodzinnych, kiedy Henry przerwał mu z niespotykaną u niego gwałtownością.

– Nie obchodzi mnie, czy John jest z nią spokrewniony dwa razy bardziej niż my wszyscy. Interesuje mnie fakt, że naraża moją żonę na niebezpieczeństwo. Bo to o niej rozmawiamy. O Eleanor. Mojej żonie! A to znaczy, iż moja opinia jest tu najważniejsza – uderzył się palcem w pierś. Louis zamilkł i usiadł.

– Gdyby nie to, że Eleanor jest razem z nim, osobiście wydałbym go policji – oznajmił gniewnie Charles. Natychmiast otoczyły go zdenerwowane postacie. Przekrzykiwali się wzajemnie, słuchając tylko własnych słów. Isobel tupiała nogą, Louis cisnął książką o stół, a Charles wymachiwał pogrzebaczem. Sophie rozglądała się, zagubiona. Henry błagał o spokój.

– Słuchajcie. Musimy skontaktować się ze współtowarzyszami Johna. Niech oni przejmą nad nim opiekę. Wtedy przekonamy Eleanor, żeby wróciła do domu. Doktor da Silva miał rację, nie powinienem dzisiaj do niej jechać, jeśli nie chcę ściągnąć na nas kłopotów. Pojadę jutro. Louis, ty znasz przyjaciół Johna. Postaraj się z nimi skontaktować. Szwagier posłusznie skinął głową.

– A co jeśli ich nie znajdziecie? Czy Eleanor tam zostanie? Kto zajmie się dzieckiem albo jej ukochaną szkołą? A może John zawsze jest ważniejszy? – Sophie odezwała się po raz pierwszy tego wieczoru. Henry gniewnie zacisnął usta. To dobrze. Wyprostowana, powiodła wzrokiem po twarzach obecnych. Tutaj leży pies pogrzebany, mówiły jej oczy. Zorientowała się, że wszyscy o tym wiedzieli.

– Sophie, moja droga, nie wydaje mi się, by ta dyskusja dotyczyła ciebie – głos Clarissy zabrzmiał ostro w nagłej ciszy.

Sophie odwróciła się, zaskoczona. Nie wiedziała, kiedy pani domu wróciła do salonu. Spuściła głowę.

– Przepraszam. Nie chciałam... – Odwróciła wzrok i skuliła się na krześle, mocno zaciskając dłonie.

– Na Boga, Clarisso, daj jej spokój! Ma rację i wszyscy doskonale o tym wiemy – wtrącił się Henry. Zmęczonym gestem pocierał czoło. Pozostali posyłali mu zażenowane spojrzenia. Nie chcieli słyszeć nic więcej. Henry jednak nie potrafił się już opanować. Ból i gniew zwyciężyły opanowanie. Potrząsnął głową, jakby po raz pierwszy dopuszczał do siebie prawdę. – John zawsze będzie ważniejszy, ważniejszy od Katherine, ważniejszy ode mnie – stwierdził spokojnie. Rozejrzał się z gorzkim uśmiechem na twarzy. – A może nie?

Nie odpowiadali. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Zapadła cisza. Przerwała ją dopiero złośliwa uwaga Isobel:

– Czy naprawdę potrzebował aż tyle czasu, żeby zdać sobie z tego sprawę? A ja myślałam, że ma najtęższą głowę w rodzinie.

Umilkła, kiedy Louis i Clarissa posłali jej piorunujące spojrzenia. Charles zaatakował żonę.

– No widzisz, Clarisso? Znowu to robi, znowu wprowadza zamęt, nastawia nas przeciwko

sobie. Zawsze mówiłem, że ten chłopak to diabeł wcielony i że nic dobrego z niego nie wyrośnie. Nie pozwolę mu stanąć na mojej ziemi. Nigdy więcej. Rozumiecie mnie? Nawet jeśli będzie konał, nie umrze w tym domu! – krzyknął gniewnie, a potem pochylił się, kaszłając i ciężko dysząc. Clarissa natychmiast podała mu lekarstwo. Na moment wszyscy zamilkli. Sophie wbiła wzrok w dłonie i czekała aż kłótnia rozgorzeje na nowo. Kiedy tak się stało, poszła szukać Henry'ego.

Eleanor zanosła kubki z herbatą do sypialni. Odstawiwszy je na szafkę, pochyliła się nad Johnem, by sprawdzić, czy śpi. Leżał twarzą do poduszki. Koszmary nie dręczyły go, przynajmniej w tej chwili. Piła herbatę, rozkoszując się ciepłem przenikającym cienką porcelaną. Niech śpi. To dla niego najlepsze lekarstwo.

Zadziwiający był fakt, że zawsze odruchowo szukali pomocy u siebie nawzajem, przekonani, że nie odejdą z kwitkiem. Nie miał znaczenia czas, jaki upłynął od ostatniego spotkania, ani gorzkie słowa, które padły między nimi. Odnalazł ją w gorączce, a teraz, kiedy wiedział, że Eleanor jest przy nim, zrezygnował z walki, poddał się chorobie, wierzył, że mu pomoże. Musieli nauczyć się tak ślepo sobie ufać jeszcze w dzieciństwie, bo wiara w drugiego tkwiła w nich głęboko i nieodwołalnie, krążyła w ich żyłach razem z krwią. Musnęła dłonią policzek Johna. Chory nie poruszył się.

Teraz, kiedy wiedziała, że przez kilka, a może nawet kilkanaście dni pozostanie tutaj, odizolowana od świata, odczuła ulgę. Ktoś inny będzie musiał się wszystkim zająć, ułożyć plan lekcji, sprawdzić prace domowe. Przez krótki czas Henry obejdzie się bez swojej idealnej żony, zawsze czekającej, gotowej do podania kolacji. Nawet mała Katherine będzie musiała poradzić sobie bez mamy. Tylko tego Eleanor żałowała. I tak miała mało czasu dla córki. Gdyby nie obawa o bezpieczeństwo dziecka, poprosiłaby Henry'ego, żeby przywiózł Katherine do domku na kilka dni. Nie mogła sobie wyobrazić nic piękniejszego nad przebywanie z dwojgiem najbliższych na świecie osób. Niestety, Henry nigdy się na to nie zgodzi. Z ciężkim westchnieniem odstawiła kubek.

Nie było drugiego posłania ani więcej koców. Będzie musiała dzielić z Johnem łóżko tej nocy, zupełnie jak za dawnych czasów, choć nie do końca tak samo. Ze smutnym uśmiechem zgasiła lampę i wsunęła się pod kołdrę. Wiedziała, że ukochany nie zdaje sobie sprawy z jej bliskości. Zasnęła, w niego wtulona.

– Henry? Jesteś tam? – Sophie zapukała do sypialni. Szukała go już w bibliotece i pokoju dzieciennym. Tylko tu mógł się ukryć. Zastukała ponownie. – Henry, to ja, Sophie.

Drzwi otworzyły się, choć nie słyszała żadnych kroków. W progu stanął zmęczony, smutny Henry. Miał na sobie podkoszulek. Spróbował się uśmiechnąć, ale efekt był żalony.

– O co chodzi, Sophie? Czy są nowe wieści? – spytał z nadzieją, że może Eleanor wróciła do domu.

Potrząsnęła głową.

– Nie, niestety. Ja tylko... chciałam się upewnić, czy z tobą wszystko w porządku. Wiem, nie należę do rodziny, Clarissa przypomniała mi to dobitnie, ale od dawna znam Eleanor. Może chcesz porozmawiać? Zrobiłabym wszystko, byle tylko poprawić ci humor.

Była taka drobna i delikatna, o poważnej twarzyczce, po której płynęły łzy. Przytulił ją z westchnieniem.

– Nie płacz, Sophie. Jutro pojedę po Eleanor. Nie trzeba płakać. Dziwiła go potrzeba opiekuńczości, jaką w nim budziła ta dziewczyna.

Czuł się przy niej duży i silny. Od dawna nie doświadczył podobnego uczucia.

Płakała teraz otwarcie. Wciągnął ją do pokoju i zamknął drzwi. Posadził Sophie na małej kanapie przy oknie.

– No, głowa do góry. Wszystko będzie dobrze, dam ci słowo. Proszę, weź moją chusteczkę. – Usiadł koło Francuzki i delikatnie wycierał łzy z dużych szarych oczu, które zawsze kojarzyły mu się z górskim strumieniem płynącym wśród granitowych głazów. Uniosła na niego wzrok.

– Ja nie płaczę nad Eleanor. Płaczę nad tobą – wychlipiała. Henry zastygł w bezruchu.

– Nade mną? A dlaczego? Przecież mnie nic nie grozi? – zapytał głupio.

– Tak, ale ona cię źle traktuje. Zrobiłbyś wszystko dla Eleanor i jej rodziny, a oni myślą tylko o sobie. Eleanor cię nie kocha. Zawsze kochała tylko jednego mężczyznę – Johna. Kiedy przyjechał do Paryża, właściwie wyrzucili mnie z mieszkania, żeby być razem. Czasami mam ochotę ją zabić, kiedy widzę, jak ona odnosi się do ciebie i Katherine. Ma wszystko, o czym tylko można marzyć, ale to jej nie obchodzi. Biegnie do kochanka, jak zwykle, i nawet nie pomyśli, ile bólu ci zadaje – umilkła. Zaniósł się płaczem.

Henry kołysał ją machinalnie, zaszokowany dopiero co usłyszonymi słowami. John był w Paryżu? On i Eleanor byli kochankami? Kiedy? Jak do tego doszło? Spojrzał na ciemną główkę opartą na jego piersi.

– Sophie, nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem. Chcesz powiedzieć, że oni są kochankami? Wystarczająco trudno mi uwierzyć, że kiedyś byli, ale że są nadal? Nie, nie wierzę w to. Eleanor nie zrobiłaby mi czegoś takiego – głos mu się załamał. Nie mógł myśleć, ogłuszony bólem.

Uniosła ku niemu twarz. Usta jej drżały, oczy patrzyły zza zasłony czarnych, mokrych rzęs. Nie musiała odpowiadać. Spojrzenie wystarczyło. Jęknął głośno, ukrywając głowę w dłoniach.

– Nie, nie! To niemożliwe! Nie zrobiłaby tego! O Boże! Boże, co ja teraz pocznę? Eleanor, niech cię piekło pochłonie!

Kiedy poczuł na plecach dłoń Sophie, w jego oczach błysnęły pierwsze łzy. A potem przysła jej kolej, by go pocieszać, uspokajać i tulić, gdy płakał ze złości i upokorzenia. Nie zdziwił się, czując jej policzek przy swoim. Nie pamiętał, jak do tego doszło, ale była przy nim, kochająca i czuła, a jej ramiona wydawały się takie gładkie, usta takie miękkie, że nie mógł się powstrzymać, by jej nie pocałować. Na chwilę zapomniał o hańbie, gniewie i winie. Wziął Sophie na ręce i zaniósł do łóżka.

Ranek wstał chłodny i szary. Dopiero w bladym świetle wschodzącego słońca widać było fatalny stan domku: farba obłaziła ze ścian, drzwi cudem trzymały się w zawiasach. Eleanor leżała obok Johna. Dreszcze, które wstrząsały ciałem chorego, nie dawały jej spać. Dotknęła jego czoła. Nadal było rozpalone.

Spojrzenie na zegarek powiedziało jej, że to dopiero siódma. Mimo to odrzuciła wilgotną kołdrę i podniosła się z łóżka. Zadrzała z zimna. Czy Henry pomyśli o ciepłej odzieży? A może zakłada, że ona od razu z nim wróci? Ta obawa nie dawała jej zasnąć przez większą część nocy. Ktoś musi zostać z Johnem, ktoś, komu na nim zależy. Bez względu na to, co powie Henry, nie odejdzie stąd, dopóki nie znajdzie się odpowiedzialny człowiek mogący przejąć opiekę nad chorym. Włożyła buty i poszła do kuchni z ubraniem Johna w rękę.

Znalazła miedziany kocioł, w którym upierze jego rzeczy. Im szybciej będą czyste i suche, tym lepiej. Przynajmniej nie będzie uwiązany do jednego miejsca. Krzątała się po kuchni: grzała wodę, szukała czegoś do jedzenia, uprzątała bałagan, jaki został po ostatnim pobycie doktora. Dziwił ją ten nieład, bo znała da Silvę jako metodycznego pedanta. Z drugiej strony jednak tutaj odpoczywał. Dlaczego więc miałby zawracać sobie głowę utrzymywaniem porządku?

Tak zwaną szumnie „łazienkę” stanowiła miska i dzbanek oraz prowizoryczny prysznic. Do zbiornika zawieszzonego pod sufitem wlewało się wodę. Wystarczyło pociągnąć za sznureczek, by popłynęła z góry. Nie było żadnego odpływu. Woda wsiąkała prosto w ziemię. Genialne, stwierdziła. Ciekawe, czy doktor sam wpadł na ten pomysł. Ubikacja prezentowała się gorzej. Eleanor miała do wyboru albo budkę na zewnątrz, z której bijący zapach skutecznie zraził ją do korzystania z tego przybytku, albo wiadro, gdzie po każdym użyciu nasypywało się piachu. Zdecydowała się na wiadro.

Napełniła zbiornik prysznica ciepłą wodą i, rozebrawszy się, wyniosła ubrania na dwór. Nie mogła jednocześnie uprać rzeczy swoich i Johna, bo jedno z nich musiało być gotowe na powitanie ewentualnych gości. W miarę jednak jak poranek mijał, a nikt nie przybywał, w Eleanor narastało poczucie, że zagubili się z Johnem w swoim prywatnym, odizolowanym świecie wśród wydm i że nikt nigdy ich nie odnajdzie. Była zmęczona ciągłym wyglądaniami na drogę i monotonnym widokiem szarego nieba, piachu i traw. Wyżęła ubrania Johna i powiesiła je na werandzie. Wróciła do sypialni z miską ciepłej wody. Czas na następną „kąpiel”.

Nie spał. Tępo wpatrywał się w sufit. Uśmiechnął się na jej widok.

– Cześć. Jak się czujesz?

Była przyjemnie zaskoczona tym, że odzyskał przytomność. Postawiła miskę na ziemi i dotknęła jego czoła. Gorączka jeszcze nie spadła.

– Jak zwykle: obolały, zły, zmęczony. Przeżyję.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Wyczerpanie i odwodnienie sprawiły, że mówił słabym, ochrypłym głosem.

– Skoro nie śpisz, może zażyjesz lekarstwo? – naląła wody do szklanki i wrzuciła tabletki chininy. – Masz, wypij to. Zaraz przyniosę zupę i suchary. Zupa, niestety, jest z puszki, a suchary nie pierwszej świeżości. Takie jedzenie każe mi tęsknić za kuchnią Marii.

Kiedy to powiedziała, na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, zanim skrzywił się pijąc lekarstwo. Opadł na poduszki, wyczerpany tą prostą czynnością.

Gdy wróciła po kilku minutach, miał zamknięte oczy. Zastanawiała się, czy znowu zasnął. Bała się o niego. Był taki chudy, wycieńczony i bezbronny. Nagle uniósł powieki. Ich

spojrzenia spotkały się.

– Co? – spytał. Wzruszyła ramionami i przysiadła na brzegu łóżka. Podsunęła mu talerz pod brodę i wzięła się do karmienia. Nie dałby rady sam jeść.

– Wyglądasz, jakbyś chorował od dawna – stwierdziła, wmusiwszy w niego kilka łyżek. – Dlaczego nie przyszedłeś do mnie wcześniej? – podsunęła mu następną, ale potrząsnął głową.

– Nie chciałem cię w to wciągać – odparł cicho. Zamknął oczy.

– Nie dasz rady zjeść więcej? Może chociaż suchara? – namawiała. W odpowiedzi powoli pokręcił głową. Nie miał siły mówić. Odstawiła tacę z jedzeniem i sięgnęła po flanelową szmatkę. – Zobaczysz, zaraz poczujesz się lepiej.

Otarła mu twarz, odgarnęła włosy z czoła. Przesunęła rękę na klatkę piersiową. Odrobinię uniósł powieki; obserwował ją dwiema wąskimi szparkami błękitu, podczas gdy obmywała go i wycierała ręcznikiem. Kiedy na nowo opatulila go kołdrą, przełknął ślinę i zapytał dziwnym, nie swoim głosem:

– Nie odejdziesz, kiedy będę spał, prawda? – Strach czaił się w zmrużonych oczach, w napięciu karku, w zmarszczkach koło ust.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. Będę tutaj, przy tobie, obiecuję – pochyliła się, by pocałować go w policzek. – Spij już, John.

Posłusznie zamknął oczy.

Jeszcze przez kilkanaście minut siedziała koło niego, żałując, że nie można cofnąć czasu. Ostatnio nader często pragnęła powrotu do dzieciństwa.

– Doprawdy, wzruszające.

Ktoś stał za nią. Odwróciła się szybko. Nie знаła mężczyzny, który nonszalancko opierał się o framugę. W śniadej twarzy dominował orli nos. Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Kim pan jest? Czego pan tu szuka? – instynktownie zerwała się na równe nogi i zasłoniła sobą dostęp do łóżka.

Mężczyzna nie ukrywał rozbawienia.

– Nie obawiaj się, Eleanor. Bo ty jesteś Eleanor, prawda? Ależ tak, jesteś bardzo podobna do Johna. Jestem Pedro – uniósł brwi w zdziwieniu, kiedy w jej wzroku błysnęło zrozumienie.

– John mówił ci o mnie?

– Nie, właściwie nie. Wołał cię w malignie i wspominał, że aresztowali twego ojca. To prawda? – wahała się, niepewna, czy może mu zaufać. Ciemne oczy zdawały się przekazywać jakąś wiadomość, jednak nie potrafiła jej odszyfrować.

– Tak, ale wkrótce go wypuszczą. Jest zbyt znaną osobistością, żeby mogli przetrzymywać go bez powodu. Przybyłem tu najszybciej, jak mogłem. Co z Johnem?

Zbliżał się do łóżka, podchodził od drugiej strony. Eleanor nie mogła zagrozić mu drogi. Obserwowała go uważnie, jakby się obawiała, że lada chwila wpadną tu uzbrojeni policjanci, bo Pedro wydał Johna w zamian za życie ojca. Rozglądała się za bronią. W grę wchodził tylko dzbanek z wodą.

Spojrzał na nią niecierpliwie.

– Eleanor, uspokój się. Jestem jego przyjacielem.



Szczupłymi, wrażliwymi palcami wyszukał puls chorego i uniósł powieki, sprawdzając kolor białka.

– Masz chininę? To dobrze. Czy on w ogóle odzyskał przytomność? Pedro sprawiał wrażenie człowieka obeznanego z medycyną i Eleanor zaczęła przypuszczać, że jest lekarzem. Może on przejmie opiekę nad Johnem, a ona wróci do domu, do dziecka i męża? O dziwo, ta myśl wcale jej nie ucieszyła.

– Hm, zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Teraz musi tylko jak najwięcej wypoczywać. Poradzisz sobie ze wszystkim, prawda? – stwierdził w końcu.

Wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc.

– Myślałam, że przysłał cię tutaj mój mąż, żebyś zajął się Johnem? – dopytywała się. – Chcesz powiedzieć, że nie zostaniesz z nim?

Zarumienił się.

– Teraz muszę poświęcić cały mój czas rodzinie. Ty się nim doskonale zaopiekujesz. A jeśli chodzi o twoje pytanie, nie, nie przysłał mnie twój mąż. Poprzez różne kanały dotarło do mnie, że Louis Preston mnie szuka, więc zadzwoniłem do niego. To on mi powiedział, że John jest tutaj i że potrzebuje pomocy. Nie ryzykowałbym tak dalekiej drogi, gdybym wiedział, że z nim jesteś – dodał takim tonem, jakby uważał, że zrobiono z niego głupca.

Eleanor potrząsnęła głową.

– Powoli. Wszystko mi się myli. Skąd wiedziałeś, kim jestem, skoro Louis ci tego nie powiedział?

– John ma twoje zdjęcie. Kiedyś mi je pokazał. Zresztą, jak już mówiłem, jesteś do niego bardzo podobna – popatrzył jej prosto w oczy.

Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

– Jak do tego doszło, że John znalazł się w takim stanie? Dlaczego nikt mu nie pomógł? Co z waszymi przyjaciółmi? – zapytała zduszonym głosem.

Z westchnieniem podszedł do okna.

– Wszyscy wybieraliśmy się na zebranie, potajemne zebranie, w Sao Paulo. Zanim dotarliśmy na miejsce, John się rozchorował. Miał dreszcze, gorączkę, majaczył. Zemdlał w środku przemówienia, więc zabrałem go do... w bezpieczne miejsce i wróciłem, by mówić zamiast niego. Kiedy tam dotarłem, okazało się, że podczas mojej nieobecności ktoś zaalarmował policję i otoczono budynek. Ja uciekłem, ale wielu miało mniej szczęścia. Niektórzy zginęli, inni zostali aresztowani. Dla nich może byłoby lepiej, gdyby nie żyli. Nigdy nie poznamy ich losu, znikną, jakby zapadli się pod ziemię. Ci, którym tak jak mnie udało się zbiec, rozproszyli się i teraz boją się wytknąć czubek nosa z kryjówki – zakończył z goryczą. – Przywiozłem Johna do Rio i wtedy dowiedziałem się o ojcu. Musiałem zostawić Johna, ale zapewniał mnie, że czuje się już lepiej. Nie miałem pojęcia, że nadal jest aż tak chory – odwrócił się od okna. – W tej chwili nie ma nikogo, kto mógłby się nim zająć. Ty jesteś jego krewną i... – zawahał się. – No, sama najlepiej wiesz, ile dla siebie znaczą. Musisz z nim zostać. Ja wracam do rodziny. Niewiele pomogę ojcu, bo jestem na liście, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Rozumiem. Przepraszam, nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Czy... czy Louis nie

wspominał, że jeszcze ktoś się tu wybiera? Od wczoraj wieczorem czekam na męża. Jest druga po południu. Powinien już być. – Zmartwiła się, kiedy Pedro przecząco potrząsnął głową.

– Słuchaj, w samochodzie mam trochę zapasów: żywność, chininę, koce i odzież. Nie wiedziałem, w jakim stanie będzie ten domek. Jest dużo lepszy, niż przypuszczałem. Może w przyszłości jeszcze z niego skorzystamy – po raz pierwszy uśmiechną się i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że jest bardzo młody, mniej więcej w jej wieku.

Zaśmiała się.

– Tak, cicho tu i spokojnie. Tylko nie oglądaj łazienki. Pomogę ci wnieść zapasy. Powiedz, czy jesteś lekarzem?

Posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Studiowałem medycynę, zanim się to wszystko zaczęło – zatoczył łuk ramieniem, ogarniając tym gestem okropności ostatnich lat.

Eleanor skinęła głową.

– Masz zamiar kiedyś skończyć studia?

Wyszli razem na zewnątrz. Pedro popatrzył w szare, ponure niebo.

– Może. Jeśli uda mi się przeżyć. Na razie jednak jestem poszukiwany, jak John, a życie zbiega nie jest łatwe. Uważaj, żebyś i ty nie skończyła na liście.

Szybko wnosił pudła na werandę, nie chcąc kontynuować rozmowy.

Eleanor poczuła się winna. Podczas gdy ona żyła w luksusie, ludzie tacy jak Pedro nie wiedzieli, czy doczekają następnego dnia. Zagryzła wargi i milczała.

Kiedy rozładowali już samochód, spojrział na nią w osobliwy sposób.

– Zawsze chciałem się przekonać, jaka jesteś. Pozdrów ode mnie Johna – powiedział szybko, zanim wszedł do samochodu, pomachał jej i odjechał. Po chwili wóz zniknął za wydmami.

Eleanor odprowadzała go wzrokiem. Co miał na myśli? O czym chciał się przekonać? Wolą o tym nie myśleć. Pochyliła się nad skrzynką. Teraz przynajmniej mają co jeść i nie będzie im zimno.

O zmroku martwiła się już nie na żarty. Dlaczego Henry nie przyjechał? Co go zatrzymało? Może miał w sądzie ważną sprawę i obawiał się, że jego nieobecność wzbudzi podejrzenia? Może pomyślał, że Pedro zajmie się Johnem, a ona sama wróci do domu? Ale nie, nie zostawiłby jej w takiej sytuacji. Chyba że jest tak zły, iż nie chce mieć z nią nic wspólnego. Dopiero teraz dotarło do Eleanor, co ją czeka po powrocie do domu. Ta myśl zaparła jej dech w piersiach. Papa i Henry będą wściekli. To pewnie dlatego nie przyjechał. Był zły. Przełknęła ślinę. Właśnie skończyła rozpakowywać ostatnie pudło. Otarła dłonie o spodnie.

– W takim razie idź do diabła, Henry! I ty papo też – stwierdziła głośno, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Dosłyszała jednak drzenie w swoim głosie. Z zaciśniętymi ustami wypatrywała samochodu na drodze.

– Mówiłem już, kapitanie Almeida, że nie widzieliśmy Johna od lat, od dnia ślubu mojej szwagierki, Isobel. Kiedy to było? W grudniu 1962 roku? Rodzina nie może się z nim dogadać i *senhor* Fawcett zabronił mu wstępu do domu. Nie pojmuję, jaki cel ma to wypytywanie.

Henry'emu przypadła funkcja rzecznika rodziny. Oficer policji starał się zachowywać uprzejmie. Przychodziło mu to z widocznym wysiłkiem.

– Tak pan twierdzi, *senhor* Arreas? Tak pan twierdzi? – Rozejrzał się po twarzach zebranych w salonie. Liczył ich. – A pańska żona, *senhor*? Gdzie jest?

Jak na niskiego mężczyznę był bardzo pewny siebie, co przejawiało się w dumnym spojrzeniu małych oczu. Henry nie dawał wyprowadzić się z równowagi.

– Moja żona pojechała w odwiedziny do przyjaciół w Sao Paulo. Wróci za kilka dni. A o co chodzi, kapitanie? Jesteśmy aresztowani? Pod jakim zarzutem?

– Nie, *senhor*, nie jesteście aresztowani. Coś szybko pomyślał pan o najgorszym – kapitan rozciągnął usta w uśmiechu, nie odsłaniając zębów. – Ale chciałbym porozmawiać z pańską żoną. Ona i jej kuzyn są... ze sobą bardzo blisko, prawda? Najbliżej z całej rodziny, o ile wiem. To oczywiste, że chciałbym z nią porozmawiać. A tymczasem jej nie ma. Co za pech – łypnął na Henry'ego spode łba. Ciemne worki pod oczami nadawały mu niezdrowy wygląd. Henry wzruszył ramionami.

– Kapitanie, zapewniam, że gdybyśmy mieli coś do ukrycia, zrobiłbym wszystko, żeby mógł pan porozmawiać z moją żoną. Ponieważ jednak nie wpadliśmy na to, że ktokolwiek będzie nas ponownie wypytywał o Johna, niestety nie zatrzymałem jej, kiedy wybierała się z wizytą do przyjaciół. To proste, prawda? Jak już powiedziałem, wraca za kilka dni. Wtedy sam z największą przyjemnością zaprowadzę ją do pańskiego biura, a pan będzie mógł jej zadać wszystkie pytania, jakie wymyśli pan do tego czasu. Coś jeszcze, kapitanie?

Przez moment wydawało się, że oficer się podda, ale on nie rezygnował tak łatwo. Pstryknął palcami na dwóch funkcjonariuszy stojących w progu.

– Przeszukać dom! – warknął. Z ledwo skrywaną nienawiścią spojrzał na ludzi w pokoju. Brzydził się nimi. Rozpieszczeni, słabi *fina gente*. Uśmiechnął się. – Zakładam, że nie macie państwo nic przeciwko temu?

Nie zdziwiło go ich milczenie.

– Doskonale. Aha, przypuszczam, że może mi pan podać nazwisko i adres tych przyjaciół w Sao Paulo? Będzie pan łaskaw zanotować, o tu – wyciągnął notes w kierunku Henry'ego, który prawie wyrwał mu go z ręki. Dzięki Bogu, wiedział na pewno, że de Souza z żoną wyjechali w tym tygodniu do Brasílii. Poda ich dane i będzie się modlił o przychyłność losu. Przeklęta Eleanor, przeklęty John! Tym razem posunęli się za daleko.

– Proszę. Nie jestem pewien, czy pan ich zastanie. Wspominali, że wybierają się do interioru, więc moja żona mogła pojechać z nimi. No, ale pan już to sprawdzi.

Henry odwrócił się na pięcie i podszedł do biurka. Louis puścił do niego oko.

– Czy naprawdę? Doskonale. W takim razie zrozumie pan zapewne, że gdyby nie udało mi się z nią skontaktować, wówczas pan i wszyscy domownicy – tu kapitan skłonił się z charakterystyczną dla niego mieszaniną drwiny i uprzejmości – pozostaniecie w areszcie

domowym aż do jej powrotu. Proszę – uniósł rękę w błagalnym geście – proszę, nie myślcie, że nie dostrzegam niedogodności takiej sytuacji. Wiemy jednak, że John Campos de Serra jest w Rio, i wiemy, że jest chory. Do kogo miałby się zwrócić, jeśli nie do krewnych? To oczywiste. A ja chcę go mieć za kratkami. Tak więc nie ma innego wyjścia. Wybaczą państwo? – skłonił się ponownie i wyszedł.

Nikt się nie odzywał, bo Henry nakazał im gestem milczenie. Sam zaś wyrzwał na korytarz. Policjant spojrział na niego obojętnie. Henry zamknął drzwi i zwrócił się do rodziny:

– Nie możemy nic zrobić. Nie uwierzą, że Johna tu nie ma i nie było, ani że Eleanor nie jest z nim, dopóki nie wróci. Na kilka dni musimy uzbroić się w cierpliwość. Isobel, idź do dzieci. Mogą się przestraszyć na widok obcych. Nie wiem, czy Sophie przyszło do głowy, żeby do nich zajrzeć. Clarisso, czy byłabyś uprzejma przynieść tabletki Charlesa? Nie wygląda najlepiej – podszedł do teścia i spojrział na niego z troską. Znacząco zacisnął dłoń na jego ramieniu.

– Tak, oczywiście. Kochany, dobrze się czujesz? – zaniepokojona Clarissa biegła już do męża, ale on powstrzymał ją zniecierpliwionym gestem.

– Tak, tak. Idź już po te tabletki – ciężko opadł na krzesło, które podsunął mu zięć. Clarissa wyszła w towarzystwie Isobel.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Henry napisał na kartce: „Rozmawiajcie jak gdyby nigdy nic”. Pokazał wiadomość Charlesowi i Louisowi i wrzucił do ognia na kominku. Natychmiast też zaczął pisać następną, Louis tymczasem monologował, ujawniając ukryty dotąd talent krasomówczy. Charles dorzucał coś od czasu do czasu, Henry zaś pomrukiwał pod nosem, potakiwał i zaprzeczał w odpowiednim momencie. Chwilami głośno zastanawiał się, jak wytłumaczy swoją nieobecność w sądzie.

Skończył pisać. Dał im notatkę do przeczytania, następnie spalił i wymiół popiół.

Tym razem wiadomość brzmiała następująco: „Charles poczuje się gorzej. Serce. Wezwiemy da Silvę i Charles poprosi go, żeby skontaktował się z Eleanor i sprowadził tutaj za kilka dni z gotową historyjką. Trzeba ostrzec de Souzaów. Damy doktorowi list do nich. Pamiętajcie, że jesteśmy niewinni, i zachowajcie spokój. Uprzedźcie Isobel i Clarissę, kiedy będziecie pewni, że nikt nie słyszy. Nie wiadomo, czy policjanci nie podsłuchują pod drzwiami”.

– O, jest Clarissa. Louis, przynieś szklankę wody. Nie wiadomo, czy przesłuchiwali służbę, ale Maria na pewno się denerwuje. Uspokój staruszkę, jeśli możesz. Charles, nie przejmuj się. Oddychaj głęboko.

Henry mówił głośno, żeby żadne słowo nie umknęło strażnikowi przy drzwiach. Charles opadł na oparcie krzesła i starał się wyglądać na ciężko chorego. Był przy tym tak przekonujący, że Henry zastanawiał się, ile razy teść już tę scenę przećwiczył.

Isobel i Sophie jeszcze nie wróciły. Na myśl o ostatniej nocy Henry’emu zrobiło się niedobrze. Jak ma tej dziewczynie wytłumaczyć, że to była tylko chwila słabości, załamania? Co powie Eleanor? Z drugiej strony ona jest teraz ze swoim kochankiem, więc nie musi o niczym wiedzieć. Przecież gdyby nie Eleanor i John, nie siedzieliby teraz w areszcie domowym, nie musieliby lękać się o swoje życie. Eleanor nie może mieć do niego żadnych

pretensji.

Złość zagłuszała poczucie winy. Henry przechadzał się po salonie. Rozglądał się, jakby widział go po raz pierwszy. Teraz, kiedy w każdej chwili mogli stracić dach nad głową, zdał sobie sprawę, że tu jest jego dom. Ten wysoki pokój był sercem *palacio*. Elegancki i dostojny, pełen wschodnich dywanów, mahoniowych mebli i porcelany, wydawał się jednocześnie ciepły i przytulny. Henry nie wiedział, na jak długo jeszcze Palacio Lampedusa pozostanie jego domem. Czy na tyle by wyrosły tu jego dzieci? A może to tylko kwestia dni? To była niepokojąca perspektywa.

John ponownie obudził się wieczorem. Był już w lepszej formie. Gorączka nieco spadła, dreszcze ustały. Eleanor postawiła przy łóżku stary dzwoneczek, żeby mógł ją wezwać w każdej chwili. Z jej pomocą chory dotarł do łazienki. Nadal był bardzo osłabiony. Nagi wyglądał jeszcze gorzej niż w ubraniu, zebra rysowały się ostro pod napiętą skórą. Ani jemu, ani jej nie przeszkadzał fakt, że jest zdany na jej pomoc. Było to dla obojga oczywiste.

Kiedy ponownie leżał w sypialni, jeszcze raz obmyła go ciepłą wodą i starannie opatulila kołdrą. Przyniosła kolejną porcję zupy i lekarstwa. Tym razem zjadł więcej niż poprzednio, co bardzo Eleanor ucieszyło. Poprawiła mu poduszkę i przysiadła na skraju łóżka.

– Pedro zjrzał tu dzisiaj. Wiedziałeś, że policja wdarła się na zebranie? – trzymała go za rękę, machinalnie gładząc wierzch dłoni kciukiem.

– Tak. To Pedro mnie stamtąd wyciągnął, prawda? Co z nim, co z jego ojcem? – John nie spuszczał wzroku ze swej opiekunki. Chciał dowiedzieć się, co sprawia, że jest spięta i niespokojna. Teraz bała się bardziej niż rano. Czy Pedro czymś ją przeraził?

– Chyba uważa, że ojca wypuszczą. To wszystko co wiem. Nie został długo. Powiedział, że potrzebuje go rodzina – z uśmiechem uściśnęła mu rękę. – Tak więc, wygląda na to, że przez jakiś czas będziemy tylko we dwojkę, ty i ja, jak za dawnych czasów.

Nuta zdenerwowania w jej głosie sprawiła, że przyciągnął dziewczynę do siebie.

– O co chodzi?

Eleanor wiedziała, że nie uda się jej go oszukać, więc nawet nie próbowała.

– Henry nie przyjechał. W ogóle nikt z rodziny nie przyjechał, żeby się ze mną, z nami zobaczyć. Nie pojmuję dlaczego. Chyba że nie chcą mieć nic wspólnego z... tym wszystkim – spuściła głowę.

John przyglądał się jej, wyraźnie zmartwiony.

– Eleanor, nie wykluczają cię ze swojego grona. Dzisiaj wieczorem pojedziesz do domu, dobrze? Ja sobie poradzę. Zresztą już czuję się lepiej. |

Była to prawda. Rzeczywiście jego stan się poprawił, nie na tyle jednak, by John mógł zostać sam bez opieki. Nie miał przecież dość siły, by samodzielnie jeść. Właśnie pobladł, osłabiony długą rozmową.

Zaprzeciła ruchem głowy.

– Nie. Dopiero kiedy całkowicie wyzdrowiejesz. Zresztą tak naprawdę tęsknię tylko za Katherine. Szkoda, że jej tu z nami nie ma, prawda?

Myśl o córce wywołała uśmiech na jej twarzy. Odpowiedział tym samym.

– Wracaj do domu, póki jeszcze tego chcesz – szepnęła, zanim zamknęła oczy. Ponownie

uderzyło ją, że jak zawsze znał jej myśli. Tylko że nie wszystko zależało teraz od niej. Czy nadal jej pragnie? Od lat nie rozmawiali na ten temat. Nie wiedziała, co John do niej czuje, była pewna jedynie swoich reakcji. Na palcach wyszła do kuchni, żeby napełnić termofor.

Dzień dłużył się w nieskończoność, równie nudny i cichy jak jego poprzednik. Tym razem żaden gość nie zakłócił monotonii ciągnących się godzin. Purpurowy, ognisty zachód słońca niósł zapowiedź pięknej pogody. Nad wydmami krzyczały mewy. Powietrze, cieplejsze niż poprzedniego wieczora, nasiąkało nocną wilgocią. Otulona w ciepły sweter Eleanor oddawała się rozmyślaniom.

Nie zastanawiała się już, czemu Henry nie przyjechał ani jak powitają ją krewni po powrocie do domu. Głowiła się nad tym już wcześniej i nie znalazła żadnych pozytywnych odpowiedzi. Teraz myślała o przyszłości. Czego naprawdę chce od życia? Czy wystarczy jej być żoną Henry'ego i mieszkać pod dachem rodziców, jakby nadal była dzieckiem? Czy wystarczy jej zabawa w szkołę dla garstki biedaków? Czy to ma być główna treść jej życia? A co z dziećmi? Henry domagał się kolejnego dziecka. Wiedziała, że nie może odpychać go w nieskończoność. Sypiali ze sobą tak rzadko, a i tak z trudem powstrzymywała odruch niechęci, kiedy pochylał się nad nią w nocy. Kochała Katherine, ale czy chce mieć więcej dzieci z Henrym?

Zamarła, zaszokowana dwoma słowami, które wirowały jej w głowie. Z Henrym. A z kim innym mogłaby mieć dzieci? Wstała gwałtownie i podeszła do okna. Noc spowijała niebo i morze czarną, nieprzeniknioną tkaniną. Ona, Eleanor, znajdowała się w samym środku przepastnego worka i nie umiała się zeń wydostać. Bała się spojrzeć w stronę wylotu, który urzekał jasnym światłem. Zła na siebie, przechadzała się nerwowo, próbując odrzucić tamtą myśl. Ona jednak nie dawała za wygraną, czaiła się w zakamarkach umysłu, wabiła, kusiała, wzywała: zobacz, jestem tutaj!

Kuchnia wydawała się idealnym schronieniem. Postawi wodę na herbatę. Poza tym niedługo musi podać Johnowi kolejną porcję zupy, żeby... Wystarczyło jego imię, by wszystko wróciło z pełną siłą, całkowicie ukształtowane, nie dające się zbyć. I wreszcie Eleanor zadała sobie pytanie: a gdyby miała dziecko z Johnem?

Następnego ranka zabrała się za sprzątanie. Przesunęła wszystkie meble w jeden kąt i zamiatała, szorowała, trzepała chodniki. Z naręczy traw i ziół układała bukiety w pustych słojach, które znalazła w kuchni. John czuł się już dużo lepiej. Eleanor napełniła cynową wannę gorącą wodą i zostawiła go w kąpieli, podczas gdy sama wietrzyła kołdrę i zmieniała pościel. Kiedy skończyła, ubrała chorego w piżamę, którą przywiózł Pedro, a która była na Johna zdecydowanie za mała. Starannie zaczesła mu świeżo umyte włosy i ogoliła wielodniowy zarost, by ze zdumieniem stwierdzić, o ile lepiej wyglądał po tych zabiegach. Szybko pocałowała go w policzek i wybiegła z pokoju.

Miała za sobą długą, nieprzespaną noc. Otulona w koce, pogrzyżała – się w bolesnych rozważaniach. Teraz jednak podjęła ostateczną decyzję. Po powrocie do domu zażąda od Henry'ego rozwodu. Takie rzeczy się zdarzają, choć nie doszło do tego w żadnej znanej jej rodzinie. Uznała jednak, że wszystko jest lepsze niż dalsze życie w kłamstwie. Zabierze Katherine i wyjedzie z nią gdzieś daleko, może do Anglii? W każdym razie uda się do kraju,

gdzie policja nie pilnuje ludzi na każdym kroku, gdzie można bez wzbudzenia podejrzeń zatrzymać się na pogawędkę z sąsiadem. Gdzie będzie w stanie zarobić na utrzymanie siebie i małej. Nie dodała, że chodzi jej o kraj, w którym Henry nie mógłby jej odnaleźć i próbować odebrać Katherine. To było oczywiste. Istniały jednak niewielkie szanse, by Henry, katolik, zgodził się na rozwód, a tym bardziej na rozstanie z dzieckiem. Na razie nie” chciała o tym myśleć.

John robi, co uważa za słuszne. Ona w żadnym wypadku nie zwiąże się z nim, dopóki jest żoną Henry’ego. Byłoby to nieuczciwe i ohydne, zbyt żenujące, by mogła z tym żyć. Wystarczająco ciężko przyjdzie jej zranić męża, opuszczając go. Nie może na dodatek popełnić cudzołóstwa.

Sophie leżała na brzuchu i beztrosko wymachiwała nogami. Całkowicie pochłaniała ją lektura kiczowatego romansu o młodym arystokracie, który początkowo zakochał się w niewłaściwej siostrze, ale w ostatniej chwili zdał sobie sprawę z pomyłki, co gwarantowało książce happyend, nieodzowny element tego typu literatury. Szkoda, że w życiu nie jest tak samo, stwierdziła wzdychając ciężko. Wtedy Henry zorientowałby się, że poślubił niewłaściwą dziewczynę i nieprzytomnie zakochałby się w niej, Sophie. A Eleanor mogłaby sobie uciec z tym okropnym kuzynem i zostawić jej Henry’ego.

Przez chwilę rozważała, co zrobić z Katherine – wysłać ją z matką, czy zostawić z nimi? To jednak było bez znaczenia. Kiedy zdobędzie ukochanego, będą mieli dużo dzieci. Przeciągnęła się z uśmiechem na wspomnienie dwóch ostatnich nocy.

Wczoraj wieczorem myślał, że uda mu się ją odepchnąć. Sądził, że jest w stanie zbagatelizować to, co się wydarzyło, jako pomyłkę, chwilę zapomnienia i rozpacz. Cóż, przekonał się, że bardzo się mylił, kiedy cichutko wślizgnęła mu się do łóżka. I doświadczył na własnej skórze, jak bardzo miłość z nią różni się od miłości z Eleanor. Za kilka dni Eleanor wróci do domu, chcąc zająć swoje miejsce u boku męża, ale Sophie już zadba o to, by nie miała dokąd wracać.

Przewróciła się na plecy. Jej wzrok przyciągnęły skomplikowane stiuki pod sufitem. Przypomniała sobie, jak zdumiony był tym, czego go uczyła. Zdumiony i, tak, zachwycony. Na pewno zastanawiał się, dlaczego Eleanor nie obdarza go takimi pieszczotami. Sophie uśmiechnęła się na wspomnienie łatwości, z jaką Henry uwierzył w niewierność żony. Nie musiała nic mówić. Zresztą najprawdopodobniej Eleanor naprawdę go zdradzała. Nie zwierzała się już, co samo w sobie było znaczące. Tak. Prawie na pewno sypiała z Johnem.

Pogładziła śliską satynową koszulę nocną, opinającą zgrabną figurę. Pragnęła Henry’ego, tylko jego. Kochała go na długo przedtem, zanim Eleanor za niego wyszła, i przyjaciółka wiedziała o tym. Tak naprawdę więc to Eleanor ukradła jej Henry’ego, a nie odwrotnie. Eleanor nie zasługiwała na dwóch mężczyzn, podczas gdy ona, Sophie, nie ma nikogo. Teraz Eleanor dostanie Johna, a ona Henry’ego. Przecież nie ma w tym nic niewłaściwego. Wszyscy będą szczęśliwi, zupełnie jak w powieści.

Rzuciła okiem na zegarek koło łóżka. Dochodzi druga w nocy. Wszyscy już śpią. Policjanci pilnują domu tylko na zewnątrz. Dziewczyna uśmiechnęła się i wstała. Czas złożyć Henry’emu wizytę.

Isobel ułożyła Katherine z powrotem w pościeli i otuliła kołderką. Dziewczynka znów spała smacznie. W sąsiednim łóżeczku leżał Charlie. Jego kocyk niemal całkowicie zsunął się na podłogę. Isobel okryła synka i delikatnie wyjęła mu palec z buzi. Pocałowała zarumieniony policzek, z rozkoszą wdychając ciepły zapach dziecięcego ciała. Już niedługo mały Charlie będzie miał rodzeństwo. Z ręką na brzuchu Isobel prosiła Opatrzność, by wszystko poszło dobrze.

Policjanci nie wpuszczali do *paldcio* nikogo z wyjątkiem doktora da Silvy, jego zaś przeszukiwano za każdym razem. Dzięki Bogu, Henry zmienił pierwotny plan i zamiast dawać lekarzowi kartkę z numerem telefonu przyjaciół w Brasilii, kazał nauczyć się wiadomości na pamięć. Teraz los całej rodziny spoczywał w rękach uprzejmego, zawsze poprawnego eleganta, który prawdopodobnie nigdy w życiu nie postąpił wbrew prawu. Na tę myśl Isobel zapragnęła ukryć się pod kocem i nigdy nie wysuwać głowy na świat. Doktorze, wszystko zależy od pana!

Na palcach podeszła do drzwi i zgasiła światło. Delikatnie nacisnęła klamkę. Już miała wyjść, kiedy jej uwagę zwróciły ciche odgłosy.

Skrzypienie desek i szelest czyichś kroków sprawiły, że zamarła w bezruchu. Pokój dziecienny mieścił się w zachodnim skrzydle, gdzie mieszkali tylko Henry i Eleanor. Nie powinien tu przebywać nikt poza Henrym, który już przecież dawno poszedł spać. Przerazona kobieta wyjrzała przez szparę w uchylonych drzwiach.

Przy śniadaniu była zadziwiająco cicha. Z nikim jeszcze nie rozmawiała o tym, co widziała w nocy, nawet Louis o niczym nie wiedział. Chciała najpierw wysłuchać, co Henry ma do powiedzenia. Może istnieje jakieś wytłumaczenie, jakiś powód, dla którego Sophie odwiedzały go o tej porze w sypialni? Isobel jednak wątpiła w to. Wiedziała, że dzieje się coś złego.

Nagle wyrwana z zadumy, uniosła głowę i napotkała spojrzenie Sophie. Szybko odwróciła wzrok, zanim Francuzka dostrzegła jej gniew. Robienie awantury Sophie niczego nie zmieni. Ta kobieta musi być całkowicie pozbawiona zasad moralnych, skoro stać ją na uwiedzenie męża najlepszej przyjaciółki. Isobel dołała sobie kawy. Niech nie liczy, że jej plan się powiedzie.

Henry czuł się nieszczęśliwy, stwierdziła. Miał zaczerwienione, nieprzytomne oczy, garbił się i kulił na krześle. Najwyraźniej nękały go wyrzuty sumienia. Dobrze mu tak. Owszem, Eleanor i John byli kochankami, ale działo się to dawno temu, na długo przed ślubem z Henrym! Szwagier nie ma nic na swoje usprawiedliwienie, nic a nic! Właśnie w tej chwili uniósł głowę i natrafił na badawcze spojrzenie Isobel. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Zażenowany opuścił wzrok.

– Jak długo to jeszcze potrwa, waszym zdaniem? – głos Sophie nagle przerwał ciszę. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. W pierwszej chwili wyrwana z zadumy Isobel myślała, że dziewczyna mówi o nocnych schadzkach z Henrym, zaraz jednak zorientowała się, że chodziło o areszt domowy. Henry nie odpowiedział, właściwie nawet nie patrzył na Sophie. Utkwiła wzrok w portrecie Eleanor.

Charles pierwszy odezwał się:



– Jeszcze tylko kilka dni, Sophie. Dopóki Eleanor nie wróci. Nie martw się. W konsulacie na pewno to zrozumieją.

Fawcetta męczyło już ciągle udawanie osłabionego chorobą rekonwalescenta, ale wolał to niż tkwić w sypialni. Uśmiechnął się do Clarissy. Dopiero teraz, po latach małżeństwa, nauczył się cenić zalety żony. Była dobrą, pogodną kobietą, nigdy nie kaprysiła jak ta mała Francuzeczka. Mrugnął Clarissy, a ona uśmiechnęła się ciepło.

– Ale przecież na pewno będą przesłuchiwali Eleanor? – Sophie nie dawała za wygraną. Henry poruszył się niespokojnie. – Co wtedy?

Louis wstał i ukradkiem wyjrzał na korytarz. Nie było tam nikogo.

Po dokładnej rewizji policjanci opuścili budynek i pilnowali go z zewnątrz. Domownicy byli im bardzo wdzięczni za tę drobną uprzejmość.

– Jeśli pytasz, co będzie, jeśli zechcą torturami wymusić z Eleanor prawdę, wówczas odpowiedź brzmi „nie wiem”, Sophie. Myślałam, że bardziej interesuje cię aktualna nieobecność Eleanor niż to, co wydarzy się później – rzuciła zjadliwie żona Louisa.

Francuzka powoli odwróciła głowę w jej stronę. Gniew i obrzydzenie w twarzy Isobel były aż nadto widoczne. Sophie zamknęła oczy.

– Na Boga! Nie pozwolę im przesłuchiwać Eleanor na osobności, koniec, kropka – strach nadał głosowi Henry’ego ostrzejsze, głębsze brzmienie. Zdenerwowany mężczyzna przestał udawać, że je. Zamiast tego sięgnął po dzbanek z kawą. Eleanor nic się nie stanie, już on o to zadba. Nigdy nie spotka jej żadna krzywda. Życie bez niej straciłoby sens, stwierdził nagle. Wszystko będzie dobrze, Eleanor włos z głowy nie spadnie. Zaciśnął zęby. – Wybaczcie, ale mam dużo pracy – mruknął i wyszedł z jadalni.

Wszyscy milczeli. Nieprzyjemna cisza pogłębiała się, kiedy starali się nie stukać sztućcami. Atmosfera stawała się nie do zniesienia. Isobel odłożyła serwetkę, przeprosiła, że odchodzi, i wyszła, posyłając mężowi czuły uśmiech. Być może ją zdradza; nie wiedziała. Nawet jednak jeśli to robił, zachowywał dyskrecję i nigdy nie sypiał z kobietami z ich towarzystwa. I nie zabierał ich do małżeńskiego łóża. Zanim zamknęła drzwi, obrzuciła Sophie jadłowitym spojrzeniem.

Znalazła Henry’ego w gabinecie. Przyłapała go na chwili rozpacz, kiedy siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Był tak nieszczęśliwy, że Isobel natychmiast zapomniała o gniewie. Szwagier i tak przechodził przez piekło. Niepotrzebne mu jej rady. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Isobel! O co chodzi? Czy coś się stało? – zapytał. Przez chwilę wydawało jej się, że w oczach zalśniły mu łzy, ale zamrugnął szybko, a potem jego spojrzenie znów było takie jak zwykle.

Z zakłopotaniem skinęła głową.

– W nocy przeszłam do pokoju dziecinnego. Widziałam Sophie – powiedziała cicho.

Henry poblądł i zaciśnął usta.

– Rozumiem – mówił tak cicho, że musiała z całej siły wytężyć słuch, by go usłyszeć.

– Nie będę cię pouczać, Henry. Wiem, że kochasz Eleanor, a to tylko głupia, nieprzemyślana przygoda. Chcę jednak, żebyś ją zakończył – starała się nadać głosowi

surowe brzmienie, ale ból w oczach winowajcy sprawiał, że serce się jej krajało.

– Isobel, ty wiesz wszystko o Eleanor, prawda? Ona niczego przed tobą nie ukrywa? – zapytał Henry nagle. Zaskoczyło ją to pytanie.

– Tak. Dlaczego?

Podszedł do okna. Nie patrzył na nią.

– Czy ona ma romans z Johnem?

Pytanie padło po dłuższej chwili. Odwrócił się szybko, by zobaczyć reakcję Isobel. Była wściekła.

– Nie! Na Boga, Henry, skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie okłamuj mnie. Wiem, że pojechał do niej do Paryża. Wiem też, że wtedy byli kochankami. Chcesz mi wmówić, że od tego czasu nic między nimi nie było? A może nie wiedziałas o Paryżu?

Mówił teraz twardo, profesjonalnie, jakby znajdował się na sali sądowej. Isobel poczuła się jak świadek w krzyżowym ogniu pytań. Jej współczucie nikło w błyskawicznym tempie.

– Tak, wyobraź sobie, że wiem o Paryżu. I wiem także, że Eleanor podjęła ostateczną decyzję, kiedy okazało się, że John żyje. Postanowiła wówczas zapomnieć o nim i być uczciwą wobec ciebie. Rozmawiałam z nią na ten temat. Powiedziała wówczas, że ty i Katherine jesteście dla niej najważniejsi. Musiała powtórzyć to Johnowi, bo następnego ranka wyjechał i nie pojawił się więcej. I ty o tym wiesz, Henry. Byłeś tam, widziałeś jego twarz. Między Johnem a Eleanor nie było nic od dnia waszego ślubu i nigdy nie będzie. Jeśli Sophie mówi coś innego, to ona kłamie, a nie ja. Eleanor nigdy nie zrobiłaby ci tego, co ty zrobiłeś jej. Nie zasłużyła na takie traktowanie.

Isobel odwróciła się na pięcie i już miała wyjść, kiedy Henry złapał ją za ramię. Spojrzała na niego; promieniał radością.

– Dzięki ci, Isobel. Dziękuję, że wyzwoliłaś mnie z piekła. Nie potrafię ci opisać, jak cierpiałem... I niech mi Bóg wybaczy, że w nią zwątpiłem – pocałował szwagierkę w policzek. – Proszę, zachowaj to, co wiesz, dla siebie. Sam wszystko załatwię. Przysięgam ci, że już nigdy nie skrzywdzę Eleanor. Masz na to moje słowo.

Z wahaniem skinęła głową.

– Spróbuj tylko mnie oszukać, Henry, a sama zatroszczę się, byś wrócił do piekła! – zażartowała. – Pójdę do dzieci. A może mi pomożesz? Najwyższy czas, żebyś nauczył się zmieniać pieluchy.

Objął ją ramieniem i otworzył drzwi.

Na progu stała Sophie. Właśnie miała zapukać. Isobel i Henry spojrzeli na nią ponuro. Cofnęła się o krok, nagle posmutniała.

– Ja... chciałam z tobą porozmawiać, Henry. Czy może wybrałam niewłaściwą porę? Czy mam przyjść później? – Musiałaby być ślepa, żeby nie dostrzec złości i, tak, nienawiści w jego wzroku. Poczwała łzy pod powiekami.

– Nie wiem o czym moglibyśmy rozmawiać, Sophie – stwierdził chłodno. Wyminął ją i podążył za Isobel w stronę pokoju dziecinnego. Francuzka odprowadzała ich wzrokiem, nie ruszając się z miejsca.

## Rozdział dwudziesty

Delikatny dźwięk dzwoneczka był ledwo słyszalny przez szum morza i krzyki ptaków. Zachodzące słońce barwiło niebo złotem przechodzącym w purpurę. Eleanor przestała trzepać dywanik. Czy naprawdę słyszała dzwonienie? Może John zgłódniał? Z uśmiechem zajrzała do sypialni.

– Wzywałeś mnie? – oparła się o framugę.

Nie mógł nadziwić się jej urodzie. Była piękna nawet teraz, ubrana w za duży sweter i męskie dzinsy. Jasne włosy lśniły, z zielonych oczu biło ciepło i miłość. Nie pojmował, jak mógł kiedykolwiek uznać, że mu na niej nie zależy, że już jej nie potrzebuje. Na tę myśl ogarnął go gorzki śmiech. To przecież Eleanor nadawała sens jego życiu. To dzięki niej widział świat rzeczywisty, a nie taki jak sobie wyobrażał. Potrzebował jej, wreszcie musiał się z tym pogodzić. A jeśli to oznacza, że nie jest prawdziwym mężczyzną, z radością zniesie takie upokorzenie.

Żadnej z tych myśli nie wypowiedział jednak głośno. Mruknął jedynie:

– Obetrzyj mi pot z czoła.

Eleanor zareagowała wybuchem śmiechu. Od dzieciństwa nie widział jej tak rozbawionej.

– Mój pan i władca! Czy mam nakarmić cię winogronami, obranymi ze skórki? A może sprowadzić ciemnonice tancerki? – klasnęła w dłonie, jakby wzywała niewolnice.

Skrzywił się na te słowa.

– Nudne i banalne. Ty dostarczysz mi rozrywki. Nie mam siły na dekadencje fantazje – usiadł. Kiedy poprawiała mu poduszki, z rozkoszą

wciągnął jej zapach. Tylko centymetry dzieliły jego usta od długiej, białej, smukłej szyi.

Odsunęła się gwałtownie.

– To nie fair, John. Przestań.

Usiłowała zbyć go uśmiechem, ale nie było to łatwe, zwłaszcza że niczego nie pragnęła bardziej niż wtulić się w niego, jakby nigdy się nie rozstali, jakby nigdy nie wyszła za mąż, nie urodziła dziecka. Nie mogła jednak. Odwróciła się i zabrała brudne talerze.

– Przecież wcale cię nie dotknąłem. Nic nie zagraża twojej małżeńskiej cnocie. Czy nie cierpisz z tego powodu, ty, mistrzyni w tej dziedzinie? – zażartował. Po chwili westchnął ciężko i uniósł ręce. – Przepraszam. Nie wiem, co mnie ugryzło. Wybacz – mocno uściśnął jej dłoń. – Czasami nie panuję nad... zazdrością. To takie niesprawiedliwe. Mimo to postaram się być grzeczny. Zaslugujesz przynajmniej na tyle.

– Naprawdę? – zamilkła, zakłopotana. – John, chyba powinnam ci powiedzieć. Odchodzę od Henry'ego. Zabiorę Katherine i wyjadę z nią gdzieś daleko, może do Anglii – przyglądała mu się uważnie, ale nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy. Starannie ukrywał uczucia. – To nie ma nic wspólnego z tobą, więc nie myśl, że zniszczyłeś mi życie. Po prostu nie mogę już dłużej... żyć w kłamstwie. Może gdybyś nie wrócił, wszystko jakoś by się ułożyło, nie wiem. W każdym razie od dawna już było coraz gorzej. Uważam, że nie mam innego wyjścia.

Przez głowę przemknęła jej straszna myśl: może pragnął jej tylko dlatego, że nie mógł jej

mieć? Może teraz przestanie się nią interesować? Nie wiedziała.

Wstała, by zamknąć okno. Popołudnie ustąpiło miejsca wieczorowi, błękit nieba przechodził w granat, cienie ścieliły się na wydmach.

– Tak po prostu? Myślisz, że Henry pozwoli ci odejść, ot tak? – opadł na poduszkę. Zbladł. – Mówię ci, że to się tak łatwo nie uda. Twój mąż będzie walczył. Nie odda ci Katherine, a ty nie odejdiesz bez niej, prawda? Nie zostawisz jej dla żadnego innego człowieka, prawda? – wyprostował się. – Odpowiedz.

Odwróciła się od okna.

– Nie, nie odejdę bez niej. Ale sama już nie wiem, co czuje Henry. Nie zjawił się tu... Zastanawiam się, czy w ogóle chce, żebym wróciła. Nie wiem. Nie myślałam o tym. Wystarczająco dużo kosztowało mnie podjęcie decyzji. Być może – zawahała się – być może nigdy dotąd nie miałam czasu ani siły, by wszystko gruntownie przemyśleć. Poczekamy, zobaczymy. Nie utrudniaj mi tego. Nie baw się w adwokata diabła, dobrze?

– Więc co mam robić? – Położył się. Wyciągnął do niej rękę. Patrzył na Eleanor uważnie, szukał czegoś w jej twarzy, ale nie wiedziała, o co mu chodzi. Usiadła koło niego i przytuliła jego dłoń do policzka. Była sucha i gorąca. Gorączka wzmogła się.

– Wyzdrowiej. I zastanów się, co zrobisz. Policja nie spocznie, póki cię nie złapie. Uczynią wszystko, byle cię dostać. Będą przekupywali ludzi, nawet... torturowali. Nie możesz wrócić do dawnych kryjówek, bo prawdopodobnie już tam na ciebie czekają. Czy naprawdę nadal chcesz żyć w ten sposób? Jaką przyszłość masz przed sobą? Będziesz mógł uważać się za szczęściarza, jeśli dożyjesz do końca roku – zadrżała na tę myśl. John uściśnął jej dłoń. Na jego twarzy malował się wyraz, który pamiętała z dzieciństwa: smutek, rozgoryczenie, rozczarowanie.

– Szczerze mówiąc, Eleanor, mam tego wszystkiego dość. Nie pozwolą mi jednak zeskoczyć z karuzeli i powiedzieć „koniec”! Mam dwadzieścia siedem lat i powoli tracę złudzenia. Być może pewnego dnia Brazylia stanie się demokratycznym krajem, nie wydaje mi się jednak, bym to właśnie ja przyczynił się do tego w jakikolwiek sposób. W ostatecznym rozrachunku wygrają politycy, tacy jak Henry i jemu podobni. Większość moich przyjaciół siedzi w więzieniu, ja jestem splukany i zmęczony ciągłym ukrywaniem się. Gdyby był jakiś sposób powrotu do normalnego życia, znalazłbym go. Znasz stare powiedzenie, że młodzi marnują młodość? W końcu zrozumiałem, co. znaczy. Może wreszcie dorosłem.

Eleanor nie mogła patrzeć w jego oczy, chore i smutne. Odwróciła wzrok.

– Kto wie? – wzruszył ramionami. – Może na jakiś czas związę się z terrorystami. Słyszałaś o Carlosie Marigheli i jego ludziach? Oni przynajmniej są porządnie zorganizowani i mają pieniądze. Wiesz, przez te wszystkie lata nagromadziło się we mnie tyle gniewu, że chcę w jakiś sposób odplacić tym, którzy zmienili moje życie w piekło. Teraz moja kolej, by się odegrać. To niezbyt szlachetne, ale właśnie tak to czuję – westchnął, widząc jej minę. – Do cholery, Eleanor, sam nie wiem. Gdzieś w Stanach mieszka moja żona. Może spróbuję się do niej przedostać, wyjadę z tego zakichanego kraju. Mam już wszystkiego po dziurki w nosie.

John był zmęczony i zdenerwowany gorączką. Ogarniała go rozpacz, że nie może niczego

Eleanor zaferować. Zamknęła mu usta dłonią.

– Dość. Zużyłeś już wystarczająco dużo energii. Przygotuję kolację, jeśli obiecasz, że przepisz się godzinę. Potem znowu porozmawiamy, dobrze?

Szybko zabrała brudne naczynia i wyszła. Nie chciała, żeby zobaczył, jak bardzo przeraziła ją gadanina o terroryzmie i nienawiści do Brazylii. Cóż, teraz przynajmniej będzie wiedziała, na czym stoi. John nie wiązał swojej przyszłości z nią, tyle przynajmniej wywnioskowała z jego słów. Głęboko wciągnęła powietrze. W porządku, przeżyje to jakoś. Dopóki ma Katherine, poradzi sobie ze wszystkim. Nie mogła, nie chciała pozwolić, by z jej gardła wydarł się bolesny jęk. Dławiła go, nucąc cichutko. Poradzi sobie. Śpiewała dalej.

Da Silva przyjechał, kiedy kroila spaghetti, żeby John mógł je zjeść samodzielnie. Reflektory auta rozjaśniły mrok, zatańczyły na wydmach, zanim zgasły przed domem. Zdenerwowana, wyszła na werandę.

– Eleanor? Eleanor, to ja, da Silva. Wszystko w porządku? Odetchnęła z ulgą, słysząc znajomy głos.

– Tak, tak, doktorze. Przyjechał pan akurat na kolację – uśmiechnęła się szeroko. Pocałowała przybysza w policzek. Weszli do domu, zamykając drzwi przed nocnym chłodem.

Doktor da Silva ze zdumieniem rozglądał się po saloniku. Oczywiście, pokój nadal wyglądał skromnie i ubogo, niemniej Eleanor udało się nadać mu przytulny, domowy charakter. Pomieszczenie lśniło czystością. Kwiaty i trawy w szklanych słojach stały na stoliku i szafkach.

Z zadowoleniem pokiwał głową i poklepał dziewczynę po ramieniu.

– Jak tu ładnie. Szkoda, że sam nie potrafiłem tak o to miejsce zadbać. I szkoda – westchnął ciężko – że nie możesz tu dłużej zostać. Ale jutro, a najpóźniej w niedzielę musisz wrócić do domu. Mamy kłopoty.

Zaniepokojona, wlepiła w niego wzrok. Nerwowo splotła ramiona.

– O co chodzi? Co się stało?

– Na mieszkańców *paldcio* nałożono areszt domowy. Policja podejrzewa, że ukryłaś się gdzieś z Johnem i czekają na twój powrót – starał się mówić spokojnie. – Posłuchaj, nie musisz się martwić. Henry znalazł wyjście z sytuacji.

Szybko wyłuszczył Eleanor cały plan. Słuchała, w roztargnieniu kiwając głową. Oczyma wyobraźni widziała już swoich bliskich, jak z zapatym tchem czekają na moment aresztowania. W duchu klęła na czym świat stoi, przeklinała rząd, wojsko, kraj, siebie, nawet Johna. Co, na Boga, ma teraz zrobić?

– Przecież oni przejrzą to na wylot, doktorze. Zresztą dlaczego de Souza czy ich przyjaciele w Brazylii mieliby kłamać, żeby mnie kryć? Właściwie mnie nie znają – stwierdziła, kiedy skończył mówić.

Da Silva westchnął ponownie i zmęczonym gestem przesunął okulary na czoło. Rozumiał jej strach, lęk nie o siebie, lecz o najbliższych. Z otuchą uścisnął szczupłą dłoń.

– Obiecali, że to zrobią, ale nie mamy żadnych gwarancji. Musimy mieć nadzieję, że się uda. Przyjadę po ciebie, powiedzmy, w niedzielę. Tak będzie najlepiej. Najpierw pojedziemy do mnie. Skontaktujesz się z de Souza i ustalicie ostateczną wersję. Kapitan Almeida jest

przekonany, że na kilka dni wyjechali do interioru, co nam da trochę czasu. Potem wezwiesz taksówkę i wrócisz do *palacio*. John, oczywiście, musi stąd odejść – dorzucił, jakby to było całkiem jasne. Może zresztą jest, pomyślała, tylko ona nie nadąża za tokiem jego rozumowania.

– Ależ doktorze, on jest nadal chory. Nie ma dokąd pójść, aresztowano wszystkich jego przyjaciół. Gdzie ma się podziać?

W jej głosie było coś więcej niż strach. Eleanor nie potrafiła ukryć cierpienia, jakiego przysparzała jej myśl, że znowu go utraci, tym razem, być może, na zawsze. Da Silva był ciekaw, czy dziewczyna jest świadoma, jak wiele można wyczytać z jej oczu.

– Teresa wróciła – oznajmił. Ucieszyła go jej reakcja na te słowa. Dobrze, może w końcu przestanie odczuwać tak ogromną odpowiedzialność za kuzyna. John ma żonę i to ona powinna się nim zająć. – Dzwoniłem do niej. Obiecała, że przyśle kogoś po Johna. Nie pytałem o szczegóły, bo im mniej wiem, tym lepiej. Sama się tu nie pojawi, bo podejrzewa, że jest śledzona. Przesłuchiowano ją wielokrotnie. Jutro przyjedzie po niego przyjaciel, tak powiedziała. Wtedy będziesz mogła wrócić do domu – uśmiechnął się szeroko, jakby to rozwiązywało wszystkie problemy.

Eleanor potrząsnęła głową.

– Dlaczego wróciła? Nie rozumiem tego. Jest gwiazdą filmową. Dlaczego ryzykuje tak wiele dla mężczyzny, którego nie widziała od kilku lat, którego nigdy nie kochała? Czy jest pan przekonany, że ona nie współpracuje z policją? – zarumieniła się w chwili, kiedy wypowiadała te słowa, wiedząc, że nie ma w nich krzty prawdy.

– Eleanor, doprawdy! Kto ci powiedział, że nie kochała Johna? Zawsze byłem święcie przekonany, iż było wręcz przeciwnie – zachnął się doktor. – W każdym razie przyjechała do Brazylii kręcić film. Sama zaofiarowała pomoc. Nie mamy wyjścia, musimy z niej skorzystać. Nikt z nas, a zwłaszcza John, nie będzie tu bezpieczny. Przecież mogli mnie śledzić – uspokajającym gestem oparł jej dłoń na ramieniu, kiedy przerażona spojrzała w okno, w czerń nocy. – Nie, nie, nie przypuszczam, żeby mnie wypatrzyli, kluczyłem jak mogłem. Ale jestem tylko starym człowiekiem. Nie nadaję się na bohatera sensacyjnych historii spod znaku płaszcza i szpady. Eleanor, musisz postąpić tak, jak powiedziałem. To jedyne wyjście.

– Tak, Eleanor. Doktor ma rację. To jedyne wyjście.

Zdumieni, odwrócili się jednocześnie. W drzwiach stał John. Ciężko opierał się o framugę, ale był spokojny i zdecydowany. Eleanor podeszła do niego. Zmierzyła go wzrokiem i ze zrezygnowaniem potrząsnęła głową.

– John, co ty wyprawiasz? Proszę, wracaj do łóżka. Jeśli jutro masz stąd odejść, musisz zbierać siły.

Wiedziała jednak, że dalsze namowy nie mają sensu. Był równie uparty jak ona.

– Chwileczkę, Elly. Zastanówmy się nad tym wspólnie – zerknął na lekarza i od razu odgadł, o czym ten myślał. Uważał jego życie za zmarnowane. John odwrócił głowę.

Doktor da Silva zagłębił się w rozważaniach. Nie zauważył wyrazu twarzy młodego człowieka. Co sprawiło, zastanawiał się, że John jest taki, a nie inny? Jakie potężne siły

zawładnęły jego życiem, życiem mężczyzny, który miał tyle możliwości, którego los obdarował tak szczerze? Był przystojny, inteligentny, odważny. I dokąd przywiodły go owe cechy? Prosto w objęcia śmierci. Doktor ze smutkiem słuchał Johna, oplakując go w głębi duszy.

– Eleanor, wiele się może zdarzyć. De Souza może odmówić pomocy w ostatniej chwili. Albo policja może przyłapać cię na jakimś kłamstwie czy nieściskości. W takiej sytuacji musisz mieć w zanadru coś, w co uwierzą. Coś tak żenującego i przykrego, że wolałaś najpierw kłamać, niż wyciągać intymne sprawy na światło dzienne – zamilkł na chwilę, świadomy, że obydwójce czekają na jego dalsze słowa. – Powiesz, że między tobą a Henrym nie układa się. Dowiedziałaś się, że mąż cię zdradza, i nie mogłaś tego znieść. Chciałaś uciec, wpadłaś w histerię, poprosiłaś doktora o pomoc. Wtedy pozwolił ci zatrzymać się tu przez jakiś czas, żebyś mogła ochłonąć i zdecydować, jak postąpić. Henry nie wiedział, gdzie się podziałaś, więc na użytek rodziny wymyślił bajeczkę o de Souzaach. Potem, kiedy zjawiała się policja, musiał się trzymać tej wersji. Jasne? Myślisz, że dasz radę to odegrać?

Spojrzał na nią uważnie. Z oczu Eleanor wyczytał szok i niechęć. Nie, nie da rady! Jak mogłaby narazić Henry'ego na takie upokorzenie po wszystkim, co dla niej zrobił, po tym jak ryzykował życie, by ją chronić? Zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Eleanor, to jedyne wyjście. Czy może masz inny pomysł? Pamiętaj, historia musi być wiarygodna. Zresztą to tylko dodatkowe zabezpieczenie. Pewnie w ogóle nie będzie potrzebne. – John zwracał się teraz do doktora, który sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. – A co pan o tym sądzi, doktorze? Czy to przekonująca wersja?

Lekarz przeczesał włosy palcami. Było oczywiste, że walczy ze sobą.

– Chyba tak. Z całą pewnością dobrze byłoby mieć w zanadru dodatkową bajeczkę, ale czy naprawdę musi być aż tak niesmaczna? Czy nic innego nie przychodzi ci do głowy?

Przez długą chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Byli świadomi nieufności, która wkradła się między nich. Doktor doszukiwał się w historyjce o Henrym ukrytych podtekstów, a John doskonale o tym wiedział.

– Jeśli ma pan lepszy pomysł, proszę bardzo. Jak mówiłem, fakt, iż ta wersja jest niesmaczna i żenująca, stanowi najlepszą gwarancję, że ją zaakceptują. Policja wierzy we wszystkie brudy. Przełkną to, ale na pewno nie pójdą na nic przyzwoitego.

Ostatnie zdanie wypowiedział słabym, ochrypłym głosem. Nadal ciężko opierał się o framugę. Zaniósł się kaszlem.

– Wracaj do łóżka, John. Zajmiemy się wszystkim – polecił surowo lekarz. Eleanor zaprowadziła kuzyna do sypialni, gdzie bezwładnie opadł na posłanie. Wyglądał na skrajnie wyczerpanego.

– Nie masz dość sił, by stąd odejść – upierała się. Uśmiechnął się leciutko, ale nie odezwał się ani nie otworzył oczu. Jego rozpalone czoło niemal parzyło dłoni. Troskliwie otuliła go kołdrą i wróciła do da Silvy.

Dyskutowali zawzięcie do późnej nocy. W końcu Eleanor uległa. Nie mogła zrobić dla Johna nic, co nie narażałoby na niebezpieczeństwo całej rodziny. Zgodziła się, że następnego

dnia rano John musi odejść, a ona wróci do miasta w niedzielę. Nie miała innego wyjścia.

Choć sama nie była głodna, podgrzała spaghetti. Poczęstowała lekarza i poszła nakarmić Johna. Spał. Mrucał coś i rzucał się niespokojnie, spocony i blady. Usiadła koło niego i, trzymając bezwładną rękę, modliła się jak jeszcze nigdy w życiu. Da Silva obserwował ją ukradkiem. Zrobiłby wszystko, byle tylko oszczędzić dziewczynie cierpienia.

– Do niedzieli! – zawołał na pożegnanie i wyszedł. Eleanor nawet nie podniosła głowy. Płakała.

Kiedy doktor w sobotni poranek odwiedził swojego pacjenta w *paldcio*, śledziło go podejrzliwe spojrzenie kapitana Almeidy. Areszt domowy trwał już cztery dni, a nic nowego nie wyszło na jaw. Kapitan powoli tracił cierpliwość.

Odprowadził da Silvę do pokoju Charlesa. Nie wyszedł, nawet kiedy lekarz badał pacjenta i mierzył mu ciśnienie.

– Czy to naprawdę konieczne, kapitanie? Chyba nie spodziewa się pan, że doktor wyciągnie Johna ze swojej torby niczym królika z kapelusza? A nie pojmuję, co innego mogłoby skłaniać pana do pozostawiania w mojej sypialni. Czyżby sprawiało panu przyjemność przyglądanie się, jak zdejmuję koszulę?

Tego dnia Charles był w wyjątkowo złośliwym nastroju. Kapitan zacisnął usta i wyszedł, z całej siły trzaskając drzwiami.

– Boję się, że pożałujesz tego. Nie powinieneś go drażnić, on ci tego nie zapomni. To tak jakbyś droczył się ze skorpionem – zauważył spokojnie doktor.

Charles wybuchnął śmiechem.

– Tak, masz rację, ale w jaki sposób miałem się go pozbyć? Co nowego? Da Silva opowiedział szeptem o ostatniej wizycie w domku na wydmach. Nie pominął także propozycji Johna, na którą Charles zareagował gniewnym prychnięciem.

– Też coś! W każdym razie nie posuniemy się tak daleko, chyba że w ostateczności. I to Henry, ze wszystkich mężów na świecie, akurat Henry miałby być niewierny? I tak nikt w to nie uwierzy.

Da Silva wzruszył ramionami.

– Któż to wie? Teraz jednak jako twój lekarz muszę cię ostrzec. Nie przejmuj się tym wszystkim, Charles. Masz za wysokie ciśnienie. Dwa razy dziennie zażywaj te tabletki i unikaj stresów. W drugiej fiolce są proszki na sytuacje awaryjne. Schodź z drogi wszelkim problemom. Nie wolno ci się irytować. Ta symulowana choroba jest bardziej rzeczywista, niż ci się wydaje. Proszę, uważaj na siebie, przyjacielu.

Uścisnęli sobie dłonie, poklepalili się po plecach i da Silva wyszedł.

Późnym popołudniem Sophie podjęła ostateczną decyzję. Henry nie zamienił z nią ani słowa od poprzedniego dnia, kiedy rozmawiał z Isobel. Zrozumiała, że jej nie wybaczy. Jakimś cudem Eleanor udało się zachować swe dawne miejsce w jego sercu. Powita ją z otwartymi ramionami i natychmiast zapomni o nocach z Sophie i niebezpieczeństwie, na jakie naraziła wszystkich domowników jego żona. Sophie z wściekłością kopnęła stolik. To nie ma sensu. Musi wyjechać, i to jak najszybciej, zanim ponownie zobaczy Henry'ego. Nie znieśie



widoku nienawiści w jego oczach. Nie teraz, kiedy kochała go nadal całym sercem.

Zaczęła się pakować.

Po wyjściu da Silvy zsunęła buty z nóg i ostrożnie wślizgnęła się do łóżka. Całym ciałem przywarła do Johna. Termofor ogrzewał mu stopy, ale nawet ciepła kołdra nie powstrzymywała dreszczy. Eleanor usiłowała ogrzać go swoim ciałem. Wiedziała, że najbliższe kilka godzin ma jej wystarczyć na całe życie. Ta myśl bolała, sprawiała, że dziewczyna wróciła wspomnieniami do tak odległych już, strasznych dni w dżungli. Żałowała, że wówczas nie zginęli. Wtedy na wieki pozostaliby razem. Zamknęła oczy i ukryła twarz na jego ramieniu.

Nie zmieniała pozycji przez całą noc. Taką zobaczył ją John, kiedy obudził się o świcie. Uniósł się na łokciu i pochylił nad nią, by musnąć ustami ciepły, słony od łez policzek. Nie drgnęła.

– Moja biedna Elly. Tak bardzo mi przykro – wyszeptał. Przykro, bo zniszczył życie ich obojga, zniszczył ich przyszłość. Nie miał jednak innego wyjścia. A ona wiedziała o tym. Jedyna zawsze go rozumiała i zawsze wybaczała.

– Kocham cię, Elly – przysunął usta do jej ucha. Śpiąca nie poruszyła się. Czującym gestem odsunął jej włosy z twarzy i otarł łzy z policzków. Przez długi czas wpatrywał się w nią intensywnie.

Kiedy jego uszu dobiegł warkot silnika, wstał i podszedł do okna. W pewnej odległości od domu zatrzymał się sfatygowany samochód terenowy. Kierowca, w którym ze zdumieniem rozpoznał Moreirę, rozglądał się niespokojnie. Tyle już lat upłynęło od sztormu w drodze do Santiago.

John uśmiechnął się, wyjrzał przez okno i pomachał. Zanim wyszedł, jeszcze raz pochylił się nad Eleanor. Spała z pogodną miną, jakby śniło jej się coś miłego. Przesunął dłonią po jej twarzy.

Pozbierał swoje rzeczy i wymknął się do frontowego pokoju. Eleanor nie poruszyła się.

Kiedy się obudziła, słońce stało już wysoko na niebie. Światło przenikało przez cienkie zasłony, zalewało pokój pomarańczowym blaskiem. Usiadła gwałtownie, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. Zaraz jednak przypomniała sobie wszystko. Rozejrzała się. John zniknął.

Zerwała się z łóżka i, wołając go, bosą pobiegła do łazienki. Odpowiedziała jej cisza. Nikogo nie było ani w łazience, ani w kuchni, ani w salonie. Przerazona wybiegła na werandę.

Dzień był piękny i złocisty. Upał otoczył ją miękkim uściskiem, wilgotne powietrze pieściło skórę. Odetchnęła głęboko, żeby się opanować. Zdziwiła się, kiedy poczuła pod stopami chłodny piach w cieniu budynku. Johna nigdzie nie było widać. Wróciła do salonu, rozglądając się uważnie. List znalazła niemal natychmiast.

Sięgnęła po niego drżącymi rękami.

*Najdroższa Eleanor, Zanim się obudzisz i przeczytasz te słowa, będę już daleko i tak jest najlepiej. Nie zniósłbym pożegnania z Tobą. Dziękuję Ci, jak zwykle. Zawdzięczam Ci*

wszystko. Proszę, pamiętaj o awaryjnej wersji wydarzeń. To według mnie jedyne możliwe rozwiązanie. Żałuję, że nie mogę być z Tobą, ale jesteś bezpieczniejsza beze mnie. Pamiętaj, że masz ukryć wszystko, czego używałem. Jeśli będzie trzeba, zakop te rzeczy na wydmach.

Kocham Cię. John

Ostrożnie, starannie składała kartkę, wygładzała ją dłońmi. Odszedł. Wszystko wskazywało na to, że tym razem już na dobre. Prześladowcy byli zbyt blisko, zawzięcie deptali mu po piętach, gotowi na wszystko. Pewnie widziała Johna po raz ostatni.

– Och, John... – wyrwało jej się. Ciężko oparła się o balustradę. Długo patrzyła na bezkresne wydmy.

W końcu odetchnęła głęboko i spojrzała na troskliwie poskładaną karteczkę, którą nadal ścisnęła w dłoni. Jakie to głupie z jej strony. Przecież tu nie chodzi tylko o jej życie, lecz także o los Henry'ego, Katherine i całej rodziny. Wróciła do kuchni i spaliła list. Potem zabrała się do pracy.

Policja zjawiała się w niedzielę wieczorem. Eleanor nie słyszała samochodów, nie widziała reflektorów, a kiedy się zorientowała w sytuacji, było już za późno. Siedziała na sofie, pogrążona w lekturze. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadli funkcjonariusze.

Wygląda na zdziwioną, pomyślał kapitan Almeida, ale nie przerażoną, jakby wiedziała, że niczego nie znajdą. Uderzyła go jej uroda. Oto miał przed sobą kobietę, która zbijała go z tropu swoją pięknnością, klasą, stylem. Była *fin a gente* do szpiku kości. Poczul wściekłość, że traci panowanie nad sobą, podczas gdy ona zachowuje spokój. Wyprostował się dumnie.

– Niestety, *senhora*, doktorek nie dość często zerkał w boczne lustro. Czeka na nas w moim samochodzie. Musieliśmy go, oczywiście, aresztować. – Nagła bladeść Eleanor nie umknęła jego uwadze. – Tak więc, zamiast z nim, pojedzie pani ze mną. Najpierw jednak wyjaśnijmy sobie pewną sprawę. Gdzie jest John Campos de Serra? Gdzie go pani ukryła? – zapytał miękko. Podniosła na prześladowcę duże oczy, zielone jak winogrona. Strach, który się w nich malował, sprawił mu radość. Uśmiechnął się.

– John – powtórzyła, dokładnie tak jak się tego spodziewał. Wtedy uderzył ją. Upadła na miękkie poduszki kanapy. Instynktownie zasłoniła się przed następnym ciosem. Jego palce zostawiły brzydki, czerwony ślad na gładkiej skórze. Kapitan Almeida uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Tak, *senhora*. Pani kuzyn, Campos de Serra. Gdzie on jest? Zapytam panią jeszcze tylko jeden raz.

Mówił teraz cicho, jakby podnosił głos tylko wtedy, gdy tracił panowanie nad sobą. Jedwabisty szept był jednak o wiele bardziej przerażający.

Eleanor potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Nie było go tutaj... – nie skończyła. Uderzył ją ponownie. Upadła na podłogę pod gradem ciosów. Ciężko dyszała, przerażona i obolała. – Nie wiem! – krzyknęła. Potem wydawało się jej, że całe ciało eksploduje bólem raz po raz, kiedy dosięgały ją kopniaki kapitana.

Była półprzytomna, kiedy Henry'emu pozwolono ją zobaczyć. Wiedziała, że zabrano ją z domku na wydmach, ale nie miała pojęcia, gdzie się teraz znajduje. Przypuszczała, że w Rio. Nie mieli dla niej litości, pamiętała jednak, że nie powiedziała niczego obciążającego. Gdyby nie ból, jaki sprawiało każde drgnienie mięśni, uśmiechnęłyby się. Bili ją tak brutalnie, że przez prawie cały czas była nieprzytomna i nie mogła odpowiadać na pytania. To był błąd kapitana Almeidy. Nie potrafił pohamować nienawiści. Teraz czuła tylko obojętność. Osiągnęła ten stan, kiedy ból już jej nie dosięgał, gdy miała wrażenie, że jej ciało należy do kogoś innego. Owo złudzenie dawało jej siłę. Niech tylko spróbują. Ona i tak nic nie powie.

Jak przez mgłę Eleanor zobaczyła pochylonego nad sobą Henry'ego. Za jego plecami stał papa o ponurej, ściągniętej gniewem twarzy. Próbowwała powiedzieć im, że czuje się dobrze, ale nie miała siły. Po chwili zniknęli. Słyszała podniesione głosy, ponieważ jednak to nie na nią tym razem krzyczano, zamknęła oczy i odpłynęła w niebyt. Nie zdążyli. John jest bezpieczny.

– Nie miałeś prawa, ty sukinsynu! Johna tam nie było! Nigdy go tam nie było, rozumiesz? Uciekła ode mnie, bo... bo... – w tym momencie Henry'emu załamał się głos. Nie mógł mówić dalej. Ukląkł przy Eleanor i otarł krew z jej czoła. Apatycznie słuchał, jak Charles zasypuje Almeidę stekiem obelg.

Wstający dzień barwił mały gabinet szarym światłem, szarym jak mundur kapitana, szarym jak twarz Henry'ego. Almeida nie przejmował się wyzwiskami.

– Co pan mówił, *senhor!* Pańska żona uciekła, bo... – pochylił się nad biurkiem.

Henry podniósł na niego wzrok pełen nienawiści.

– Bo dowiedziała się, że mam romans – wypluł. Kapitan uśmiechnął się.

– Ach tak, z uroczą *senhoritą* Gastambide, prawda? Wspomniała coś o tym, kiedy prosiła o zezwolenie na wyjazd do Paryża. Osobiście odprowadziłem ją do samolotu. Więc pan temu nie zaprzecza? No, ale to nie ma nic do rzeczy. Wiemy, że pańska żona ukrywała Camposa de Serrę. Niestety – z zainteresowaniem godnym lepszej sprawy oglądał guzik u marynarki – uciekł przed naszym przybyciem i zostawił cały bałagan na głowie pańskiej żony i szanownego doktora. Ku mojemu rozczarowaniu, żadne z nich nie przejawia chęci do współpracy. Pomyślałem sobie, że pan, *senhor* Arreas, zechce pomóc nam odnaleźć człowieka, który naraził pańską żonę na tyle przykrości. Może zresztą ma pan także inne ku temu powody? O ile wiem, od dawna już plotkowano na temat tych dwojga – uśmiechnął się, widząc że Henry opuszcza głowę.

Charles pochylił się nad Almeidą, przytłaczając go wzrostem. Był wściekły; jego głos drżał od nadmiaru emocji.

– Moja córka nie miała ze swoim kuzynem żadnego romansu, ale pan tego nie zrozumie, prawda? Nie wywodzi się pan z kręgów, gdzie wierność i uczciwość małżeńska są na porządku dziennym. Bicie kobiety to dla pana coś oczywistego, prawda? I za co? Na podstawie ordynarnych plotek? A od kiedy cudzołóstwo jest przestępstwem? Zresztą to, co pan sugeruje, jest wręcz śmieszne. Eleanor i John to kuzynowie w pierwszej linii...

– Wiem o tym doskonale. Dlaczego jednak pański zięć wdawałby się w romans z *senhoritą* Gastambide? Bo wiedział, co łączy jego żonę z jej *primoinnao*. To oczywiste. Jedno

małżeństwo, dwoje zdrajców. Zakładam, że takie zwyczaje panują wśród *fina gentel* – zakończył drwiąco.

– Myli się pan. To ja jestem winien, nie Eleanor. Ona nigdy nie zrobiłaby nic niewłaściwego. – Henry uniósł głowę. Nie mógł dłużej patrzeć, jak Eleanor z trudem łapie powietrze, jakby każdy oddech sprawiał jej ból.

Almeida był wyraźnie zbity z tropu. Albo Arreas był wyśmienitym aktorem, albo mówił prawdę. Z drugiej strony jego żona wcale nie musiała sypiać z Camposem de Serrą. Może po prostu się nim opiekowała. Przecież podobno ciężko chorował. Kapitan uważnie obserwował Henry'ego.

– Henry! Dość! Co ty opowiadasz? Zdrada? Ty i Sophie? Daj spokój. Nie życzę sobie, by wygadywano takie rzeczy na temat mojej rodziny. – Charles umilkł dopiero, kiedy spojrzał w twarz zięcia. – Na Boga! – jęknął po dłuższej chwili, kiedy w końcu dotarło do niego, że Henry wyznaje prawdę, a nie opowiada jakąś wcześniej przygotowaną bajeczkę.

Starszy pan otarł czoło rękawem. Pot zalewał mu czoło, szczypał w oczy.

– To niemożliwe! Jak mogłeś? Z Sophie? W moim domu? Pod moim dachem? – był zagubiony, przerażony i dotknięty jednocześnie. Spojrzał na bezwładne ciało córki. – Ty? To ty jesteś odpowiedzialny za to, co zrobili mojej Elly? Ty i twoja mała, paskudna... – nie dokończył. Zacisnął palce na gardle. Jęknął.

Ból, który tak dobrze pamiętał, przeszył mu serce dotkliwiej niż poprzednio. Charles sięgnął do kieszeni po tabletki wiedząc, że już za późno, że w zamieszaniu zostawił je w domu. Jęknął ponownie, wysoko, chrapliwie, i ciężko zwałił się na podłogę.

Kapitan nieufnie patrzył, jak Fawcett łapie się za serce i chwieje na nogach. Kazał strażnikom wezwać lekarza. Może to tylko błąd, atak hysterii? Był pełen wątpliwości.

Kiedy chory osuwał się na ziemię, zięć podtrzymał go, otoczył ramionami. Kapitan nadal nie mógł się zdecydować. Z krzykiem odepchnął Henry'ego, uderzył Charlesa w twarz, ale już było za późno. Fawcett miał szeroko otwarte, puste oczy i rozdęte nozdrza, jakby chciwie wdychał powietrze. Wargi przybrały niebieskawy odcień.

Henry odtrącił Almeidę i pochylił się nad teściem. Próbował tchnąć w stare ciało życie. Daremnie jednak. Wyczerpany, usiadł ciężko. Za późno. Charles odszedł. Ot tak, w ciągu kilku sekund. Kapitan nerwowo wycierał dłonie w spodnie.

Henry trzymał w ramionach bezwładne ciało. Nie zwrócił uwagi na oficera, który wszedł do gabinetu. Pustym wzrokiem wpatrywał się w Eleanor. Łzy sprawiały, że widział ją nieostro. Docierały do niego głosy, niektóre gniewne, inne przepraszające, ale nie słuchał. Myślał tylko o tym, że Charles nie żyje, Eleanor jest bliska śmierci, a jego już nic nie obchodzi. Mogą z nim zrobić, co zechcą. Życie bez Eleanor nie ma sensu.

Kiedy zabierali zwłoki, sprzeciwił się. Odepchnęli go jednak i wynieśli Charlesa z pokoju. Henry rozejrzał się ponownie; także Eleanor zniknęła. Szamotał się, krzyczał, by mu ją oddali, ale nikt go nie słuchał. Potem poczuł ukłucie w ramię i pokój zawirował, tańczył coraz szybciej i wysał go, pochłaniał.

Mała łódka trzymała się fali. Prześlizgiwała się swobodnie, nonszalancko, jakby chciała pokazać, że dawała już sobie radę z gorszą aurą. John siedział skulony na dnie, żeby nie

wypatrzyły go czujne oczy szpiegów. Moreira powiedział mu, że jeżeli pogoda się utrzyma, dotrą do celu za trzynaście godzin. Młody człowiek nie chciał nawet o tym myśleć. Czuł się gorzej niż wówczas, kiedy poszedł do Eleanor po pomoc. Dręczyła go nie tylko gorączka, lecz także przerażenie, że wciągnął Elly i całą rodzinę w swoje piekło.

Pod nim chłupotała ciemna woda. Zamknął oczy i oparł głowę o burtę. Na brzegu miał, według zapewnień Moreiry, czekać samochód, który zabierze ich w bezpieczne miejsce. John westchnął ciężko. Nie wiedział, w ilu jeszcze „bezpiecznych miejscach” przyjdzie mu się ukrywać, ale żywił przekonanie, że jest ich coraz mniej. Szczęście zaczynało go opuszczać. Najwyższy czas zmienić pracę, stwierdził ironicznie. Kiedyś, jeszcze kilka dni temu, skwitowałby ten pomysł śmiechem. Teraz poważnie się zaczął zastanawiać.

Teresa się z nim nie zobaczy. Moreira wyjaśnił, że byłoby to dla niej zbyt niebezpieczne. Johnowi spadł kamień z serca. Nie chciał teraz zaprzętać sobie głowy Teresą, nie chciał krzywdzić ani narażać nikogo więcej. Moreira to co innego. Miał dług do spłacenia i cieszył się z możliwości wyrównania rachunku, życie za życie. Wspaniałomyślny gest z jego strony. John wcale się tego nie spodziewał. Przecież poznali się tak dawno temu, w innym świecie. Boże, spraw, żeby Eleanor nic się nie stało. Nie mógł przestać o niej myśleć. Tępym wzrokiem wpatrywał się w wodę.

Henry obudził się w małym pokoiku, oddzielony parawanem od oczu ciekawskich. Bolała go głowa, w ustach czuł nieprzyjemny smak. W pierwszej chwili wydawało mu się, że miał wypadek samochodowy. Zaraz jednak powróciły wspomnienia. Zawołał Eleanor. Usłyszał kroki zbliżające się w jego stronę. Złapał więc metalową tacę i cisnął ją za parawan. Upadła z głośnym brzękiem.

Pojawił się mężczyzna w białym uniformie, zaraz też przybiegł drugi, ubrany podobnie. Przytrzymywali Henry'ego, nie pozwalali mu wstać, podczas gdy on krzyczał, szarpał się i kłął. Nagle osłabł. Przestał się szamotać, ciężko opadł na posłanie. Obserwowali go. Ich wielkie głowy zasłaniały lampę i sufit. Z całej siły zacisnął powieki.

Kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył trzeciego mężczyznę. O ile się nie mylił, nowo przybyły nosił epolety pułkownika.

Henry posłał mu zdumione, zmęczone spojrzenie.

– Gdzie jest moja żona? Co z nią zrobiliście? – zapytał cicho.

– Spokojnie, *senhor*. Pańska żona jest w dobrych rękach. Chciałbym gorąco przeprosić za to, jak was potraktowano. Doszło do tragicznego nieporozumienia.

Pułkownik nie kłamał. Być może kapitan Almeida posunął się za daleko? Może przekroczył swoje kompetencje katując Eleanor? Przerażony, z trudem przełknął ślinę.

– Chcę ją zobaczyć. – Pułkownik przecząco pokręcił głową, ale Henry nie dał mu dojść do słowa. – Charles Fawcett nie żyje przez to, co z nią zrobiliście. Chcę ją zobaczyć – miał zawroty głowy, jakby był wycieńczony chorobą.

– Proszę, *senhor* Arreas, doprawdy jest pan zbyt osłabiony, by podróżować. Pańskiej żony tu nie ma. Przewieźliśmy ją do szpitala. Pan jest w naszej klinice. Powinien pan nieco odpocząć. Środek uspokajający, który panu zaaplikowano, nie przestał jeszcze działać. We właściwym czasie zawieziemy pana do żony – zamilkł, bo umundurowany funkcjonariusz

zajrzał za parawan i oznajmił mu coś szeptem. – *Senhor*, pański ojciec chciałby się z panem zobaczyć. Czy mam go wprowadzić?

Henry zamknął oczy. Nie miał pojęcia, w jaki sposób wyzna ojcu prawdę. Cóż, zaraz się sam o tym przekona. Uniósł powieki i skinął głową.

– Tak, proszę.

Twarz Arreasa seniora była szara. Nigdy dotąd Henry nie myślał o nim jako o starym człowieku, teraz jednak z całą wyrazistością uświadomił sobie, że ojciec jest stary. Uśmiechnął się z trudem.

– Jak się masz? – Arreas postąpił krok do przodu. Posłał lodowate spojrzenie funkcjonariuszom i czekał, aż wyjdą. Pułkownik uniósł dłoń i po chwili wszyscy zniknęli za parawanem.

– Poczuję się lepiej, kiedy zobaczę Eleanor. Oni... skrzywdzili ją, ojczce. Pobili – nie mógł mówić. Stary adwokat ze zrozumieniem uściśnął jego dłoń.

– Wiem. I wiem też o Charlesie. Prosto stąd pojedę do Clarissy. Nie mam pojęcia, co mógłbym jej powiedzieć, jak pomóc, jak wytłumaczyć to, co się stało.

Pułkownik poruszył się niespokojnie, odchrząknął.

– *Senhor* Arreas, daję panu moje słowo, że zrobię wszystko, by to wyjaśnić. Nie powinno było dojść do ostatnich wydarzeń. Proszę przyjąć moje najszersze przeprosiny. My... ja nie jestem barbarzyńcą. Gdybym tu był, nigdy nie zezwoliłbym na podobne bestialstwo. Niektórzy ludzie... cóż, zadbam o to, by winnych spotkała zasłużona kara.

Pułkownik mówił szczerze. Henry chciałby powiedzieć mu, że wszystko w porządku, że rozumie, nie potrafił jednak tego zrobić. Nic już nigdy nie będzie w porządku.

– John Campos i moja żona nie są kochankami. Ona nigdy nie postąpiła... niewłaściwie. Domagam się, by ją zwolniono – oznajmił twardo.

Pułkownik, zmieszany, opuścił głowę.

– Kiedy tylko to będzie możliwe, *senhor*, ona i doktor da Silva udadzą się do domu. Sam tego dopilnuję. Kapitan Almeida nie znalazł żadnych dowodów pobytu Camposa de Serry w domku na wydmach. Nie mamy powodów sądzić, że pańska żona kłamałaby nawet podczas tortur. Zeznania doktora da Silvy pokrywają się z tym, co nam powiedziała. Kapitan Almeida okazał się... nadgorliwy. Jeszcze raz bardzo przepraszam – zacisnął usta, skinął im głową i wyszedł. Jego kroki wypełniły korytarz echem.

Henry spojrział na ojca i ponownie zamknął oczy, gromadząc resztki odwagi. Przełknął ślinę.

– Ojczce... o Boże – przerwał. Poczuł, że starszy pan mocniej uściśnął jego dłoń. – Jest... – odchrząknął – jest coś, o czym muszę ci powiedzieć – znowu umilkł. Nie wiedział, jak ubrać fakty w słowa. – To długa i skomplikowana historia, sam nie wiem... Sophie powiedziała mi, że Eleanor ma romans z Johnem. Twierdziła, że to zaczęło się przed naszym ślubem... i trwało dalej. Nie wiem dlaczego, ale uwierzyłem jej. Może po prostu byłem zazdrosny – westchnął ciężko. Nie śmiał spojrzeć ojcu w oczy. – Ja... spałem z Sophie... wiele razy.

Jęknął na samo wspomnienie i szybko opowiedział, jak doszło do śmierci Charlesa. Arreas senior milczał. Potrząsnął głową dopiero, kiedy Henry skończył.

– Czy oprócz kapitana Almeidy ktoś o tym wie? Nie mówię o twoim związku z Sophie, ale czy ktoś wie, co spowodowało śmierć Charlesa?

Henry zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, chyba nie. Nie mam pojęcia, co powiem Clarissie. A Eleanor? – Wydawało mu się, że nie potrafi żyć z tak koszmarnym poczuciem winy.

– A co to zmieni, jeśli im powiesz? – zapytał szorstko ojciec. Henry posłał mu zdumione spojrzenie. – Kto im doniesie, gdy my tego nie zrobimy, co? Nikt. Pomyślał, że Charles zdenerwował się, bo policjanci skatowali Eleanor, i dlatego dostał zawału. Uznają to za tragiczny wypadek. Nikt nie poczuje się lepiej, jeśli wyznasz prawdę. Nikt, z wyjątkiem ciebie, oczywiście. Moim zdaniem jednak nie zasługujesz na to, by czuć się lepiej. Musisz z tym żyć. Ty dasz sobie radę. One – nie – ojciec zacisnął zęby i odwrócił wzrok. Dopiero po dłuższej chwili wrócił spojrzeniem do syna. – Powiem im, że Charles miał atak serca w gabinecie kapitana Almeidy, nic więcej. Aha, a ta Sophie? Zakładam, że już wyjechała? Dobrze, to ułatwia sprawę. Nie chciałbym narażać Clarissy na dodatkowe stresy ani tym bardziej Eleanor. Zapamiętaj to sobie, Henry, na wypadek gdybyś kiedyś chciał ulżyć swemu sumieniu. One na to nie zasługują.

W oczach starego adwokata czaił się ból. Przez chwilę Henry obawiał się, że ojciec nigdy mu nie wybacza, kiedy jednak napotkał jego spojrzenie, dostrzegł w nim zrozumienie i miłość. Było to jak szklanka wody dla spragnionego.

Dopiero później Henry przypomniał sobie, że Isobel mówiła to samo. Eleanor na to nie zasługuje. Skinął głową, wdzięczny ojcu za jedynie słuszną radę.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

*Sierpień 1969*

Prezydent Costa e Silva nie żyje. Nowina zaskoczyła Brazylijczyków. Dzień jego śmierci ogłoszono dniem żałoby narodowej. Sklepy i urzędy zostały zamknięte. Nie wolno było słuchać głośnej muzyki. Odwoływano przyjęcia, ludzie nie wychylali nosa z domów. Rio wyglądało jak wymarłe miasto.

Eleanor i Katherine siedziały razem na podłodze. Dziewczynka z zapalem rysowała coś w książeczce do kolorowania, a matka zastanawiała się, co przyniesie im najbliższa przyszłość. Machinalnie gładziła jasną główkę córeczki i odruchowo wyjęła jej z buzi kredkę w obawie, że mała się zadławi. Za miesiąc Katherine skończy cztery lata. Na tę myśl Eleanor poczuła się staro. Miała prawie dwadzieścia sześć lat, stawiała się panią w średnim wieku. Uśmiechnęła się gorzko. Rozpoczęła już przygotowania do przyjęcia urodzinowego dla Katherine. Miało się ono odbyć w domu Isobel, bo ich mieszkanie było zbyt małe. Rodzice Louisa kupili młodym dom z ogrodem, choć nie przyszło im to łatwo.

Eleanor z żalem spojrzała na obrazek, nad którym właśnie pracowała Katherine. Przedstawiał fontannę w ogrodzie. Co za szkoda, że nie mieszkają już w *paldcio*. Musieli się wyprowadzić niemal natychmiast po śmierci papy. Okazało się, że budynek był obłożony hipoteką od piwnicy po strych. Komornik zajął wszystko, zanim do końca zorientowali się w sytuacji finansowej, co zresztą nie znaczy, że zwłoka by ich uratowała. Finanse firmy przedstawiały się tragicznie. Biedny papa na pewno się tym zamartwiał. Nie pojmowała, jakim cudem udawało mu się ukrywać przed rodziną wszystkie długi.

Dzięki wsparciu rodziców Henry'ego mogli pozwolić sobie na kupno 315 mieszkań. Wskutek inflacji ich zasoby topniały jednak w zastraszającym tempie. Fundusz powierniczy właściwie już nie istniał, wystarczał jedynie na żywność i ubranie dla niej i Katherine. Na szczęście Henry dobrze zarabiał. Oszczędzali na czym tylko się dało z nadzieją, że za rok czy dwa będą w stanie kupić dom. Czegóż więcej mogła chcieć? Byli zadowoleni z życia.

Sięgnęła po gazetę. Zignorowała olbrzymie nagłówki artykułów poświęconych śmierci prezydenta. Skoncentrowała się na notatce, która przyciągnęła jej uwagę już wcześniej, kiedy Henry przeglądał prasę.

„Odziały terrorystów stanowią zbrojny odłam opozycji. Akty terroryzmu nasiliły się w ostatnim czasie. Choć partia komunistyczna odżegnuje się od związków z terrorystami, wiele skrajnych lewicowych ugrupowań wypowiedziało państwu wojnę, licząc, jak twierdzą wtajemniczeni, na masowe poparcie ludności. Chcą wzbudzić powszechny gniew, co umożliwiłoby im przejęcie władzy... „ Następnie wyliczano porwania, napady i strzelaniny ostatnich miesięcy. Najwyraźniej cenzorzy nie byli tak uważni, jak im się wydawało. Eleanor uśmiechnęła się. Może to John w końcu wyrzucał z siebie gniew.

– Spójrz, mamó! Pomalowałam wodę na czerwono! – chichot Katherine wytrącił ją z



zadumy. Mała wymachiwała jej przed nosem czerwoną kredką. Eleanor z rozbawieniem spojrziała na rysunek.

– Rzeczywiście, rybko! A jakiego koloru jest woda normalnie?

– Niebieska! Ale ja wolę czerwoną. A ty nie, mamusiu? Tatusiu, tatusiu, podoba ci się czerwona woda? – Henry właśnie wszedł do pokoju. Katherine natychmiast zerwała się z podłogi i podbiegła do ojca. Uwielbia go, pomyślała Eleanor. Wiedziała, że nie potrafiłaby ich rozdzielić. Zresztą jak mogłaby opuścić Henry’ego po tym wszystkim, co dla niej zrobił? Ani razu nie obwiniął jej o śmierć Charlesa, a przecież to przez nią umarł papa, przez nią i przez Johna. Papa miał rację. John okazał się jego nemezis.

Henry wziął Katherine na ręce i z aprobatą obejrzał rysunek. Eleanor szukała między nimi jakiegoś podobieństwa, dowodu na to, że naprawdę są ojcem i córką, ale jak zwykle nie znalazła niczego. Katherine była miniaturową kopią matki, tyle tylko, że miała niebieskie oczy.

– Co powiesz na przechadzkę po parku? To chyba nie zakłóci żałoby narodowej? – zaproponował nagle Henry. Zgodziła się. Wstała i strzepnęła ze swetra i spodni kurz. Z uśmiechem podszedł do żony i pomógł się jej pozbyć szarych kłaczków.

– Myślałam, że wybieramy się na spacer? – upomniała żartobliwie. Z westchnieniem uniósł ręce i cofnął się o krok.

– Każdy rodzaj gimnastyki dobrze mi robi – odparł łagodnie. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył jej minę. – No cóż, nie możesz winić faceta za to, że próbuje, prawda? – szybko pocałował ją w usta i musnął palcem małą bliznę na policzku, pamiątkę po spotkaniu z kapitanem Almeidą. Eleanor uścisnęła mu dłoń. Katherine, zniecierpliwiona, ciągnęła ojca za nogawkę.

– Tatusiu, czy mamusia też z nami pójdzie? – tańczyła po pokoju, prezentując układ baletowy własnego pomysłu, aż Henry wybuchnął śmiechem.

– Tak, cukiereczku, mamusia też z nami pójdzie.

Ubierał już małą w płaszczyk. Eleanor poczuła ukłucie bólu. „Cukiereczku”. Tak samo nazywał ją papa. Odepchnęła od siebie falę wspomnień.

– Katherine, niech tatuś zawiąże ci buciki. Wiesz, że w parku nie możesz biegać boso. Jeśli będziesz grzeczna, pójdziemy potem do babci. Chcesz?

Nie musiała pytać. Mała rozpromieniła się natychmiast. Eleanor puściła oko do Henry’ego.

– Mama dzwoniła – wyjaśniła szeptem. – Dzisiaj są urodziny Carlosa. Kończy sześćdziesiąt lat. Obiecałam, że wpadniemy.

Carlos da Silva i Clarissa byli małżeństwem od sześciu miesięcy. Eleanor codziennie dziękowała Bogu za uprzejmego, spokojnego człowieka, który tak wiele zrobił dla jej rodziny i tak bardzo kochał matkę. Wiedziała też, że papa chciałby, by ktoś zaopiekował się Clarissa. A któż nadawał się do tej roli lepiej niż stary przyjaciel?

Henry skinął głową i, dokładnie opatulwszy Katherine, sięgnął po płaszcz.

– A prezent? – zapytał. Eleanor wzruszyła ramionami.

– Zapakowałam butelkę portwajnu. Mama zawiadomiła nas bardzo późno, wszystkie

sklepy są pozamykane. Nie mogłam wymyślić nic lepszego. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Była to ostatnia butelka z barku Henry'ego. W najbliższym czasie nie będą mogli pozwolić sobie na kupowanie drogich trunków. Potrząsnął głową.

– Nie, skądże. Jeśli ktoś na nią zasłużył, to właśnie Carlos.

Wziął Katherine za rękę, podał ramię żonie i poprowadził swoje panie do parku. Był to ponury zimowy dzień, szary i pochmurny, odpowiedni na pogrzeb.

– A jak Clarissa? Nadal cieszy się życiem? – zapytał od niechcienia. Eleanor uśmiechnęła się pod nosem.

– Znasz ją przecież. Lubi, żeby wszystko wokół niej układało się gładko, a Carlos o to dba. Jak mogłaby nie cieszyć się życiem? Kiedy tylko minął szok wywołany śmiercią papy i perspektywą życia w ubóstwie, wiedziała, komu odda serce. Mama jest twarda – w jej głosie nie było cienia wyrzutów. W pełni popierała decyzję matki.

– Tak jak my wszyscy. Życie nas tego uczy. Powiedz, co sądzisz o tym nowym facecie, Medicim? Podobno ma zamiar ponownie zwołać Kongres? – zmienił temat.

– Tak, żeby zatwierdzili jego prezydenturę. Potem znowu rozpędzi ich na cztery wiatry – odparła ostro. Henry tylko pokiwał głową.

W ciągu minionego roku studenci i robotnicy ginęli za to, że brali udział w nielegalnych strajkach, księża byli torturowani i rozstrzeliwani, wolność słowa stała się fikcją. Piąty Akt Instytucjonalny dawał prezydentowi władzę dyktatora, pozwalał bezkarnie zawieszać działalność parlamentu na czas nieokreślony. Czystki objęły wszystkie ważne urzędy w kraju. Cała Brazylia żyła w strachu.

Eleanor nie wiedziała nic o losie Johna, ale Henry czuł, że ciągle nie traci nadziei. Wszyscy żyli nadzieją; nie mieli innego wyjścia.

– Cóż – odparł z namysłem po długim milczeniu. – Pewnie masz rację. ARENA wygra wszystkie możliwe wybory. Nikt nie chce już nadstawiać karku, bo prawdopodobieństwo, że zostanie skrócony o głowę, jest zbyt duże. Och, nie mówmy o tym. Czy wiesz, że reprezentuję w sądzie Teresę? Wytoczyła proces firmie, która nielegalnie wykorzystwała jej zdjęcia dla celów reklamowych. Menedżer Teresy wczoraj do mnie zadzwonił. Powiedziałem, że się nad tym zastanowię. Miałem powiedzieć ci wcześniej, ale zupełnie o tym zapomniałem przez cały ten cyrk z Costa e Silva. I co ty na to? Nie ma jak rodzina – zażartował.

Podniosła na niego zdumione spojrzenie.

– Dobry Boże, naprawdę będziesz ją reprezentował? Myślałam, że jesteś ostatnim prawnikiem w Brazylii, do którego zwróciłaby się o pomoc! Przecież ona nigdy nie lubiła naszej rodziny.

Nowina zdziwiła ją i rozbawiła jednocześnie. Eleanor pomyślała od razu, że Teresa chce się dowiedzieć czegoś o Johnie. Jeśli tak, to źle wybrała.

– Tak, wiem, ale w tej chwili nie mogę sobie pozwolić na odrzucenie lukratywnej propozycji. Może, jeśli uda mi się na tym sporo zarobić, pomyślimy o drugim dziecku? Nie uważasz, że Katherine przydałoby się towarzystwo? – spojrzał na żonę z błaganiem w oczach. Z wysiłkiem skinęła głową.

– Jeśli uważasz, że damy radę... Ale musisz być tego całkowicie pewny. Cały czas obawiam się, że nie będzie nas stać na szkołę dla Katherine, a co dopiero dla drugiego dziecka.

– Poradzimy sobie, kochanie, obiecuję.

Katherine oddaliła się od nich, hasała na placu zabaw. Na chwilę Henry zapomniał o córce. Wziął Eleanor w ramiona. Jego uczucia były aż nadto oczywiste. Odwzajemniła uścisk, choć najchętniej wyrwałaby się z jego objęć. Nie potrafiła jednak go zranić. Co by poczęła bez Henry'ego? Był opoką w jej życiu. Skwitowała uśmiechem swoje głupie plany rozwodu, wyjazdu do Anglii. Jak mogła w ogóle o tym myśleć?

– Kocham cię, Eleanor. Chcę, żebyś zawsze o tym pamiętała – trzymał jej twarz w dłoniach.

Uśmiechnęła się.

– Wiem o tym. I nie przetrwałabym bez twojej miłości, bez ciebie – pogładziła go po policzku. Z całego serca chciała wypowiedzieć słowa, na które czekał, ale wyznanie nie przechodziło przez gardło. Żywiła dla niego gorące uczucie, jednak kochała go jak przyjaciela, nie jak męża. Oddałaby wszystko, by to zmienić albo żeby chociaż przekonująco skłamać.

Płacz Katherine, która spadła z huśtawki, przyciągnął jego uwagę. Eleanor odetchnęła z ulgą. Niebezpieczna chwila minęła.

Przykro mi, Henry, pomyślała tuląc córeczkę do siebie. Tak bardzo mi przykro.

### *Listopad 1969*

Teresa siedziała sztywno wyprostowana i z zainteresowaniem przyglądała się swoim paznokciom. Lśniły czerwonym lakierem.

– Henry, przecież kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje z moim mężem? Chyba mam prawo to wiedzieć?

Uśmiechnął się zakłopotany, odruchowo poprawiając kosmyk, który jak zwykle niesfornie opadał mu na czoło.

– Oczywiście, że masz prawo, Tereso. I zapewniam cię, że gdybym cokolwiek wiedział, nie ukrywałbym tego przed tobą. Niestety jednak, nie mieliśmy od niego żadnych wieści od ponad roku. Ty prawdopodobnie wiesz więcej niż my.

– Na pewno nie więcej niż Eleanor. Ona zawsze wie, gdzie on jest, czyż nie? – padła szybka, zjadliwa odpowiedź.

Westchnął.

– Nie, nie wie. Gdyby ludzie przestali opowiadać takie bzdury, wszystkim nam wyszłoby to na dobre. Eleanor do dziś nosi bliznę po ostatnim spotkaniu z Johnem i policją. Nie chcę, żeby ponownie spotkała ją coś złego.

Patrzył na Teresę i nie mógł nadziwić się zmianom. Młodziutka dziewczyna, która zjawiła się niegdyś na gwiazdkowym przyjęciu w *paldcio*, zniknęła gdzieś bez śladu. Obecna Teresa była gładka i twarda jak onyks, i równie nieprzenikniona.

– Słuchaj, może przyjdiesz dziś do nas na kolację i sama porozmawiasz z Eleanor? Kiedy już wyjaśnisz swoje wątpliwości, przedyskutujemy sprawy zawodowe – uśmiechnął się czarująco, ale tym razem zrobił to w pełni świadomie.

Jest nadal przystojny, ale już nie tak niewinny jak podczas ich pierwszego spotkania, stwierdziła Teresa. Utracił chłopięcą naiwność. Szkoda, wołała go takim, jakim był dawniej.

– Dobrze. Dziękuję za zaproszenie. Przyjdę.

Henry zadzwonił do domu i zawiadomił Eleanor, a potem opisał Teresie drogę do ich mieszkania. Nie była to dzielnica, w której spodziewałaby się go spotkać. Cóż, najwyraźniej • oprócz duchowych, poniósł także straty materialne. Uśmiechnęła się lekko.

– Do zobaczenia wieczorem.

Eleanor wcale nie ucieszyło, że Teresa przychodzi na kolację. Co miały sobie do powiedzenia? Ostatnio widziały się prawie osiem lat temu, kiedy Teresa obraziła ją oskarżeniami podczas rewii mody. Oskarżeniami, które z czasem okazały się w pełni uzasadnione. Od tamtej pory Teresa wyszła za mąż, straciła dziecko, straciła Johna i z pomocą Bóg wie jakich metod zrobiła karierę. Eleanor nie widziała żadnych wspólnych tematów.

Zdenerwowana, poszła do kuchni. Postanowiła podać polędwicę w ciężkim, winnym sosie. Składniki tego dania kosztowały tyle co cała żywność na trzy dni, ale Eleanor nie chciała dać Teresie powodów do radości z ich upadku. Z *palacio* udało im się zabrać część mebli: komplet stołowy z małej jadalni, sekretarzyk Clarissy, jej biurko. Wazony pełne kwiatów dopełniały wystroju małego mieszkania.

Zła na siebie, że obchodzi ją opinia Teresy, Eleanor poszła do łazienki przebrać się.

Przyszła godzinę wcześniej, niż było umówione. Eleanor otwierała drzwi zastanawiając się, kto odwiedza ich o siódmej wieczorem bez zapowiedzi. Na progu stała Teresa w sukni z brzoskwińowej satyny. Eleanor gorączkowo szukała w głowie odpowiednich słów.

Przed spotkaniem Teresa wyobrażała sobie, że Eleanor się postarzała i utyła. Ku swemu rozczarowaniu stwierdziła, że kobieta, która otworzyła jej drzwi, niewiele różni się od poznanej przed laty dziewczyny. Była bardziej dojrzała, ale dzięki temu również piękniejsza. Nie uległa modzie i nie ścięła długich jedwabistych włosów. Spływały złotą falą aż na plecy, a jeden kosmyk opadał na czoło dokładnie tak samo jak u Johna. Ponownie uderzyło ją ich fizyczne podobieństwo.

Miała na sobie zwodniczo skromną suknię z jedwabiu w kolorze kości słoniowej. Teresa spojrzała na nią ze złością. Wołałaby, żeby ukochana Johna wyglądała jak zapracowana gospodyni domowa, chciała przyćmić ją swoją elegancją, ale Eleanor nie można było usunąć w cień.

– Przyszłam za wcześnie? Nie mogłam sobie przypomnieć, czy Henry powiedział siódma, czy ósma. Nie mogłam się zdecydować i oto jestem – uniosła brwi.

Eleanor cofnęła się o krok.

– To nie ma najmniejszego znaczenia, Tereso. Właśnie kładłam Katherine spać, ale

jeszcze zdążysz powiedzieć jej „dobranoc”.

Mała dziewczynka, złotowłosa i smukła jak matka, wyjrzała zza jej spódnicy. Teresa pochyliła się, żeby spojrzeć dziecku w twarz. Z drobnej buzi patrzyły na nią oczy Johna.

– Cześć, Katherine. Jestem twoją ciocią. Mam na imię Teresa. Powiedz mi, ile masz lat?

Nie mogła odpędzić się od myśli, że być może tak wyglądałoby jej dziecko. Kątem oka zauważyła uśmiech Eleanor.

– Cztery. Czy jesteś moją prawdziwą ciocią, czy tylko przyszywaną? – zainteresowała się mała.

Teresa zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

– Jestem... poczekaj, zobaczymy. Jestem żoną kuzyna twojej mamusi, więc tak naprawdę nie jestem twoją ciocią, ale i tak należę do rodziny.

Sama nie wiedziała, czemu tak bardzo fascynowała ją ta mała. Czy dlatego, że była bardzo podobna do Johna? A może dlatego, że panowała nad sobą? No, ale z drugiej strony *fin a gente* nigdy nie tracą zimnej krwi.

– Dlaczego dotąd cię nie widziałam? – dopytywała się Katherine. Eleanor wzięła ją na rękę.

– Ciocia Teresa mieszka w Stanach Zjednoczonych. Jest tam wielką gwiazdą filmową. Niedawno przyjechała do nas, żeby się ze wszystkimi zobaczyć. Powiedz cioci „dobranoc”, Katherine.

Dziewczynka otoczyła szyję Teresy pulchnymi ramionkami i wycisnęła jej na policzku soczysty pocałunek.

– Dobranoc, ciociu Tereso! – zawołała znad ramienia matki, która niosła ją do pokoju dzieciennego.

– Dobranoc, Katherine.

Kiedy zniknęły za progiem, Teresa nerwowo rozejrzała się po saloniku. Chciała zapomnieć o dziewczynce i o zazdrości, która znów zaczynała się budzić.

Mieszkanie było za małe jak dla małżeństwa z dzieckiem, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę tryb życia, do którego przywykli, stwierdziła chłodno. Wyglądało też nader skromnie, a mimo to miało styl i charakter. Od pierwszej chwili było wiadomo, że nie mieszka tu byle kto. Uważnie przyglądała się fotografiom w posrebrzanych ramkach. Przedstawiły roześmianych, szczęśliwych ludzi. Z westchnieniem podeszła do okna.

– Przepraszam, że zostawiłam cię samą. – Eleanor zatrzymała się na progu. Ciągle jeszcze uśmiechała się do siebie, rozbawiona czymś, co powiedziała Katherine. – A zatem, czego się napijesz? Wina, brandy? A może nie masz ochoty na alkohol? Opowiedz mi o twoim najnowszym filmie.

Teresa uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Wino, proszę.

Henry zerknął na trzymaną w dłoni kopertę. Było późno, już od godziny powinien być w domu, a nadal nie podjął decyzji. Zdjął okulary i znużonym gestem przetarł oczy. Dlaczego nie przeoczył tego raportu? Jakie przewrotne zrządzenie losu rzuciło go na jego biurko, jaki złośliwy duszek skierował jego wzrok w tę stronę? Gdyby znalazł kopertę dopiero jutro,

byłoby już za późno. Wtedy byłby bezradny. Niestety, znalazł kopertę dzisiaj. O Boże!

Raport policyjny był zapieczętowany, z adnotacją, iż przeznaczony jest dla burmistrza osobiście. Nikt inny nie miał prawa go czytać. Już to wzbudziło ciekawość i niepokój Henry'ego. Tak więc, kiedy pozostali urzędnicy poszli do domu, ostrożnie otworzył kopertę i przeczytał jej zawartość. Teraz już wiedział. Aresztowano członka terrorystycznego ugrupowania Carlosa Marigheli. Dzięki informacjom wydobytym z niego podczas tortur, policji udało się zorganizować zasadzkę. Akcję zaplanowano na świt następnego dnia. Aresztowany wymienił wiele nazwisk, wśród których padło również nazwisko Johna. Henry jęknął i walnął pięścią w biurko. Od natłoku myśli kręciło mu się w głowie. Cały czas się wahał, nie miał pojęcia, co zrobić.

Trzeba ich ostrzec, trzeba dotrzeć do Johna. Ale kto może tego dokonać? Jego łącznik wyjechał, a Henry nie znał nikogo innego. Nie śmiał wtajemniczać Louisa w całą sprawę. Czy jednak ma ryzykować własne życie? W imię czego? Żeby ratować Johna? W tym momencie powróciło poczucie winy. Sumienie podszeptało mu, że oto zyskał szansę zmazania dawnych grzechów. Natychmiast odepchnął od siebie wszelkie wątpliwości. Myślał tylko o tym, czy zdąży dotrzeć do obozu Marigheli na czas. Wiedział, że Eleanor będzie mu za to wdzięczna do końca życia.

Ale to nie był jedyny powód. Zrobi to także dlatego, że jest przekonany o słuszności walki z reżimem. Nadarzała się okazja, by udowodnić sobie i innym, że ojczyzna znaczy dla niego, Henry'ego Arreasa, nie mniej niż dla Johna. Tyle razy brzydził się samym sobą, swoją wrodzoną ostrożnością i ciągłym szukaniem kompromisów. Teraz mógł dokonać czegoś więcej.

Gwałtownie wciągnął powietrze w płuca.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje. Przykro mi, Tereso. Wiem, że chciałaś omówić z nim szczegóły waszej sprawy. Na pewno zjawi się tu lada chwila. Czasem zapomina o bożym świecie i pracuje do późnej nocy, choć wszyscy inni już dawno poszli do domów. Co powiesz na jeszcze odrobinę wina? – Eleanor starała się ukryć zdenerwowanie. Wstała i napełniła kieliszki.

Teresa wzruszyła ramionami.

– To bez znaczenia. I tak to nie z nim, lecz z tobą chciałam porozmawiać. Nawet lepiej, że nasza... rozmowa odbędzie się w cztery oczy. Będziemy mogły mówić bez ogródek. Eleanor zeszywniała.

– Tak? A o czym chciałaś ze mną pomówić?

Jakbym nie wiedziała, zadrwiła w myślach. Trudno, niech się dzieje co chce, byle tylko nie doszło do awantury, jak poprzednim razem. Może nawet lepiej, że w końcu wszystko sobie wyjaśnią.

– Nie udawaj, Eleanor! O Johnie, oczywiście! Czy kiedykolwiek łączyło nas coś innego?

W ciągu ostatnich lat Teresa przywykła do tego, że onieśmiałała ludzi. Zdziwiło ją opanowanie Eleanor.

– To bzdura! Tereso, widziałyśmy się dwukrotnie. Za pierwszym razem byłam dla ciebie miła i pomocna, za drugim nie odezwałam się ani słowem. Właściwie w ogóle cię nie znam.

Nie wydaje mi się, by to czyniło Johna wspólnym dla nas tematem. Należymy do tej samej rodziny, ale nic nas nie łączy.

W oczach aktorki błysnął gniew.

– A więc nie skłamiesz, jeśli zapytam, czy ty i John jesteście kochankami? – nie dawała za wygraną. Upiła łyk wina, nie spuszczać oczu z Eleanor.

Blondynka potrząsnęła głową. Mała blizna na policzku zaśniła w świetle lampy.

– Wiesz, mam już po dziurki w nosie tego pytania. Nie, nie jestem jego kochanką. Mam cudownego męża, któremu jestem wierna. Nigdy nie zdradziłam Henry’ego, rozumiesz? – była zła i ciągle zdenerwowana. Nie miała pojęcia, czy Teresa wie o Paryżu. Może tak, a może nie. Co Henry’emu przyszło do głowy, by postawić ją w takiej sytuacji i nie wracać do domu? To niewybaczalne!

Teresa nie potrafiła ukryć zdziwienia. Zawsze uważała, że od razu wyczuwa, gdy ktoś kłamie. Wszystkie zmysły mówiły jej, że Eleanor mówi prawdę. Dlaczego w takim razie John zawsze do niej wracał? Nie widziała w tym żadnej logiki.

– I naprawdę nie wiesz, gdzie on jest? Nie masz nawet bladego pojęcia?

– Ile razy muszę ci to powtarzać? Nie, nie wiem. Przecież to ty go zabrałaś, a przynajmniej zorganizowałaś jego wyjazd. Czego się obawiasz, Tereso? Rozstaliście się już kilka lat temu, więc nie myślisz chyba, że – próbowałam ci go odebrać. John to John. Nikt go nie zatrzyma wbrew jego woli – tłumaczyła Eleanor, ale orientowała się, że jej wysiłki nie odnoszą pożądanego skutku. Na twarzy aktorki widniał jedynie upór.

– Ty mogłaś tego dokonać – upierała się. – Zawsze potrafiłaś go omotać, od kiedy byliście dziećmi. Czasami mi o tobie opowiadał, o tym jak wydawało mu się, że nie żyje w pełni, ilekroć byliście z dala od siebie.

Zawsze utrzymasz go przy sobie. Nikt nigdy nie zdoła zająć twojego miejsca – posmutniała na tę myśl. Zagryzła usta i odwróciła głowę.

– Ty go kochasz – stwierdziła ze zdumieniem Eleanor.

– Oczywiście, że go kocham. Sądziłaś, że jest inaczej? – Teresa roześmiała się gorzko. – A może myślałaś, że tylko *fina gente* stać na takie uczucia? Teraz jednak zrozumiałam, że traciłam czas. Ty i on jesteście nierozłączni, nawet jeśli nie życie was rozdzieliło. Nie potrafię z tym walczyć. Więc powiedz mu, kiedy go zobaczysz, że chcę rozwodu. Nie mam zamiaru beczynnie czekać, aż go zabiją. On do mnie nie wróci! Chyba od dawna o tym wiedziałam – wypila resztkę wina. – Twoja córeczka wygląda zupełnie jak John. Właściwie jest bardziej do niego podobna niż do ciebie. I ma jego oczy.

Nie zapytała wprost, ale Eleanor zrozumiała, do czego zmierza.

– Katherine to dziecko Henry’ego. Nie widziałam wówczas Johna przez trzy lata. Byłam pewna, że nie żyje. Nie wolno ci nawet myśleć, że jest inaczej. To nie fair wobec Henry’ego.

Teresa uśmiechnęła się blado.

– Ach tak, Henry. To dobry człowiek. Może wybrałaś lepszego niż ja? Tylko że przedtem żadna z nas o tym nie wiedziała, zresztą to i tak niczego by nie zmieniło. Obie nadal kochamy Johna – wstała i wyciągnęła rękę. – Chyba już pójdę. Rozstańmy się po przyjacielsku. Cieszę się, że porozmawialiśmy, Eleanor. Chciałam też... przeprosić cię za nasze ostatnie spotkanie.

Życzę tobie i Henry'emu dużo szczęścia.

– Dziękuję. I ja też cię przepraszam. Zawsze chciałam, żebyśmy były przyjaciółkami.

Z rezerwą uścisnęły sobie dłonie.

Teresa stała już w drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. Eleanor zawahała się, zanim sięgnęła po słuchawkę.

– Eleanor, to ja. Daj mi Teresę, dobrze?

Z tonu Henry'ego żona wywnioskowała, że coś wyprowadziło go z równowagi. Odsunęła słuchawkę.

– Henry chce z tobą rozmawiać.

Teresa spojrzała na nią z irytacją, westchnęła głośno i niechętnie przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Tak, Henry? O co chodzi?

Była to ciemna, bezksiężycowa noc. Tylko gwiazdy rozjaśniały mrok słabym światłem. Teresa siedziała za kierownicą. Zręcznie zmieniała biegi szybkimi, pewnymi ruchami. Eleanor, skulona na siedzeniu pasażera, nie odzywała się. Za oknami przesuwał się uśpiony krajobraz. Wnętrze samochodu rozjaśniał jedynie rozżarzony koniuszek papierosa Teresy.

Aktorka zgodziła się czekać na Henry'ego na rozstaju, trzy mile od farmy, na której ukrywali się terroryści. Miała zabrać Johna w bezpieczne miejsce. Henry nie wiedział, że Eleanor jej towarzyszy. Odłożył słuchawkę, zanim Teresa przekazała jej sprawę. Nie odmówiła jednak pomocy, kiedy zobaczyła determinację w oczach swego gościa.

Było już po północy, a nadal miały przed sobą co najmniej pięćdziesiąt mil wyboistej drogi. Teresa zwolniła i wyrzuciła niedopałek przez okno. Mignął za szybą jak miniaturowy meteor. Uważnie obserwowała drogę. Henry powiedział, że atak zaplanowano na drugą rano. Do tego czasu muszą dotrzeć do Johna.

Eleanor modliła się przez cały czas. Desperacko błagała Boga o pomoc, choć przecucie mówiło jej, że i tak tej nocy wydarzy się coś okropnego, strasznego i nieodwołalnego. Jeden z nich zginie. Wiedziała to, czuła każdym nerwem ciała. Boże, ratuj ich, nie każ im umierać. Nie wiedziała, za którego powinna modlić się więcej, więc ślepo błagała o życie obu.

Sąsiadka zaopiekowała się Katherine. Nie pytała o nic. Wystarczył strach w oczach Eleanor, drżenie jej głosu. W tych czasach nikt już o nic nie pytał, nikt nie chciał niczego wiedzieć.

Teresa zerknęła na współpasażerkę. Uspokoila się, widząc jej opanowanie. To dobrze, że Eleanor nie traci kontroli nad sobą. Tej nocy wszystkim będzie potrzebna zjmna krew. Wróciła spojrzeniem do szosy. Myślała teraz tylko o jednym: zdążyć na czas. Zwolniła na zakręcie, ale docisnęła pedał gazu, kiedy tylko samochód wyszedł na prostą.

Henry stracił dużo bezcennego czasu, bo zablądził zaraz po wyjeździe z miasta. Dotarł do farmy pół godziny później, niż planował. Nie wykluczał, że policjanci już czają się w pobliskich zaroślach. Oddychał szybko, starając się opanować drżenie rąk. Czy warto? Czy nie lepiej zostawić spraw ich biegowi i odejść z nadzieją, że szczęście dopisze Johnowi jeszcze raz? Co dobrego wyniknie z faktu, że jego także aresztują? Teresa zrozumie, jeśli jej



powie, że przyjechał za późno. Właściwie już było za późno. Nie wysiadał z samochodu. Wsłuchiwał się w nocną ciszę.

Miej to już za sobą, upominał się bezgłośnie, i oto stał samotny na ciemnej drodze. Zawahał się, ale dokładnie w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że brak zdecydowania może przynieść tragiczne skutki. Przerażony, ruszył przed siebie. Szedł przez zdziczały sad, który doprowadził go do pozostałości ogrodzenia. Po jego drugiej stronie przycupnął budynek mieszkalny, cichy i ciemny, jakby w jego wnętrzu spała rodzina rolników. Henry przyglądał się farmie przez dłuższą chwilę.

Droga do domu wiodła na przelaj przez pole. Nie rosły tam żadne krzaki, żadne drzewa, które dawałyby osłonę. Spojrzał w niebo, wściekły na Opatrzność za marne światło gwiazd. Skąd ma wiedzieć, że w pobliżu nie kryją się uzbrojeni funkcjonariusze? Co zrobi, kiedy... jeśli w ogóle dotrze do budynku? Może terroryści zastrzelą go od razu, nie czekając na żadne wyjaśnienia? Zadrzał na tę myśl. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Po raz kolejny pożałował, że raport trafił w jego ręce.

Nocne powietrze przesycone było zapachem wyschniętej ziemi i migdałowców. Henry oddychał głęboko. Spojrzał na zegarek. Pierwsza. Za godzinę zjawi się policja. Musi natychmiast podjąć decyzję: teraz albo nigdy. Przełknął ślinę i wyszedł na ścieżkę.

Postawił kołnierz marynarki i przytrzymał klapy dłońmi, żeby biała koszula nie jaśniała w ciemności. Szedł szybkim krokiem, biegł niemal. Bolały go sztywno wyprostowane plecy. Cały czas wstrzymywał oddech, jakby spodziewał się, że lada chwila poczuje uderzenie kuli. Dokoła panowała cisza. Bez problemów dotarł do budynku. Ciężko dysząc oparł się o mur.

Na pewno mają jakieś straże, co najmniej dwóch albo trzech ludzi. Nie dostrzegł nikogo, chociaż był przekonany, że są gdzieś w pobliżu. Na chwilę zamknął oczy, a potem powoli ruszył w stronę drzwi.

Podeszli go od tyłu, przycisnęli do ściany. Czuł zimną lufę pistoletu na szyi, ale nie uległ panice.

– Jestem krewnym Johna Camposa de Serry. Muszę z nim porozmawiać, to pilne! – powiedział szybko.

Kopniakiem rozsunęli mu nogi i obszukali dokładnie. Szeptali coś do siebie. Henry myślał o uciekającym czasie.

– Na Boga, sprowadźcie tu Johna, niech potwierdzi, że mówię prawdę. Muszę z nim porozmawiać – powtórzył. Rozpacz i zdecydowanie w jego głosie odniosły pożądany skutek. Jeden z mężczyzn zniknął w domu.

– Czego chcesz od Johna? Jakim cudem nas odnalazłeś? – niski, gardłowy głos rozległ się nagle tuż nad jego uchem. Henry był przygotowany na to pytanie, spodziewał się go i uznał, że oszukiwanie tych ludzi byłoby błędem. Przełknął ślinę zanim odpowiedział:

– Pracuję dla Pereiry, burmistrza Rio de Janeiro. Za godzinę wkroczy tu policja. Musicie uciekać, wszyscy. Przyjechałem ostrzec Johna.

Jego słowa wywołały okrzyki zdziwienia i niedowierzania. Jednym szarpnięciem napastnicy odwrócili go. Teraz opierał się plecami o ścianę i patrzył na dwie ciemne sylwetki

o twarzach umazanych błotem. Nie znał ich.

– Kim jesteś? Jak się nazywasz? – zapytał stojący bliżej.

– Henry Arreas de Botelho. Jestem mężem kuzynki Johna. Słuchajcie mnie, na rany boskie! Policja będzie tu lada chwila! Musicie uciekać!

Drzwi otworzyły się ponownie. Na progu stanął John. Jego jasne włosy lśniły blado. Zobaczył Henry'ego i puścił się biegiem.

– Co się stało, Henry? Coś z Eleanor? Czy ona... ? Henry nie dał mu dokończyć.

– Zamknij się i słuchaj. Policja zaraz tu będzie. Chcą was otoczyć.

Nie mam pojęcia i nie obchodzi mnie, jak się stąd wydostaniecie, ale ruszajcie, i to już! John, mam samochód. Teresa wyjedzie nam na spotkanie. Pośpieszcie się, na miłość boską!

Spodziewał się sprzeciwów, a co najmniej powątpiewania ze strony Johna. Nic takiego jednak nie nastąpiło. John po prostu skinął głową i zwrócił się do pozostałych:

– Henry mówi prawdę, ręczę za to głową. Uciekajcie. Zostawcie wszystko, uciekajcie – złapał Henry'ego za ramię, pociągnął w kierunku pól. – Ty też, Henry. Uciekaj. Ja sobie poradzę. Idź już. Powiedz Teresie, że musi wyjechać z Brazylii. Dam sobie radę – zamilkł na chwilę. Poklepał dawnego przyjaciela po plecach. – Dzięki. Wielokrotnie ratowaliście mi życie, ty i Eleanor. Nie będę was już więcej narażał. Powiedz jej, że ją kocham – popchnął go w stronę ogrodzenia, a sam wrócił na podwórko w towarzystwie dwóch mężczyzn.

Henry zawahał się, a potem, wiedząc nagle z całą pewnością, że zostało mu już tylko kilka minut, pobiegł przez pole. Dotarł do sadu, był już blisko samochodu, kiedy usłyszał huk.

Strzał padł z południa, od strony bagien na najdalszym krańcu farmy. Arreas odwrócił się przerażony i zobaczył ciemne postacie zmierzające w jego kierunku. Strach dodał mu sił. Biegł jak jeszcze nigdy w życiu. Serce waliło mu oszalałym rytmem, panika ogarniała umysł. Miał niewygodne buty, co chwila potykał się i upadał. Wstawał i pędził dalej. Samochód czeka za tamtą kępą drzew, powtarzał sobie. Odwrócił się na chwilę.

Niezbyt daleko od niego biegł John, a za nim w pewnym oddaleniu jakaś trzecia postać. Henry nie wiedział, czy to wróg czy przyjaciel, ale nie czekał, by się przekonać. Szarpnął drzwiczki samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce, modląc się, by John zdążył.

Policja pojawiła się przed czasem! Gdyby rozpoczęli atak dosłownie kilka minut wcześniej, tkwiłby jeszcze na farmie. Zimny dreszcz przeszedł go na tę myśl, więc odepchnął ją od siebie, niecierpliwie wypatrując przyjaciela. O, jest, gna przez sad. Henry otworzył drzwi po stronie pasażera i przycisnął pedał gazu. John ostatkiem sił dopadł wozu, przez chwilę biegł obok trzymając się dachu i drzwiczek, zanim wskoczył do środka.

Henry jechał w stronę drogi. John zatrzaskał drzwiczki i zmienionym, ' wysokim głosem kazał mu przyspieszyć. Nagle boczne okno eksplodowało. – Campos bezwładnie osunął się na siedzenie.

Henry wcisnął pedał gazu do oporu. Samochód wystrzelił spośród drzew. Po chwili panował już nad kierownicą i pędził w ciemność, do Teresy. W dali cichły odgłosy walki. Arreas drżał ze strachu, przerażony jak nigdy dotąd nocą i niebezpieczeństwem. W ustach czuł gorycz, na czole pot. Gnał jak szalony.

W miarę jak panika powoli ustępowała, był nawet w stanie uśmiechnąć się lekko.

Spojrzał na Johna, zdumiony jego milczeniem.

W pierwszej chwili pomyślał, że John nie żyje. Kula trafiła w kark, tuż powyżej obojczyka. Z rany jednak nadal płynęła krew, zalewała koszulę czerwonym strumieniem. Henry przyglądał się nieszczęśnikowi przez dłuższą chwilę, zanim wrócił spojrzeniem do szosy. W ostatnim momencie zauważył ostry zakręt. Zmełł przekleństwo w ustach i skupił się na prowadzeniu wozu.

Eleanor nie mogła wytrzymać – w samochodzie. Niecierpliwie otworzyła drzwiczki i wysiadła, żeby wyrzucić na drogę. Henry spóźniał się, i to bardzo. Co, na Boga, mu się przydarzyło?

Dokoła panowała cisza. Nagle powietrze rozdarły odgłosy wystrzałów. Eleanor zatrzymała się w pół kroku i popatrzyła w stronę pól. Złe przecucie powróciło dużo silniejsze niż przedtem. Spojrzała na Teresę, która przekręcała właśnie kluczyk w stacyjce.

– Wsiadaj, Eleanor. Musimy być gotowe. Wsiadaj i bądź cicho. Może coś usłyszymy.

W przeciwieństwie do niej Teresa wyglądała na opanowaną. Była spokojna i odprężona, podczas gdy Eleanor zagryzała wargi ze zdenerwowania. Może nie mieściło jej się w głowie, że Johnowi mogłaby stać się krzywda? Może uważała, że jest nieśmiertelny. Ale co z Henrym? Czy w ogóle obchodziło ją, co z nim będzie? Eleanor ze złością zerknęła na towarzyszkę kątem oka. Teresa nie zwracała na nią uwagi. Czekały w milczeniu.

To Teresa pierwsza usłyszała nadjeżdżający samochód. Wpatrywała się w szosę, pieszcząc dłońmi kierownicę. Nie włączyła reflektorów, wóz stał pogrążony w ciemności. Nie zobaczą ich ze zbliżającego się auta; ciemność pochłaniała samochód, sprawiała, że stawał się częścią nocnego krajobrazu. Czekały. Widziały, jak światła rozdzierają mrok coraz bliżej nich. Samochód zatrzymał się tuż obok, jakby kierowca zauważył je dopiero w ostatniej chwili. Eleanor już biegła w jego stronę, Teresa nie zdążyła jej nawet tego zabronić. Zła, wyjechała z krzaków na drogę.

Krew była wszędzie. Eleanor nie miała pojęcia, że w człowieku mieści się tyle krwi. Palcem zatamowała krwotok. John jęknął i zakrztusił się. Posłała Henry'emu przerażone spojrzenie. Siedział nieruchomo, z całych sił zaciskając dłonie na kierownicy.

– Odsuń się, Eleanor. Henry! Henry! Musimy go przenieść do mojego samochodu. Ty trzymaj z tej strony, ja tutaj, Eleanor, ty dźwigniesz nogi.

Ostry głos Teresy rozrzedził opary mgły spowijające mózg Henry'ego. Mężczyzna szybko zamrugał powiekami, wysiadł z samochodu, żeby posłusznie wypełnić polecenie. Przenieśli Johna do auta Teresy, usadzili na siedzeniu pasażera. Teresa wsunęła prowizoryczny tampon za pas bezpieczeństwa. Zatrzasnęła drzwiczki i spojrzała na swoich pomocników.

– Zabieram go. Uciekajcie. Zadzwoń do was, jeśli uznam, że to bezpieczne.

Nie marnowała czasu na ckliwe pożegnania. Wsiadła do samochodu i odjechała.

Eleanor spojrzała na Henry'ego. Jego przerażenie łamało jej serce. Ze szlochaniem rzuciła mu się na szyję.

– Chodź, Henry, musimy jechać. Wsiadaj do wozu.

On jednak nadal trzął się ze strachu, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu.

Pocałowała go w policzek, uspokajała łagodnym szeptem i w końcu udało jej się namówić go, by wrócił do samochodu. Zakrwawione siedzenie przykryła swoim płaszczem.

– No chodź, Henry. Ja poprowadzę, ty nie dasz rady. Chodź, kochanie, szybciej. Musimy się pośpieszyć. Będą nas ścigać – z ulgą zatrzasnęła za nim drzwiczki. Sama szybko wskoczyła na miejsce kierowcy. Nie mogła opanować drżenia rąk. Cały czas miała przed oczami Johna, z którego życie uciekało czerwonym strumykiem. Chciała płakać, chciała krzyczeć. Nie mogła myśleć. Przekręciła kluczyk w stacyjce i zerknęła w boczne lusterko.

Na szosie błysnęły światła. Zbliżały się w zastraszającym tempie. Przeżrana, jęknęła głośno i z całej siły wcisnęła pedał gazu. Skręciła w lewo. Nie miała pojęcia, dokąd prowadzi ta droga, liczyła jednak, że uda się tu zgubić pościg. Jechała tak szybko, jak tylko się dało. Henry co jakiś czas odwracał się. Miał taką minę, jakby tej nocy dopadły go wszystkie koszmary dzieciństwa. Coś złego czaiło się w ciemności, goniło ich, chciało zabić... jego i Eleanor! To coś zbliżało się, wyczuwało, że słabną, że wkrótce opadną z sił. Spojrzał na żonę.

– Kocham cię – głos drżał mu tak bardzo, że z najwyższym trudem zrozumiała, co powiedział. Skręciła znowu w lewo. W tej samej chwili tylna szyba rozprysła się na tysiąc kawałków. Eleanor krzyknęła przerażona i jeszcze mocniej docisnęła pedał gazu, choć wydawało jej się, że samochód daje już z siebie wszystko. Nie uda im się, wiedziała, że muszą tu zginąć.

Zerknęła w boczne lusterko i znieruchomiała; wóz policyjny zbyt ostro wziął ostatni zakręt. Eleanor ujrzała, jak auto uderza w nasyp i koziółkuje. Rozpromieniona, wróciła spojrzeniem do drogi.

– Rozbili się, Henry! Rozbili się! Uciekniemy im, zobaczysz! Zobaczysz! – puściła kierownicę, żeby uścisnąć jego dłoń. Dopiero wtedy dostrzegła, że Henry tępym, niewidzącym wzrokiem wpatruje się w przestrzeń. Głowę oparł o boczną szybę pod nienaturalnym kątem. Po szkle spływała cienka strużka krwi. Zahamowała gwałtownie. Z uwagą spojrzała na męża.

Nocnej ciszy nie zakłócały żadne hałasy.

– Nie. Nie, Henry, nie.

Tak mało krwi, nie jak w przypadku Johna. Tylko kilka kropel, wąska smuga.

Wydawał się zmęczony. Zmarszczki uśmiechu wygładziły się. Niesforny brązowy kosmyk jak zawsze opadał na czoło. Ostrożnie odwróciła jego głowę. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy zobaczyła tył czaszki.

– Nie, nie, o Boże, nie! Dlaczego Henry? – rozpląkała się. Tuliła go do siebie. Przerazenie ostatnich godzin ustępowało miejsca rozpacz. Trzymała go w ramionach i szlochała, pozwalając, by ból po jego stracie zagłuszył wszystkie inne uczucia. Prawda objawiła się jej, kiedy było już za późno. Z czułością gładziła policzek męża, – Kocham cię, Henry – szeptała. – Kocham cię.

## Rozdział dwudziesty drugi

Na pogrzeb przybyli wyłącznie członkowie najbliższej rodziny. W trumnie Henry wyglądał prawie tak samo jak za życia, brakowało tylko charakterystycznego uśmiechu. To właśnie w uśmiechu krył się jego urok, stwierdziła tępo Eleanor. Nie regularne rysy, lecz ironiczny grymas zyskiwały mu sympatię. Sztywno wyprostowana siedziała w kościele.

Jeszcze dwa dni temu trzymał ją w ramionach, ciepły, silny i zadowolony. Dwa dni. Burza, która w tym czasie wtargnęła w jej życie, zmieniła je na zawsze. Dlaczego nie powiedziała mężowi, że go kocha, dlaczego nie starała się bardziej? Wyrzuty sumienia i spóźniony żal bolały mocniej niż wszystko inne. Nie zasługiwała na Henry'ego, który umarł z wyznaniem miłości na ustach. Ta myśl wywoływała w Eleanor poczucie winy, zwłaszcza nocami, kiedy wszyscy spali, a ona wreszcie była sama. Henry, mój biedny ukochany, tak mi przykro, wiesz o tym? Czy wiesz, że cię Kocham? Kochałam?

Wyprostowała się gwałtownie. Wydało jej się, że poruszył głowę, uśmiechnął się. Ale nie, to tylko złudzenie. Opuściła ramiona. Henry spał spokojnie.

Carlos da Silva siedział za Eleanor. Rozpacz całej rodziny była niemal namacalna. Rozpacz podwójna, żałoba po Henrym i po Johnie, którego losów nie znano, jednak zakładano najgorsze. Ta biedna dziewczyna chyba nigdy nie zazna spokoju, pomyślał ze smutkiem. Najpierw ojciec, teraz, zaledwie rok później, mąż i kuzyn. To nieludzkie, żeby tyle cierpienia spotykało jedną osobę. Ze złością spojrzął na ukrzyżowanego Jezusa. Nie pojmował okrucieństwa losu nawet tu, w domu Bożym.

Daleko, przy drzwiach szurały buty, rozlegały się chrząknięcia, które przypominały doktorowi o tyleż licznej, co nieoczekiwanej grupie żałobników, funkcjonariuszy policji. Przybyli, bo mieli nadzieję, że John zjawi się na pogrzebie. Nie mieli o niczym pojęcia. Myśleli, że Henry umarł wskutek wylewu krwi do mózgu, nieszczęśliwego wypadku, który przerwał jego młode życie. Nie mieli podstaw sądzić, że było inaczej. Doktor da Silva osobiście podpisał akt zgonu, a przedsiębiorca pogrzebowy zadbał o to, by ciało wyglądało jak należy. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że za tragedią kryje się coś więcej.

Da Silva wzdrygnął się na tę myśl. Tragedia. Tak wiele nieszczęść spadło już na tych tak bliskich mu ludzi. Błądził wzrokiem po kaplicy, by zatrzymać spojrzenie na żonie. Uśmiechnął się ciepło.

Msza dobiegła końca. Okryci żałobą członkowie rodziny zmarłego wstali. Wyszli z kościoła na świat, który drwił z ich smutku błękitem nieba i blaskiem słońca. Dzień pogrzebu Henry'ego powinien być szary, deszczowy i wietrzny. Natura powinna oplakiwać go wraz z ludźmi. Ale nie, słońce świeciło mocno, lekki wiaterek igrał liśćmi drzew, a doktor da Silva ze zdumieniem patrzył na znikającą w dole trumnę. To samo uczucie malowało się na twarzach pozostałych. Niedowierzenie. Podejrzenie, że to tylko głupi kawał, że Henry czeka na nich w swoim mieszkaniu i zrywa boki ze śmiechu. Tylko Eleanor rozumiała, ale ona przecież trzymała go w ramionach, kiedy odchodził.

Doktor obserwował ją, jak rzuca garść ziemi na trumnę. Stała na samej krawędzi grobu,

jakby zastanawiała się, czy nie dołączyć do Henry'ego tu i teraz. Czemu czekać na śmierć? Czemu nie wyjść jej naprzeciw? Rzucił się ku niej, zanim ktokolwiek zdołał się poruszyć. On pierwszy zrozumiał znaczenie nagle opuszczonych ramion i uginających się nóg. Złapał Eleanor w ostatniej chwili.

Ułożyli ją na trawie. Katherine, zła i niespokojna, płakała w ramionach Isobel. Wszyscy tłoczyli się, przekrzykiwali wzajemnie, zaniepokojeni. Na tle czarnej sukienki i welonu twarz Eleanor była upiornie blada, biała jak maska pośmiertna. Po dłuższej chwili da Silva wyczuł puls. Zanieśli ją do samochodu. Żałobnicy rozjechali się do domów. Henry'ego wreszcie zostawiono w spokoju.

Mijały tygodnie. Eleanor uczyła się żyć bez Henry'ego. Nie знаła losów Johna. Wszyscy zakładali, że Campos nie żyje, ona jednak nie była niczego pewna. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie mógł wyjść z tego cało, a mimo to czepiała się nadziei. Teresa wróciła do Stanów. Eleanor nie miała jak się z nią skontaktować. Bała się pisać, bo ktoś mógłby przechwycić list. Może kiedyś spróbuje zadzwonić z budki telefonicznej.

Na razie całą jej uwagę pochłaniała Katherine i krewni, którzy nalegali, by aktywnie uczestniczyła w życiu rodziny. Dzięki temu miała mało czasu na ponure rozważania, chyba że późną nocą, kiedy samotnie leżała w małżeńskim łóżku. Były to bolesne myśli; bała się ich tak bardzo, że odwlekała moment udania się na spoczynek. Co rano zrywała się, gdy tylko otworzyła oczy. Nie dawała umysłowi szans na snucie bolesnych wspomnień.

Żeby uzupełnić skromny budżet domowy, Eleanor zaczęła pracować w butik Miny. Isobel z radością powitała Katherine w pokoju dzieciennym swoich pociech. Sześcioletni Charlie chodził już do szkoły, ale dwuletnia Sarah okazała się znakomitą towarzyszką zabaw. Katherine szybko zapomniała o początkowej rozpacz z powodu zniknięcia ojca.

Zycie toczyło się dalej, pozornie wracając do normalności. Pod powierzchnią jednak bystre oko dojrzałoby głębokie rysy i pęknięcia. Widział je Carlos da Silva, domyślał się ich ojciec Henry'ego, ale był stary i załamany po śmierci syna. Nie miał siły, by podtrzymywać na duchu żonę i dodatkowo zaopiekować się Eleanor. Stopniowo teściowie odsuwali się od młodej wdowy. Woleli spotykać się tylko z wnuczką. Pogodna, radosna dziewczynka pozwalała zapomnieć o cierpieniu; wielkooka, blada Eleanor tylko to przywodziła na myśl.

Napisała do Sophie, choć nie robiła tego, od kiedy przyjaciółka niespodziewanie wyjechała. Francuzka nie odezwała się nawet, by zawiadomić, jak przebiegła podróż ani żeby zapytać, czy Eleanor wróciła cała i zdrowa. Henry tłumaczył wtedy, że dziewczynę przeraziła groźba zaplątania się w kłopoty. Używał mocnych, gorzkich słów mówiąc o braku lojalności i nalegał, by Eleanor zerwała z Sophie wszelkie kontakty. Zbita z tropu, Eleanor uległa mu i nie zadawała żadnych pytań. Nie musiała dokładnie wiedzieć, co się stało.

Teraz, niemal rok po śmierci Henry'ego, uznała, że Sophie powinna się dowiedzieć. Nielatwo jej przyszło napisanie tego listu. Nigdy nie otrzymała na niego odpowiedzi. Może Sophie zmieniła adres, a może nie obchodził jej już los dawnych przyjaciół, nawet Henry'ego. Eleanor wyczuwała, że drażnienie tej sprawy oznaczałoby dla wszystkich rozdrapywanie starych ran. Dała więc spokój.

Eleanor często narzekała na ceny ubrań w butik Miny. Nie podobało jej się, że wśród gotowych kolekcji znajdowała bardzo niewiele modeli, które były jednocześnie i modne, i dobrej jakości. W odpowiedzi Isobel skarżyła się, iż w Brazylii nie można dostać tanich i ładnych mebli, porcelany czy szkła, choć wszystkie te artykuły widziała ostatnio w Europie. Niewiele czasu zajęło siostrze skonstatowanie, że mogłyby sprowadzać tego typu towary, a od tego był już tylko krok do założenia firmy.

Pod koniec 1971 roku, drugiego roku od śmierci Henry'ego, Eleanor i Isobel zostały współzycielkami, właścicielkami wielce zyskowej firmy, importującej towary z Europy i Ameryki Północnej. Być może nowa dekada będzie lepsza dla nas wszystkich, pomyślała Eleanor z ostrożnym optymizmem.

Ledwie minął zwyczajowy okres żałoby, znajomi mężczyźni dosłownie zaczęli zasypywać ją zaproszeniami na kolacje. Byli to dawni przyjaciele Henry'ego, jej samej, a także Louisa i Isobel. Z przykrością stwierdziła, że dzwonili do niej w jednym celu; chcieli pocieszyć wdowę.

Przyjęła kilka zaproszeń, ale zawsze zegnała się z partnerami na progu mieszkania. Dzwonili coraz rzadziej, aż w końcu odzywali się jedynie ci najuprzejmiejsi, najsympatyczniejsi, a może po prostu – najwytrwalsi. Eleanor czuła, jak miesiące i lata przemykają jej między palcami, kiedy wbrew nadziei liczyła, że pewnego dnia przyjdzie wiadomość od Johna.

Isobel niecierpliwiła się.

– Na Boga, Eleanor, nie możesz do końca życia opłakiwać Henry'ego niby jakiegoś świętego. Był zwykłym, przeciętnym człowiekiem. Miał tyle samo wad co inni śmiertelnicy. Nie daj się pogrzebać za życia. Gdzieś tam na świecie czeka na ciebie mężczyzna równie sympatyczny. Katherine potrzebuje ojca, a ty męża – powtarzała przy każdej okazji. Wtedy Eleanor umawiała się z kolejnym wielbicielem. Nie mogła jednak powiedzieć siostrze, że to nie na drugiego Henry'ego czeka, lecz na Johna. Ta świadomość budziła w niej nieznośne poczucie winy.

Usiłowała zadzwonić do Teresy, ale okazało się, że numer jej telefonu jest zastrzeżony. Na ostrożny, bezosobowy list, zaadresowany na nazwisko menedżera aktorki, nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Eleanor nie miała pojęcia, co się stało z Johnem, a Teresa najwyraźniej nie miała ochoty jej o tym powiadomić.

W marcu 1974 roku, cztery lata po śmierci Henry'ego, władzę objął prezydent Geisel, co oznaczało reformy demokratyczne. Eleanor ze smutkiem przeglądała gazety. Henry zginął niepotrzebnie. Wszystko potoczyło się tak, jak przewidywał. Tylko że ona była teraz trzydziestoletnią wdową z dzieckiem, które potrzebowało ojca. Potrząsnęła głową i zawołała Katherine. Na widok córki uśmiechnęła się pogodnie.

– Chodź, kochanie, chciałabym obejrzeć twój strój. Wyglądasz wspaniale! Obróć się, proszę!

Była naprawdę zachwycona, nie mniej niż Katherine, która z dumą prezentowała matce swoją pierwszą „dorosłą” sukienkę. Mała szła tego wieczora do opery z rodzicami Henry'ego. Eleanor pogładziła zielony aksamit.

– Podoba ci się, mamusiu? Ciocia Isobel mówiła, że byłaby odpowiedniejsza dla starszej dziewczynki, ale jestem taka wysoka, że nic innego na mnie nie pasowało. Chyba nie wyglądam głupio, mamusiu?

Niepewność w oczach, zaciśnięte usta, wysunięty podbródek przypominała Johna w każdym szczególe. Eleanor ścisnęło się serce.

– Wyglądasz cudownie, Katherine, naprawdę. Nie przypominam sobie, by jakiegokolwiek ubranie leżało na tobie lepiej – urwała, zanim powiedziała coś głupiego, w stylu: „tatuś byłby z ciebie dumny”. Katherine jedynie mgliście pamiętała Henry’ego. Wyciąganie bolesnych wspomnień na światło dzienne nie miało sensu.

Mała rozpromieniła się. Po chwili wybiegła, żeby przebrać się w codzienny strój. Wróciła z plikiem kopert w dłoni.

– To dzisiejsza poczta. Zapomniałam ci wcześniej przynieść – wyznała ze skruchą.

Eleanor machnęła ręką.

– Nic dziwnego, kochanie. Przecież nie każdego dnia dostajesz taką piękną sukienkę. Czy powiesiłaś ją na wieszaku? – Kiedy dziewczynka potwierdziła ruchem głowy, wskazała na stos książek na stoliczku. – Doskonale. A teraz czas zająć się pracą domową, nie uważasz? Przejrzyj listy i pomyśl o kolacji, co ty na to? Co powiesz na omlet?

Z twarzy Katherine znikł uśmiech.

– Och mamusiu, dlaczego omlet? Nie możemy zjeść, na przykład, kurczaka? Nie cierpię jajek.

– Od kiedy to? A może to Charlie nie cierpi jajek?

Katherine zmieszała się wyraźnie. W tej chwili Eleanor przypomniała sobie, że kiedy była w jej wieku, jadała tylko to, co lubił John. Czyżby historia miała się powtórzyć? Ogarnął ją niepokój; zrozumiała być może po raz pierwszy w życiu, co czuł jej ojciec. Zaraz jednak potrząsnęła głową, drwiąc z własnych obaw. Katherine i Charlie to tylko dzieci. Nie ma się czym martwić.

– Trudno. Nie mamy w domu nic innego. Za to, jeśli chcesz, mogę ugotować na deser budyń czekoladowy pod warunkiem, oczywiście, że do kolacji odrobisz pracę domową. W porządku? – pocałowała córkę w czubek głowy i delikatnie pchnęła w stronę biurka.

Zabrała listy do kuchni i zamknęła za sobą drzwi. Większość stanowiły rachunki za elektryczność, wodę, telefon. Z westchnieniem odłożyła je na bok. Znalazła także list od Isobel. Opisywała szczegółowo, jakie towary dotrą do firmy w najbliższym czasie. Ta koperta podzieliła los rachunków. Dwie inne zawierały zaproszenia na przyjęcia, od pójścia na które, jak wiedziała, nie uda się jej wykręcić. Podobnie jak nie uda jej się szybko pozbyć samotnego mężczyzny zaproszonego specjalnie dla niej.

Na ostatnim liście widniały brytyjskie znaczki. Zaintrygowana Eleanor przez chwilę obracała go w palcach. Nie było adresu nadawcy. Może to któryś z partnerów handlowych? Niecierpliwie rozcięła kopertę.

Był to list od Maximilliana Fawcetta, „kuzyna Maksa”. Eleanor przebiegła stroniczkę wzrokiem, starając się uciszyć nagle rozszalałe serce.



*Moja najdroższa Eleonor, Wybacz, proszę, że pozwalam sobie zwracać się do Ciebie tak poufale, ale mam wrażenie, że znam Cię od wieków. Bardzo dużo o Tobie słyszałem zarówno przed laty, jak i zupełnie niedawno. Szczerze mówiąc, w ciągu ostatniego roku słyszałem o Tobie tak wiele i często, że postanowiłem do Ciebie napisać i zaprosić Cię do nas do Winchesteru. Wszystkich nas bardzo ucieszy Twój widok, rodzina powinna trzymać się razem, prawda?*

*Mam nadzieję, że Twoi krewni pozwolą nam porwać Cię na kilka tygodni? Sprawilabyś nam wielką radość swoją wizytą. Mamy przecież tyle do obgadania, tyle do nadrobienia.*

*Do tego, jak się obawiam, wielce impertynenckiego listu, załączam bilet. Mam nadzieję, że przymkniesz oczy na moją bezczelność, Ty, tak głęboko świadoma siły więzów rodzinnych. Wiesz przecież, że krew ma swoje prawa.*

*Twój czekający na pozytywną odpowiedź*

*Maximillian Fawcett*

Stała bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w kartce papieru. Słyszała, jak Katherine nuci coś, odrabiając lekcje. Światło latarni zaglądało przez kuchenne okno. Spojrzała na swoje odbicie w szybie. Krew ma swoje prawa. Tak, to prawda. John stanowi jej drugą połowę. Najwyższy czas, żeby w końcu stworzyli całość.

Powoli, jakby podczas czterech lat smutku zapomniała, jak to się robi, zaczęła się śmiać.

W sierpniu 1979 roku siedmiu tysiącom uchodźców politycznych pozwolono wrócić do Brazylii. John był wśród nich.